

Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz

Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

7 lipca, rok 1944, piątek

Rozpoczynam zeszyt dziennika pod znakiem nie tylko wojny, ale krytycznego jej momentu – przynajmniej dla Litwy. Sądzę, że ten zeszyt dziennika będzie świadkiem wielkich zmian, które zajdą w sytuacji naszej. Co one nam przyniosą i przez jakie perypetie przejdziemy – to dziś jeno Bóg raczy wiedzieć, a niebawem zapewne, choć w drobnej perspektywie lokalnej, powiedzą to kartki tego dziennika.

W nocy dziś widziano na dalekim horyzoncie w kierunku Dyneburga – kule ogniste, rakiety świetlne, huk bomb; przelatywały też samoloty. Widocznie bombardowany był Dyneburg. We dnie daleki huk dział był ledwie dosłyszalny i z wielkimi przerwami. Nie ma oznak, żeby na najbliższym nam odcinku frontu, który przebiega gdzieś po linii Połock-Dzisna, front się posunął naprzód w naszym kierunku. Natomiast posuwa się podobno naprzód ofensywa sowiecka w kierunku Wilna; tak twierdzą powszechnie i powołują się na informacje radiowe zarówno niemieckie, jak sowieckie i angielskie. Choć bezpośrednio na nas front się nie posuwa, to jednak widocznie wileńska ofensywa sowiecka, na której prawym skrzydle jesteśmy, zagraża pośrednio i nam, bo są oznaki, że przechodzimy w stadium zony przyfrontowej. Zamknęła się poczta, niemiecka okupacyjna administracja cywilna („Zivilverwaltung”) ustępuje miejsce władzy wyłącznie wojennej, urzędy administracji niemieckiej się ewakuują. Czy zostanie jednocześnie zlikwidowany lokalny samorząd litewski – urząd naczelnika powiatu i gminy, tego jeszcze nie wiemy. Siedzimy bez gazet, bez listów, natomiast szerzą się pogłoski i ludzie łowią chciwie wieści radiowe. Byłem dziś w Łaszach w mleczarni – jeździłem tam po premium masła za dostarczone do mleczarni mleko. Tam mi mówiono, że naczelnik powiatu w Rakiszkach już wyjechał i że odwołana została mobilizacja dziesięciu roczników młodych mężczyzn do wojska litewskiego, która była ogłoszona na przyszły tydzień. Jednak wieczorem z innych źródeł obu tym wieściom zaprzeczano: naczelnik powiatu jest i urzęduje, mobilizacja jest utrzymana, nawet generał Raštikis wystąpił z zachętą na rzecz tej mobilizacji, wzywając do tworzenia armii narodowej, na której czele obiecuje sam stanąć. Skądinąd Sowiety podobno obiecują wielką względność dla Litwy za to, że się przeciwstawiła usiłowaniom niemieckim i doprowadziła swą postawą do rozbicia oddziałów Plechowicza. Z Rakiszek wielu ludzi i rodzin gotuje się do ucieczki bądź na zachód – na Żmudź i ewentualnie do Niemiec, bądź przynajmniej na wieś. Niektórzy twierdzą, że Niemcy sami zachęcają do wyjazdu i tym, co chcą wyjechać, dają możliwość wyjazdu z rzeczami.

8 lipca, rok 1944, sobota

Nasza mała Żermena ma jakąś wysypkę, jakieś wyrzuty na ciele i na główce. Ma to już od dłuższego czasu i to nie przechodzi. Trapi to bardzo Jadzię. Wozila Żermenę do dr Kozłowskiego do Abel, potem woziliśmy ją przed kilku dniami do Abel do lekarza wojskowego niemieckiego, sprowadziliśmy p. Wienażyńską. Każdy z lekarzy uspakajał, że to nic strasznego, przepisywał jakieś smarowanie, ustalał szczegóły pokarmu dziecka, ale wyrzuty nie przechodziły. Ostatnio pokazała się na całym ciele drobna gęsta wysypka. Wiedząc o panice, która się szerzy i lękając się, że lekarze z Rakiszek puciekają, Jadzia postanowiła zwrócić się jeszcze do dr Čerškusa i dziś w tym celu wybraliśmy się do Rakiszek, wioząc ze sobą Żermenę, u której zresztą akurat tej nocy wysypka na ciele znikła, natomiast ukazała się gorączka 39°. Wywieźliśmy też jednocześnie nianię – pannę Marię Bohdanowiczówną, która ze strachu przed ewentualnością najścia Sowietów omalże nie dostała ataku histerycznego wczoraj i wyrwała się wracać do rodziny, która mieszka za Rakiszkami. Zresztą słaba z niej niania. W Rakiszkach – fiasko. Całe Rakiszki ogarnięte paniką, którą na wsi mniej się wyczuwa. Ludzie ładują rzeczy na furmanki i wyjeżdżają. Jedni wyjeżdżają gdziekolwiek do krewnych na wieś albo przynajmniej wywożą tam swoje rodziny, inni dążą z rzeczami na kolej, skąd usiłują dostać się do wagonu i jadą w kierunku zachodnim. Niektórzy wystarali się o wyjazd do

Niemiec. Życie w Rakiszkach zamarło. Ludzie potracili głowy, jak żeby Świety były już tuż za miastem. Nie dobiliśmy się do żadnego lekarza. Dr Čerškus wyjeżdża, dr Petrikas także ładuje rzeczy. Konsultacja „matki i dziecka” nie działa. Szpital rakiski jest nieczynny, chorzy są wysiedlani ze szpitala na miasto. Nawet z więzienia wypuszczono więźniów. Sądy zlikwidowały się i personel tychże wyjechał. Policja też jest nieczynna. Czynny jest tylko urząd naczelnika powiatu. Samego naczelnika nie widziałem. W kancelarii naczelnika powiatu narzekano na panikę, która ogarnęła Rakiszki i która istotnego uzasadnienia nie ma. Mówiono mi tam, że jedyna rzecz realna, która zaszła i która podnieciła tę panikę – to to, że zarządzona została likwidacja niemieckiej „Zivilverwaltung” ze wszystkimi jej urzędami wobec przejęcia władzy przez czynniki wojskowe. To, co wywołuje panikę, to posuwanie się nieustanne ofensywy sowieckiej na Wilno. Ten klin ofensywy zostawia nas na boku w pewnego rodzaju worku, toteż powstaje obawa, że ten worek, o ile klin sowiecki wbije się głębiej, zostanie zlikwidowany bądź przez rozszerzenie klina przez Sowiety na boki, bądź przez ewakuację naszego terenu przez samych Niemców. Podług ostatnich wieści, ogłoszonych przez radio niemieckie, w kierunku na Wilno Sowiety zajęły już Oszmianę, zbliżyły się o 20 kilometrów do kolei żelaznej Wilno-Dyneburg (gdzieś w okolicach podobno Święcian-Podbrodzia), samo zaś Wilno jest w ogniu artyleryjskim. Ludzie z Rakiszek uciekają albo na wieś, albo na zachód. Na zachód – do Szawel, na Żmudź, do Niemiec. Jedna wersja twierdzi, że Niemcy nie dopuszczają nikogo do Niemiec prócz tych, którzy w roku 1941 „repatriowali się” do Niemiec i potem tu wrócili. Inni twierdzą, że Niemcy z łatwością pozwalają wjeżdżać do Niemiec tym, co uciekają teraz i w szczególności wyznaczają im miejsca bądź w Szlezewiku pod Danią, bądź w Austrii. Rakiszki zrobili przykre wrażenie. Na wsi ludzie pracują normalnie, koszą i sprzątają siano i koniczynę, w Rakiszkach – chaos i rwetes przerażenia i ucieczki. Wróciliśmy na Rakiszeczki i zawieźliśmy Żermenę do pani Wienażyńskiej. Znowu nic złego u niej nie stwierdziła.

9 lipca, rok 1944, niedziela

Powiadają dziś, że od wczoraj od godziny trzeciej czy szóstej po południu Wilno jest „w rękę Polaków”. Wieść ta powtarzana jest uporczywie. Jakich Polaków i w jaki sposób się to stało – tego nikt dokładnie nie wie. Domyślają się – i to wydaje się najprawdopodobniejsze – że w rękę partyzantów polskich, których w ostatnich czasach w Wileńszczyźnie było bardzo dużo. Co prawda, mogłyby to być także oddziały polskie, sformowane przy armii sowieckiej (formacja pułkownika Berlinga?), które podobno także są liczne, ale nie sądzę, żeby Sowiety wysunęły te oddziały na Wilno, które w myśl tezy sowieckiej nie ma należeć do Polski. Jeżeli ta wieść o zajęciu Wilna przez siły polskie jest prawdziwa, to musiało to nastąpić albo po wycofaniu się z Wilna Niemców, albo w drodze rozbrojenia resztek Niemców w Wilnie przez partyzantów polskich. Jak się do tego faktu ewentualnie ustosunkują Sowiety – nie wiadomo. Partyzanci polscy w Wileńszczyźnie są równie antyniemieccy, jak antysowieccy, dojsć więc może do walki między nimi i Sowietami, które się do Wilna zbliżają, pędząc swój klin wileński, skierowujący się na Wilno i bodajże na Prusy Wschodnie (drogą z Wilna na Augustów-Suwałki czy na Kowno?). W każdym razie, w tej chwili Wilno, jak się zdaje, staje się coraz bardziej obiektem akcji wojennej.

Przyjeżdżał do mnie stary mój kolega i przyjaciel Józef Petrulis z Audry z synem Joachimem podziękować mi za przyjęcie i przechowanie Joachima po rozbiciu oddziałów Plechowicza. Mieli oni przez okazję list od starszego syna Józefa Petrulisa – Benedykta, który opuścił Wilno chroniąc się do Kowna we wtorek wieczór. Píše, że Wilno było bardzo mocno bombardowane, dużo domów w gruzach. Z dzisiejszych wieści Joachima z Rakiszek (z radia), Sowiety są obecnie na linii mniej więcej jeziora Narocz-Swięcian-Oszmiany czy Smorgoń-Baranowicz. Skądinąd od żołnierzy z batalionów litewskich armii niemieckiej, którzy przyjechali na urlop czy wypoczynek, i od policjantów litewskich, wycofanych ze wschodnich terenów Litwy (powiaty świrski, oszmiański), słyhać, że zarówno wojsko niemieckie, jak sowieckie jest zmęczone i nie bardzo chce się bić. W ogóle siły i jednych, i drugich są podobno nie nazbyt silne. Jeżeli Sowiety posuwają się dosyć szybko na przód na Wileńszczyznę, to dlatego, że Niemców prawie nie spotykają i że tylko gdzieś

rzadka natrafiają na poszczególne punkty oporu niemieckiego. Słychać, że na tyłach armii sowieckiej, tak samo, jak na tyłach niemieckich, są wielkie bandy po lasach. Są to bandy leśne dezertków z wojska sowieckiego, żyjące okrutnym rabunkiem. Bandy leśne na tyłach niemieckich są w dużym stopniu komunistyczne, ewentualnie polskie, bądź co bądź ideowe, walczące pod pewnym znakiem politycznym. Natomiast bandy leśne na tyłach sowieckich nie mają żadnej idei ani haseł politycznych. Są to szumowiny bandytyzmu i rabunku.

Panika u nas jeszcze trwa, zwłaszcza po miasteczkach, skąd ludzie masowo puciekali, bądź na wieś, bądź na zachód. Uciekają też niektórzy z dworów i zaścianków. Słychać, że uciekł Chojnowski z Junkun, który w roku 1941 był bardzo okrutny dla komunistów i Żydów, wyjeżdża do Kowna Apolinary Wienażyński z rodziną z Rakiszczek, uciekał już z rzeczami z rodziną na kolej, aby jechać do Niemiec, Augaitis z Pokrewnia, ale wrócił jeszcze, choć siedzi na wylocie, puciekali ci, co w roku 1941 byli partyzantami przeciwko Sowietaom lub którzy brali udział w mordowaniu Żydów i rabowaniu mienia żydowskiego. Była uciekła policja z Rakiszek, z Abel, z Juzynt, ale wraca. Urząd naczelnika powiatu w Rakiszkach i gminy są czynne. W ogóle panika była ponad miarę i teraz znać leciutkie jakby uspokojenie, choć sytuacja nie jest wyraźna, bo akcja sowiecka na Wileńszczyźnie trwa i nie wiadomo, czy i jakie konsekwencje będzie ona miała na nasze powiaty północno-wschodnie Litwy, które są poniekąd okrążone z południa. W Rakiszkach czynna jest komendantura litewska z kapitanem Kalnietisem na czele. Słychać o jakimś werbunku ochotników litewskich, dokonywanym wśród młodzieży przez oficerów, delegowanych skądś w tym celu – bodaj czy nie na rzecz partyzantki litewskiej.

10 lipca, rok 1944, poniedziałek

Nasza Żermena skończyła cztery miesiące. Źle się ma biedaczka; ciągle jej coś dolega – to wyrzuty, jakaś wysypka, to jest przeziębiona teraz; widocznie ją coś spotniała na upale zawiało; gardło ją boli, kaprysi i płacze dużo. Jadzi dużo czasu, sił i zdrowia zabiera, choć jest nadzieja, że od środy dostaniemy nianię – siostrę Nasty Gasperowej Joachimowiczowej, uciekinierkę z Abel.

Dziś dzień względnie cichy. Huk dział ustał. Samoloty przelatywały wprawdzie gęsto, ale odgłosów walk nie było słychać. Mówiono, że Sowiety przez radio komunikowały, że w Wilnie walki się toczą na ulicach i że zajęta jest Lida, a czoło Sowietów zbliża się do Grodna. Zapewne klin sowiecki na Prusy Wschodnie skieruje się na trójkąt suwalski. Zresztą podstawa klina jest szeroka, mniej więcej od Święcian do Lidy. Z Rakiszek, z Abel ucieczka ludności wciąż trwa. Mieszkańcy miasteczek, bojąc się bitwy i bombardowania, rozpraszają się po krewnych na wsi. Na gościńcach dużo wozów naładowanych rzeczami. Abele i Rakiszki napełniły się wojskiem niemieckim. Podobno Niemcy zapewniają, że „Dyneburga nie oddadzą” i że przeto Sowietów tu nie wpuszczą. Ale cóż z tego, kiedy Sowiety jakoś nie bardzo pytają Niemców o pozwolenie, a zresztą nam wkroczenie Sowietów grozi nie od Dyneburga, ale od klina wileńskiego, od Święcian. Powiadają ludzie i zapewniają, że przy armii sowieckiej, która kroczy naprzód, czynna jest jakaś amerykańska komisja, która ma baczyć, żeby po zajęciu terenów, zdobytych na Niemcach, nie było żadnych mordów i krzywdzenia ludności cywilnej. Mówią też, że rzekomo Anglia i Ameryka „wymogły na Sowietach”, żeby krajów bałtyckich nie zajmowały i że wskutek tego wojska sowieckie swój klin na Prusy Wschodnie pędzą po ziemiach, które należały poprzednio do Polski (Wileńszczyzna, Grodzieńszczyzna, Suwalszczyzna). To się wydaje mało prawdopodobne w tym stadium wojny.

Stało się u nas w okolicy nieszczęście. W jeziorze kumszańskim Ažiškis utonął młody 22-letni Jaś Zybolis, jedyny syn Piotra Zybolisa ze Staczerag. Z całym gronem młodzieży bawił on u Kozłowskiego, gdzie pili samogon, a potem poszli się wszyscy kąpać do jeziora. Po kąpieli Witold Dyrżinkas, Jaś Zybolis i Jankowski z Rakiszek wsiedli na łódeczkę i wypłynęli na jezioro. Do łódeczki zaczęło się nabierać wody, wreszcie łódka się przewróciła. Dyrżinkas i Jankowski wypłynęli, uczepliwszy się łódki, Zybolis chciał sam dopłynąć do brzegu, który był niedaleko, ale źle pływał i zaczął tonąć. Zanim zdołano mu udzielić pomocy – utonął. Wyciągnięto trupa. Rozpacz rodziców jest nieopisana.

11 lipca, rok 1944, wtorek

Dziś – dzień trwogi i nowej fali paniki, która się już była po trochę uciszała. W nocy nad ranem i przez cały ranek grzmiały działa i wybuchy, w odległości już znacznie bliższej, niż poprzednio, ale od strony nie Dyneburga (wschód), jeno Wilna (południe). Zresztą od dawna już kierunek huku odległego dział przesunął się ze wschodu na południe. Huk był dziś tak doniosły, że wszyscy zrozumieli, iż akcja wojenna zbliżyła się znacznie do nas. Strach zaczął ogarniać ludzi. Samoloty gęsto latały. Zaczęto zaraz podawać sobie wieści. Uciana zajęta przez Sowiety, Degucie na szosie między Jeziorosami i Ucianą – spalone przez partyzantów sowieckich, w Dusiatkach ciż partyzanci złapali i rozstrzelali 18 policjantów litewskich. Rano poszliśmy z Jadzią i dziećmi (Kotuńką i Igą) nawiedzić zwłoki topielca Jasia Zybolisa, parobków zaś Izydora Kulysa i Józiuka Malciusa wystaliśmy do Łejbgale do młyna, bo kończymy mąkę i pozostaniemy bez chleba, co wobec zbliżających się wypadków jest ciężkie. Wracając od Zybolisów słyszeliśmy nowinę, jakoby Sowiety zajęły już na szosie za Wilkomierzem Janów pod Kownem. Wiadomość ta byłaby bardzo sensacyjna. Zagrożone byłoby bezpośrednio Kowno. Wszakże ta wiadomość o Janowie nie potwierdziła się potem. Przez cały dzień z małymi przerwami grzmiały działa. Nastrój coraz bardziej trwożny. Ludzie ogarnięci są strachem przede wszystkim przed zbliżaniem się bitwy i ewentualnym znalezieniem się w ogniu. Po obiedzie parobcy nie poszli już do roboty; zajęli się wiązaniem i chowaniem swoich rzeczy. Najbardziej przerażony jest ekonom Adamowicz. Zdaje się, że jesteśmy już prawie w worku, otoczeni częściowo przez ofensywę sowiecką, która nam zachodzi boki od południa i zwraca na zachód. Ludzie lękają się ruszać. Podobno w miasteczkach i na gościńcu są wypadki zabierania koni i furmanek bądź przez Niemców, bądź przez uciekających z miasteczek, bądź przez bandytów czy partyzantów. Wczoraj pod Kurkleciami na własnej ziemi zastrzelony został wystrzałem z żyta krawiec Markiewicz, który wracał do siebie w nocy furmanką z Dogil. Z młyna parobcy wrócili z niemletym zbożem. Pojechałem zaraz sam z Józiukiem Malciusem do tego młyna prosić o zmiecie nam zboża jutro. Młynarz nie chciał, wreszcie jednak pozwolił, o ile dostanie pas nowy do motoru od Wienażyńskiego. Wracając zajechałem do Wienażyńskich do Rakiszczek. Mieli oni uciekać do Kowna, ale w ostatniej chwili rozmyślili się i pozostają. Nie ma wielkiego sensu ucieczka do Kowna, kiedy tam jest panika i ucieczka z Kowna. Jak pozostał w Pokrewniu Augaitis, tak pozostał Apolinary Wienażyński w Rakiszczkach. Wienażyński był dziś w Rakiszkach. Mówi, że radio sowieckie nadawało, że pod Ucianą walki się toczą między Niemcami i partyzantami komunistycznymi, zasilonymi przez kilka tanków sowieckich i sowiecką awiację. Wspominało też radio sowieckie o Antoleptach i Daugajlach pod Jeziorosami. W Wilnie wciąż jeszcze walki na przedmieściach. Bombardowane Grodno, zajęta Lida.

12 lipca, rok 1944, środa

Noc była niespokojna. Kanonada trwała przez całą noc i towarzyszył jej wielki ruch samolotów, tak sowieckich, jak niemieckich. Z wieczora wczoraj widać było w kierunku Dusiat i Uciany, to znaczy w kierunku północno-wschodnim, gdzie mieści się ognisko walki, liczne pożary. Dudniło potężnie i trzęsły się nieraz szyby. Cała niemal służba dworska nasza i Mieczkowskich czuwała w nocy, obserwując horyzont i dzieląc się wrażeniami. Rano huk się rozlegał jednym ciągiem. Epizody walki powietrznej czasem docierały bezpośrednio aż do nas. Nadleciał bombowiec sowiecki, prześladowany przez dwa szybkie lekkie samoloty niemieckie, które nad naszymi głowami zaczęły go ostrzeliwać z karabinów maszynowych. Myśleliśmy, że upadnie na nas, ale umknął, prześladowany przez swoich niszczycieli.

Parobcy do roboty nie poszli. Trzeba było jechać do młyna do Łejbgal. Izydor Kulys nie zgodził się jechać, tłumacząc się, że go rzekomo ktoś uprzedził, aby nie wałęsał się, bo ktoś ma na niego oko i może go zabić. W istocie tchórzył. Józef Malcius decydował się jechać, ale tylko nie sam jeden. Novikas na razie zabłysnął odwagą, że z nim pojedzie, ale przyszedł Kazys Malcius i nastraszył go tak, że odmówił. Zdecydowałem się jechać ja sam z Józiukiem Malciusem. Nie zdołałem

mu pomóc w młynie, ale dodam odwagi przez obecność swoją. Osobiście się nie lękam. Pojechaliśmy. Chociaż odmawiano nam jechać gościńcem, strasząc, że na gościńcu mogą odebrać konia lub podwodę, że mogą nawet zastrzelić, jednak pojechaliśmy gościńcem. I nic się nam nie stało. Ruch na gościńcu bardzo mały. Spotkaliśmy tylko kilka furmanek, wracających z Rogiel z pogrzebu Jasia Zybolisa, i parę luźnych furmanek pojedynczych. Huk kanonady wciąż trwał, w młynie pełno było ludzi ze zbożem do młecia, ale młyn nie funkcjonował, bo syn młynarza, który pojechał do Rakiszek po pas, nie wracał, a stary pas się zepsuł. Dopiero koło godz. piątej wróciliśmy ze zbożem niemletym. Zostawiliśmy we młynie drwa, a zboże odwiozłem, bo lękałem się, żeby coś się nie stało do jutra i żebyśmy nie zostali i bez mąki, i bez zboża. W młynie nasłuchiwałem się do syta nowin wojennych i rozmów. Pomimo bliskiej bitwy, usposobienie ludności jest niezłe. Teren toczącej się w pobliżu bitwy jest między Ucianą, Antoleptami, Dusiatami i Daugajłami. Nie jest to właściwy front ofensywy sowieckiej, która skierowana jest na Wilno i Grodno, jeno jakiś klinek lokalny boczny na prawym skrzydle tej ofensywy. W tej akcji klinowej lokalnej biorą udział podobno dwie dywizje sowieckie, które rzekomo jeszcze pod Witebskiem przebiły się na tyły niemieckie i posuwają się stamtąd wzdłuż prawego skrzydła sowieckiego, łącząc się i organizując bandy leśne partyzantów komunistycznych dla akcji dywersyjnej. Do pomocy im przedarło się do nich kilka tanków sowieckich i sekunduje awiacja sowiecka. Oddział ten, choć nie stopiony z główną masą sowiecką, działa jednak w kontakcie z dowództwem ofensywy sowieckiej i ma określone zadania. W tej chwili celem jego jest przecięcie szosy z Dyneburga na Kowno pod Ucianą i ewentualnie do Wilkomierza oraz ewentualnie podobno uderzenie z Dusiat i Antoleptów w kierunku na Abele. Przeciwno tym dywersyjnym siłom sowieckim Niemcy zajmują pozycje pod Dusiatami, gdzie mają artylerię i posyłają *via* Rakiszki dużo świeżego wojska do Dyneburga, usiłując okrążyć te oddziały sowieckie na Turmont, ewentualnie Jeziorosy-Dukszy. Oddziały sowieckie i Niemcy usiłują jedni drugich obejść i zniszczyć. Ludzie wierzą, że ten epizod lokalny zakończy się rychło powodzeniem niemieckim. Twierdzą, że w ciągu najbliższych dwóch dni bitwa ta się rozstrzygnie i albo wpadną do nas Sowiety, albo, jeżeli nie wpadną, to epizod będzie zlikwidowany i mieć będziemy na razie spokój. Sądząc z rozmów ludzi we młynie, gdzie było ludzi dużo, ludzie nasi są bardzo kategorycznie usposobieni antysowiecko, a młodzież wiejska litewska czuwa i gotuje się do partyzantki antysowieckiej po lasach. Podobno już teraz byli partyzanci litewscy z r. 1941 i ludzie, którzy stąd uciekli, bojąc się najścia bolszewików, organizują się po lasach w gromady partyzanckie w gminach skapiskiej, ponedelskiej, kupiskiej i dalej, a ruch ten na rzecz litewskich partyzantek i band leśnych stanie się masowy, gdy Sowiety, w razie wkroczenia ich do Litwy, zaczną mobilizować młodzież lub wywozić ludzi.

Bardzo ciekawa jest nowina, jeżeli tylko prawdziwa, ogłoszona podobno wczoraj wieczorem przez radio niemieckie, że jakoby Szwecja wypowiedziała wojnę... Finlandii (oczywiście i Niemcom?). Jeżeli to prawda, to znając uczucia szwedzkie w stosunku do Finlandii i Sowieców – nie można tego wytłumaczyć inaczej, niż że Szwecji i Anglii chodzi o to, aby Szwecja jak najprędzej okupowała jak największą część terytorium Finlandii, zanim zdążą je zająć Sowiety, które tam rzuciły wielką ofensywę na nieszczęsnych Finów, i że chodzi o ratowanie w ten sposób Finlandii i przed zalewem sowieckim. Ewentualnie zaś ta maskarada wojenna szwedzka mogłaby być zużytkowana i na kraje bałtyckie.

13 lipca, rok 1944, czwartek

Po burzy wczorajszej powietrze ochłodziło i cały dzień była dziś ślota. Jak już zapowiadano wczoraj, huk kanonady dziś się już znacznie oddalił. Kanonada – z przerwami – trwa dalej, ale jest bardziej odległa. Zawróciła też bardziej na wschód, ku Dyneburgowi. Ludzie są nieco spokojniejsi, ale nie bardzo, bo zdają sobie sprawę, że wynik lokalnego epizodu na szosie pod Ucianą-Antoleptami-Daugajłami nie przesądza naszych losów, dopóki wielka ofensywa sowiecka na Prusy Wschodnie, tocząca się przez Wilno, której prawe skrzydło prawie się ociera o nas, rozwija się w całej pełni. Jej skrzydła mogą się lada chwila rozszerzyć i nas zagarnąć. Nic dokładnie nie wiemy ani

jakie są plany wojenne sowieckie w stosunku do terenu na najbliższym nam odcinku frontu między Święcianami a Dyneburgiem, ani jakie są w tym względzie plany i zamiary niemieckie.

Przed wieczorem jeździłem z ekonomem Adamowiczem do Kazanowicza w Norwidyszkach i do Augaitisa w Pokrewniu. Ekonomowi chodziło o informacje o synu starszym, który leży w sanatorium gruźliczym im. dr Griniusa w Poniemuniu pod Kownem; skomunikować się z nim ekonom już nie może; wszakże syn Kazanowicza, który także był w sanatorium w Poniemuniu, aczkolwiek w innym sanatorium, w tych dniach wrócił i ekonom chciał się z nim zobaczyć i cokolwiek dowiedzieć; ja zaś pojechałem głównie dla języka do Augaitisa, który ma radio. Gdyśmy wyjeżdżali, nastrój u nas był nieco spokojniejszy. Kojąco działała wiadomość o odparciu oddziałów sowieckich z ich partyzantami leśnymi spod Antoleptów i podobno nawet z Uciany; bardzo optymistycznie była komentowana wieść czy pogłoska wczorajsza o wystąpieniu wojennym Szwecji, chociaż w tym względzie nie było pewności, albowiem Pautienius z Popiel, który wczoraj opowiadał o tym w młynie w Łajbgalach, powołując się na radio, właściwie nie słyszał wyraźnego oświadczenia o wypowiedzeniu wojny lub rozpoczęciu działań wojennych przez Szwecję, jeno jakiś frazes z radia niemieckiego, przez Kowno nadanego po litewsku, że „Szwecja pchnęła Finlandię bagnetem w plecy”, z czego wywnioskował, że wypowiedziała Finlandii wojnę. Takie wystąpienie Szwecji, gdyby to była prawda, szachowałoby Sowiety w Finlandii, a ewentualnie mogłoby zaważyć i na losach krajów bałtyckich. Ale przed samym naszym z ekonomem wyjazdem do Norwidyszek i Pokrewnia wrócił z młyna z Łajbgal Izidor Kulys, który powiadał, że spotkał pod Kurkleciami furmanki parobków z dworu abelskiego, wynoszących się gdzieś z manatkami. Administracja rządowego dworu abelskiego z całym bydłem i inwentarzem już przed kilku dniami opuściła Abele, kierując się na Poswole, teraz zaś parobcy, którzy pozostali i rzekomo się wynoszą obecnie, mówili Kulysowi, że z Abel dziś wychodzą Niemcy (wojsko niemieckie, które tam stało i konie wojskowe) i Abele stoją pustką, skąd wniosek, że Niemcy się ewakuują i że mogą rychło nadejść Sowiety. U Augaitisa zastaliśmy agronoma Vagelisa z Girgieliszek i Eigminasa z Bojar. Towarzystwo siedziało u stołu, piło wódkę i likiery, których nigdy nie brak u Augaitisa i trochę słuchało radia, łowiąc informacje. Z doniesień radiowych sowieckich i alianckich sytuacja się przedstawia tak, że Wilno jest rzekomo okrążone przez Sowiety, aczkolwiek jeszcze nie wzięte; zajęte są Giedrojczie; szpica ofensywy sowieckiej dotarła z Niemna i zajęła Olitę; najbardziej wysunięty punkt ofensywy sowieckiej jest na odległości już tylko 100 kilometrów od Prus Wschodnich. U Augaitisa mówiono, że podobno Sowiety są w Duksztach, natomiast w Ucianie już ich nie ma; agronom Vagelis wybiera się jutro sam jechać do Uciany, żeby się poinformować na miejscu o wypadkach, które tam miały miejsce i o zachowaniu się bolszewików. Mówiono też, że Sowiety zamierzają okrążać Dyneburg dwoma uderzeniami – z Rieżycy na Subot i gdzieś z Dukszt-Święcian na Abele. Co prawda, mogą być to tylko domysły, bo z pewnością zamiarów i planów akcji sztaby sowieckie ogłaszać nie będą. Ale może być, że epizod uciańsko-antolepski był fragmentem takiej czy podobnej akcji, której celem był Dyneburg. W każdym razie, jesteśmy na placówce wojennej dosyć eksponowanej i nie wiemy, co się stać z nami może. O tym, żeby Niemcy już ewakuowali Abele, aby je oddać, nikt u Augaitisa nie słyszał.

W Norwidyszkach zająłem też do Chmielewskich, którzy tam mieszkają (Michał Chmielewski jest nauczycielem ludowym w Bojarach). Chmielewski przed tygodniem wrócił z Wilna przez Kowno. Wyjechał z Wilna we wtorek przed dziesięciu dniami rano. Był poszedł na dworzec kolejowy w poniedziałek wieczorem, ale zaraz rozpoczęło się bombardowanie lotnicze Wilna, które trwało od godz. jedenastej wieczorem w poniedziałek do trzeciej rano we wtorek, potem było pół godziny przerwy i znowu bombardowanie do szóstej rano. Uszkodzenia są podobno bardzo wielkie – bombardowana była głównie okolica dworca kolejowego, ulicy Giedymina, Zwierzyńca. Gdy Chmielewski rano wyszedł ze schronu, widział w kilku miejscach pożary w Wilnie. Naloty i bombardowanie powtórzyło się we wtorek i w noc następną. Co było dalej – nie wie.

14 lipca, rok 1944, piątek

Kanonada prawie że ustała. Jeżeli ją czasem słyhać, to już tylko bardzo daleko. Byłem dziś znowu u Augaitisa w Pokrewniu i u Kazanowiczów (właściwie Kauzanowiczów albo Kawzanowiczów, jak tę starą rodzinę miejscową włościańską nazywają stare dokumenty parafialne krewieńskie i jak kiedyś nazywał ją mój ojciec) w Norwidyszkach. Wczoraj bowiem zapomniałem tam moje kalosze. Pojechałem z Kotuńką i Igą, które, jak wszystkie dzieci, są wielkimi amatorkami wszelkiej jazdy. Opłaciła się im też ta wycieczka, bo u Augaitisa najadły się smacznych słodkich biskwitów, a u Kauzanowiczów – truskawek z cukrem. Przy okazji zasięgnąłem języka o tym, co słyhać, choć sam radia u Augaitisa nie słuchałem. Olita nie jest jeszcze wzięta przez Sowiety, ale są one już pod Olitą nad Niemnem. Wilno natomiast jest już przez Sowiety zajęte. W Moskwie przez radio przemawiał Palecki (podobno przemawiał po rosyjsku, tylko w końcu swojego przemówienia wypowiedział kilka frazesów po litewsku). Witął on „wyzwolenie” stolicy historycznej litewskiej, piętnował zniszczenie starych gmachów Wilna przez Niemców (wszakże bombardowanie Wilna było dokonane przez Sowiety) i wywiezienie 200 tysięcy Litwinów na „katorgę” robót w Niemczech (w roku 1941 wywoziły przecie z Litwy masowo całymi rodzinami na daleki wschód także Sowiety). Z najbliższego nam odcinka frontu na skrzydle wielkiej ofensywy sowieckiej są wieści tylko pantoflowe i dosyć niewyraźne. Kanonada ustała, oddziały sowieckie wraz z partyzanckimi bandami leśnymi, które były zajęły Ucianę i podsuwały się na Dusiaty (Użpole-Antolepty-Daugajle), zostały, zdaje się, na razie odparte, ale podobno zajęły one Sołoki. Pod Bradesami w kierunku na Antuzów i Dusiaty gromadzą się jakieś oddziały niemieckie i okopują się. Niektórzy stąd robią wniosek, że Niemcy się tu cofnęli i że lada dzień znów usłyszymy od Dusiat i Antuzowa kanonadę i mieć będziemy Sowiety jeszcze bliżej. Jedni mówią, że Niemcy wycofali się z Abel i nawet z Rakiszek, inni przeczą temu. W Abelach gmina jest zamknięta, ale kooperatywa jeszcze była trochę czynna, rozdawała pończochy na punkty, nie żądając już pozwoleń. Żyjemy teraz jak na wyspie odciętej od świata. Bez poczty, bez gazet, na nowinach przygodnych, szerzących się pocztą pantoflową i sekundowanych nieco przez krótkie informacje radiowe. Nie wiemy dnia ani godziny, co nas czeka. Na razie nastała cisza po kanonadzie dni poprzednich. Co ona wróży? Miasteczka opustoszały, wieś, gęsto napełniona ludźmi, pracuje w polu i czeka. W Łaszach sformowała się jakby jakaś mała banda byłych partyzantów litewskich z r. 1941, zdecydowana na akty terrorystyczne na komunistów i ewentualnie na czynniki sowieckie i zdecydowana na śmierć, która w ich pojęciu niechybnie im grozi.

Powiadają, że ulice, które w Wilnie najbardziej ucierpiały od bombardowania – to są: Wielka, Zamkowa, Giedymina, Zwierzyniec. Podobno jedna bomba upadła na Górę Trzykrzyską. Niektórzy twierdzą, że uszkodzona została w bombardowaniu katedra.

15 lipca, rok 1944, sobota

W nocy coś się widocznie działo w Dyneburgu. W kierunku na Dyneburg na horyzoncie wystrzeliło wysoko dziewięć słupów ognistych – trzy po trzy – trzy słupy środkowe nieco wyżej od słupów po bokach. Były to zapewne reflektory szukające samolotów nieprzyjacielskich; stały jednak nieruchome. Jednocześnie za tymi słupami w głębi widać było słabe błyski, jak od błyskawic bardzo dalekich na niebie – może to strzelała artyleria zenitowa. Po trochę słupy ogniste jeden po drugim gasły, po czym znów wytryskały w pobliżu nowe. Skądinąd dzień upłynął spokojnie. Wieści nowych nie słyhać. Mówiono tylko, że Ucianę znowu zajęli bolszewicy. Ludzie, którzy uciekli z Bradesów, gdzie się pokazali Niemcy, powiadają, że spotykali już tam ludzi, którzy przyjechali z miejscowości, gdzie przed kilku dniami były Sowiety. Otóż ludzie ci rzekomo mówili, że Sowiety ludności nie zaczepiały i nic złego nie robiły; podobno szukali tylko skwapliwie partyzantów litewskich z roku 1941, którzy brali udział w tępieniu masowym Żydów.

Panowała dziś przeto cisza lokalna. W polu u nas szła robota normalna. Baby pleły buraki cukrowe, mężczyźni zaczęli orać ugór pod żyto, oborywać kartofle, po obiedzie zajęto się sprzętem siana. W ostatnich dniach jeden po drugim zgłaszają się do mnie ci, którym się ode mnie należy drzewo – bądź drwa, bądź osiny i jodły budulcowe – za robotę, za różne świadczenia, za zboże etc.

Niektórzy chcą kupić drzewo za pieniądze, aby się pozbyć marek, gdy sądzą, że mniej marki są jeszcze potrzebne. Każdy śpieszy wziąć z lasu drzewo, bo gdy przyjdą Sowiety, las będzie z rąk prywatnych odebrany. W ogóle ogólne jest przekonanie, że opór niemiecki już jest złamany i że wcześniej czy później, może już lada dzień, zawitają do nas Sowiety. Czy nastąpi to w drodze walki, czy przewali się przez nas bitwa, czy po prostu Niemcy sami się cofną bez bitwy – tego naturalnie nikt nie wie, ale że jesteśmy już w cieniu nasuwających się Sowietów i że rychło ich fala nas zaleje – to jest przekonanie bodaj powszechne. Nie tylko przekonanie, ale już pewnego rodzaju czucie.

Ludność ma za złe księżom, że puciekali. Nie wszyscy, ale uciekło wielu. Uciekł ksiądz proboszcz abelski Virkutis, nasz proboszcz krewieński Raščius, proboszcz jużyncki. W Rogielach, w Aleksandrówce księża pozostali. W Abelach pozostał ksiądz delegowany z Paśalota. Ucieczką księży ludzie się gorszą. Powiadają, że w ciężkiej chwili powinni właśnie pozostać, aby dzielić się troską z parafią i nieść ludziom pociechę, a nie tylko myśleć o własnej skórze.

Najszczęśliwsze są teraz dzieci. Bawią się, nie zdają sobie najmniejszej sprawy z tragedii, która się toczy, żyją dniem dzisiejszym. Lato – to rozkosz dla naszych Kotuńki i Igi.

16 lipca, rok 1944, niedziela

W nocy dziś leciały gęsto samoloty – tak sowieckie, jak niemieckie, które nauczyliśmy się dawno odróżniać po ich warczeniu. Przelotom tym towarzyszyła gęsta kanonada czy też wybuchy bomb. Niektórzy potem mówili, że to z Rakiszek ostrzeliwała samoloty sowieckie niemiecka artyleria zenitowa, którą tam ustawiono, ale zdaje się, że to miało miejsce z Dyneburga. Dzień pod względem kanonady był na ogół dosyć cichy. Pogłosek i wieści oczywiście nie brakło, zwłaszcza w stosunku do naszego głuchego worka, w którym siedzimy w najbliższym sąsiedztwie ocierającego się prawie o nas wydłużonego skrzydła prawego ofensywy sowieckiej na Prusy. Długa linia tego wydłużającego się coraz bardziej skrzydła biegnie gdzieś od Wilna do Dyneburga wzdłuż linii kolejowej, ale pod Wilnem coraz bardziej się w prawo rozszerza, osiągając już Szyrwinty i Koszedary, podczas gdy szpica ofensywy jest na linii Niemna pod Olitą i, jak podało radio, przekroczyła już Niemen gdzieś między Olitą a Druskienikami. Coraz bardziej się wydaje, że kierunek tej ofensywy, zwróconej na Prusy Wschodnie, podąża na tzw. trójkąt suwalski (Sejny-Suwałki-Augustów), który Niemcy od roku 1939 po rozbiórze Polski wcieliły do Prus. Linia prawego skrzydła tej ofensywy, sięgająca pono Koszedar za Wilnem dalej na północ ku nam, zbliżając się do Dyneburga, dochodzi do linii kolejowej Dyneburg-Wilno pod Duksztami, które są w ręku sowieckim, podczas gdy Turmont jest jeszcze w ręku niemieckim. Niepewne jest, w którym ręku jest obecnie Uciań. Zdaje się, że cała szosa od Dyneburga do Kowna jest jeszcze w ręku niemieckim – wątpliwość jest tylko co do Uciań na tej szosie. Jeziorosy przeto, jak Turmont i Dyneburg, muszą być jeszcze w ręku niemieckim, choć była dziś rano pogłoska, że Sowiety czy też partyzanci sowieccy zajęli Jeziorosy. Bezpośrednio w linii tego frontu i najbliższe nam są tutaj Antuzów-Dusiaty-Antolepty-Użpole. Cały wielki gościniec z Antuzowa do Abel jest pełny wojska niemieckiego. Wielkich walk na tym najbliższym nam odcinku nie ma. Obie strony obserwują się, trochę się ścierają epizodycznie, trwają gotowe do uderzenia lub do cofnięcia się. Lada chwila każdego dnia linia może się nasunąć na nas, Niemcy mogą się cofnąć, ale skądinąd może to potrwać jeszcze. Wszakże zdajemy sobie sprawę z tego, że niezależnie od lokalnych ewentualności epizodycznych los nasz przede wszystkim jest zawisły od biegu wielkiej ofensywy sowieckiej na Prusy. Zapewne w najbliższych dniach Sowiety dotrą do granicy wschodniopruskiej. Że Niemcy zrobią wszystko co w ich mocy, żeby zatrzymać ich na granicy pruskiej albo zadać im cios – to chyba nie ulega wątpliwości. Ale czy zdołają zatrzymać – to jest wątpliwe bardzo. Jeżeli owóz nie powstrzyma i jeżeli nawała sowiecka wpadnie do Prus i potoczy się przez nie, wywołując tam popłoch i spustoszenie, to o ile to nie spowoduje natychmiast jakiejś kapitulacji Niemiec – cała połać litewska i zapewne łotewsko-estońska okupacji niemieckiej będzie zagrożona odcięciem i zapewne zostanie szybko ewakuowana przez Niemców, których siły ewentualnie pośpieszą stąd na odsiecz do Prus. Mam więc wrażenie, że utrzymanie się Niemców na razie tu u nas jest tylko do czasu i raczej

dywersyjne, niż obliczone na utrzymanie tego terenu. Wisimy więc tu na włosku, nieświadomi chwili, w której nas coś spotka. Jesteśmy, jak mały wirek na uboczu toczących się wielkich wód potężnego wodospadu.

Z Wilna radio sowieckie nadało hymn litewski „Lietuva, Tėvynė mūsų...”. Hymn ten był nadany też z Moskwy na uczczenie zdobycia Wilna jako stolicy litewskiej, raczej jej „wyzwolenia”, jak to Sowiety traktują. Ten sam hymn narodowy, za którego wykonanie Sowiety karały ludzi w latach 1940-1941 jako za manifestację kontrrewolucyjną. Sowiety grają na patriotyzmie narodów, na uczuciach nacjonalistycznych, które usiłują w tej wojnie wprząc w rydwan swoich celów. Dochodzą wieści, że w Wilnie w międzyczasie między cofaniem się Niemców a wkroczeniem Sowietów działy się rzeczy straszne. W mieście toczyły się orgie rzezi polsko-litewskiej. Obie strony – Polacy i Litwini – zarzucają sobie wzajemnie okrucieństwo niesłychane. Podobno były wkroczyły do Wilna oddziały partyzanckie polskie, jak Litwini powiadają – w kontakcie z partyzantami komunistycznymi i oddziałami Żydów. Rzuciło się to wszystko na Litwinów, w mieście – bito, zabijano, wykłuwano oczy, znęcano się. Zapewne to samo, co Litwini zarzucają Polakom, Polacy zarzucają Litwinom. Sowiety po wkroczeniu do Wilna utrzymały przynależność państwową Wilna do Litwy, dając temu wyraz odegraniem hymnu litewskiego i przemówieniem Polańskiego, co oczywiście musi we wściekłość wprawić Polaków. Polacy i Litwini nie mają, niestety, nic lepszego do roboty, jak gryźć się wzajemnie.

Jeździłem dziś do Daczun w poszukiwaniu niani, której nie znalazłem, i stamtąd zajechałem do Elizawy do Justynostwa Wienażyńskich. Siedzą w wielkim strachu, szczególnie pani Justynowa Wienażyńska.

17 lipca, rok 1944, poniedziałek

Rano było dosyć spokojnie, kanonady nie słychać było, nie brakło tylko pogłosek niepokojących o zbliżaniu się działań wojennych, nie tyle od strony Dyneburga, ile gdzieś od Uciany. Mówiono, że Sowiety są już w Antoleptach, w Użpolu. Wspominano o Komajach. Twierdzono, że radio sowieckie wymieniało Użpole i Onikszty. Zaczyna coś wyglądać, że linia nasuwa się na nas nie tyle ze wschodu, ile z południa czy południowego wschodu i że tamtędy nas stopniowo okrążają. Powiadają, że radio sowieckie doniosło o zajęciu Szyrwint i Koszedar w kierunku na Niemen i Prusy Wschodnie. Czoło ofensywy sowieckiej byłoby więc w pobliżu Kowna. Linia czołowa biegłaby od Koszedar za Olitą, przekraczając tam Niemen. Co do Kowna, to słychać, że tam już od dawna – odkąd Wilno zaczęto bombardować – jest panika i ucieczka masowa ludności. Na Żmudzi, zwłaszcza na pograniczu niemieckim – pod Taurogami, pod Kretyną – ogromne skupienie uchodźców. Powiadają, że tam już trudno o chleb. Wyobrażam sobie, jaka panika jest wśród tych uchodźców, zwłaszcza tych, co się angażowali mocno w akcję polityczną antysowiecką i którym teraz grozi zemsta sowiecka. A jakaż musi być panika w Prusach Wschodnich! Prócz rdzennej ludności Prus Wschodnich, skupiły się tam wielkie rzesze zbiegów z Niemiec zachodnich, uchodźców stamtąd od bombardowania anglo-amerykańskiego. Teraz całe te masy ludności i zbiegów rzucają się zapewne na zachód.

Dziś przed wieczorem zaczęły u nas latać gorączkowo samoloty. Wznawia się też kanonada. Noc zapowiada się niespokojna.

Jadzia dostała nianię do Żermy. Przyprowadziła ją Adela Jankowska. Jest to kilkunastoletnia dziewczynka Moskiewka z okolic Chełma pod Nowogrodem, której ojciec jako uchodźca siedzi u Adeli. Dziewczynka mile wygląda, zgrabna i niebrzydka. Starannie dogląda Żermy i zdaje się, że lubi dzieci. Żermena ma się lepiej, mało płacze, bawi się nie śpiąc.

18 lipca, rok 1944, wtorek

Noc była bardzo niespokojna. Latały gęsto samoloty, było kilka głośniejszych wybuchów, nad Dyneburgiem na horyzoncie płonęły bukiety kul ognistych i były błyski wystrzałów artylerii

zenitowej, z różnych stron dochodził huk kanonady, na horyzoncie południowym widać było duże pożary.

Ponieważ słyhać było, że w kooperatywie w Abelach sprzedają się jeszcze na punkty pończochy i niektóre inne artykuły, jak cukier, sól, wyroby żelazne, więc wybraliśmy się z Jadzią rano w linijce do Abel dla zlikwidowania pozostałych punktów, które jeszcze mamy. Dojechaliśmy i wróciliśmy szczęśliwie. Na naszym gościńcu komajsko-abelskim żadnego ruchu wojsk jeszcze nie ma, ale po wjechaniu na gościniec abelsko-rakiski u browaru i dworu abelskiego oraz w samych Abelach ruch jest niemały. Konie wojskowe w Abelach jeszcze stoją, przez Abele biegną liczne auta lekkie i ciężarowe. Gościńcem z Subocza łotewskiego nadjechał do Abel cały szereg wielkich autobusów krytych Czerwonego Krzyża. Abele wyludnione, puste, ruchu cywilnego żadnego, wszystkie urzędy zamknięte, sklepiki – także, tylko kooperatywa na placu u cmentarza jest czynna i w niej tłok ludzi ze wsi z punktami po towary. Dostaliśmy w kooperatywie na punkty dwie pary skarpetek ciepłych męskich, dwie pary damskich jedwabnych, dwie pary pończoszek dzieciennych, dwa litry wódki, 18 paczek papierosów pośledniejszego gatunku „Kir” po 10 sztuk w paczce. Wszystko to teraz cenne. Ludzie przychodzą do kooperatywy ze wsi pieszo, prawie wyłącznie kobiety, furmanek nie ma, bo ludzie lękają się jeździć, żeby im koni i podwód nie zabrano na potrzeby wojskowe. Mieszkańcy Abel, którzy nie uciekli dalej, wynieśli się prawie wszyscy do wiosek okolicznych, skąd mężczyźni zaglądają pieszo do Abel po nowiny lub dla pilnowania reszty rzeczy. Uczucie jest przykre w Abelach. Z przyjemnością wróciliśmy do Bohdaniszek, w których jest przynajmniej zacisznie. Zdaje się, że od strony południowej Sowiety nas stopniowo obchodzą. Mówią, że zajęte są Antolepty i Użpole, szepczą nawet o zajęciu Antuzowa i Komaj, co jest niepewne. W nocy nad wsią Szapalami koło Nerejek miała miejsce bitwa powietrzna aeroplanów, stracone zostały podobno trzy samoloty sowieckie.

Z nowin radiowych o froncie na Niemen i Prusy Wschodnie nic nie słyszałem.

Z miejscowości zajętych już przez Sowiety dochodzą wieści, że Sowiety dotąd nie wyrządzają żadnej krzywdy i nie ruszają ludności cywilnej. Ludzie przypisują to wpływom czy też interwencji angielskiej i amerykańskiej. Nie słyhać też jeszcze o zarządzeniach mobilizacyjnych sowieckich. Opowiadają o takim wypadku na terenie, zajęтым przez Sowiety: pewien Żyd, który się tam znalazł z wojskiem sowieckim czy też komunistycznymi bandami leśnymi, wymordował całą rodzinę byłego partyzanta litewskiego z r. 1941, który brał udział w masowym mordowaniu Żydów. Żyd ten za karę został dla przykładu sam przez Sowiety rozstrzelany. Rzekomo akty zemsty, gwałtów i mordów są surowo zakazane, winni zaś, których na razie mordować nie wolno, mają być dopiero potem sądzeni i karani.

19 lipca, rok 1944, środa

Dziś dzień bardzo niespokojny. Samoloty pędzą po niebie, cały dzień rozlega się ich warkot, idą grupami po kilka, są niemieckie, sowieckie i pono angielskie. Lekkie zwinne samoloty-niszczyciele niemieckie napadają na samoloty przeciwnika, toczą się w powietrzu krótkie i szybkie, ale gwałtowne epizody walk między samolotami, ich ostrzeliwanie się wzajemne z karabinów maszynowych i lekkich dział, czasem spadają bomby i rozlega się wybuch, z dołu gdzieś (pono z Rakiszek) strzela do samolotów nieprzyjacielskich niemiecka artyleria zenitowa. Trwa to przez cały dzień. Na krótki czas ucicha i znów się wznowia. Mamy *sui generis* teatr. W jednej z tych walk powietrznych widać było, jak się zapalił i spadał samolot sowiecki, który spadł w płomieniach w kierunku na Rakiszki czy Ponieuniek. Pod wieczór były wieści, że stracony samolot spadł na stację kolejową w Rakiszkach, że gmach dworca kolejowego w Rakiszkach pali się i że palą się też Koźliszki za Rakiszkami. Powiadają też, że w Audrze pod Rogielami zalokowany został szpital polowy dla rannych, że w Kurkleciach (o 4 kilometry od nas) nastawione zostały przez Niemcy armaty. W Abelach natomiast cicho, kobiety znów śpieszyły do Abel po towary, które kooperatywa abelska wciąż jeszcze wydaje.

Była dziś w Bohdaniszkach we dworze panika lokalna innego rodzaju. Rano przyszedł jakiś oficer niemiecki, zapytując mnie, czy nie było tu wczoraj dwóch żołnierzy kwatermistrzów, którzy wyznaczili dwa pokoje dla zamieszkania oficerom, mającym się tu zainstalować z oddziałem żołnierzy. Odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem. Spytał, czy jest tutaj drugi dwór mojej siostry i czy nie tam wyznaczona została dla nich kwatera. Mając na myśli Elwirę Mieczkowską, odpowiedziałem, że dwór mojej siostry jest tuż obok i że nie wiem, czy tam byli jacyś kwatermistrzowie, ale że nic o tym nie słyszałem. Wskazałem mu drogę do Mieczkowskich, którzy też żadnych kwatermistrzów nie widzieli. U Mieczkowskich akurat był zaprzężony koń, którym miała jechać Helcia. Niemiec zażądał, żeby go podwiozła do Boniuszek. Pojechali. Niebawem przyszedł znowu inny Niemiec, wysłany na zwiady. Znowu pytał o to samo. Powiada, że cała kompania niemiecka leży na gościńcu między Pokrewniem a Boniuszkami; przyszedli oni w nocy z Jezioros; są muzykanci, których przeznaczono teraz do służby łącznikowej w dostawie amunicji oddziałom czołowym. Mają oni konie i furgony. Mają zainstalować się w Bohdaniszkach. Wszakże niebawem wróciła Helcia Mieczkowska, która zakomunikowała, że po drodze z tym oficerem wyjaśniła, że zaszła pomyłka. Wyznaczono tym Niemcom do zakwaterowania się nie Bohdaniszki, ale Norwidyszki. Nieporozumienie powstało stąd, że Niemcy trochę zbłądzili i zamiast z Pokrewnia zawrócić na Norwidyszki, zawrócili za mostem w Pokrewniu na Boniuszki i żadnego dworu po drodze nie znaleźli. A że mówiono im, że w Norwidyszkach jest siostra właścicielki Pokrewnia, więc od ludzi dowiedzieli się, że w Bohdaniszkach jest dwór także siostry (ale mojej) obok innego (mojego) dworu i wzięli Bohdaniszki za Norwidyszki. Tą drogą wyjaśniło się, że tych Niemców mieć tutaj nie będziemy, bo pójdą do Norwidyszek. Wieść o zamierzonym zainstalowaniu się w Bohdaniszkach Niemców wywołała sensację i panikę wśród parobków, służby i okolicznych. Ludzie porzucili robotę, gromadzili się, wiecowali, a walki samolotów, liczne pożary dokoła, kanonada, wybuchy bomb, wieści sensacyjne – wszystko to utrzymywało przez cały dzień usposobienie nerwowe i sensacyjne.

Zdaje się, że nasz front lokalny zbliża się coraz bardziej do nas. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że cały las Mieczkowskich w Staczeragach jest napełniony wojskiem niemieckim, w Kurkleciach ustawione działo, z Abel do lasu w Staczeragach przeprowadzony telefon polowy. Czekamy nocy niespokojnej.

I wczoraj, i dziś Niemcy, którzy się kręcili na gościńcu pod Karwieliszkami, podchodzili i oglądali nam bydło i owce, które się pasą przy tym gościńcu. Zdawało się, że chcą zabrać bądź krowę, bądź owcę na rzeź. Pod wieczór rozeszła się pogłoska, że już zabrali jedną krowę. Ale okazało się, że tak nie jest jeszcze. Najlepszą krowę naszą wyprowadziliśmy do Čepasów. Jadzia była dziś zajęta pakowaniem i porządkowaniem rzeczy na wypadek pożaru lub wyjazdu przymusowego.

20 lipca, rok 1944, czwartek

Noc przeszła niespokojnie pod tym względem, że cała noc była napełniona nieustannym lotem aeroplanów. Różnica nocy od dnia wczorajszego była tylko ta, że lot aeroplanów nie był przerywany ani przez kanonadę artylerii zenitowej z dołu, ani przez utarczki powietrzne między samolotami, ani przez rzucanie bomb z samolotów. Samoloty latały i nic więcej. Przez całą noc powietrze dudniło i huczało. Ja, zdaje się, jedyny w Bohdaniszkach tej nocy rozebrałem się, jak zawsze, do naga i spałem spokojnie w łóżku moim. Inni albo się nie rozbierali i nie kładli spać, jeno krążyli po dworze, obserwując niebo i horyzont od południa do zachodu, na którym widać było łuny pożarów, albo spali nie rozbierając się lub poza domem, a ekonom Adamowicz, który jest wielkim tchórzem, próbował się już instalować w sklepie pod domem naszym, do którego zniesiono dużo rzeczy naszych i ekonomskich i który nam ewentualnie w razie jakiegoś bombardowania lub bliskiej kanonady ma służyć za schron. Nie są to, zdaje się, przeloty aeroplanów, jeno krążenie obserwacyjne i wywiadowcze tychże po naszym podfrontowym odcinku terenu. Samoloty, pełniące tu tę funkcję, krążą i krążą ustawicznie. Oswoił się już poniekąd z tym hukiem powietrznym i raczej niepokoi

nas cisza, gdy czasem samoloty cichną, co jednak zdarza się bardzo rzadko i tylko na krótko. Mnie osobiście ten ciągły pęd warczących aeroplanów w powietrzu przypomina szalony ruch uliczny wielkomiejski, coś jak w Paryżu na wielkich arteriach ruchu miejskiego i bulwarach w czasie wystawy powszechnej. Nigdy, zdaje się, Bohdaniszki, odkąd świat światem, nie miały takiej zawieruchy warkotu powietrznego jak teraz.

Dziś przez cały dzień to samo. Tylko że lot szalony aeroplanów, krążących całymi paczkami w rozmaitych kierunkach od horyzontu do horyzontu, jest przeplatany kanonadą artylerii zenitowej i utarczkami między samolotami przeciwnymi – ostrzeliwanie się, karabiny maszynowe, armatki. Tylko bombardowania, zdaje się, nie ma systematycznego. Artylerię zenitową mamy blisko, w Kurkleciach i nad Berżupisem. Po lasach i zaroślach dużo dział i furgonów wojennych niemieckich. Gościniec od Kurkleć na Pokrewnie przez Prapultnię i od Kurkleć do Łasz – pełny wojska niemieckiego i ruchu. O innych odcinkach gościńców nie wiem. Ludzie przeważnie unikają jeżdżenia, ale do Abel po sól, która się na stacji kolejowej rozdaje na kartki wiejskie, jeżdżą, poza tym biegają do Abel do kooperatywy, gdzie się wciąż jeszcze coś na punkty wydaje. Nauczyli się też ludzie biegać do Niemców, konsystujących po lasach i zaroślach, i prowadzić z nimi handel zamienny. W Abelach ludność cywilną, gromadzącą się pod kooperatywą albo mężczyzn jadących po sól Niemcy chwytają czasem do roboty: mężczyzn – do naprawy drogi i mostów, uszkodzonych przez transporty wojenne, kobiety – do mycia podłóg w kwaterach niemieckich.

Jaka jest sytuacja naszego lokalnego „frontu” – nikt nic dokładnie nie wie. Wieści są oparte li tylko na pogłoskach i domysłach. Ale pogłoski z dnia na dzień coraz bardziej precyzują linię demarkacyjną między Sowietami a Niemcami, która coraz bardziej się zwęża i coraz to zbliża do nas, otaczając nas coraz bardziej półkolem. Zdaje się, że od Jezioros do Turmontu i Dusiat są jeszcze Niemcy, ale już nacisk sowiecki wysuwa się na Jeziorosach i Dusiatkach, dalej linia przechodzi gdzieś między Jużyntami i Użpołem, Świadościami i Komajami i zbliża się do Rakiszek. Jużynty, Rogiele są placówkami czołowymi Niemców, jak się zdaje, a pod Rakiszki Sowiety były się podsunęły podobno o 6 kilometrów. Wchodzimy coraz bardziej w sferę bezpośredniego „frontu”. Tylko że „front” ten u nas nie jest istotnym. Istotny front regularny prawego skrzydła ofensywy sowieckiej biegnie na naszym odcinku bodajże od Dyneburga i Turmont-Ucianą, a też obok biegną występy akcji na połę partyzanckiej, zasilanej jeno pomocą od frontu sowieckiego; na tym odcinku na połę partyzanckim, sięgającym nas, toczy się jednocześnie wielka akcja wywiadowcza lotnicza. Strony za pomocą lotnictwa obserwują się wzajemnie, kontrolują ruchy przeciwnika, usiłują szkodzić im i utrudniać je. Jest to więc front dywersyjny, w którym się znaleźliśmy. Zdają się być jednak wszelkie wskazówki na to, że Niemcy tu się po trochę kurczą i cofają, czyli że rychło możemy się pewnego dnia znaleźć w obrębie Sowietów. Pozycje obronne niemieckie – posterunki artylerii polowej i zenitowej, punkty walki – są z dnia na dzień coraz bliższe. Jesteśmy już w ich wieńcu bezpośrednim.

21 lipca, rok 1944, piątek

Wczoraj wieczorem, już po napisaniu dziennika – wielki rwetes. Naleciała grupa samolotów, które nagle się pod Bohdaniszkami zniżyły i zaczęły ostrzeliwać z karabinów maszynowych i rzucać bomby drobnego kalibru. Poczuliśmy się w ogniu. Powstał rwetes, ludzie zaczęli biegać, chować się po budynkach. Przekonaliśmy się, że to, co dotąd braliśmy za utarczki między samolotami, są to ostrzeliwania terenu z samolotów. Jak powiadają sami żołnierze niemieccy, samoloty nieprzyjacielskie są nie sowieckie, lecz amerykańskie. Dziś już, przynajmniej na naszym tu odcinku, właściwie panują one w powietrzu. Rzadko tylko ukazują się samoloty niszczyciele niemieckie, które je rozpraszają, samoloty amerykańskie zniżają w pewnym momencie lot i ostrzeliwują różne obiekty – przeważnie lasy, zarośla, kępy drzew, gdzie zwykle ukrywają się furgony i oddziały żołnierzy niemieckich. Im bliżej jest linia frontu, tym zaciętsza jest akcja samolotów. Do wczorajszego wieczora Bohdaniszki nie były w sferze ognia samolotów amerykańskich. Pierwsze ostrzeliwanie Bohdaniszek, które miało miejsce wczoraj wieczorem, było skierowane głównie na aleję lipową Mieczkowskich. Po tym ostrzeliwaniu przygotowaliśmy się przenieść do sklepu pod domem, gdyby

się atak lotniczy na Bohdaniszki powtórzył. Sklep jest od kilku dni urządzony. Położyliśmy się z wieczoru jednak do łóżek naszych w domu; tylko rodzina ekonoma Adamowicza wniosła się z wieczora do sklepu. W nocy wszakże, koło godz. drugiej nad ranem, atak lotniczy na Bohdaniszki powtórzył się; był bardzo gwałtowny. Prędko ubraliśmy się z Jadzią, przenieśliśmy dzieci starsze i Żermenę do sklepu, Jadzia też została przy nich w sklepie; ja wróciłem jeszcze do domu do łóżka, ale już nie rozbierałem się. Rano ataki lotnicze na Bohdaniszki i na najbliższą okolicę – na furgony niemieckie po gościńcach, na stanowiska oddziałów wojska, na laski i zarośla – uczęściły się. Powtarzały się prawie co pół godziny, a pod wieczór jeszcze częściej. Wczoraj wystrzałami z samolotów czy też skorupą od pocisków zabita została Janowa Tuménasowa z Bohdaniszek, Powilionisówna z domu, gdy szła polem doić krowę. W Bohdaniszkach dziś dzień bladego strachu. Wszyscy parobcy i kilka rodzin okolicznych siedzi w sklepach, przeważnie w dużych suterrenach Mieczkowskich. Moskale uchodźcy – Fiodor i stary Timofiej – wykopali i nakryli sobie okopy pod klonami koło fundamentów lodowni. Rano przyjechało dwóch oficerów niemieckich, zamawiając u nas i u Mieczkowskich kwaterę na sztab, który jutro ma przyjść z Abel. Oficerowie sztabu zajmą szereg pokoi w naszych domach mieszkalnych, kolumna zaś sztabu ma się składać z 60 żołnierzy. Wyraziliśmy gotowość udzielenia oficerom 5 pokoi (z wyjątkiem kuchni, jadalnego i mego gabinetu). Oficerowie sztabu wyjechali, zapowiadając przyjazd i instalację jutro i o zajęciu domu przybili do drzwi ogłoszenie. Obecność oddziału niemieckiego powiększy niebezpieczeństwo ostrzeliwania Bohdaniszek przez samoloty amerykańsko-sowieckie. Wobec tego sporo rzeczy – mebli, bielizny, pościeli – załadowaliśmy na dwa wozy parokonne i wywieźliśmy do sąsiedniego pustego zaścianka Buby, gdzie zamknęliśmy je w stodole jako na składzie. Nikt chyba nie pokwapi się ostrzeliwać z samolotu pustego zaścianka, stojącego w polu bez domu mieszkalnego i bez drzew.

Coraz więcej się kręci żołnierzy niemieckich, tak Niemców, jak Moskali, Ukraińców i innych, zatrudnionych w armii niemieckiej. Szczególnie wieczorami, kiedy się ucisza albo w toku najgwałtowniejszego ostrzeliwania z samolotów. Proszą jeść, handlują tytoniem na słoninę i jaja, gawędzą, niejeden przy okazji coś by ściągnął. Ukradli nam dziś Niemcy dwa konie najlepsze, Gulbię z pastwiska i Faraona z chlewu. Zabrali podczas największego ostrzeliwania z samolotów, kiedy ludzie się chowają. Konie pozabierali też u wielu innych gospodarzy, nieraz ostatniego konia.

Na polu moim za ogrodem w owsie spadł samolot niszczyciel sowiecki, strącony przez niszczyciela niemieckiego. Wybił ogromną jamę jak od granatu, a motor samolotu wbił się głęboko w ziemię. Pilot, kapitan sowiecki, wyskoczył ze spadochronem i wylądował za Gajem, gdzie został wzięty przez Niemców w niewolę. Cała ludność okoliczna odbywa pielgrzymkę do szczątków samolotu, ludzie odcinają kawały części składowych samolotu na gumę, na żelazo itd., usiłując podkopać się pod motor.

Od żołnierzy z frontu wiemy, że w Jużyntach są już Sowiety. To samo w Komajach. Dzień był gorący w walkach powietrznych i na naszym froncie lokalnym. Niemcy stracili sześć samolotów sowieckich, samoloty sowieckie napadały na gościńce, na laski, w których konsystowały oddziały niemieckie.

22 lipca, rok 1944, sobota

Dziennik już mogę pisać tylko dorywczo. Będę go pisał na osobnych arkuszach, przeważnie zapewne ołówkiem; potem, jeżeli da Bóg, wpiszę te kartki do zeszytu dziennika.

Noc spędziliśmy już wszyscy w sklepie. Sklep jest suchy, śpi się względnie nieźle. Służba litewska obydwóch dworów i szereg rodzin z chałup okolicznych (Podolski, Błażewicz...) lokuje się w dużych suterrenach Mieczkowskich. Z nami w sklepie naszym, który jest przedzielony na dwie połowy, lokuje się rodzina ekonoma Adamowicza. Moskale uchodźcy wykopali sobie okop we dworze. Takież okop w polu wykopali sobie Moskale uchodźcy Mieczkowskich.

Noc upłynęła względnie spokojnie. Odzywała się tylko kanonada z bliskiego frontu, która nas dotychczas nie rusza, nalotów i ataków lotniczych nie było.

Rano powstał rwetes: parobcy nasi – Novikas i Izydor Kulys, którzy od dwóch dni zamieszkują w suterrenach Mieczkowskich i u nas ani się pokazywali, odmawiając wykonania wszelkich robót w dozorze inwentarza itp., raptem przyszedli z wieścią, że Niemcy wypędzają ludność z miejscowości, przez które przechodzi linia frontu i dają 15 minut na wyjazd; że niebawem lada chwila i do nas się to zastosuje; że trzeba będzie furmanki i dla nich z rodzinami i rzeczami na wyjazd; że to z naszej winy oni nam przez te dni nie pomagali, bo nie byli proszeni o to przez nas, a schron udzielili im Mieczkowscy, nie my; że przez to, to znaczy z naszej winy, straciliśmy wczoraj dwa najlepsze konie, które nam żołnierze niemieccy schwycili podczas paniki przy atakach lotniczych; gdyby konie nasze były rozdzielone zawczasu między parobków do dozoru, to oni by je ustrzegli i karmili itd. Obludne i wykrętne zarzuty, bo nie tylko że nie chcieli pomagać i na żądania ekonoma nie zwracali uwagi, ale jeszcze kpili z Moskali Fiodora i Timofieja, że z rodzinami swymi nam pomagają i dla nas pracują. Po prostu chcieliby teraz pochwycić konie z wozami i uciec. Fiodor stanął śmiało po naszej stronie. Izydor przynajmniej milczał, Novikas usiłował napadać na ekonoma. Gdyby istotnie trzeba było uciekać, to sytuacja byłaby ciężka. Nie będziemy uciekać, chyba że Niemcy będą wyganiać przymusowo. W takim wypadku mamy wyjechać z Čepasami i o ile można będzie – tylko do Gaju w okolicy Monticulu. Z nami drugimi karami wyjechałby do lasu ekonom z rodziną i obie rodziny uchodźców Moskali. Wszystkich rzeczy wziąć niepodobna, trzeba będzie więc znowu rzeczy rozdzielać, żeby przygotować do wzięcia to, co najniezbędniejsze. Ale po zasięgnięciu języka doszliśmy do wniosku, że legenda o wypędzeniu nie jest ścisła. Oczywiście wszystko być może i trzeba się przygotować, ale może do tego nie dojdzie. Będziemy siedzieć w sklepie do ostateczności, nie ruszając się z miejsca, chyba nas gwałtem wyrzucą. Bo jeżeli się wyjedzie, to już po powrocie nic się z rzeczy pozostawionych nie znajdzie.

Do wieczora, kiedy to piszę, panowało dziś pod względem wojennym zaciśnięcie po gwałtownym dniu wczorajszym. Kanonada bliska trwała, ale na ogół dosyć leniwa i grom dochodził tylko od strony Rakiszek, ale też z przerwami. Ataków lotniczych nie było wcale, samoloty z rzadka przelatywały, ale nieliczne i leniwie. Na gościńcach pobliskich ruchu ciężarówek i dział niemieckich prawie żadnego. Przez cały dzień trwała pielgrzymka ludności okolicznej do szczątków samolotu sowieckiego w owsie za ogrodem moim. Motoru z głębi ziemi jeszcze nie wykopano, choć amatorzy kopali i kopią ciągle. Owies dokoła miejsca katastrofy wydeptany doszczętnie. Sztab niemiecki, którego przybycie na dziś było wczoraj zapowiedziane, dotąd się nie pokazał, choć Niemcy, którzy dziś przyjeżdżali na mleko, zapewniają, że sztab przyjdzie na pewno.

Zdaje się, że ofensywa lokalna sowiecka posuwa się gościńcami: od Jużynt na Dusiaty i na Łasze-Krewno, od Komaj zaś – na Rogiele i na Rakiszki. Jaka jest sytuacja obecnie – trudno wiedzieć. W tej chwili, gdy to piszę, rozlegać się zaczęły gęsto ostre wystrzały jakby karabinowe w niedalekiej odległości, ale w kierunku... północno-zachodnim, który dotąd zdawał się martwy. Co to jest – nie wiemy.

23 lipca, rok 1944, niedziela

Wczoraj wieczorem mieliśmy burzę naturalną – od Pana Boga – z błyskawicami i piorunami, jak się należy. Burza taka mniej straszna od tej, która się oto wciąż toczy dokoła nas i z dnia na dzień staje coraz sroższa, burząc kanonadą dział i karabinów maszynowych oraz warczeniem samolotów, niosących śmierć. Ale i ta burza boska nie oszczędziła naszej nękaney okolicy ciosu: piorun uderzył w dom Konstantego Kulysa, u którego w tymże zaścianku przed paru miesiącami piorun spalił stodołę. Biedny Kulys lękał się bomb, podpalenia, zniszczenia wojennego, a tu spotkał go cios od... pioruna. Po tej burzy, której towarzyszył deszcz, do naszego schronu w sklepie zalokowały się na noc dzieci obu rodzin naszych Moskali uchodźców, troje dzieci Fiodora i troje Gieńki Wołkowej. W okopie było im już wilgotno. Z nimi zalokował się w naszym sklepie i sam Fiodor z żoną Żenią i Gieńką. Tylko stary Timofiej, ojciec Gieńki, z żoną i dwie stare Moskiewki z rodziny Fiodora – Dunia i stara ciotka – pozostali w okopie.

Noc nam zeszła w sklepie spokojnie, aczkolwiek ciągle słychać było bliską kanonadę, a koło północy na pewien czas zakotłowało się dokoła, bo gościńcami pędziły ciężarówki, motocykle i tanki niemieckie, przestawiały się na pozycjach dział, a temu ruchowi towarzyszył lot całego roju samolotów sowieckich czy sowiecko-amerykańskich, które napadały na gościńce, laski i zarośla, gnębiąc nieprzyjaciela.

Rano było już dosyć spokojnie i przez cały dzień do tej pory, kiedy to piszę, samolotów nie było. Kiedy ich nie ma, możemy chodzić, poruszać się, zaglądać do domu, bo kanonada z dział na razie nie jest nam jeszcze groźna, mimo że jest ona bliższa i prawie nie ustająca: pociski sowieckie nie docierają jeszcze do nas, pozycje zaś artylerii niemieckiej są jeszcze przed nami. Ale pozycje te są już coraz bliższe. Dziś artyleria polowa niemiecka strzela już z lasu Mieczkowskich w Staczeragach, a w zaścianku Lingego w Staczeragach mieści się sztab. Jest to najbliższa nam pozycja artyleryjska. Od wystrzałów tej artylerii trzęsą się u nas szyby i słychać wyraźnie przeciągły gwizd pędzącego w dal pocisku. W kierunku Jużynt pole walki i kanonady dział jest nieco dalej. Gościńcem przez Prapultinę w kierunku Abel przejechał dziś długi szereg furmanek z Gaczan, które Niemcy ewakuowali przymusowo do Kiškun za Abelami. W furmankach tych, naładowanych rzeczami, jechali parobcy dworu rządowego Gaczan i Moskale uchodźcy, którzy byli zainstalowani w Gaczanach; pędzili oni też krowy dworskie. Poza dworem rządowym, z okolic Gaczan nie wypędzano jednak ludności cywilnej i nie niszczonego dobra prywatnego.

Rano dziś dowiedzieliśmy się, że Kulysowi Konstantemu i połownikowi Kligysa Dirżysowi Niemcy w Staczeragach wrócili dwa konie zamiast zabranych pozawczoraj od nich. Wybrałem się i ja do Staczerag prosić o danie mi koni zamiast dwóch moich zabranych. Poszedłem z Vingaudasem Adamowiczem. Ale na próżno – tylko się zmęczyłem. Koło zaścianka Jana Tuménasa przy zaroślach staczeraskich Niemcy zagrodzili mi drogę, że to cywilnym chodzić tam nie wolno, bo to jest teren bezpośrednich działań wojennych. Do oficera mię wcale nie dopuścili, powiedzieli, że zresztą go nie ma w domu, o koniach oświadczyli, że żadnych koni do oddania na zamianę nie mają. Byli w ogóle niegrzeczni i nieuprzejmi. Odszedłem nic nie wskórawszy.

Żeby tylko więcej nie wzięli! Nikt nie jest pewien swoich koni, a może rychło i krowy brać zaczną, choć dotąd nie odbierają jeszcze. Świnie w kilku miejscach już zabierali. Dziś Gaj napelnił się Niemcami, nie tylko przy gościńcu koło Jana Malciusa, gdzie od kilku dni pełno wojska i gdzie rąbią las i jodłami wyściełają drogi, ale także od Dunduryszek i koło zaścianka Jadzi, a może i po całym lesie. U Čepasów dziś z powodu najazdu Niemców niespokojnie. Konie Janek Čepas schował i zastawił sianem w zaścianku Buby, krów i świń jeszcze nie ruszają, choć świnie już oglądają. Natomiast koszą u Janka i w zaściankach okolicznych pod Gajem, jak również pod Staczeragami koniczynę pozostawioną na nasienie i tymotejkę, także mieszanek i owies. Do naszej mieszanki jeszcze się nie dobrali, a część naszej mieszanki jest późno zasiana na zielony poszor i jeszcze mała, ale koniczynę białą moją już dziś po obiedzie zaczęli kosić.

Strach coraz większy oblatuje ludzi. Lękają się kanonady, kiedy front posunie się za nas i kiedy możemy się znaleźć między dwoma frontami, wzięci we dwa ognie, lękają się też spalenia, rabunku rzeczy, ewentualnego wypędzenia, zniszczenia plonów, straty inwentarza, głodu, zbliżającego się sfinksu Sowietów. Rzeczywiście, jesteśmy bez jutra, niczego nie pewni, rzućni na wszelkie najstraszniejsze możliwości.

W pozawczorajszych atakach samolotowych ranione zostały w Boniuszkach dwie Orłowskie – matka i córka, jedna w bok, druga w rękę.

24 lipca, rok 1944, poniedziałek

Dwa dni tego dziennika, pozawczorajszy i wczorajszy, mam spisane na osobnej kartce, z której kiedykolwiek później wolnym czasem wpiszę je do niniejszego zeszytu. Ale na razie mogę jeszcze pisać bezpośrednio do zeszytu. Mogę zachodzić do mego gabinetu na górze domu i pisać. Jeżeli później to się okaże trudno – będę znów kontynuował na kartkach.

Noc dzisiejsza przeszła spokojnie. Spaliśmy jeszcze w sklepie, ale już niektórzy, jak Novikas z rodziną, spali w swoim mieszkaniu, gotowi w razie jakiego alarmu uciekać na poczekaniu do sklepu. W nocy wychodziłem raz ze sklepu na dwór: było zupełnie cicho, wszelka bliska kanonada ustała, po gościńcach też nie było słyszeć dudnienia maszyn, samolotów żadnych nie było; z bardzo daleka odezwało się kilka wystrzałów z dział. Dziś od rana dzień był także spokojny. Koło południa zaczęły się odzywać działa. Jedne huczały z bliska, gdzieś od lasu Mieczkowskich nad Berżupisem, inne dalsze – grzmiały gdzieś na północnym zachodzie, w kierunku między Abelami i Rakiszkami. Kanonada z południa i wschodu zupełnie ustała. Gdzie i jak biegnie linia naszego frontu lokalnego – trudno zrozumieć. Kanonada, która kiedyś była się rozpoczęła i zbliżała od wschodu, zawracając stopniowo na południe, powoli przesunęła się na zachód od nas, a dziś sięga już północnego zachodu, ustając jednocześnie tam, skąd ją słyszeliśmy poprzednio. Kierunek więc był okrężający, półkolisty ze wschodu *via* południe na zachód. Ludzie twierdzą uporczywie, że główny nacisk Sowietów skierowany jest na Rakiszki-Ponimunek na rzecz przecięcia linii kolejowej z Dyneburga na Poniewież. Niektórzy mówią nawet lub domyślają się, że kolej ta jest już przecięta lub że Sowiety są już w Rakiszkach. Zdaje się, że tak jeszcze nie jest, ale co do kierunku na Rakiszki-Ponimunek – to zdaje się prawdziwe. Niemcy natomiast twierdzą, że ofensywa sowiecka na tym naszym odcinku jest już wstrzymana, że Sowiety są odparte, że ich siły tutaj lokalne są okrążone. Jak jest w istocie – trudno wiedzieć. Komunikacji ze światem nie mamy, nawet do Abel i Rakiszek nikt się nie zapuszcza, ludzie siedzą na miejscu lub poruszają się w obrębie najwyżej 2-3 kilometrów, nie dalej. Ale przecie już co najmniej od tygodnia słyszeliśmy ciągle powtarzanie, że oto zaraz, że oto już jutro – mieć będziemy Sowiety, a przecie dni mijają, a ich nie ma. To dezorientuje nawet najzagorzalszych rzeczników przyjscia Sowietów.

Od soboty ustały wszelkie ataki lotnicze, których doświadczyliśmy we czwartek i zwłaszcza w piątek, który był dniem piekielnym nalotów i ostrzeliwań z samolotów, kiedy to latały one wielkimi oddziałami i siały spustoszenie. Teraz bardzo rzadko przelatuje jakiś jeden lub kilka samolotów, a jeszcze rzadziej bombarduje i strzela z karabinów maszynowych. Niektórzy się domyślają, że ten kapitan lotnictwa sowieckiego, który w piątek zleciał pod Gajem na spadochronie ze strąconego samolotu sowieckiego i został wzięty w niewolę, był wodzem działającej tu grupy czy eskadry lotniczej sowieckiej, której akcja została przez jego ujęcie zdezorganizowana. Ten kapitan robił wrażenie „bojowego”, miał pierś całą w orderach, chwalił się głośno, że tego dnia strącił tyle a tyle samolotów niemieckich, że dnia poprzedniego strącił ich znowu tyle itd.

Nastaly teraz dni wykradania przez Niemców koni od gospodarzy i handlowania nimi. U bardzo wielu gospodarzy pochwycono konie. W bardzo wielu wypadkach Niemcy chwytają i uprowadzają konie nie na potrzeby wojskowe, jeno po to, żeby zarobić na odprzedaniu konia i pożywić się. Do nas dwóch Niemców przyprowadziło jednego konia i konika dwulatka, proponując zamianę obu na dużego silnego konia. Wyprowadziliśmy im naszą wielką białą klacz Čigonię, starą, przeszło 20-letnią. Nie oddali nam za nią obu koni, ale oddali dwulatka. Chętnie dobiliśmy targu. Potem znów przyjechało konno czterech Niemców. Proponowali bądź zamianę dwóch ogierów za konia silnego, bądź sprzedaż jednego z koni za 150 jaj, a gdy jaj nie mieliśmy, za świnie lub wieprzka. Nie zdecydowałem się kupić, bo koń może pochodzić z bliskiej okolicy i może być przez właściciela odebrany jako kradziony. Jeden z tych czterech koni był przez Izidora poznany jako należący do jednego z gospodarzy w Kurkleciach. Mówiono mi potem, że Helcia Mieczkowska kupiła jednego z tych koni za 5 kilo słoniny. U Mieczkowskich jednego konia dziś ukradziono w zaroślach kumszańskich. Niemiec, który go ukradł, przejechał na nim konno do dworu i spotkawszy Novikasa, spytał go, która godzina, a gdy ten wyjął z kieszonki zegarek, zabrał mu go z rąk i schował sobie do kieszeni, a upominającego się Novikasa wyłajał i odjechał na kradzionym koniu.

25 lipca, rok 1944, wtorek

Z obowiązku sumiennego kronikarza lokalnych wypadków wojennych notuję, że wczoraj pod wieczór, już po napisaniu przeze mnie dziennika, poruszyła się awiacja, która przez cały dzień była

nieczynna. Grupy samolotów zaczęły przebiegać przestrzeń powietrzną nad nami, od czasu do czasu tu lub ówdzie wybuch gdzieś w Bojarach lub może Norwidyszkach, inny niebawem – bodaj że w Łaszach. Wieczorem na horyzoncie wschodnim zajaśniały dwie wielkie łuny dalekich pożarów – jedna łuna w kierunku na Dyneburg, druga – na prawo od tamtej.

Ale prawdziwy popłoch i usposobienie paniczne wywołała wieść, którą przyniósł do Mieczkowskich wieczorem Kišunas, nasz seniunas bohdaniski. Oświadczył on, że Boniuszki są jutro rugowane. Nakazano, żeby wszyscy mieszkańcy Boniuszek dziś rano o godz. piątej zebrali się z wozami, rzeczami, które chcą zabrać, krowami, po czym karawana uchodźców boniuskich ruszy, eskortowana przez Niemców. Podobno zarządzenie to dotyczy linii Boniuszek, Krewien i Barszan, które mają być linią stanowisk artylerii. Powstała we dworze panika. U Mieczkowskich, w których domu są olbrzymie sutereny, w tych suterenach lokuje się teraz do 100 osób parobków dworskich, uchodźców Moskali, wielu włościan okolicznych, którzy nie mają schronów u siebie. Stworzyło się tam całe miasteczko, a w nim siedlisko plotek, gniazdo paniki; w skupieniu ludzi, oderwanych od pracy normalnej, szerzy się politykomania, wiecowanie, próżniactwo. Nawiązują się tam stosunki z Ukraińcami, Rosjanami, Uzbekami i innymi, którzy służą w armii niemieckiej i przychodzą tam na pogawędkę, a sami myślą tylko o tym, jak kopnąć Niemców, którym się źle powodzi i przerzucić się do Sowietów albo im się czymkolwiek w ostatniej chwili przysłużyć, żeby zatrzeć swą winę, że będąc w niewoli zgłosili się do służby niemieckiej przeciwko swemu krajowi; element to zdemoralizowany, skłonny też do rabunków w chwili przewrotu. Na to środowisko próżniacze w suterenach miasteczka u Mieczkowskich wieść o wyganianiu z Busiszek rzuciła popłoch. Jeżeli dziś Boniuszki, to jutro będą Bohdaniszki. Zaczęto zaraz domyślać się, że od tych wygnańców Niemcy oddzielią mężczyzn, przede wszystkim młodych, może także młode kobiety zdatne do pracy, odbiorą konie albo zamienią je w najlepszym razie na gorsze, odbiorą krowy, a reszcie kobiet z dziećmi i starców pozwolą się rozproszyć, gdzie chcą. Wszystkie więc będą nieszczęścia nasze, bo łańcuch wozów z uchodźcami i ich manatkami ulegnie na gościńcu bombardowaniu samolotów, a gdy po dłuższej lub krótszej tułaczce resztki tych uchodźców wrócą do domu, to wszystko, czego zabrać nie zdążyli, będzie splądrowane, a może i budynki spalone. Dokąd wyjeżdżać, jeżeli i nas wyganiać będą. Niemcy podobno wskazują kierunek za Abele ku Łotwie, gdzie droga jest jeszcze wolna, ale co dalej! Jak tam i z czego żyć, a potem i tam front dotrze. Żeby wolno było wyjeżdżać pojedynczo, gdzie kto chce; większość, będąc zmuszona do wyjazdu, wyjechałaby gdzieś do bliskiego lasu, co zresztą także nie zawsze jest możliwe, bo po lasach siedzą przeważnie Niemcy. Mówiono zresztą, że kto wyjeżdża pojedynczo, tego Niemcy zawracają, a jeżeli mu się udało wyjechać, to Niemcy zabierają wszystko, co jest w jego domu, jak to zrobiono wczoraj z Władziem Šeškusem, który wyjechał do siostry za Abele, mimo że dom swój i zaścianek zostawił pod opieką Jana Tumënasa, który u niego zamieszkał. Moi parobcy i ekonom rzucili się zaraz w nocy do kopania jam i chowania rzeczy. Wszyscy są zdecydowani siedzieć na miejscu do ostatniej chwili i ewentualnie wyjechać tylko pod groźbą kary doraźnej. Ale wszystko mieć spakowane i gotowe do zabrania na wypadek wyjazdu, resztę zaś całą dobytku schowaną w ziemi. Były wprawdzie także głosy spokojniejsze, wskazujące na to, że taki rozkaz wyjazdu może dać tylko żandarmeria, podczas gdy seniunasowi zakomunikował to zwykły żołnierz; wskazywano też na to, że dotąd nigdzie w naszych stronach masowej przymusowej ewakuacji ludności nie było, a nawet tam, jak w Rogielach i Kurkleciach, kazano ludności ze względu na bezpośrednie działania wojenne wyjechać, pozwolono wyjeżdżać pojedynczo i dokąd kto chce w kierunku na tyły. Ostatecznie więc rozkaz taki, skierowany do Boniuszek, może minąć Bohdaniszki. W każdym razie, poszliśmy spać w naszym sklepie pod bardzo ciężkim wrażeniem. Taka ewakuacja – to byłaby dla nas ruina ostateczna, a może i śmierć dla dzieci, zwłaszcza dla malutkiej Żermeny. Dziś raniutko z Jadzią udaliśmy się do Čepasów do zaścianka, gdzie akurat wyszli Niemcy, którzy tam na skraju Gaju od kilku dni konsystowali i gdzie nic o tych strachach boniuskich nie wiedzano. Janek Čepas zaraz udał się do Boniuszek na zwiady. Okazało się, że tak strasznie nie jest. Na godzinę piątą nikt się tam na drogach rozstajnych nie zgromadził, żadni Niemcy nie pokazali się, niektórzy gospodarze wywieźli pojedynczo rzeczy i rodziny trochę

dalej do sąsiednich wiosek, wszakże starzy pozostali na straży w domu, niektórzy zaś wcale się nie ruszają i dotąd żadnych konsekwencji nie ma.

Zalokował się dziś u mnie w Bohdaniszkach jakiś niewielki sztab niemiecki – trzech oficerów i 20 żołnierzy z maszynami, telefonem etc. Wieści z frontu lokalne są złe dla Niemców: są oni poniekąd okrążeni, przecięta jest kolej za Rakiszkami i gościńcem subockim.

26 lipca, rok 1944, środa

Dziś doświadczyliśmy bombardowania z samolotów, jakiego dotąd nie mieliśmy. Wobec dzisiejszego nalotu igraszką były naloty i ataki samolotowe z ubiegłego piątku. Nalot dzisiejszy był skierowany właśnie na dwór Bohdaniszki. Sztab artylerii przeciwczołgowej, który od wczoraj we dworze zamieszkał, ma bardzo dużo maszyn – jakichś ciężarówek, motocykletek na jedną i dwie osoby, automobilów lekkich, kuchni olbrzymich. Trzej oficerowie sztabu z częścią maszyn zainstalowali się u mnie, kuchnia, inne części maszyn i personelu – we dworze Mieczkowskich. Niektóre maszyny były starannie zamaskowane w zaroślach lub pod gałęziami, ale niektóre, zwłaszcza u Mieczkowskich, w tej liczbie i kuchnia ogromna, były źle zamaskowane i widoczne. Awiacja sowiecka otrzymała oczywiście doniesienie o tym, że w Bohdaniszkach są maszyny i żołnierze, bo koło południa kilka samolotów sowieckich przyleciało prościutko do Bohdaniszek, tu zniżyło lot i zaczęło walić we dwór z karabinów maszynowych i bombami. Przeraźliwy łoskot napełnił powietrze, posypały się szyby, dom się zatrzęsł. Ja wtedy leżałem w sklepie. Skoczyłem na nogi. W sklepie była rodzina ekonoma Adamowicza i ja z Igą. Obejrzałem się, że ani Jadzi z Żermeną ani Kotuni nie ma. Biec po nie było niepodobna. Nalot z bombardowaniem trwał kilka minut. Gdy się uciszyło, zobaczyłem biegnącą zza rogu domu Jadzię z Żermeną na rękę. Jadzia w chwili rozpoczęcia nalotu nakrywała do stołu. Uciekać z domu do sklepu już nie mogła. Chowała się jeno z Żermeną za ściany i piece, naśladując kapitana niemieckiego, naczelnika oddziału, który się też chował. Zacząłem wołać Kotuńkę – przybiegła niebawem z wędłarni, gdzie się była ukryła z rodziną Novikasa. Część Moskali i żołnierzy niemieckich ukryła się w okopie, Fiodor z Żenią i Gieńką biegał naokoło wędłarni, chowając się za nią. Największa wściekłość nalotu była skierowana na dwór Mieczkowskich. Na trawniku wybuchło pięć bomb, powyrywane wielkie gałęzie z drzew, rozbita żniwiarka i ogromna kuchnia niemiecka (szofer, który leżał pod kołami kuchni, ocalał), zabity niedołężny Jan Malcius, żonaty z Błażewiczówną, który z rodziną Błażewiczów był się zainstalował w suterrenach Mieczkowskich i był właśnie wyniesiony na dwór i wygrzewał się na słońcu. Odłamami granatu ranni trzej Niemcy, z których jeden śmiertelnie – w brzuch. Odławkami poprzebijane gęsi, kaczk. W naszym dworze zabitych i rannych nie ma, bomb rzucono mniej, ale większa część szyb w domu i w oficynie wypadła, niektóre szyby z ramami okiennymi. Jedna bomba wybuchła w alei brzozonej za gumnem, ścięła kilka wierzchołków lub całych brzoź, dwie jabłonie, krategus. W spichrzu otworzyły się drzwi, które były zamknięte na zamek. Wrażenie bardzo silne. Mieszkańcy suterren Mieczkowskich rozbiegli się, chroniąc się do okopów w czystym polu.

Gdzie jest teraz wielki front ostatniej ofensywy sowieckiej, skierowanej na Prusy Wschodnie – tego tu dokładnie nie wiemy. Jeszcze przed tygodniem gadano u nas, że Sowiety dotarły do Wierzbołowa, ale odtąd nic nie słychać. Jak powiadają Niemcy – zajęte jest Wilno i Grodno, ale Kowno – nie zajęte, front przeto przechodzi gdzieś między Wilnem a Kownem. Czy ofensywa ta została już wstrzymana przed dotarciem do Prus Wschodnich, czy się wyszeptła po wielkim wysiłku i rozlała na odcinki klinków lokalnych, jak nasz, tego nie wiem. W najbliższej nam miejscowości linia frontu biegnie bodaj wzdłuż dolnego czy średniego biegu rzeczki Audry (Skuinè-Radysze-Kosie), a dalej na Lotwinieny i na kolej żelazną o 5 kilometrów za Rakiszkami.

27 lipca, rok 1944, czwartek

Sztab artylerii przeciwczołgowej, który konsystował jeden dzień w Bohdaniszkach i sprowadził na głowy nasze wczoraj nalot sowiecki, wczoraj przed wieczorem odjechał. Nie czuje się on już bezpieczny w miejscu, które zostało przez awiację nieprzyjacielską wytropione. Odjechali oni o kilka

kilometrów stąd, natomiast na noc Gaj napełnił się wojskiem niemieckim. Obecność sztabu, a więc i oficerów – bardzo grzecznych – osłaniała nas przed rabunkiem i kradzieżą koni lub inwentarza. Teraz jesteśmy na łasce włóczących się żołnierzy i opiece Boskiej. Zresztą dotąd nie ucierpieliśmy jeszcze dużo od rabunków żołnierzy. Najdotkliwsze było ukradzenie u nas w piątek dwóch koni, w ich liczbie najlepszej klaczy wyjazdowej naszej Gulbi. Wczoraj rano przyszli jacyś obcy żołnierze i zaczęli łopatami kopać świeże kartofle w ogrodzie naszym. Kartofle bardzo kwitnąć zaczynają, są małe. Nakopali parę worów pomimo protestu mego i płaczu Jadzi i odeszli. Ptactwo – kaczkę, kury – ginie. Czy wykradają Niemcy, czy chwytają po cichu swoi, których po dworze kręci się mnóstwo – trudno wiedzieć. Wynosili też żołnierze siano, jacyś inni z Gaju kosili koniczynę białą, którą zostawiliśmy na nasienie. Dotąd jeszcze jest siako tako, żadnej krowy, świń ani owcy u nas nie zabrano, ale jeżeli dłużej tak potrwa, to może być bardzo niedobrze. W ogóle gospodarstwo się rozprzęgło. Jedyne, co nasi parobcy, Izydor Kulys i Novikas, robią, to nakaszają i przywożą mieszanki na karmę koni i bydła. Bydło i konie się nie paszą, stoją schowane po chlewach i stodołach. Fiodor i stary Timofiej też wypełniają stałe roboty domowe, a kobiety Moskiewki – Gieńka, Dunia i Żenia – pomagają Jadzi, karmią świnię i pastwo, pieką chleb, lulają Żermę, słowem, są prawą ręką Jadzi. Gdyby ich zabrakło – byłoby zupełnie źle. W polu nic się nie robi już od przeszło tygodnia. Zaraz już nadejdą żniwa. Tymczasem byłoby bardzo pilne wywożenie nawozu na ugor i oranie ugoru pod jesienny siew. Ale nie można nic robić. Nie tylko dlatego, że parobcy nie chcą iść do pracy, powołując się zresztą na bardzo realne niebezpieczeństwo bombardowania lotniczego, ale też dlatego, że prace w polu z końmi groziłyby zabraniem koni przez włóczących się Niemców.

Z lokalnego frontu naszego jest mało wieści. Wiemy, że front jest gdzieś w Radyszach, że Kosie są na linii ostrzału, że pod Rakiszkami i za Rakiszkami w kierunku Poniemuńka są wysunięte placówki sowieckie, sięgające pono gdzieś pod Koźliszki. Niemcy twierdzą, że spod Rakiszek odparli Rosjan, że pozycje utrzymają i że nie dopuszczą ich do nas, natomiast Ukraińcy, Rosjanie, Uzbegy, Gruzini i inni, którzy są na służbie w wojsku niemieckim, twierdzą, że Niemcy się nie zdołają oprzeć. Powszechne też u ludności jest przekonanie, że Niemcy się cofną i że rychło przyjdą Sowiety. Posłuch znajduje każda wieść, która jest na niekorzyść Niemców. Dziś mamy dzień cichy. Czasem przelatuje jakiś samolot, ludzie się chowają czym prędzej do sklepów, ale bombardowania nie ma. Nawet kanonada z dział ustała. Mówią, że to cisza przed burzą. Rano był wielki dym na Abele. Powiadają, że to pożar we dworze abelskim. Ludzie mówią czy domyślają się, że to sami Niemcy podpalili Abele i stację kolejową, wysadzili w powietrze gorzelnię. Mówiono też przed paru dniami, że Niemcy zniszczyli cały tor kolejowy od Abel do Rakiszek. Dziś opowiadają, że podobno awiacja niemiecka odmówiła działania i jest nieczynna; powołują się w tym względzie na radio sowieckie, które miało rzekomo o tym donieść. Niemcy w rozmowach prywatnych wciąż wytykają Litwinom, że Litwa nie dała ludzi do wojska i że dlatego jej los jest kiepski, podczas gdy Łotysze i Estończycy stworzyli wojsko i nie dopuszczają Sowieców, sami zaś Niemcy za dużo mają w całej Europie pozycji do utrzymania, żeby zdołali wszystko i wszystkich obronić.

28 lipca, rok 1944, piątek

Wciąż to samo. Źle jest. Siedzimy pod samym frontem, który się jakby stabilizuje. Coraz to u nas coś ginie. Dziś rano Niemcy, którzy siedzą w Gaju, zabrali nam linijkę, jedyną znośną bryczkę, którą mieliśmy do wyjazdów. Pozostałe konie nasze jeszcze dotąd jakoś ustrześliśmy, ale coraz trudniej z tym. Konie chowamy po stodołach, na noc przeprowadzamy z miejsca na miejsce. Krów i świń jeszcze u nas nie poruszono. Z kar i wózka pozdejnowaliśmy dziś koła, żeby trudniej było Niemcom zabrać, ale nie domyśleliśmy się zrobić tego zawczasu z linijką, którą tylko byliśmy wywlekli do ogrodu pod aleją brzożową i zamaskowali. Przed Niemcami trudno jednak coś ukryć, bo przez cały dzień włóczą się i wszystko spostrzegają. Obecność dużej ilości Niemców w Gaju z kuchniami, które obsługują front i licznymi końmi jest dla nas bardzo szkodliwa. Kopia kartofle, koszą mieszankę, biorą siano i wciąż wisi nad nami groźba zaboru koni, krów, świń, owiec.

Gospodarstwo coraz bardziej się rujnuje, robót nie można wykonywać żadnych, żniwa na nosie, ugor nie orany, dom stoi pustką bez okien, żyjemy z dnia na dzień życiem rabunkowym. Biedna Jadzia zamęcza się w kuchni i przy Żermenie, pomagają jej tylko Moskiewki, zwłaszcza Gieńka, która jest bardzo dzielna i dobra. Kotuńka i Iga dziecżą bez dozoru. Co będzie dalej, jeżeli to tak potrwa i kiedy powietrze ochłodnie – trudno pomyśleć.

Kanonada dziś słaba, nalotów większych nie ma. Słysząc, że z Kurkleć artylerię wycofano, ale dokąd – nie wiadomo. Podobno na Rakiszki. Powiadają, że Niemcy odparli nieco Sowiety – podobno wyrzucili ich z Jużynt o 3 kilometry i z Komaj, choć od strony Komaj Sowiety już były podeszły do Warl za Kosiami. Daleką kanonadę słysząc dziś od czasu do czasu na zachodzie, północy i wschodzie. Jak się ta kanonada z dnia na dzień przekręca i którędy przebiega front naszego odcinka – trudno zrozumieć. Czasem zdaje się, że jesteśmy zupełnie odcięci, okrążeni dokoła z małym jeno wylotem na Dyneburg. Dziś gadali, że Sowiety są już w Subocz łoćewskim za Abelami. Jeżeli to prawda – to którędy tam przyszli? Propaganda na rzecz Sowietów jest wyraźna. Ludność, która wprawdzie strasznie się ich bała, dziś przeważnie czeka przedszego ich nadejścia, żeby ustały rabunki niemieckie i widmo głodu oraz desperacji w razie stabilizacji stanu obecnego. Ludzie mówią, że wojsko sowieckie zachowuje się porządnie, że Sowiety nic ludziom złego nie robią tam, gdzie są. Powiadają też, że armia sowiecka nie nazywa się już armią czerwoną, jeno armią Churchilla i Roosevelta (?). Słowem – tworzy się pewna legenda na korzyść Sowietów, którą podsyca rabunek niemiecki.

Mówią, że Sowiety docierają już do Poniewieża i że zajęły Bejsagołę. Podobno zbliżały się też do Kowna.

29 lipca, rok 1944, sobota

Wczoraj pod wieczór, już po napisaniu przeze mnie dziennika, mieliśmy znowu epizod samolotowy. Nad Bohdaniszkami przeleciało pięć samolotów sowieckich. Leciały ostrzeliwane przez artylerię zenitową niemiecką z Vitėnów, strzelając też same w dół z karabinów maszynowych. Ostrzelały Bohdaniszki i drogę do Gaju. Bomb nie rzuciły. Ostrzeliwania było ostre, ale nie umyło się do strasznego ataku ze środy. W tym ataku środowym oprócz bomb, rzuconych na trawnik Mieczkowskich, które zabiły Jana Malciusa, zraniły trzech żołnierzy, rozbiły kuchnię połową i grabie konne i poczyniły dużo innych strat w domu Mieczkowskich, i oprócz bomby w naszej alei brzożowej, której wybuch roztrzaskał kilka brzoż i uszkodził kilka jabłoni (powalił je albo ogołocił z liści i opalił po wierzchu), wywalił zamknięte na ciężki zamek wewnętrzny duże drzwi do spichrza, oraz innych szkód, jak wybicie szyb w oknach domu i oficyny – okazało się po dokładniejszym obejrzeniu dużo więcej śladów bomb, granatów i kul. Niewielka bomba ręczna przedziurawiła dach z dachówek na oficynie, inna także wybiła dziurę w dachu blaszanym domu mieszkalnego, w którym poza tym naliczyliśmy w blasze 12-14 dziurek od kul karabinu maszynowego. Kilkanaście też bomb spadło w końcu ogrodu przy drodze do Gaju i tamże za ogrodem w owsie i kartoflach. Gdyby dachy były u mnie słomiane, zapaliłyby się zapewne budynki.

Siedzimy teraz jak między młotem a kowadłem. Front się mniej więcej zatrzymał dokoła nas, nawet, zdaje się, trochę cofnął. Nie zbliżają się Sowiety, nie oddalają się też Niemcy. Tymczasem rabunki rosną, giną u ludzi konie, wykasza się mieszkanka, zabiera się siano, rychło zostaniemy bez poszoru, nie wiadomo, czym będzie karmić konie i krowy. Koszą też Niemcy owies zielony, zabierają drwa. O jagodach, o ptactwie nie ma co mówić. Wszystko się marnuje i jeżeli to potrwa, to gospodarstwo będzie zrujnowane. A jeżeli stan taki potrwa miesiąc i drugi, to przyjdą chłody i nie wiadomo będzie, gdzie i jak będzie się podziąć w domu bez szyb lub w sklepie bez pieca. A co gorsza – doczekać się możemy głodu albo przymusowego wygnania gdzieś, nie wiadomo już dokąd – chyba do Łotwy.

W gazecie rosyjskiej „Северное Слово”, wydawanej przez Niemców w Tallinie, w którą są zaopatrywani jeńcy rosyjscy służący w wojsku niemieckim (element najbardziej zdemoralizowany), z dnia 23 lipca – jest wiadomość o zamachu, który był dokonany na Führerze Adolfie Hitlerze.

Zamach był dokonany przez wybuch bomby. Sprawcami zamachu byli spiskowcy z wojennego otoczenia Hitlera z pułkownikiem hrabią Stauchenbergiem<sup>1</sup> (nie jestem pewny brzmienia tego nazwiska, ale coś podobnego) na czele. Hitler ocalał, odniósł tylko lekkie obrażenia ciała. Jest sporo rannych w najbliższym otoczeniu Führera. Widocznie myśl ratowania Niemiec od katastrofy przez poświęcenie Hitlera i oderwanie Niemiec od jego osoby w pewnych kołach Wehrmachtu kiełkuje. Z komunikatu wojennego niemieckiego z d. 23 lipca front zasadniczy sowiecko-niemiecki będzie mniej więcej po linii Lwów-Brześć Litewski-Białystok-Grodno-szosa Kowno-Dyneburg-Dyneburg-Jezioro Czudskie.

Gadano dziś, że Sowiety zajęły już Dyneburg. Gdyby tak było, to los naszego odcinka frontu już chyba przesądzony bez względu na to, czy lokalnie Niemcy odparli Sowiety na Jużynty i Komaje, czy nie. I zdaje się, że fakt zajęcia Dyneburga przez Sowiety potwierdza się. Spotkałem dziś inteligentnego Niemca, który mi wieść o zajęciu Dyneburga potwierdził i dopowiedział także, że podług dzisiejszego komunikatu wojennego, Sowiety zajęły także Szawle. Cóż tu więc gadać o utrzymaniu naszego odcinka. Na moje zapytanie, czy Sowiety tu przyjdą, Niemiec wręcz odpowiedział, że przyjdą, bo Niemcy będą musieli stąd uchodzić. Wnoszę, że w tygodniu najbliższym doczekamy się już Sowietów.

30 lipca, rok 1944, niedziela

Kontynuuję moją relację, którą chciałbym mieć ścisłą jak kronika.

Wczoraj już po napisaniu dziennika zaszły nowe fakty, które jeszcze bardziej poparły i zaakcentowały mój wniosek o rychłym ustąpieniu Niemców i ujściu Sowietów. Napisałem w dzienniku, że Sowietów spodziewam się już w nadchodzącym tygodniu, a oto zapewne mieć je będziemy tutaj już dzisiaj.

Wczoraj wieczorem o zmroku zaczęły jechać z Gaju furmanki niemieckie. Widoczne było, że Niemcy z Gaju się ewakuują, a było ich tam mnóstwo niezliczone – kuchnia, tabory, oddziały zapasowe itd. Niemcy jechali z Gaju na dwór. Siedziałem na jednym z mostków koło domu, czekając, czy nie ujrzę naszej linijki. Wachmistrz niemiecki był mi wczoraj obiecał solennie, że w razie wyjazdu z Gaju linijkę mi odda i zaręczył to słowem swoim. Zdecydowałem się pójść do Gaju i upominać się o linijkę. Poszedłem z Izydorem Kulysem i Vingaudasem Adamowiczem. Nie przeszkadzano nam wejść do Gaju, gdzie jeszcze byli Niemcy. Przez cały dzień chodzili tam ludzie, nosząc Niemcom mleko, jaja itp. na wymianę za cukier. Novikasowa za 10 kilo słoniny kupiła dziś od nich nawet konia. W lesie koło sosen zobaczyłem naszą linijkę, do której właśnie zaczęto zaprzęgać konia. Niemcy odmówili jednak kategorycznie zwrotu linijki, która im jest potrzebna do odjazdu; nawet za słoninę zwrócić jej nie chcieli. Natomiast żołnierz, z którym rozmawiałem i który mnie już znał, bo tytułował „Herr Professor”, zaproponował mi zamiast linijki... krowę. Ale zażądał za nią szynkę wędzoną. Była to cielica, dosyć ładna, tłusta, jeszcze nie mleczna. Stała przywiązana w lesie. Widocznie nie wiedzieli, co z nią robić. Gdy odmówiłem dania szynki – Niemiec oświadczył, że odda cielicę za kawałek słoniny i pokazał mi wielkość mniej więcej kilograma słoniny. Zgodziłem się. Przyprawiliśmy cielicę do domu, Jadzia odrąbała kawałek wędzonej łopatki, samą kość prawie, i cielicę zabraliśmy do chlewu. Będzie choćby na rzeź, jeżeli nas Sowiety na gospodarstwie nie zostawią. Niemiec, który mi „sprzedał” cielicę, powiedział mi, że oni się już wycofują i że już jutro będą tutaj Sowiety. Cofają się Niemcy planowo i w porządku, zabierając wszystko. Pędzą gościncem na Abele i na Rakiszki. Pod wrażeniem pustki i ciszy, jaka nastała, poszliśmy na spoczynek nocny do sklepu. Mężczyźni umówili się w nocy nie spać, dyżurować na ewentualność podpalenia zabudowań. Gdyśmy szli spać – wybuchła wielka łuna z ogniem na bliskim horyzoncie północnym. Były dwa ogniska wielkiego pożaru. Domyśliliśmy się, że to w Abelach, a jak dziś powiadają – pożar był w Abelach i w Antonoszu. W nocy obudził nas nagle wielki huk bliskich wystrzałów armatnich, które się gęsto powtarzały. W sklepie powstało poruszenie. Niebawem

<sup>1</sup> Pułkownik Claus von Stauffenberg.

wystrzały stały się rzadsze. Wyszedłem na dwór. Niedaleko, w kierunku, jak mi się zdawało, na Krewny, paliło się i rozlegał się gęsty suchy trzask wystrzałów jakby karabinowych – jakieś salwy nieustające, ewentualnie karabiny maszynowe. Sądziłem, że to bitwa i ataki. Jak się dziś dowiedzieliśmy – było to w lesie w Borówce, gdzie Niemcy byli urządzili skład amunicji. Nie mogąc wszystkiego zabrać przy cofaniu się i nie chcąc zostawiać – podminowali amunicję i wysadzili ją.

Dziś rano huczą armaty. Trudno rozeznąć, czy to strzelają Niemcy czy Sowiety. Są wieści, że Niemcy zatrzymali się z tej strony Abel i że tu przybyły oddziały łotewskie i litewskie do obrony przed Sowietami. Dokoła nas gościńcami na Boniuszki-Pokrewnie i na Kurklecie-Pokrewnie oraz Kurklecie-Abele płynie fala sowiecka. Mniejszymi drózkami wracają do Mełduć i Narkun uchodźcy, którzy byli stamtąd z powodu działań wojennych wygnani. Kiedy to piszę (godzina czwarta po obiedzie) – w Bohdaniszkach jeszcze żaden żołnierz sowiecki się nie pokazał. Ale już w Prapultini, w Boniuszkach i indziej widziano ich dużo. Podobno żołnierze sowieccy są bardzo młodzi, ubrani dosyć mizernie, zmęczeni. Ale z pewnością powodzenie dodaje im sił. Przychodzili gdzieś prosić o mleko, rozmawiali. Są grzeczni, chwalą, że w Sowietach będzie dobrze. Ludzie starają się im przypodobać, są usposobieni życzliwie. Niemało jest takich, co się boją Sowietów, ale ci siedzą cicho. Czekają, co i jak będzie, kiedy się już pokaże władza sowiecka. Dopiero wtedy można będzie sądzić miarodajnie o zachowaniu się Sowietów. Przewidują mobilizację mężczyzn, a poza tym nikt jeszcze dobrze nie wie, co i jak będzie. Ciekawie jest obserwować, jak się niektórzy ludzie szybko przystosowują i zamieniają barwę i jak niektórzy do niedawna wrogowie zajadli Sowietów i gorliwi patrioci-niepodległościowcy litewscy, nastawieni kategorycznie przeciwko Sowietom, z dnia na dzień w ostatnich czasach orientowali się coraz bardziej na rzecz Sowietów. Z tych, których miałem okazję obserwować, w tym względzie szczególnie się uwydatnili Konstanty Kulys i młody Witold Dirżys. Ten ostatni wprawdzie już za czasów sowieckich w latach 1940-1941 występował z agitacyjnymi mowami w duchu sowieckim, ale potem za czasów okupacji był ultra- i arcyantysowiecki, należący do samej elity młodzieży „patriotycznej” w duchu partyzantów z r. 1941 i rzeczników niepodległości; był też za czasów okupacji lokalnym agentem „kierownictwa gospodarczego”, ześrodkowanego w ręku „Kreiswirtschaftsführera” p. Bettingera w Rakiszkach. Teraz coraz bardziej i coraz widoczniej grawituje do orientacji prosowieckiej.

Wrócił dziś stary Ignacy Čepas, ojciec Jadzi, który wybrał się wczoraj pieszo do Spieczun do Boreišisów. Dotarł tam. Został tam jeszcze Niemców, ale już dziś wracał krajem niczym. Boreišisowie byli kilka dni poza domem, bo ze Spieczun ich wygnano ze względu na niebezpieczeństwo działań wojennych. Zabrano im parę krów, wszystkie świnie, dużo rzeczy, które zostawili w domu. Ale są żywi i zdrowi i budynki mają całe. Čepas przyniósł też stamtąd wiadomość, że Hektor Komorowski siedzi w Kowaliszkach, które były bombardowane. Ma kontakt z Boreišisami i usiłuje się przez nich dowiedzieć o Bohdaniszkach.

Czekamy ukazania się Sowietów. Kiedy to piszę – jeszcześmy ich w Bohdaniszkach nie widzieli.

31 lipca, rok 1944, poniedziałek

Dziś żyjemy pod znakiem armii sowieckiej, która napełnia Bohdaniszki. Już wczoraj – po napisaniu przeze mnie dziennika – koło godziny czwartej – ujrzelśmy pierwszych żołnierzy sowieckich. Pierwszego ujrzelśmy oficera, który podjechał konno do mostu przy domu od strony oficyny i zawołał: „Prawosławnyje!”. Ten okrzyk wezwania w ustach żołnierza armii komunistycznej zdziwił mnie i poza tym był niecisły, bo ludność nasza nie jest prawosławna. Do Novikasowej, która stała najbliżej i która spróbowała się odezwać nieśmiało, zawołał: „*Pocziemu tak pobliedniela choziajka? Nie bojsia nas!*”. Wyszedłem wtedy do niego ja. Spytał o wieś Knisę i o drogę do niej. Wskazałem mu ją. Pojechał tam z furmankami, które prowadził za sobą. To było pierwsze spotkanie się nasze z armią sowiecką. Niebawem nastąpiło drugie, które okazało się trwalsze, bo i dziś trwa przez dzień cały. Przyjechała grupa, złożona z dwóch oficerów i kilku żołnierzy (jeden z żołnierzy chodził ciągle z granatem ręcznym na pogotowiu) i zażądali pokazania

domu. Obejrzelili dokładnie wszystkie pokoje na dole i na górze. Jeden z oficerów, którzy oglądali, oświadczył, że potrzebują domu mego na kwaterę, mianowicie dla generałów, dla dwóch osób. Na krótko, ale trzeba. Nam zostawiają pokój jadalny z kuchnią, biorą zaś resztę trzech pokoi na dole i całą górę, nie wyłączając mojego gabinetu, w którym wszakże mogą pozostać moje rzeczy osobiste, które pozostaną nietknięte. Zaraz też zajęło dużo maszyn i wojska, poprowadzono telefon, rozpoczął się ruch, część maszyn skierowano do Gaju. Generał i pułkownik tylko dziś rano przyjechali. Po domu łążą zresztą także liczni żołnierze. W ogóle wszystko we dworze wydeptane, pełno ludzi. Konie i krowy nie giną, ale drobne rzeczy w domu giną bardzo: w biurku moim wyciągnięto wszystkie szuflady, zabrano mi cały do ostatniej sztuki zapas papierosów, których jeszcze miałem do 60 sztuk, zabrano koperty i różne drobne rzeczy, z pokoju sypialnego – różne sprzęty toaletowe i nawet barometr, z przedpokoju mój płaszcz płócienny od kurzu... Wyrzucone były wczoraj z biurka Jadzi wszystkie papiery ze wszystkich szuflad, które jakoś naprędce wsunęliśmy z powrotem i zamknęliśmy, czy to szukają czegoś i robią w ten sposób rewizję, czy też żołnierze na własną rękę robią nieporządek, żeby coś cenniejszego czy ciekawszego znaleźć i schwycić. Na ogół stosunek osobisty żołnierzy i oficerów do nas i do całej ludności jest grzeczny. Jutro, zdaje się, wojsko ma odejść dalej, a wtedy mamy się doczekać władzy cywilnej – zapewne LSSR. To będzie ciekawsze i miarodajniejsze. Oficerowie i żołnierze są bardzo pewni siebie, chwalą się zwycięstwami, głowa się im kręci od powodzeń. Bo też rzeczywiście mogą być z powodzeń dumni. Oto plon zdobyczy terytorialnych ostatnich paru dni. Sowiety zajęły Lwów, Brześć Litewski i Białystok, Przemyśl i Jarosław, w Polsce właściwej zajęły Chełm, Lublin, Garwolin, zbliżają się do Warszawy, w Litwie i Łotwie zajęli Poniewież, Szawle, Dyneburg, Rzeżycę. Sukcesy bajeczne. W Polsce w Chełmie ogłosił się rząd polski, protegowany przez Sowiety, w stylu naszego niegdyś „rządu ludowego” z roku 1940. Na Niemcy mają też przygotowany zawiązek organizacyjny rządu czy komitetu narodowego, który się z łatwością przetworzy w rząd, gdy Sowiety wkroczą na terytorium Prus. Przewidują możliwość, że po stworzeniu prosovietckiego rządu niemieckiego Sowiety wystąpią w charakterze protektorów nowych Niemiec „ludowych” i wezmą Niemców w obronę przeciwko Anglikom, jeżeli ci będą usiłowali dzielić i rozbijać Niemcy. Polityka sowiecka Stalina jest mądra i giętka. Mogą wygrać Niemcy przeciwko Anglii i Zachodowi i zbudować na tym większą potęgę własną. Potrafili w roku 1939-1940 bez wojny zdobyć na Polsce Białoruś Zachodnią i Ukrainę Zachodnią, potem kraje bałtyckie i Besarabię z Bukowiną, dziś prowadzą bardzo ciekawą grę z Polską i bodajże się gotują do gry z Niemcami.

Wczoraj wieczorem było jeszcze niespokojnie. Kiedy u nas stanęły Sowiety, to Niemcy byli jeszcze niedaleko – gdzieś w Rudelach i może w Abelach. Na linii Prapultini-Janówki-Apuszyny ustawiła się i zaczęła strzelać do Niemców artyleria sowiecka. Ludzie z Prapultini, z Janówki, z części Bohdaniszek usunęli się dalej. Grzmiały blisko nas działa i nie byliśmy pewni, czy i nam w nocy nie wypadnie usunąć się dalej. Kilkakrotnie w pobliżu nas – na gruntach Ignaca i Michasia Maksimów w Bohdaniszkach zachodnich – pękły granaty artylerii niemieckiej. Siedzieliśmy w sklepie, ale w nocy kanonada ucichła. Niemcy się cofnęli dalej i noc przeszła spokojnie. Dziś żadnej kanonady nie słyszeć.

1 sierpnia, rok 1944, wtorek

Cisza. Wojsko sowieckie wczoraj wieczorem i w nocy opuściło Bohdaniszki i pośpieszyło naprzód, ścigając Niemców, którzy szybko uchodzą na Łotwę. Właściwie frontu tutaj żadnego nie ma, bitwy są tylko krótkie między ariergardą cofających się Niemców i awangardą Sowietów, usiłujących podejść lub okrążyć przeciwnika. Odkąd Niemcy odeszli od nas, tzw. „front” przesunął się już o kilkadziesiąt kilometrów na północny zachód. Wczoraj mieliśmy w Bohdaniszkach wielki gwar wojska. Zazdrościliśmy zaściankom okolicznym, tonącym w ciszy. Dziś cisza kompletna ogarnęła i nas. Przenosimy się już ze sklepu do domu, bo w obecnym stadium fala wojny przez nas się już przetoczyła i lokalnie wojna dla nas skończona. Teraz będziemy już tylko obserwować, co dalej. Wypadki wojenne na wielkim froncie toczą się już z zawrotną szybkością. W Polsce Sowiety

są na drogach do Krakowa i zbliżają się do Warszawy; podług wczorajszego komunikatu radiowego sowieckiego wojska sowieckie zajęły Janów i Kormielawę pod samym Kownem, zajęły też Mariampol, w Kurlandii zajęta Mitawa. Przez to samo prawie całkowicie zostały już odcięte wojska niemieckie, działające w Łotwie za Dźwiną i w Estonii. Pozostanie im tylko droga morska odwrotu. Do granicy Prus Wschodnich pozostało Sowietom 45 kilometrów. W tym tempie za kilka dni granica ta zostanie osiągnięta. Nastanie moment krytyczny. Jeżeli inwazja sowiecka do Prus Wschodnich rozpocznie się, to chyba Hitler upadnie. Ostatni spisek generalski na Hitlera jeszcze został stłumiony we krwi, ale korzenie jego są głębokie i inwazja Prus Wschodnich musi spisek ten odrodzić i dać mu siłę żywiołową. Sowiety pójda na Prusy ze starannie przygotowanym rządem niemieckim, który pójdzie ręką w rękę z Sowietami. Sądzę, że powstaje nowa potężna siła przeciwko Anglii, jaką też zapowiadają wypadki w Polsce. Czy to jest świadomie i celowo wymierzone przeciwko Anglii – to kwestia, ale że Sowiety zręcznie organizują swoje pozycje polityczne w Polsce i w Niemczech, które ewentualnie mogą być przez nie skierowane przeciwko pretensjom Anglii i Ameryki – to zdaje mi się faktem. *Qui vivra – verra*. Nie mogłem dotąd zaobserwować, czy prawdą jest to, co u nas twierdzono, jakoby Sowiety ulegały dyrektywom Anglii i Ameryki. Co prawda pojedynczy żołnierze sowieccy podobno wypowiadali się w tym duchu po zaściankach w rozmowach prywatnych z ludnością, ale tylko na cztery oczy (tak mi opowiadano, ale sam tego od nikogo z nich nie słyszałem), jakoby władza teraz jest nie Stalina, lecz rozkazów anglo-amerykańskich, ale nie bardzo to się wyczuwa. Ton prasy sowieckiej jest bardzo wyniosły, bezwzględnie przepojony zwycięstwem własnym, nie wyczuwa się żadnego podporządkowania życzeniom Anglii czy Ameryki. W wojsku sowieckim, wśród oficerów, generałów i żołnierzy – ogromna pewność siebie, duma zwycięstwa, nawet pewien zawrót głowy od nadmiaru powodzeń, poczucie wielkości Anglii i Ameryki nawet się nie wspomina, armii sowieckiej towarzyszą młode kobiety komsomołki i komunistki, pełne entuzjazmu, naiwne, zachwycone, płonące ogniem propagandy i wiary. Jedną z nich poznałem bliżej – śliczna duchowo dziewczyna, dobra i szlachetna, entuzjastka; czytała mi gazety sowieckie, biorąc każde słowo za ewangelię, zachwycona jak kapłanka. Jest to jednak wielka siła moralna. Wojsko sowieckie robi wrażenie nienajgorsze. Żołnierze i oficerowie są na ogół grzeczni, choć kultury nie nazbyt wysokiej. Mówiono, że są to tylko albo dzieci, albo starcy. Nieprawda. Wojsko jest liczniejsze od niemieckiego, ludzie silni i zdrowi, tylko ubranie liche i – może na razie – źle dokarmiane. Nie mają oni żadnej kuchni polowej – przynajmniej nie mieli tu w Bohdaniszkach. Gotują każdy sobie albo wcale nie gotują. Może żywią się konserwami. Rabunków wcale nie czynią, nie chwytają koni jak Niemcy, są pod tym względem dyscyplinowani, ale po cichu kradną stale; co gdzie źle położone – to od razu ginie. Szukają po szufladach, po stołach, urzędzie. Zginęła nam w spichrzu uprzęż cała, zginął rower Novikasa i kosa tegoż i dużo, dużo rzeczy moich.

Wczoraj przyszedł pieszo Michaś Mieczkowski, którego wypadki zaskoczyły w Wilnie. W kilka dni po zajęciu Wilna przez Sowiety wyszedł na Święciany, Ucianę, Jużynty. Posuwał się za frontem sowieckim, pod Jużyntami czekał dłużej, wreszcie dotarł. Powiada, że przeszło połowa Wilna jest zniszczona. Do Wilna jeszcze przed Sowietami była się wdarła partyzantka polska, ale została okrutnie przez Niemców zdziesiątkowana. Niemcy, już okrążeni przez Sowiety, trzymali się w Wilnie długo, walki toczyły się w mieście. Wreszcie znaczna część załogi niemieckiej wydarła się z miasta i przebiła przez pierścień, do niewoli dostało się bardzo niewielu Niemców. Partyzantka polska Wileńszczyzny połączyła się ostatecznie z Sowietami i pomaszerowała do Polski. W Wilnie sytuacja głodowa. Chleba nie ma, komunikacja ze wsią zamknięta, za bochenek chleba żądają 5 rubli złotych! O Andrzeju nic Michaś nie wie. Miał Andrzej wyjść z Wilna.

Po przejściu czołowych oddziałów wojsk sowieckich będziemy czekali teraz ukazania się władzy cywilnej. To będzie moment najbardziej miarodajny. Ludzie czekają mobilizacji mężczyzn, ewentualnych represji na partyzantów z roku 1941, na tych, co służyli w policji, co byli na służbie niemieckiej. Wielu ludzi drży o siebie. Niektórzy znikli z Niemcami, ale niewielu. Niektórzy wyczekują i nie nocują w domu. Takich, co się boją, jest wielu.

2 sierpnia, rok 1944, środa

Po dziesięciu nocach przespanych w sklepie dziś wreszcie spaliśmy po raz pierwszy w domu. Dom pusty, w drzwiach nie ma kluczy, większość okien bez szyb, meble byle jak przestawione. Przyjechał wczoraj wieczorem do Mieczkowskich Hektor Komorowski. Zaszedł też do nas. W Kowaliszkach miał Niemców, potem Sowiety. Stały tam nawet działa niemieckie wielkiego kalibru, ale jakoś szczęśliwie Kowaliszki bombardowane nie były; raz tylko był niewielki nalot sowiecki, rzucono pięć bomb i na tym się skończyło. Konie, których miał kilkanaście, prawie wszystkie Niemcy pochwytili, pozostały zaledwie dwa. Tymczasem siedzi z rodziną w Kowaliszkach i czeka, co będzie dalej.

Słysząc, że w Krewnach już się utworzyła miejscowa władza cywilna – zapewne komitet wykonawczy. Aresztują tam byłych partyzantów litewskich z roku 1941 i seniunasów. U nas jeszcze władza cywilna się nie pokazała. Powiadają, że na czele władzy lokalnej w naszej okolicy będzie młody Jodelė, syn Jana spod Staczerag. Był on „komjaunolem” (członkiem Związku Młodzieży Komunistycznej) w roku 1940-1941. Ludzie czekają mobilizacji, aresztowań i pierwszych zarządzeń władzy cywilnej. Słysząc, że kilku byłych partyzantów z r. 1941 z naszej okolicy – Baltrukėnas, Malcius z Rukiel, Laucius z Kurkleć – uciekło z Niemcami. Inni, którzy nie uciekli z Niemcami, ukrywają się w lasach.

Roboty polowe u mnie jeszcze nie wznowione na dobre. Zaczął pracować tylko Vingandas Adamowicz i trochę Fiodor. Józef Malcius i Helena Malcówna mają się stawić jutro, boją się bowiem, że mogą być karania za uchylanie się od roboty. Parobcy Novikas i Izidor Kulys są dziś w lesie. Poszli tam narąbać i nawieźć dla siebie opału, żeby mieć siaki taki zapas, gdyż przewiduje się rychło odebranie lasów prywatnych. Izidor wczoraj oborywał kartofle, ale tylko swoje, Novikas zaś próbował wczoraj wyprowadzić do stron rodzinnych żony pod Aleksandrówkę konia, którego nabył od Niemców za 10 kilo słoniny. Nie dojechał tam jednak i wrócił z koniem, okazało się bowiem, że żołnierze sowieccy, którzy maszerują gościńcem z Jezioros do Rakiszek, w promieniu tego gościńca rekrutują wszystkie konie i pędzą je na podwozy. Dwukrotnie byli już zabrali konia od Novikasa, ale udało mu się go odebrać za samogon, który na ten cel dostał od okolicznych gospodarzy znajomych.

Mówią, że podług ostatnich wieści walki toczą się na ulicach Kowna. Mariampol i Wyłkowyszki są podobno zajęte. Rano dziś było trochę słysząc bardzo odległą kanonadę. Pod wieczór dziś mówią, że Kowno już jest zajęte i że gdzieś w okolicach Mitawy i Rygi wojska sowieckie dotarły do Bałtyku. W kierunku na Prusy Wschodnie zajęte są Pilwiszki. Na naszym najbliższym odcinku zajęte jest Pojodupie.

W Bohdaniszkach u Mieczkowskich siedzi jeszcze mała łącznikowa grupa telefonistów sowieckich.

Ludność z pewnym niepokojem wyczekuje zarządzeń nowej władzy cywilnej, która metodą sowiecką będzie funkcjonowała przez organy lokalne. Powiadają, że prezesem komitetu wykonawczego gminy abelskiej (u nas nazywają go popularnie viršaitisem) będzie ten sam Bagdonas, który pełnił te czynności za czasów sowieckich w latach 1940-1941 i który podobno już obejmuje urządowanie. Powiadają też, że w Abelach ukazali się już funkcjonariusze NKVD.

3 sierpnia, rok 1944, czwartek

Nic nowego. Nie doczekaliśmy się jeszcze żadnych zarządzeń władzy cywilnej, chociaż słyszymy, że w Abelach władza lokalna na naszą gminę już się utworzyła. Słyszałem dziś, chociaż nie bardzo temu wierzę, że prezesem komitetu na gminę został Tupalski, który miał sklepik prywatny w Abelach, jeden z Tupalskich z Kront. Ruchliwy to i dzielny człowiek, ale nie słyszałem nigdy, żeby miał cokolwiek wspólnego z komunistami, wątpię zaś, aby na czołowe stanowisko w gminie został wysunięty człowiek, który nie jest komunistą albo wyraźnym sympatykiem Sowietów. U nas tymczasem po dawnemu. Siedzimy z Jadzią w pustym domu bez szyb, nie wiemy, co będzie nasze, a co nie nasze i gdzie będziemy jutro. Robotnicy stanęli już do pracy, dziś skoszą koniczynę białą nasienną, w sobotę mamy rozpocząć żniwa żniwiarką Janka Čepasa. Nie wiem, jak sobie damy radę

we dworze z robotami polowymi. Roboty te przyjdą prędko jedne po drugich, sił roboczych ludzkich i końskich mało. Uchodźcy pracują jeszcze, ale się wyrwywają do odjazdu. Józef Malcius i Helena Malcówna, którzy dziś wrócili do dworu i stanęli do pracy, nie wiedzą, jakie będą ich warunki wynagrodzenia, bo teraz i my tego wiedzieć nie możemy. Wszystko będzie zależało teraz od zarządzeń władzy cywilnej, która jeszcze u nas funkcjonować nie zaczęła.

Pojechałem dziś do Pokrewnia do Augaitisa prosić o zmlecie żyta na chleb i o pożyczanie smarów do żniwiarki. Pocziwy Augaitis przyrzekł i jedno, i drugie. W Pokrewniu nic nie zniszczone, nie było tam żadnego bombardowania. Aż do cofnięcia się Niemców stał tam szpital wojskowy. W wiosce Bojorach podczas cofania się Niemców żandarmeria polowa niemiecka wystrzelała po zaściankach krowy i świnie.

4 sierpnia, rok 1944, piątek

Bez względu na to, czy oficerowie sowieccy pod względem kultury czy cywilizacji ustępują Niemcom, muszę przyznać, że zachowują się oni na ogół porządnie i są ludzcy. Wnoszę to na podstawie kontaktu osobistego, jaki w tym tygodniu wciąż z nimi miałem. Nie sądzę, żeby ci, których spotkałem, należeli do wyjątków. Wszyscy są usposobieni bardzo kategorycznie przeciwko wszelkim ekscesom, gwałtom, rabunkom, okrucieństwom, krzywdzie. Nie wiem, jak będzie, gdy się pokażą tak zwani NKWD-yści, ale w armii szeregowej sowieckiej panuje tendencja wielkiego umiarkowania w stosunku do ludności cywilnej. Zwłaszcza wśród oficerów. Co do żołnierzy – to wypadków rabunku jest mało, znacznie mniej, niż u Niemców, a jeżeli są, to tylko wtedy, gdy są oni sami. Rabować otwarcie boją się. Natomiast drobnych kradzieży – bardzo wiele. Jeżeli coś źle leży – to zaraz ginie. Tak żołnierze, jak oficerowie sowieccy namiętnie piją. Wódkę, samogon – łowią chciwie i za samogon można u nich dostać dużo, choć, co prawda, są bardzo biedni i mało co mają. O ile Niemcy są łakomi na słoninę i jaja, o tyle żołnierze sowieccy są łakomi na wódkę (samogon). Nie ma dla nich, zdaje się, większego szczęścia, jak pić i upić się.

Jestem niezdrowy. Formuje mi się ogromny wrzód na samym lewym łokciu, na jego stronie zewnętrznej. Jest już ogromny guz, cały łokieć mocno wybrzękły, ale choć to już jest od kilku dni – nie ma jeszcze główki wrzodu, w której mieści się jego jądro - ścierzeń. Dlatego gotów byłem myśleć, że to nie wrzód, jeno może róża. Ponieważ na różę medycyna nie ma pono lekarstwa i jedyny środek na różę – to zamawianie jej, więc chciałem już, żeby Elwira, która zamawiać umie, zamówiła ją. Ale Elwira twierdzi, że to nie róża, jeno właśnie wrzód. Smaruje mi więc go Jadzia ichtiolem i obwiązuje, ale jakoś nie ma postępu. Boli mię to i cały czuję się źle. Dużo leżę we dnie.

Zdaje się, że prezesem komitetu wykonawczego w Abelach, czyli mówiąc popularnie – viršaitisem, może czasowym, został wyznaczony czy „wybrany” nie Tupalski, jak u nas gadano wczoraj, jeno Pupielis, który był ostatnio kierownikiem kooperatywy. Zdaje się – niezły to człowiek, uczciwy i z sensem. Inne wersje podawały, że do komitetu wykonawczego weszło bardzo dużo starowierów lokalnych i że prezesem został też starowier. To by było gorsze, bo starowierzy są elementem obcym, niechętnym Litwie i Litwinom. Że dużo ich wejdzie do urzędów lokalnych sowieckich – to pewne, bo są oni wszyscy pod względem sowieckim „*plus papistes que la Pape*”.

Mówią, że bracia Białonożki, którzy byli aresztowani jako byli partyzanci litewscy z roku 1941, zostali wypuszczeni. Natomiast słysząc, że aresztowany został Linartas, który partyzantem nie był, ale był wiceviršaitisem w Abelach i bardzo gorliwie oddawał Niemcom normę rekwizycyjną – oddawał ją prawie podwójnie i pod tym względem trzymał prym w gminie. Miał może też inne „grzeszki” ze stanowiska sowieckiego na sumieniu.

5 sierpniu, rok 1944, sobota

Niespodzianie w nocy znów odezwała się kanonada, której od kilku dni już nie słyszeliśmy. Byliśmy pewni, że front odbiegł od nas daleko w głąb Łotwy i w tym także duchu usposabiali nas oficerowie i żołnierze sowieccy. Aż tu nagle w nocy zagrzmiały działa. Wprawdzie nie bardzo blisko, ale bądź co bądź tak, że gdzieś tam trzęsły się szyby. I potem też rano aż do tej pory, kiedy

to piszę (koło południa), kanonada wciąż się odzywa, czasem bliżej, czasem dalej, chwilami bardzo gęsto. Ludzie zaczynają się trochę niepokoić. Jedni boją się powrotu Niemców, inni może by tego nawet pragnęli, ale przede wszystkim boją się wznowienia działań wojennych, których już raz doświadczyliśmy, a więc zniszczenia tego, co jeszcze zniszczone nie jest. Boją się pożarów, boją się straty dobytku, wypędzenia, wywożenia, bombardowania, siedzenia po sklepach itd. Wszyscy mają już wojny dosyć. Co oznacza ta kanonada – dobrze nie wiemy. Żołnierze sowieccy zapewniają, że front jest odległy od nas o 60 kilometrów, że Niemcy znowu odparci zostali. Ale kanonada trwa. Najprawdopodobniejsza jest ta wersja, która mówi, że Niemcy, którzy w sile pono 27 dywizji na Łotwie i Estonii są odcięci od Niemiec i mają jedyną drogę ucieczki z tego ślepego worku, w którym ich zamknięto, morzem – usiłują się przebić przez pierścień oblężenia i próbują, którędy udałoby się im przebić, przełamując Sowiety. Mogą to próbować w każdym miejscu – od naszych okolic aż do Bałtyku między Mitawą a Rygą, mogą dla zmylenia czujności Sowietów i dla przeszkodzenia skupieniu sił sowieckich w jednym miejscu uderzać to tu, to tam, aby się potem szybko w którymś punkcie przebić. Być na drodze takiego przebijania się większych sił niemieckich – byłoby oczywiście ciężko i strasznie. Kanonada, którą słyszymy, dochodzi nas od północy i północnego zachodu. W gazetach sowieckich, otrzymanych wczoraj, nowin wojennych z litewskiego odcinka mało.

Po obiedzie kanonady już nie było słychać.

Rozpoczęto u nas żniwa. Koszono żyto żniwiarką Janka Čepasa. Po obiedzie przyszło dwóch żołnierzy sowieckich, którzy prosili dla armii sowieckich kartofli, owcę i wóz. Daliśmy nakopać świeżej kartofli i daliśmy świnkę. Wóz ocalał.

6 sierpnia, rok 1944, niedziela

W nocy i dziś we dnie kanonadę trochę było słychać, ale bardzo daleką i rzadko. Wczoraj do Abel wezwani byli wszyscy seniunai gminy abelskiej, ci sami, co byli ostatnio za okupacji niemieckiej. Kazano im nadal spełniać swoje obowiązki. Prowizorycznie zmiany nie ma. Nasz seniunas, który się trochę ukrywał, nie wiedząc, czy nie będzie jakichś represji, nie był wczoraj na tym zebraniu seniunasów, ale gdy się dowiedział, że nic złego tam nie zaszło, dziś sam pojechał i zgłosił się do gminy. Pod wieczór zwołuje on dziś zgromadzenie seniunii. Ogłosi jakieś zarządzenie rekwizycyjne nowej władzy.

Po obiedzie przyszło do mnie dwóch ludzi; jeden – żołnierz sowiecki, rodem Tadżyk, drugi – widocznie miejscowy starowieć młody, rodzaj partyzanta, uzbrojony, z granatem ręcznym, mówi po litewsku, ale chętnie przechodzi na rosyjski. Spytał, czy mam broń i zażądał oddania tejże. Odrzekłem, że żadnej broni nie mam. Bóg mi świadkiem, że od roku 1940 nie mam broni. Powiada, że mu mówiono, że mam. Zresztą rewizji nie robił. Zażądał furmanki do Abel; dałbym konia, ale nie mam człowieka na furmankę, bo nikt z parobków nie zechce pojechać. Ponieważ szli do Dirżysa – powiedziałem, że może wezmą na furmankę Dirżysa z moim koniem. Zapytywali o Witolda Dirżysa. Zdaje się, że młodego Witolda Dirżysa nie zastali, a na furmankę pojechał z nimi stary Kazimierz Dirżys. Młody starowieć mówił, że mają oni ze sto ludzi aresztowanych, których pędzą do Abel. Zdaje się jednak, że skłamał. Nikt nigdzie gromady aresztowanych nie widział.

W ogóle o aresztach i represjach nie słychać. Mówiono o kilku aresztowanych, których zdaje się uwolniono po zbadaniu (bracia Białonóżki). Nie potwierdza się też wczorajsze aresztowanie Linartasa. Podobno tylko szukano u niego broni i trochę męczono i straszono, chcąc zmusić do wydania broni, ale Linartas broni czy nie miał, czy nie przyznał się. Podobno też dręczono jedynego z Kieliaśiów, u którego także broni szukano.

Wieczorem odbyło się zebranie seniunii. Okazuje się, że władza wojskowa zażądała od gminy dostarczenia zboża, mięsa, masła i jaj dla armii. Ma to być dostarczone do dworu Pokrewnia w ciągu kilku dni. Na naszą seniunię norma rozkładu tej rekwizycji ogłoszona następująca. Gospodarstwa do 5 ha nic nie dają. Wszystkie inne gospodarstwa dają w stosunku do wysokości podatku ziemskiego, opłacanego za okupacji niemieckiej. Od 1 marki tego podatku trzeba dać po 3 kg zboża, po 250

gramów mięsa żywej wagi, po 13 gramów masła i od 25 marek podatku po 1 jaj. Na mnie wypadłoby  $\pm$  12 cetnarów zboża, 50 kilogramów mięsa, 2  $\frac{1}{2}$  kilo masła i 8 jaj. Jaj nie mamy wcale, masła przez kilka dni tyle się nie nabiera, zboże mam tylko na polu z nowego plonu, który jeszcze nie jest sprzątnięty, na rzecz mięsa może się da wliczyć tę świnkę, którą wczoraj dałem na potrzeby armii. Nie wiadomo, czy można zamiast zboża, jaj i masła dać mięso; w takim razie dalibyśmy cielicę, którą ostatniego dnia od Niemców nabyliśmy. Mam zamiar pojechać jutro do Pokrewnia i dowiedzieć się u pułkownika sowieckiego, który tym kieruje i tam mieszka, o możliwości zamiany. W ogóle z tą rekwizycją doraźną coś jest nie w porządku. Seniunas powiada, że na naszą seniunię nałożono tonę zboża; tymczasem podług normy rozkładu na gospodarstwa od samego mnie i Mieczkowskich wypada zboża więcej niż tona. Dziś zażądano tyle, za tydzień zażądają znowu, potem znowu, wyczerpią całe zboże, a na koniec, kiedy zabraknie, powiedzą, że się sabotuje i wypędzą z gospodarstwa. Wszystko być może. Sytuacja zapowiada się trudna.

7 sierpnia, rok 1944, poniedziałek

Po obiedzie jeździłem do Pokrewnia, gdzie u Augaitisa rezyduje oficer gospodarczy, który zarządził w gminie rekwizycję zboża, mięsa, masła i jaj na potrzeby armii. Chodziło mi głównie o to, czy można zamienić zboże na mięso, bo na razie zboża ze świeżego plonu do dnia 10 sierpnia mieć nie będę. Oficer gospodarczy oświadczył, że dotąd żadnych instrukcji co do możliwości zamiany jednego artykułu na inny nie ma i dowie się o tym dopiero jutro u swojej zwierzchności, niech więc dostarczę na razie moją normę mięsa i masła, a co do normy zboża, to za parę dni sam do mnie przyjedzie i udzieli mi wskazówki. Co do złożenia przeze mnie kartki („rozpiska”) o daniu przeze mnie na potrzeby armii czerwonej – świnki 50-kilogramowej, którą to kartkę wydał mi pozawczoraj niejaki żołnierz, który przyszedł rekwirować i któremu dałem świnkę, żeby nie dać ponadto kar, to oficer gospodarczy uprzedził mnie, że taka kartka nie będzie przyjęta w poczet normy obecnie zażądanej, bo tacy rekwirujący na własną rękę żołnierze działają nielegalnie i wydane przez nich kartki nie mają waloru prawnego, a jeszcze oni sami mogą być za to karani i rozstrzelani; najlepiej więc nic takim nie dawać, a słuchać li tylko nakazów, dotyczących rekwizycji zorganizowanej. Ba, łatwo to powiedzieć, ale niełatwo wykonać, gdy ten, który żąda, argumentuje bronią, a odwołać się na miejscu nie ma do kogo.

Dziś dzień nowinek i pogłosek. Nowinki nie są wesołe. Słysząc o wzmagających się aresztowaniach, dokonywanych przez partyzantów z niedawnych band leśnych. Ludzie mówią, że teraz nadeszła chwila, kiedy działają swobodnie partyzanci leśni, po czym dopiero za tydzień czy dwa można się spodziewać ustalenia władzy mocnej i wyraźnej. Już u Augaitisa słyszałem, że aresztowany został i wywieziony ze swego zaścianka nasz seniunas Kišunas. W Bohdaniszkach mi to potwierdzono. Kišunas na razie się ukrywał, ale gdy wezwano dotychczasowych seniunasów do pełnienia obowiązków – poczuł się pewniejszy i zaczął wczoraj i dziś urzędować. I oto dziś przyszli doń partyzanci, aresztowali i powieźli do Abel. Słysząc, że aresztowali też Andrijewskiego z Boniuszek i Gruodisa z synami z Vytėnów. Powiadają też, że bracia Białonóżki, którzy byli aresztowani jako byli partyzanci litewscy z r. 1941, nie zostali uwolnieni, jak to mówiono. Podobno zaraz po aresztowaniu naszego seniunasa przyniesiono do niego jako seniunasa rozkaz o mobilizacji wszystkich mężczyzn od lat 17 do lat 50. To zarządzenie wywoła wielkie poruszenie. To jak dmuchnąć w ul. Ciekawa rzecz, czy ludzie będą się wykręcać od mobilizacji i czy zdołają się tak wykręcać, jak się wykręcali podczas licznych mobilizacji niemieckich. Sądzę, że teraz byłoby to o wiele trudniej. Od kilku dni gadają, że były sekretarz gminy w Abelach za okupacji niemieckiej, Didžiokas, człowiek kulturalny i inteligentny, bardzo grzeczny i dorzeczny, którego wielka szkoda, został przez Niemców rozstrzelany, gdy się ukrywał w jakimś lesie za Abelami, a jak niektórzy twierdzą – był poprzednio okrutnie męczony – wylupiono mu oczy. Miało to być w związku ze znalezieniem broni (automatów) u Stočków, z którymi się Didžiokas ukrywał. Dwóch Stoczków, z których jeden był urzędnikiem gminy, rozstrzelano, a matkę Stoczkową i córkę Stoczkównę (zdaje

się – była ona także urzędniczką gminy) – Niemcy oblali benzyną i podpalili żywcem. Straszne okrucieństwo represji.

Są też pogłoski wojenno-polityczne, w których zapewne bardzo dużo fantazji. Co do frontu – powiadają, że Sowiety za Kownem posunęli się wzdłuż Niemna do Jurborku i stoją na granicy Prus Wschodnich. Skądinąd mówią, że Niemcy zgromadzili ogromne siły i zagrażają Sowiетom. Lokalnie mówią, że Sowiety w Narkunach rozpoczęli kopanie okopów. Największą sensacją jest jednak pogłoska o tym, że Niemcy zawarły pokój czy zawieszenie broni z Anglią i Ameryką i rzekomo uderzą wspólnie na Sowiety. Gadają też, że Turcja wypowiedziała wojnę Sowiетom, choć przed kilku dniami czytałem w gazecie sowieckiej, że Turcja zerwała stosunki dyplomatyczne z Niemcami. Z sukcesów sowieckich na froncie fińskim już przed paru dniami słyszałem, że Sowiety zajęły stolicę Finlandii – Helsinki.

Ludzie zwracają uwagę na to, że poważniejsi komuniści Litwini nie chcą się angażować do organów władzy. Ludzie ubolewają nad tym, bo przez to samo władzę biorą nieodpowiedzialne czynniki partyzantów leśnych i starowierzy. Może to się zmieni, gdy się utworzy władza nie doraźna, lecz stała.

8 sierpnia, rok 1944, wtorek

Seniunas nasz, Kišunas, o którego aresztowaniu w jego zaścianku i wywiezieniu do Abel wczoraj wspominałem, wrócił szczęśliwie do domu. W Abelach został zbadany i zaraz uwolniony. Nie przedstawiono mu żadnego oskarżenia ani zarzutu, jeno zadano szereg pytań w związku z jego czynnościami jako seniunasa za okupacji niemieckiej. Pytano np., czy to on musiał układać listy osób w seniunii, wyznaczanych do wywiezienia na roboty do Niemiec, na co seniunas odpowiedział przecząco. Słowem – po krótkiej indagacji, bez spisania nawet protokołu, został uwolniony i wrócił do domu, gdzie nadal pełni obowiązki seniunasa. Niektórych aresztowanych zaraz po krótkiej indagacji uwalniają, innych – zatrzymują. W Abelach podobno bardzo dużo spędzono ludzi aresztowanych. Byłych policjantów i byłych partyzantów z r. 1941 podobno nie uwalniają, ale wręcz nie słychać o żadnym wypadku rozstrzelania doraźnego.

Wspominałem wczoraj o rzekomym rozkazie mobilizacyjnym. Rozkazu takiego jeszcze nie ma, jeno zażądano od seniunasów sporządzenia spisów wszystkich mężczyzn w wieku od lat 18 do lat 50. Jest to zapewne przygotowanie do ewentualnej mobilizacji.

Dziś dużo się kręciło i zaglądało do mnie żołnierzy i oficerów. Zdaje się, że to byli przeważnie, a może wyłącznie, wojskowi z oddziałów NKWD. Chodzą oni, krążą, obchodzą robotników, gospodarzy okolicznych, uchodźców, rozpytując o stosunki, o ludzi, o stosunki z dworem, o nas. Zasięgają języka, szpiegują. Ze mną mówią niby życzliwie, dopytują się o moją profesurę, o stosunki z Niemcami, udzielają rady, żeby prędzej jechać do uniwersytetu itp. Są wścibscy i wszędzie pakują swoje trzy grosze. Ma się wrażenie, że ludzie w Sowietach nie należą do siebie i że kto chce – ten się w życie każdego wtrąca. Dla Europejczyka taki brak indywidualizmu i takie wywlekanie człowieka na widowisko publiczne jest przykre. Litwini, którzy są indywidualiści, nie znoszą tego.

Na froncie, zdaje się, zaciśnie, przynajmniej względne, jak bywa zwykle po wielkiej ofensywie. Gazet już od kilku dni nie miałem w ręku, z relacji zaś ustnych żołnierzy i oficerów sowieckich nic wyraźnego z frontu wschodniego wyrozumieć nie można. Jedni mówią, że Sowiety dotarły już do granicy Prus Wschodnich i nawet półgębkiem dodają, że gdzieś na terytorium Prus wkroczyli, inni – przeczą temu. Jedni mówią, że Warszawa jest w ręku Sowietów, inni – że nie. Nadmieniają też coś o sukcesach w okolicy Stanisławowa. Ale w ogóle jest, zdaje się, pewna stabilizacja czasowa. Stabilizacja jest bodaj i na naszym odcinku, w którym zdają się być dwa ogniska lokalne frontu – pod Ponedelem i za Łuksztami.

Gadają, że w Poniewieżu urzęduje już jakaś komisja anglo-amerykańska. Co to za komisja – trudno dociec. Z żołnierzy sowieckich jedni wręcz mówią, że Sowiety tak się zachowują w Litwie, jak Anglicy i Amerykanie zagrają, ale mówią to tylko na cztery oczy. Inni – zwłaszcza oficerowie, bagatelizują wpływy i pomoc anglo-amerykańską i w ogóle nie lubią mówić o jakiegokolwiek pomocy

amerykańskiej Sowietom. Osobiście nie sędzę, aby jakaś interwencja anglo-amerykańska była istotna w obecnej fazie wojny.

9 sierpnia, rok 1944, środa

Nienajlepiej jest ze zdrowiem moim. Nie mówię o tym wrzodzie na łokciu, który już pękł i, zdaje się, kończy sączyć materię. Od dłuższego czasu czuję coraz większe osłabienie ogólne, połączone, jak mi się zdaje, z osłabieniem funkcji serca. Od czasu do czasu biorę pigułki digitalis, których mały zapasik jest już na wyczerpaniu, ale skutek jest niewielki. Stan mój jest nieco podobny do stanu sprzed laty 10, aczkolwiek nie w ostatnim stadium ówczesnej choroby, ale na drodze do tego. Trudno mi chodzić, męczę się prędko i dostaję zadyszki, doświadczam pewnej apatii i często – senności. Jest skłonność do brzęknięcia nóg. Umrzeć bym się nie lękał, gdyby nie wzgląd na rodzinę moją, która się ewentualnie na mnie jednym oprzeć może. Szczególnie teraz, gdy pod rządami sowieckimi Bohdaniszki są zagrożone. Przed sobą mamy z Jadzią całe wychowanie i wykształcenie naszych biednych małych córeczek. Z niepokojem myślę o Jadzi i o córeczkach. Mam jeszcze nadzieję, że powrócę do uniwersytetu i to będzie ewentualnie jedyne, za co się jeszcze zaczepić zdołam.

Dziś mamy dzień spokojniejszy. Nie mamy wizyt żołnierzy i oficerów NKWD. Pogłoski są różne. Mobilizacja ma być zarządzona na razie niezupełna. Zabrzanych ma być podobno jeno parę roczników, a rejestrować się mają mężczyźni do 35 lat wieku. Powiadają, że mobilizacja już była zarządzona w Ucianie i że podobno nie stawiał się nikt, tak jak to za Niemców bywało. Ale kto wie, czy u Sowietów ujdzie to tak, jak uchodziło za Niemców. W tych dniach ma być mobilizacja w powiecie jezierskim, potem w rakiskim. Mówią też, że po wielkich lasach tworzą się skupienia partyzantów litewskich, którzy gdzieś za Łuksztami przyczynili wielkie straty Sowietom. Nie jestem pewny tych wieści. Mówią też, że siły niemieckie, okrążone w Łotwie, Estonii i skrawkach Litwy, są wielkie – 39 dywizji – i że niebezpieczeństwo przerwania się ich przez pierścień oblężniczy jest wielkie. Gdyby się to przewaliło przez nas, byłibyśmy radykalnie zniszczeni. Uchodźcy rosyjscy, którzy u nas goszczą od jesieni ubiegłej, po wkroczeniu Sowietów wyrrywają się na gwałt do domu. Dowiadują się, zabiegają, niecierpliwiają się. W ogóle podnieśli oni głowy i wyzbyli się pokory.

10 sierpnia, rok 1944, czwartek

Nasza słodka Żermena skończyła dziś pięć miesięcy życia. Jest ona słodyczą naszą, bo ileż jest miłsza od swoich dwóch starszych siostrzyczek – pięcioletniej Kotuni i czteroletniej Igi, które akurat są w wieku głupim psot niemądrych, brudu i rozlatania takiego, które zabija wszelką dyscyplinę i ścisłość. Zawierucha i rozprzężenie domowe zupełnie wykoleiło te dwie starsze dziewczynki. Ostatecznie nie jest tak źle z nimi, ale tymczasem są one w głupim i jakimś rozczochranym wieku. Żermena natomiast – to stateczność. Ma w obecnej chwili doskonałą nianię, Moskieweczkę 14-letnią z uchodźców, która jest od miesiąca i w czasie działań wojennych, kiedyś mieszkali w sklepie, była odeszła do rodziców do Janówki, a potem znów wróciła. Moskieweczka ta, która się sama przezwiała Stasią, sama jest jeszcze wielkim dzieckiem. Bardzo lubi Żermenę i bawi się z nią jak dziecko, toteż i Żermena bardzo się do niej przywiązała i nie kaprysi z nią. Moskieweczka „Stasia” jest zgrabna, ładnie zbudowana jasna blondynka, rezolutna, pogodna, bardzo naturalna, daleka wszelkich naleciałości politycznych, które teraz kielkują u uchodźców, odkąd tu przyszły Sowiety.

Żyto u nas skoszone maszyną Čepasa od wczoraj, ale jeszcze nie całe postawione. Mało jest u nas robotników: Novikas z Izydorem, uchodźca Fiodor i Józef albo Antoni Malcius. Z Novikasa teraz żaden robotnik, tylko demoralizuje innych. Dziś Novikas poszedł na robotę do Abel na stacji, Izidor woził do Pokrewnia cielicę na rekwizycję wojenną, Antoni Malcius i Fiodor z babami Moskiewkami stawiali żyto, a po obiedzie chciano już wozić, ale burza z deszczem przeszkodziła. Nie wyobrażam sobie, jak u nas dalej pójdą roboty w polu i jak damy radę. Szczególnie, jeżeli uchodźcy Moskale odjadą. Są oni już cali poruszeni do odlotu. Jeżeli odjadą, to w pierwszym rzędzie pozostaniemy bez pastuchów do bydła, co będzie katastrofalne. Nie będziemy też mieli kobiet do pracy w

gospodarstwie. Upadek i dezorganizacja gospodarstwa, jeżeli się wyrazi w niewykonaniu sprzętu zboża i zasiewów oziminy, może mieć dla nas skutki fatalne – Sowiety mogą nas wyrzucić z gospodarstwa i z majątku jako nie dających rady, o ile jeszcze nie policzą nam tego za sabotaż. Odwoływać się do władzy lokalnej na nic się nie zda, bo władza ta sama jest jeszcze niezupełnie zorganizowana, obca i oczywiście z góry usposobiona przeciwko właścicielom, zwłaszcza większym. Smutne perspektywy.

Miałem dziś numer „Prawdy” moskiewskiej. Już i rząd emigracyjny polski Mikołajczyka (następcy Sikorskiego) zabiega u Stalina. Mikołajczyk z Grabskim i Tadeuszem Römerem byli w Moskwie i mieli audiencję u Stalina. Nie chodzi już oczywiście o granice polsko-sowieckie i o ziemie wschodnie Polski (Białoruś Zachodnia i Ukraina Zachodnia), bo o tym Stalin i gadać nie chce, ale o udział tego rządu w administracji wyzwolonych ziem niewątpliwej i nie kwestionowanej Polski, w stosunku do których Sowiety uznają władzę Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Komitet Wyzwolenia i rząd narodowy polski londyński rywalizują, rozjemcą zaś jest Stalin. Marne są perspektywy Polski.

11 sierpnia, rok 1944, piątek

Rano znowu bardzo gęsta kanonada, ale już bardzo daleka, ledwie dosłyszalna. Od czasu do czasu głośniejsze wybuchy, ale te ostatnie pochodzą, jak się zdaje, od wysadzanych przez żołnierzy sowieckich min i granatów, pozostałych niewybuchłych z czasów walki. Uchodźcy Moskale, którzy rwą się do odjazdu i nie mogą się doczekać takowego, bardzo się nerwują, słysząc choćby najodleglejszą kanonadę. Boją się, żeby w jakikolwiek sposób nie wrócili Niemcy i znowu nie odcięli im powrotu do ojczyzny. Zdaje się jednak, że perspektyw na to nie ma żadnych. Gdyby jeszcze jakieś perspektywy na rzecz Niemców tutaj były, to chyba tylko na przebicie się ich przez pierścień oblężniczy, co groziłoby nam fatalnym zniszczeniem. Ale żeby udało się Niemcom, odcieć im w Łotwie i Estonii, przebić – to w ogóle wydaje się nieprawdopodobne.

Jak poprzednio mówili, że w Ucianie na wezwanie do mobilizacji nikt się z poborowych nie zgłosił, tak teraz mówią o takimże fiasku mobilizacyjnym w Antuzowie powiatu jezierskiego. Jeżeli tak dalej będzie – to taka sama abstynencja ujawni się zapewne i u nas. Przykład jest zaraźliwy. Ludzie czekają, co będzie dalej. Praktyka różnych mobilizacji i rejestracji za okupacji niemieckiej, które wszystkie chybiały na skutek oporu biernego ludności, nauczyła ludzi nie kwapić się i wyczekiwać. Czy jednak z Sowietami będzie to tak łatwo, jak było z Niemcami – wątpię. Pod tym względem Sowiety są radykalniejsze i egzekutywa jest u nich twardsza. Zresztą mówią, że Sowiety mobilizują się nie do wojska (przynajmniej na razie), jeno do robót, ale gdzieś w Rosji daleko.

Nawiedzają nas jeszcze żołnierze i oficerowie z oddziałów NKWD, ale rzadziej. W ogóle personel tych oddziałów jest bardziej agresywny od personelu oddziałów frontowych. Tu czuć agresję polityczną i społeczną. Personel jest młodszy, zwłaszcza oficerowie; każdy z tych oficerów rozmawia nie inaczej, niż stylem agitacji i propagandy, każdy przekonany o świętości swoich tez i nie znoszący najmniejszej opozycji, węszący zaś „wroga społecznego” dokoła. Szpiegują oni i zbierają informacje, szczególnie chętnie przez uchodźców Moskali. Pytają ich np. czy dobrze obchodzimy się z ludźmi, czy nie „biliśmy” robotników, czy pozwalamy robotnikom wchodzić do naszego domu itp. Pytania są często bardzo naiwne, świadczące, że te czynniki są pogrążone w uprzedzeniach i nie mają pojęcia o rzeczywistości społecznej naszej.

12 sierpnia, rok 1944, sobota

Wczoraj wieczorem wrócił do domu Andrzej Mieczkowski, którego ostatnie (lipcowe) wypadki wojenne zaskoczyły, jak również jego brata Michasia, w Wilnie. Michaś już od przeszło dni dziesięciu wrócił, posuwając się z Wilna też za frontem sowieckim, Andrzej zaś był pozostał w Wilnie dłużej, przebywał przeważnie w okolicy podmiejskiej pod Wilnem, zaglądając do miasta, a ostatecznie wyszedł w ten wtorek. Drogę odbył na Podbrodzie, Ucianę, Użpole, Komaje, Rakiszki. Trochę jechał autobusem z żołnierzami NKWD, częściowo pieszo, częściowo podwożony końmi.

Zmizerniał bardzo. Potwierdza, że Wilno jest w 2/3 częściach zniszczone, panuje tam głód formalny, ludzie, kto młodszy, uciekają z miasta. Nie ma żadnych jadalni, nie zarządzona żadna aprowizacja miasta, nie ma chleba. Kartofle należą do przedmiotów największego zbytku. Zdaje się, że moje i Reda mieszkanie wraz z rzeczami ocalało. Że okien nie ma – to jest najmniejsze. W Wilnie, zdaje się, w ogóle szyb już nie ma. Red był wysłał żonę z dziećmi wraz z teściową do Niemiec, a w ostatniej chwili sam jeszcze udał się na Warszawę sprawdzić dojechanie żony do Niemiec. Jechał do Warszawy na Lidę, ale był to już ostatni pociąg. Pociąg już przez Lidę na Warszawę iść nie mógł, bo droga okazała się przecięta przez Sowiety, pociąg zawrócono więc na Grodno, ale pod Grodnem pociąg trafił pod ostrzał samolotów sowieckich. Red został w pociągu raniony i trafił do szpitala w Grodnie, skąd pisał do Elizki Komorowskiej. W mieszkaniu w Wilnie zalokował, zdaje się, kogoś znajomego, któremu dał rzeczy pod opiekę. Tą drogą może ocalały nasze rzeczy, meble, moje książki, obrazy, portrety. O tym, żeby w Wilnie mógł zacząć funkcjonować uniwersytet, jakieś to sądzili, Andrzej powiada, że mowy o tym być nie może. Wilno jest rozbite, głodne, opustoszałe, nie może być ani profesury, ani studentów, ani nauki. Może dla reklamy Sowiety niby wznowią uniwersytet, ale to będzie tylko fikcja i pozory. Partyzantkę polską Wileńszczyzny, która w ostatniej chwili połączyła się z Sowietami, Sowiety podobno nie skierowali na front do Polski, jeno cofnęli na wschód – na Mińsk.

Byłem dziś u Augaitisa w Pokrewniu. Poszedłem tam pieszo. Prosiłem Augaitisa, żeby z zapasów zboża, które ma, pożyczył mi te 12 cetnarów, które mam oddać do rekwizycji obecnej, oddam mu zaś żyto ze świeżego plonu. Zgodził się chętnie. U Augaitisa we dworze prawdziwy kiermasz. Długi sznur furmanek z artykułami do rekwizycji – zbożem, owcami, masłem i jajami, drugi sznur furmanek do młynu. Ci sami dwaj oficerowie sowieccy, którzy kierują rekwizycją (uważa się to nie za rekwizycję, jeno za dobrowolną ofiarę na rzecz armii wyzwolenia), objęli też kierownictwo młyna. Augaitis miał zapas gazu, więc tym gazem puszczali w ruch młyn, który mieli całą siłą motorów, biorąc za mliwo opłatę w mące. Dopóki jest gaz, dopóty mieli, a potem zapewne młyn stanie albo będzie się zadawała ubogą siłą wodną, bo Sowiety w ogóle nic tu nie mają i niczego nie dowożą, a żyją tym, co tu znajdują. Właściwie nawet armia sowiecka nie ma ani kuchni, ani żadnego dowozu prowiantu i żyje li tylko konserwami amerykańskimi, a teraz dodatkowo tym, co tu na miejscu dostanie. O ile żołnierze niemieccy mieli wszystko – i papierosy, i tytoń, cygara, i cukier, i czekoladę, i wszelkie inne rzeczy, które zamieniali na słoninę i jaja, o tyle żołnierze sowieccy nie mają nic, nawet tytoniu. Proszą o chleb, o mleko itd. Aż dziwne, jak taka niezaopatrzona uboga armia może tak szybko i energicznie pędzić naprzód i zwyciężać. Nie ma ani zaprowiantowania, ani dobrego ubrania, ani żadnych zapasów. Oficerowie gospodarczy, którzy funkcjonują w Pokrewniu, z pięciu cetnarów żyta kazali sobie wypędzić samogonu i piją. Pijaństwo w Sowietach kwitnie. Słysząc o dużych partiach jeńców niemieckich, ledwo wlokących nogami z wyczerpania, bitych i słaniających się w pochodzie. Dwór w Pokrewniu jest pełny uzbrojonych partyzantów sowieckich, którzy tworzyli do niedawna bandy leśne, a teraz są czymś w rodzaju milicji. Jeden z nich, starowiec miejscowy ze Straw, poznał mnie i strasznie się ucieszył. Przed laty kilkunastu budował on z Sinicą podmurówkę mojego domu i most kamienny przy domu. Rozjaśnił się cały i był dla mnie niesłychanie serdeczny. Gdy się dowiedział, że przyszedłem z Bohdaniszek pieszo i że wracam pieszo, chciał mi gwałtem dać zarekwirowaną furmankę, żeby mnie odwieźć. Na moje perswazje, żeby tego nie robił, bo jestem prywatny człowiek i przyszedłem w prywatnym interesie, a gospodarz, którego zarekwiruje furmankę, będzie się słusznie gniewał, twierdził przekonywająco, że ja przecie jestem „taki człowiek!”, co znaczyło, że mnie bardzo cenił osobiście i że furmanka mi się należy. Ledwo się wykręciłem.

13 sierpnia, rok 1944, niedziela

Żyjemy pod znakiem mobilizacji, która już ogłoszona została. Przed kilku dniami nakazano seniunasom sporządzić spisy mężczyzn w wieku od lat 18 do 50 i spisy te zostały przez nich do gminy złożone. Wtedy nakazano im sporządzić dodatkowo spisy, mianowicie jeden – mężczyzn,

urodzonych w roku 1927 (17-letnich) i drugi mężczyźni uchodźców Moskali od 18 do 50 lat, a tymczasem wszystkim z poprzedniego spisu do lat 35 włącznie doręczane są imienne wezwania stawiania się do Rakiszek do komisji na rzecz mobilizacji, począwszy od poniedziałku. Oprócz tego rozwieszony jest ogólny rozkaz mobilizacyjny wszystkich do 35 lat; w rozkazie wskazane, że każdy obowiązany do mobilizacji powinien wziąć ze sobą żywności na dni 10, ubranie i przemianę bielizny. Seniunasi i ich pomocnicy, roznoszący wezwania, nie znajdują poborowych w domu, bo ludzie, nie zdecydowani jeszcze co do stawienia się czy uchylenia, nie chcą przyjmować wezwań i podpisać się o przyjęciu wezwania. Ludność cała jest bardzo poruszona. Czy mobilizacja będzie wykonana czy nie i jakie ewentualnie będą konsekwencje niestawienia się – to się dopiero waży. Wielu zapowiada, że się nie stawia, większość się waha jeszcze. Straszą, że w razie niestawienia się będą albo mogą być bezwzględne represje, łapanie poborowych, rozstrzeliwanie, wywożenie całych rodzin, albo nawet trawienie. Usposobienie jest paniczne. Spodziewają się, że zmobilizowanych gdzieś wywożą, że grozić im będzie głód... Dla bardzo wielu rodzin jest to kwestia prawie życia lub śmierci.

Zanotuję tu dwie wieści, które słyszałem wczoraj, ale za których prawdziwość ręczyć nie mogę, bo mogą to być bajki wyssane z pogłosek. Jedna – że pozawczoraj do Abel przysła z lasu jakaś banda uzbrojona, niby to żołnierzy czy jakichś partyzantów litewskich w mundurach niemieckich, która zażądała usunięcia się z Abel żołnierzy sowieckich, po czym uwolniła aresztowanych Litwinów (przeważnie partyzantów z roku 1941) i sama odeszła do lasu. Wieść ta wydaje mi się mało prawdopodobna. Druga wieść – że wczoraj miał być w Abelach jakiś Anglik, który miał tam przemawiać. Mówią, że na przyjęcie tego Anglika była w Abelach zrobiona brama triumfalna i wianki. Czy istotnie był ten Anglik, czy przemawiał i co mówił – nie wiem.

Jeździliśmy dziś z Jadzią do Audry do Petrusiów. Cała ich rodzina zebrała się w Audrze. Audra dużo ucierpiała od działań wojennych. Żołnierze NKWD-yści wciąż się kręcą po okolicy. Zachodzą po dwóch, po trzech, po czterech. Niektórzy są bardzo grzeczni i przyjemni, ale większość, zwłaszcza oficerowie w ich liczbie, uprawiają propagandę i jak z nut prawią szablonowe kazania. W ogóle u żołnierzy sowieckich bardzo charakterystyczne jest to, że poszczególni żołnierze na cztery oczy często zupełnie inaczej mówią, niż w obecności innych towarzyszy swoich, kiedy się zamieniają na głośniki propagandy.

14 sierpnia, rok 1944, poniedziałek

To, co pisałem wczoraj o rzekomym przyjeździe Anglika do Abel, to była bajka. To przyjeżdżał nie Anglik, ale przyjeżdżała i przemawiała w Abelach Nakówna (Nakaitė), posłanka, wybrana w roku 1940 do Sejmu Ludowego czy Rady Najwyższej w Litwie Sowieckiej, która lata okupacji niemieckiej spędziła na emigracji w Moskwie, obecnie zaś wróciła do kraju i odwiedza swój okręg wyborczy. Zdaje się, że bajką też jest wiadomość o rzekomym nawiedzeniu przed kilku dniami Abel przez jakiś zbrojny oddział litewski, ukrywających się po lasach.

Od dziś rozpoczęło się w Rakiszkach przyjmowanie poborowych, zgłaszających się do mobilizacji. Młodzież, dotknięta rozkazem mobilizacyjnym (od 18 do 35 lat), waha się. Każdy usiłuje oglądać się na innych. Co godzina – zmiana frontu: oto już wszyscy pójdą, a oto w kilka godzin potem – nie stawia się nikt. Jak wahadło w zegarze. I boją się iść, i boją się nie iść. Nastraszeni są wieściami o wywożeniu poborowych za Ural na roboty, boją się głodu, nie chcą frontu, skądinąd boją się ewentualnych represji dla siebie i rodzin. Wszakże Helcia Mieczkowska swego brata Michasia z Bohdaniszek dziś na mobilizację wywozła. Długie były u Mieczkowskich deliberacje, wielkie było poruszenie, ale ostatecznie, jak zawsze, przeważała decyzja Helci. W Rakiszkach Michaś Mieczkowski wszedł do lokalu komisji i już go Helcia więcej nie widziała.

Jeździłem z Jadzią do Abel do gminy. Chodziło o to, że zostajemy bez robotników. Uchodźcy Moskale wyrrywają się wyjechać i lada dzień mogą się wyrwać, dwóch robotników (Izydor Kulys i Józef Malcius) są zmobilizowani i już na to konto nie pracują, pozostaje jeden Novikas, który także może być zmobilizowany, choć na razie jeszcze jego rocznik powołany nie jest. Całe żyto stoi

skoszone w polu, można by wieźć, ale jest tylko jeden robotnik. NKWD-yści, którzy się co dzień kręcą, mówili, że do robót w polu można dostać jeńców niemieckich i że na pewno mi ich w Abelach dadzą. Pojechałem kołatać o to. Nic nie wskórałem, jeńców nie dają, wskazują, że seniunas, czyli „apylinkės pirmininkas” podług terminologii urzędów sowieckich, powinien pomóc w znalezieniu robotników, bo i on, zarówno jak ja, jest odpowiedzialny za to, żeby plon z pola był zebrany. Dali więc tylko karteczkę do seniunasa (stary seniunas Kišunas już jest usunięty, seniunasem jest młody Pagirys z Ažubal, przekonanych komunistycznych). W Abelach gmina czyli gminny komitet wykonawczy już jest zorganizowany. Prezesem komitetu (popularnie zwanym viršaitisem) jest młody Litwin z gminy abelskiej (nie wiem jego nazwiska, ale z widzenia wydaje mi się znajomy, zrobił na mnie wrażenie przyjemne), sekretarzem gminy jest Stašelis z Kalniszek, cieśla czy stolarz, którego znam dobrze, bo wykonywał on u mnie roboty stolarsko-ciesielskie i który jest człowiekiem porządnym i niegłupim. W gminie siedzi też instruktor z powiatu, Litwin, który za okupacji był w Moskwie. W kancelarii pracuje kilku dawnych urzędników gminnych. Urząd gminny bądź co bądź robi przynajmniej wrażenie organizacji krajowej, litewskiej. Czuje się wreszcie coś swojskiego. Jest tam troska o utrzymanie gospodarki krajowej, o więź społeczną krajową. To zrobiło na nas przyjemne wrażenie.

Ale wieczorem mieliśmy znów NKWD-ystów i tym razem byli oni złośliwsi. Przyjechało ich czterech. Ja wstałem, bom się położył, czując się źle z powodu wrzodu na łokciu i wyszedłem do „gości”. Na razie dwóch zostało ze mną w pokoju jadalnym, a dwóch gdzieś ulotniło i, jak się okazało, piło u ekonoma. Ci, co pozostali, a raczej jeden z nich, zdaje się – Żyd, wyglądający bardzo elegancko, okazał się w rozmowie bardzo kulturalnym i miłym człowiekiem. Przesiedzieli u mnie burzę, nie doczekali się powrotu tamtych i odjechali ciężarówką swoją. Wtedy przyszedł na razie ekonom, mówiąc, że chcą oni jakby robić u mnie rewizję i szukać ukrytej broni, że jednak gdyby się ich potraktowało wódką, to rewizji robić nie będą... Broni nie mam, więc rewizji się pod tym względem nie lękam, a trunków (parę buteleczek wódki i kilka wina) żałuję dla takich „gości” z NKWD, którzy chcą robić rewizję i za wódkę obiecują jej nie robić. Niebawem przyszli i dwaj „oficerowie”, jednak bardzo nie oficersko wyglądający, podochoceni, niegrzeczni, głupi. Łazili po wszystkich pokojach, biegali, zaglądali w kąty, na luft itp. Wreszcie jeden z nich wytropił w pokoju sypialnym kosz z sześcioma butelkami wina i wódki. Rzucili się zaraz na to i zabrali. Protestowałem gorąco i energicznie, ale NKWD-ysta zaczął mię zastraszać, grozić, wreszcie wymyślił, że niby właśnie po to byli przyjechali, bo mieli wiadomość, że mam wino czy wódkę „zatrutą”, zrobią więc tylko analizę zawartości butelek i jutro mi odwieżą, jeżeli trunki nie będą zatrute.

15 sierpnia, rok 1944, wtorek

Ani chwili nie wątpiłem, że ci „oficerowie” NKWD, którzy wczoraj zrabowali mi sześć butelek wódki i wina, nie zwrócą mi go dziś, jak to uroczyście zapowiadali. Był to pierwszy otwarty akt rabunku, jakiego od nich doświadczyłem, miernie pozorowany tym, że rzekomo mieli doniesienie o przechowywaniu przeze mnie „zatrutego” wina, które muszą oni poddać analizie. Pijaństwo – to pierwsza cecha enkawudystów; dla wódki gotowi są na wszystko. Ludzie to zdemoralizowani, pełni obłudy; udają wielkich ideowców, mają na ustach zapewnienia o tym, że w armii sowieckiej rabunki są zakazane i za rabunek grozi rozstrzelanie; zaczynają też rozmowę najczęściej od tego (tak było i wczoraj), że zapytują, czy nikt z żołnierzy mię nie obrabował; a gdy dochodzi do własnego ich rabunku – wtedy na protesty ofiary mają odpowiedź w postaci pytania-pogróżki, czy nie wiem, co to jest NKWD i jaka jest jej moc, która potrafi niszczyć ludzi. Wyjeżdżając ze zrabowanym winem wzięli furmankę ode mnie. Powiózł ich Fiodor. I oto pojechali prościutko do zaścianka Nemeikšisowej, młodej wesołej wdówki, tam poprosili o przekąskę i zaraz wypili z Nemeikšisową pierwszą butelkę mojego wina – włoskiego chianti. Oto jaka ich „analiza” wina co do podejrzenia o zatrucie tegoż. Pojechali dalej bez drogi, gadali o tym, żeby jechać do Abel do jakiejś Marusi, wreszcie wysiedli, butelki z winem i wódką zabrali, Fiodora odprawili. Z jaką chęcią bym ich oskarżył, mając wyraźne dowody ich rabunku i rodzaju „analizy”, gdybym wiedział, skąd są.

Andrzej Mieczkowski dziś poszedł w świat, a co do Michasia Mieczkowskiego, to urzędowo stanął do mobilizacji, a jak tam było w istocie – tego dokładnie nie wiem i nie pytam.

Ekonom Adamowicz, który też myśli o tym, jak zmykać, aby zająć miejsce rządowe i uniknąć mobilizacji, która ewentualnie może go dotknąć i w tym celu chce się oprzeć na rozkazie, nakazującym wszystkim, którzy zajmowali jakieś posady w roku 1941, żeby wrócić do Poniewieża, jeździł dziś dowiadywać się o tym do Abel do gminy. Stamtąd przywiózł wiadomość, że wszyscy uchodźcy Moskale są na równi z Litwinami dotknięci już teraz rozkazem mobilizacyjnym i muszą się stawić, bo to tylko przez nieporozumienie nie byli oni wciągnięci przez seniunasów do ogólnych spisów poborowych. Obecnie więc nasz Fiodor i uchodźcy Mieczkowskich Iwan i Kola Maksimow wybierają się jutro do Rakiszek na pobór. W rodzinach ich wielki lament.

16 sierpnia, rok 1944, środa

Odprowadzeni przez liczną naszą zawodzących w wielkim lamencie bab i dzieci wyruszyli dziś do Rakiszek na mobilizację czterech mężczyzn naszych rodzin uchodźców Moskali: nasz Fiodor, Kola Maksimow z chatki Murawskiego (Murawski z żoną i synem podczas działań wojennych został zabity pod stacją rakiską wybuchem granatu w okopie, w którym się chronili z dwiema innymi rodzinami i w którym wszyscy śmierć znaleźli), i dwóch Iwanów – Iwan od Mieczkowskich i Iwan od Šimkusa. Moskale mają w sobie dużo cech prymitywów. W lamentach, w nieszczęściu lubią gromadę i lubią teatralność w zawodzeniu i wyrażaniu uczuć.

Mój Izydor Kulys decyduje się na zgłoszenie się do mobilizacji. Nie wiem, czy jest on właściwie komunistą, sądzę, że nie jest, ale w każdym razie jest zbliżony do komunistów i ma duże kontakty i sympatie w kołach tych, co stoją przekonaniowo na stanowisku sowieckim. Stašelis, który został sekretarzem gminy, nowy nasz seniunas Pagirys i wielu innych – to sfera przyjaciół Izydora. Ci namawiają go do zgłoszenia się i zapowiadają, że z tymi, co się nie zgłaszają, będzie źle, a zresztą i sam Izydor krępuje się wobec nich zajmować stanowisko bojkotu mobilizacji. Ale jednocześnie przyjaciele jego z obozu prosowieckiego, stojący dziś u władzy w urzędach gminy i powiatu, chcą mu ułatwić uwolnienie się od zmobilizowania. Poradzili mu wybrać przez seniunasa i gminę poświadczenie, że jako robotnik w dużym gospodarstwie (u mnie), jest on niezbędny do pozostawienia na warsztacie pracy rolnej. W tym celu na prośbę Izydora pojechałem z nim do gminy, gdzie złożyłem odpowiednią deklarację, uzasadniającą konieczność pozostawienia Izydora. Deklarację tę potwierdził seniunas i gmina. Z tym dokumentem Izydor jedzie jutro do Rakiszek.

Wszystko, co żyje, jest teraz u nas pod znakiem mobilizacji. Prawie wszyscy Litwini dotąd się ociągają ze zgłaszaniem się, wyczekują. Zgłaszają się starowierzy, Moskale uchodźcy, z Litwinów ci, co są inwalidzi i mają nadzieję, że ich zbrakują albo też sympatycy Sowietów, ale ci zajęli rozmaite posady i urzędy, które ich osobiście chronią przed mobilizacją.

Są pogłoski, ale kto wie, czy nie bajki raczej, o tym, że rzekomo Niemcy odbili Kowno i podchodzą pod Szawle, a w Łotwie – pod Rezekne. Gazet nie mamy, radia nigdzie nie ma, bo Sowiety je odebrali wszędzie, gdzie było, poczta nie funkcjonuje. Wieści są więc tylko przez pocztę pantoflową, która sieje nie mniej kaczek od wieści. Np. dziś rano mówiono u nas, że do Abel przyjechali pociągiem jacyś żołnierze litewscy amerykańscy. Byłem w Abelach – bajka wierutna.

Przyjeżdżała do mnie biedna p. Augaitisowa z córką. Jej syna, a potem i męża aresztowano. Zarzucają mu sprowadzenie jakichś dużych zapasów broni, a bodaj i inne jakieś rzeczy. Augaitisowa przyjeżdżała się poradzić, co jej robić – siedzieć w Pokrewniu czy wyjechać do rodziny. Poradziłem siedzieć.

Seniunasem, czyli prezesem okolicznego komitetu wykonawczego przed dwoma dniami był wyznaczony młody 20-letni Pagirys z Ažubal, który jest komunistą a którego brat był partyzantem w r. 1941 i teraz siedzi aresztowany. Ludzie u nas krzywili się na tego Pagiriuka, który ma być chciwy władzy i ciężki. Ale oto dziś seniunasem bohdaniskim został mianowany Januszkiewicz, który zajmował to stanowisko za rządów sowieckich w r. 1940-1941. Ludzie cieszą się z tej zmiany, bo Januszkiewicz ma sympatię i szacunek ludzki. Prezes gminnego komitetu wykonawczego nazywa się

Papikas; jest to młody człowiek miejscowy z gminy abelskiej. Instruktorem powiatowym na gminę abelską, który tu organizuje całą władzę lokalną, jest niejaki Pivorionas, który całe trzy lata spędził w oddziałach leśnych i był wodzem tych partyzantów. Człowiek energiczny, dzielny, zapewne fanatyk, ale czysty i dobrych intencji.

17 sierpnia, rok 1944, czwartek

Izydor Kulys ode mnie, a od Mieczkowskich Władziuk Sadowski pojechali dziś do Rakiszek na mobilizację. Izydora zabrano w komisji od razu. Nic nie pomogło mu zaświadczenie z gminy o tym, że jest potrzebny do pracy jako robotnik w większym gospodarstwie rolnym, pozbawionym rąk roboczych, ani pewna ułomność, jaką ma w plecach. Władziuk ma strasznie rozrąbaną nogę, w której od dłuższego czasu – i za Niemców, i teraz – jątrzył ranę, żeby mieć argument przeciwko tej lub innej mobilizacji. Dano mu tylko prolongatę na dwa tygodnie, z tym, że jeżeli rana się nie zagoi, to będą go leczyć już w wojsku sowieckim. W ogóle biorą bez pardonu wszystkich, którzy się zgłaszają, i zapowiadają, że będą bez pardonu łapać i ewentualnie strzelać tych, którzy się uchylają. Podobno przywieziono do Rakiszek kilkudziesięciu ze Świadości połapanych spośród takich, co się uchylali. Zapowiadają, że za kilka dni powołane zostaną dalsze roczniki poczynając od tych, co mają 36 lat, aż do tych, co mają 50 czy 55 lat. Tymczasem opór bierny ogromnej większości poborowych (Litwinów) trwa niewzruszenie, ale ludzie są coraz mniej pewni, czy ten opór, który udawał się za Niemców, nie zostanie przez Sowiety przełamany.

Ekonom Adamowicz stara się o posadę w tzw. „zagotskot” (urząd do robienia zapasów mięsa, w rodzaju naszego dawnego „Maistasu”) na rzecz zwolnienia się od mobilizacji, bo w tej dziedzinie już pracował i może uchodzić za specjalistę. Novikas znów robi starania o to, żeby zostać, jak za czasów sowieckich w latach 1940-1941, kierownikiem stacji maszyn rolnych i traktorów w Jankunach, z których właściciel, Choynowski, uciekł. Chodzi mu też o zabezpieczenie się przed mobilizacją, która niebawem ma być rozciągnięta na mężczyzn do lat co najmniej 50 i dotknie tak ekonoma, jak Novikasa.

Przez dwa dni – wczoraj i dziś – zwieziono prawie całe nasze żyto. W tłoce (za jodły z Gaju) z koniem i we dwóch ludzi wzięli udział Antoni Malcius i Jan Malcius. Ale co będzie dalej w gospodarstwie moim – sam nie rozumiem. Już teraz straciliśmy robotnika Fiodora i Izydora, a Novikas też biega za swoimi interesami, a lada dzień może odejść. Pozostaje jedyny Malcius – Józef albo brat jego Antoni, synowie Jana. Z jednym robotnikiem i to niepewnym, bo też w zasadzie ulegającym mobilizacji, daleko nie zajedziesz, zwłaszcza gdy i gospodarza nie ma, bo ja ewentualnie wyjadę do Wilna na uniwersytet, a wtedy i Jadzię z dziećmi zabiorę. Ale gdybym nawet został, to w moim stanie sił i zdrowia i w braku kwalifikacji na gospodarza rolnego słaby ze mnie w gospodarstwie pożytek. W tym zakresie jestem niedołągą zupełnym.

18 sierpnia, rok 1944, piątek

Wczoraj przez cały dzień, w nocy i dziś do obiadu przelatywały bez ustanku samoloty. Były to samoloty sowieckie, leciały niziutko. W nocy gdzieś w okolicy Rakiszek słychać było bombardowanie. Podobno samolot niemiecki rzucał bomby. Powiadają, że te samoloty sowieckie – to są transportowe. Otóż twierdzą, że Niemcy, którzy odebrali Kowno, posunęli się dalej i zajęli Szawle, Poniewież i Birże na połączenie się z armią niemiecką, która była odcięta w Łotwie i Estonii. Ruchem tym Niemcy rzekomo otoczyli oddziały sowieckie, operujące w okolicy Mitawy, które okazały się odcięte. Tym więc swoim oddziałom odciętym awiacja sowiecka dostarcza amunicji i zaprowiantowania samolotami. Czy wersje te są prawdziwe – to trudno dociec. Siedzimy bez radia, bez gazet, bez poczty.

Nasi uchodźcy Moskale już są na wylocie. Nie czekają na ewakuację regularną, masową. Szperali aż się doszperali, że jak tylko na którejś stacji jest wagon, to mogą się załadować i jechać. Wobec tego w poniedziałek czy wtorek mają wyjechać. Szturmują teraz – zwłaszcza rodzina Fiodora u mnie – żebyśmy dał im krowę. U mnie rodziny uchodźców są dwie, rodzina Fiodora i rodzina starego

„krasnodulka” Timofieja i jego córki Gieńki. Ale dwóch krów im nie dam, a jedną nie mogą się podzielić, bo nie są z jednej wioski – jedna rodzina z okolic Porchowa, druga – spod Starej Russy. Zapewne jedną jednak dam, ale będą stąd kwasy. Dam rodzinie Fiodora, bo ta pracuje u mnie od samego przyjazdu.

Do mobilizacji stają po trochę robotnicy dworscy, którzy starają się poprzednio zabezpieczyć jakkolwiek od poboru, co im się nie udaje, bo zabierają bez pardonu wszystkich (w najlepszym razie dają prolongatę) i element komunizujący. Ciekawe, że miejscami są całe okolice, w których element komunistyczny jest gęsto skupiony. Natomiast ogromna większość Litwinów, zapewne 99%, do mobilizacji nie staje i zdecydowana jest nie stawiać do ostatka (zwłaszcza młodzi). Ciekawe, czym się to wszystko skończy. Mogą być skutki bardzo bolesne. Dotąd jednak cicho. Niektórzy gadają, że ta mobilizacja jest tylko „dobrowolną” i że Sowiety, choć się do tego nie przyznają jawnie, nie mogą wykonać mobilizacji przymusowej w Litwie. Wątpię, żeby tak było, ale notuję taką wersję, dosyć rozpowszechnioną.

Augaitis – ojciec i syn – zostali zwolnieni. Potrzymano ich w Abelach, zbadano bez żadnego gwałtu i męczenia i wypuszczono.

19 sierpnia, rok 1944, sobota

Nic nowego. Te same pogłoski, ta sama nieświadomość, ta sama szarzyzna rozkładu ogólnego, życia z dnia na dzień, nerwowa aż do apatii, ten sam niezdolny guz na lewym łokciu...

Ten guz zaczyna mię już poważnie niepokoić. Dr Kozłowski w Abelach, do którego przed kilku dniami w Abelach się zwracałem, orzekł, że zaczęło się to od róży, a następnie wytworzył się wrzód głęboki; kazał dwa razy dziennie robić kąpiel gorącą ręki w łokciu i okłady z wódki. Kąpiel ta sprawia mi pewną ulgę, ale tylko na razie, skądinąd zaś otwór wrzodu się nie powiększa, materia obficie się nie wylewa, guz twardy nie odchodzi, łokieć i cała okolica jego jest zboląła. Czuję się bardzo źle. Żadnego postępu na lepsze nie widzę. Kilka godzin jest niby lepiej, potem znów ból się wzmacnia – i tak ciągle. Zdecydowałem się prosić Elwirę, żeby mi odmówiła różę. Elwira zna się na zamawianiu, a sama, stara i sucha, jest typowo podobna do czarownicy. Ogarnia mię apatia i bezwład, z którymi staram się walczyć, ale mi się to nie bardzo udaje, bo czuję wielki upadek sił, brak humoru i zainteresowania, senność. Nie umiem już bawić się z dziećmi, ciężko mi chodzić, ciąży mi ta zboląła ręka.

Chcę się skomunikować z Wilnem, z uniwersytetem, ale dotąd nie ma regularnej poczty. Dnie płyną, jesień się zbliża, gospodarstwo jest w rozkładzie. Jeździłem z Jadzią do naszego prezesa lokalnego komitetu wykonawczego Januszkiewicza. Chciałem mu dać zatwierdzić kartkę, którą daję rodzinie uchodźców Fiodora na krowę, którą im darowuję. Januszkiewicza nie zastaliśmy. Ma sam przyjść do nas jutro.

20 sierpnia, rok 1944, niedziela

Elwira skończyła mi zamawiać różę. Czynność ta zajęła cztery seanse, z których jeden nie wymagał osobistego stawienia się mego do Elwiry. Pierwszy seans odbył się wczoraj o zachodzie słońca. Elwira siadła obok mnie z lewej strony i położyłem przed nią na stole mój zboląły wybrzękły łokieć, nie odwijając go wcale. Oboje z Elwirą przeżegnaliśmy się jednocześnie, po czym ja odmówiłem po cichu trzy „Zdrowaś Maryjo”, co, zdaje się, i Elwira odmówiła, po czym szeptała właściwą formułę sakramentalną zaklęcia. Przez cały czas Elwira przeciągała dłonią i rozwartymi palcami wzdłuż mojego łokcia w kierunku od góry do dołu, nie dotykając jednak łokcia i wytrząsając zgięte palce na stół poza mój łokieć, jak gdyby coś zebranego z łokcia wyrzucała precz. Po pewnym czasie tej czynności seans się kończył i oboje z Elwirą żegnaliśmy się. Dziś rano o wschodzie słońca ja odmówiłem trzy „Zdrowaś Maryjo”, Elwira zaś powtórzyła swoje ruchy w mojej nieobecności. O południu i wieczorem o zachodzie słońca powtórzyliśmy seanse, zupełnie takie same jak wczoraj. Po zakończeniu całego zamawiania Elwira nauczyła mnie formuły tego zamawiania. Ten, co zamawia, nie może przekazać swej sztuki osobie starszej wiekiem, ale może nauczyć sztuki młodszego od

siebie. Ponieważ jestem młodszy od Elwiry, więc nauczyła mnie ona formuły, która brzmi tak: „Szedł Chrystus drogą i spotkał trzy róże. Jedna róża zwiędła, druga róża zeschła, trzecia róża skamieniała. Idź precz, różo przekłeta, od niego”. Czy zamawianie to pomoże – nie wiadomo, bo nie jesteśmy z Elwirą pewni, czy to jest róża u mnie. Elwira sądzi, że nie róża, jeno jakiś wrzód głęboki w łokciu, który uważa za niebezpieczny.

Był „seniunas” Januszkiewicz. Odmówił kategorycznie swojej aprobaty na wywiezienie przez rodzinę uchodźców Fiodora krowy, którą im dałem. U Moskali uchodźców wywołało to wielkie poruszenie. W ogóle nie zdają oni sobie sprawy z form budowy Związku Sowieckiego: dla nich jest tylko Rosja i Sowiety – to właśnie Rosja. Jeżeli Litwa jest sowiecka, to w ich pojęciu powinno znaczyć, że władza tu musi być rosyjska i że Litwa „należy” do Rosji, która jest jej panią. Rzeczywistość nie bardzo jest daleka od tych pojęć, które drzemią w duszy prawie każdego żołnierza sowieckiego, ale Sowiety (teraz bodajże więcej niż poprzednio) dbają o zachowanie pozorów „samodzielności” republik bałtyckich. Uchodźców więc gorszy i razi to, że bądź co bądź jest tutaj jakaś władza lokalna, litewska, która jest czymś innym, niż ogólna jednolita władza sowiecko-rosyjska i która usadowiła się w gminach, powiatach, seniunijach i narzuca swoje trzy grosze, zwłaszcza gdy to dotyczy ich, uchodźców i zamyka im możliwość zabrania krowy. Moskiewki Dunia, Anastazja przyszły rzucić mi się do nóg, klękać, modlić, abym dał krowę, a po chwili, przechodząc od upokorzenia do złości, wygadywały, że ja to umyślnie inscenizuję sprzeciw seniunasa, że krowy sam im dać nie chcę, po czym jęły złorzeczyć i kląć. Musiałem podnieść głos na nie i skarcić. Jedna tylko Żenia była opanowana. Prosiła, żebym tylko dał kartkę, świadczącą o dobrowolnym oddaniu krowy, to ona z tą kartką załaduje krowę i dowiezie ją do domu, choćby nie było pozwolenia od gminy. Co raz dałem – tego już cofać nie będę. Krowę dam i kartkę dam, a czy oni krowę dowiozą do siebie – tego nie wiem. Wątpię, ale przekonać ich nie jestem w stanie i nie będę próbować. Są oni jak dzieci. Rodzinie Gieńki i starego Timofieja krowy nie dają, ale dają im 8 cetnarów pięknego żyta. Wyjechać mają we wtorek. Z Bogiem, bo się już bardzo rozwałęsali i odkąd tu przyszły Sowiety – rozpręgli. Stali się elementem chaotycznym i destrukcyjnym, a chciwość ich rośnie z dnia na dzień.

O godz. 3-4 odbyło się zebranie seniunii, kierowane przez Januszkiewicza. Januszkiewicz bardzo dodatnio się zaprezentował. Nie było żadnych wyskoków demagogiczno-mityngowych, mimo że na zebraniu, względnie nielicznym, obecni byli przede wszystkim sympatycy sowieccy. Jednak ton zebrania był dostosowany przez Januszkiewicza do usposobienia poważnych gospodarzy. Januszkiewicz ostro potępił skargi i donosy wzajemne, skierowane do porachunków osobistych. Mówiąc o mobilizacji wzywał tylko do tego, żeby każdy sam dobrze się zastanowił, czy lepiej jest zgłosić się czy nie, on natomiast nikomu pod tym względem narzucać swojego poglądu nie będzie i nie może, bo nawet, jak powiadał, ojcu trudno jest decydować za syna. Mówiąc o zwrocie rzeczy wojskowych, stwierdził, że niektórych rzeczy, jak butów wojskowych, trudno się gospodarzowi wyrzec i oddać, toteż chodzi tylko o to, żeby je nosić ostrożnie i nie manifestować.

21 sierpnia, rok 1944, poniedziałek

Jesteśmy pod znakiem odjazdu uchodźców Moskali. Na koniec poruszyli się oni masowo i już wyjeżdżają. Nasi wyjeżdżają jutro. Ponieważ w Dyneburgu na Dźwinie nie ma mostu, więc mają ich wieść nie na Łotwę, lecz na Białoruś, a mianowicie na Wilno-Mołodeczno-Połock-Witebsk i stację Dno w Rosji. Jakie ich tam będą losy – nie wiadomo. Tam u nich prawie wszystko spalone, *tabula rasa*. Czekają ewentualnie głód, zima w jakichś ziemiankach, w najlepszym razie baraki. To, czym się będą żywić, wiozą z Litwy, której jednak nie pokochali, aczkolwiek w niej było im ciepło i syto. Wiozą z Litwy zboże, niektórzy – krowy, pewne zapasiki słoniny i mięsa, ubranie i obuwie. Rano przyszedł z Rakiszek zmobilizowany Fiodor, który zapewne uciekł stamtąd i który chce osobiście odwozić rodzinę, a dopiero tam się do mobilizacji zgłosić. Mówi wprawdzie, że go uwolnili z warunkiem, żeby stawił się w Wilnie, ale myślę, że uciekł, bo gdy po obiedzie pokazał się żołnierz sowiecki we dworze, Fiodor schował się w gumnie i prosił powiedzieć, gdyby o niego pytano, że wyszedł. W ogóle z tą mobilizacją – to wielki bałagan.

Dziś rozmówiłem się ostro z Novikaszem, który fatalnie zaniedbuje się w pracy i tak się dłubie, że wszyscy w okolicy się z takiej „roboty” dworskiej śmieją. Novikas się obraził i spytał, czy wobec tego nie chce jego pracy i uwolnić go. Skończyło się na tym, że został uwolniony.

Jadzia jeździła do Abel po pastuszkę. Z wyjazdem starego uchodźcy Timofieja i jego rodziny – od jutra pozostajemy bez pastucha. Jednego pastuszkę, 13-letniego Kiedrasowa z Boniuszek, wczoraj udało mi się zaangażować, ale sam jeden nie wypasie. W Abelach Jadzia umówiła na drugą pastuszkę – Matrionę Szerszniową, którą też przywiozła.

Poczta w Abelach już zaczęła funkcjonować.

22 sierpnia, rok 1944, wtorek

Rano odjechali wreszcie uchodźcy Moskale. Dwie rodziny naszych uchodźców – rodzina Fiodora i rodzina starego Timofieja i jego córki Gieńki – nie zmieściły swoich rzeczy na dwóch wozach parokonnych. Trzeba było jeszcze prosić w ostatniej chwili seniunasa, żeby zarekwirował pod ich rzeczy furmankę. Przez czas pobytu w Litwie obrośli w pierze, a dla Litwy nic, prócz złego słowa i złego uczucia, nie mają. Byli wśród nich ludzie, którzy mają pewne zalety – z naszych w pierwszym rzędzie stary Timofiej, Gieńka, Fiodor, może Żenia – ale na ogół uprzykrzyli się już oni i zarówno oni sami, jak my cieszymy się z ich odjazdu. Nie zbliżyli się oni do Litwy wcale, pozostali jej obcy i niechętni. A chociaż cieszyli się oni z wkroczenia Sowietów i jakby triumfowali, że oto Litwa będzie odtąd we władzy Sowietów, co dla nich jest równoznaczne z Rosją, to jednak właściwego patriotyzmu i zmysłu państwowego nie mają. Oszukać swoje państwo – to dla nich rzecz naturalna i wskazana, a gdy przyszło do mobilizacji, to choć na razie ze strachu wszyscy stanęli, jednak w kilka dni potem, gdy się obejrzel, jaki tam w punkcie zborym jest nieład, wszyscy jeden po drugim uciekli i teraz towarzyszą swoim rodzinom w powrocie do domu i jestem pewny, że gdyby mieli możliwość po przyjeździe do domu wcale się nie zgłosić do mobilizacji, to nie omieszkaliby to czynić. Bliska i droga im tylko własna skóra i rodzina. Dalej poza rodziną społeczeństwo włościan rosyjskich, sądząc z tych uchodźców, nie sięga. Ale nie da się im tak łatwo tę podróż reewakuacyjną odbyć. Jeżeli nie odbiorą im krów i zboża przy wyjeździe z republik bałtyckich do Białej Rusi, jak to wielu funkcjonariuszy i nawet wojskowych zapowiada, to w każdym razie czeka ich przed powrotem gdzieś po drodze *sui generis* kwarantanna polityczna, w toku której będą oni indagowani szczegółowo, kto są, czy nie wysługiwali się Niemcom, dlaczego dali się wywieźć, czy może wyjechali dobrowolnie, dlaczego nie poszli do partyzantów w lasy itd. Nieprędko może jeszcze dojadą i nie wszyscy, a czy dowiozą krowy i chleb litewski – to też niepewne.

Pomocnicą seniunasa, czyli prezesa lokalnego komitetu wykonawczego Januszkiewicza, jest na naszą boniusko-bohdaniską cześć seniunii Tonia Adamonyt z Boniuszek, córka dzielnego i mądrego gospodarza społecznika Balyisa Adamonisa, ta sama Tonia, która w roku ubiegłym służyła u nas. Balyisa Adamonisa niektórzy liczą za komunistę dlatego, że nie uchyla się od współpracy z komunistami, kiedy jest robota społeczna realna. W istocie jest on człowiekiem ze szkoły ludowców, światły i postępowy. Jest to typ dodatni tak gospodarczo, jak kulturalnie.

23 sierpnia, rok 1944, środa

Żadnych nowin. Nic nie wiemy z nowin wojny ani na bliskim nam froncie wschodnim, ani na frontach inwazji europejskiej Anglo-Amerykanów we Francji i we Włoszech. Mało też wiemy z nowin politycznych, a nawet wypadki lokalne docierają do nas w relacji nieraz skażonej. Oto przed kilku dniami mówiono u nas, że Augaitis, który był aresztowany, został uwolniony, a oto dowiaduję się, że wciąż jest aresztowany.

Od kilku dni słyszę, że poczta z Abel już funkcjonuje. Nie ma tylko znaczków pocztowych i każdy wysyłany list trzeba osobiście złożyć na pocztę i opłacić urzędnikowi 30 kopiejek. Nie miałem jednak dotąd okazji do Abel na rzecz wysłania listu, który mam już napisany. Jest to list do „prorektora Uniwersytetu Wileńskiego”. W gazecie sowieckiej, która mi trafiła do rąk w pierwszych dniach sierpnia, natrafiłem na opis uroczystego obchodu w Wilnie czwartej rocznicy utworzenia

Sowieckiej Socjalistycznej Republiki Litewskiej. Otóż na tym obchodzie przemawiali Šumauskas, Sniečkus, Paleckis i prorektor Uniwersytetu Wileńskiego Bieliukas. Stąd wnoszę, że Bieliukas, który, jeżeli się nie mylę, był asystentem na katedrze geografii, został po wkroczeniu Sowietów mianowany prorektorem. Czy znaleziono rektora i kto nim jest, jacy też są dziekani wydziałów – tego nie wiem, bo żadnej innej informacji o uniwersytecie nie miałem. Że rektorem już nie jest i być nie może Michał Biržiška ani prorektorem Kriwicki, ani dziekanem Wydziału Prawniczego Žakiewicz – to jest pewne, bo byli oni mocno skompromitowani wobec Sowietów i nie mieli nic innego do wyboru, jak uciekać. Napisałem więc teraz do prorektora Bieliukasa, prosząc o informacje o uniwersytecie i o ewentualne roztoczenie opieki formalnej uniwersytetu nad moim mieszkaniem w Wilnie, w którym mieści się moja osobista biblioteka naukowa, moje rękopisy i archiwum naukowe.

24 sierpnia, rok 1944, czwartek

Przyjechała czy przyszła dziś z Wilna do Bohdaniszek Liza Meyerówna. Do Uciany z Wilna przyjechała, a z Uciany przyszła. Podróż tę odbyła z Andrzejem Mieczkowskim. Podług tego, co Liza opowiada, w Wilnie sytuacja jeszcze nie jest tak zła, jak się nam tu zdawało. W każdym razie, głodu nie ma. „Valgis” funkcjonuje i karmi masowo ludność. Obiady w „Valgisie” są nawet lepsze, niż były za czasów niemieckich, bo są konserwy amerykańskie, które się dodają do potraw „Valgisu”. W wolnym handlu jest i chleb, i jajka, i masło, i słonina, tylko że nie każdemu to dostępne, bo czerwonońców i rubli ludzie mało jeszcze mają, a sprzedający proszą wygórowane na zapas ceny w czerwonońcach, ponieważ sami nie wiedzą ich wartości nabywczej. Słowem – wszystko jeszcze nieustalone. O posady, jak to i poprzednio za Sowietów było, w Sowietach bardzo łatwo, ale pensje są niezmiernie niskie. Np. Liza ma jakąś posadkę w księgarni i pobiera 15 czerwonońców (= 150 rubli) miesięcznie, to znaczy akurat tyle, ile w Wilnie kosztuje 10 jaj. Kilogram masła kosztuje 50 czerwonońców, czyli przeszło trzymiesięczną pensję Lizy. Artykuły spożywcze takie jak masło, słonina, choć są mało dostępne dla szerszego ogółu, jednak szybko staniały i tanieją jeszcze. Na razie żądano za kilo po 150 czerwonońców, ale gdy się spostrzeżono, że ludzie pieniędzy nie mają i kupować nie są w stanie, to spuszczone cenę na 100, potem na 50 czerwonońców. Moje mieszkanie z meblami, książkami itd. – ocalało. Mieszka w nim ktoś, komu je Red oddał w opiekę. Ale zachodzi niebezpieczeństwo, że może być zajęte, bo mieszkań wielki brak. Co do Reda, to nie wiadomo, gdzie jest. Jego żona Krystyna wyjechała do Niemiec, on na razie był został, ale potem gdzieś wyjechał; w rodzinie posądzają, że też do Niemiec wyjechał, tylko wstydził się do tego przyznawać, bo to w kołach polskich jest piętnowane. Zresztą wszyscy krewni w Wilnie istnieją i jakoś żyją.

Dziś w nocy i od rana znów słyszymy odległą kanonadę – w kierunku Łotwy. Jaka jest dokładna sytuacja wojenna – tego i Liza nie wie. Zdaje się, że w Kownie trzymają się Sowiety. Ośrodkiem walk są, zdaje się, głównie Szawle i ewentualnie stamtąd na Birżę.

25 sierpnia, rok 1944, piątek

Podobno uchodźcy Moskale, repatriujący się do Rosji, wciąż siedzą dotąd w Abelach na stacji kolejowej. Jedni załadowani już do eszelonów, inni – jeszcze pod gołym niebem. Uciążliwa czeka ich podróż i kto wie, kiedy i dokąd wreszcie dotrą. Są bowiem wersje, że ich powiozą nie do ich miejsc rodzinnych, jeno gdzieś na roboty publiczne przy odbudowie zniszczonych za okupacji niemieckiej kopalń, fabryk i urządzeń. Ludzie, którzy otarli się o Niemców i o szczątki Zachodu, zachowane jeszcze w Litwie, mogą się Sowietom wydawać „trefni”. U mnie robota w polu idzie pełnym tempem. Dziś Novikas z Antonim Malciukiem kosili jęczmień. Novikas, któremu przed kilku dniami wymawiałem zaniedbanie w pracy i z którym byliśmy już zerwali umowę pracy, znowu pracuje; znowu pogodziliśmy się. Ale wziął on bardzo do serca zarzut, że źle pracuje i teraz usiłuje praktycznie przekonać towarzyszy pracy, którzy go skarżyli, że oni mu dorównać nie są w stanie. Toteż dzisiaj tak forsował koszenie jęczmienia, że Antoniuk Malcius, obłany potem, ledwie dawał radę. I ciągle przymawiał i zapalał się coraz bardziej. U Novikasa wszystko polega na usposobieniu. Jest to człowiek nerwów i nastroju.

Dziś wysłałem wreszcie przez pocztę abelską pierwszy list do Wilna – do prorektora uniwersytetu. Będę czekał na odpowiedź.

26 sierpnia, rok 1944, sobota

Nie mam czasu i ochoty na dziennik.

Wreszcie czuję lekkie polepszenie w łokciu. Czuję je zwłaszcza po nocy, nad ranem, kiedy się wyleżę dobrze i kiedy ręka pozostaje bez ruchu. Różnych próbowałem sposobów na ten wrzód – przykładalem okłady z ichtiolu, potem z sody, potem z maści specjalnej, w którą wchodzi miód, masło, mąka, cebula etc., potem za poradą lekarską – z wódki, raczej z samogonu, wreszcie – z maści czarnej, którą przed dwoma laty używałem do nóg odmrożonych. Wszystko to mało pomagało. Otwór wrzodu zasychał a w głębi łokcia i do pół drogi pod pachą wyrzekał guz bolesny. Dopiero przed kilku dniami Buba poradziła zawijać łokieć w świeże liście czarnej olchy. Skutek doskonały. Otwór wrzodu jest ciągle mokry, materia się sączy, nocami odchodzi obrzękłość głęboka od łokcia. Zwrot na lepsze czuję wyraźny.

Nic innego dziś już notować nie będę.

27 sierpnia, rok 1944, niedziela

Kiedy za czasów niemieckich słysząc było odległą kanonadę albo wybuchy bomb, to nazywało się, że na tyłach swoich Niemcy tępią bandy leśne, partyzantów sowieckich. Aż pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że front jest pod nosem i wtedy rozpoczęła się już kanonada i bombardowanie na dobre. Kiedy teraz słyszymy odległą (nawet niezbyt odległą) kanonadę i wybuchy, to się nazywa, że żołnierze sowieccy wysadzają miny, pozostawione przez Niemców. Nie chcę nic przesądzać, tylko stwierdzam, że huk dochodzi wciąż z jednej strony – od zachodu, nawet raczej od południowego zachodu, podczas gdy wysadzanie min powinno by się odbywać ze wszystkich stron.

Dużo dziś wieści posłyszałem o nowinach wojennych i politycznych. Wypadki są niemałe miary. Co do ofensywy sowieckiej, to na razie ona się, zdaje się, wyszeptała. Na terenie bałtyckim jest nawet pewne nasilenie niemieckie, ale nie tak wielkie, żeby można było mówić o ofensywie niemieckiej. Zajęcie ponowne Kowna przez Niemców nie potwierdza się, natomiast Szawle są, zdaje się, istotnie znów w ręku niemieckim. Od Szawel Niemcy się przebijają bodaj na Birze na połączenie z armią niemiecką w Łotwie. Mówią, że niemiecka armia łotewska nie jest odcięta, bo Sowiety do morza nie dotarły i wzdłuż morza jest pasek połączenia bezpośredniego. Pod Rezekną (Rzeżycą) i w kierunku na Psków Niemcy trzymają się mocno. We Francji Anglicy zajęli już Paryż, a z drugiego desantu, który miał miejsce w okolicy Bordeaux, wojska anglo-amerykańskie i ewentualnie francuskie posunęły się daleko i mają już zajętą Marsylię, Lugdon (Lyon) itd. i zbliżają się do granicy szwajcarskiej. Marszałek Pétain z Lavallem uciekł do Metzu. We Włoszech postępów nie ma. Front jest na rzece Arno. Bardzo ciekawe natomiast zachodzą rzeczy na Bałkanach. Sojuszniczka Niemiec Rumunia nie tylko zerwała sojusz, ale wypowiedziała Niemcom wojnę. Ta zresztą zawsze była i jest spekulanką, przerzucając się tam, gdzie się przerzuca siła. Sama jako siła bojowa jest mało warta. Zdrada Rumunii, która zresztą była zgwałcona przez Niemców, może być dla Niemców bolesna, odcinając ich wojska w Grecji i izolując od Bułgarii. Oczywiście Niemcy, ile będą mogli, będą trzymać Rumunów w karchach, zwłaszcza źródła nafty w Ploeszti. Podobno w kombinacjach politycznych sowiecko-angielsko-amerykańskich zupełnie negowane są Węgry, które niczego się od tych sojuszników spodziewać nie mogą. Tragiczna jest na razie sytuacja Polski, raczej Warszawy. W Warszawie, do której Sowiety nie dotarły (choć podobno są na Pradze), wybuchło powstanie, które Niemcy niesłychanie okrutnie tępią z dział i samolotów. Ludzi masowo całymi dzielnicami Niemcy wywożą z Warszawy do okolic podmiejskich, w których skazani są oni na literalny głód. W Lublinie witano Sowiety i rząd komitetu Osóbki-Morawskiego z niesłychanym entuzjazmem. Nigdy jeszcze i nigdzie Sowiety nie były tak honorowane jako wybawcy i rzecznicy wolności, jak w Polsce. Witano ich kwiatami, duchowieństwo wychodziło na ulicę i błogosławiło armię sowiecką.

Był dziś Hektor Komorowski. Przyszedł pieszo z Kowaliszek. Dużo ciekawego ze swych spostrzeżeń i rozumowań sumuje. Był też Balys Boreišis. Bierze nam dwie świnki, które utuczy i podzieli się z nami po połowie. U nich podczas działań wojennych zabrali świnię, a u nas świnię są, ale tuczenie nie będzie tak skuteczne, jak u nich. Ogierek dwulatek, któregośmy u Niemców wymienili na starą klacz Čigonę, zachorował nagle. Stracił nogi, upadł i leży. Chce wstać, próbuje, ale tył ma bezwładny. Nie wiem, czy się go da uratować.

28 sierpnia, rok 1944, poniedziałek  
Mało mam czasu na dziennik.

Przyjechało dwóch żołnierzy sowieckich. Posłali po seniunasa i sami położyli się koło domu Mieczkowskich. Rozeszła się pogłoska, że będą robili we dworze jakąś rewizję. Okazało się jednak potem, gdy się stawił seniunas, że przyjechali po robotników. Zażądano 50 ludzi do robót, kazano każdemu wziąć ze sobą żywności na pięć dni. Podobno na robotę gdzieś powiozą kolejną. Z dworu żadnych robotników seniunas nie wyznaczył, bo tu dużo roboty w polu a sił roboczych mało. Po trochę zaczęli się zbierać ludzie z zaścianków, wyznaczeni do tych robót. Wyprowadzono ich jedną partią, ale całego kompletu pięćdziesięciu nie nabrano. Będą kompletować jutro.

Znowu wezwano do stawienia się mężczyzn, których roczniki się mobilizują. Jest to powtórne wezwanie. Wszyscy wezwani zdecydowani są nie stawiać się. Z kół sowieckich zapowiadają, że tych, co się teraz nie stawiają, będą łapać. Co będzie dalej – zobaczymy. Nie jest łatwo złamać opór bierny, zwłaszcza gdy się chce utrzymać wrażenie postępowania łagodnego, nie drażniącego stosunków i opartego rzekomo na sympatiach ludności, ale niełatwo też wytrwać konsekwentnie w masowym oporze biernym, gdy się zaczną łapania i represje. Jednak już za czasów niemieckich opór bierny został wypraktykowany przez Litwinów i wrósł w ich krew i kość. Toteż mam wrażenie, że nie ustąpią prędko i że zrodzi się stąd uchodźstwo litewskie do lasów i kto wie, czy nie nowa partyzantka.

29 sierpnia, rok 1944, wtorek

Od szeregu dni Jadzia chciała zawieść Żermenę do lekarza, bo znowu jest u niej wysypka (Jadzia obawia się, czy to nie świerzb), ma katar i kaprysi. Jednocześnie chciała się i sama zaradzić, czy nie ma świerzbu, a wreszcie chodziłoby o paradę i o mój wrzód czy guz w łokciu, który chociaż w ostatnich dniach już zawrócił na lepsze, jednak jest jeszcze bardzo daleki od wyzdrowienia. Namyślaliśmy się, czy jechać do Abel do Kozłowskiego czy do Wienażyńskiej w Rakiszczkach, czy do Rakiszek. Zdecydowaliśmy się na Wienażyńską i wreszcie dziś po obiedzie wybraliśmy się. U Żermeny nie jest to świerzb, ale u mnie wrzód w łokciu jest podług Wienażyńskiej złośliwy, który ona kwalifikuje jako karbunkułowy. Radzi kategorycznie, żebym jechał do Rakiszek i żeby mi tam lekarz przeciął głęboko ten wrzód dla wypuszczenia materii, inaczej bowiem materia z głębokich źródeł tego wrzodu będzie się jeszcze sączyła po trochę tygodniami albo i miesiącami i poza tym zachodzi obawa, że z cząstek tej materii, przeniesionych gdzieś w inne miejsce, może się gdzie indziej wytworzyć nowy nie mniej bolesny wrzód. Tak trzeba też będzie zrobić.

Nie mieliśmy czym zapłacić p. Wienażyńskiej. Honorium zażądała 5 czerwoniców. Nie mamy czerwoniców wcale. Jadzia miała jednego czerwonia z dawnych czasów i wczoraj sprzedała Andrzejowi za 2 czerwonce ser. Całe więc nasze bogactwo – to 3 czerwonce. W ogóle pieniędzy nikt nie ma. Marki, czyli Reichsmarki, przestały kursować, odkąd Niemcy odeszli, a czerwoniców nikt nie miał i nie było dotąd ich dopływu. Przez cały sierpień obszedłem się bez pieniędzy. Zresztą nie ma co kupić, a sprzedawać też nie ma, wszelkie zaś stosunki wymienne prowadzą się w drodze wymiany bezpośredniej w naturze. W miastach pieniądze już się trochę znajdują i wchodzi w ruch (czerwonce, ruble). Teraz będą już po miasteczkach na wsi targi i wolna sprzedaż produktów, więc się po trochę i pieniądze znajdują, i ceny siako tako uregulują.

W Rakiszkach zwrócę się do młodego lekarza Vaitoški, który dopiero tam praktykę odbywał. Z lekarzy rakiskich jedni z najważniejszych – chirurg Čerškus i internista Petrikas – uciekli pono do

Niemiec. Stary Žemaitis siedzi u siebie na wsi gdzieś pod Birżami. Ma podobno wrócić, ale dotąd go nie ma. Inni też umknęli. Pozostał tylko młodziutki Vaitoška i jeszcze jeden młody, bodaj czy nie Borkowski. Vaitoška jest na razie kierownikiem szpitala w Rakiszkach. Stanowisko organizatorki i kierowniczkę całej służby lekarskiej na powiat rakiski objęła młoda Żydówka, która wróciła świeżo z Moskwy. Mówi ona dobrze po litewsku, pochodzi z Litwy i ma dyplom uniwersytetu w Kownie. Od Wienażyńskiej też żądają, żeby zamieszkała w Rakiszkach i objęła poradnię „Matki i Dziecka”. Opiera się ona temu, chciałaby pozostać w Rakiszczkach, ale zapewne będzie zmuszona ulec. Wszystkie siły lekarskie w powiecie mobilizują się i dyscyplinują. W Rakiszkach jest czynna jedna apteka.

30 sierpnia, rok 1944, środa

Za okupacji niemieckiej baliśmy się nocnego najścia bandytów z band leśnych. Byli to czasem partyzanci komunistyczni, którzy zgłaszali się po niezbędną żywność, biorąc ją od sympatyków i rekrutując przymusowo od innych, czasem zaś pospolici rabusie, okradający nocami ludność z ubrania, obuwia i środków żywności. U nas takie napaści zdarzały się tylko epizodycznie, rzadko i zawsze bez rozlewu krwi. Na Białej Rusi i poniekąd w Wileńszczyźnie było gorzej. Tam napadom tym towarzyszyły zwykle zabójstwa, podpalenia, czasem przymusowe sprowadzanie ludności męskiej do lasu. Teraz mamy co innego. Najścia nocne są częste po zaściankach, napadają zaś żołnierze sowieccy, celem zaś napaści jest wódka. Cała armia sowiecka jest podminowana nałogiem pijaństwa. Za wódkę żołnierze i oficerowie gotowi są na wszystko. Żołnierze linii frontu są względnie porządniejsi, ale już wiele gorsi są pod tym względem NKWD-yści, którzy postępują zaraz za frontem. Ich władza jest bardzo wielka, toteż i nadużycia ich są większe, mimo że cała armia sowiecka ma na ustach twierdzenie, że rabunek u nich jest radykalnie zabroniony i że za rabunek i kradzież żołnierzowi grozi bezwzględnie rozstrzelanie. Każdy z nich to powtarza, każdy z nich się tym szczyci, każdy zwykle rozpoczyna rozmowę od tego, czy nie było jakiego wypadku rabunku ze strony żołnierzy sowieckich. Od tego zwykle rozpoczynają rozmowę nawet ci, którzy sami w celu rabunku przychodzą. Hipokryzja jest pod tym względem ogromna i obrzydliwa. Ale teraz zaczynają się już pokazywać jakieś grupki niewyraźne, złożone częściowo niby z NKWD-yistów i może z dezenterów bez określonego przydziału. Jedni z nich mają uzbrojenie, inni – nie. Może to czoło tych band dezenterów, o których słychać, że grasują na tyłach frontu sowieckiego. Łażą takie szajki nocami po zaściankach, domagają się wódki, przy okazji rabują co się da – z ubrania, z wiktuałów, ze sprzętów, cokolwiek bądź, co się pod rękę trafi. Czasem chwytają i konia i wóz, który potem porzucają. Takich gości mieliśmy i my tej nocy. Jadzia mię obudziła w nocy, że za oknem słyszała rozmowę ludzi. Wstałem, otworzyłem okno, posłuchałem. Cicho. Aż w tej chwili z korytarza przybiega pod nasze drzwi służąca Helena Malcówna, która śpi na kanapie w pokoju jadalnym, że tam jacyś żołnierze uzbrojeni dobijają się do drzwi. Nałożyłem szlafrok i wyszedłem. Weszło trzech żołnierzy. Z nich dwóch uzbrojonych w karabin i automat. Zażądali lampy. Usiedliśmy z jednym z żołnierzy w uniformie NKWD. Dwaj inni stali i przechadzali się po pokoju. Żołnierz zaczął mię prosić, żebym dał wódki i papierosów albo tytoniu. Odpowiedziałem, że ani wódki, ani tytoniu nie mam, bo ich żołnierze zabrali. Jadzia proponowała mleka. Mleka nie chcieli. Żołnierz zaczął twierdzić, że słyszał, iż wódkę mam, że jeżeli nie dam, to będą szukali. Perspektywa szukania nie jest wesoła, zwłaszcza w nocy, bo choć wiem, że wódki nie znajdą, jednak przy szukaniu ukradną wszystko, co się im pod rękę podwinie. Oponowałem i zapewniałem, że wódki nie ma. Jednak zaczęli szukać w bufecie w pokoju jadalnym. Oczywiście nie znaleźli nic prócz pustych butelek i skradli kawał słoniny. Ale wreszcie złość mię wzięła, bo mogliby jeszcze zachcieć szukać po całym domu w nocy. Zaprotestowałem, że to rabunek i bezprawie, za które grozi im rozstrzelanie, a jeżeli korzystają z tego, że są uzbrojeni, to tylko akcentują gwałt i tym bardziej są winni i plamią honor armii sowieckiej. Gdym ich w oczy bez ogródek nazwał rabusiami, zagniewali się i oni, pytając, cóż mi zrabowali? Nie zrabowali, bo nie znaleźli, ale że szukali, żeby zabrać, to już jest akt rabunku, bo wódka jest majątkiem prywatnym. Odgrązali się, że jutro (to znaczy dziś) przyjdą już we dnie i mnie

zaaresztują za to, że ich nazywam rabusiami. Ale mój ton podniesiony i ostry poskutkował. Wynieśli się. Już kilka nocy po okolicznych zaściankach grasują ci sami, sądząc z ich opisu. Byli i rabowali u Bojera, u Linarta, u Balysa Čepasa, u Adeli Jankowskiej, u Baltrukėnasa, u Keliašiusów, u Jasiniewicza... Skarżono się już na nich w komendanturze w Abelach, ale trudno ustalić, kto to są i gdzie mieszkają. W debacie ze mną wstydziłem się, że oni „głowy kładą” za nas, a my dla nich wdzięczności nie mamy. Jeżeli głowy kładą, to mają w tym swoje własne wyrachowanie, chcą bowiem Litwę zabrać, a zresztą tacy tyłowi rycerze nocni, którzy się uganiają tylko za wódką, w ogóle głowy za nikogo nie dadzą.

31 sierpnia, rok 1944, czwartek

Nic bardzo szczególnego.

Koniec sierpnia. W gospodarstwie, mimo powszechnego braku robotnika, sprzęt plonu postępuje u mnie lepiej, niż w roku ubiegłym. Trzeba uwzględnić i brak koni, i to, że w czasie działań wojennych na parę tygodni roboty były ustały zupełnie. Za forsowanie robót w gospodarstwie płaci biedny Gaj.

Sowiety nie tykają dotąd ustroju gospodarczego u nas. Pod tym względem dotąd żadnych radykalnych reform, żadnego łamania stosunków. Formy gospodarcze, dyscyplina pracy, uszanowanie właściwości – wszystko nietknięte.

1 września, rok 1944, piątek

Wrzesień. Jesień się zbliża. Grozi zimno, a okna nieopatrzone, szyby, wybite przy bombardowaniu z samolotów, nie wstawione. Trzeba będzie się tym zająć, ale nie wiem, czy mi z dubeltów wystarczy szkielec na oszklenie znośne zamieszkałej części domu. A zresztą sam nie wiem, jak spędzimy zimę – tu czy w Wilnie? Nie ma na kogo zostawić Bohdaniszki, a porzucić je bez żadnej opieki na łaskę losu niepodobna, bo przecie poza majątkiem nieruchomym, którego los jest niewiadomy, jest tu i pewien nasz dobytek ruchomy, stanowiący teraz główny fundusz nasz i dzieci. Wyjechać całą rodziną do Wilna też trudno, bo w Wilnie głodno, nie ma dla dzieci mleka, niebezpiecznie, nie wiadomo jak z mieszkaniem, z opałem... Pozostawić zaś tu Jadzię z dziećmi, a samemu mnie siedzieć w Wilnie na uniwersytecie to znowu źle, bo i Jadzi samej tu ciężko, i mnie samemu w mieście bez opieki coraz ciężiej. Słowem – wszystkie kombinacje są trudne i nic nie wiadomo jeszcze, jak się na zimę urządzić zdołamy. Kiepska to jest rzecz starość. Jedyne, co w niej jest dobre, to że zabezpiecza od mobilizacji i wysyłania na roboty przymusowe.

Zaczynają przychodzić listy od wygnańców, których Sowiety wywiozły w roku 1941 z kraju na wschód i od których byliśmy oddzieleni murem frontu. Teraz ci wygnańcy masowo piszą do swoich krewnych i przyjaciół w kraju. Słyszałem, że poczta w Abelach jest pełna tych listów. Wczoraj otrzymałem i ja jeden list taki – od Pejsacha Rucha, Żyda rakiskiego bogobojnego, niegdyś bogatego kupca, pochodzącego zresztą z drobnej rodziny kolonistów żydowskich w Kurkleciach. Ceniłem i lubiłem Pejsacha i osobiście łączyły mnie z nim serdeczne przyjemne stosunki. Pejsacha Rucha z żoną, z córką Basią i jednym z synów bolszewicy w czerwcu r. 1941 wywieźli na wschód. W swoim czasie biedny Pejsach bardzo boleśnie odczuł to wywiezienie, ale w wyrokach Boskich, w których interwencję wierzy on niezłomnie, okazało się to dla niego osobiście i dla tej części jego rodziny, którą wraz z nim wywieźli, zbawienne, bo gdyby ich nie wywieźli Sowiety, to ulegliby oni wraz z całą masą Żydów miejscowych straceni masowemu, które Niemcy Żydom zgotowali. Pejsach jest teraz aż w Kraju Ałtajskim, w głębi Azji. Jego list, wysłany 31 lipca, otrzymałem 30 sierpnia. List pisany po rosyjsku. Pejsach mnie pozdrawia, zwraca się jak do przyjaciela, prosi o wiadomości o synach, którzy tu pozostali, i prosi o zakomunikowanie im jego adresu. Trudno to skutecznie. Przez cały czas okupacji niemieckiej Żydzi, którzy jeszcze ocalali w trzech gettach – w Wilnie, w Kownie i w Szawlach – byli radykalnie izolowani od nas i trudno przeto było coś o nich wiedzieć. Słyszałem dziś w Rakiszkach, że synowie Rucha nie byli w r. 1941 w Antonoszu i nie ulegli tam masowemu straceni z Żydami rakiskimi i abelskimi; podobno dostali się do Kowna i siedzieli tam w getto. Czy

jednak ocalali dotąd i są żywi – tego nikt nie wie. Przypuszczają, że Niemcy przed cofnięciem się wytępilli resztki Żydów po gettach szczątkowych. Mogli więc ocaleć, jeżeli zdołali uciec i gdzieś się ukryć, jeżeli mieli ewentualnie dużo złota. Ale gdzie się dziś o nich można dowiedzieć. Żydów miejscowych prawie już nie ma. Nie tworzą oni żadnej społeczności lokalnej. W Rakiszkach, w Abelach nie ma ich wcale.

Byłem dziś w Rakiszkach. Chodziło o ewentualnie przecięcie mi wrzodu na łokciu. Trafiłem do młodego lekarza Ingelavina. Nie przeciął, bo po pierwsze nie ma narzędzi (wszystkie narzędzia chirurgiczne zabrali lekarze armii sowieckiej, a po wtóre uznał, że wrzodu przekroić nie można, bo jest na samej kości, a zresztą już pękł i sam się stopniowo wysycha.

2 września, rok 1944, sobota

W ostatnich dniach nie mieliśmy gości wojskowych sowieckich. Nawiedzają oni Bohdaniszki teraz tylko w związku z nabieraniem ludzi do robót na kolei żelaznej. Do robót tych z naszej seniuniji dużo ludzi się wyznacza. Idą do robót na 4-5 dni. Seniūnas z pomocnikami spędza ludzi po zaściankach, w Bohdaniszkach na trawniku we dworze Mieczkowskich zbiera się partia spędzonych i stąd po 2 żołnierzy pędzi taką partię do Abel. Jedzenie trzeba brać ze sobą swoje.

Upłynęły dni, wyznaczone do ponownego stawienia się w Rakiszkach do mobilizacji dla tych, co się za pierwszym razem nie stawili. Wszyscy podlegający mobilizacji otrzymali tym razem wezwanie imienne do stawienia się. W wezwaniach wskazano też karę, grożącą za nie stawienie się. Nie słysząc jednak, żeby ktokolwiek usłuchał wezwania i stawili się. Za pierwszym razem niektórzy, choć bardzo nieliczni (Moskale-starowierzy, niektórzy robotnicy dworscy, sympatycy komunizmu), stawili się, ale teraz, ponieważ to już dotyczy opornych, stawiennictwo spadło do zera. Słyszałem, że w prasie litewsko-sowieckiej i przez radio Sowiety chwala, że młodzież litewska rwie się do wojska sowieckiego, które oswobodziło Litwę, i że Stalin wyrażał z tego powodu swoje zadowolenie. Jest to oczywiście propaganda na stwierdzenie, że Litwa chce być i pozostać sowiecką i że patriotyzm litewski utożsamia się z patriotyzmem sowieckim. Ale dlatego też trudno byłoby teraz Sowietom reagować ostro i bezwzględnie przeciwko bojkotowi mobilizacji przez Litwinów. Po pierwsze Sowietom nie jest teraz na rękę przyznawanie się do tego, że mobilizacja w Litwie się nie udała i że trzeba wykonywać ją tylko środkami gwałtownej represji. Ujawniłoby to istotne usposobienie Litwinów i osłabiałoby tytuły sowieckie do Litwy. Po drugie zaś użycie represji w stosunku do Litwy zaprzeczałoby zasadzie łagodnej metody rządzenia, do której się Sowiety zobowiązały i którą chcą istotnie demonstrować konsekwentnie. Mobilizacja metodą represji, rozstrzeliwania etc. – to by było kompromitujące dla Sowietów.

3 września, rok 1944, niedziela

Miałem dziś znowu przygodę z żołnierzem sowieckim, który przyjechał spędzać ludzi do robót na kolei i siedzi, jak zawsze, na punkcie zbornym we dworze u Mieczkowskich, zanim się partia robotników nabierze. Żołnierz poszedł do naszej części starego ogrodu owocowego i trząsł jabłka z drzewa. Prawie cały plon tegoroczny jabłek naszych jest już wytrzęsiony i zrabowany. Usiłujemy jeszcze choć małe resztki zebrać. Poszedłem więc molestować żołnierza, aby zaniechał wytrząsania jabłek. Żołnierz był pijany. Napadł na mnie wściekle, przezywał od „pomieszczyków”<sup>2</sup>, łąał jako takiego; z ust jego płynął potok złośliwy słów, skierowany do pognębienia mnie, jako nicponia „pomieszczyka”, który umie tylko wyzyskiwać innych i hodować brzuch własny, a jednocześnie wychwalał siebie jako partyjnego komunistę i rzekomego „gieroja *Sowietskogo Sojuza*”<sup>3</sup>, wskazywał, że teraz i Litwa, i te jabłka nie są moje, jeno są sowieckie i że Sowiety przynoszą wolność i życie robotnikom, nie zaś „pomieszczykom”, których nie potrzebują. Podniecił się tak, że w końcu już tylko wykrzykiwał frazesy stereotypowe, jak „*Dolój faszistow!*”<sup>4</sup> „*Smert’ niemieckim*

<sup>2</sup> *Pomeszczik* (ros.) – obszarnik.

<sup>3</sup> Bohater Związku Radzieckiego – najwyższe odznaczenie sowieckie.

<sup>4</sup> *Dolój fasisztow!* (ros.) – Przecz z faszystami!

*okupantom!*” itp., co to ni przypiął, ni przylatał. Trudno w takich warunkach i argumentach dyskutować. I w ogóle co człowiek może mówić, kiedy mu się usta zamyka etykietką klasową, na którą nie ma argumentu. Człowiek czuje się upokorzony, bezbronny, jak zwierzę szczute. „Pomieszczyk” – i wszystko. Nie możesz pisać, nie możesz ust otworzyć, bo jesteś z góry potępiony szablonem, na który nie ma apelacji. Cokolwiek byś mówił – wszystko na nic, bo w twojej osobie jest nie człowiek żywy, który myśli i czuje, jeno figurant klasy społecznej, zakwalifikowanej z góry jako podła i fałszywa. Wobec deklamatorów sowieckich „burżuj”, „pomieszczyk”, „kułak” jest zupełnie tak samo sponiewierany, jak Żyd w obliczu rasistów niemieckich. Jesteś Żyd – to już cię mamy i słuchać cię nie potrzebujemy, boś nie człowiek. Tutaj zamiast „Żyda” jest „burżuj”, „pomieszczyk”, „kułak”...

4 września, rok 1944, poniedziałek

Dzień niepokoju i trosk. Przede wszystkim, rano zgłosił się Przytułski z Gaczan, rządca czyli „dyrektor” dworu rządowego („sowchozu”) w Gaczanach. Miał on to stanowisko za Niemców, pozostał, kiedy Niemcy uciekali i utrzymał się przy Sowietach. Przytułski zgłosił się po konia białego, którego nam Niemcy zostawili, zabrawszy kilka naszych koni. Za tego konia, którego nazwałem Fenigiem, zapłaciłem Niemcom (żołnierzowi niemieckiemu) 7 kilo słoniny. Był to niemiecki handel cudzymi końmi. Okazało się, że koń pochodzi z Gaczan i jest własnością rządową. Musiałem oddać konia. Strata to dla nas bardzo wielka. Pozostają nam trzy konie, z których tylko jeden, Czyżyk, jest młody i dobry, dwa inne zaś – Czewierikas i Figa – stara, bez nóg, nie jedzą zimą, inwalidy do wybrakowania.

Druga rzecz. Po obiedzie rozeszła się wiadomość, że większa własność ziemską już się parceluje. Sklypininki, którzy mieli parcele udzielone w roku 1940 i 1941, zostali wezwani do Abel. Pobiegli do Abel nie tylko ci sklypininki, ale też inni, którzy spodziewają się i chcą dostać parcelę. Pobiegł więc od nas i Novikas, pojechał nawet ekonom Adamowicz. Między Novikaszem a Adamowiczem wynikła nawet wielka kłótnia, jedna z tych homerycznych, jakie między nimi wybuchają; jeden drugiemu złorzeczył, skarżył, oskarżał sabotażem. Ale na razie chodziło tylko o byłych sklypininków, nie zaś o nowych. Dowiedzieliśmy się, że dawnym sklypininkom pozwolono wrócić zaraz do posiadania swoich sklypów i nawet korzystania z tego, co tam rośnie, jeżeli tylko w roku 1941 sklypininkas był wyrzucony bez wynagrodzenia i bez plonu. Trzeba będzie jutro pojechać do Abel i dowiedzieć się, jak to jest w istocie.

5 września, rok 1944, wtorek

Pojechałem z Jadzią do Abel do gminy dla wyjaśnienia problemu sklypininków. Informował nas w gminie Stašelis, który sam jest, zdaje się, prezesem gminnego komitetu czy wydziału reformy agrarnej. Dawni sklypininki mogą wracać na swoje sklypy, a w nich brać dla siebie urodzaj tylko o tyle, o ile byli w roku 1941 wyrzuceni bez żadnego rozrachunku i układu. Jeden z naszych sklypininków, Józef Podolski (raczej jego żona), zapowiadał już, że dziś odbierze od nas ogierka trzylatka Czyżyka jako swojego. Rzeczywiście, w roku 1941 na wiosnę Podolski był kupił od nas klacz Dubisę ze źrebięciem Czyżykiem. Gdy się potem likwidowały za okupacji niemieckiej sklypy, odkupiłem na zasadzie czasowej dobrowolnej od Podolskiego klacz Dubisę ze źrebięciem, nie tylko zwracając mu pieniądze, które był zapłacił, ale oddając mu cały, bardzo w tamtym roku obfity, plon owoców ze starego ogrodu, który był na sklypie Podolskiego. Z tego plonu owoców Podolski miał wtedy do kilkunastu tysięcy rubli dochodu, co wtedy stanowiło jeszcze dobry pieniądz. Sądzę więc, że pretensji do Czyżyka Podolski nie będzie mógł uzasadnić. O ile z innym sklypininkasami będą u nas jakieś spory, których dobrowolnie ułożyć nie będziemy w stanie, to rozjemcą będzie komisja gminna. Dobrze, że na czele tej komisji stoi, zdaje się, Stašelis, bo to człowiek uczciwy. Novikas usiłuje jątrzyć i agitować sklypininków przeciwko dworowi, zapowiadając, że ziemi dostaną tylko 5 hektarów gdzieś w krzakach na końcu pola i bez domu mieszkalnego, i ciesząc się ze słodkiej dla niego perspektywy poniżenia dworu. Chciałby on, żeby sklypininki rozdrapali dwór i całe dobro.

Skąd i dlaczego u niego taka złość dla nas – trudno zrozumieć. Coś jak mania chorobliwa. Zdaje się, że nasi sklypininki nie bardzo są skłonni do wojowniczości. Słysząc nawet, że jeden z nich – Jan Jodelė – ten, który najbardziej komunistycznie jest usposobiony, ale jest człowiekiem z głową i uczciwym – podobno wcale się do swego byłego sklypu u mnie nie zgłasza. Nie wiadomo też jeszcze, czy się zgłoszą Bieliunas i Romanowski, którzy mieszkają daleko. Potem, o ile ziemi do dyspozycji będzie, nadzielane będą nowe sklypy, ale tym razem mają one być nie mniejsze od 10 ha i nie większe od 15 ha. Byłemu właścicielowi może być zostawione do 30 ha, o ile majątek się parceluje, bo o ile się nie parceluje, jeno w całości ma utworzyć sowchoz, o tyle byłemu właścicielowi nic się nie zostawia. Zasada, jak powiada Stašelis, ma być taka, że gospodarstwa do 150 ha parcelują się, większe ponad 150 ha – przeznaczają się na gospodarstwa państwowe. Stašelis powiada, że mnie może być zostawione i więcej niż 10 ha, które miałem w r 1940-1941, choć to ja jeszcze sam nie wiem, czy warto, bo gospodarstwa prywatne 30-hektarowe będą uchodziły za kułackie i będą specjalnie traktowane po macoszemu. 10 ha może bezpieczniej. Jeżeli były właściciel skrzywdził sklypininków po przyjeździe Niemców, jeżeli był ciężki dla ludności, jeżeli bardzo się wysługiwał okupantom, to może mu być zostawiona i mniejsza norma, np. 5 ha, i nie w centrum, bez domu mieszkalnego. Sądzę, że w pewnych okolicznościach może być nawet zupełnie wyrugowany z ziemi. Konkretnie reformę agrarną w każdym podlegającym reformie gospodarstwie będzie wykonywać komisja gminna czy powiatowa.

Mam nową biedę ze zdrowiem. Ciągłe mi teraz coś bardzo wielkiego i nieznośnego dokucza. Przez cały miesiąc męczył mię wrzód w łokciu. Teraz to się już goi, ale za to okazała się nowa rzecz. Wybrzękło mi i rozboleło się gardło – gruczoły gardlane. Jest jakiś stan zapalenia. Nie mogę przełykać, nie mogę nic jeść. Ból jest wielki i nieznośny. Zachodziłem w Abelach do dr Kozłowskiego. Nie poznał się i bagatelizował chorobę. Jego środki nic nie pomogły. Jest mi coraz gorzej.

6 września, rok 1944, środa

Nie wstawałem z łóżka. Z gardłem coraz gorzej, już nie mogę mówić wyraźnie, tylko bełkoczę z trudem. Nie ja jeden choruję na gardło. Dokoła wielu ludzi choruje. Jan Sadowski, syn leśnika z Prapultini i Krasowski zalokowali się na gardło w szpitalu rakiskim. Wielu innych choruje. Najgroźniej się rzecz przedstawiła, gdy pod wieczór przysłała wiadomość, że Jan Sadowski w szpitalu rakiskim zmarł. Elwira i Jadzia przeraziły się. Posłaliśmy dziś jeszcze po dr Kozłowskiego do Abel, który zrobił parę zastrzyków, obejrzał, zalecił zachowanie się odpowiednio. Mam gorączkę. Po wzięciu aspiryny ulżyło mi na czas pewien, ale nie na stałe. Mogłem trochę zjeść. Bardzo bolesna choroba.

Przychodził Bieliunas. Twierdzi, że sklypu swego brać nie chce. Byłyby więc dwa sklypy u mnie wakujące – Bieliunasa i Jodeli.

7 września, rok 1944, czwartek

Jestem zupełnie chory. Cały dzień leżę. Polepszenia w gardle żadnego. Od co najmniej tygodnia nic właściwie nie jem, bo nie jestem w stanie przełykać. Co najwyżej wypijam na dzień może jedną szklankę gorącego mleka. Suchych pokarmów bezwzględnie przełknąć nie mogę. Najgorzej z chlebem. Toteż chleba jeść nawet nie próbuję, choć apetyt na chleb miałbym. Czuję się bardzo osłabiony i zmęczony. Miałem dziś gorączkę. Rano – temperatura normalna, o południu – ponad 38°, wieczorem 39°. Jadzia doszła do przekonania, że u mnie formuje się w gardle, a raczej w ustach gardła – między gardłem a lewym uchem – wrzód, toteż się uspokoiła, bo nie będzie to groziło komplikacjami, gdyż wrzód powinien pęknąć albo w ustach, albo pod uchem na zewnątrz, a w każdym razie nie w gardle. Mnie się tworzyła w głowie cała teoria tej choroby, przystosowana do mechaniki łapania młodzieży, uchylającej się od mobilizacji.

8 września, rok 1944, piątek

Wczoraj na noc nastąpiło u mnie w mojej chorobie gardła przesilenie. Coś się przesiliło. Gdy Jadzia wzywała na kolację i pytała, czy coś jeść będę, mając przyrządzony ewentualnie dla mnie kalafior na maśle, poczułem jakoś, że będę mógł forsować przełykanie. Było w tym trochę poczucia ulgi w przełykaniu, ale także jakaś decyzja przemożenia choroby. Co prawda, kalafioru, który mi przyniosła Jadzia, po paru łyżeczkach zaniechałem, ale mleko gorące wypilem – lepiej, niż innych dni i jeszcze poprosiłem o mleko surowe, które z łatwością piłem. Było to bardzo małe polepszenie, ale wlało mi ono otuchy i nappełniło jakimś spokojem. Miałem wtedy gorączkę. Trochę majaczyłem w nocy, ale noc tę przebyłem pod przyjemnym wrażeniem zwycięstwa nad chorobą, co też sił dodaje. Z wieczora usiłowałem wytłumaczyć Jadzi ułożoną w gorączce teorię o chorobie gardła, związanej z organizacją przez Sowiety łapania uchylających się od mobilizacji. Naturalnie, że nic z tego wyłożyć Jadzi nie byłem w stanie i że gdy tę moją teorię próbowałem przetopić na słowa, to stawałem bezradny, nie wiedząc, co mówić. To, co w majaczeniu gorączkowym wydawało się tak ścisłe, wyraźne i dobrze zbudowane, w formie słów gdzieś się załamywało, że sam się nie mogłem połapać w wątku. Wchodziła tu w grę i awiacja, jakieś grupy lotnicze czy samoloty, rozdzielające się na kilka czynności z przyrządami do każdej i w ogóle jakaś mistyka wciągania ludzi do akcji polityczno-lotniczej, nie rzucając z miejsca ich ciała, napiętnowanego tylko chorobą gardła jako wyrazem tej akcji. Ale jak się to wszystko wiązało, co miało wspólnego – tego bym i sam nie określił. Przez noc delektowałem się poczuciem rekonwalescencji, czułem się już mocny, majaczyło mi, co będą we dnie robić, mówić itd., zdawało mi się, że jestem już silny zupełnie jak człowiek młody może być silny. Rano nastąpiło pod tym względem pewne rozczarowanie. Po głodówce prawie że tygodniowej, kiedy nic przełknąć, a przeto i jeść nie byłem w stanie, po gorączce wysokiej dwóch dni ostatnich, po leżeniu w łóżku byłem mocno osłabiony. Gdym wstawać i ubierać się próbował, pot zimny znowu mię powalił do łóżka i Jadzia odradziła wstawanie. Ale z gardłem lepiej stanowczo. Mogłem dziś nie tylko pić, ale i jeść, to znaczy przełykać pokarmy twarde. Pewien ból przy przełykaniu jest jeszcze, ale już znacznie lepiej. Odchodzi też obrzękłość twarzy pod brodą i pod uszy. Większą część dnia jednak przeleżałem. Zwłaszcza po obiedzie miałem czas bardzo wypełniony wizytami odwiedzających. Była Adela Jankowska z plotkami, był smutny płaczący ojciec, osierocony przez młodego syna w kwiecie wieku, stary leśnik Józef Sadowski z Prapultini, którego syn Jan umarł w szpitalu w Rakiszkach na chorobę gardła, podobną do mojej, był także – i to była wizyta najistotniejsza – Bulavas, nasz z czasów sowieckich r. 1940-1941 prorektor. Bulavas przyjechał lekkim automobilem z Kowna i Wilna (w Kownie stanął na czele komisji planowej, w Wilnie wrócił do naszego uniwersytetu, tylko już nie jest prorektorem). Jedzie do swojej rodziny, po drodze zajechał do mnie, bo w uniwersytecie wileńskim żadnych wieści o mnie nie było, za dwa dni wraca do Kowna i Wilna. Proponował i mnie zabrać automobilem do Wilna, ale stan mego zdrowia na to nie pozwala. Jutro napiszę o jego wizycie i nowinach od niego.

9 września, rok 1944, sobota

Do obiadu byłem jeszcze słaby. Długo nie tylko chodzić, ale nawet siedzieć nie mogłem, musiałem się kłaść; pot zimny mię oblewał, pragnienie ciągle męczyło. Z przełykaniem jest już zupełnie dobrze. Tylko strasznie dużo jakiejś śliny czy flegmy odchodzi, innej niż zwyczajna. I nie tylko ja sam, ale i cały pokój, w którym jestem, jest przepojony jakimś dusznym zapachem niby ziół jakichś czy lekarstw, zapachem, który mię wszędzie prześladowuje. Ta choroba gardła, jakiej nigdy w życiu nie doświadczyłem, musi mieć związek z wrzodem w łokciu, a wszystko razem ma podkład nerwowy przeżyć niezwykłych i tej niepewności losu człowieka i rodziny, która trapi od rana do wieczora i pozbawia wszelkiej radości życia. Okolicznościom osobliwym towarzyszą i choroby osobliwe. Jakież wrzody, guzy, pryszcze, zapalenie gruczołów, zajęcie gardła – szerzy się dokoła epidemicznie. Mój wrzód w łokciu zewnętrznie się zagoił. Trzy otwory, które były w główce wrzodu, zamknęły się i zaschły. Ale zdaje mi się, że wrzód nie cały się wysączył i że w głębi w samym łokciu jest jeszcze trochę materii, która mi czasem sprawia ból jako obce ciało, zamknięte w żywym ciele. Nie jestem więc pewny, czy z tym wrzodem w łokciu już koniec? Może się jeszcze

odnowi gdziekolwiek albo przerzuci w coś innego. Organizmy i choroby mają swoje misteria, które medycyna zaledwie przeczuwa.

A więc przechodzę teraz do tego, co się dowiedziałem wczoraj od Bulavasa. Bulavas pozostał w gruncie tym samym człowiekiem Litwy sowieckiej i gdy wróciły Sowiety i wraz z nimi litewscy emigranci sowieccy, którzy tu teraz tworzą rząd i organizują cały aparat publiczny, Bulavas poczuł się w siodle. Rzucił się znów, jak w r. 1940, w wir tworzenia raju sowieckiego Litwy. Nie jest on już prorektorem, bo objął kierownictwo komisji planowej, ale do uniwersytetu, do profesury powrócił. Prorektorem uniwersytetu w Wilnie jest istotnie Bieliukas, geograf, ten sam, który w r. 1940-1941 za Sowietów był prorektorem do spraw gospodarczych. Bieliukas jednocześnie pełni obowiązki rektora. Nowy rektor w Wilnie na miejsce Michała Biržiški, który uciekł, nie jest dotąd mianowany; możliwe, że będzie nim Bieliukas. Wydział Prawniczy dziekana dotąd nie ma. Możliwe, że zostanie nim Pakarklis, który ze stanowiska komisarza ludowego sprawiedliwości już ustąpił czy też został usunięty. Rozłam między Pakarklisem a Radą Komisarzy Ludowych zaznaczył się na tym, że Pakarklis, jak to było już w r. 1940-1941, jest rzecznikiem ślepego kopiowania wzorów sowieckich, podczas gdy Rada Komisarzy Ludowych usiłuje na swój sposób i w swoim rozumieniu emancypować się od ślepego naśladownictwa i szukać dróg samodzielnych (oczywiście bardzo względnie). Otóż Pakarklisa, który jest w kołach sowiecko-komunistycznych Litwy uważany za „*disponible*”<sup>5</sup>, chcą niektórzy wepchnąć na dziekana Wydziału Prawniczego. Nominacja taka byłaby ujemna, bo fanatyzm jednostronny Pakarklisa czyni go człowiekiem psychicznie spaczonym, niewłaściwym bynajmniej na stanowisko dziekana. Ale decydować będzie oczywiście nie kto inny, jak tajne konklawe komunistyczno-sowieckie kapłanów komunizmu. Dziekanem Wydziału Ekonomicznego mianowany Bučas, który się „przystosował” do Sowietów już w latach 1940-1941. Dziekanem Wydziału Humanistycznego jest faktycznie Vabalas-Gudaitis, jednak bez nominacji. Biržišków wszystkich trzech nie ma – ani Michała, co się samo przez się rozumie, ani Wiktora, co jest obojętne, bo to polityczne zero, ani, co jest najdziwniejsze, Wacława. Nie ma też Żakiewicza, Kriwickiego. Natomiast Jabłoński Konstanty, Pietkiewicz – są. Jest Janulaitis. Z młodych nie ma Podelskiego, nie ma młodego Jurgutisa, nie ma Čepasa. Tamonis był, pokręcił się po uniwersytecie, ale go zaczęli obstępować jacyś dopatrujący się w nim czynnego partyzanta z roku 1941, toteż niebawem „zgaśł na horyzoncie”. Na Wydziale Humanistycznym nie ma Krėvėgo-Mickiewicza. Że po rewelacjach o metodach sforsowania Litwy przez Sowiety Krėvė nie mógł w Litwie pozostać, gdy przyszły Sowiety, to się samo przez się rozumie. Zdaje mi się, że kierownictwu sowieckiemu (sowiecko-litewskiemu) uniwersytetu chodzi o to, aby utrzymać na uniwersytecie kilka znanych firmowych nazwisk starej profesury. Z tego stanowiska chodzi im i o mnie. Ja się nie usunę, jeżeli tylko będę w stanie dla zdrowia i wszelkich innych względów wytrzymać. Ale jednocześnie chodzi im o to, żeby na miejsce tych starych, którzy się w każdym razie po kilku latach już wykurszą, teraz zaraz zasadzić swój kielik katerygorycznie komunistyczny, który by potem w tej katedrze zapanował. Na ważną katedrę moją – prawa konstytucyjnego, która ma objąć i prawo administracyjne, zwrócili oni pilną uwagę i chcą mi przydzielić już nie asystenta Armalisa, jeno samego Bulavasa. Może jeszcze dopowiem o tym.

10 września, rok 1944, niedziela

Nie bardzo się ucieszyłem z tego, że nasi komunistyczni kierownicy uniwersytetu zastawili sidła bezpośrednie na moją katedrę prawa konstytucyjnego. Robią to oni delikatnie. Nie rugują starego profesora, który ma imię i którego imię potrzebne im jest dla blasku uniwersytetu, ale mu dodają za bezpośredniego współpracownika i spadkobiercę – swojego człowieka z ich najściślejszej kliki. Ten będzie czuwał nad pomyślnością wykładową starego profesora, nad tym, żeby nie zaczął głosić jakiejś herezji i jednocześnie będzie sam wrastał w katedrę, ustalając w niej klasyczną linię koncepcji komunistycznej. Jest to podbój uniwersytetu, ale jednocześnie zniewolenie nauki. Z tego,

<sup>5</sup> *Disponible* (fr.) – dyspozycyjny, posłuszny, gotowy do usług.

że Bulavas jest doczepiany do mojej katedry, widzę, że zwrócono na nią szczególną uwagę. Armalis już nie wystarcza. Armalis nie jest stuprocentowym komunistą. Skądinąd wszakże Bulavas jest dosyć przyjemny i ma zalety. Np. dba on bardzo szczerze i gorąco o litewski charakter nauki i uniwersytetu, jak również chodzi mu o maksimum samodzielności Republiki Litewskiej w Związku Republik. Pod tym względem jest on patriotą i decentralistą sowieckim. Zdaje się też, że taki kierunek dominuje teraz u góry rządu litewsko-sowieckiego i w kołach komunistów litewskich, którzy wrócili z emigracji moskiewskiej. Emigracja wytworzyła w ich sercach nostalgię i tęsknotę do Litwy, a przeto rzewną skłonność do idealizowania wszystkiego, co tchnie litewskością. Pragną oni gorąco dobra Litwy. Ale że się sami związali na śmierć i życie z Sowietami i li tylko w Związku Sowieców mogą realizować swoje aspiracje litewskie i wykuwać Litwę swoim czynem, więc trzymają się Sowietów kurczowo z całych sił i przez to, będąc w sercu patriotami litewskimi, są jednocześnie narzędziem zniewolenia Litwy i zwężenia jej form bytowania do jedynej formy – do związku z Sowietami. Gdy w likwidacji wojny będą się ewentualnie ważyły różne możliwości, oni będą zwalczały wszystkie inne, prócz sowieckiej. Przyjechały dziś z Wilna Liza Meyrówna i Renia (Irutė) Bagdonaitė. W drodze były trzy dni.

Znowu dziś mieliśmy najście bandyckie żołnierza sowieckiego, który straszył nas, męczył i szukał wódki prawie że od obiadu do późnego wieczora. Udawał wpierw, że przychodzi z rozkazem zabrania nam furmanek na 10 dni, krzyczał, stukał karabinem, awanturzył się, udawał, że mię prowadzi na rozstrzelanie, potem żądał wódki, podszeptował, że gdy damy wódki, to wszystko będzie dobrze i żadnej podwody nie trzeba będzie, zmiękł, rozczulał się i bawił się w chrześcijanina i brata, potem znowu wpadał w złość, twierdził, że ma pod sobą 23 żołnierzy, którzy leżą w Gaju i czekają na jego sygnał i rozkazy, wreszcie zabrał się do rewizji, którą dokonywał bez okazania orderu, bez organów lokalnych władzy i bez świadków. Trochę znaleźliśmy dlań wódki-samogonu do wypicia, ale to go jeno zachęciło do szukania. I znalazł rzeczywiście jakąś butelkę wódki, o której my sami z Jadzią nic nie wiedzieliśmy. Późno w noc siedział, krzyczał, awanturzył się, straszył dzieci, które płakały, czepiał się szczególnie mnie, wreszcie zabrał znaną butelkę wódki i kazał sobie dać słoniny i sera i z tym wszystkim poszedł za Gaj do Kazimierza Malciusa, który go był do nas skierował. Renia Bagdonaitė pobiegła i z podwórza przez okno widziała, jak przyszedł do Kazimierza Malciusa, wyłożył wódkę, ser i słoninę na stół, chwalił się, że oto wymusił to na mnie, poczym zasiedli i pili. Nie jest to ładne ze strony Malciusa.

11 września, rok 1944, poniedziałek

Jeździłem do Abel poskarżyć się na tego żołnierza, który mię wczoraj naszedł. Choć nie wiem, jak się ten żołnierz nazywa i gdzie służy, to jednak faktem jest, że go przyprowadził do mnie Kazys Malcius, że u Kazysa Malciusa dwie noce nocował i że pił z nim u niego wódkę ze słoniną i serem, które zabrał u mnie. Toteż Kazys Malcius musi wiedzieć, kto to jest taki i będzie poniekąd odpowiadał za to, że takich gości przyjmuje, przenocowuje, udziela im wskazówek. W wojsku sowieckim ogłoszona jest kara śmierci przez rozstrzelanie za takie wyczyny bandyckie – za nachodzenie spokojnych mieszkańców, za rewizje samowolne i rabunek. To nie przeszkadza temu, że za armią czynną wleczy się duży ogon wszelakiego rodzaju dezenterów i maruderów, którzy piją, rabują, kradną, straszą... Mają oni broń, a jak się nazywają i do jakich oddziałów należą – tego nikt nie wie, toteż wybryki te przeważnie uchodzą im płazem. Ale czasem łapią ich. Oto już siedzi paczka tych, co przed tygodniem mnie i wielu innych nachodzili, siądzie może i wczorajszy gość, jeżeli się dobrze Kazysa Malciusa naciśnie. Młody naczelnik milicji, zdaje się, gorąco wziął do serca moją skargę i energicznie się zajmie wypadkiem.

Jakem wspominał, dawni sklypininki nie kwapią się ze zgłaszaniem na swój sklyp. Nie chce upominać się o sklyp Bieliunas, nie chce Józef Sadowski, słyhać, że nie chce Jan Jodelė, nie pokazuje się dotąd i Romanowski. Tyle co do moich dawnych sklypininków. Zgłosili się do swoich sklypów skwapliwie tylko szewc Podolski i stary Pranuk Kulys. Wskazuje sklyp Morawskiego, który z rodziną zginął od granatu. Czynnikiem władzy sowieckiej bardzo się nie podoba ta obojętność

dawnych sklypininków; bo to przecie ich najjaskrawsza broń agitacyjna, z której pomocą chcą podbić sympatie uboższego ludu. Dla pozyskania zaufania sklypininków zapewniają ich, że będą oni rozporządzali sklypem jak własnością, że nie grożą im żadne kołchozy itd. Na tych, co pomimo to nie biorą sklypu albo ociągają się, gniewają się; żądają od nich oświadczenia na piśmie, że się zrzekają sklypu i wskazania motywów zrzeczenia się. Chcą sforsować i wmówić akceptację sklypu. Na wakujący u mnie sklyp po Murawskim pretenduje kilku kandydatów, w ich liczbie przede wszystkim Novikas i połownik Kligysa Diržys. Ten ostatni jest dzielny człowiek i byłby dobrym sąsiadem. Lękam się, że zwycięży Novikas.

Na zachodzie są wielkie sukcesy anglo-amerykańskie. Francja już niemal cała odebrana od Niemców, bodajże z Alzacją włącznie, odebrana też prawie cała Belgia, nawet kawałek Holandii. Podobno Anglicy są już gdzieś na terytorium Niemiec, choć nie głęboko jeszcze. Co do frontu wschodniego – to jest nie wszystko wyraźne. Wyrażna jest tylko kapitulacja Finlandii i głębokie postępy Sowietów w Rumunii. Natomiast na odcinku litewskim – głucho. Różne są wersje o tym, co się dzieje na odcinku Szawle-Birże, którędy bodaj Niemcy przebili czy przebijają połączenie z Niemiec do armii w Łotwie i Estonii.

12 września, rok 1944, wtorek

Nie miałem dziś nigdzie wyjeżdżać, ale los zrządził inaczej. Wypadło mi jechać do Abel. Nie lubię teraz jazdy, bo linijki wygodnej, którą mi Niemcy zabrali, nie mam, a w wózku na przybitym siedzeniu jest niewygodnie; siedzi się jak na jakimś koziołku i za lada szybszym pociągnięciem konia odpada się wstecz. Taka jazda nie sprawia żadnej przyjemności. I koni nie mam. Z czterech koni, które mi jeszcze pozostawały, jednego, białego, którego Niemcy mi za 7 kilo słoniny sprzedali i którego nazwałem Fenigiem, odebrał mi w tych dniach Przytułski, rządca dworu rządowego w Gaczanach jako konia należącego do Gaczan. Z trzema pozostałymi końmi męczę się – trzeba i jarzynę zwozić, i ziemię pod siew spóźniony orać, i zboże na pierwsze potrzeby młocarnią konną młócić, i wszelkie inne potrzeby pracy i jazdy załatwiać. Wreszcie samemu mi jechać źle, bo niemocny się jeszcze czuję, a w zaprzęgu zawsze się coś w drodze psuje. Oto i dziś spadło mi koło i hołoble wysunęły się z duhy; szczęściem, że w samych Abelach, to mi pocziwy stary fryzjer Stočkus pomógł. Ale musiałem pojechać oto dla jakiego powodu. Powiedziała nauczycielka Bagdonaitė, że grozi niebezpieczeństwo zalokowania szkoły znowu w moim domu. Teraz od roku 1942 szkoła została przeniesiona do białego domu Mieczkowskich (dawniej Maryni Budkiewiczowej). I dla nas, i dla szkoły to lepiej. Ale chodzi o to, że w roku 1941, kiedy za czasów sowieckich szkoła była w moim domu, w białym domu Mieczkowskich, w pokoju, gdzie teraz jest szkoła, mieszkał niejaki Kowalewski, sklypininkas Mieczkowskich. Otóż gdy teraz sklypininki wracają do swoich sklypów, ten Kowalewski z Krewien zapowiada, że wróci do swego mieszkania w białym domu, gdzie jest szkoła, szkoła zaś niech się stamtąd do mego domu wynosi. Pogrożkę tę może lada dzień i lada godzinę skutecznić. I nauczycielka, i my tego nie chcemy. Dla nas mieć szkołę w domu to mieć ciągły hałas, psucie domu, nieład, mityngi, zebrania, wieczorki agitacyjne itd. w domu. W r. 1940 mogliśmy oddać dół domu pod szkołę, bo nie mieszkaliśmy w Bohdaniszkach i kuchnię mieliśmy w oficynie. Teraz mieszkamy tu i może być Jadzi z dziećmi długo wypadnie tu siedzieć, tutaj na dole są najcieplejsze dla dzieci pokoje, tu jest kuchnia... Czyżbym moją pracę naukową nie zasłużył tyle, żeby mieć na starość na pozostawionym mi kawałku gruntu rodzinnego swój cichy i spokojny dom, który sam sobie pozostawiłem nie z dochodów majątku wcale, ale z dochodów wyłącznie pracy własnej?! Pojechałem do Abel do Stašelisa, który jest prezesem gminnej komisji reformy rolnej. Zanim czekałem na Stašelisa, widziałem, jaki nastrój panuje w tej komisji, złożonej z kilku młodych widocznie komunistów. W rozmowie z interesantami, którzy przychodzą w sprawie sklypów, członkowie komisji wymyślają cały czas na „buožów”<sup>6</sup>, to znaczy na zamożnych gospodarzy, od których zabierają się sklypy; to nie jest komisja do technicznego bezstronnego

<sup>6</sup> Kalka z litewskiego: „buožė” – „kułak”.

załatwienia pewnej reformy, ale aparat agitacyjny do rozniecania namiętności klasowych z dołu, do rozpalania nienawiści społecznej i antagonizmów. Przyszedł Stašelis. I on się przejął rolą komisji. Rozumuje jednostronnie i widzi wszystko przez pryzmat interesu dołów, to znaczy sklypininków. Przyznał, co prawda, że szkoła nie może być przymusowo zalokowana w moim domu, jeżeli szkole jest lepiej w białym domu, ale w takim razie ja muszę dać u siebie kwatery Kowalewskiemu, któremu szkoła odebrała mieszkanie. Wygląda tak, że Kowalewski nie tylko ma prawo na otrzymanie ode mnie znośnego mieszkania, np. w chacie parobczanej, gdzie są i podłogi, i kuchnia, i dubelty, ale koniecznie w moim domu, w pokojach mieszkalnych mojej rodziny. Prosiłem też Stašelisa (raczej komisję) o udzielenie mi normy 20 ha ziemi nietykalnej. Sam Stašelis przed kilku dniami mi wspominał, że mi może być zostawione więcej, niż poprzednie 10 ha; wspominał o 15, o 20, nawet o 30 ha. Teraz już inaczej mówi; ale może formalnie ma rację. Powiada, że wszystko, co pozostało z parcelacji 1941 roku, to znaczy co pozostało poza ustalonymi wówczas sklypami albo teraz ze sklypów wróciło, gdy ktoś się sklypu wyrzeka, to wszystko należy do funduszu ziemskiego i podlega nowej parcelacji, a nie może służyć za powiększenie normy właścicielowi. Powiada więc, że zakomunikuje moją prośbę komisji powiatowej, ale czy komisja będzie mogła to uwzględnić – to bardzo wątpliwe.

13 września, rok 1944, środa

Chłody nastają. Noce i poranki są bardzo zimne, co dzień wielka biała rosa. Jesień daje się we znaki. A u nas w domu, nawet na dole, jeszcze w wielu oknach szyb całkowitych nie ma, drzwi wejściowe jedne i drugie są skoszone, nieszczelnie się zamykają, nie opalamy jeszcze domu, bo opału przygotowanego nie ma. Trochę najpilniejszych szyb tymczasem Šeškus opatrzył i na razie na tym poprzestaliśmy. Ale trzeba będzie i tym się zająć. Kłopotów moc. Wszystko się rozłazi, wszystko się rozkleca. Bardzo powoli przygotowuje się ziemia pod siew, wymłóciło się trochę zboża na ordynarię i na młyn maszyną konną, zdobywamy gazol na młócenie motorem, koni brak, robotników, raczej robotnic, podziennych wciąż donajmować musimy, a nie ma czym płacić, chyba drzewem tymczasem, dopóki nie ogłoszono rozkazu o przejęciu lasów na skarb. W przyszłym tygodniu trzeba już o jeździe do Wilna pomyśleć, choćby dla zorientowania się tam dopiero, jazda zaś teraz – to pożał się Boże! Jedzie się kilka dni.

Z dalekiego frontu, który gdzieś, zdaje się, w okolicach Birż przebiega, wciąż słyszeć kanonadę. Ludzie nie są pewni, czy się front nie zbliży i czy znów nie nastaną u nas działania wojenne. Męczą ludzi tymczasem dwie rzeczy głównie: 1. pędzenie na roboty, przeważnie na kolej żelazną i 2. ukrywanie się młodzieży przed mobilizacją. Prawie co dzień z jednej naszej seniunii nabierają kilkudziesięciu – do 50 – ludzi, których pędzą do Abel na robotę na kilka dni. Ponieważ młodzież poborowa, która się ukrywa, na roboty te nie idzie, więc idą przeważnie kobiety i mężczyźni starsi. Bardzo to męczy i drażni ludność. Bojkot bierny mobilizacji trwa. Przeszły powtarzalne terminy stawienia się – nie stawiał się nikt. Zapowiedziano i ogłoszono na zebraniach, że wojsko będzie łapać ukrywających się, że złapani będą odpowiadać, że będą kierowani do oddziałów karnych, że mogą być przy łapaniu albo w razie oporu czy ucieczki rozstrzeliwani, że mogą za ukrywających się odpowiadać rodziny, że będą zarządzane obławy wojenne na lasy... Nic nie pomogło. Nikt się nie zgłasza. Czekano, kiedy się rozpocznie łapanie. Słyszeć było, że gdzieś istotnie łapano lub połapano, ale najczęściej tylko o pewnych określonych miejscowościach, np. w Popielach. Wczoraj w okolicy nie łapano ani razu, toteż we dnie laski i zarośla w naszych stronach napełniają się zbiegami spod Abel. Nocami dotąd nie łapano nigdy. Ludzie więc nocują zwykle u siebie, tylko nie w domu, ale gdzieś w stodole, w łaźni itp., śpiąc czujnie, aby na wszelki ruch reagować ucieczką. Im głębiej w jesień, tym to będzie trudniej, ale zgłaszać się do mobilizacji nikt nie chce.

Wczoraj Helcia Mieczkowska z Lizą, będąc w Rakiszkach, zajrzała do Kowaliszek do Hektora Komorowskiego. Sytuacja Hektora jest bardzo ciężka. Sklypininki rozdrapali tam nie tylko ziemię, ale i inwentarz, odebrali od Hektora wszystkie krowy (co prawda, i Hektor od nich w r. 1941 krowy

odbierał, bo były to zabrane przez nich krowy dworskie), Hektorowi ziemi ani kawałka w Kowaliszkach nie zostawiają. Lada dzień mogą ich z Kowaliszek wypędzić tak jak stoją, bez żadnych rzeczy ze dworu. Hektora zaangażowałem do zarządzania moją działką w Bohdaniszkach, ewentualnie na połownika na mojej działce. Wysłałem o tym do niego list pocztą, którego jeszcze nie otrzymał. Zobaczymy, czy przyjmie ofertę moją. Nam byłoby to może dogodne.

14 września, rok 1944, czwartek

Bardzo się niepokoję teraz o siew oziminy. Musi być zasiana, bo inaczej grozi mi ni mniej, ni więcej, jak wyrzucenie całkowite z Bohdaniszek (u Sowietów to się robi prędko i krótko), a tymczasem ziemia jeszcze prawie nie uprawiona pod siew, brak mi koni do uprawy, bo mam zaledwie jedną parę i trzeciego na pojedynek i żyto jeszcze nie wymłócone. Zaczęto wprawdzie orać, ale co to znaczy jedna para! Trzeba byłoby zasiać co najmniej 7, jeżeli nie 10 ha (i to jest mniej, niż w roku przeszłym i pozaprzyszłym), a tu kto wie, czy 3 ha uprawię tymi siłami roboczymi do końca miesiąca. Trzeba szukać u gospodarzy w sąsiedztwie koni do orania za drwa albo budulec w lesie. Dobrze, że jeszcze formalnie lasu nie odebrano i że czynniki gminne tolerują prywatne użytkowanie i wyrąb lasu, o którym wiedzą i tolerują, żeby dać możliwość zdobycia siły roboczej.

15 września, rok 1944, piątek

Całą noc dręczył mię niepokój o siew oziminy. Myślałem i kombinowałem tak i siak, jak tu wyorać i zasiać przyzwoitą ilość żyta i nic wykombinować nie mogłem. Zdecydowałem się szukać ludzi, którzy potrzebują opału i za parę koni nabyliby u mnie drew. Chciałem się w tym celu wybrać do Kundrotasa w Wiwieliszkach, a tu akurat on sam z tym się do mnie zgłosił. Hektor ziemię mi zaorze. 1 ½ hektara mam już zaoranego po pszenicy, 1 hektar zasieje Novikas, który bierze skłyp po Murawskim.

Miała być dzisiaj gminna komisja rolna dla ustalenia nadziałów skłypowych w Bohdaniszkach, ale potem się okazało, że to odłożone do jutra. Skłypininki, którzy na razie odmówili brania skłypu, teraz, trochę pod naciskiem komisji, trochę przez wrodozoną chciwość ziemi, zgłaszają się. Bieliunas, Józef Sadowski – już się zgłosili. Ci, których synowie uchylają się od mobilizacji, są usuwani od skłypów. W ich liczbie na mojej ziemi jest Jan Jodelè, którego synowie ukrywają się od mobilizacji, mimo że on i cała jego rodzina była w ogóle bardzo komunistycznie nastawiona. Niektórym też gospodarzom, których synowie uchylają się od mobilizacji, odbierają ziemię na rzecz funduszu reformy agrarnej, zostawiając im zaledwie 5 ha nietykalnej ziemi. Słowem, z reformy agrarnej i rozdawnictwa skłypów oraz odbierania ziemi robią narzędzie polityczne agitacji prosowieckiej albo kary za działania antysowieckie. Przybywa „wrogów ludu” (podług terminologii bolszewickiej) nie tylko u szczytów dawnego społeczeństwa „burżuazyjnego”, ale nawet w najgłębszych dołach ludowych. Ci zakwalifikowani „wrogowie ludu”, których się z tytułu tej kwalifikacji krzywdzi, stają się od razu wrogami Sowietów i ustroju. Przez skłypy Sowiety mniej zdobywają popularności, niż zdobywają wrogów przez krzywdzenie tych, co nie idą z nimi.

16 września, rok 1944, sobota

W nocy dziś leciały masowo aeroplany. Co to był za przelot, jakich samolotów i dokąd – nie mogliśmy wiedzieć. Potem słyhać było jakieś wybuchy bomb czy kanonadę odległą. Drżały i brzęczały szyby w naszym pokoju sypialnym. Na ludność takie przeloty i kanonady robią duże wrażenie, zwłaszcza wobec ciągle się utrzymujących pogłosek o tym, że front niemiecki jest blisko i że Niemcy posuwają się naprzód oraz ustalających się na tym gruncie twierdzeń, że rychło Sowietów stąd wypędzą.

Przyjechała dziś z Wilna Ewa Meyerowa, której córka Liza od tygodnia bawi u nas. Przyjechała na kilka dni, do wtorku. Jechała trzy dni z Wilna. Warunki podróży są wciąż jeszcze niesłychanie trudne. Chcę jeszcze trochę odwlec moją wycieczkę do Wilna, nie pojadę więc teraz z Ewą, jak zamierzałem, jeno w końcu miesiąca pojadę z Jadzią. Ewa powiada, że dziś w nocy w

Griwie natrafiła na nalot niemiecki na Dyneburg. W Griwie czeka się pociągu pod otwartym niebem, bo wszystkie zabudowania stacyjne są zniszczone. Niewesoło się teraz czuje publiczność w chłód i podczas nalotu nocnego. Małe spostrzeżenie: o ile na wsi w szerokich kołach ludności dominuje przekonanie, że Sowiety mogą być lada chwilę przez Niemców wyparci i że przeto obecność Sowietów tutaj jest bardzo nietrwała, o tyle przyjezdni z miasta – z Wilna i z Kowna – nie wątpią w to, że Niemcy już się tu posunąć naprzód nie zdołają i że rychło nowa ofensywa sowiecka ich zmiecie dalej na terytorium Prus.

Dziś przyjeżdżała do Bohdaniszek gminna komisja rolna dla ustalenia nadziałów ziemi. Komisja w osobach starowiera Sawki Kisielowa z Kurmiszek i Kowalewskiego spod Matejek. Potem dołączył się do komisji jeszcze seniunas Januszkiewicz. Obecni byli także sklypininki, którym komisja przyznaje nadziały. Z dawnych sklypiników mojej ziemi uznani i zatwierdzeni przez komisję zostali: Podolski, Pranuk Kulys, Józef Sadowski i Bieliunas. Usunięty został od sklypu Jan Jodelė za to, że jego synowie uchylają się od mobilizacji, mimo że Jodelė jest usposobiony może najbardziej komunistycznie (ale widocznie nie państwowo-sowiecko, skoro synów do wojska sowieckiego nie posyła). Za to samo od sklypów usunięci zostali Zybolis ze Staczerag i Bagdonas z Knisy. Sklyp nieboszczyka Morawskiego nadzielony został Novikasowi, sklyp zaś Romanowskiego, który dotąd w ogóle się nie zgłosił i którego synowie zresztą uchylają się, jak się zdaje, od mobilizacji, nadzielony został staremu Michałowi Juszkiewiczowi, który otrzymał przywilej wyboru miejsca sklypu za to, że jego syn (Kaziuk) zgłosił się do mobilizacji (mimo że drugi jego syn, Michał, uchylił się i ukrywa). Skasowano sklyp szkolny w mojej ziemi pod samym nosem. Sklyp ten wciela się do mojej działki, którą powiększono do 15 ha i do której oprócz 10 ha mojej dawnej działki i 1 ha sklypu szkolnego są oddane 4 ha ze sklypu Jodeli. Sklyp trzyhektarowy Bagdonasa z Knisy został podzielony na uzupełnienie sklypów Michała Juszkiewicza i Bieliunasa, sklyp dwuhektarowy Zybolisa poszedł na rzecz Podolskiego, 2 ha ze sklypu Jodeli poszły na uzupełnienie sklypu Pranka Kulysa. Dobrze też dla mnie rozstrzygnęła się sprawa szkoły. Szkoła zostaje w białym domu Mieczkowskich (dawniej Maryni), zaś Kowalewski i Antoni Juszkiewicz, którzy dawniej mieszkali tam, gdzie teraz jest szkoła i którzy grozili, że wniosą się do mnie, jeżeli szkoła się nie wyniesie, zostali obaj pozbawieni sklypów u Mieczkowskich, bo obaj osobiście uchylają się od mobilizacji.

17 września, rok 1944, niedziela

Znowu dziś w nocy przelatywały gęsto samoloty i była gdzieś strzelanina z dział czy też wybuchy bomb. Potem koło godziny dziesiątej rano widzieliśmy lecące dwa samoloty, z których jeden, większy, leciał prosto, podczas gdy drugi, mniejszy, kręcił się dokoła niego; parokrotnie z tych samolotów rozległo się gęsto strzały, jakoby z karabinu maszynowego; czy to były dwa wzajemnie wrogie samoloty, które się ostrzeliwały walcząc ze sobą, czy też tworzyły one jakąś symbiozę i ostrzeliwały obiekty na terenie nieprzyjacielskim – nie wiadomo. Przeleciały i zginęły w oddali.

Dziś komisja rolna gminna dalej funkcjonowała w naszej seniunii. Objeżdżała Kumsze, Pakienie, Boniuszki, gdzie są większe gospodarstwa do parcelacji. Sklypininków znaleźć komisji jest teraz trudniej, niż było w roku 1940-1941, bo prawie w każdej rodzinie jest ktoś, który się uchyla od mobilizacji, takim zaś rodzinom sklypów się nie daje. Ale nikogo dotąd sklyp nie skusił do zgłoszenia się do mobilizacji. Ludzie mówią, że im droższy człowiek i jego życie, bądź własne, niż sklyp. Człowiek i bez ziemi da radę i przeżyje, natomiast ziemia bez człowieka niewarta. Toteż odmawianie sklypów tym rodzinom, w których ktoś się uchyla od mobilizacji, nie osiąga celu. Do mobilizacji to ludzi nie zachęca, natomiast zniechęca bardziej do Sowietów i kompromituje samą reformę agrarną sowiecką. Ludzie patrzą na rozdawnictwo sklypów jak na cenę, za którą władza chce kupić ludzi do mobilizacji i przeto ma pewną odrazę do tych sklypów i całą akcję sklypową uważa za komedię i za szopkę. Jeszcze bardziej zohydzająco działać będzie inne zarządzenie, o ile będzie wykonywane regularnie. Mianowicie tym, którzy sami albo w czyich rodzinach ktoś się zaznaczył działaniem wrogim Sowietom, a za takie może być poczytane i uchylene się obecne od mobilizacji, ziemia może być odebrana bez względu na ogólną ilość ziemi w danym gospodarstwie, zostawiając

nietykalnej ziemi ogółem 5 ha. W ten sposób można byłoby dobre  $\frac{3}{4}$  zaścianków litewskich obciąć do 5 ha. Podobno są już poszczególne sporadyczne wypadki zastosowania tego przepisu (Smolińska w Busiszkach, Prasienis w Ażubelach).

Kto zna przywiązanie włościanina gospodarza do ziemi, ten zrozumie, jaką wściekłość i gorycz w jego sercu wywołać może odebranie mu ziemi. I jakże to w opinii Sowietów to masowe uchylanie się Litwinów od mobilizacji ze wszystkimi skutkami tegoż godzić może z twierdzeniem, że Litwa sama życzy należeć do Związku Sowieckiego i że w roku 1941 jednogłośnie się za tym oświadczyła? I gdzież jest ta piękna teza sowiecka, że każdy naród wolny jest na jednostronne żądanie własne wystąpić ze Związku Sowieckiego, który może być li tylko dobrowolny? Czyż brak zaiste najjaskrawszych dowodów tego, że wcielenie Litwy do Sowietów nie jest oparte na jej woli spontanicznej i czyż świat tego nie spostrzeże albo chyba spostrzec nie zechce. Gdzie Sas, gdzie las, a gdzie realna rzeczywistość...

18 września, rok 1944, poniedziałek

Gospodarstwo nasze coraz bardziej przychodzi w upadek. Nie mamy już żadnego stałego robotnika, bo Novikas zajęty jest swoim sklypem, a Antoni Malciuk dziś do pracy nie przyszedł i zapowiada, że więcej nie przyjdzie, bo umówił się nie on, lecz jego starszy brat Józef, który się uchyla od mobilizacji i ukrywa i za którego on pracuje. Od jutra odchodzi też mała pastuszką Matriona Szerszniowa i zostaje jeden pastuszek Griszka Kudriaszow, który sam jeden bydlą i owiec nie wypasie. Orał dziś swoimi końmi pod siew żyta Kundrotas z Wiwieliszek (za drwa) i naszymi końmi Podolski jako sklypininkas, mający korzystać z zasianego żyta.

Bardzo ciekawa jest walka ludu litewskiego z władzą sowiecką na gruncie mobilizacji, przypominająca z pewnych względów walkę tegoż ludu z rządem rosyjskim o druk i litewskie czcionkami łacińskimi sprzed lat 40-70. Ciekaw też jestem losów obecnie rozpoczętej walki. W kołach włościańsko-litewskich utwierdza się decyzja zbiorowa, żeby nikt się nie ważył brać sklypu z ziemi, odebranej od włościan za uchylanie się od mobilizacji.

19 września, rok 1944, wtorek

Po okolicy włóczą się w pojedynkę i grupkami żołnierze sowieccy, samopas, często dezerterzy, bez zwierchności, zwykle pijani, źli, zdemoralizowani. Jedni z bronią, inni – bez broni. Upijają się też i awanturzą żołnierze, których posyłają na sprowadzenie ludzi do robót na kolei. Pijani też jeżdżą żołnierze w autach ciężarowych, przebiegających gościńce. Przejeżdżając strzelają, często rabują. Strzelają kulami podpalającymi, sprawiają pożary, zapalając zaścianki i stodoły położone przy gościńcach. Wczoraj w ten sposób spalona została cała krescencja tegoroczna w gumnie Lapienisa w Boniuszkach. W nocy widać było na horyzoncie dwa inne pożary. Strzelają też po lasach. Młodzież też i dzieci bawią się uzbrojeni granatami ręcznymi i różnego kalibru bombami, których pełno jest porzuconych na polach, w zaroślach i laskach, w siedzibach. Wciąż to tu, to tam słysząc o jakimś wypadku, spowodowanym przez te zabawy – jedni są zabici, inni skaleczeni, innym oczy wybite.

Plotki czy wieści, fałszywe czy prawdziwe, głoszą, że gdzieś posuwa się ku nam jakaś ofensywa niemiecka, skierowana pono na Dyneburg i bodajże idąca przez Łotwę, która nas rzekomo okrąża. Ludzie na ogół bardzo wierzą tym wieściom czy plotkom, panuje bowiem przekonanie, że pobyt Sowietów jest tu nietrwały. Ciągłe odgłosy dalekiej kanonady, liczne przeloty różnych aeroplanów, zwłaszcza nocami, utwierdzają ludzi w tym przekonaniu. Opowiadają jaskrawe i straszne rzeczy w związku z tą rzekomą ofensywą niemiecką. Mówią, że Sowiety zdecydowane są, cofając się, robić to samo, co robili Niemcy cofając się z głębi Rosji: mianowicie wszystko palą i niszczą, a ludzi wypędzają, żeby nieprzyjaciół znalazł li tylko pustynię. Nie mogąc ludzi wywozić, pędzą ich wielkimi stadami.

Dziś wyjechały od nas z powrotem do Wilna Ewa Meyerowa, Liza Meyerówna i Renia Bagdonaitė.

20 września, rok 1944, środa

Nic nowego. Mamy już siako tako zaoranych koło 5 hektarów pod siew oziminy, ale to trzeba jeszcze bronować i dopiero nasienie żyta zdobyć, bo nie wymłócimy tak prędko, a trzeba byłoby jeszcze jakiś hektar do dwóch nawieźć nawozem i doorać oraz dosiać, bo mało będzie żyta na rok przyszły dla nas i ewentualnie dla sklypininków, o ile oni jeszcze będą wtedy. Na młócenie mamy już benzynę, ale nie mamy oliwy do niej. Jest jeszcze przeszło hektar jęczmienia i koniczyny letniej do zwiezenia z pola, jest jeszcze kilka poletek mieszanki do skoszenia, jest część lnu do wyrwania, a reszta lnu, już wyrwanego, do moczenia i zebrania. Potem przyjdzie kopanie kartofli i buraków. Roboty dużo, a robotników nie ma. Dopóki był las, brało się podziennych i płaciło się drzewem; choć to bardzo podniszczyło mój kochany Gaj, do którego mi już smutno zaglądać, ale przynajmniej można było jakoś wybrnąć z kłopotów. Teraz słysząc, że lada dzień zabronią wstępu do lasów, które przechodzą znowu na własność rządową. Jak wtedy damy radę z robocizną – sam nie wiem. Rozprężenie zupełne, ekonom Adamowicz zbiedzony i myśli już tylko o swojej rodzinie, Novikas zajęty swoim sklypem, jedyny stały robotnik – Antoni Malcius, który też już był się znarowił i dwa dni nie przychodził do roboty. Ludzie do roboty się nie kwapią, o zarobek im nie chodzi. Wszyscy chodzą jak struci, niepewni jutra, źli, choć w sobie mocni i bardzo solidarni (nastrój jest tak jednolity jak rzadko), pędzeni na furmanki i na robociznę przymusową na kolei jak za pańszczyzny, wznawianej przez Sowiety.

21 września, rok 1944, czwartek

Ze zdrowiem moim jest coraz lepiej. Po wrzodzie w łokciu i chorobie gardła, które mię bardzo męczyło i osłabiło, teraz po trochę odzyskuję siły i apetyt, a zwłaszcza smak, bo kiedy nic nie smakuje i każda rzecz ma jakiś szczególny smak przykry, to i apetyt nie pomaga. Nie chce mi się już ciągle leżeć, mniej się męczę przy chodzeniu.

U nas teraz bardzo dużo się mówi o mającej być ogłoszonej mobilizacji wszystkich mężczyzn do 55 lat i dwóch roczników najmłodszych – 17 i 18 lat – „do pracy”, a jak niektórzy twierdzą – i kobiet od 17 do 50 lat. Młodzi mężczyźni od 18 do 35 lat są zmobilizowani do wojska, wszyscy zaś inni obojga płci – z wyjątkiem dzieci i starców – zostaliby zmobilizowani „do pracy”. Podobno takie zarządzenie gotuje się, a podług niektórych wersji – już jest ogłoszone. Co znaczy „zmobilizowanie do pracy”? Jedna wersja mówi, że to do pracy li tylko w kraju; inni mówią – że na wywóz do Rosji. Ale gdyby nawet zapewniano, że li tylko w kraju, to nikt takiemu zapewnieniu nie ufałby: jak już wezmą, to o ile zechcą – wywiozą. Pozostaliby starcy i dzieci. Ale wtedy upadłoby gospodarstwo, rolnictwo, nastałby głód. Wieści te niepokoją i nerwują ludzi. Sowiety robią wszystko co mogą, żeby zniechęcić sobie ludność. Dziwna metoda postępowania w kraju, który chcą osiąść. Młodzież, zmobilizowana do wojska, nie staje i ukrywa się masowo. Ale jak zdołałyby się ukryć kobiety i cała ludność męska? Rosjanie i cały wschód mongolsko-fiński (Eurazja umie jakoś żyć walęsając się bez pracy gospodarskiej i na głodno i dobrze im z tym jakoś, ale dla naszych skrzętnych i gospodarczych Litwinów, którzy mają świetny zmysł organizacji gospodarczej i zamiłowanie ładu i pracy, to są rzeczy nie do pomyślenia, które im na samą myśl o tym stają kością w gardle).

22 września, rok 1944, piątek

Wczoraj zdarzył się w pobliżu wypadek; dwóch pijanych żołnierzy sowieckich, udających się do Abel, pod Popielami się pokłóciło i w kłótni jeden zastrzelił drugiego. Okazuje się, że zabójcą był ten sam żołnierz, stary 50-letni niskiego wzrostu, który przed dwoma tygodniami dręczył mnie przez cały wieczór, żądając wódki, robiąc rewizję etc. Jakichś 10 dni czy więcej grasował on w naszej okolicy – pędzał ludzi na podwody, czepiał się i dręczył wielu, pił i żądał wódki, domagał się od kobiet, żeby się z nim do łóżka kładły, groził zastrzeleniem, jeszcze wczoraj rano w zaścianku Jadzi celował do Buby, grożąc, że ją zabije, aż skończył na tym, że sam zabił kolegę i sam z pewnością rozstrzelałby go, jeżeli jeszcze rozstrzelany nie jest. Straszna jest demoralizacja tyłowych żołnierzy sowieckich.

Z Kowaliszek przyszedł Hektor. Otrzymał już mój list, w którym mu proponowałem objęcie zarządu i gospodarki na moich 15 ha w Bohdaniszkach, jeżeli go z Kowaliszek wyrzucą i żadnej ziemi tam nie zostawią. Hektor nie bardzo się jakoś kwapi do mojej propozycji. Mam wrażenie, że leni się czymś zająć. Rozpytuje o warunki u mnie, o siłę roboczą, jaką rozporządzam, tak jak żeby to były czasy i warunki normalne, a nie konieczność tworzenia czegoś dopiero. Spodziewa się on jeszcze, że może mu coś w Kowaliszkach dać, że będzie tam miał kawałek ziemi... W ogóle nie ma ochoty się stamtąd ruszać, a gdyby wypadło się ruszyć, to woli gdzieś się i wegetować, trochę spekulując, trochę na czyjejs gościnie siedząc...

Z wiadomości politycznych, których Hektor ma zawsze pełne zanadrze, tym razem są u niego nowiny takie. Na zachodzie Anglicy i Amerykanie sforsowali już linię Zygfrida w Niemczech i zbliżają się do linii Renu pod Kolonią. Linia Renu jest pono ostatnią linią ufortyfikowaną od zachodu i jeżeli sojusznicy ją przełamią, to głąb Niemiec stanie dla nich otworem. W Danii wrzenie, Węgry są gwałtownie bombardowane systematycznie, Rumunia leży u stóp zwycięzcy (Sowietów), w Bułgarii Sowiety zajęły Sofię, w Jugosławii wódz armii narodowej Tito osiągnął nowe wielkie sukcesy, w Polsce Sowiety zdobyły Pragę, przedmieście Warszawy, ale sforsować Wisły na Warszawę nie są w stanie, w Bałtyce Sowiety osiągnęły sukcesy w Estonii pod Narwą i Wąlkami i w Łotwie zajęły Bausk... Co do sytuacji w Litwie, Hektor nic konkretnego nie wie. Podobno całej Europie zagraża fala rewolucji komunistycznej, której fale podnoszą się we Włoszech i Francji. W Polsce Komitet Narodowy (Wanda Wasilewska *et co.*), pełniący czynności rządu narodowego na terenach zdobytych przez Sowiety (prawa strona Wisły, tymczasowa siedziba rządu w Lublinie), ogłosił czy to już reformę agrarną, czy zasady projektu tejże, podług których ziemi się zostawia najwyżej 50 ha na rodzinę, reszta zaś, co ponadto, parceluje się (w Poznańskim i w dzielnicach zachodnich norma ta może być podniesiona podobno do 100 ha). Jak na stosunki rolne w Polsce – reforma ta jest ultraradykalna, zmiatająca własność pańską wielkich dworów, a nawet własność burżuazyjną. Jak wszędzie – kierunek reformy agrarnej zmierza do stopienia własności z pracą, czyli bierze za wzór własność chłopską, traktującą ziemię jako warsztat pracy, nie zaś towar.

Hektor twierdzi, że Anglia i Ameryka są teraz zajęte najbardziej problemem wojny z Japonią, bo wojna w Europie ma się już ku końcowi. Dla zwycięstwa nad Japonią Anglia i Ameryka nie mają żadnej bazy terytorialnej w pobliżu Japonii, a bez tego ani floty, ani awiacji swojej wykorzystać należycie nie mogą. Dlatego chcą one pchnąć Sowiety do wojny z Japonią. Podobno to było głównym zagadnieniem konferencji anglo-amerykańskiej w Quebecu. Stąd Hektor czyni wniosek, że w prędkim czasie zatargu między Anglią i Ameryką z jednej strony i Sowietami z drugiej spodziewać się nie możemy, bo Sowiety są jeszcze Anglii i Ameryce potrzebne. W ogóle Hektor dziś (inaczej, niż przed paru tygodniami) jest nastawiony na trwałość mocną Sowietów.

23 września, rok 1944, sobota

Teraz z każdą rzeczą są największe trudności. W szczególności także z mleciem zboża. Pozostał prawie jedyny młyn prywatny w okolicy – młyn w Łaibgalach, który pracuje lokomobilą. Trzeba tam się zapisywać na kolejkę, trzeba ze sobą drwa przywozić. Zawieźliśmy już tam zboże i drwa we wtorek, ale coś się zepsuło i zboża nie zmleto. Pojechaliśmy dzisiaj. Na wszelki wypadek pojechałem i ja (z ekonomem i jego synem Vingaudisem), żeby w razie potrzeby i moją prośbę osobistą rzucić na wagę. Zastaliśmy młyn funkcjonujący i nawet niedużą kolejkę przed nami. Zdawało się, że wszystko pójdzie dobrze i że zboże nasze na pewno będzie zmleto, więc ja na zmlecie nie czekałem i wybrałem się wrócić pieszo do domu (zresztą ekonom pod wieczór powrócił z młyna bez mąki, bo z powodu kierunku wiatru zapalił się w młynie od iskier z lokomobil dach na domu młynarza; ogień ugaszono, ale mlecie przerwano, trzeba będzie we środę znowu do młyna jechać).

Wracałem pieszo na Rakiszeczki, stamtąd bliższą drogą na Wiwieliszki. W Rakiszeczkach zaszedłem do Wienażyńskich, bo chodziło mi o pożyczanie od niego żyta na siew. Naturalnie, że i u Wienażyńskiego jest bardzo ciężko. Ma jedynego robotnika, trzy konie. Ludzi do roboty musi

najmować płacąc zbożem. Jest w strachu, że żyta mu będzie mało na rekwizycję, ordynarię, potrzeby dworu i siew. Siewu jeszcze nie rozpoczął. Za samo młócenie musiał zapłacić Raišysowi po ½ cetnara żyta od godziny młócenia (cena niesłychana). Wienażyński nie wie jeszcze, czy mu zostawią w Rakiszczkach kawałek ziemi, czy nie. Chociaż amatorów na skłypy zabrakło i ziemi całej nie rozparcelowano jeszcze, ale komisja ziemi Wienażyńskiemu nie zostawiła dlatego, że choć w roku 1940 było mu zostawione 30 ha, ale na wiosnę roku 1941 odebrano mu te 30 ha i nie zostawiano nic. Komisja więc liczyła, że ze stanowiska prawnego sowieckiego Wienażyński nie ma już żadnych praw do ziemi w Rakiszczkach i że nic mu przeto „zostawić” nie można. Wienażyński usiłuje jeszcze robić starania o ziemię przez Rakiszki. Może mu się to uda, może nie. W każdym razie, rugowanie Apolinarego Wienażyńskiego, agronoma, doskonałego rolnika na rzecz skłypiników, jest gospodarczo aktem uwstecznienia i destrukcji. Tylko że chodzi tu w tej reformie o problem nie tyle gospodarczy, ile *par excellence* społeczny – problem przebudowy rewolucyjnej społeczności. Z tego stanowiska niekonsekwencje gospodarcze są uzasadniane konsekwencjami celu społecznego. Wienażyński jest wściekły na Sowiety.

24 września, rok 1944, niedziela

Kanonada w ostatnim tygodniu mocno osłabła, jeżeli nie ucichła całkowicie. Trochę mniej też przelatuje aeroplanów. Można wnioskować, że na najbliższym nam odcinku frontu Sowiety odparły Niemców dalej.

Mam biedę z siewem. Siew u mnie dopiero rozpoczęty. W piątek 22 września ekonom posiał siewnikiem pierwsze 3 cetnary żyta. Ale ogółem mam na potrzeby siewu zaledwie 10 cetnarów pożyczonych od Raišysa, muszę zaś posiać najmniej 20 cetnarów, co także będzie bardzo mało. Wczoraj 15 cetnarów żyta i 3 cetnary pszenicy na nasienie przyrzekł mi pożyczyć Apolinary Wienażyński z Rakiszczek, ale dziś przez posłańca cofnął to listownie, powołując się na to, że mu żyta może zabraknąć na normę rekwizycyjną. Nie wiadomo, skąd pożyczyć żyta.

Biedny Augaitis, zaaresztowany przed 1 ½ miesiącem, siedzi w Rakiszczkach. O wypuszczeniu go nie słychać wcale. Rodzina nie może się z nim komunikować ani mu żywności dostarczać. Powiadają, że zarzuty są mu stawiane ciężkie i że grozi mu co najmniej wygnanie i ciężkie roboty, a może nawet kara śmierci. Na ogół wadze sowieckie aresztowały względnie niewiele osób; wielu bardzo czynnych byłych partyzantów litewskich z roku 1941 nie zostało wcale aresztowanych, niektórzy nawet tacy, którzy osobiście brali udział w masowym mordowaniu Żydów. Zdaje się, że taktyka władz sowieckich w tym względzie jest taka: mniej się czepiać do dołów byłej sekcji partyzanckiej, natomiast w pierwszym rzędzie wylapać i wziąć mocno w ręce szczyty ówczesnego ruchu partyzanckiego albo jego ekspozytorów i agentur. Doły zaś przyjdą potem i z nimi się załatwi krótko.

25 września, rok 1944, poniedziałek

Strasznie dużo pędzą ludzi na roboty – z furmanką i pieszo. Nigdy za żadnych rządów tak nie było jak teraz. Co dzień wypędzają po kilkadziesiąt ludzi z seniunii, nieraz na trzy, na pięć dni. Młodzi mężczyźni się ukrywają, więc na te roboty nie idą, idą przeto starsi, przeważnie starzy, i kobiety. Ludzi to męczy i niecierpliwi. Ci, którzy zmuszeni są iść na te roboty, więcej dni w tygodniu spędzają na tych robotach, niż na wypoczynku w domu.

Umówiłem dziś Ignalą i Michasia Malciusów z zaścianków bohdaniskich do popiłowania i porąbania drzew. Wciąż jeszcze mogą zdobywać robotnika za drwa, to znaczy wciąż jeszcze płaci biedny Gaj. W gospodarstwie wszystko idzie pod psem. Jak ciężka mi jest ta jesień – to wie Pan Bóg.

26 września, rok 1944, wtorek

Jeździliśmy dziś z Jadzią do Abel. Zawieźliśmy dzieci – Kotunię i Żermenę – do doktora, bo Kotuni wyrósł jakiś liszaj w dziurce od nosa, zresztą, zdaje się, kataralny, ale jakiś uporczywy, a Żermena ma ciągle jakąś wysypkę, jakieś wrzodziki na głowie i na całym ciele, które jej swędzą i

które bardzo Jadzię niepokoją. Żaden z lekarzy, którzy tę wysypkę Żermeny oglądali, nie przyznał w tym świerzbu, ale żadne maści i nacierania, które dawali, nie wyleczyły jej radykalnie z tej wysypki. Dziś dr Kozłowski w Abelach orzekł, że to jest skrofuliczne, zapisał nowe smarowanie i jakiś preparat, który na szczęście Jadzia ma swojej apteczce dziecięcej, do środka.

Skądinąd, gdyby nie ta ciągła wysypka naskórna, Żermena, która od dwóch tygodni ma już pół roku skończone, rozwija się dobrze. Miała zły żołądeczek, który się teraz poprawił i waga dobrze przybywać zaczęła, humor ma dobry, apetyt doskonały. Intelktualnie są już duże postępy w jej rozwoju; poznaje ludzi, którzy ją okrażają, kocha szczególnie Jadzię, do której się zawsze śmieje gorąco, zna swoje imię, nieźle siedzi, chociaż tylko trzymana, bo sama siadać nie może jeszcze, jest uważna i starannie wszystko obserwująca. Bardzo miła i kochana jest Kotuńka, która tej jesieni skończy rok szósty. Tego lata zbliżyła się ona bardzo do mnie. Jest ona refleksyjna, ma skłonność do samotności i lubi zapełniać swój świat, raczej go tworzyć fantazją własną. Kotuńka ma zdolność do rysunku, lubi nucić, skakać, kontemplować w zamyśleniu. Jest wielkim tchórzem, wobec ludzi milknie i krępuje się, ma wielką samowystarczalność samotniczki. Dostyc niepokoi mię charakter Igi, która fizycznie jest najpiękniejszą z córek naszych i, choć naturalnie *en beau*, pono najpodobniejsza z twarzy, z typu – do mnie. Iga kłamie na zawołanie, kłamie bezczelnie, nie dotrzymuje słowa, jest uparta, leniwa, brudna.

Miałem dziś przykrość. Winien jestem ślusarzowi Valecce w Rakiszkach drwa za instalację elektryczności, która zresztą nie funkcjonuje. Są u niego dwa nasze akumulatory nowe. Chciałem wyrzucić się tych akumulatorów i zatrzymać całe drwa, które ubiegłej zimy dla Valečki wyrąbałem w Gaju i przywiozłem do domu. Drwa są piękne i suche. Teraz, gdy Gaj mi odbiorą, te drwa są jedynym moim zapasem opału na zimę w Bohdaniszkach. Co prawda, zapas ten jest dosyć duży. Ale oto przyjechał ciężarówką Valečka. O zamianie drew na akumulatory nie chce słyszeć, żąda drew przynajmniej tyle, ile się do ciężarówki zmieści i mianowicie najpiękniejszych z zapasu tego, brzoźowych. Musiałem mu te dać z wielkim bólem serca. Zabrał do pięciu metrów najpiękniejszych drew brzozy.

27 września, rok 1944, środa

Nieciekawy dzień.

Byłem w lesie. Wyznaczałem chrust dla Tuménasa z Knisy i jodły dla Piotra Pupielisa za pracę. Ignalius i Mikasius Malciusowie przywieźli mi z Gaju 5 metrów drew, które wczoraj narąbali dla mnie. Dałem trzy nieduże jodełki pogorzelcowi z Narkun, bratu Antoniowej Malciusowej.

Przyjeżdżał prezes gminnego komitetu wykonawczego Pipikas w towarzystwie jeszcze jakiegoś urzędnika. Znowu ta nieszczęsna kwestia szkoły, która zagraża zainstalowaniem szkoły ponownie w moim domu. Lokal szkoły w białym domu Mieczkowskich (dawniej Maryni) nie podoba się im, natomiast pokoje w moim domu podobają się im lepiej. W istocie chodzi im o to, że w białym domu w szkole nie ma szyb i nie mają skąd je wziąć i dać szkole, podczas gdy u mnie siakie takie szyby, choć nie wszystkie i nie całe, są. Nie wiadomo dlaczego czepiają się koniecznie mnie, a nie Mieczkowskich na przykład, choć w ich starym domu mieszkalnym są dwa duże pokoje, które zdać by się mogły na szkołę lepiej od naszych i których zabranie mniej by psuło Mieczkowskim rozkład, niż nam psułoby zabranie dwóch pokoi.

Umarła dziś mała jedenastomiesięczna córeczka Viktuti Włodzowej Sadowskiej, dawnej niani naszych dzieci. Umarła na gruźlicę, widocznie zarażona przez pokarm matki, a może obciążona już dziedzicznie, bo Viktutė ma tuberkuły w kości w nodze. Dla biednej Viktuti to cios ogromny.

Wszystkie trzy konie nasze poszły dziś do młyna do Łajbgał, już po raz trzeci. Tym razem zboże zostało wreszcie zmlecone i na wieczór przywieziono piękną mąkę. Naszej mąki jest tam tylko mała ilość, bo ogromną większość stanowi mąka parobków, Podolskiego i zwłaszcza ekonoma (choć naturalnie drzewo do lokomobili młyńskiej moje). Ekonom był u Raišysa, który zgodził się pożyczyć drugie 10 cetnarów żyta na siew, a młócić obiecuje przyjechać z motorem i młocarnią za dwa

tygodnie. Stary Staś Jauka z Rudel proponuje mi przez ekonoma pożyczenie maszyny do kopania kartofli.

Oto cała kronika dnia dzisiejszego.

28 września, rok 1944, czwartek

Żadnej nowej klęski, żadnego wielkiego strachu dziś nie było. Oddaliśmy cielicę do Pokrewnia na rekwizycję. Jadzia sama ją zawiozła. Rano posiano u nas koło 2 cetnarów żyta. Mamy żyta zasianego koło 8 cetnarów i 4 cetnary w skłypie Novikasa. Sklypininki Michał Juszkiewicz i Bieliunas mają siał każdy u siebie na swoim skłypie, nasienie zaś my im dajemy. Pranuk Kulys też na swoim skłypie orać dziś zaczął, ale czy da rady posiać – nie wiem, bo jest bardzo stary.

Myślimy z Jadzią o jeździe do Wilna. Będzie to na razie jazda wywiadowcza, choć gazety głoszą, że uniwersytet formalnie zaczyna funkcjonować od 1 października. W każdym razie, mam tu wrócić jeszcze i odbyć młócenie i kopanie kartofli. Ale co tu u nas dalej będzie – tego nie wiem i nie rozumiem. Od 15 października kończy pracę u nas Novikas, a od 1 listopada – Antoni Malcius, syn Jana. Co wtedy będzie – nie wiem. Będziemy prosili starego Ignacego Čepasa, ojca Jadzi, żeby zamieszkał u nas, ale sam jeden nie da on rady. Czy się do kogoś nająć i czy wolno nająć – nie wiem. Jesteśmy na łasce Opatrzności. Nie umiem nic wymyślić, jak żyć będziemy.

29 września, rok 1944, piątek

Święty Michał, a więc moje imieniny. Tradycyjny dzień. Ale w tym roku, w bolesnych i ciężkich okolicznościach, w jakich żyjemy, imieniny moje nie były wcale obchodzone, nawet w kółku rodzinnym. Nie imieniny teraz w głowie. Tylko Jadzia mi rano powinszowała imienin, a potem przyszły mi powinszować imienin Elwira, Helcia Mieczkowska i nauczycielka panna Helena Bagdonaitė.

O sprawach i kłopotach czy biedach osobistych nie warto się w dzienniku rozpisywać. Nieciekawe to i mnie samemu już obrzydło.

Z ostatnich nowin lokalnych, które się tu opowiadają między ludem z wielkim upodobaniem, jest ta, że kadry milicji sowieckiej po miasteczkach, sformowane z elementów albo starowerskich, albo litewskich komunizujących, rozbiegły się. Przynajmniej w Abelach, a zdaje się i w innych miasteczkach. W Abelach pozostało tylko dwóch czy trzech milicjantów. Przyczyna była ta, że wstępujący do milicji spodziewali się, że to ich uwolni od poboru do wojska. Tymczasem zaczęto milicjantów mobilizować i wysyłać na front. Wtedy rozbiegli się oni, niepomni swoich sympatii komunistycznych, i zmieszali się z ogólną masą młodzieży litewskiej, uchylającej się od mobilizacji i przeto się ukrywającej.

Są dziś także pogłoski różne, do których nie przywiązuję wagi realnej i które podam tylko z obowiązku kronikarskiego. Charakterystyczne i ciekawe są one nie przez to, żeby coś konkretnego i rzeczywistego rewelowały, ale przez odzwierciedlenie tego, czego ludzie pragną i do czego tęsknią, bo z tego zwykle takie pogłoski się rodzą. Otóż powiadają, że Sowiety są już wyparte z Kowna i że rząd litewsko-sowiecki (to znaczy rząd Paleckisa i Gedvilasa) z Kowna uciekł. Drugie, co mówią, to że w Kłajpedzie rzekomo wysadzony został desant anglo-amerykański. I jedna, i druga wiadomość nie wydaje się prawdopodobna, ale cechuje usposobienie ogólne.

30 września, rok 1944, sobota

Dzień dzisiejszy w gospodarstwie poświęciłem wożeniu nawozu na dwa kawałki gruntu, na których chcę jeszcze posiać żyto i które wymagają konieczne nawozu.

Ekonom Adamowicz leży chory. Nie używam go już do gospodarstwa. Stał mi się w ogóle do niczego.

Dzień zeszedł, jak to się mówi, „obojętnie” (w narzeczu polskim drobnej szlachty na Białej Rusi).

1 października, rok 1944, niedziela

Oto pierwszy dzień października. Jesień coraz głębsza. I coraz nam będzie trudniej.

Dowiedzieliśmy się rano, że wczoraj przyjechał autem ciężarowym z Wilna Andrzej Mieczkowski. Przyjechał z Antosiem Rosenem, który tym autem ma przewieźć do Wilna swoich rodziców, którzy, wyrzuceni z Gaczan, siedzą na razie na łasce u Leikusa, sąsiada Gaczan. Z nimi przyjechało czterech młodzieńców Wilnian, z których jeden jest szoferem, inni – gospodarze wynajętego auta i spekulanci. Powstał projekt, żebyśmy i my z Jadzią zabrali się tym autem do Wilna zamiast wyjechać pojutrze pociągiem. Za przewiezienie nas wzięto by od nas 1000 rubli, czyli 100 czerwonońców. Bylibyśmy w Wilnie tegoż dnia, podczas gdy pociągiem jedzie się obecnie, w warunkach wielkiej niewygody, do trzech dni. Wahało się to jednak (jedziemy – nie jedziemy), bo nie było wiadomo, czy auto odejdzie do Wilna dziś czy jutro rano. Na dziś nie zdążylibyśmy się wybrać. Auto było trochę zepsute, to trzeba było naprawić coś w akumulatorze. Zanim to uczyniono – upłynęło czasu i ostatecznie przy odejściu auta zostało ustalone, że idzie ono dziś do Rakiszek i stamtąd pod Gaczany po Rosenów, którzy z rzeczami (będą oni mieli rzeczy mnóstwo, bo wyjeżdżają zupełnie, a jeszcze powiozą i krowę zarzniętą oraz bekona). Jutro koło godz. ósmej rano auto odejdzie do Wilna. My więc z Jadzią jutro raniutko pojedziemy koniem do Leikusa pod Gaczany, a tam się zabierzemy do auta. Nie będzie to jazda wygodna, choć Jadzię może się da załokować przy szoferze, ale będzie jazda prędką. Liczymy, że z Wilna wrócimy za tydzień. W Bohdaniszkach dzieci pozostaną pod dozorem Buby, Żermena pod dozorem tymczasowym niani Adeli (siostry Nasty Jachimowiczowej), a gospodarstwo pod dozorem starego Igancego Čepasa, ojca Jadzi.

Andrzej opowiada, jak ciężki jest los Komorowskich w Wilnie. Julek wciąż chory na tyfus. Gorączkuje i od dwóch tygodni jest nieprzytomny. Ze szpitala „ewakuowano” go do jakichś baraków. Jak wiadomo, jego drugiego syna rozstrzelali Niemcy. Starszy zaś syn Zyś, który był w wileńskiej partyzantce polskiej, zwiął z niej, gdy się ona wcieliła do armii i gdy Sowiety wywoziły partyzantów polskich na wschód. Ujęto go w lasach pod Wilnem i zaliczono za bandytę. Podobno Sowiety zmusiły go do podpisania oświadczenia, że był bandytą. I jako bandytę wywieziono go do Kaługi, gdzie tych bandytów zbierają. Elizka Komorowska z Litką, która się musi ukrywać, głodują w Wilnie.

2 października, rok 1944, poniedziałek

Nic nie wyszło z naszej jazdy do Wilna ciężarówką. Wczoraj przed wyjazdem z Bohdaniszek szofer i inni podróżni tej ciężarówki zapowiadali kategorycznie, że ciężarówka musi tegoż dnia, to znaczy wczoraj, odjechać i być w Wilnie, ale jeden z tych młodzieńców, którzy przyjechali ciężarówką, mianowicie ten, który do spółki z Antosiem Rosenem ją wynajął i który przeto był zainteresowany w dochodzie, a więc chciał nas mieć za pasażerów, zapewnił mi na stronie, że ciężarówka tegoż dnia na pewno spod Gaczan nie odejdzie, gdyż Rosenowie nie zdążą się ze swymi rzeczami załadować, a więc odejdzie stamtąd dopiero dziś rano i mianowicie nie wcześniej niż o godz. ósmej rano. Po takim zapewnieniu zdecydowałem się jechać dziś rano pod Gaczany, żeby się na ciężarówkę zabrać. Wstaliśmy więc z Jadzią o godzinie trzeciej rano i wyjechaliśmy konikiem w stronę Gaczan. Za Gaczanami odszukaliśmy folwark Leikusa, w którym ostatnio mieszkali Rosenowie i skąd miała ich zabrać ciężarówka. Tam w okolicy mieliśmy okazję obserwowania zniszczenia, jakiego dokonały działania wojenne, które pod Juzyntami były gwałtowne, a więc zniszczone, rozwalone i spalone budynki, drzewa połamane i powyrywane, jamy od gruntów i bomb; przyjechaliśmy wreszcie na miejsce i tu się okazało, że ciężarówka odjechała już wczoraj. Wróciliśmy jak niepyszni do Bohdaniszek. Wyjedziemy jutro rano pociągiem z Abel.

3 października, rok 1944, wtorek

Wyjechaliśmy z domu wcześniej, o świcie. Antoniuk Malcius zawiózł nas Czyżykiem do Abel na stację kolejową. Pierwszy raz widziałem stację po lipcowych wypadkach wojennych. Spalona

doszczętnie. W Abelach zastaliśmy pociąg wojenny, który akurat za pół godziny odchodził do Griwy. Znaleźliśmy tam wagon z uchodźcami białoruskimi z okolic Połocka i Witebska, wracających z Łotwy do swoich siedzib. Z nimi jechało kilka spekulantek z tamtych też stron, które były wybrały się do Litwy po „złote runo” – po krowy, których tam nawet na lekarstwo nie mają. Ludność w kołchozach tam głoduje. Żywi się wodą, kartoflami i burakami, jak one same to przyznają. Za jakieś rzeczy wycygały tu trzy piękne krowy, które właśnie wiozły. Te spekulantki z Rosji i Białej Rusi, które upodobały bogactwa Litwy i zaczynają najeżdżać coraz liczniej – to jedna z plag naszych, która będzie nas ogałacać z tego, co mamy.

Zabraliśmy się do tego wagonu i dojechaliśmy do Griwy. Tam, gdyśmy się z Jadzią naradzali, gdzie i jak szukać pociągu dalej, do Wilna, albowiem słyszeliśmy, że z Dyneburga do Wilna zaczął już chodzić pociąg osobowy (właściwie wagony towarowe, ale ze schodkami do wsiadania i z ławami wewnątrz), do Jadzi, która stała przy długim pustym pociągu towarowym, podszedł młody oficer sowiecki, bardzo uprzejmy i elegancki, jakich się rzadko u Sowietów spotyka i dowiedziawszy się, dokąd jedziemy, wskazał, że ten pusty pociąg towarowy idzie właśnie do Wilna i że przeto możemy nim jechać. Oficer ten umiał nawet trochę po litewsku, nauczył się litewskiego w latach 1939-1940 w Porubanku na aerodromie ówczesnych baz sowieckich – widocznie od oficerów litewskich. Wsiedliśmy więc, tym bardziej, że się okazało, że pociąg osobowy dziś już do Wilna odszedł i że kursuje on tylko co drugi dzień. W pociągu poznaliśmy parę Litwinów młodych – brata i siostrę, bardzo miłych i uprzejmych, z którymi trzymaliśmy się już razem w dalszej podróży i którzy byli dla nas bardzo pomocni przy dźwiganiu rzeczy i znajdowaniu miejsca w pociągach. Te pociągi transportowe wojenne są bardzo niedogodne dla podróży, przede wszystkim dlatego, że dla dostania się do wnętrza wagonu nie ma żadnych stopni i trzeba z ziemi wdrapać się wprost na podłogę wagonu, która jest na wysokości głowy człowieka; wymaga to pewnych ruchów akrobatycznych, które w moim wieku są trudne, toteż bez pomocy wleźć do takiego wagonu nie mogę. W wagonie poza podłogą, zresztą bardzo brudną, nic nie ma, siedzieć trzeba na rzeczach albo wprost na podłodze. Dobrze jeszcze, że nie jest bardzo zimno. Jadąc widzi się wielkie zniszczenia wojenne. Są miejsca, w których budynki wszystkie są pogruchotane i spalone, ziemia poryta granatami, las połamany i częściowo skruszony. Stacje kolejowe w ruinie. Cały tor kolejowy zniszczony, teraz ułożony na nowo, a obok nowego toru wzdłuż całej drogi leżą szczątki starego, w ich liczbie niezliczone ilości starych szpał, które przed ucieczką Niemcy jakąś specjalną maszyną przecięli wszystkie po połowie przez środek. Te zniszczone szpały dadzą dziesiątki, jeżeli nie setki tysięcy metrów drewna. Straszny widok zniszczenia. Pociągiem, do którego wsiedliśmy w Griwie, dojechaliśmy do Podbrodzia. Był już wieczór ciemny, właściwie noc. Okazało się, że pociąg ten idzie nie do Wilna, lecz z Podbrodzia zawraca na Łyntupy i Połock. Wysiedliśmy więc i czekaliśmy z rzeczami pod gołym niebem między torami kolejowymi, dworzec bowiem w Podbrodziu zniszczony. Koło godziny drugiej w nocy przyszedł pociąg wojskowy na Wilno. Do wagonów dostać się było niepodobna, bo były zajęte przez wojsko i amunicję, ale udało się nam zalokować na otwartej platformie. Tam, ściśnięci i rozdzieleni stosem rzeczy, pomieszani z innymi podróżnymi, czekaliśmy na dalszą podróż. Jacyś kolejowcy wojskowi chcieli nas wyrzucić, ale Jadzia ugłaskała ich kielbasą, którą okupiliśmy nasze niewygodne stanowisko, zapewniające nam podróż.

4 października, rok 1944, środa

Na platformie hamulcowej dojechaliśmy koło godziny dziewiątej rano szczęśliwie do Wilna. W Nowej Wilejce żołnierz na warcie chciał nas z platformki wyrzucić, ale dał się przebłagać.

Z dworca kolejowego udaliśmy się wprost do mieszkania naszego. Nie wiedzieliśmy, czy tam będzie można zamieszkać i w jakim stanie mieszkanie zastaniemy. Ale postanowiliśmy spróbować. Wiedzieliśmy tylko tyle, że dom z naszym mieszkaniem ocalał, choć ma dach dziurawy i szyby wybite, że Redowie uciekli z Wilna, Redowa z matką swoją i z dziećmi – do Bawarii, Red – nie wiadomo dokąd, że Red wyjeżdżając zalokował kogoś w mieszkaniu, że do mojego pokoju, w którym jest moja biblioteka i moje meble, wciąż się chcą zainstalować jacyś goście czy urzędy jako

do mieszkania rzekomo opuszczonego. Parokrotnie z Bohdaniszek różnymi okazjami prosiłem czynniki uniwersyteckie, aby zaopiekowały się moim mieszkaniem i biblioteką do czasu mego przyjazdu, ale w jakim stanie zastanę mieszkanie – tego nie wiedziałem. Okazało się – dobrze. Mieszkanie jest nie zarekwirowane przez nikogo. Red, wyjeżdżając do Niemiec, polecił listownie opiekę nad mieszkaniem swojemu przyjacielowi, inżynierowi Nahorskiemu, człowiekowi sumiennemu i energicznemu. Nahorski zainstalował w dwóch małych pokojach robotnika biura remontu mieszkań, którego kierownikiem był Red – Rachmatula z rodziną, na jeden pokój sam się w urzędzie domowym fikcyjnie zarejestrował, dwa pozostałe pokoje zarezerwował w urzędzie domowym jako moje. Na mieszkanie, a zwłaszcza na duży pokój z moimi meblami i biblioteką, reflektowało NKWD, czyli pracownicy tej instytucji, którzy chcieli lokal ten zająć z meblami i domagali się tego gwałtownie. P. Nahorski i Rachmatul musieli w obronie mieszkania staczać formalne walki, ujadać się z agentami NKWD, z Żydówkami NKWD-ystkami zwłaszcza, biegać po odpowiednich urzędach, szukając pomocy i obrony. Chodzi o to, że NKWD dowąchało się widać, że Red, który mieszkał w moim mieszkaniu, wyjechał do Niemiec i że matka Krystyny Redowej, która tamże u Redów mieszkała<sup>7</sup> i płaćta osobę Reda ze mną. Na wszelkie perswazje Nahorskiego, że gospodarzem mieszkania jestem ja, profesor Römer, który czasowo bawię na wsi, ponieważ Niemcy byli zamknęli uniwersytet i że niebawem przyjadę, i że w mieszkaniu jest moja biblioteka naukowa, odpowiadali, że wiedzą, iż uciekłem do Niemiec, że mieszkanie było zajęte przez agentów niemieckich, że książki w bibliotece są faszystowskie, zwrócone przeciwko Sowietaom, że oni mieszkanie z meblami zabiorą; wyrażali się przy tym, że książki po prostu wyrzucą jako śmieci, mnie zaś ostatecznie, o ile się rzeczywiście znajdę, dadzą inne mieszkanie, że mebli mam w ogóle za dużo itp. Po wielu tarapatach, nie mogąc się wciąż mnie doczekać i coraz bardziej przez NKWD nachodzony, p. Nahorski, nie znajdując dosyć energii u rektora Bieliukasa, który był już otrzymał mój list z prośbą o opiekę nad mieszkaniem, zdobył pomoc rzetelną u prorektora prof. Horodniczego, z którym chodził do komisji mieszkaniowej rządowej i tam wyrobił glejt opiewający, że mieszkanie prof. Römerisa przy Bonifraterskiej pod nr 2, mieszkanie nr 6, jest „*paimtas vyriausybines komisjos zinion*”<sup>8</sup>, po rosyjsku zaś to brzmi jeszcze lakoniczniej: „*квартира бронирована*”. Wprawdzie i potem jeszcze NKWD nie przestało nachodzić i twierdzić, że mieszkanie zajmą oni, że jest tu jakaś uplanowana intryga, bo profesora wciąż nie ma i w istocie ten profesor – to mit, albowiem profesor uciekł do Niemiec i nie przyjedzie nigdy, że glejt na mieszkanie jest owocem jakichś machinacji politycznych pokątnych i pachnie czymś podejrzanym, ale ostatecznie mieszkanie dotąd uratować się dało. Zamieszkam jednak nie w wielkim pokoju, gdzie ostatnio mieszkałem i gdzie stoją moje meble (brak tam wielu szyb i przez sufit zacieka woda z dziury, wybitej w dachu przez bombę), jeno w pokojach, gdzie mieszkali Redowie, przede wszystkim w gabinecie Reda, który jest najcieplejszy. A jeżeli i Jadzia z dziećmi zamieszka, to zajmiemy jeszcze pokoiki małe oba i jadalny, wielki zaś pokój wynajmiemy. Jak mi p. Nahorski poufnie powiedział, Red rzeczywiście nie tylko żonę z dziećmi (Krystyna wyjeżdżając była w siódmym miesiącu ciąży z trzecim dzieckiem, które musiało się już teraz w Bawarii urodzić) wysłał do Niemiec (Bawarii), ale w ostatniej chwili sam też tamże uciekł, choć wciąż twierdził poprzednio w rodzinie i wobec znajomych, że tego nie uczyni i pozornie oponował przeciwko wyjazdowi żony. Że sam ucieka do żony do Niemiec – o tym napisał do p. Nahorskiego w przeddzień wyjazdu (wyjechał nazajutrz po żonie), pisząc, że się „załamał” i że wyjeżdża za żoną do Niemiec. P. Nahorski nikomu o tym nie mówi, bo wie, jak to jest źle widziane przez społeczeństwo polskie i sam puścił wersję, że Red jechał do Polski, w drodze został rzekomo raniony przy jakimś bombardowaniu i leży chory w szpitalu w Grodnie.

5 października, rok 1944, czwartek

Wczoraj byłem zmęczony, odwiedziłem z Jadzią tylko kilka osób z rodziny i interesowałem się sprawą mojego mieszkania, wizytę zaś do uniwersytetu i inne sprawy związane z uniwersytetem i

<sup>7</sup> Zdanie niepełne.

<sup>8</sup> „Jest w gestii komisji państwowej”.

moim zainstalowaniem się ponownym w Wilnie odłożyłem na dziś. Zresztą kilka osób z uniwersytetu spotkałem już i wczoraj i poszedłem do uniwersytetu już nieco poinformowany. Na czele uniwersytetu w Wilnie stanął mianowany rektor Bieliukas, który za czasów sowieckich roku 1940-1941 był prorektorem do spraw gospodarczych. Prorektorami są mianowani: do spraw studenckich – prof. Matulis, do spraw gospodarczych – prof. Horodničius, znany działacz, Litwin wileński, człowiek dobrego imienia. Dziekanami wydziałów są: na prawie – prof. Konstanty Jabłoński, historyk prawa, człowiek nauki, bardzo poważny, rzetelny, czysty – wybór doskonały, lepszy nie mógł być; na ekonomice – Bučas, karierowicz i człowiek płytki, na humanistyce (obecnie wydział ten nazwano na wzór rosyjski Wydziałem Historyczno-Filologicznym) – Vabalas-Gudaitis, człowiek niezły, ale głowa słaba i naukowość bardzo mierna, na medycynie – prof. Kairiukštis, psychiatra, na matematyce-przyrodzie i na leśnictwie – nie wiem kto. Zarząd akademicki (mam na myśli rektora i prorektora Matulisa, bo o prorektorze Horodničiusie nie potrzeba chyba mówić) – to nie są w ścisłym znaczeniu komuniści, podporządkowujący sprawy Litwy Sowiecom i komunizmowi czy tym bardziej Rosji; są to, zdaje się, tacyż dobrzy patrioci litewscy, jak inni ludzie, którzy byli lewicowi, ale nie komuniści i tym bardziej nie partyjni. Obchodzą ich i leżą im na sercu sprawy litewskie. Widziałem się dziś i rozmawiałem z szeregiem profesorów różnych wydziałów, rozmawiałem też z rektorem, prorektorami, byłem u dziekana Jabłońskiego. Uniwersytet będzie słabo funkcjonować – to, zdaje się, jest jasne. Może wyjątek będzie stanowić Wydział Medyczny, na który względnie najwięcej reflektują ci, co się na studia do uniwersytetu zapisują. Inne wydziały będą zaledwie wegetowały. W szczególności dotyczy to naszego Wydziału Prawniczego, na który dotąd – na wszystkie cztery kursy łącznie – przyjęto zaledwie 16 studentów. Dziekan liczy, że przyjmie się jeszcze drugie tyle, to znaczy że ogółem będzie na wydziale koło 30 studentów! Niewiele więcej niż personelu profesorskiego z asystentami. Skąd może być większy dopływ studentów, jeżeli warunki studiów w Wilnie są takie, że nie ma mieszkań (bardzo trudno o mieszkanie i o pokój, gdyż 70% Wilna jest w ruinach), że jest brak środków żywności, a paczki pocztowe, w których można było za Niemców żywność ze wsi do miast przysyłać, nie chodzą, przywozić zaś żywność trudno, bo środki komunikacji w kraju jako w strefie przyfrontowej są niesłychanie trudne, że nie ma światła, bo elektryczność nie funkcjonuje (obećują ją wznowić za parę miesięcy). Bez mieszkania, bez żywności, bez światła – jakże tu studiować. W dodatku nowo wstępujący na uniwersytet nie są zwalniani od mobilizacji, która całą naszą młodzież męską dotyczy. I w ogóle młodzież narodowa litewska jest w ogromnie przeważającej ilości usposobiona antysowiecko i w obecnych warunkach na uniwersytet pod rządami sowieckimi się nie kwapi i nie o tym myśli. Na uniwersytet wpisuje się trochę studentek, może jacyś komuniści lub komsomoły, których jest mało, względnie dosyć dużo się zgłasza Żydówek, które powróciły z Moskwy. W profesurze są wielkie luki. Większość profesury, tak starszej, jak zwłaszcza młodzieży najmłodszej, wyjechała i jest za frontem. Na naszym wydziale pozostali tylko ze starszego pokolenia Janulaitis, ja, Konstanty Jabłoński i Kazimierz Szolkowski, a z najmłodszych tylko mój asystent Patecki i Wacław Zubkiewicz. Inni uciekli (Kriwicki, Stankiewicz, prawie wszyscy docenci i asystenci) albo ukrywają się i nie zgłaszają (Čepas, Tamonis...). Był pozostał Tadeusz Pietkiewicz, ale został aresztowany i siedzi. Pozostała profesura, tak naszego, jak innych wydziałów, choć zdaje sobie sprawę z tego, że warunki pracy na uniwersytecie są i będą trudne i nie zapewniają normalnego rozwoju studiów, uważają jednak, że wytrwanie na posterunku w tych czasach, które uważają za tak lub inaczej przejściowe, jest konieczne. Za cel w pierwszym rzędzie mają oni ochronę litewskiego charakteru uczelni i niwelowanie fal zalewu sowieckiego. Na uniwersytet pchają się już teraz elementy obce, mianowicie młodzieży żydowskiej i nawet rosyjskiej – zwłaszcza studentki – przyjeżdżający z Moskwy i w ogóle z Rosji. Zgłasza się ich dosyć dużo, bo już tam słyszeli, że w Wilnie są względnie lepsze warunki utrzymania, niż w miastach rosyjskich, gdzie jest głód formalny i niczego nie ma. Kandydaci ci czy kandydatki obiecuja nauczyć się po litewsku, bo na razie ani słowa nie rozumieją. Uniwersytet przed nimi broni. Opancerzył się przeciwko nim uchwałą senatu, że na uniwersytecie mogą być przyjmowani tylko ci abiturienti, którzy zdadzą poprzednio na uniwersytecie egzamin z

języka litewskiego, o ile oczywiście nie ukończyli gimnazjum z językiem wykładowym litewskim. Na wakujące miejsca w szeregach profesury i asystentów zgłasza się trochę komunistów. Jest też pewna ilość komunistów w profesurze spośród tych, co byli w profesurze w roku sowieckim 1940-1941, a po wkroczeniu Niemców uciekli do Moskwy lub zostali usunięci z uniwersytetu. Obecnie zostali oni restytuowani automatycznie. U nas tę grupę komunistyczną na wydziale stanowią Medžys i Bulavas, a może ktoś jeszcze, komu ci dwaj przewodzą.

6 października, rok 1944, piątek

Zapisałem się dziś formalnie w tzw. „uprawdomie”, to znaczy w zarządzie domowym, na moje mieszkanie, zameldowałem się z Jadzią w milicji (zameldowaliśmy też dzieci), na uniwersytecie dostałem zaświadczenie pracy, kartkę obiadową i komanderówkę<sup>9</sup> na wyjazd do Bohdaniszek jeszcze do 25 października. Zastanawiamy się teraz z Jadzią, czy ona z dziećmi pozostanie w Bohdaniszkach czy przyjedzie także do Wilna, chociaż później, po mnie. Z jednej strony, dużo względów przemawia za tym, żeby jechała. W tych niepewnych i niespokojnych czasach niebezpiecznie jest się rozstawać, bo można być rozdzielonym na długo. Lepiej jest trzymać się kupy. Skądinąd mnie w moim wieku trudno byłoby mieszkać w Wilnie na stałe, samemu, bez opieki, bez pomocy domowej. I dla dziewczynek naszych miasto może lepiej na ich rozwój wpływać, przynajmniej zimą. Ale warunki utrzymania są w mieście trudniejsze. Obliczyliśmy wszakże, że jednak dalibyśmy prawdopodobnie radę co do utrzymania rodziny w Wilnie, aczkolwiek z zasiłkiem ze wsi. Pensja moja brutto ma wynosić 2300 rubli, a po różnych potrąceniach netto 1880 rubli, czyli 188 czerwonońców. Na cenę słoniny w Wilnie ( $\pm 50$  do 55 czerwonońców za kilogram) wynosi to nieco ponad 3 kilo słoniny, czyli około 10 litów na dawne pieniądze litewskie miesięcznie. Profesor uniwersytetu na gaży 3 kilo słoniny albo 10 litów miesięcznie – to oczywiście szopka. Przed wojną do roku 1939 czy 1940 pobierałem miesięcznie jako profesor do 2000 litów, a będąc rektorem – jeszcze ponadto 1000 litów miesięcznie, czyli razem do 3000 litów. A tu nagle spadłem do 10 litów lub 3 kilo słoniny. Prawda, że mi za to dają utrzymanie na warunkach dostępniejszych, bo po cenach urzędowych. Zaopatrzony jestem w kartki obiadowe w restauracji hotelu Bristol. Obiady w Bristolu przeznaczone są dla I kategorii pracowników państwowych, są to obiady dobre, dosyć obfite, na trzy potrawy, z mięsem świeżym co dzień, z chlebem do obiadu. Metoda zapewnienia pożywienia dla pracowników państwowych jest obecnie w Sowietach, przynajmniej u nas w Litwie, ta, że wszyscy pracownicy i robotnicy publiczni są podzieleni na cztery kategorie podług zajmowanego stanowiska w hierarchii i podług wysokości pensji. I kategoria, obejmująca najwyższe stanowiska i urzędy, ma najlepsze obiady, śniadanie i kolacje. II kategoria – ma swoje restauracje i obiady gorsze. III kategoria w jeszcze nędzniejszych restauracjach ma jeszcze gorsze obiady. Zaś kategoria, do której należą robotnicy i najniżsi urzędnicy, ma na obiad tylko wodnistą zupkę i to bez chleba. Taką jest równość. Zaiste, jak mówi popularna piosenka sowiecka, *„ja drugiej takiej strony nie znajdu, gdzie tak wolno dysztelować”* (sic!). Kartek na śniadanie i kolacje jeszcze na razie nie dostałem. Oprócz tego, będę mieć jeszcze kartkę na chleb, kartkę żywnościową i jakąś kartkę na „suche prowianty”. Słowem, mnie osobiście wystarczyłoby na utrzymanie się z tego i wypadłoby tanio. Ale ani żona, ani dzieci kartek na obiady, śniadania i kolacje nie dostają, tylko kartki na chleb i żywnościowe. Te ostatnie mają niewielką wartość, po pierwsze dlatego, że opiewają na niewiele rzeczy (cukier, kasza, mąka...), po drugie zaś dlatego, że i to, co figuruje na odcinkach kartki, nie realizuje się w całości. Zaopatrzenie więc żony i dzieci jest marne. U bolszewików robi się to rozmyślnie, bo się nie ceni rodziny, a nawet świadomie czy bezwiednie rozbija się ją: że żona pracownika państwowego, mająca kilkoro dzieci, pracuje w domu więcej od pracującej w jakimś biurze czy urzędzie, tego się nie uwzględnia; jeżeli nie ma ona posady na urzędzie czy w przedsiębiorstwie państwowym, to się liczy, że nie pracuje i do kartek na obiady prawa nie ma. Żeby mieć to prawo, musi pójść na służbę publiczną; wtedy i mąż, i żona, każdy indywidualnie, pracują i mają zaopatrzenie w tej lub innej kategorii, ale wtedy dzieci trzeba

<sup>9</sup> Komandirowka (ros.) – delegacja.

oddać do jasełek lub ogródka i rodziny już nie ma. Jednak zamiast obiadów, śniadań i kolacji ja mogę brać odpowiedni prowiant w naturze, który na I kategorię jest podobno bardzo dobry i obfity, i tym prowiantem mogę zasilać kuchnię rodzinną. Tak bym też robił, mieszkając tu z Jadzią i dziećmi. W każdym razie, bez dodatkowego zaprowiantowania regularnego z Bohdaniszek nie obeszłoby się. A to jest dosyć trudno, bo paczki żywnościowe teraz nie kursują, a jeździć i przywozić w obecnych warunkach komunikacyjnych jest bardzo trudne.

7 października, rok 1944, sobota

Wilno robi smutne wrażenie. W większej połowie jest w ruinach. Niektóre całe dzielnice albo ulice leżą w gruzach, np. ulica Niemiecka albo dzielnica Nowy Świat za kolejną. Miejscami są to gruzy, znowuż gdzie indziej sterczą nagie szkielety murów ze spalonym pustym wnętrzem. W innych domach są znów dziury, uszkodzenia lokalne i częściowe. Domów zupełnie zdrowych – mało. Takiego pogromu miasta Wilno nie doznało zapewne nigdy, chyba może kiedyś przed setkami lat przy jakichś wielkich pożarach miasta. Wojna obecna, zwłaszcza wypadki lipcowe roku bieżącego, bardzo boleśnie dotknęły Wilno. Wilno było i z armat gruchotane, i bombami z samolotów bite – tak przez Sowietów, jak przez Niemców. Najmniej ucierpiały kościoły wileńskie. Nieuszkodzony też jest Plac Katedralny i Plac Napoleona za Skopówką<sup>10</sup> i Bonifratrami<sup>11</sup> oraz piękne stare uliczki między Zamkową a kościołem św. Michała.

Bawimy w Wilnie jeszcze dziś i jutro, bo pociąg osobowy na Dyneburg odchodzi dopiero pozajutro rano. Interesy konieczne w Wilnie mam już załatwione. Odwiedzimy dziś krewnych, załatwiamy parę sprawuneczków. Krótki dzień jesienny prędko upływa.

Ciekawych rzeczy dowiedziałem się z licznych rozmów – o naszych byłych emigrantach moskiewskich, którzy przez czas okupacji niemieckiej siedzieli w Moskwie, dokąd z Sowietami w roku 1941 uciekli i którzy obecnie wrócili stamtąd i są u władzy albo na wysokich stanowiskach jako ludzie „pewni”, na których się Sowiety oprzeć mogą. Otóż wszyscy, z którymi rozmawiałem i którzy mieli okazję stykać się z tymi reemigrantami z Moskwy, stwierdzają, że ostygli oni bardzo w swoich sympatiach sowieckich w porównaniu do roku 1940-1941, a są wśród nich i tacy, którzy całkowicie tych sympatii się wyzbyli. Nie wszyscy oczywiście i nie wszyscy w równym stopniu, ale bardzo wielu i zapewne ich większość, nie wyłączając pono samego „premiera” sowiecko-litewskiego Gedvilasa. Ciekawa rzecz, że wśród najbardziej dotkniętych zniechęceniem do Sowietów są byli komisarz ludowy sprawiedliwości Pakarklis i znana działaczka komunistyczna z roku 1940-1941 Michasia Navikaitė-Mieszkowska. Ci dwoje – to byli ludzie bodaj najbardziej oddani Sowietom u nas. Mieszkowska była entuzjastką komunizmu i Sowietów, promieniejąca zapałem jak nikt inny. Pakarklis – to typ inny: pracowity jak wół i jak wół – uparty i ciężki, na zewnątrz niezwoorny i sztywny, ale trawiony wielkim ogniem temperamentu wewnętrznego, typ raczej samotnika, bardzo głęboko przeżywającego swoje procesy myślowe, zapładniające jego uczucia i namiętności. To jest fanatyk i asceta, ma w sobie coś z Savonaroli<sup>12</sup>. Pakarklis przechodził różne „nastawienia” ideowe. Był kiedyś „ateitininkas”, to znaczy należał do młodzieży katolickiej. Modlił się fanatycznie, biegał do spowiedzi, przyjmował komunię ciągle. Potem był „voldemarasowcem”, a więc spiskowcem skrajnie prawicowym i nacjonalistą. Przed kilku laty nawrócił się na komunizm sowiecki i odbył podróż do Sowietów, po której ostatecznie stał się fanatykiem Sowietów. W roku 1941, gdy był członkiem „rządu ludowego”, reprezentował w tym rządzie kierunek ultrasowiecki, przeciwny wszelkiemu zachowaniu jakichkolwiek odrębności litewskich. Był tym, który dążył do zlania się z Sowietami. Dziś, po powrocie z Moskwy, jest zupełnie w sympatiach sowieckich zachwiany. Powiadają o nim, że gdyby mógł, to gotów byłby biec do Ostrej Bramy się modlić. Podobnie zrażony do Sowietów i do wszelkiego działania politycznego wrócił pono i Venclovas, który już nie jest

<sup>10</sup> Skoipówka – ulica na Starówce wileńskiej.

<sup>11</sup> Bonifratrzy – kościół Św. Krzyża i klasztor bonifratrów przy ówczesnym Placu Napoleona.

<sup>12</sup> Savonarola Hieronim (1452-1498) – florencki reformator religijno-polityczny, wzór fanatyka i ascety, bezgranicznie oddanego idei.

komisarzem ludowym oświaty, ciężką nostalgię przeżył poeta Korsakas i wielu innych na emigracji sowieckiej. Teraz idealizują oni Litwę i bliscy są złorzeczeniu Sowietom. W każdym razie, ostygli i zbieleli. Powiadają, że niektórzy z tych ludzi tak dalece mają dosyć Sowietów, że gdyby przyszli jeszcze Niemcy, to gotowi byłiby z Niemcami potem się cofnąć, żeby się znaleźć po tamtej stronie frontu.

8 października, rok 1944, niedziela

Ostatni dzień w Wilnie. Jutro raniutko wyjeżdżamy. Główny fakt naszego dnia dzisiejszego – to była nasza z Jadzią wizyta u Elizki Komorowskiej na Pośpieszce. Elizkę zastaliśmy w niezłym stanie. Nie chodzi oczywiście, mając jedną nogę krótszą, ale wstaje i o jednej kuli nawet kilka kroków przejść może. Wygląda nieźle, temperament ma. Bardzo przejęta sprawami publicznymi, zwłaszcza polskimi. Dużo się też troszczy o rodzinę swoją. Julek po tyfusie jest już rekonwalescentny, starszy syn Julka Zyś nie jest, jak opowiadał Andrzej, w Kałudze, aresztowany i więziony jako bandyta. Jest on w Białymstoku i będzie, zdaje się, wcielony do armii Berlinga. Elizka przejęta jest upadkiem powstania w Warszawie, co Polacy wileńscy (nie tylko wileńscy) obchodzą żałobą noszoną na rękawie. Bardzo się też Elizka przejmuję knowaniami Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Polsce, działającego coraz wyraźniej jako ekspozytura sowiecka, i konfliktem między tym komitetem, który się opiera o siłę zbrojną Sowietów i rozporządza faktyczną władzą w Polsce na terenach zajętych przez Sowietów, a emigracyjnym rządem polskim w Londynie. Elizka wszystko to bardzo bierze do serca.

Wieczorem, gdyśmy byli już w domu, odwiedził nas Andrzej Mieczkowski, który przyprowadził i zaprezentował nam swoją żonę. Nazywa się Janina; jak jest z domu, nie wiem. Jest młodziutka, bardzo ładna, wysokiego wzrostu, na długich nogach, twarzyczka mała. Robi miłe wrażenie.

9 października, rok 1944, poniedziałek

Wyjechaliśmy z Wilna. Pociąg „osobowy” odchodzi podług rozkładu o godzinie 7.20 (czasu moskiewskiego). Powiadam „osobowy”, bo się tak nazywa, choć niczym się nie różni od towarowego, ale osobowym jest z tego względu, że idzie podług pewnego rozkładu i że wolno cywilnym podróżnym w nim jechać za biletami legalnie, podczas gdy w pociągach transportowych wojennych podróżni cywili jeżdżą tylko z łaski, bez żadnego prawa do jazdy i jeżeli nawet pozwolą im wsiąść, to na każdej stacji mogą wyrzucić. Wstaliśmy więc z Jadzią przed świtem i o godzinie piątej rano wyruszyliśmy po ciemku z domu na dworzec kolejowy, niosąc rzeczy ze sobą, ale rzeczy już były względnie lekkie, bo większą część zawartości walizek, które przywieźliśmy, zostawiliśmy w Wilnie (prezenty w produktach żywnościowych dla Heli Römer-Ochenkowskiej i dla Elizki Komorowskiej). Obiecała nam przyjść i istotnie przyszła na godzinę piątą rano i pomogła zanieść rzeczy na dworzec Renia Bagdonaitė. Kupiliśmy bilety, wyszliśmy w kolejce na peron i wsiedliśmy do wagonu. Na dworcu spotkaliśmy Michała Chmielewskiego, nauczyciela ludowego za Abelami, z którym dalej razem jechaliśmy i który nam pomagał we wsiadaniu i wysiadaniu z wagonu, w noszeniu rzeczy i w znajdowaniu miejsca. Wagon, do którego wsiedliśmy, był zwykły towarowy; nie miał ani schodków do wsiadania, ani wewnątrz ławek. Siedziało się na podłodze na rzeczach. Odjechaliśmy naturalnie z opóźnieniem, ale niewielkim. Podróżnych na razie było bardzo dużo, ale od Święcian ich liczba bardzo zmalała. Z początku pociąg biegł dobrze i krótko stał na stacjach. Tak było do Ignaliny. Zaczęliśmy się już łudzić nadzieją, że może dziś przed wieczorem zdołamy dotrzeć do Abel. Ale od Ignaliny zaczął coraz dłużej wystawać na stacjach. Im dalej, im bliżej Griwy, tym dłużej, najdłużej zaś na małej stacyjce łotewskiej między Zemgale a Griwą, gdzie nam już słońce zaszło. Do Griwy dojechaliśmy o zmroku. Pusto tam było, nie było żadnych eszelonów wojennych. Cała publiczność, jadąca na Abele-Rakiszi i dalej w tym kierunku, wlała się do poczekalni, urządzonej w jednym z drewnianych budynków, który ocalał w Griwie od zniszczenia wojennego. Ciepło tam było, dużo ludzi, piec napalony, wygodne ławy do siedzenia. W parę godzin potem

gruchnęła w poczekalni wieść, że przyszedł pociąg transportowy wojenny idący na Poniewież. Wszyscy rzucili się na dwór do pociągu. Pobiegliśmy i my. Pociąg znaleźliśmy. Nie znaleźliśmy nigdzie miejsca we wnętrzu, więc z rzeczami we troje z Jadzią i z Michałem Chmielewskim zalokowaliśmy się na platformie hamulcowej, ale było tam bardzo niewygodnie, bo poręcz był wyłamany i poza tym zimno dokuczało, bo noc była bardzo chłodna. Na szczęście jacyś wojskowi wyrzucili nas z tej platformki i wskazali pusty wagon, do którego szczęśliwie wdrapaliśmy się. Potem jeszcze naczelnik wojenny eszelonu chciał wyrzucić z tego wagonu wszystkich cywilów, ale odszedł i widocznie o tym zapomniał, bo więcej się nie pokazał. I tak oto udało się nam usadowić dla dokończenia podróży.

10 października, rok 1944, wtorek

Pociąg transportowy wojenny, do którego wsiedliśmy, odszedł z Griwy o godzinie drugiej po północy podług czasu moskiewskiego. Stał trochę dłużej w Eglaini, natomiast przez Abele przejechał bez zatrzymania się. Baliśmy się, że się nie zatrzyma i w Rakiszkach, ale stanął, tylko na króciutko, że ledwie wysiąść, a raczej wyskoczyć (bo z pociągów tych się skacze, ale nie schodzi i nie wysiada) z rzeczami zdołaliśmy. Z Rakiszek do Bohdaniszek byłoby trochę daleko na piechotę. Obmyśliliśmy więc tak: ja zostałem na dworcu przy rzeczach, Jadzia zaś poszła do Spieczun do swojej siostry Stefci Boreišisowej i w kilka godzin przyjechała z nią jej koźmi. Stefcia zabrała nas i rzeczy i odwiozła nas do Bohdaniszek. Zastaliśmy tu już rozpoczęte kopanie kartofli. Stary Ignacy Čepas bardzo starannie, sprężysto i gospodarnie kierował robotami we dworze. Skończony siew żyta u mnie i u sklypininków, wywieziony nawóz na ogrody warzywne i na ogród owocowy, zebrane żerdzie z ogrodzenia, sprzątnięte siemię lniane, rozpoczęte kopanie kartofli. Ekonom Adamowicz nie byłby się tak zawinął. Adamowicz jeszcze jest, synów zalokował w Rakiszkach, gdzie ich oddał do gimnazjum, sam szuka sobie posady w urzędach gospodarskich w Rakiszkach, ciągle stęka na zdrowie, palce mu narywają i boją, zaprzestał już pracy u mnie, choć jeszcze próbował się wtrącić i parokrotnie się gwałtownie pokłócił z Ignacym Čepasem. Ekonoma Adamowicza uczciwości nie jestem pewny, bo dużo drobnych spostrzeżeń i wiele cech jego charakteru budzi wątpliwości pod tym względem, choć kategorycznie twierdzić, że jest złodziejem, nie mogę, ale że nie umie żyć z ludźmi, że ma język, który mu szkodzi, że jest nieporządny, że nie ma skrzętności gospodarczej – to fakt. Nie wiem, czy mógłbym go trzymać na stanowisku ekonoma, gdyby się nic nie było zmieniło. Teraz to oczywiście kwestia ekonoma upadła, gdy się dwór rozsypał.

11 października, rok 1944, środa

Kopanie kartofli postępuje w szybkim tempie. Robotnic podziennych dużo – po kilkanaście na dzień (płaci się drwami albo kartoflami po cetrnarze kartofli dziennie), więc robota postępuje dobrze. Stary Ignacy Čepas jest wcale dobrym organizatorem pracy gospodarskiej. Lubi bardzo, gdy się go pochwali i gdy mu się dobrze udaje. Jeździłem do Pokrewnia, gdzie we dworze jest punkt rekwizycyjny. Chodziło mi o dostanie formalnych kwitów na dotychczasowe dostawy moje i o spieniężenie tychże (pożał się Boże, co za „spieniężenie”: za 272 kilo mięsa wołowego, 606 kilo żyta, 2 ½ kilo masła i niedużą ilość jaj – za wszystko ogółem 15 czerwońców), a także o pomówienie z lejtnantem gospodarczym o dostawie zboża i kartofli. Ten lejtnant gospodarczy z Pokrewnia w czasie mojej nieobecności był u mnie w Bohdaniszkach, niby w sprawach rekwizycji, niby w gościnie. Nas z Jadzią nie zastał, ale zachodził na górę do mojego gabinetu, oglądał pokój, dziwił się, że mieszkanie profesorskie nie jest zbytownie urządzone, gorszył się, że w jednym z pokoi na górze złożone są na podłodze fasola i pomidory, wreszcie zabrał niniejszy rozpoczęty zeszyt dziennika, mówiąc, że zapisane kartki wykroi i będzie miał zeszyt do jakichś rachunków służbowych. Ja, wyjeżdżając do Wilna, zeszytu dziennika nie brałem. Jak zwykle w takich wypadkach, w podróży dziennik pisałem na ulotnych kartkach osobnych, z których potem z domu wpisuję tekst do zeszytu dziennika. Tak było i tym razem. Gdy wróciłem, mówiono mi, że lejtnant z Pokrewnia zabrał duży zeszyt, częściowo zapisany. Nie myślałem jednak, że to mój dziennik.

Myślałem, że to jakaś z dawnych z ksiąg rachunkowych albo rejestrów gospodarczych Papy albo mojego byłego ekonoma Pumpola. Jakież było moje zdziwienie i zgorszenie, gdy dziś lejtnant zwrócił mi mój dzienniki, na szczęście nie uszkodzony. Oczywiście nie przeczytać nie mógł, bo nie rozumie. Prosił mnie o ofiarowanie mu takiegoż zeszytu czystego. Nie mam więcej zeszytów, dam mu papieru w dużych arkuszach, którego mam dosyć. Wystarczy mu tego. To nauka na przyszłość, żeby dobrze chować dziennik wyjeżdżając. Smutny widok przedstawia taki lejtnant gospodarczy sowiecki. Leży w swoim pokoju w ubraniu i butach na łóżku, a wstaje tylko po to, żeby pić. Jest stale odurzony alkoholem. Nie robi nic. Niby kieruje całym aparatem rekwizycyjnym w Pokrewniu i młynie, ale w istocie tylko pije, robią zaś inni. Częstował i mnie wódką (samogonem oczywiście) z baraniną i pomidorami, starał się być grzeczny, tytułował mnie „*gospodin profesor*”. Człowiek to mało inteligentny, pijak pospolity, którego wszystkie potrzeby sprowadzają się do jedzenia i picia, no i do spółkowania: słyhać, że ma już kilka kochanek na miejscu, w szczególności Verutię Eigminówną-Orłowską z Pokrewnia, drugą jakąś ładną młodą dziewczynę z Barczan, którą widziałem u niego siedzącą na łóżku podczas gdy mnie częstował. Jego orgie nocne z dziewczętami sprawiają, że córki p. Augaitisowej nie mogą nocować w tymże domu i idą nocować do Norwidyszek do p. Kauzanowej, która jest siostrą Augaitisowej.

12 października, rok 1944, czwartek

W dalszym ciągu kopanie kartofli. Jeździłem z dziećmi do Rudel. W Rudelach u Janki pożyczyłem 2 cetnary pszenicy na siew, którą jutro posiejemy, i u Raišysa dowiadywałem się o młocarni. Raišys terminu młócenia jeszcze nie wyznaczył, ale przyrzekł, że we wtorek wyznaczy. Wielka jest trudność z młóceniem. Zwłaszcza dla większych gospodarstw. Władze cisną, ażeby prędzej normę zboża do rządu dostarczyć, a jednocześnie gazetka „*Rokiškio Žinios*”, która się mieni organem powiatowego komitetu wykonawczego, pisze te słowa: „*Mašinų savininkai yra suinteresuoti kulti stambesniuose ūkiuose. Valsčių vykdomeji komitetai turi užkirsti tam kelią...*”<sup>13</sup>. Inaczej mówiąc, należy przeszkadzać temu, aby młócono w większych gospodarstwach, dopóki nie wymłócono w drobnych. Wszakże bez wymłócenia nie można oddać zboża do rekwizycji do rządu. Jeżeli się żąda rekwizycji, to trzeba wymłócić, ale młócić się nie pozwala. Błędne koło. Jeden z paradoksów sowieckich, które dezorganizują gospodarstwo.

13 października, rok 1944, piątek

Skończono pierwsze zasadnicze kopanie kartofli. Ogółem nakopano koło 200 cetnarów. Z tego do 100 cetnarów trzeba będzie oddać do rekwizycji. Śliczną mamy jesień, suchą, słoneczną, pełną barw gobelinowych. Ale już zaczyna być zimno.

Bawiąc w Wilnie dowiedziałem się nieco o sprawach polskich. Smutno się przedstawiają. Świeżo upadła Warszawa, w której stłumione zostało przez Niemców powstanie, zarządzone przez siły zbrojne tzw. Armii Krajowej, ulegającej emigracyjnemu rządowi polskiemu w Londynie. Naczelnym dowódcą tej Armii Krajowej jest generał Bór (pseudonim; nazwisko: Komorowski). Powstanie w Warszawie zarządzone było w chwili zbliżania się do Warszawy Sowietów. Chodziło powstańcom i ich kierownictwu o to, żeby Sowiety, wkraczając ewentualnie do Warszawy, nie zastali stolicy Polski biernej jak *tabula rasa*, lecz zastali ją czynną samodzielnie, walczącą albo nawet oswobodzoną wysiłkiem własnym krwi i rąk polskich. Chodziło więc o to, żeby Polacy spotkali w Warszawie armię sowiecką jako gospodarze, którzy witają sojuszników, ale nie panów. Organizatorowie powstania przerachowali się. Trzymali się długo, ale ostatecznie Niemcy zwyciężyli i powstanie zostało stłumione. Sowiety, które podeszły za Wisłą na Pragę, a więc pod samą Warszawę, wzywani o pomoc, pomocy nie dały. Sowietom bowiem nie było na rękę dzielić się zdobyciem Warszawy z partyzantami polskimi, którzy działają nie z ich ramienia. Wolą oni zarezerwować zdobywanie Warszawy dla siebie samych, żeby mieć całą zasługę po swojej stronie i

<sup>13</sup> Właściciele maszyn są zainteresowani młóceniem w większych gospodarstwach. Gminne komitety wykonawcze powinny położyć temu kres... (lit.).

żeby Polacy nie stawiali wobec nich jak równy i samodzielny partner, jeno szli za nimi, reprezentowani przez stworzoną przez Sowietów ich ekspozyturę polską – tzw. Komitet Wyzwolenia Narodowego, funkcjonujący już obecnie w Lublinie w charakterze faktycznego rządu polskiego, całkowicie uzależniony i wdzięczny Sowietom. Powstanie w Warszawie i walki Niemców z powstańcami zniszczyły Warszawę, a w stosunku do ludności Warszawy Niemcy stosowali taktykę drakońską. Wielką ilość ludności wygnali na głód do Pruszkowa. a teraz pono ewakuowali całą ludność cywilną. Upadek powstania w Warszawie jest obchodzony przez Polaków żałobą. W Wilnie bardzo dużo zwłaszcza pań chodzi z czarną opaską żałobną na rękawie. Perfidia sowiecka w stosunku do powstania warszawskiego drażni i oburza Polaków. Ale jeszcze większa jest perfidia polskiej ekspozytury Sowietów, sprawującej rządu w Lublinie. Miałem w Wilnie w ręku numer gazetki „Wolna Polska”<sup>14</sup>, wydawanej w Moskwie przez czynniki ekspozytury sowieckiej. Jest tam wydrukowana mowa sławnego Osóbki-Morawskiego<sup>15</sup>, który stoi na czele Komitetu Wyzwolenia, to znaczy rządu faktycznego, naślątego Polsce przez Sowietów. Opierając się na armię sowiecką, która dysponuje realną siłą w tej części Polski, z której usunięci są Niemcy, komitet pana Osóbki ma możliwość działania pod skrzydełkiem sowieckim i nikogo się nie pytając korzysta z władzy faktycznej, wydaje ustawy i dekrety, wykonywa „reformy”, organizuje swoje rządy, zarządza mobilizacją, tworząc w swej dyspozycji wojsko, rozdaje ziemię małym rolnikom, szkaluje emigrancki londyński rząd polski, który, choć uznany przez Anglię, atutów do pełnienia rządów w kraju nie ma i działać może tylko potajemnie. Organ moskiewski tego rządu faktycznego – „Wolna Polska” – posuwa się aż do tego, że powstanie w Warszawie, które w opinii polskiej zdobyło świętość, nazywa prowokacją bankrutów londyńskich (to znaczy polskiego rządu w Londynie) i charakteryzuje to jako działanie w porozumieniu z Niemcami i na rzecz Niemców (chyba dlatego, że to było nie miłe Sowietom).

14 października, rok 1944, sobota

Z Rakiszek jest wiadomość, że wydana została extra-depesza, donosząca o tym, że wreszcie całe terytorium Litwy zostało uwolnione od Niemców. Gdyśmy jeszcze byli w Wilnie, słyszeliśmy, że rozpoczęta została nowa walna ofensywa sowiecka na Żmudzi i Suwalszczyźnie. Przed kilku dniami mówiono już o zajęciu przez Sowietów Telsz, Kretyni, Połagi, Taurog, słowem – o zdobyciu pozostałych pięciu powiatów Żmudzi, które dotąd były jeszcze w ręku niemieckim, potem mówiono o zdobyciu Kłajpedy. Jednocześnie albo trochę wcześniej Niemcy wyparci zostali całkowicie z Estonii. Trzymają się oni jeszcze w Rydze i pod Rygą, pod Libawą, ale już drogę lądową do Niemiec mają odciętą. Co znaczy wyrzucenie Niemców z całej Litwy? Czy chodzi tylko o terytorium Litwy właściwej (Litwy Wielkiej – Didžioji Lietuva), czy ewentualnie z Krajem Kłajpedzkim, czy też całe to terytorium, które się przewiduje do wcielenia do Litwy? Albowiem w koncepcji i postanowieniach czynników Litwy sowieckiej, na terytorium Litwy mają się złożyć Litwa właściwa z Wilnem i częścią Wileńszczyzny na wschodzie, Kraj Kłajpedzki i część Prus Wschodnich za Niemnem. Reszta Prus Wschodnich ma wejść w skład Polski. To rozszerzenie terytorium tak Litwy, jak Polski to są atuty, którymi operują Sowietów dla zjednania sobie Litwinów i Polaków. Litwa zyskałaby z ramienia sowieckiego Wilno, Kłajpedę i kawał Prus Wschodnich, Polska straciłaby wprawdzie ziemie za Bugiem, powracające do Litwy, Białej Rusi i Ukrainy, ale zyskałaby na zachodzie większą część Prus Wschodnich, całe Pomorze i cały Śląsk.

15 października, rok 1944, niedziela

Ze strachem już myślę o moim wyjeździe do Wilna koło 25 października. Nie rozumiem, jak dojadę sam jeden, zwłaszcza jeżeli będę musiał wziąć cokolwiek rzeczy. Nie mam siły je dźwigać,

<sup>14</sup> „Wolna Polska” – ukazywała się w 1944-1945b r., najpierw z podtytułem „Gazeta frontowa dla ludności Polski”, potem „Gazeta Armii Czerwonej dla ludności Polski”.

<sup>15</sup> Osóbka-Morawski Edward Bolesław (1909-1997) – działacz socjalistyczny, przewodniczący PKWN, premier Rządu Tymczasowego i Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

nie mam siły wleźć do wagonu, co wymaga sztuki akrobatycznej w tych czasach, źle widzę, więc w nocy nie potrafię znaleźć odpowiedniego wagonu, wystarać się o miejsce do jazdy itd. Chyba odprowadzi mnie Jadzia. Parę razy wspomniała ona o tym, ale nie wiem, czy się zdecyduje, ja zaś prosić ją o to nie odważam się, bo wiem, ile ona ma na głowie i jak jest zapracowana, jak trudno jej się oderwać od Bohdaniszek i od dzieci choć na krótko, jak męcząca byłaby dla niej taka jazda. Będzie, co i jak Pan Bóg da.

Nie wiadomo też, co zrobić z Bohdaniszkami, jak się tu urządzić i jak Jadzię z dziećmi do Wilna sprowadzić. Skończyliśmy kopanie kartofli, skończymy kopanie buraków pastewnych i cukrowych, powieziemy do rządu normę, nie wiem jeszcze, kiedy zdołamy młócić. Ale najgorzej – co będzie dalej, do wiosny. Na wiosnę, jeżeli nic się nie zmieni, poszukamy na moją działkę w Bohdaniszkach polownika. Ale do wiosny? Stary Ignacy Čepas dopilnuje nieźle, ale trzeba mieć robotnika stałego na zimę. Trzeba dokarmić inwentarz, trzeba różne roboty koło domu i inwentarza wykonać. Człowieka znaleźć teraz niełatwo. A następnie kwestia jazdy Jadzi z dziećmi do Wilna. Jak jechać? Pociągiem nie ma ani gadania, chyba że dwie osoby odprowadziłyby Jadzię, ale ktoś odprowadzi? Ja radziłbym próbować koniem, ale Jadzia lęka się takiej lokomocji z dziećmi. Pozostaje automobil ciężarowy. Ale skąd i jak go zdobyć? Oto wielkie pytanie.

Biedna Jadzia znerwowana. Należałby się jej wypoczynek i spokój. W Wilnie trochę by się uspokoiła i trochę mniej pracy miała; tylko trochę mniej co prawda, ale przecież mniej. Tu pracuje i „tolku” nie ma, bo Sowiety wszystko odbierają i nie wiadomo, co wreszcie zostawia.

16 października, rok 1944, poniedziałek

Od paru dni słyhać nieustającą, choć bardzo odległą kanonadę. Otóż dzisiaj rozeszła się pogłoska, że podczas gdy Sowiety przez uderzenie na Prusy Wschodnie i zajęcie Żmudzi, Kłajpedy i podobno nawet Tylży za Niemnem okrążyli i odcięli armię niemiecką walczącą pod Rygą, to Niemcy od Rygi okrążają Sowiety i podsunęli się już pod Poniewież, który był ostrzeliwany z dział. Czy to prawda i o ile to jest ściśle – nie wiem. Między innymi, faktem jednak jest, że wiec (miting), który był przez czynniki komunistyczne na wczoraj zwołany do Rakiszek z powodu „uwolnienia od Niemców całej Litwy” dla uczczenia tego faktu, nie doszedł do skutku. Został odwołany. Może więc istotnie fakt „oswobodzenia całej Litwy” okazał się przedwczesnym. Choć znów inni twierdzą, że wiec nie doszedł do skutku dlatego, że publiczność się nie stawiła. Była podobno agitacja, żeby spędzić więcej ludzi ze wsi na wiec, ale nikt się nie stawił.

Wczoraj był w Bohdaniszkach Vingaudas Adamowicz, syn mego byłego ekonoma, uczeń VI klasy gimnazjum w Rakiszkach. Powiada, że uczniom wolno nosić emblematy narodowe ze znaczkiem Pogoni lub o barwach trójkolorowych. Zabroniony jest tylko krzyż. Religia i kościół jako antyteza komunizmu sowieckiego stały się teraz punktem nasilenia i manifestacji uczuć narodowych i usposobienia antysowieckiego u młodzieży gimnazjalnej. Nauka religii z gimnazjum jest usunięta, ale została dla uczniów zainstalowana w kościele. Uczniowie gremialnie klasami całymi uczęszczają na te lekcje religii w kościele. Brać udział w tych lekcjach uchodzi u nich za dowód patriotyzmu litewskiego. Ksiądz w nauczaniu religii wypowiada się bardzo radykalnie i śmiało, krytykuje Marksa, obala twierdzenia o rozbracie religii z nauką, głosi, że wszelka ustawa, która by usiłowała krępować wolność religii, jest nieważna jako przeciwna konstytucji i że na taką ustawę lub zarządzenie można pluć, zapowiada krytykę komunizmu itd. Uczniom w to graj. Podobą im się radykalizm bojowy księdza i spieszą skwapliwie na tę naukę. Dewotki i gospodynie stacji uczniowskich wpływają na swych lokatorów i lokatorki, żeby szli na tę naukę do kościoła. Władze sowieckie lokalne zwróciły już uwagę władz gimnazjalnych, żądając położenie kresu tej nauce, a przynajmniej masowemu uczęszczaniu na nią. W niektórych klasach, zwłaszcza u dziewczynek, wygłaszana jest nadal publicznie modlitwa przed nauką i po nauce. Słowem – młodzież cała żyje pod znakiem ostrej i ostentacyjnej opozycji.

17 października, rok 1944, wtorek

Jeździłem z Ignacym Čepasem do Rakiszek. Głównym interesem, dla którego jechałem, była sprawa jazdy Jadzi do Wilna. Prosiłem prezesa powiatowego komitetu wykonawczego Kairelisa, czy by mi nie mógł ułatwić wystarać się o miejsce dla Jadzi z dziećmi i rzeczy w jakimś automobilu ciężarowym idącym z Rakiszek do Wilna. Kairelis przyjął mię grzecznie, ale ułatwić mi nic nie mógł, bo nie ma w dyspozycji swojej żadnej ciężarówki i żadna z instytucji w Rakiszkach nie ma ciężarówki i nie posługuje się ciężarówkami. Ciężarówki do Wilna trafiają się tylko wojskowe. Trzeba się układać z szoferami. Mieszkając w Rakiszkach i mając znajomości w kołach wojskowych i szoferów i mając środki do przekupienia, zwłaszcza wódkę albo np. słoninę itp., można czasem dostać się do ciężarówki, ale mieszkając poza Rakiszkami – trudno. Udałem się następnie do Joachima Petrulisa, który jest obecnie nauczycielem geografii w gimnazjum rakiskim. Joachima Petrulisa prosiłem, jeżeli on albo jego starszy brat Benedykt pojedzie wkrótce do Wilna, żeby towarzyszył Jadzi z dziećmi jadącej tamże i zaopiekował się nią w drodze. Joachim Petrus wybiera się istotnie do Wilna, a zapewne także jego brat Benedykt i bardzo chętnie zgodził się jechać z Jadzią i pomóc jej. Ucieszyło mię to, bo z pomocą młodych mężczyzn Jadzia dojedzie dobrze z rzeczami i z dziećmi, a towarzyszyć jej będzie także Adela (siostra Nasty Jachimowiczowej), która niańczyła Żermenę w ciągu dwóch miesięcy i zgodziła się odprowadzić Jadzię w listopadzie do Wilna. Po załatwieniu tego w Rakiszkach w drodze powrotnej zajechałem przede wszystkim do młynarza w Łajbgałach, gdzie udało mi się zamówić kolejkę na mliwo na poniedziałek. Stamtąd udaliśmy się do Raišysa w sprawie młócenia. Raišys obiecał dać motor i młocarnię na koniec tygodnia przyszłego. Wtedy znów udaliśmy się do Romanowskiego w jednym z zaścianków Rakiszczek w sprawie oliwy do domieszania do benzyny jako paliwa przy młóceniu motorem. Słowem, załatwiłem szereg interesików po drodze.

Wspominał mi Joachim Petrus, że w Kretyndze przed jej zajęciem przez Sowiety, kiedy jedynie pięć powiatów Żmudzi było jeszcze wolnych od okupacji sowieckiej, utworzył się i ogłosił rząd Litwy Niepodległej w osobach generałów Raštikisa i Plechowicza oraz biskupa Borysowicza. Oczywiście już było za późno. Dopóki mogło to być jeszcze skuteczne i obudzić entuzjazm w narodzie – dopóty Niemcy nie dopuszczali do tego.

18 października, rok 1944, środa

Zaczynają się krystalizować perspektywy mojej, a potem Jadzi z dziećmi jazdy do Wilna. Na Abele i Griwę, a nawet na Turmont jechać źle, bo z Abel żadnego zgoła pociągu osobowego nie ma, a transporty wojenne są teraz tak zapchane, że do pociągu dostać się nie sposób, z Griwy zaś choć niby idzie co drugi dzień pociąg osobowy na Wilno, kursujący między Pskowem a Grodnem, ale często po kilka dni nie idzie, bo np. w Pskowie zabierają mu czasem lokomotywę na potrzeby transportu wojennego. Wobec tego pewniejsza jest jazda na wąskotorówkę i Švenčioniele. Pojadę więc ja w przyszłym tygodniu, a potem i Jadzia z dziećmi i eskortą (Buba, niania Adela, dwaj Petrusy) – z Bohdaniszek do Uciany końmi, a z Uciany wąskotorówką do Švenčionielów, skąd już regularnie co dzień idzie pociąg osobowy do Wilna.

Od lata tego roku, to znaczy od czasu, kiedy front z bombami i ogniem dział przesunął się przez naszą okolicę, weszło u młodzieży, a nawet nieraz u mężczyzn dorosłych w modę wysadzanie min, bomb, granatów i pocisków, których kombataneci pełno zostawili po lasach i polach. Niemcy cofając się w wielu miejscach założyli miny, poza tym dużo bomb i pocisków wystrzelonych nie wybuchło. Wojska sowieckie trochę rozminowały podminowane pola i drogi, ale pomimo to bardzo wiele różnego rodzaju pocisków leży na polach, w lasach, po rowach itd. Młodzi chłopcy, dzieci, dorośli nawet zbierają te miny, bomby i pociski, podkładają pod nie drwa i chrust, zapalają i sprawiają wybuchy. Wciąż to tu, to tam słyszać wybuchy. Dużo już było nieszczęśliwych wypadków skażenia i śmierci z tego powodu. Dziś grono mężczyzn (Novikas, Balys Čepas i inni) wynieśli bombę z ogrodu Mieczkowskich, zanieśli ją do wąwozu w polu moim za ogrodem i tam rozpalili ognisko. Pod wieczór bomba wybuchła z taką siłą, że w moim domu od wstrząsu powietrza rozsypały się dwie szyby w oknach pokoju sypialnego i przedpokoju, tak samo potłukły się szyby w

zaściankach Balysa i Antoniego Malciusów. Byłem strasznie zły na nich, tym bardziej, że akurat dziś Šeškus skończył u mnie oszklenie okien, w których szyby były powybijane podczas bombardowania w lipcu. Tylko co ten trudny problem oszklenia domu rozwiązałem i znowu szyby wybite. A przecie szyb obecnie dostać nie można i trzeba braki łątać, biorąc z jednych okien lub dubeltów do innych. Żeby to jeszcze robili chłopcy, chuliganiuki i błazny, ale to mężczyźni dorośli! Moda i mania bawienia się przedmiotami wybuchowymi, ziejącymi śmiercią.

19 października, rok 1944, czwartek

Są znowu pogłoski, które utrzymuje zapewne echo kanonady. Wciąż ją słyszymy i kanonada ta zdaje się raczej wzmacniać, niż słabnąć. Otóż są pogłoski, jakoby Sowiety za kilkanaście dni miały już opuścić terytorium Litwy na żądanie Anglii i Ameryki. Ma to być jednym z punktów dyskusji, którą prowadzi Churchill o Moskwie. Czy obrady Churchilla ze Stalinem dotyczą także krajów bałtyckich i czego mianowicie żąda Anglia – trudno wiedzieć, ale że nie może to chyba dotyczyć ewakuacji krajów bałtyckich przez Sowiety, kiedy wojna z Niemcami jeszcze się toczy i kiedy Sowiety są jednym z najistotniejszych czynników tej wojny – to chyba pewne. Niemniej pogłoska się utrzymuje, bo odpowiada ona gorącemu pragnieniu całej ludności litewskiej, a czego ludzie gorąco pragną – w to zazwyczaj skłonni są wierzyć. Litwini nie pożądamy wcale Niemców, ale pozbycia się Sowietów pragną z całych sił. Dziś już, po doświadczeniach okupacji sowieckiej i niemieckiej, nie tylko inteligencja, ale cały, niemal bez wyjątków, lud litewski pojął i pokochał niepodległość własnego kraju. Może słowo „niepodległość” źle oddaje istotę pojęcia, bo z terminem „niepodległość” związana jest zupełna izolacja państwowa. Nie chodzi o izolację niepodległościową, o to, żeby nie być w żadnych związkach z żadnym innym lub żadnymi innymi państwami, ale o to, żeby być gospodarzem u siebie, gospodarzem własnego kraju narodowego i żeby w ewentualnym związku być na stopie zupełnie równej z innymi udziałowcami związku. I jeżeli chodzi o związek zachowujący niepodległość, to chodzi o to, z kim się do związku należeć będzie. Wcielenie do „związku”, który związkiem jest tylko formalnie, w istocie zaś stanowi imperium jednego dominującego narodu i skonstruowany jest na zasadach totalizmu unitarnego jednej ideologii społecznej – to jest grób dla małego narodu litewskiego, zwłaszcza gdy ten naród dominujący jest zacofany kulturalnie, nie gospodarczy, chaotyczny i azjatycki. Nie wyobrażam sobie, jak mogą się na stałe ostać w Litwie Sowiety. Jest to coś jak połączenie ognia z wodą. Gdyby to nastąpiło, to chyba Litwa jako jednostka narodowa zginie albo zostanie tak głęboko przekształcona, że psychicznie (etnicznie) przestanie być tym, czym jest. Byłoby to też szalonym uwstecznieniem kraju mimo radykalnie postępowe pomysły kolektywizacji społeczeństwa, eksperymentowane przez Stalina i Sowiety.

20 października, rok 1944, piątek

Kanonadę wciąż słyszać. Równie daleką, ale nieustanną. Skąd głos ten dochodzi – nie wiemy.

Poborowych, to znaczy młodych mężczyzn od lat 18-35, których dotyczy mobilizacja, niby łapią po trochu, ale łapanie to idzie bardzo powoli i słabo. Słysząc, że w niektórych miejscowościach łapie się energiczniej, czasem podobno z udziałem oddziałów wojskowych (zdaje się, że to miewa miejsce tam, gdzie się ukazują grupy partyzantów antysowieckich i gdzie zdarzały się wypadki zastrzelenia żołnierzy i oficerów sowieckich), ale w naszym powiecie wielkich obław nie ma. Łapanie tu odbywa się w ten sposób, że na wyprawę udaje się żołnierz NKWD z dwoma uzbrojonymi w automaty żołnierzami zwykłymi. Podjeżdżają oni albo podchodzą do jakiegoś zaścianka i czasem udaje się im podejść pod zasłoną zarośli niepostrzeżenie i złapać poborowego. Ale wiadomość o ukazaniu się łapaczy natychmiast się roznosi po okolicy i młodzież ze wszystkich zaścianków w pewnym promieniu rozbiega się lub chowa. Nocami łapanie się nie odbywa, bo łapacze boją się zasadzek i napaści. Czasem udaje się im złapać chłopca w wieku poborowym gdzieś w drodze na gościńcu lub w miasteczku, choć na ogół młodzi ludzie poborowi unikają teraz miejsc publicznych i nie chodzą ani do kościoła, ani do miasteczka, ani na targ, ani na jakąś większą uroczystość – pogrzeby, tłoki itd., ani jeżdżą po gościńcach. Jeżdżą, pracują, chodzą – kobiety i

starcy albo mężczyźni dojrzały, których mobilizacja jeszcze nie sięga. Tymczasem uchylanie się od mobilizacji i ukrywanie się jest łatwe i dla uchylających się większej niewygody nie sprawia i niebezpieczeństwa złapania nie przedstawia. Ale jeżeli łapanie się rozwinie i stanie energiczniejszym, to pewną, zapewne mniejszą, część obecnych uchylających się, zwłaszcza słabszych, mniej przedsiębiorczych i mniej energicznych, wpędzi do szeregów Armii Czerwonej, ale za to innych – część większą – wpędzi do lasu i do partyzantki czynnej, której pierwsze kielki i skupienia już się po większych lasach ujawniają i zaznaczają sporadycznie dotąd aktami terroru na żołnierzach sowieckich. Mówiono mi w tych dniach, że np. pod Bradesami w gminie antuzowskiej, w pięknej okolicy wzgórz lesistych i jeziora Sarty, grupa partyzantów, w której są i ukrywający się żołnierze niemieccy, i Litwini, ma wykopany i rozbudowany pod ziemią obszerny schron mieszkalny, do którego dostęp jest bardzo trudny i błędny, dobrze zamaskowany, porosły po wierzchu runią żytnią, wewnątrz dobrze urządzony, z łózkami, z radiem. Ukryci w tym schronie partyzanci mają dużo dobrej broni i rosną w liczbę. Przyjmują oni też i przechowują znajomych ukrywających się rekrutów. Mówił mi to chłopiec godny zupełnego zaufania, który rzekomo sam to widział.

21 października, rok 1944, sobota

Mówiono dzisiaj, że kontrofensywa niemiecka w Litwie dotarła gdzieś do kolei żelaznej między Kownem a Radziwiliszkami – bodajże w Kiejdanach – i przecięła tam kolej. Ile w tym prawdy – nie wiem. Wątpię w prawdziwość tego faktu. W każdym razie kanonada, którą wciąż słyszymy, nie może chyba pochodzić z Kiejdan. Byłoby to chyba za daleko. Ci, co się na tym znają, albo przynajmniej twierdzą, że się znają, obliczają odległość tej kanonady na 60-80, najwyżej do 100 kilometrów. Mogłoby to więc być raczej jakieś przerwanie się Niemców lokalne od Rygi w kierunku może na Birżę. Ale ciekawe jest i charakterystyczne to, że podczas gdy za okupacji niemieckiej siewcami pogłosek alarmujących byli komuniści, podczas gdy elementy antysowieckie narodowe litewskie były raczej skłonne traktować te alarmy sceptycznie, o tyle teraz jest odwrotnie: alarmistami i siewcami pogłosek defetystycznych dla Sowietów są elementy właśnie narodowe, podczas gdy elementy komunistyczne i im bliskie występują przeciwko tym pogłoskom i usiłują utrzymać wrażenie stateczności *status quo*. Jest to w porządku naturalnym rzeczy.

Nowy wypadek, jeden z bardzo wielu w tych czasach. Wczoraj dwóch chłopców dorastających w wiosce Pokrewnie – Degutis i Pronienius – bawiąc się bombą, którą znaleźli i majstrowali, spowodowali wybuch, który ich obu zabił. Jeden zmarł tegoż dnia, drugiego nazajutrz odwieziono nieżywego ze szpitala w Rakiszkach. Trzeci, Musteikis, dorosły i już żonaty, został raniony w nogę. Gdy pojechał do Miczun do felczera Klišonisa, który mu zrobił opatrunek, to przy wyjściu od Klišonisa został aresztowany przez żołnierzy NKWD jako uchylający się od mobilizacji i był partyzant litewski z roku 1941. W ciągu tygodnia w bliskiej okolicy wiem już o czterech wypadkach śmierci gwałtownej od wybuchu bomby czy granatu w stosunku do ludzi, których rodziny znam.

Powiadają, że pod Rakiszkami, a pono i pod Abelami czynniki sowieckie zabrały się do rozkopywania mogił masowych pomordowanych w roku 1941 Żydów. Robi się to oczywiście w celach propagandy antyniemieckiej, ale że ta ohydna orgia mordów masowego ludzi nie poszła w niepamięć i spowoduje odwet na sprawców mordów – to się należy słusznie, bo tej zbrodni nieludzkiej Bóg nie daruje.

Zgłosił się dziś leśnik rządowy naszego obwodu, Nowicki (brat Paulinki) i zastrzegł, że odtąd rąbać i sprzedawać lasu w Gaju, który, jak wszystkie lasy w Sowietach, jest upaństwowiony, nie wolno. Dawno już spodziewałem się tego i czekałem, kiedy wreszcie nastąpi oznajmienie o przejściu lasów prywatnych. I oto stało się.

22 października, rok 1944, niedziela

Z lasem nie jest, zdaje się, tak źle. Leśnik rządowy Nowicki jest swój człowiek, dawny girininkas abelski Karpėta jest miškų urėdasem rakiskim. Człowiek to porządny, przychylny, który

się specjalnie czepiać nie będzie. Jak mówił mojemu leśnikowi Sadowskiemu leśnik rządowy Nowicki, pilnowanie bezpośrednie lasu będzie nadal należało do mnie, to znaczy do mojego leśnika prywatnego, jeno pod dozorem władz leśnych rządowych i będę mógł nadal na własne potrzeby korzystać z lasu. Powoli też, po trochę, byle bez rwetesu, będzie można spłacić lasem te zobowiązania, które już na las zaciągnąłem. Nie jest to zresztą nic wielkiego: kilku ludziom po parę metrów drew, paru ludziom po kilka sztuk osin na deski lub jodeł.

Jadzia zaczęła myśleć o jeździe do Wilna ewentualnie końmi. Ja dawno byłem za tym, tylko Jadzia się lękała. Pojechałem dziś z nią do Eigmina w Bojarach, który nieraz jeździł końmi do Wilna za Niemców. Pojechaliśmy spytać go, czy nie zawiózłby do Wilna Jadzi z dziećmi i rzeczami naszymi końmi. Eigmin zna drogę do Wilna, zna noclegi, a w Wilnie ma interesiki spekulacyjne. Zgodził się chętnie. Ja uważałbym ten środek lokomocji za najpewniejszy i za najlepszy dlatego, że można wziąć więcej rzeczy.

23 października, rok 1944, poniedziałek

Jutro nastąpi już mój wyjazd ostateczny na zimę do Wilna. Jadę z Bohdaniszek koniem do Uciany. Odwozi mnie Ignacy Čepas. Rzeczy będę miał minimalnie, żeby nie obciążać siebie w podróży. Z Uciany pojadę wąskotorówką do Švenčionielów, skąd znów do Wilna. Tam od Uciany będę już miał pociągi osobowe, przynajmniej tytułarnie osobowe, to znaczy takie, do których kupuje się bilety i ma się prawo wsiąść i jechać. W Wilnie czekać będę przyjazdu Jadzi z dziećmi.

Wczoraj Jadzia była już zdecydowana jechać do Wilna końmi. Ale gdyśmy wrócili z Bojar od Eigmina, z którym umówiliśmy się o jeździe Jadzi z dziećmi końmi do Wilna w jego towarzystwie, czuliśmy się bardzo zziębnięci. Jadzia zaraz zaczęła kombinować, że jeżeli zimno nam było przejechać się z Bohdaniszek do Bojar i z powrotem, czyli ogółem 10 kilometrów, to coś dopiero będzie jechać trzy dni do Wilna z małymi dziećmi, z których najmłodsza będzie miała w listopadzie 8 miesięcy! A gdy jeszcze dziś w nocy zaczął dąć zimny wichur wschodni, który wystudził nam dom i kiedy dzień nastał przenikliwie zimny, Jadzia zupełnie zwątpiła o możliwości podróży z dziećmi końmi aż do Wilna. Nic nie wiadomo więc, czy Jadzia pojedzie końmi czy koleją żelazną. Będę ją czekał w Wilnie.

Dziś w nocy miał miejsce w bliskiej okolicy, bo we dworze Pokrewniu o 4 kilometry od nas, następujący ciekawy wypadek. My z Jadzią słyszeliśmy w nocy cały szereg wystrzałów karabinowych, granatów ręcznych itp. Skąd były te wystrzały – nie nie wiedzieliśmy. Dowiedzieliśmy się dziś we dnie. Był to napad partyzantów litewskich na rezydującego w Pokrewniu oficera sowieckiego, lejtnanta gospodarczego, który tam kierował przyjmowaniem normy rekwizycyjnej i młynem, odebrany od Augaitisa. Koło godz. drugiej w nocy przyszedł duży oddział partyzancki litewski (powiadają, że do 50 ludzi albo więcej) i zaczął dobijać się do domu mieszkalnego. Lejtnant spał. Syn i synowa Augaitisowej z pierwszego jej małżeństwa obudzili go, po czym, sami przerażeni, wpuścili partyzantów do wielkiego salonu, z którego prowadzą drzwi do pokoju lejtnanta. Lejtnant nie wpuścił partyzantów do swego pokoju. Wśród nich był Tomasz Sobolewski z Krewien i bracia Bilskisowie ze wsi Pokrewnia, byli partyzanci z roku 1941, których Sowiety teraz poszukują i którzy się ukrywają. Ci trzej sami przez drzwi zaprezentowali się lejtnantowi, który niedawno wzywał Bilskisa, oczywiście na próżno. Partyzanci przez drzwi strzelali i rzucali granaty do pokoju lejtnanta, który się odstrzeliwał. Drzwi były poharatane, ale ostatecznie lejtnant ocalał i partyzanci nad ranem się cofnęli. Posadzają, że wśród napadających byli gimnaziści rakiscy, których pozawczoraj usunięto z gimnazjum jako ulegających mobilizacji. Należy teraz oczekiwać usiłowań odwetu i represji ze strony sowieckiej.

24 października, rok 1944, wtorek

Nadszedł dzień mojego wyjazdu z Bohdaniszek do Wilna. Choć spodziewam się przyjazdu Jadzi z dziećmi do Wilna koło połowy listopada, to jednak ciężko jest zarówno mnie, jak Jadzi rozstać się nawet na tak krótko, bo czasy są takie, że wszelkie obliczenia mogą zawieść i że to, co

wyduje się krótkie, może być długie. Ale nie chcę urzekać – niech urok idzie na suche lasy. Cała nadzieja na Opatrzność Boską, która mię szczęśliwie nie opuszcza i jakoś kieruje losami moimi i rodziny mojej.

Wyjechałem z domu między godziną ósmą a dziewiątą rano. Odwozi mię do Uciany ojciec Jadzi Ignacy Čepas. Jedziemy moim dobrym ogierkiem trzyletnim Czyżykiem. Jedziemy na Jużynty i Użpole. W Użpolu koło godziny pierwszej popas. Stajemy w domu gospodarza, którego syn jest na uchodźstwie księdzem w Wiedniu, gdzie ma parafię. Mieszka u tegoż gospodarza nauczycielka progimnazjum użpolskiego, młoda dziewczyna, marząca o wstąpieniu do Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie, która bardzo się ucieszyła, gdy się dowiedziała, że jestem profesorem uniwersytetu. Dowiedziałem się od niej, że podobnie jak w gimnazjum rakiskim, uczniowie progimnazjum w Użpolu wojują z czynnikami sowieckimi bronią... religii. Sowiety zabraniają kategorycznie nauki religii w gimnazjum, wszelkiej manifestacji religijnej i emblematów religijnych. I oto młodzież, raczej dzieci progimnazjum, dla wyrażenia opozycji Sowiетom i dla manifestowania uczuć narodowych tym gorliwiej i ostentacyjniej czepiają się kościoła i demonstrowania uczuć i praktyk religijnych. Uporczywie wbrew zakazowi odmawiają głośno i zbiorowo modlitwę przed nauką i po nauce, co jest solą w oku czynnikom sowieckim, chodzą do kościoła na naukę religii itp.

Do Uciany przyjechaliśmy już o ciemnym zmroku. Tu trzeba mi czekać na pociąg do Švenčionielów do godziny 1-2 w nocy. Cały długi wieczór i część nocy. Stacja – spalona, poczekalnia – w korytarzyku małego domku, natłoczona ludźmi, przeważnie babami spekulankami z mnóstwem bagażu w worach i tłumokach. Ścisk, wszystko leży na podłodze, ciemno, oświetlenia żadnego. Ani poruszyć się. Čepas postawił konia z wozem na polu, koło domku zajętego przez NKWD kolejowe. Tu na polu nocuje. Czyżyka odprzągł, nakarmił, напоił. Umówiłem się do spółki w podróży z pewną kobietą, która jedzie także do Wilna. Jej i moje bagaże na wozie. I my sami też przeważnie czas spędzamy na wozie. Ale jest zimno. Przed północą tworzy się kolejka po bilety kolejowe. Sprzedają się bilety tylko do Švenčionielów. Kupiłem bilety, czekamy na przyście pociągu, który bardzo się późni. Čepas ma mi pomóc wnieść rzeczy do pociągu i usadowić się. Stoi z nami na peronie, co jakiś czas odchodzi do konia, żeby rzucić na niego okiem. I nagle przybiega od konia z wieścią hiobową: koń wynurzył się z uzdy i uprząży i znikł. Biegnie szukać w pobliżu po nocy ciemnej konia, który może gdzieś się pasie. Nie ma. Tymczasem przychodzi pociąg. Ja z towarzyszką moją podróży wsiadamy. Do wnętrza wagonu dostać się nie można, rzeczy lokuje na platformie. W ostatniej chwili nadbiega jeszcze Čepas. Żegnamy się. Konia nie ma. Będzie go szukał. Złorzeczy nieszczęściu, które go spotkało. Pod tym ciężkim wrażeniem odjeżdżam. Jeżeli Czyżyk się nie znajdzie, będzie to katastrofa gospodarcza dla nas w Bohdaniszkach. Z bólem myślę o Jadzi.

25 października, rok 1944, środa

Wciąż w podróży mojej jestem pod niesłychanie przykrym wrażeniem straty konia Czyżyka. Lękam się, czy Ignacy Čepas zdoła go znaleźć. Jeżeli uciekł i biegł sam do domu, to 50 kilometrów niepostrzeżenie nie przebiegnie i ktoś gdzieś go zatrzyma, a boję się, że mógł być po prostu ukradziony w nocy przy stacji. I żal mi biednego Čepasa, i szkoda Czyżyka, i w gospodarstwie bohdaniskim uczyni to stratę niesłychanie dotkliwą, wprost katastrofalną, i Jadzi mi wielki żal, bo wiem dobrze, jak to ją obejdzie i jak jest ona teraz znękana i kłopotami ciągłymi i rozłąką naszą i trudnościami wyjazdu z dziećmi do Wilna.

Siako tako dojechałem z Uciany do Švenčionielów. Siedziałem ni mniej, ni więcej, jak w pi-pi, które na szczęście było czyste, moja zaś towarzyszka podróży – na platformie wagonu na walizkach swoich. Choć platformka miała ścianki i była kryta, ale bądź co bądź było zimno, bo noc jesienna była chłodna. W Švenčionielach – tłum ludzi. Dworzec kolejowy uszkodzony, lokal zimny, ścisk wielki, wszędzie pełno ludzi i rzeczy, bo podróżni obecnie – to są ludzie, którzy jeżdżą z miasta na wieś po zakupy produktów spożywczych. W Švenčionielach mieliśmy do odejścia naszego pociągu osobowego na Wilno 4-5 godzin czasu, ale cały ten czas zeszedł na wystawianiu w kolejce po bilety.

Na koniec bilety już są, czekamy pociągu, który przychodzi z Wilna i wraca do Wilna. Wreszcie pociąg jest. Znajduję dwóch moich byłych studentów, którzy pomagają mi czynnie wnieść moje rzeczy do wagonu i wdrapać się mnie samemu, co nie jest łatwe. Ale już oto siedzę. Wagon zwyczajny towarowy, ale wewnątrz są ławki. Koło godziny drugiej po południu odjeżdżamy. Czuję się zmęczony, jak pijany, siedzieć bardzo niewygodnie, wciąż mię dręczy jak zmora myśl o Czyżyku i niepokój o niego, o Ignacego Čepasa, o Jadzię.

Do Bezdán pociąg nasz szedł dobrze. Bylibyśmy dojechali do Wilna za dnia. Ale w Bezdánach stoi niemiłosiernie długo, potem stoi znowu w Wilejce. Noc zapada, a my stoimy i stoimy. Ruszamy i znowu stoimy w Pavilnysie pod samym Wilnem. Wszyscy podróżni są poruszeni, znerwowani. W Wilnie chodzić po mieście wolno tylko do godziny jedenastej (czas moskiewski). Jeżeli do tej godziny nie dojedziemy i nie dotrzemy do domu, to trzeba będzie nocować na dworcu, czyli znowu nie spać, a niektórzy mówią, że dworzec na noc zamykają i publiczność wyrzucają, a wtedy pozostaje nocleg w komisariacie policyjnym. A co z rzeczami? Ale pociąg, po całym wystawianiu, na godzinę dziesiątą wieczór dowlekl się do Wilna. Dwóch studentów moich odprowadza mię z dworca kolejowego do domu i niesie rzeczy moje, a ode mnie mają za to obiecany nocleg na kanapie. Podróż moja do Wilna skończona.

26 października, rok 1944, czwartek

Mieszkanie zastałem obronione od NKWD. Są jeszcze jakieś usiłowania z kół wojskowych (nie NKWD) do zajęcia dużego pokoju, ale mam nadzieję, że mi się uda obronić całość mieszkania i że w wielkim pokoju umieszczę sublokatorów, których sam znajdę.

Pierwszy dzień pobytu w Wilnie zeszedł mi bardzo prędko. Byłem na śniadaniu w kawiarni Rudnickiego, potem na uniwersytecie, ale tylko w kancelarii. Wypłacono mi pensję za ubiegłą połowę października, poinformowano, że będzie wypłacona zaległość od lipca, to znaczy od czasu wkroczenia Sowietów, co wyniesie coś pono 400 z czymś czerwoniców i będzie mi bardzo na rękę. Dostałem też w kancelarii 30 papierosów po cenie rządowej i dostanę 7 litrów nafty też po cenie rządowej. Natomiast kartek na śniadanie, kolacje i obiady, również kartek uzupełniających na produkty i kartek na chleb i na żywność tak dla siebie, jak dla dzieci do dnia 1 listopada nie otrzymam. Otrzymam je dopiero od 1 listopada. Dano mi tylko zastępczo kartki na obiady do 1 listopada, pozostałe nieużytkowane czyjeś, ale nie do Bristolu, jeno do restauracji „Ramybė” („Zacisze”), gdzie obiady są niższej kategorii, a więc gorsze, to znaczy dla podrzędniejszych urzędników. Obejdę się na razie. W każdym razie, głodować nie będę, a zresztą mam coś niecoś i z domu, co mi troskliwa ręka Jadzi dała – słoninę, kiełbasę suchą, ser.

Wysłałem do Jadzi depeszę, jak ona mię o to prosiła, donoszącą o moim przyjeździe do Wilna. W depeszy wspomniałem i o wypadku z Czyżykiem, bo się obawiam, że Ignacy Čepas, zajęty poszukiwaniem Czyżyka w Ucieanie i nie mogąc się wybrać z Ucieany z wozem bez konia, jeżeli Czyżyka nie znalazł, nie wrócił jeszcze do Bohdaniszek i że Jadzia się tym bardzo niepokoi i nie wiedząc, co się stało, domyśla się najgorszego. Wypadek z Czyżykiem nie wychodzi mi z głowy, żałuję konia, ale jeszcze bardziej żałuję starego Čepasa i najbardziej żałuję Jadzi, której kłopoty i biedy stoją mi kością w gardle. Biedna Jadziunieczka, jak bym był szczęśliwy, gdybyś już była z dziećmi tutaj w Wilnie i mogła choć moralnie, jeżeli nie fizycznie wypocząć trochę. Bo wypoczynku fizycznego Jadzia tutaj mieć nie będzie, tylko trochę więcej spokoju przy mnie.

27 października, rok 1944, piątek

Mówiono mi wczoraj, że na dziś zwołane jest przez dziekana drugie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Na pierwszym posiedzeniu Rady, na którym nastąpił podział i ustalenie obsady katedr, nie byłem, toteż na to chciałem trafić koniecznie, bo niebawem rozpoczną się wykłady i chodzi mi o ustalenie, co ja mam wykladać i jakie w ogóle kursy wykładowe złożą się na moją katedrę oraz kto je obejmie. Na uniwersytecie dziekana rano nie zastałem, ale wreszcie od innych spotkanych kolegów wydziałowych dowiedziałem się, że posiedzenie Rady Wydziału

odbędzie się o południu w jednym z gabinetów byłego seminarium prawniczego, którego lokal zajęty jest na razie przez rektora, prorektorów i dziekanaty. Cały podział lokalów uniwersyteckich jest na razie prowizoryczny, bo wszystkie urzędy są na razie umieszczone w tej oficynie seminaryjnej, podczas gdy gmach główny, który był przez Niemców zajęty pod szpital wojskowy, jeszcze nie jest oddany do użytku uniwersytetowi. Ale nie udało mi się, niestety, być na posiedzeniu wydziałowym, bo w kancelarii podeszła do mnie jakaś panienka Żydówka i oświadczyła, że „towarzysz Preikšas” prosi mnie, żebym przyszedł do niego na godz. dwunastą. Preikšas – to wybitny komunista litewski, jeden z filarów Kompartii litewskiej i jeden z sekretarzy Centralnego Komitetu tejże. Rezyduje on w gmachu Kompartii przy ulicy Giedymina pod nr 16, który jest otoczony strażą zbrojną i do którego wstęp dla zwykłych śmiertelników jest dopuszczalny li tylko ze specjalną przepustką, którą wydaje specjalne biuro, urzędujące w gmachu sąsiednim i które sprawdza skrupulatnie tożsamość osoby petenta i potrzebę, w której chce się udać do funkcjonariusza partii. Preikšasa osobiście dotąd nie znałem. Znałem go tylko z jego wystąpień i mów publicznych w duchu ściśle komunistycznym, jak przystało na ortodoksalnego przedstawiciela partii i jej doktryny. Czy jest Litwinem rodowitym czy Żydem – nie wiem. Nazwisko nie ma brzmienia litewskiego. Zastanawiałem się, po co taka wysoka osoba partyjna może się wzywać. Spotkałem jednak Janulaitisa, który także został wezwany i dowiedziałem się od niego, że wezwanych jest 14 profesorów ze starszyny uniwersyteckiej z rektorem i prorektorem Matulisem na czele. Dowiedziałem się też, że posiedzenie to ma stanowić naradę w sprawie odrodzenia i uruchomienia Litewskiej Akademii Nauk. To mię uspokoiło. W eleganckim gabinecie Preikšasa zebrało się grono zaproszonych na naradę. Byli mianowicie obecni przede wszystkim sami akademicy, to znaczy członkowie tej Akademii, zainaugurowanej w roku 1941 za czasów sowieckich, mianowicie ci, którzy byli mianowani akademikami wtedy, albowiem ci, których mianowano za czasów okupacji niemieckiej reformując personel Akademii, nie są przez rząd litewsko-sowiecki uznawani. Jak we wszystkim, tak i w tej rzeczy Sowiety ignorują i negują wszystko, co było w sferze prawnej dokonane za okupacji niemieckiej i nawiązują ciągłość do dnia 22 czerwca roku 1941, tak jakby okres od czerwca 1941 do lipca 1944 nie istniał wcale w sferze prawa. Akademików za czasów sowieckich w roku 1941 było mianowanych 13. Należało wtedy mianować 15, ale dwaj ze zgłoszonych wtedy kandydatów – ja i prof. Jurgutis – nie byliśmy mianowani i te dwa miejsca wakowały. Z tych 13 akademików pozostało obecnie tylko 6: profesorowie Janulaitis, Tadeusz Iwanowski, Mykolaitis-Putinas, Dzidas Budrys, rektor uniwersytetu w Kownie Purėnas, który piastował godność jednego z wiceprezydentów Akademii i nie pamiętam kto szósty – bodajże obecny prorektor Uniwersytetu Wileńskiego Matulis. Inni z trzynastu z prezydentem Akademii prof. Krėvė-Mickiewiczem, wiceprezydentem ex-rektorem Uniwersytetu Wileńskiego Michałem Biržišką, akademikami Wacławem Biržišką i innymi – ulotnili się przed powtórным wkroczeniem Sowietów i przez to samo stracili godność akademika (jeden z nich – prof. Albin Rimka – zmarł). Obecnych więc na naradzie było pięciu akademików (szósty Mykolaitis-Putinas, nie został powiadomiony, bo go nie odszukano w mieście), następnie byli obecni: sam Preikšas, który kierował zebraniem, komisarz ludowy oświaty Žiugžda, komisarz ludowy zdrowia prof. Girdzijankas, rektor Uniwersytetu Wileńskiego Bieliukas, profesorowie Žvironas, Venclovas (były komisarz oświaty z lat 1940-1941, obecnie zniechęcony do polityki) i młody docent czy lektor poeta Korsakas-Radžvilas, no i ja. Zaproszeni byli jeszcze profesorowie Žemaitis i Jonynas, którzy byli nieobecni, bo wyjechali do Kowna.

Naradę zagał Preikšas, po czym referat wygłosił komisarz ludowy Žiugžda. Miał to być referat o aktualnych zadaniach społecznych nauki, której kierownictwo miałoby objąć Akademia. Przede wszystkim, Žiugžda dosyć długo się rozwodził nad rolą czynną, jaką nauka sowiecka i specjalnie rosyjska odegrała w wojnie i zwycięstwie, tak nauka ścisła i przystosowana, jak nauki humanistyczne – historia, literatura, nauka o państwie, prawo, nawet filologia. Następnie przeszedł do wskazań konkretniejszych. Tu prelegent widzi zwłaszcza dwa problemy. Jeden – to odbudowa kraju po zniszczeniu wojennym – to zadanie techniki, ekonomiki, medycyny itd., drugie – inne – ale w gruncie solidarne z tamtym – byłoby zadanie nauk humanistycznych – historii, prawa itd. I tu myśl

Žiugždy wkroczyła na manowce, które mogłyby się stać torami rusyfikacji. Widzi on precyzyjnie rolę, jaką odegrały historycznie Niemcy w ekspansji swojej na wschód, w wystąpieniu plemion zachodnich słowiańskich i litewskich, podnosi rolę, jaką wielki naród rosyjski w tej wojnie i w ogóle może odegrać lub odegrał w przeciwstawianiu się owym wybrykom ekspansji niemieckiej, ale nie widzi zgoła tego, że Rosja to samo robiła i nadal innymi metodami robi od wschodu na zachód i że historycznie Rosja nieraz i w dużym stopniu grała na rękę ekspansji niemieckiej.

28 października, rok 1944, sobota

Jeszcze o wczorajszej naradzie u Preikšasa w sprawie Akademii Nauk.

Referat komisarza Žiugždy sprawił na mnie wrażenie ujemne. O ile chodzi o rolę nauki w sprawie odbudowy kraju i zgłębianie problemów litewskich – to dobrze, ale u Žiugždy w stosunku do nauk humanistycznych był nacisk szczególny na zgłębienie roli ujemnej Niemiec i roli dodatniej Rosji w stosunku do losów narodów zachodnio-słowiańskich i litewskich. Zdawałoby się z jego wywodów, że Rosja była zawsze, jest i będzie aniołem stróżem wszelakich swobód i rozkwitu narodowego i kulturalnego ludów drobnych i słabych, zagrożonych zawsze od zachodu przez okrutnego zaborcę – Niemców. Że Rosja sama wyrosła na ujarzmieniu i pochłonięciu wielu ludów ugro-fińskich tak samo, jak Niemcy rosły na pochłonięciu ludów zachodnio-słowiańskich i litewskich, że grała na rękę tym dążeniom niemieckim, sekundując im od wschodu, że dążyła stale historycznie do obalenia przegrody między sobą i Niemcami, ażeby nie pozostało nic poza dwoma imperiami narodowymi – rosyjskim i niemieckim. Otóż ta przegroda między Niemcami i Rosją, którą obaj partnerzy imperialistyczni niszczyli – to my, to ludy bałtyckie, to Polska... Upadli na zachodzie Słowianie zachodni i Prusy litewskie na rzecz Niemiec, upadły ludy plemion fińskich na rzecz Rosji na wschodzie, upadają i nikną na rzecz Rosji Białorusini, aczkolwiek mają swoją niby „republikę”, tendencje zalewu rosyjskiego nawet teraz za Sowietów są wyraźne w kierunku Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Polski. Że zachowuje się teraz forma „republik” narodowych, to sytuacji nie zmienia, bo republiki te są pionkami w ręku partii komunistycznej, która jest jedyna unitarna i centralizm Moskwy dominuje jaskrawo nad uprawnieniami republikańskimi, których zgoła niepodobna dostrzec. A wywożenie elementów opornych, których winą jest tylko to, że nie idą na stopienie się w retorcje unitarnej, a przemieszczanie ludności, które Sowiety czynią i które wypada zawsze na korzyść ogromnej Rosji, nie zaś drobnych ludów lokalnych, które toną w „morzu rosyjskim” – to jest dla sprawy narodowej tych ludów nie mniej groźne, może z pewnych względów groźniejsze, niż metody biurokratyczne i niedołężne caratu. Žiugžda tego nie widzi i widzieć nie chce. Idzie on dalej jeszcze. Zaleca pogłębienie studiów nad historią, literaturą, kulturą specjalnie rosyjską, nawet nad językiem, słowem – kierowanie wysiłku nauk humanistycznych naszych na zbliżenie z Rosją, wierząc, że w tych studiach wykryte zostaną szczególne bogactwa wolnościowe, z których i my korzystać będziemy. A znów co do Niemców – to przecie w kulturze mają oni także piękne karty, bo Niemcy nie wyczerpują się krzyżactwem, hitleryzmem i masowym mordowaniem Żydów w tej wojnie. Słowem – referat Žingirdy był nie tylko bardzo jednostronny i w gruncie płytki, ale zawierał myśli i tendencje bardzo niebezpieczne. Był on dla mnie ilustracją tego, jak człowiek nawet dobrej woli, bo takim jest Žiugžda, patriota litewski, oślepiiony jest przez tę linię prosowiecką, do której się dał wciągnąć i przez wpływy i propagandę Moskwy na emigracji trzyletniej.

Po referacie Žiugždy była dyskusja, w której uczestnicy narady wypowiadali się o zadaniach Akademii Nauk, której wagę wszyscy uznawali. Najlepiej ujął rzecz prorektor Matulis, który zaznaczył dwa kapitalne zadania Akademii: racjonalizowanie pracy naukowej i tworzenie w instytucjach Akademii kadrów pracowników naukowych. Potem na wniosek Preikšasa wskazywano kandydatury do mianowania akademików. Pierwszym wystąpił tu Janulaitis, który zaproponował cztery kandydatury: moją, Jabłońskiego Konstantego, Jonynasa i Pakarklisa. Podnoszono następnie kandydatury z innych dziedzin nauki. Ogółem zgłoszono 15 kandydatur. Mianowanych będzie zapewne 9, co razem z 6 obecnymi akademikami da cyfrę 15 pierwszych akademików z nominacji rządowej, dalsze bowiem kompletowanie na wakanse, jakie się znajdują, będzie się w myśl statutu

dokonywało drogą kooptacji czy też prezentacji kandydatów przez samą Akademię. Była mowa i o kandydatach do prezydium Akademii, raczej na prezydenta. Były wymienione cztery kandydatury: Purénasa, którego felerem w tym względzie jest to, że mieszka nie w Wilnie, lecz w Kownie, Matulisa, którego gorąco zalecał Purénas, ale który sam protestował przeciwko temu, moja, którą wniósł Matulis, i jeszcze czyjaś. Na akademika chciałbym być mianowany, ale na prezydenta – nie. Nie chciałbym się wysuwać na stanowisko reprezentacyjne w systemie sowieckim, bo byłoby ono polityczne z konieczności. Ale też nie sądzę, żeby były jakiekolwiek szanse mianowania mnie prezydentem. Jeżeli w roku 1941 moja kandydatura na akademika była dla Kompartii nie do przyjęcia, to dziś mógłbym być najwyżej mianowany akademikiem, choć i tego nie jestem pewny, ale już nie prezydentem Akademii.

Debaty były w ogóle niezłe i rzeczowe, ale pod koniec zebrania podniesiona została pewna inicjatywa, która wydaje mi się dosyć niebezpieczna. Zainicjował to sam Preikšas i właśnie dlatego wydaje mi się to niebezpieczne. Chodzi o zwrócenie się ze specjalną odezwą do Litwinów amerykańskich, wzywającą ich do zorganizowanej pomocy na rzecz odbudowy instalacji Akademii Rolniczej, klinik uniwersyteckich w Kownie i uniwersytetu w Wilnie. W zasadzie myśl bardzo dobra i słuszną, tylko boję się, żeby odezwa nie była użyta na rzecz propagandy Litwy Sowieckiej jako takiej, jako jedynej legalnej i ostatecznej formy Litwy. Po pierwsze, opinia Litwinów amerykańskich jest pod tym względem bardzo niejednolita albo raczej prawie jednolita przeciwko formie sowieckiej Litwy, co zaszkodziłoby samej zbiorce, po drugie zaś, sam nie chciałbym figurować w charakterze rzecznika tej formy. Odezwa zaś ma być podpisana przez ludzi nauki, więc z pewnością i mnie się podpisać wypadnie.

29 października, rok 1944, niedziela

Niepokoje mnie ta zainicjowana przez Preikšasa odezwa grona uczonych Litwy do Litwinów amerykańskich w sprawie pomocy materialnej na odbudowę i instalację zniszczonych przez wojnę czy przez Niemców urządzeń i zakładów naukowych w Litwie. Dla zredagowania tej odezwy wybrano komisję z trzech czy czterech osób z prorektorem Matulisem na czele, który też ma ułożyć projekt tekstu odezwy. Czy Matulis i członkowie tej komisji są dosyć wrażliwi na to, żeby w odezwie unikać zabarwienia politycznego i czy ewentualnie zdołają się oprzeć temu, żeby to zabarwienie nie zostało potem specjalnie nadane przez czynniki partyjne komunistyczne w ostatecznej redakcji odezwy – tego nie wiem. Obawiam się, że się nie oprą i może opierać wcale nie zechcą. Ponieważ zaś inicjatywa wyszła od sekretarza CK Kompartii Preikšasa i niewątpliwie Preikšas czuwać nad redakcją odezwy będzie, czynnikiem partii zaś chodzi zawsze o moment polityczny, żeby wszelką akcję zużytkować na wzmocnienie swojej pozycji, to znaczy tezy Litwy sowieckiej jako jedynej formy właściwej i legalnej, więc obawy moje zdają mi się być zasadne. Przeciwko odwołaniu się do ofiarności Litwinów amerykańskich nic mieć nie można. Interesy i względy potrzeb nauki litewskiej muszą być dla nas, uczonych litewskich i są dla mnie istotne i ważne bez względu na to, czy Litwa ostatecznie będzie sowiecka czy jakaś inna. Ale wiązać tę sprawę specjalnie z formą sowiecką jako już ostateczną, jedyną i przesądzoną – to co innego. W społeczeństwie litewskim i w szczególności wśród Litwinów amerykańskich tylko bardzo mały odłam komunistyczny uważa formę sowiecką za przesądzoną i powadzi akcję na rzecz utrwalenia tego przesądzenia. Ogromna większość jest nie tylko bierna, ale wręcz wroga tej formie sowieckiej i wyteża całą energię na rzecz zwalania jej i przesądzenia innej formy. Jeżeli odezwa będzie wiązała sprawę z tą formą, o co komunistom w pierwszym rządzie chodzi, to, po pierwsze, skutki materialne tej odezwy będą bardzo osłabione, bo Litwini amerykańscy za wyjątkiem małej grupy popierać takiej akcji nie zechcą i będą ją bojkutowali, a po wtóre, wszyscy ci uczeni litewscy, którzy ją też podpiszą, staną *eo ipso* w szeregach rzeczników formy sowieckiej i zadeklarują się politycznie. Sytuacja może być trudna. Odmówić podpisu – to skierować na siebie podejrzenie i może nawet dać pewne podstawy dla represji, podpisać bez względu na formę redakcji – to jeżeli ta redakcja będzie zawierała tendencję polityczną – opowiedzieć się za tą tendencją, stawiając kropki na i.

Myśl moja biegnie po linii serca do Bohdaniszek i nawraca do zagadnień, związanych z przyjazdem Jadzi z dziećmi do Wilna. Niepokoję się wciąż o zgubę Czyżyka w Ucianie, czy Ignacy Cepas go zdołał znaleźć, czy wrócił i jak wrócił do Bohdaniszek, jak tam oddziaływała ewentualna strata Czyżyka, czy dochodzi do młócenia, czy Jadzia zdobyła Estonki do Bohdaniszek na zimę. Wszystko to ma związek z jej przyjazdem z dziećmi. Ale nie mniej niepokojąca jest sprawa sposobu przyjazdu – czy koleją i którą, czy końmi, czy ciężarówką ewentualnie. Każdy z tych sposobów ma swoje duże strony ujemne. Najlepsza byłaby jazda ciężarówką, ale to bodaj najtrudniejsze do zrealizowania. Andrzej Mieczkowski może się wybrać ciężarówką do Bohdaniszek za tydzień, ale wątpię, czy Jadzia będzie na ten czas gotowa, choć Andrzej mógłby ją z powrotem zabrać. Jest jeszcze inna kombinacja, ale jeszcze bardzo niepewna: mogłaby być ciężarówka ewentualnie po zakup kartofli dla pracowników uniwersyteckich, gdyby było zapewnione w okolicach Bohdaniskich nabycie większej ilości (do 60 cetnarów co najmniej) kartofli. Kartofle w naszych okolicach znalazłyby się, z łatwością i Andrzej by to zapewnił, ale kwestia ceny jest dosyć trudna. Postaram się to skombinować z Andrzejem. Lękam się też skądinąd o sam przyjazd Jadzi – czy damy radę wybyć z dziećmi. Niepokoi mnie sprawa opału, którego prawie nie mam i sprawa zapewnienia stałego zakupu mleka dla dzieci, zwłaszcza dla Żermy. Każda sprawa w obecnych warunkach jest niesłychanie trudna tak ze względu na środki, których nie ma, jak na brak odpowiednich artykułów.

30 października, rok 1944, poniedziałek

Tydzień dobiega jak bawię w Wilnie, a nie miałem ani jednej gazety wileńskiej w ręku. Gazet wychodzi w Wilnie dosyć dużo – polskie, litewskie, rosyjskie – wszystkie są, zdaje się, organami Partii Komunistycznej, która zmonopolizowała prasę i przeto wszystkie są do siebie bliźniaczo podobne, różniące się tylko językiem, ale żadnym odcieniem myśli – ale niepodobna gazety kupić. Na sprzedaż uliczną wypuszcza się minimalną ilość egzemplarzy i dokoła kiosków, w których się one sprzedają, stoi na długo przed ich ukazaniem się wielka kolejka ludzi, którzy od razu rozkupują wszystkie egzemplarze. Prenumerata jest też ograniczona, jest brak papieru i brak drukarni. Gazety są rozlepiane w różnych punktach głównych ulic, gdzie ludzie stojąc je czytają. Na ulicach po drogich cenach sprzedają się swobodnie tylko gazety importowane, poniekąd egzotyczne dla nas, jak np. liczne wydawnictwa prasy lubelskiej, oczywiście tylko w duchu „rządu” Osóbki-Morawskiego, stanowiącego ekspozyturę sowiecką w Polsce, bo innych gazet tam nie ma. Nie tyle więc z gazet, ile z rozmów człowiek się dowiaduje o biegu wypadków wojennych. W tej chwili zajęta już jest przez Sowiety cała Żmudź, w której się Niemcy trzymali od lipca do września czy nawet początku października i zajęty cały Kraj Kłajpedzki prócz samej Kłajpedy, w której się Niemcy dotąd trzymają, jak się trzymają również w cyplu Libawsko-Windawskim Łotwy, odcieci i tu, i tam. Od Ejtun Sowiety posunęli się w głąb Prus Wschodnich, doszli do Gumbinen. Na zajęty przez Sowiety terytorium w Kraju Kłajpedzkim i w Prusach Wschodnich nie ma ani jednego człowieka. Całą ludność Niemcy ewakuowali. Gdyby nawet nie ewakuowali, to strach przed Sowietami wypędziłby ją radykalnie. Ten strach był przesadny i u inteligencji litewskiej, której liczne szeregi, ludzi nawet mało albo zgoła nie skompromitowanych, uciekały w przerażeniu wpierw na Żmudź, a potem do Niemiec. Ci, co teraz wracają tu ze Żmudzi, opowiadają sceny dantejskie tej paniki i ucieczki, i zniszczenia, jakich byli świadkami, kiedy na uciekających w popłochu na drogach napadała awiacja sowiecka i raziła zbiegów śmiercią. Niemcy zaś podniecali ten strach, rozlepiając plakaty, drukując fotografie i wyświetlając sceny tragiczne rzekomego pędzenia przez Sowiety całej ludności litewskiej pieszo i masowo na Sybir. Ale co czeka jeszcze tych uchodźców w samych Niemczech.

31 października, rok 1944, wtorek

Andrzej Mieczkowski ma w piątek jechać do Bohdaniszek ciężarówką i wracać w niedzielę. Przez znajomości z szoferami zdobył, raczej wynajął on ciężarówkę na tę wycieczkę, kosztą zaś pokrywa z zapłaty, którą bierze od podróżnych, chcących jechać w strony rakiskie. Są to spekulanci,

którzy jadą po zakupy i sprowadzenie artykułów żywnościowych do Wilna. Jeżeli nabierze odpowiednią ilość tych gości, że mu się ciężarówka opłaci, to pojedzie. Ma nadzieję, że się powiedzie, bo już ma dosyć dużo amatorów, którzy zadatkowali interes. Naturalnie, że i sam dla własnej i swojej rodziny (to znaczy rodzeństwa i matki) spekulacji czy raczej potrzeb – chce z tego skorzystać i przywieźć różnych rzeczy, a w szczególności nosi się z myślą założenia w Wilnie dla swoich bazy żywnościowej, zaopatrywanej z Bohdaniszek, na wypadek, gdyby okoliczności zmusiły Mieczkowskich do opuszczenia Bohdaniszek, bo teraz wszystko jest możliwe. Otóż Andrzej proponuje mi przywiezienie tą ciężarówką do Wilna także Jadzi z dziećmi i pewną ilością rzeczy – naturalnie za zapłatą. Sama przez się byłaby to okazja dobra, bo jazda ciężarówką dla Jadzi z dziećmi byłaby lepsza, niż jazda koleją żelazną, zgoła niemożliwa w obecnych warunkach dla małych dzieci, lub jazda końmi, trwająca trzy dni na chłodzie, nastąpił bowiem już mrozy. W ciężarówce Jadzia z dziećmi jechałaby przy szoferze, to znaczy byłaby zabezpieczona od wiatru i większego mrozu i taka jazda jest krótka. Tylko bardzo wątpię, czy Jadzia na nadchodzącą niedzielę już będzie mogła z Bohdaniszek wyjechać. Zależy to od tego, czy młócka będzie zakończona i czy Jadzia umówiła Estonki do Bohdaniszek na zimę, bo nie może wyjechać, nie uporządkowawszy sprawy, że tak powiem, załogi roboczej na zimę w Bohdaniszkach, która tam pozostanie pod kierunkiem starego Ignacego Čepasa. W każdym razie, uprzedziłem dziś Jadzię telegraficznie o tej okazji jazdy ciężarówką, żeby się przygotowała, jeżeli będzie mogła. Wahałem się w tych dniach bardzo, czy w ogóle można się decydować na przyjazd Jadzi z dziećmi tu na zimę. Bez względu na bardzo ciężkie tak dla mnie, jak dla Jadzi ewentualne rozstanie się nasze na całą zimę, jeżeli ona ma zostać z dziećmi w Bohdaniszkach, a ja sam jeden tu, są względy jeszcze istotniejsze, które zmuszają do zastanowienia się nad możliwością sprowadzenia rodziny do Wilna: w pierwszym rzędzie względ aprowizacyjny, bo wyżywienie rodziny, pomimo wszelkie kartki, będzie bardzo trudny, zwłaszcza gdy są dzieci małe, następnie względ na opał itd. Tych względów jest mnóstwo. Liczymy na to, że Jadzia będzie mogła co miesiąc robić wycieczkę do Bohdaniszek po produkty i że tu kogoś do pomocy przy dzieciach dostaniemy, a w wycieczkach po produkty może się uda Jadzi i coś na spekulację, to znaczy na sprzedaż tu przywieźć ze wsi, żeby zdobyć trochę pieniędzy i na inne potrzeby, bo samej pensji mojej nie wystarczy. Andrzej mię trochę uspokoił, mówiąc, że Józia Ciświcka ma znajomego oficera sowieckiego, który jeździ lekkim autem do Rakiszek, więc gdyby próba pobytu Jadzi z dziećmi w Wilnie się nie udała i okazałoby się, że trzeba z dziećmi wracać do Bohdaniszek, to za protekcją Józi i za pewnym wynagrodzeniem oficera sowieckiego np. mięsem – Jadzia z dziećmi mogłaby do Bohdaniszek wrócić. Trudne jest ryzykowanie, gdy chodzi o dzieci, ale kto nie próbuje – ten w ogóle nic nie ma. Starłem się dziś zobaczyć się w tej kwestii z Józią Ciświcką, ale jej nie zastałem. Spotkałem ją potem na ulicy, tylko nie miałem okazji się rozmówić. Na razie poza tym zastanawiały mię zwłaszcza dwie pilne sprawy: sprawa opału i sprawa świeżego mleka. Okazuje się bowiem, że opału mam zapas minimalny. Drew moich i Reda (drwa Reda będą oczywiście używał) zastałem w składziku mało co ponad ½ metra. A opalać trzeba już zaraz i trzeba będzie całą zimę. Opał jest po cenach wolnych bardzo drogi i trudno go dostać, a na zaopatrzenie w opał po cenach rządowych trudno liczyć. Mleko trzeba mieć co dzień świeże i trzeba już teraz je zapewnić, a nie zacząć szukać dopiero wtedy, gdy Jadzia małą Żermenę przywiezie. Mleko jest także drogie, poza tym trzeba znaleźć mleczarkę, a nieraz mleko bywa fałszowane albo zbierane. Na próżno dowiadywałem się u spotykanych znajomych i u profesorów i pracowników uniwersytetu, gdzie można dostać drew i mleka, dokąd się zwracać, gdzie szukać, choćby oczywiście po cenach wolnych, bardzo drogich. Nikt nic konkretnego powiedzieć nie mógł, bo to zależy od przypadku, a drogi są drogami spekulantów, do których zwykły śmiertelnik nie umie trafić, a gdy mu się przypadek trafi, tego najczęściej obedrą. Aliści dobry Bóg, który się mną opatrnościowo opiekuje i do którego się modłę, poratował i mię i obie sprawy – drew i mleka – prowizorycznie szczęśliwie załatwiłem. Idąc ulicą na rogu ulicy Lejyklos i Tatarskiej spotkałem młodą mleczarkę z mlekiem, wieśniaczkę spod Bujwidziszek, która za 3 ½ czerwonia litr zgodziła się przynosić mi co dzień po litrze mleka do mieszkania. Mleko okazało się doskonałe. Co do drew, to przede wszystkim poradził

mi Rachmatul, żebym od tych czterech urzędników Komisariatu Finansów, którym wynająłem pokój w moim mieszkaniu z meblami, zażądał za pożyczone im meble po ½ metra drew miesięcznie. Zgodzili się bardzo chętnie. Okazało się nawet, że zażądałem za mało, bo na razie zrozumieli, że to po ½ metra od każdego z czterech, co wyniosło dwa metry miesięcznie i przeciwko temu nie protestowali, a tym bardziej, gdy chodzi o ½ metra od czterech razem. Więc po ½ metra miesięcznie już mam. Aż tu dziś sam Rachmatul wskazał mi w sąsiednim podwórku chłopca, który przywiózł znajomemu metr drew sosnowych suchych za 50 czerwoniców, a więc razem z dostawą, co na wolne ceny wileńskie, wynoszące po ± 70 czerwoniców metr bez dostawy, jest bardzo tanie. Chłop przyrzekł przywieźć mi w piątek za tę samą cenę 1 ½ metra takichże suchych drew sosnowych.

1 listopada, rok 1944, środa

To też jak cudowna Opatrzność, że wypłacono mi uniwersytecką pensję zaległą od 15 lipca do końca września. Kiedym był w Wilnie w początku października, to mię poinformowano, że tej pensji zaległej, wypłacanej od połowy lipca, to znaczy od wkroczenia Sowieców do Wilna, nie otrzymam, bo wypłaca się ona tylko tym, którzy się zgłosili do uniwersytetu do dnia 1 września. Ponieważ zgłosiłem się tylko w październiku, więc jej nie otrzymam. Zapłacą mi tylko od 1 października. Tymczasem teraz dowiedziałem się, że w międzyczasie rozciągnięto wypłatę pensji zaległej i na tych, którzy zgłosili się po 1 września. I wypłacono mi już tę zaległą sumę w kwocie 470 czerwoniców. Gdyby nie te pieniądze, które mi niespodziewanie wpłynęły, nie mógłbym sfinansować zakupu drew, bardzo trudno byłoby mi z mlekiem i w ogóle byłbym goły i nie miałbym żadnego zapasu gotówki na liczne potrzeby, tak że nie wiem zgoła, jak bym sobie dał radę. Niejeden to raz doświadczyłem, że gdy mi jest bardzo kruczo i zdaje się, że już nie poradzę i że stoję przed sytuacją katastrofalną – nagle znajduje się sposób i wyjście, jakby było ono zesłane cudowną drogą i akurat w czasie najwłaściwszym i w najwłaściwszy sposób. Jest tak, jak żeby się spełniały słowa pieśni: „Aniołom swoim każe cię pilnować gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować na ręku będą, abyś idąc drogą na ostry kamień nie ugodził nogą”. Co bym bez tej gotówki zrobił – sam nie wiem.

Dziś otrzymałem na uniwersytecie kartki, a więc obiadowe do „Bristolu” dla siebie, na kolację dla siebie, dodatkową na prowiant dla siebie, chlebowe i żywnościowe dla siebie, Jadzi i dzieci. Zarejestrowałem je w sklepie żywnościowym uniwersyteckim na Wileńskiej i na razie otrzymałem chleb na kilka dni. Chleba jest tyle, że większą część oddałem Rachmatulowi i jeszcze mi za wiele, dopóki sam jestem. Ale z żywnością nie będzie rozkosznie, gdy rodzina tu zamieszka.

Sprawy gospodarcze tyle czasu zabierają, a dzień jest tak krótki, że gdybym miał stale sam je załatwiać, to na nic innego czasu by mi nie starczyło. Tyle chodzenia, starań, zabiegów. Dotąd sprawami nauki wcale się zająć nie mogłem. Nasz dziekan Jabłoński na razie wyjechał do Kowna, kursy wykładowe na mojej katedrze jeszcze nie są podzielone między wykładowców, kiedy odbędzie się następne posiedzenie Rady Wydziału – jeszcze nie wiadomo. Ja bym chciał wyklądać w tym roku prawo konstytucyjne „państw burżuazyjnych”. Kursu prawa konstytucyjnego sowieckiego nie chciałbym wyklądać; zdaje się, że chętnie ten wykład obejmie kolega Bulawas, który ma na to ochotę, choć mu przydzielono odpowiedzialną i stuprocentowo komunistyczną katedrę teorii państwa i prawa, co zresztą zupełnie odpowiada jego nastawieniu ideowemu.

Byłem dziś u Józki Ciświckiej. Możliwości automobilowych do Rakiszek, o których mi Andrzej mówił, ona już nie ma, bo kapitan sowiecki, który jest jej lokatorem, do Rakiszek autem już nie jeździ. Nie może mi ona w tym względzie dopomóc w sprowadzeniu do Wilna Jadzi z dziećmi lub w ich „ewakuacji” z Wilna, gdyby się potem okazało, że wyżyć tu z rodziną będzie niepodobna. Ale jej teza jest taka: nie powinniśmy się w żadnym razie rozdzielać z Jadzią, musimy być albo razem w Wilnie, albo razem w Bohdaniszkach; jeżeli utrzymać się będzie trudno, to trzeba znaleźć źródło utrzymania nowe. Takie źródło proponuje ona: Józka przyjąłaby Jadzię na współniczkę w interesie handlowym, który miałby formę pracowni wyrobów plecionych, koszykarskich, szotkowych itp., z którą można by połączyć pracownię wyrobów z wełny – fufajek itd., może i innych pracowni, a w istocie byłaby to nie tyle pracownia, ile interes, przyjmujący obstalunki, rozdający ich wykonanie

pracownikom do domów i organizujący zbyt wykonanych bez obstalunku towarów tego rodzaju. Józia zna się na handlu, ma wybitną żyłkę organizacyjną i spekulacyjną i umie dobrze zarabiać. Teraz warunki są takie, że dochód ze strony byłby nam dla utrzymania rodziny w Wilnie konieczny.

2 listopada, rok 1944, czwartek

Doręczyłem Andrzejowi list do Jadzi, który napisałem wczoraj. Andrzej jutro jeszcze nie jedzie, ale powiada, że ciężarówkę i pasażerów ma zapewnionych, więc za parę dni pojedzie na pewno. Od pasażerów pobrał zadatki, więc mu nie uciekną. Zresztą dla spekulantów, z których składa się „załoga” pasażerska jego ciężarówki, okazja ciężarówki, nawet względnie drogiej, jest taka, której oni często długo szukają na próżno, a zwłaszcza teraz, kiedy ruch pociągów tzw. osobowych od Wilna we wszystkich kierunkach, a przynajmniej w kierunku tak Kowna, jak Święcian i Dyneburga został całkowicie ze względu na wielkie transporty wojenne wstrzymany – podobno na dni 10 czy dwa tygodnie. Z całkowitym wstrzymaniem ruchu osobowego na kolejach i wielkimi transportami wojennymi ludzie łączą pogłoski o tym, jakoby w Prusach Wschodnich Sowiety napotkały wielkie trudności i taki opór Niemców, jakiego się nie spodziewali. Powiadają też, że premier angielski Churchill podał się do dymisji. Powodem czy pretekstem dymisji ma być to, że w Izbie Gmin zblamowano ostro ustępliwość Churchilla wobec Sowietów w sprawie polskiej i innych na ostatniej konferencji ze Stalinem w Moskwie. Niektórzy upatrują w tej dymisji jakiś manewr na rzecz izolacji Sowietów i zmuszenia ich do ustępstw w ich akcji politycznej w Polsce i na Bałkanach.

Jak jest w istocie – nic nie wiemy.

Nasz dziekan wydziału Jabłoński ugrzązł w Kownie z powodu braku komunikacji i nic nie wiadomo, kiedy wróci do Wilna i zwoła posiedzenie wydziału. Na innych wydziałach, których personel skompletował się wcześniej, wykłady się już rozpoczęły, podobno i na naszym niektórzy w tym tygodniu rozpoczęli już wykłady, ale ja nie rozpoczynam, bo nie mam jeszcze wyznaczonego przez Radę Wydziału kursu wykładowego. Profesura naszego wydziału bardzo się wykruszyła przez ucieczkę wielu do Niemiec. Uciekł Stankiewicz, Kriwicki, Żakiewicz, Čepas i wielu innych, w tej liczbie większość asystentów i tzw. adiunktów (tytuł „adiunktów” był za Niemców). Niektórzy uciekli, bo byli istotnie skompromitowani politycznie wobec Sowietów i groziłaby im poważna represja, która u Sowietów nie jest bagatelą, ale wielu uciekało tylko owczym pędem paniki, jaka ogarnęła masy inteligenckie litewskie. Niewesoły ich los na uchodźstwie w Niemczech. Niemcy umieją być jeszcze okrutniejsi od Sowietów – co do tego nie ma wątpliwości, a tych, których wpuścili, o ile chodzi nie o jakieś wyjątki, albo zamkną w obozach internowanych, albo co najmniej będą zmuszali do ciężkiej pracy fizycznej w budowaniu okopów itd., jak to już robili na Żmudzi w jesieni. Na terytorium Niemiec jest już teraz ciasno, a w dalszym ciągu będzie coraz ciasniej. Od zachodu i od wschodu, a zapewne i od południa biegają do centrum fale uchodźców Niemców, w miastach toczą się straszliwe bombardowania awiacji amerykańskiej, wobec których bombardowanie, jakich my doświadczyliśmy, są zabawką dziecinną. Oprócz ludności niemieckiej, skupionej w Niemczech, której jest coraz ciasniej i coraz mniej chleba i dachu nad głową, są tam wielomilionowe rzesze cudzoziemców wszystkich narodowości europejskich, których Niemcy nawieźli do robót i którzy są do nich wrogo usposobieni, i wielkie masy jeńców wojennych. Wszystko to tworzy straszny kocioł. Niewesołe tam będą perspektywy życia naszym uchodźcom litewskim. A jak z zachodu i ze wschodu będą się w głąb posuwały armie sowieckie, angielskie i amerykańskie, jak pękać zacznie więź niemiecka i rozpoczną się przewroty rządu i reżimu, jak nastanie kapitulacja albo jeszcze gorsze od kapitulacji nieobliczalne próby oporu i zmian, to może być piekło takie, o jakim trudno pomyśleć. Pchać się teraz do Niemiec, nie będąc kategorycznie skompromitowanym, to było szaleństwo.

3 listopada, rok 1944, piątek

Po mrozach z ostatnich dni października nastąpiła od trzech dni pora mokra i ciepła. Deszcz pada. Na dworze ciemno, w pokoju jeszcze ciemniej. Od zmierzchu już z domu nie wychodzę, bardzo wcześnie kładę się spać. Światła nie palę i nie mam. Kiedy doczekamy się elektryczności, która w Wilnie przez działania wojenne jest zniszczona, Bóg raczy wiedzieć. Mam 6 litrów nafty z uniwersytetu, ale nie mam lampeczki odpowiedniej. Mam w zapasie świeczkę, ale że nie mam wielkiej roboty i nie chce mi się zasłaniać i odsłaniać okien (paląc światło w mieszkaniu – okna muszą być zasłonięte), więc jej nie zapalam.

Nikt nie potwierdził dziś nowiny o rzekomym ustąpieniu premiera angielskiego Churchilla. Słyszałem dziś od mieszkających w moim mieszkaniu urzędników Komisariatu Finansów, że Kłajpeda została zdobyta przez Sowiety i że wywiadowcy sowieccy podeszli na odległość 18 kilometrów od Królewca. Na lewym flanku z południa Sowiety posuwają się na terytorium Jugosławii, Węgier i Rusi Podkorpacyjnej. Budapeszt, Praga, Wiedeń mogą się stać obiektami ofensywy sowieckiej. W Wiedniu zebrało się podobno dużo naszych uchodźców politycznych litewskich. Z pewnością będą się oni starali dostać na zachód, na tereny zagrożone przez Anglików i Amerykanów, byle nie do rąk Sowietów, od których grozi im zemsta. Prasa sowiecko-litewska kąsa tych uchodźców złośliwie; w szczególności pisze o nich zjadliwie Piotr Cwirka. Ale Niemcy sami nie bardzo im dadzą swobodę ruchów.

Siedzę sam jeden. Tęsknię do rodziny. Zachodzę do uniwersytetu, gdzie zawsze mam jakiś interesik, przeważnie gospodarczy, do kancelarii. Dziekanat nasz zamknięty, dziekana nie ma, czasem spotykam kogoś z profesury. Czasem mam coś do załatwienia na mieście, co wymaga chodzenia, które mię męczy, na obiad idę do „Bristolu”, gdzie prawie po ciemku spożywam danie. Panuje tam wieczny zmrok, przynajmniej w tym gabinecie, w którym zazwyczaj jada profesura. Na wieczór w domu wypijam litr mleka, które mi co dzień mleczarka przynosi i które biorę w oczekiwaniu Żermeny, dla której będzie ono przeznaczone. W ostatnich dniach widuję się co dzień z Józją Ciświcką, która robi zabiegi o pozyskanie lokalu handlowego, w czym i mojej pomocy używa. Tak mi dosyć bezbarwnie upływa dzień. Czekam wyjazdu Andrzeja ciężarówką do Bohdaniszek i powrotu jego stamtąd i myślę, czy przywiezie mi Jadzię z dziećmi czy nie. Niestety – wątpię, żeby Jadzia zdołała już się wybrać.

4 listopada, rok 1944, sobota

Czasem gdy myślę o przyjeździe do Wilna Jadzi z dziećmi, to strach mię ogarnia, jak sobie damy radę i jak zdołamy przeżyć. Liczę teraz bardzo na Józję Ciświcką, która jest bardzo zaradna i wykombinuje zarobek dla Jadzi w interesie handlowym. Czekam bardzo przyjazdu Jadzi. Jakże bym pragnął, żeby mogła przyjechać teraz ciężarówką z Andrzejem.

Dziś szedłem ulicą Wileńską do sklepu uniwersyteckiego po chleb. Naraz podchodzi do mnie jakiś młody człowiek i pyta, czy mówię po litewsku. Odpowiedziałem naturalnie twierdząco. Wtedy mię spytał, czy jestem profesorem uniwersytetu. Potwierdziłem. Dopiero mi powiedział, że pracuje w redakcji nowego pisemka, które zaczęło wychodzić w Wilnie, oczywiście komunistycznego, jak wszystkie inne, przeznaczonego dla włościan – „Valstiečių Laikraštis”. Z okazji święta XXVII rocznicy Rewolucji Październikowej rosyjskiej, która, jak co roku w Sowietach, będzie uroczystie obchodzona w d. 7 i 8 listopada, zbiera on do tego pisemka krótkie lapidarne wypowiedzenia się różnych ludzi ze wszystkich stanów i zawodów o tej rewolucji. Chodzi mu o to, żeby w liczbie tych głosów był także głos profesora. Prosi więc mnie, żebym mu wypowiedział lub nakreślił na piśmie jakieś zdanie o Rewolucji Październikowej. Byłem zaskoczony i nie bardzo miałem ochotę do tego. Co prawda, metoda dziennikarska istic amerykańska: łapie ludzi na ulicy i wyciska z nich to, co mu potrzeba dla pisma. Powiedziałem mu na razie, że trudno mi to zrobić, bo o rewolucji tej już wszystko kiedyś i gdzieś powiedziano, co powiedzieć by się dało, że tak na poczekaniu nic oryginalnego wymyślić nie umiem i poradziłem mu udać się do uniwersytetu i tam od któregoś z profesorów jego opinię zanotować. Ale nie odczepił się i szedł za mną, ponawiając swoją prośbę. Oczywiście do pisemka komunistycznego o tej rewolucji można powiedzieć albo coś

entuzjastycznego, albo coś rzeczowego i politycznie bezbarwnego, jakiś ogólnik, byle nie ujemny. W ostateczności wolałbym coś rzeczowego bezbarwnego, żeby nie trafić do liczby chwalców reklamowych, ale usiłowałem w ogóle się wykręcić i zbyć go niczym. Młody dziennikarz, widocznie komunista, okazał się jednak nieustępliwym, ale miłym chłopcem. Szedł obok mnie uśmiechnięty i wciąż mię namawiał. Ucieszył się, gdyśmy się rozgadali, że jesteśmy obaj z powiatu rakiskiego, on z gminy Świadoście, z miejsc rodzinnych śp. Tumasa-Vaižgantas, ja – z abelskiej. W toku rozmowy, która się między nami zawiązała w przedmiocie jego namowy, a mojego uchylania się, wyraziłem się, że niewątpliwie rosyjska Wielka Rewolucja Październikowa z roku 1917 jest bardzo wybitnym wypadkiem historycznym, którego skutki oddziałują nie tylko na losy narodów, które w tej rewolucji brały udział, ale także na historię świata. Podchwycił on w lot tę moją myśl jako właśnie te moje wypowiedzenie się, o które mu chodziło. Zanotował tylko moje nazwisko i stanowisko, które zajmuję w uniwersytecie i pożegnał. Właściwie myśl moja jest ściśle rzeczowa i politycznie bezbarwna. Stwierdzam bowiem tylko fakt niewątpliwy, że rewolucja ta jest wybitnym zjawiskiem społecznym, mającym dużą wagę i wielkie działanie, nie przesądzając zgoła wartości tego zjawiska oraz jego oddziaływania. Żałuję jednak teraz, że nie zafiksowałem mu tej myśli na piśmie, bo gotów on jest, redagując ją, zabarwić ją propagandowo też, że potem sam w druku mojej myśli nie poznam i że będzie ona wyrażała jakiś zachwyt nad tą rewolucją. Komuniści są mistrzami propagandy i umieją najbardziej bezbarwną rzecz zabarwić tak, jak to im jest na rękę.

5 listopada, rok 1944, niedziela

Byłem w kościele u św. Jana na sumie i kazaniu litewskim. Litwini, zwłaszcza młodzież, bardzo gorliwie uczęszczają do kościoła. Kościół jest w chwili obecnej formą, w której się wyrażają tęsknoty narodowe, udręczone przez niwelację sowiecką i przez falę rusyfikacyjną, towarzyszącą panowaniu Sowietów. Jakiś młody ksiądz, zdaje się, zakonnik, ubrany białą i przepasany na krzyż, wygłosił piękne w formie i treści kazanie, zalecające miłość do niewierzących, którzy są ludźmi o duszy często dobrej i czystej, cierpiącymi dużo z powodu właśnie braku wiary, pozbawiającego ich spokoju i pogody.

Przy obiedzie w „Bristolu” widziałem się z dziekanem Jabłońskim i prof. Tadeuszem Iwanowskim. Jabłoński tej nocy wrócił z Kowna. Ponieważ pociągi osobowe nie chodzą, więc przyjechał ciężarówką bez dachu nad głową na ładunku wódki. Zmęczył się i zmarł bardzo na wicherze. Powiedział mi, że nie potrzebuję czekać z wykładami na następne posiedzenie wydziału. Rozkład kursów wykładowych, które mię obchodzą, jest już ustalony przez samego dziekana stosownie do życzenia, które mu byłem wyraził. Prawo konstytucyjne sowieckie podjął się wykładać Bulavas, który sam chciał tego. Mnie więc zostawione jest prawo konstytucyjne „państw burżuazyjnych”. Krótki kurs wkładowy historii prawa litewskiego (przeważnie konstytucyjnego, ale w zasadzie w ogóle całego) z okresu niepodległości (lata 1918-1940) w ramach katedry historii państwa i prawa (katedra Jabłońskiego i Janulaitisa), który obejmie dwie godziny tygodniowo w ciągu pierwszego semestru, jest do mojej dyspozycji. Wykładać ten kurs chciał Armalis, ale mogę go wziąć sam. Poza tym, mam prowadzić seminarium prawa konstytucyjnego, które chciałbym prowadzić z udziałem Bulavasa i Armalisa.

Z Tadeuszem Iwanowskim rozmawiałem o tej odezwie do Litwinów amerykańskich w sprawie pomocy na urządzenia naukowe, którą na naradzie u Preikšasa przed 10 dniami zainicjował sam Preikšas i której tekstu ułożenie zostało polecone komisji z Matulisem na czele. Iwanowski jest też zdania, że w odezwie tej należy unikać łączenia sprawy tej pomocy z formą sowiecką Litwy. Iwanowski przyrzekł porozmawiać w tej kwestii z Matulisem.

Przed wieczorem byłem u Heli Römer-Ochenkowskiej, która mieszka obecnie z Irenką Leonową Römerową, wdową po śp. Leonie, który zmarł w lipcu podczas ciężkich wypadków wojennych w Wilnie. Hela jest zgryziona, bez humoru i bez werwy. Ciężko jej materialnie i nie mniej ciężko moralnie, całe bowiem jej ukochanie – Polska Piłsudskiego, Wilno polskie itd. – leży w gruzach. Nie wierzy ona ani w Anglię, ani w rząd emigracyjny polski w Londynie. Widzi wszystko w

barwach najfatalniejszych. Chciałaby za obiady mieć jakąś lekcję francuskiego, ale nic nie znajduje. Stara jest i słaba.

6 listopada, rok 1944, poniedziałek

Okazało się, że Andrzej Mieczkowski wcale nie wyjechał ciężarówką do Bohdaniszek. Miał wyjechać w piątek i w niedzielę wrócić i tak też depeszowałem do Jadzi. Ale we czwartek, gdy się z nim widział, mówił mi, że wyjazd się trochę opóźni i że wyjedzie w sobotę lub niedzielę, pasażerów zaś ma aż za wiele, więc obawy o to, czy sfinansuje jazdę, nie ma. Sądziłem więc, że jest teraz w Bohdaniszkach i czekałem, czy Jadzia z nim przyjedzie czy nie, a w każdym razie czekałem w tych dniach przynajmniej listu od Jadzi lub przysłania mi moich rzeczy przez Andrzeja. Aż oto dziś Renia Bagdonaitė powiedziała, że dziś widziała Andrzeja na ulicy. Poszedłem na Zarzecze, gdzie Andrzej z Michasiem mieszkają u Domiceli, starej wiernej sługi Stasia Wołodkowicza, pilnującej w Wilnie mebli i rzeczy Stasia. Andrzeja nie zastałem, ale dowiedziałem się od Domiceli, że nie wyjechał, bo nie dostał ciężarówki. Podobno szuka jeszcze ciężarówki, ale kto wie, czy dostanie. Tak więc, zdaje się, prysła ta okazja i nadzieja, że może się rychło doczekam przyjazdu Jadzi – zawiodła. Nic na to poradzić nie mogę. Nic nie wiem, czy Jadzia się wybiera w tę podróż jakąś inną drogą, czy ma możliwość i czy by się decydowała jechać końmi. Pociągi obecnie, przynajmniej osobowe, wcale nie chodzą, ruch jest całkowicie na kolejach wstrzymany. Powiadają, że i końmi jechać nie jest bezpiecznie, bo na szosach i gościńcach podobno zatrzymują furmanki i pod Wilnem grasują liczne bandy leśne. Nie mam żadnej wiadomości z Bohdaniszek. Jadzia nic mi nie depeszuje, a listy idą tygodniami – po kilka tygodni, jeżeli nie miesiącami. Chcę się jednak zobaczyć jeszcze z Andrzejem i skomunikować się z Jadzią telegraficznie, a swoją drogą będę na własną rękę próbował znaleźć środek komunikacji automobilowej dla Jadzi. Nie jest to łatwe i nie wiem, czy mi się uda, ale próbować będę, tylko muszę wpierw wiedzieć, czy Jadzia jest już gotowa do drogi.

Co do band leśnych – to podobno bardzo wielkie i liczne bandy, zwłaszcza polskie, ale także białoruskie i także bandyckie dezertersów sowieckich, grasują głównie na Białej Rusi Zachodniej – pod Baranowiczami i w powiecie lidzkim. Tak przynajmniej tu ludzie twierdzą.

Są pogłoski, że nieprawdą jest, jakoby Sowiety zdobyły Kłajpedę i że w Prusach Wschodnich pod Goldap opór niemiecki jest tak silny i gwałtowny, że Sowietom grozi niebezpieczeństwo. Trudno naturalnie sprawdzić, ile w tym jest prawdy. W wojennych komunikatach sowieckich jest mowa o posuwaniu się Sowietów tylko na Węgrzech, co do innych zaś odcinków frontu, w tej liczbie i Prus Wschodnich, są tylko lakoniczne wzmianki o potyczkach lokalnych i działaniu wywiadowców.

Wilno jest pod znakiem święta rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Pochodu jednak i innych uroczystości masowych i ulicznych, jak to miało miejsce w roku 1941, w tę rocznicę nie będzie. Robią się wysiłki na wywieszenie czerwonych sztandarów, co napotyka na wielkie trudności dla braku materiału, na niektórych gmachach przy ulicy Giedymina, jak na gmachu Banku Państwowego, na gmachu Partii Komunistycznej, wywieszają się wielkie portrety Stalina, wypisują się ogromnymi literami hasła okolicznościowe, których wzory są podane przez Związkową Partię Komunistyczną, obok wielkich sztandarów czerwonych wywieszają się gwiazdy czerwone... W teatrze dziś wieczorem centralny obchód uroczystości – wielka akademicka ze specjalnymi zaproszeniami, jutro wieczorem koncert okolicznościowy w Filharmonii, po instytucjach, urzędach, fabrykach – obchody lokalne. U nas na uniwersytecie jutro w południe (w gmachu Komisariatu Ludowego Oświaty przy ulicy Wolana) obchód rocznicy rewolucji połączony z uniwersyteckim aktem immatrykulacji. Jednocześnie na czas dni świątecznych wzmocnione są dyżury dzienne i nocne po wszystkich domach i dziedzińcach. Otrzymałem dziś zaproszenie imienne na dzisiejszy wieczór w teatrze i na jutrzejszy w Filharmonii, ale do teatru nie wybrałem się, bo noc jest ciemna, z wieczora księżyc nie ma, z moim wzrokiem można nogi połamać na ulicy, a powiadają, że w nocy po ciemku nawet bezpiecznie nie jest, bo na przechodniów nieraz napadają opryszki, którzy ściągają futro, paltoty, obuwie... Wątpię też, czy się wybiorę jutro do Filharmonii.

7 listopada, rok 1944, wtorek

Pierwszy dzień uroczystego dwudniowego święta sowieckiego – rocznicy tzw. Wielkiej Rewolucji Październikowej (w roku 1917, kiedy była dokonana ta rewolucja, w Rosji obowiązywał kalendarz starego stylu, podług którego obecne dni listopada przypadały na październik).

W nocy wypadł akurat dyżur nocny w domu na nasze mieszkanie. Dyżur nocny obejmuje czas od godziny dziesiątej wieczór do piątej rano. Czas ten podzieliliśmy na cztery części podług ilości mężczyzn w mieszkaniu. Dyżurowało więc po dwie godziny dwóch urzędników Komisariatu Finansów, sublokatorów wielkiego pokoju (jest ich ogółem czterech, ale na razie mieszka stale dwóch), następnie dwie godziny Rachmatul i wreszcie jedną godzinę – od czwartej rano do piątej – ja. Trochę siedziałem na schodach frontowych, przeważnie zaś stałem u wejścia na ulicy i trochę się po ulicy przechadzałem. Dyżur mój upłynął spokojnie i czas zbiegł prędko. Powietrze było miękkie i ciepłe, księżyc świecił. Nikt nie sprawdzał dyżuru. Po dwóch tygodniach powtórzy się dyżur znowu.

O południu odbyło się w sali aktowej Komisariatu Ludowego Oświaty przy ulicy Wolana posiedzenie uroczyste uniwersytetu, poświęcone aktowi immatrykulacji i rocznicy Rewolucji Październikowej. Zebrała się starszyzna rządu w osobach samego quasi-prezydenta (prezesa prezydium Rady Najwyższej Litwy) Justyna Paleckiego, prezesa Rady Komisarzy Ludowych Gedvilasa, komisarzy ludowych oświaty Žiugždy i Zdrowia Girdzijewskiego, zastępczyni komisarza oświaty Navikaitė-Mieszkowskiej i jeszcze paru osób, których nie znam, zwierzchność akademicka w osobach rektora Bieliukasa i prorektorów Matulisa i Hrodničiusa, dziekani, profesura, studenci. Mieszkowska, moja była uczennica-studentka, która potem długo siedziała w więzieniu za akcję polityczną rewolucyjną i którą ja potem broniłem w uniwersytecie, kiedy minister Tonkunas żądał usunięcia jej jako rewolucjonistki ze stanowiska bibliotekarki katedry literatury, ma zawsze szczególne względy dla mnie, toteż nie pozwoliła mi rozebrać się w szatni ogólnej, lecz zaprowadziła do gabinetu Žiugždy, gdzie przed posiedzeniem zbierali się dostojnicy. Tam poznałem Gedvilasa, pogawędziłem z Mieszkowską, która mi obiecuje pomóc w sprowadzeniu Jadzi z dziećmi do Wilna na koniec listopada, porozmawiałem też z Korsakiem-Radžvilasem. Następnie przeszliśmy do sali, szczelnie już zapelnionej publicznością. Sala udekorowana była niezbyt krzycząco. Był naturalnie portret Lenina i portret Stalina, herb Sowietów – młot i sierp, sztandar czerwony, napis: „Garbė drg. Stalinui”<sup>16</sup> – oto bodaj i wszystko. Zainaugurował posiedzenie rektor Bieliukas. Rektor Bieliukas podoba mi się i dobrze pasuje na rektora. Jest spokojny, równy, ma postawę i takt, jest reprezentacyjny. Gdy rektor w zakończeniu swojego krótkiego przemówienia inauguracyjnego wznosił okrzyk na cześć Stalina, to zamiast stereotypowej tchnącej przymusem owacji chór zaintonował nowy hymn Związku Sowieckiego. Słów tego hymnu nie znam, podobno jest w nim jakieś szczególne wyróżnienie narodu rosyjskiego. Ale sama melodia hymnu jest ładna i uroczysta. Swoją drogą jednak, wołałbym dla Związku Sowieckiego starą szlachetną Międzynarodówkę, która była hymnem Sowietów do czasu tej wojny. Stara Międzynarodówka, jako podnosząca nie jakiś poszczególny naród czy kraj lub poszczególną grupę narodów czy krajów, jeno rodzaj ludzki, bardziej odpowiada związkowi narodów, który w założeniu jest otwarty dla wszystkich narodów i ma się stać organizacją polityczną całego rodzaju ludzkiego. Ale Sowiety po trochę zbaczają z tego stanowiska wszechludzkiego na rzecz konkretnego imperium. Po hymnie sowieckim odśpiewany został hymn narodowy litewski „Lietuva, Tevynė mūsų!”. W roku 1940-1941 hymn narodowy litewski, drogi każdemu sercu litewskiemu, był zabroniony. Śpiewanie jego uchodziło za demonstrację antysowiecką – „kontrewolucyjną”. Teraz Sowiety pod tym względem zmądrzały. Hymn litewski nie tylko że jest dozwolony, ale zajęcie Wilna jako stolicy litewskiej przez Sowiety zostało przez radio sowieckie uczczone odśpiewaniem hymnu tego. Sowiety chcą z rąk przeciwników władzy sowieckiej wyrwać tę broń, jaką jest dla nich zakaz drogiego sercu litewskiemu hymnu. Tylko zrobiły zastrzeżenie. Zdegradowały ten hymn ze stanowiska hymnu na

<sup>16</sup> Garbė drg. Stalinui (lit.) – Chwała tow. Stalinowi.

stanowisko „pieśni narodowej Litwy”. W programie uroczystości dzisiejszej tak też było zadokumentowane: chór odśpiewa wpraw „Tarybą Sajungos himną“, następnie „Lietuvos tautos giesmė“. Tę „pieśń“, którą Litwini uznają za swój hymn narodowy, śpiewała cała sala i wysłuchano śpiew stojąc. Jutro dokończę o uroczystości uniwersyteckiej.

8 listopada, rok 1944, środa

Najstarsza z córeczek naszych, Kotuńka, ukończyła dziś 6 lat. Nie gorzkie już dziecko, ale dziewczynka. Kochana dobra córeczka. Tęsknię serdecznie do tych dziełek naszych i szczęśliwy będę, gdy się ich doczekam i żyć tu będę w rodzinie, choć się nieraz niepokoję, jak sobie rady damy. Ale da Bóg, że się wszystko dobrze urządzi i że jak dotąd mieliśmy nad sobą opiekę Boską, tak ją mieć będziemy. W Bohdaniszkach dziś feta – tort urodzinowy dla Kotuńki z sześciu płonącymi świeczkami, zabawa dziecinna. Wysłałem depezę z powinszowaniem do Kotuni.

Przy tej okazji przychodzi mi na myśl także pierwsza córka moja – z małżeństwa z Reginą – Celina. Jest mi ona obca i daleka, mało się z nią znamy. Jeżeli nie wyszła w tych czasach za mąż, co jest chyba mało prawdopodobne, to jest już panną starzejącą się. Ma skończonych lat 34. Ale nie jestem pewny, czy żyje, a jeżeli żyje, to nic nie wiem, gdzie jest i co się z nią stało. Ostatnią wiadomość o niej i od niej miałem w jesieni roku 1941. Mówił mi o niej Mieczysław Bohdanowicz, przez którego posłałem jej pieniędzy i ona sama pisała do mnie. Mieszkała wtedy w Warszawie. Ale na mój ostatni list już mi nie odpisała. Trzeci rok dobiega, jak nic o niej nie słyszałem. Wobec ciężkich i strasznych nieraz zajęć w Warszawie i wobec okrucieństwa Niemców w Polsce mogły się z nią stać rzeczy najgorsze. Mogła zginąć, mogła być wywieziona do Niemiec. Nie odezwała się więcej nigdy. A przecie gdyby mogła i chciała, to mogłaby napisać do mnie. Na uniwersytet w Wilnie i na Bohdaniszki nie napisała nigdy, to może jej nie ma. Ale mogła i nie zdobyć się na list, bo mam wrażenie, że stosunku ze mną nie ceniła i pociągu serdecznego do mnie nie miała nigdy. Odwoływała się do mnie tylko wtedy, gdy czegoś chciała i potrzebowała ode mnie. A jeżeli nawet była żywa, to kto wie, czy przeżyła ostatnie tegoroczne straszne wypadki w Warszawie, związane z Powstaniem Warszawskim i takim zniszczeniem Warszawy, które bodaj starło stolicę Polski z oblicza ziemi i zamieniło ją literalnie w stos gruzów. Jeżeli nie zginęła bezpośrednio w powstaniu lub w bombardowaniu miasta, to mogła zginąć w ewakuowaniu przez Niemców ludności Warszawy na śmierć głodową i na zniszczenie masowe. Słowem, losy Celiny są mi nieznane i nie wiem, czy się o niej czegoś dowiem kiedykolwiek. Może miała śmierć bohaterską, a może cierpi gdzieś i wegetuje – nieszczęśliwa córka moja.

Przechodzę teraz do dalszego ciągu relacji z wczorajszej uroczystości uniwersyteckiej. Po odśpiewaniu przez chór hymnów rektor udzielił głosu premierowi Gedvilasowi i następnie komisarzowi oświaty Žiugždzis. Obaj dostojnicy sowiecko-litewscy, przedstawiciele rządu, wygłosili słowo powitalne do uniwersytetu i obaj przemówienie swoje zabawili jaskrawą tendencją polityczną, plwając na okupantów niemieckich, beczeszcząc tych, co współdziałali z Niemcami albo działali za okupacji przeciwko Sowietaom i obecnie uciekli do Niemiec, sławiąc rzekomą wierność ogółu narodowego Litwinów idei Litwy sowieckiej, co jest nieprawdą, i podnosząc skwapliwie i propagandowo wielką mądrość i patriotyzm tych, co w roku 1940 uchwalili wcielenie Litwy do Związku Sowieckiego, jako że Sowiety były jedyną siłą realną i przyjazną, która mogła wybawić i wybawiła Litwę od śmiertelnych dla niej skutków ewentualnego zwycięstwa niemieckiego, niosącego narodom na wschodzie zagładę i zapewniły Litwie istnienie, wolność i granice narodowe z Wilnem i Kłajpedą. Dla propagandy swojej i dla usprawiedliwienia narodowego swojego dzieła, które pogrzebało w roku 1940 państwowość Litwy i zamieniło Litwę faktycznie w prowincję imperium sowieckiego czy raczej sowiecko-rosyjskiego, pozostawiając tej prowincji na pociechę i na zabawę tytuł „republiki” i szczątkowe uznanie oficjalnego języka litewskiego obok rosyjskiego, ci panowie operują teraz gorąco i skwapliwie argumentami o okrucieństwie hitleryzmu i o tym, czym by się mogło stać dla Litwy zwycięstwo niemieckie, gdyby ono było się stało faktem oraz o tym, że czynnikiem, który zadał potężne niemieckiej na wschodzie cios, były Sowiety. Ale ci panowie nie

chcą sobie zadać fatygi udowodnienia, dlaczego złamanie potęgi niemieckiej przez Sowiety i udaremnienie zwycięstwa niemieckiego, które istotnie byłoby dla Litwy i innych ludów na wschodzie Europy straszne, choć samo przez się mało prawdopodobne, dlaczego ma być ono zależne od wcielenia Litwy do Związku Sowieckiego i czy bez tego wcielenia skutek w stosunku do potęgi niemieckiej nie byłby taki sam, ale za to Litwa doczekałaby się rokowań pokojowych i układania konstrukcji politycznej Europy nie jako „republika”, a właściwie prowincja sowiecka w łonie formacji Związku Sowieckiego, jeno jako państwo odrębne, które może do różnych ewentualnych formacji należeć. Dlaczego potrzebne miało być dla Litwy i zbawienne dla niby przesądzenia w roku 1940 jej losów na rzecz wcielenia do Sowieckiego i na rzecz w istocie prowincji wielkiego imperium eurazyskiego, zamykające jej dziś ze stanowiska sowieckiego swobodę takiej lub innej decyzji, wybór jeżeli nawet nie przez nią samą, to dla niej przez zespół potentatów świata, takiej lub innej formy. To przesądzenie, które spętało zawczasu jej kraj, nie było czynnikiem złamania potęgi niemieckiej i oddalenia niebezpieczeństwa, pochodzącego z ewentualności zwycięstwa niemieckiego. Tych zagadnień ci panowie zgłębiać nie chcą i prześlizgują się po nich akrobatycznie. Inaczej nie mogą mówić ci, co wzięli na siebie odpowiedzialność za zniszczoną w roku 1940 państwowość litewską i którzy są autorami wcielenia do Sowieckiego. Głoszą oto słowa patriotyzmu litewskiego – to fakt, ale sumienie ich jest obciążone i usiłują oni usprawiedliwiać siebie.

9 listopada, rok 1944, czwartek

Upłynęły święta rocznicy rewolucji. Choć mi przysłano zaproszenie imienne (w roku 1940 zaproszeń takich nie miałem), to jednak ani pozawczoraj w teatrze na wielkim posiedzeniu uroczystym, ani wczoraj w Filharmonii na wielkim koncercie okolicznościowym nie byłem. Nie poszedłem, bo wieczorem bez księżycy po ciemku chodzić lękam się. Boję się i o nogi moje, i o bezpieczeństwo osobiste oraz o całość garderoby. Jedyna więc uroczystość świąteczna, na której byłem, to akt uniwersytecki pozawczoraj w południe, o którym w dzienniku pisałem i dziś pisać dokończę. Po przemówieniach dygnitarzy rządu – Gedvilasa i Žiugždy – prorektor prof. Matulis wygłosił odczyt na temat: Rewolucja Raŕdziernikowa i nauka. W krótkim referacie Matulis analizował sytuację nauki w świecie kapitalistycznym i świecie socjalistycznym. Odczyt był raczej teoretyczny, nie miał cech propagandowych, był akademicko poprawny. Podoba mi się Matulis i jego sposób ujmowania tematów w przemówieniach. Ma umysł giętki i ścisły, myśl jest wyraźna, treściwa i dokładnie wyrażona. Po tym odczycie Matulisa chór akademicki odśpiewał jeszcze parę ładnych piosenek litewskich, następnie studencki zespół taneczny, złożony z czterech studentów i czterech studentek w strojach narodowych, wykonał dwa piękne tańce narodowe. Wreszcie na zakończenie odśpiewano stary tradycyjny hymn młodzieży akademickiej „Gaudeamus igitur”. Zdaje się, że w Sowietach ten hymn akademicki nie jest honorowany i że w roku 1940-1941, o ile pamiętam, nie był on śpiewany na uroczystościach uniwersyteckich. Teraz i w tym, jak w niektórych innych rzeczach, prąd w naszych rządzących kołach sowiecko-litewskich jest nieco liberalniejszy, nie odcinający się tak od tradycji. Na tym się ta uroczystość zakończyła. Momentów sztucznego entuzjazmu, jaskrawości – widocznie unikano. Nie było ostentacji zbytniej.

Zanotuję jeszcze jeden epizod obchodu świątecznego. Pozawczoraj wieczorem zahuczały nagle działa, karabiny maszynowe, po niebie zabłysły smugi ruchome światła z reflektorów, wystrzały rakiety świetlne i kolorowe. Myślałem na razie, że to albo nalot, albo wysłedzono nad miastem samolot wywiadowczy niemiecki, na który zarządzono polowanie. Okazało się jednak, że to iluminacja świąteczna, niewinna zgoła, ale w warunkach wojennych zaprawiona inscenizacją wielkiego huk i łoskotu. W dniach świątecznych, a zwłaszcza pierwszym, wielkie też triumfy święcił bóg Bachus. Mnóstwo się wałęsało, a po dziedzińcach leżało pijanych żołnierzy sowieckich. Już to wódkę Sowiety lubią namiętnie.

Dla zamierzonej pracowni swojej, a raczej dla kilku połączonych pracowni, Józia Ciświcka nie mogła dotąd znaleźć lokalu handlowego. Józia ma na myśli trzy pracownie – szczotek i wyrobów plecionych (koszyki itd.), którą prowadziłyby ona sama, drugą – pracownię trykotażu (wyroby z

welny, jak fufajki itd.), którą prowadziłyby ewentualnie, jako współniczka Józi, Jadzia, i trzecią – pracownię zegarmistrzowską, którą prowadziłyby Wanda Bohdanowiczowa. Byłyby to nie tylko pracownie na miejscu, ale przyjmowanie obstalunków, rozdawanych do wykonania różnym osobom do domu, i sprzedaż odpowiednich wyrobów. O lokale handlowe, to znaczy o lokale sklepowe teraz bardzo trudno. Te, co są, są albo zajęte, często przez różnych spekulantów na składy towarów albo dla wymuszania grubego odstępnego od potrzebujących i w rozmaity sposób, w dużym stopniu przez łapówki, bronione od odebrania, choć bardzo często nieczynne, albo są rozchwytywane przez urząd tzw. „Pramprekyba” – na magazyny handlu publicznego artykułami przemysłowymi. Dotyczy to szczególnie lokalów (sklepów) w dobrych punktach handlowych. Józia miała już kilka sklepów, na które wybrała order z urzędu mieszkaniowego, ale zawsze, nim się zdołała zainstalować, lokal odbierała od niej „Pramprekyba”. Chciała więc, żebym jej pomógł dostać lokal w dobrym punkcie (wyróżnia ona szczególnie ruchliwą ulicę Zawalną), licząc na moje wpływy i na powagę i uznanie, jakie mam w kołach litewskich, z których składają się kierownicy wszelkich urzędów i instytucji, najczęściej byli studenci moi. Kilka sklepów miała ona na widoku w domach uniwersyteckich, ale te zawiodły, bo się okazało, że są zajęte i opłacane, więc uniwersytet nie ma podstawy do odbierania. Udałem się więc dziś do kierownika Miejskiego Wydziału Mieszkaniowego, który wydaje order na lokale tak mieszkaniowe, jak handlowe. Ten kierownik – to wielki potentat w tym ważnym dla ludności resorcie. Jest nim niejaki Krasowski, młody energiczny człowiek. Domyślałem się, że jest moim byłym uczniem, ekonomistą. Nie omyliłem się. Jak wszyscy zawsze moi byli studenci – przyjął mnie bardzo mile i serdecznie, wysłuchał prośby, w której chodziło o lokal na pracownię dla mojej żony w celu umożliwienia nam utrzymania rodziny i wyznaczył urzędnika, polecając mu, żeby wykombinował dla nas dobry lokal handlowy w dogodnym punkcie, uwzględniając nasze życzenia. Sprawą tą dalej zajmie się Józia, która będzie to kombinowała z tym urzędnikiem, ale zdaje się, że rzecz stanęła już dobrze. Ten lokal – to jest atut, który dałem Józi i liczę teraz na jej pomoc w zainstalowaniu Jadzi w pracowni i w zapewnieniu jej zarobku.

10 listopada, rok 1944, piątek

Dziś nasza malutka Żermena ukończyła 8 miesięcy życia. Zaczyna z niej być mały człowieczek. Tęsknię do niej, a choć wciąż się boję, jak damy radę w obecnych warunkach w Wilnie z takim maleństwem, to jednak skądinąd pragnę, żeby i ona była z nami i żałowałbym, gdyby była zostawiona w Bohdaniszkach na opiece babuni swojej. Miło będzie, gdy dzieciątko zacznie pełzać, wstawać, chodzić, mówić. Czekam więc i jej, a ufność pokładam w opiece Boskiej, która nas nie opuszcza i która jakoś przedziwnie w chwili właściwej daje nam to, co akurat jest wtedy niezbędne. W szczególności pokładam nadzieję na współnictwo Jadzi w interesie Józi Ciświckiej, która jest energiczna, zaradna i dzielna i która we wszelkich okolicznościach umie sobie dać radę, urządzić się i żyć dobrze. Już to ma ona głowę do interesów złotą. Mam nadzieję, że z pomocą głowy Józi praca Jadzi w interesie kierowanym przez Józię da nam na zapewnienie utrzymanie rodziny więcej, niż moja praca i głowa profesorska, która umie pracować naukowo, ale nie umie robić pieniędzy.

Zachodziłem dziś do mieszkania Andrzeja Mieczkowskiego. Nie zastałem jego, ale powiedziała mi Domicela, że Andrzejowi udało się znaleźć ciężarówkę i że ma rzekomo z Michasiem jutro wyjechać ciężarówką do Bohdaniszek. Jeżeli tak istotnie będzie, to nie jest wykluczone, że za kilka dni Jadzia z nim tu tą ciężarówką przyjedzie. Nic nie wiem tylko, czy Jadzia jest już gotowa do wyjazdu, to znaczy czy sprawy bohdaniskie są już tak urzędzone, że wyjazd Jadzi jest możliwy. Od czasu mojego wyjazdu nie mam dotąd żadnej wiadomości z Bohdaniszek. Listy teraz idą tak długo, że się prawie nie opłaca pisać, okazji bezpośredniej nie było żadnej, a jedyny znośny sposób komunikacji – to depesze telegraficzne, w których zresztą można tylko bardzo lakonicznie się wypowiadać, ale żadnej depeszy Jadzia mi dotąd nie przysłała. Ja depeszowałem do niej już kilkakrotnie, kilkakrotnie listy wysłałem, ale listy są jeszcze zapewne w drodze.

Wczoraj byłem w dziekanacie naszego wydziału. Dla mnie jest zarezerwowany kurs wykładowy prawa konstytucyjnego państw „burżuazyjnych”. Nie będę zaiste przeciążony

wykładami, bo ogółem na ten przedmiot udzielone są dwie godziny tygodniowo, a przedmiot sam przez się jest mi bardzo dobrze znany, więc dla mnie nietrudny. Oprócz tego, wypadnie mi wykładać, ale tylko w semestrze wiosennym dwie godziny tygodniowo w ciągu jednego semestru – historię prawa litewskiego doby niepodległości. Faktyczne będzie to historia prawa konstytucyjnego (ustroju) Litwy niepodległej – lata 1918-1940. Kurs ten tak za Sowietów, jak za Niemców był na ogół źle widziany. Była skłonność całkowitego jego wyeliminowania, bo sama zasada samodzielnej państwowości litewskiej nie ma ani u Niemców, ani w Sowietach uznania i wszystko, co tym trąci, choćby to były fakty historyczne, ma charakter „trefny”. Ja jednak nalegałem na to, żeby taki kurs wykładowy był zachowany na wydziale, choćby najkrótszy. Jest bowiem rzeczą nienormalną, żeby społecznik, prawnik, który ukończy studia prawnicze na uniwersytecie litewskim i który wie o ustroju Litwy za Witolda albo za czasów Unii Lubelskiej, bo to się przecież wykłada i z tego się egzaminuje, nic zgoła nie wiedział o ustroju i prawie okresu niepodległości, okresu bardzo świeżego, który przeżyło pokolenie obecne i którego struktura i ewolucja prawna oddziaływała na psychikę ludzi i pozostawić w niej musiała ślady. Zupełne poniechanie takiego kursu wykładowego wytworzyłoby lukę w wykształceniu prawniczym młodej generacji prawników. Tylko że ten kurs wykładowy musiałby logicznie przejść z katedry prawa konstytucyjnego, którego część składową do roku 1940 stanowił, do katedry historii prawa. Argumenty moje przekonały kolegów i zwierzchność i oto dano mi ten wykład w ciągu jednego semestru. Poza tym, kierować będę seminarium prawa konstytucyjnego i administracyjnego. Formalnie udziela się na to cztery godziny tygodniowo, ale faktycznie będzie tych godzin zapewne za dużo, bo kandydatów do tego seminarium przewiduję mało. Ale jak mi dziekan Jabłoński mówił, jeden kandydat już się zgłosił, więc seminarium nie będzie zupełnie nieczynne.

Na wydziale naszym jest ogółem (na wszystkich czterech kursach) podobno  $\pm 7$  studentów. Na całym Uniwersytecie Wileńskim (jeżeli się nie mylę, osiem wydziałów: prawo, ekonomika, historia-filologia, medycyna, fizyka-matematyka, chemia, przyroda, leśnictwo) jest studentów osiemset kilkadziesiąt. Na Uniwersytecie Kowieńskim, który zachował tytuł „Uniwersytetu Witolda Wielkiego”, jest ich przeszło tysiąc.

11 listopada, rok 1944, sobota

Przed kilku dniami, na uroczystości otwarcia uniwersytetu, spotkałem się z Justynem Paleckim, który, jako quasi-prezydent Litwy Sowieckiej i *eo ipso* jeden z szesnastu zastępców prezesa prezydium Rady Najwyższej Związku Sowietów, czyli quasi-prezydenta SSSR, „uczcił” swoją obecnością tę uroczystość. Paleckiego znałem z czasów, kiedy był mizernym dziennikarzem, w którym nikt nie domyślał się przyszłego szefa Litwy Sowieckiej. Zresztą do roku 1939 nikomu nie było wiadomo o jakichkolwiek związkach i konszachtach łączących go z Sowietami. Był dziennikarzem obozu postępowego, zbliżonym do ludowców, a więc należącym do opozycji w stosunku do rządów narodowców. Ujaskrawił się trochę w latach 1938 i 1939. Po kapitulacji rządu wobec ultimatum polskiego w marcu 1938 załamywał ręce i ubolewał tragicznie nad grzebaniem niepodległości Litwy przez rząd kapitulujący. Na wzór ks. Tumasa-Vaižgantas, który kiedyś przed laty dwudziestu na jakiejś uroczystości w teatrze wlaźł w antrakcie na krzesło i zwrócił się publicznie z przemówieniem do obecnego w łóży prezydenta Republiki Aleksandra Stulginskiego, wzywając go do uwolnienia z więzienia będącego wtedy w opozycji Antoniego Smetony, którego uwięziono za nieuiszczenie sztrafu administracyjnego za jakiś artykuł w prasie i apelował do uczuć patriotycznych i honoru narodowego prezydenta Stulginskiego i całej publiczności, że nie wolno za myśli i poglądy, wyrażone w prasie otwarcie, więzić jak złoczyńcę obywatela-patriotę i byłego pierwszego prezydenta republiki, jakim jest Smetona, co wtedy sprawiło wielkie wrażenie i było sensacją spontanicznego odruchu w stylu Tumasa-Vaižgantas, otóż Palecki w roku 1938 wybrał tę samą drogę, aby zaprotestować publicznie przeciwko kapitulacji rządu na ultimatum polskie, brutalne i upokarzające Litwę w formie, aczkolwiek bardzo umiarkowane w treści. Tak samo, jak niegdyś Tumas, Palecki wlaźł w antrakcie w teatrze na krzesło i zaimprovizował przemówienie. Jak wszystkie sposoby

odgrzewane, tak samo jak potrawy odgrzewane, mało smakuja (ba, jest wyjątek dla kapusty tuszonej), ten wyskok Paleckiego nie zrobił tego wrażenia, jakie w swoim czasie zrobiło wystąpienie spontaniczne Tumasa. Ściągnięto Paleckiego z krzesła i wyprowadzono, nie dając mu dokończyć przemówienia. Drugi wyskok Paleckiego miał miejsce w październiku roku 1939 po układzie litewsko-sowieckim, podyktowanym Litwie przez Sowiety w Moskwie, kiedy Sowiety narzuciły Litwie bazy wojenne sowieckie na terytorium litewskim, ale jednocześnie zwróciły jej Wilno, zabrane przez Sowiety na Polsce. Gdy wieść o tym przyszła do Kowna, organizacje narodowe litewskie w pochodzie ze sztandarami udały się do pałacu prezydenta Republiki Smetony pozdrawiać go z odzyskaniem Wilna i cieszyć się z tego faktu. Jednocześnie komuniści i Żydzi próbowali zorganizować pochód demonstracyjny przed gmachem poselstwa sowieckiego, manifestując wdzięczność Sowiетom i Stalinowi za oddanie wspańiałomyślne Wilna Litwie. Ten pochód komunistyczny został przez policję udaremniony. Palecki wtedy dostał się z organizacjami narodowymi przed gmach prezydentury i kiedy organizacje ze sztandarami defilowały przed prezydentem Smetoną, który wyszedł na balkon, Palecki rozpoczął przemówienie, w którym wyrażał myśl, że manifestację uczuć należy kierować nie do prezydenta Smetony i jego rządu, jeno do Stalina i Związku Sowieckiego, z którego ramienia Litwa Wilno odzyskuje. Wtedy Palecki został aresztowany i wysłany do obozu pracy przymusowej, gdzie kilka miesięcy przesiedział. Wtedy orientował się on już na Sowiety. Toteż gdy w czerwcu w roku 1940 Sowiety wtargnęły zbrojnie na terytorium Litwy i ultymatywnie zażądały reorganizacji rządu w Kownie, na szefa rządu został przez Sowiety wskazany Palecki. Odtąd datuje się jego „wielkość” w ramach Litwy Sowieckiej. Od roku 1939 nie widziałem Paleckiego. Palecki z „rządem ludowym”, a potem z Radą Najwyższą i jej prezydium urzędował w Kownie, ja zaś byłem w Wilnie. Zobaczyłem go teraz jako najwyższego dostojnika litewsko-sowieckiego i rozmawiałem krótko po raz pierwszy. Trochę się zaokrąglił, nabył pewności siebie. Przypomnieliśmy sobie naszą ostatnią dłuższą rozmowę w kawiarni „Monika” w Kownie po ultimatum polskim. Dużo bym mógł z nim pomówić, ale nie było ani właściwego „milieu”, ani chęci u mnie. To człowiek mały i bez charakteru, który jest prowadzony przez bieg wypadków, włóczony w ich ogonku.

12 listopada, rok 1944, niedziela

Wśród katedr, wakujących faktycznie na naszym Wydziale Nauk Prawniczych, jest katedra prawa międzynarodowego, która składa się z dwóch pod wielu względami bardzo różnych przedmiotów – prawa międzynarodowego publicznego i prawa międzynarodowego prywatnego. Te dwa przedmioty były zawsze u nas rozdzielone, zdaje się, nie tylko w wykładach, ale i w dwóch odrębnych katedrach. W każdym razie, teraz stanowią one jedną katedrę prawa międzynarodowego. Katedrę i wykłady prawa międzynarodowego publicznego miał prof. Dominik Kriwicki, który ją objął w spadku po zmarłym prof. Jaszczence. Prawo międzynarodowe prywatne wykładał, ewentualnie miał katedrę prof. Tadeusz Pietkiewicz. Obecnie Kriwickiego nie ma, uciekł do Niemiec, był politycznie wobec Sowietów skompromitowany, przez to samo z uniwersytetu wykreślony. Natomiast Pietkiewicz nie uciekł i formalnie katedra prawa międzynarodowego należy do niego, ale faktycznie wakuje, bo Pietkiewicz został przed paru miesiącami w Kownie przez sowieckie władze sądowo-wojenne aresztowany i dotąd nie jest uwolniony. Los jego, jak los prawie wszystkich aresztowanych politycznych w Sowietach, jest niewiadomy, przypuszczają jednak, że jest więziony w Kownie. Z tego faktu, że Pietkiewicza aresztowały nie organy NKWD, jeno organy wojenne, wnoszę, że chodzi nie o jego działalność polityczną wewnętrzną, ale o zdradę stanu w jakichś związkach z zagranicą. Zresztą nikt dokładnie nie wie, o co chodzi i co mu się inkryminuje. Niektórzy przypuszczają, że nie tyle jemu osobiście coś się inkryminuje, ile odpowiednie czynniki sowieckie sądzą, że Pietkiewicz coś wie o jakiejś akcji zagranicznej innych osób i kół z informacji zakulisowych i chcą od niego odpowiednie zeznania wyciągnąć. Żona Pietkiewicza i jego szwagier, nasz dziekan prof. Konstanty Jabłoński, usiłują robić starania na rzecz jego zwolnienia i dowiedzenia się czegoś, ale dotąd im się to nie udaje. Nie mieli oni i nie zdołali z nim nawiązać żadnego kontaktu

od czasu jego aresztowania. W każdym razie, na uniwersytecie Pietkiewicz liczy się wciąż profesorem i katedra formalnie należy do niego. Żadnego innego personelu na tej katedrze poza Pietkiewiczem nie ma. Jak się dowiedziałem od dziekana, Rada Wydziału wyznaczyła mnie na opiekuna czasowego tej osieroconej faktycznie katedry. Chodziło w pierwszym rzędzie o zaopatrzenie wykładów obu przedmiotów tej katedry, to znaczy o znalezienie dla nich prelegentów. Specjalistów wykwalifikowanych na te przedmioty nie mamy. Jest dwóch kandydatów ze strony, którzy siebie zalecają do profesury i chętnie się zgłaszają – w szczególności na te dwa przedmioty – to dr Rolnikas, Żyd, i dr Vabalas, który poprzednio pracował w poselstwie litewskim w Paryżu, ale wydział jest usposobiony przeciwko obydwom tym kandydaturom, które prawdopodobnie upadną. Trzeba więc w pierwszym rzędzie szukać prelegentów dla tych dwóch przedmiotów wśród istniejącego personelu wydziału. Jako na jednego z takich zwrócił mi dziekan uwagę na asystenta, obecnie mającego tytuł starszego lektora („vyresnysis dėstytojas”) Wacława Zubkiewicza. Jest to zdolny młody człowiek, który ukończył studia na naszym wydziale bodajże w roku 1941 i został przez prof. Żakiewicza (Żakiewicza obecnie już nie ma, uciekł) zaangażowany na asystenta na prawie administracyjnym. Ale na katedrze prawa administracyjnego nie ma dlań miejsca. Katedrę tę objął po Żakiewiczu komunista Medrys, który wrócił z emigracji z Moskwy, drugim zaś jest Kazimierz Germus. Zubkiewicz wypadł z tej katedry i wisi w powietrzu. Dziekan skierował Zubkiewicza do mnie. Ułożyłem się z nim prędko, że podejmie się wykładu prawa międzynarodowego prywatnego. Oczywiście prowizorycznie, do czasu ewentualnego znalezienia się Tadeusza Pietkiewicza i bez przydziału formalnego do katedry prawa międzynarodowego, której gospodarzem legalnym jest Pietkiewicz. Jako opiekun czasowy katedry Pietkiewicza nie chcę robić żadnych faktów dokonanych w zakresie prawa w łonie tej katedry, które by mogły wiązać Pietkiewicza, chociaż osobiście nie bardzo wierzę, żeby Sowiety Pietkiewicza wypuściły. O ile się Pietkiewicz znajdzie – Zubkiewicz ustąpi z wykładów i nie będzie miał żadnego stanowiska na katedrze prawa międzynarodowego, które przejdzie całkowicie bez zastrzeżeń do dyspozycji Pietkiewicza. Zubkiewicz to rozumie i do niczego nie pretenduje, tymczasem zaś będzie wykladać. Przedmiot ten ma pewien związek z prawem administracyjnym, które jest specjalnością dotychczasową początkującego zresztą Zubkiewicza. Zubkiewicz ma programy kursu prawa międzynarodowego prywatnego, jest zdolny i pracowity, przygotowuje się i rozpocznie pracę wykładową. Zastrzegłem, że wezmę udział w colloquiach semestralnych jego i że egzaminować będzie studentów na razie w mojej obecności. O tym, jak poradziłem z drugim przedmiotem tej katedry – prawem międzynarodowym publicznym – napiszę innym razem. Zdaje się, że z opieki nad tą katedrą wywiązałem się dobrze.

Byłem dziś u prof. Bulavasa, który jest kierownikiem republikańskiej Komisji Planowej. Chodziło mi o porozumienie się co do prac na mojej katedrze prawa konstytucyjnego, w której Bulavas faktycznie też bierze udział, choć ma własną katedrę osobną (katedrę teorii państwa i prawa). Ale przy tej okazji poruszyłem z nim także prywatną sprawę samochodu dla sprowadzenia z Bohdaniszek Jadzi z dziećmi. Bulavas daje mi samochód z benzyną dla sprowadzenia Jadzi, bardzo grzecznie i uczynnie mi w tym pomagając. Jest to jego samochód służbowy. Ale jest to lekki samochód, mały, do którego zabrać rzeczy dużo nie można. W każdym razie, mam to już w rezerwie, ale gdyby mi się udało gdzieś dostać ciężarówkę, to bym wolał, bo rzeczy i produktów trzeba by przywieźć немало. Słyszałem dziś od Genia Falkowskiego, że Andrzej Mieczkowski wczoraj rano z całą plejadą gości i spekulantów wyjechał do Bohdaniszek ciężarówką – może więc przywiezie tą ciężarówką i Jadzię, a przynajmniej rzeczy.

13 listopada, rok 1944, poniedziałek

45 lat upłynęło od dnia, w którym podług przepowiedni Cyganki miałem umrzeć. Miało to być 13 listopada roku 1899. A oto żyję.

Dokończę o moich czynnościach opieki nad osieroconą faktycznie katedrą prawa międzynarodowego na naszym wydziale. Pozawczoraj zaangażowałem Wacława Zubkiewicza do

wykładów prawa międzynarodowego prywatnego. Pozostawała próżnia w stosunku do prawa międzynarodowego publicznego. Akurat tegoż dnia wieczorem zgłosił się do mnie Armalis, który przyjechał z Kowna, gdzie stale z rodziną mieszka, mając jeno dojeżdżać do Wilna. Na mojej katedrze, do której on należy, nie ma dla niego wykładów, przynajmniej w tym roku. Prawo konstytucyjne sowieckie będzie wykładać Bulavas, prawo konstytucyjne państw burżuazyjnych – ja. Innych wykładów na mojej katedrze nie będzie. Bulavas, który poprzednio sam gorąco pragnął podjąć się tego wykładu, obecnie gotów by się cofnąć, bo już myśli o wykładzie historii doktryn politycznych na własnej katedrze teorii państwa i prawa i chciałby wykład prawa konstytucyjnego sowieckiego przelać na Armalisa, ale Armalis nie kwapi się do tego. Armalis, który przekonaniowo należał, a należy do socjalnych demokratów, komunistą nigdy nie był, ale w latach 1940-1941 za poprzedniej okupacji sowieckiej poddawał się dosyć wyraźnie prądowi sowieckiemu i był u czynników sowieckich i komunistycznych *persona grata*. Obecnie zbierał bardzo i odwrócił się radykalnie od Sowietów. Toteż nie chce brać żadnych wykładów mających zabarwienie polityczne i w systemie nauki sowieckiej wymagających ślepego trzymania się ortodoksji czyli *sui generis* teologii sowiecko-komunistycznej. Armalis weźmie udział w seminarium prawa konstytucyjnego, ale do żadnych wykładów nie był zaangażowany. I oto przyszło mi na myśl zaproponować mu wakuujący wykład prawa międzynarodowego publicznego. Głowę ma dobrą, ma pociąg do prawa publicznego, przygotuje się i jestem pewny, że da wykład wartościowy. Zgodził się. Poszliśmy z nim wczoraj do dziekana Jabłońskiego, któremu zreferowałem rezultaty moich zabiegów nad zaopatrzeniem katedry prawa międzynarodowego. Zaakceptował on wszystko tak w stosunku do Zubkiewicza, jak w stosunku do Armalisa. Rozumie się samo przez się, że wszystko to w stosunku do obu prelegentów jest załatwione prowizorycznie do czasu ewentualnego znalezienia się gospodarza tej katedry – Tadeusza Pietkiewicza.

Zdaje się, że o ile Andrzej Mieczkowski rzeczywiście w sobotę rano wyjechał ciężarówką do Bohdaniszek, czego na pewno sprawdzić nie zdołałem, to dziś ciężarówka musiała z Bohdaniszek wrócić do Wilna. Gdyby Jadzia tą ciężarówką przyjechała, to już by była u mnie. Widocznie nie przyjechała. Zresztą z tego faktu, że ciężarówką tą pojechały z Andrzejem między innymi dwie panie – pani Komarowa i młoda pani Przeździecka, Komarówna z domu, obie wielkie damy – domyślałem się już, że dla Jadzi z dziećmi miejsca w ciężarówce tej przy szoferze nie będzie, a inaczej jak przy szoferze Jadzia z dziećmi jechać nie może. Mówiła mi też Józia, że z rozmowy z Andrzejem odniosła wrażenie, że nie ma on wielkiej ochoty wieźć Jadzię z dziećmi ze względu właśnie na dzieci i zwłaszcza na malutką Żermenę. Smutno mi. Już to od Mieczkowskich nie doświadczam zaiste uczuć rodzinnych i pomocy. Nawet od Andrzeja, na którego więcej liczyłem. A przecie ode mnie doświadczył on dużo. Wdzięczność jest, niestety, rzadką cechą u ludzi. Żeby przynajmniej rzeczy Andrzej nasze przywiózł. Ale nie jestem pewny i tego, że to zrobi, bo wiezie różnych spekulantów i panie, którzy sami naładują towaru jak najwięcej i dla naszych rzeczy miejsca się nie znajdzie albo znajdzie minimalnie, chociaż i ode mnie Andrzej miał brać za to zapłatę. Dla całego świata są Mieczkowscy uczynni, tylko nie dla nas z Jadzią. My u nich na szarym końcu. Tak jest, niestety. Więcej mi pomogą obcy, niż „swoi” z rodziny Mieczkowskich.

14 listopada, rok 1944, wtorek

Andrzej Mieczkowski nie zgłosił się wcale. Nic nie wiem, czy wrócił z Bohdaniszek i czy przywiózł jakieś rzeczy. Gdyby nawet nic nie przywiózł z rzeczy, to musiałby przynajmniej list od Jadzi mi przywieźć. Może jeszcze nie wrócił.

Dziś wieczorem egzaminowałem w domu trzech studentów ekonomistów. Wszyscy trzej są Wilnianie, którzy jeszcze za polskich czasów w Wilnie przed samą wojną ukończyli wileńskie gimnazjum litewskie imienia Witolda Wielkiego. Są to Šablanskas, Varaneckas i Čenys. Zdawali egzamin z kursu prawa konstytucyjnego i administracyjnego (administracyjnego właściwie tylko nominalnie), który wykładałem ekonomistom poprzednio. Rozwinięci chłopcy, dobrze przygotowani do egzaminu, zdali wszyscy trzej celująco. Większą część studiów na uniwersytecie odbyli za czasów

niemieckich. Formalnie władze sowieckie nie honorują żadnych aktów, dokonanych za okupacji niemieckiej, a wobec tego nie uznają ani semestrów, przesłuchanych na uniwersytecie pod okupacją, ani egzaminów w tym czasie zdanych, ani dyplomów wydanych. Jednak indywidualnie mogą być robione wyjątki i nasze władze uniwersyteckie każdemu studentowi, który o to prosi, ten wyjątek indywidualnie stosują. Dla wydania dyplomu żądają tylko dodatkowo przesłuchania albo zdania przynajmniej egzaminu z sowieckiego kursu tzw. „marksizmu-leninizmu”, stanowiącego kurs oficjalnej doktryny komunizmu, patentowanej i niewzruszonej jak dogmat kościelny. Kurs ten jest wykładany na całym uniwersytecie dla studentów wszystkich wydziałów jako wyraz mądrości najwyżej, obowiązującej każdego inteligenta bez względu na jego specjalność.

Z Józią Ciświcką widuję się teraz prawie co dzień. Albo ja zachodzę do niej, albo ona wpada do mnie. Wiąże nas zwłaszcza sprawa lokalu handlowego, o który się ona z moją pomocą stara dla interesu swego, w którym i Jadzia może by wzięła udział czynny. Pomimo polecenia kierownika wydziału mieszkaniowego miejskiego, urzędnicy tego wydziału dotąd sprawy nie załatwili i upatrzony lokal przy ulicy Zawalnej pod nr 14 nie jest jeszcze do dyspozycji Józi oddany. U Józi spotykam się z kapitanem sowieckim, jej lokatorem. Cichy i porządny człowiek, wielki idealista, komunista stuprocentowy, dla którego nie ma innej prawdy poza nauką komunistyczną i jej tezami. Pracuje on w litewskim republikańskim Komisariacie Ludowym Obrony jako delegowany z centrum związkowego, bo wszędzie do stanowisk organów republikańskich Związek Sowiecki wypycha jako zastępców swoich ludzi z centrum. Z tym kapitanem miewamy często dyskusje. Miły jest on przez to, że jest przekonany, szczerzy i uczciwy, nie karierowicz, nie blagier, nie taki, który zaskarży i doniesie. Z rozmów z nim widzę, że nie bardzo lubi Litwę i nie zna wcale jej i Litwinów. Uważa Litwinów za *quantité négligeable*, a nawet nie tylko „*quantité*”, ale i „*qualité*” „*négligeable*”, za lud bez inteligencji, bez cywilizacji, kultury i literatury własnej, która by mogła przedstawiać jakąś wartość i być ceniona. Inaczej traktuje Polskę i Polaków i w ogóle w głębi serca nie sprzyja temu, że Wilno zostało przydzielone do Litwy; wspomina też, że nawet pozostając w łonie Sowietów, a bodaj nawet w łonie republiki sowieckiej litewskiej Wilno z okręgiem mogłoby i powinno by być wydzielone w osobny obwód narodowy polski. Jako komunista – nie pozwala sobie na wręcz wrogie traktowanie narodu litewskiego jako takiego, operując szablonem, że narodowość jest tylko formą, nie zaś treścią i uważając każdą formę za obojętną, byle treść była szczerze socjalistyczna, ale bądź co bądź z przekąsem wspomina o tym, że w chwili napaści Niemców na Sowiety w roku 1941 Litwini nie spisali się jako naród sowiecki i rzucili się sami też na Sowiety, uchodzące przed Niemcami. Nie mówi, żeby się za to należał odwet czy zemsta na Litwinów, ale uważa, że treść socjalistyczna tej formy narodowej litewskiej jest bardzo podejrzana i że przyjdzie prawdopodobnie rychło czas, kiedy Sowiety będą musiały wyrwać z Litwy z korzeniami tkwiący w niej głęboko nacjonalizm, szkodliwy dla komunizmu. O wcieleniu Litwy do Sowietów mówi jako o rzeczy, która była dla Litwy rzekomo konieczna i zbawienna, bo uratowała ją przecie od agresji niemieckiej, która by była Litwę pochłonęła i nic z narodu litewskiego nie zostawiła. Litwa jest – powiada – mała i słaba i przeto państwem niepodległym być nie może, bo się nie może ostać wobec agresji niemieckiej, od której, jak pokazały wypadki, uratowało ją wcielenie do potężnego Związku Sowieckiego. Przychodzi mi na myśl taki obrazek: jest owieczka (Litwa) i po dwóch jej stronach dwa wilki – wilk z zachodu i wilk ze wschodu. Wilk ze wschodu, słusznie przewidując zamiary agresywne wilka z zachodu, pożera owieczkę, ratując ją przez to samo od pożarcia przez wilka z zachodu. Ponieważ owieczka dwukrotnie, to znaczy przez obu wilków, pożarta być nie może, więc pożerając ją wilk ze wschodu rzeczywiście uratował ją od wilka z zachodu. Ale ten zacny obrońca, pożerając ofiarę, żąda od niej jeszcze wdzięczności za uratowanie jej i dziwi się, że ta nie bardzo rozumie, za co ma być wdzięczna. Ratunek „ratunkiem”, ale pożarcie pożarciem. Niemiec – powiadają ci panowie – pochłonawszy Litwę, zniszczyłby naród litewski tak samo, jak zniszczył starożytnych Prusów i Słowian zachodnich, ale czy nie tak samo zniszczyli Rosjanie plemiona fińskie na ziemiach Rosji dzisiejszej. I mówi się o tym, co Niemiec dopiero „chciał” i co mógłby zrealizować dopiero po mało albo zgoła nieprawdopodobnym całkowitym zwycięstwie swoim,

podczas gdy Sowiety nie tylko dopiero chcą pochłonać Litwę, ale już to zrobili. Dlaczego nie powiedzieć szczerzej: jesteś mała i słaba, Litwo, i apetyty na ciebie mamy obaj wilki, więc ciebie pożrę, bo jeżeli pożre Niemiec, to już nie będę mógł pożreć ja.

15 listopada, rok 1944, środa

O Andrzeju ani słyhać. Czy jest w Wilnie, czy jeździł do Bohdaniszek – nic nie wiem. Nie pokazuje się do mnie.

Nudno samemu. Zimno i ciemno. Temperatura koło 0°, trochę mniej, trochę więcej. Pochmurno. W domu siedzę rano do godziny dziesiątej i po obiedzie co najmniej do szarej godziny, a nieraz i znacznie wcześniej. Nie bardzo mam dokąd chodzić na mieście. Wysypiam się za to kapitalnie, aż za dużo, bo od zmroku do świtu nie mam co robić po ciemku. Mam wprowadzić świeczkę, którą czasem o zmierzchu zapalam, ale to małe światełko, które może męczyć moje jedyne słabe oko (to znaczy prawe oko, operowane od katarakty, lewym bowiem, nie operowanym, nic nie widzę) i skądinąd nie lubię łązić na okna dla ich zasłaniania i odsłaniania, bez zasłaniania bowiem okien w nocy światła palić w pokoju nie wolno. Snu mi już za dużo; niechętnie witam wczesny zmierzch jesienny, a rano nie mogę się w łóżku doczekać dnia; wstaję, jak tylko świtać zaczyna, a na długo przedtem czekam niecierpliwie tego świtu. W pokoju co drugi dzień mam ciepło, bo napalone w piecu. Samotny też jestem bardzo w domu, bo większą część czasu na całe duże mieszkanie jestem zupełnie sam jeden. Rachmatul z rodziną się już wyniósł, a moi lokatorzy na wielki pokój – urzędnicy Komisariatu Finansów – rano przed dziewiątą wychodzą, a wracają do domu po kolacji też koło dziewiątej. Dosyć przykre jest uczucie zupełnej samotności w dużym mieszkaniu, zwłaszcza wieczorem po ciemku. Za chleb od dwóch kartek chlebowych stróż uniwersytecki Igaunis przynosi mi co dzień dzbanek wody i będzie przynosił drwa ze składziku i podpalał w piecu. Za resztę zaś chleba, który mi prawie cały pozostaje, mianowicie od mojej kartki chlebowej (500 gramów dziennie) i od dwóch pozostałych kartek chlebowych (ogółem tych po 300 gramów dziennie jest cztery – na żonę i na troje dzieci) kupuję od pani Domańskiej papierosy, które z nią wymieniam na ten chleb. Chleba na kartki prawie że nie jem, bo do obiadu w „Bristolu” dają chleb na miejscu, a w domu kolacja moja składa się z mleka, do którego chleba nie używam. Chleba więc trochę czasem przekąszę – zwykle na śniadanie z małym kawałkiem słoniny.

W tych dniach czekam depeszy od Jadzi. Ja sam wysłałem do niej koło 10 depesz – zaraz po przyjeździe moim, potem w sprawie przyjazdu Andrzeja ciężarówką do Bohdaniszek i w sprawie auta, przyrzeczonego dla sprowadzenia jej z dziećmi. Depesz tych było tak dużo szczególnie dlatego, że w jednej depeszy wolno umieścić tylko 20 słów, a z 5 słów wypada na adres i jedno słowo na podpis, więc na sam tekst pozostaje słów 14 i nie zawsze mogę w 14 słowach zamknąć to, co chcę zakomunikować. Od Jadzi zaś żadnej depeszy nie dostałem i nic nie wiem, co się w Bohdaniszkach dzieje od czasu mojego wyjazdu. Przypuszczam, że nic bardzo złego nie zaszło, bo zawsze zła wiadomość dochodzi najprędzej. W ostatniej depeszy, którą wysłałem do Jadzi wczoraj, piszę jej, że jeżeli ma jechać autem, o które się dla niej wystarałem, to muszę zawczasu wiedzieć dokładnie, kiedy będzie ona gotowa do podróży, więc proszę, aby mi o tym zatelegraowała. I teraz czekam na depeszę od niej. Nie mógłbym bowiem wysłać po nią do Bohdaniszek auta, nie mając pewności, że ona może już wyjechać. Mam znowu kłopot z drwami. Gospodarz, u którego drwa (sosnowe suche) obstałowałem, przywiózł mi tylko 1 metr i jakoś więcej się nie pokazuje. Chciałbym choć cokolwiek więcej zapasu na początek zrobić, póki jeszcze są pieniądze.

16 listopada, rok 1944, czwartek

Trochę w nocy i rano padał pierwszy malutki śnieg. Śladu nie zostawił. Od Jadzi depeszy jeszcze się nie doczekałem. Andrzej się nie zgłaszał.

Byłem w uniwersytecie w dziekanacie naszym. Dziekan zaprojektował już rozkład wykładów prowizoryczny. Mój wykład wypada na czwartki na godziny od 12 w południe do 14, to znaczy do drugiej po południu. Mnie te godziny dogadzają. Wykładać będę na II kursie (III semestr jesienny).

Dałem ogłoszenie do studentów o rozpoczęciu wykładów moich w nadchodzący czwartek 23 listopada. Myślę, że się zbiorą. Ogółem na II kurs przyjętych jest 16 studentów. Są to, jak mówi dziekan Jabłoński, przeważnie studenci, którzy I kurs przesłuchali w roku akademickim 1942-1943 aż do zamknięcia uniwersytetu przez Niemców w d. 17 marca 1943 i paru studentów Żydów, którzy przeszli I kurs za czasów sowieckich w roku 1940-1941, zapewne ci, którzy byli uciekli przed Niemcami do Moskwy, bo inaczej byliby się nie uchowali. Czasem jednak studenci zawodzą i choć w uczelniach sowieckich uczęszczanie studentów na wykłady jest obowiązkowe, to jednak nie przychodzą. Tak oto wczoraj pierwszy wykład prof. Kazimierza Szolkowskiego (proces cywilny) nie doszedł do skutku, bo ani jeden słuchacz się nie stawiał.

Dużo się mówi, choć w prasie sowieckiej o tym nie czytałem (zresztą rzadko mi gazeta do rąk trafia), o jeszcze jednej nowej broni, którą Niemcy puścili w ruch – przynajmniej na Londyn. Są to jakieś rakiety zapalające, które w locie swoim zagłębiają się w stratosferę na jakąś ogromną wysokość i następnie spadają. Powiadają, że w angielskiej Izbie Gmin była do Churchilla skierowana interpelacja czy zapytanie w tej kwestii, na które Churchill odpowiedział, że przeciwko tym rakietom sposobu obrony nie znaleziono i że lecą one szybciej od głosu. Czy rakiety te stosowane są przez Niemców na froncie wschodnim – tego nikt nie wie. Niemcy na terenie swojej ojczyzny odzyskali prężność obrony, którą, zdawało się, byli w ostatnich czasach stracili. Zdawało się już, że zbliża się ich koniec. Sowiety na skutek wspaniałych sukcesów swojej letniej ofensywy byli tak pewni siebie, że po wkroczeniu na terytorium Prus Wschodnich głosili już pochód na Berlin, a na rocznicę Rewolucji Październikowej szykowali się do efektownego zdobycia Królewca. Anglicy na zachodzie mniej, zdaje się, trąbili o rychłym pokonaniu wroga. Tymczasem Niemcy pokazali jeszcze mocne rogi. Na zachodzie odparli Anglików od Akwizgranu (Aachen), a w Prusach Wschodnich zadali bolesne cięgi Sowiетom. Bitwa pod Goldap w Prusach Wschodnich była niezmiernie krwawa, Sowiety poniosły ogromne straty w ludziach. Sami wojskowi sowieccy przyznają, że pod Goldap było bardzo ciężko, choć powiadają, że teraz już jest lepiej. W Wilnie zaczęły się już rozchodzić pogłoski, że Niemcy zajęli Szawle. Faktem jest, że Rachmatulowi, który wysłał do Szawel depeszę do szwagra, w kilka godzin po wysłaniu depeszy została zwrócona z wyjaśnieniem, że do Szawel depesze nie są nadawane. Ale wieść o zajęciu Szawel zdaje się nie być prawdziwa. Natomiast zdaje się, że faktem jest, iż Niemcy odebrali na Żmudzi Kretynę i Wieksznę. Czy jednak Sowiety zostały wyparte z Prus Wschodnich całkowicie i z Kraju Kłajpedzkiego – to trudno dociec. Twierdzą różnie, jak kto chce. Niemcy na flankach sowieckich mają dwa silne przyczółki mostowe, jeden – w Kłajpedzie, drugi – pod Libawą. Przyczółki te współdziałają z armią walczącą w Prusach Wschodnich na drogach do Królewca i jezior mazurskich. Podobno w Prusach Wschodnich jedna armia sowiecka została całkowicie zniszczona, druga zaś – rozbita i Sowiety rezerw tam nie mają. Niektórzy skłonni są przypuszczać, że Niemcy znów się rozpędzą i pójdą w głąb Sowieіtów. W związku z tym powstają już wśród ludu obawy, że przez Wilno znów się będzie przewalał front. Osobiście nie sędzę, żeby tak być miało. Sędzę raczej, że Niemcy ograniczą się do silnej obrony własnego terytorium, na rozpęd zaś głęboki brak już im sił i tchu. Mogli sobie na to pozwolić, kiedy mieli prawie całą Europę w ręku, ale teraz są bądź co bądź osłabieni i mają dużo braków. W każdym razie, ich przeciwnicy mają nad nimi dużą przewagę awiacji. Ale w związku z tym wszystkim przybywa mi teraz nowy element niepokoju w sprawie sprowadzenia do Wilna Jadzi z dziećmi. A co, gdyby znowu przez Wilno szła burza wojny? Na wsi byłoby bądź co bądź bezpieczniej. Ale rozłąka?!

17 listopada, rok 1944, piątek

Z nocy ziemia była leciutko przyprószona śniegiem. Mróz trzymał przez dzień cały.

Nie wytrzymałem już bez wieści od Andrzeja, czy istotnie jeździł do Bohdaniszek i co stamtąd przywiózł. Poszedłem do jego mieszkania na Zarzeczu. Jakież był moje zdziwienie, gdy mi Domicela oświadczyła, że dotąd nie wrócił. Od soboty, to znaczy prawie od tygodnia. Istotnie wyjechał do Bohdaniszek ciężarówką z całą ekspedycją gości (spekulantów) w sobotę rano i dotąd żadnych

wieści nie ma. Zdziwiło mię to, ale i zaniepokoiło. Andrzej ciężarówkę dostaje, właściwie najmuje (za  $\pm$  800-1000 czerwonońców) przez znajomości z szoferami i Antonim Rosenem, który sam jest i szoferem, i grubym spekulantem. Jest to zwykle, a bodajże zawsze ciężarówka jakiejś instytucji czy urzędu, wynajmowana właściwie nielegalnie, bo ani maszyna, ani benzyna rządowa nie może służyć do celów spekulacji prywatnej. Ale że pensje są znikomo małe, więc ludzie na urzędach i w instytucjach, a tak samo w wojsku dorabiają dochodami ubocznymi. Tak się to rozwiłmożniło, że dokoła kwitnie spekulacja i właściwie rabunek dobra publicznego. Właściwie zupełnie otwarcie, ale zawsze nielegalne. Otóż taką ciężarówkę dostaje się zwykle na czas bardzo krótki, najczęściej tak, żeby w czas jej użycia spekulacyjnego weszła niedziela. Jeżeli Andrzej ze swoją partią spekulantów wyjechał w sobotę, to w niedzielę wieczorem albo najdalej w poniedziałek powinien był wrócić. Tak sędzę. Wątpię, żeby mogło być inaczej. Andrzej na tej kombinacji ciężarówkowej także zarabia, bo choć maszyna drogo go kosztuje, ale od pasażerów, których wiezie, bierze zapłatę, która mu pokrywa koszt z nadwyżką i poza tym za darmo przywozi i dla siebie do Wilna produktów ze wsi na utrzymanie i na sprzedaż spekulacyjną w Wilnie. Ale podobno zdarzają się różne przygody i niespodzianki w drodze. Ryzyko jest. Nie mówiąc o tym, że maszyna często bywa stara i że może się zepsuć lub jakieś części uszkodzić, zdarza się też i tak, zwłaszcza gdy się jedzie z szoferami wojskowymi, że nagle w drodze szoferzy wyrzucają spekulantów i odjeżdżają z ich towarami albo każą sobie opłacić extra okup albo zawiozą do jakiejś komendantury, gdzie towary spekulantów się konfiskują i naturalnie po cichu dzielą się z szoferami. Różnie bywa. Zdarzają się i napady rabunkowe na drodze. Jeżeli Andrzej nie wrócił, to chyba coś musiało zajść. Albo maszyna się zepsuła i siedzi w Bohdaniszkach, albo ugrzęzł gdzieś w drodze. Najgorszego, to znaczy rabunku, nie chcę przypuszczać, bo zresztą towarzyszy mu sprytny i szczwany Antoś Rosen, który jest ostrożny i nie da się nabrać. Ale ostatecznie wszystko może być. Sam Andrzej jakoś się wykaraska, ale niepokoi mię to ze względu ewentualnie na Jadzię z dziećmi lub na rzeczy nasze. A nuż Jadzia z dziećmi wybrała się z Andrzejem do Wilna i ugrzęzła w drodze. To mi się wydaje mało prawdopodobne, ale...! Prawdopodobniejsze byłoby wysłanie przez Andrzeja tą ciężarówką część rzeczy naszych, jak o tym telegrafowałem do Jadzi. A nuż by te rzeczy zginęły? Dla nas, którzy nie spekulujemy, byłaby to strata niepowetowana. I nic wiedzieć nie można. Trzeba czekać na rozwiązanie zagadki.

18 listopada, rok 1944, sobota

I dziś Andrzej nie przyjechał. Przed obiadem wysłałem do Jadzi depeszę, w której wyrażam moje obawy z powodu niewracania Andrzeja, czy razem Jadzia się z nim ciężarówką nie wybrała i nie ugrzęzła w drodze i kończę depeszę w te słowa: „Susimildama telegrafuok”. Chyba depesze moje, adresowane do Jadzi na Abele, dochodzą, bo gdyby do Abel nie były nadawane, to musiałyby mi być z poczty w Wilnie zwrócone. I chyba już na tę dzisiejszą depeszę Jadzia odpowie, o ile tylko istotnie nie wyjechała ciężarówką Andrzeja i nie ugrzęzła wraz z ciężarówką i całym towarzystwem Andrzeja w drodze. Że Jadzia na poprzednie moje depesze prócz ostatniej nie odpowiadała, to chyba dlatego, że w nich tylko zawsze jej coś komunikowałem i o nic nie zapytywałem, a dopiero w ostatniej, wysłanej 14 listopada, zapytywałem, kiedy będzie gotowa do podróży i prosiłem wyrażnie, żeby mi o tym zatelegrafowała. Że dotąd na tamtą depeszę nie odpowiedziała, to mogło być albo dlatego, że nie co dzień są z Bohdaniszek okazje do Abel na pocztę i przeto depesza mogła przeleżeć i wysłanie odpowiedzi też może być zależne od okazji do Abel, albo też dlatego, że skoro w Bohdaniszkach jest Andrzej, który się zapewne lada dzień gotuje do powrotu do Wilna, to już Jadzia, jeżeli nie ma z nim jechać, to przynajmniej pisze przez niego do mnie i wskutek tego nie telegrafuje, nie sądząc, że się zbytnio niepokoję. Ale teraz chyba zatelegrafuje, jeżeli jest i jeżeli Andrzej zaraz jeszcze nie wyjeżdża. Ale w każdym razie coś się musiało z ciężarówką Andrzeja stać. Cała kwestia tylko ta, czy ciężarówka Andrzeja dojechała do Bohdaniszek i dopiero tam na miejscu coś się z nią stało (zepsuła się czy coś podobnego), czy też ugrzęzła w drodze bądź do Bohdaniszek, bądź z Bohdaniszek z powrotem. Wieczorem, już po ciemku, przyszedł do mnie Genio Falkowski, w tej

samej sprawie powrotu Andrzeja. Genio powiada, że Andrzej powinien był wrócić we wtorek, to znaczy przed czterema dniami. Dotąd ani jego, ani nikogo z tych, co z nim pojechali, nie ma i ciężarówka też nie wróciła. Coś więc zaszło, ale co – tego nikt nie wie. Rodziny tych, co z Andrzejem wyjechali, już się niepokoją. Do Genia przybiegała żona szofera, który pojechał, zaniepokojona jest też rodzina dr Chrzanowskiego, który też był w liczbie jadących. Nikt nic nie wie. Genio, który ma jakąś posadkę stróża nocnego w jakiejś instytucji należącej do NKWD, dowiadywał się trochę i poinformowano go, że na tej trasie, którą powinna była jechać ta ciężarówka, nie notowano w ostatnich dniach żadnego nieszczęśliwego wypadku ani rabunku. Ułożyłem dla Genia depeszę z opłaconą odpowiedzią na Abele do Elwiry Mieczkowskiej z zapytaniem, dlaczego Andrzej nie wrócił. Genio jutro tę depeszę wyśle. Jest w tym jakaś zagadka. Nie może być zwyczajne zaniechanie się, bo i ciężarówka, i ludzie musieli na termin wrócić i nie mogli ot tak sobie przesiedzieć dowolnie kilka dni. Nie dali też żadnej wieści. Zaniepokoiło mię też ze słów Genia Falkowskiego to, że panie Komarowa i Przeździecka, które miały z Andrzejem jechać, nie pojechały. Powiększa to prawdopodobieństwo jazdy Jadzi z dziećmi tą ciężarówką, bo gdyby te panie jechały, to dla Jadzi nie byłoby miejsca przy szoferze, inaczej zaś ona jechać z dziećmi nie mogła. Słowem – i mój niepokój rośnie. Przecież zdaje się, że gdyby ciężarówka z Bohdaniszek wyjechała i w niej także Jadzia, a coś się stało w drodze powrotnej, to z każdej stacji pocztowej Jadzia albo Andrzej mogliby zatelegrafować do mnie. Nie ma rady – trzeba czekać i operować można na razie tylko depeszami do Bohdaniszek. Głową muru się nie przebiję i coś się musi niebawem wyjaśnić.

Słówko z innej materii. Mówił mi dziś Stanisław Iwanowski (Polak nacjonalista, brat rodzony Litwina prof. Tadeusza Iwanowskiego i Białorusina śp. Wacława Iwanowskiego, zamordowanego w roku 1943 skrytobójczo w Mińsku, gdzie był burmistrzem z ramienia władz okupacyjnych niemieckich), że pod Białymstokiem cała dywizja (sic!) armii polskiej Berlinga przeszła na stronę niemiecką. Chyba poddała się do niewoli, bo trudno przypuszczać, żeby chciała walczyć po stronie niemieckiej. Podobno zależność tego wojska od Sowieców i stosunki są takie, że żołnierze polscy mieli już tego dosyć. Tymczasem tutaj z Wileńszczyzny i zwłaszcza z Białej Rusi Zachodniej bardzo dużo ochotników zgłasza się czasowo do wojska polskiego Berlinga, unikając poboru do wojska sowieckiego. Kto z rekrutów podaje się za Polaka – może wpisywać się do armii polskiej i rekrutów tych odsyła się stąd do Białegostoku. Niektórzy twierdzą, że w liczbie zgłaszających się do armii polskiej jest także dużo rodowitych Litwinów, nawet nie umiejących po polsku, lecz podających się za Polaków, żeby uchylić się od wojska sowieckiego.

19 listopada, rok 1944, niedziela

O powrocie Andrzeja nic nie słychać. Nie ma też żadnej depeszy z Bohdaniszek. Zresztą jeden z moich lokatorów z Komisariatu Finansów mówił mi dzisiaj, że depesza, wysłana z Wilna do Kowna, szła kilkanaście dni! Przy takich porządkach depesza do Abel i z powrotem może iść może miesiąc? Czemu się tu dziwić, że niczego doczekać się nie możemy. Jesteśmy faktycznie odcięci od komunikacji prywatnej z ludźmi i rodzinami: pociągi nie kursują, poczta funkcjonuje tak, że list w jedną stronę idzie trzy tygodnie, na depeszę w jedną stronę trzeba pono kilkunastu dni... Może ten termin na depeszę nie jest stały dla wszystkich wypadków, może to był tylko wyjątek, ale ostatecznie wszystko jest możliwe i prawdopodobne w tym rozgardiaszu. Sowiety ładem nie grzeszą, a jest wielka wojna i Sowieciom na pograniczu Prus Wschodnich jest źle. Może te depesze idą via Moskwa, gdzie się cenzuruje. Przychodziła do mnie na zwiady niejaka pani Chałchowska, której córka wyjechała z Andrzejem ciężarówką i która się niepokoi o nią. Wieczorem znów przychodził o to samo Genio Falkowski. Oczywiście niczym ich uspokoić nie mogłem.

Jest mróz ostry i suchy na dworze. Bez śniegu, więc jeszcze dotkliwszy. Sam nie wiem, co robić i jak się decydować w sprawie przyjazdu ewentualnego Jadzi z dziećmi. Jeżeli będzie mróz – to jak wieść, a następnie czy jest bezpiecznie sprowadzać rodzinę, a szczególnie małą Żermenę. Czy damy radę, czy można będzie utrzymać rodzinę, zapewnić wyżywienie i opał, a nuż, nie daj Boże, znów by się nasunął tutaj front z bombardowaniem, rabunkiem i głodem. Czy będzie możliwość

sprowadzenia produktów ze wsi, czy interes handlowy Józi, do którego ona angażuje Jadzię, pójdzie i zapewni jakiś dochód, czy Jadzia da radę z tym interesem i z dziećmi w domu, czy znajdzie się ktoś do pomocy w domu i przy dzieciach i na jakich warunkach i czy warunki te nie będą ponad nasze siły i możliwości? Bez Żermeny byłoby nieco łatwiej ze starszymi dziewczynkami, chociaż też przecie małymi – lat 6 i lat 5, ale gdzie Żermenę w Bohdaniszkach zostawić, bo Buba nie bardzo się zdecyduje nią opiekować, a zresztą Jadzia nie chce za nic ją od siebie oddzielić. Skądinąd ciężkie byłoby rozstanie się moje z rodziną na całą długą zimę, a może na dłużej, ciężkie równie dla mnie, jak dla Jadzi. Rozdzielać się w warunkach wojny, kiedy wszystko zdarzyć się może i bez regularnej komunikacji nawet pocztowej – to też okropne. W głowie mi się miesza i nic ustalić nie umiem. Dzień za dniem idzie, mrozy nastają, nic się nie decyduje, nic się naprzód nie posuwa. Ale nie wiadomo, co i jak posunąć.

Kupiłem dziś od gospodarza znowu metr drew. Drwa porąbane, suche; brzozowe, olchowe i sosnowe. Zapłaciłem 70 czerwońców. Byłem u Ewy Meyerowej, zastałem starą Helę Czarną Römerówną. Ludzie mówią, że Sowiety trzymają się jeszcze na pograniczu Prus Wschodnich w okolicy Eytkun. Skądinąd wszakże są luźne pogłoski, niepewne, o rzekomo rozpoczętej przez Sowiety ewakuacji Radziwiliszek. Bardzo zimno dziś u mnie w pokoju; dzień, w którym w piecu nie palę. Obchodzono dziś jakieś święto artylerii; znowu wieczorem były wystrzały z dział, reflektory i rakiety kolorowe.

20 listopada, rok 1944, poniedziałek

Rano – gołoledź, strasznie ślisko; coś bardzo drobnego sypie się czy kropi z nieba. Po obiedzie – mokro, deszcz, odwilż. Ślizgota na chodnikach, na jezdniach, na drogach publicznych. Komisarz ludowy finansów Drobnys, który jechał z Kowna do Wilna, miał w drodze wypadek z powodu ślizgoty: automobil się przewrócił, Drobnys poniósł lekkie uszkodzenie ciała, towarzyszący mu urzędnik złamał nogę, szofer leży bez przytomności.

O Andrzeju i jego ciężarówce żadnych wieści. W ogóle Bohdaniszki milczą. Depeszy od Jadzi nie mam. Może ona jeszcze moich depesz nie otrzymała?! Utrudnia mi to wielce wszelkie kombinacje. Żeby choć Andrzej się ze swoją ciężarówką znalazł albo odezwał! Byłem dziś w Komisariacie Oświaty u Michaliny Mieszkowskiej, wicekomisarki. Byłem w sprawie samochodu do Bohdaniszek. Prosiłem ją udzielenia mi ciężarówki, którą komisariat ten ma. Obiecała mi chętnie, ale jest pewna wątpliwość. Mianowicie ciężarówka ta została na razie „zmobilizowana” na jakieś potrzeby rządowe i przez prezesa Rady Komisarzy Ludowych wysłana na pięć dni do Śiluti w Kraju Kłajpedzkim. Po pięciu dniach miała wrócić, ale dotąd jej nie ma, choć już drugi tydzień dobiega. Ponieważ Śilutę jest blisko frontu, więc mogło się coś z ciężarówką stać. O ile wróci – Mieszkowska mi ją dać na 2-3 dni przyrzekła. Wysłała też Mieszkowska od swego imienia depeszę rządową do Abel na imię Jadzi, żeby telegrafowała do mnie, kiedy będzie gotowa do drogi. Jeżeli moje depesze, jako prywatne, leżą bez ruchu, czekając kolejki, to depesza rządowa dojdzie bez kolejki i jest przeto nadzieja, że Jadzia ją otrzyma i odpowie wreszcie. Jeżeli zresztą Bohdaniszki w ogóle pocztę odbierają. Bo może być i tak, że w ogóle nikt z Bohdaniszek na pocztę po korespondencję się nie zgłasza, gdyż teraz w ogóle komunikacja pocztowa jest prawie martwa. Ale chyba Jadzia może, a nawet powinna czekać jakichś wieści ode mnie, więc powinna, zdawałoby się, dowiadywać się na poczcie. Ale teraz wszystko jest do góry nogami. W każdym razie, jestem trochę lepszej myśli. Świta mi nadzieja, że jednak mi się może uda ciężarówkę dostać, a to jest jednak wielka rzecz, bo ciężarówką nie tylko Jadzia z dziećmi przy szoferze przyjechać może, ale i rzeczy i produktów można więcej przywieźć, a może nawet drew trochę przywieźć. Żeby tylko otrzymać wiadomość od Jadzi, czy i kiedy może się w tę podróż wybrać, żeby nie na próżno jechać. Zresztą przy obiedzie w „Bristolu” dowiedziałem się, że i Bulavas w Komisji Planowej ma w swojej dyspozycji ciężarówkę, to gdyby ciężarówka Komisariatu Oświaty zginęła, to Bulavasa o nią poproszę i mam nadzieję, że mi jej nie odmówi.

Od wicekomisarki Mieszkowskiej dowiedziałem się też jednej rzeczy, która mię ucieszyła i dodała otuchy co do możliwości utrzymania się w Wilnie z rodziną. Zapewniła mię ona kategorycznie, że profesorowie dostaną tzw. „limitę”. Jest to kartka na prawo zakupienia w specjalnych sklepach rządowych produktów, a bodaj nie tylko produktów spożywczych, ale i przedmiotów użytku (zdaje się – bielizny, ubrania czy materiałów) – po cenach urzędowych, to znaczy normowanych tanich, za 300 rubli miesięcznie. Jest to ulga doskonała, bo ceny rządowe są takie, że wtedy wszystkiego, co niezbędne, ma się względnie dosyć. Wiedziałem, że tę „limitę” otrzymują akademicy i to było też jedną z przyczyn, dla której bardzo pragnąłem nominacji na akademika. Bo teraz we wszystkim trzeba mieć wzgląd i na środki do przeżycia, zwłaszcza dla rodziny, gdyż pensji przy wolnych cenach nie wystarcza. Wspominał mi już raz Pakarklis, że się robią starania o to, żeby „limitę” udzielono także profesorom, ale sądziłem, że to jeszcze bardzo niepewne. Teraz Mieszkowska kategorycznie mię o tym zapewniała. To by nas z Jadzią postawiło mocniej na nogi.

Słyszałem dzisiaj z kół urzędniczych litewskich, że Kłajpeda została przez Sowiety zdobyta. Byłby to duży sukces, bo w Kłajpedzie Niemcy mieli silny przyczółek mostowy, broniony przez potężne baterie w Smiltini (Sandkrug) na Mierzei Kurońskiej.

21 listopada, rok 1944, wtorek

Nie ma ani Andrzeja, ani depeszy od Jadzi. Że nie ma depeszy – to wiem, bo jej nie otrzymałem i poza tym dowiadywałem się na głównej poczcie (obecnie przy ulicy Dominikańskiej, bo gmach poczty głównej na rogu ulicy Wielkiej i Świętojańskiej jest spalony), czy nie przyszła czasem ta depesza i nie pozostała nedoręczona z powodu niezastania mię w mieszkaniu. Odpowiedziano, że nie ma. A że Andrzej nie ma – to się domyślam, bo gdyby przyjechał, to chyba nie omieszkaby zgłosić się do mnie. Kombinując, co by jeszcze przedsięwziąć, żeby wreszcie jakoś skomunikować z Bohdaniszkami, wysłałem dziś depeszę z opłaconą odpowiedzią do doktora Kozłowskiego w Abelach, zapytując, co słyhać w Bohdaniszkach, ponieważ żadnej odpowiedzi stamtąd na wysyłane przeze mnie depesze nie otrzymuję. Może dr Kozłowski, który mieszka w samych Abelach i któremu poczta jest prosto doręczana na mieszkanie, prędzej depeszę otrzyma, a że jest on w bliskim kontakcie z Mieczkowskimi, więc może coś wiedzieć. Znowu więc będę czekał, a tymczasem czas biegnie.

Ale co pomoże wypełniać dziennik w kółko tym samym. Trzeba oderwać się od tej kołowaczyny i poruszyć coś innego. Więc przede wszystkim zanotuję, że słyszałem dziś od Vabalasa, że prof. Tadeusz Pietkiewicz został już uwolniony z więzienia i jest w domu w Kownie. Więcej szczegółów o nim nie wiem. Jeżeli tak jest, to rychło go zapewne zobaczymy.

Ciągle od różnych osób, przeważnie z kół profesury, słyszę, że mam być mianowany prezydentem Litewskiej Akademii Nauk. Osobiście nie jestem pewny, czy będę mianowany nawet szeregowym akademikiem (członkiem Akademii), czego sobie istotnie życzę i co mi się, moim zdaniem, ze względów na moje zasługi naukowe słusznie należy, a cóż dopiero prezydentem tej Akademii, czego sobie wcale nie życzę. Może dla nominacji na akademika znajdą się znowu jakieś sprzeciwy, jak w roku 1941, kiedy mię pominięto ze względu podobno na moje „pochodzenie społeczne”, na które Sowiety są bardzo wrażliwe, gdy się pochodzi, jak ja, z rodziny ziemiańskiej i pańskiej, co jest uważane za bardzo „trefne”. Wiem tyle, że etaty Akademii, które mają być zatwierdzane w Moskwie, jeszcze dotąd zatwierdzone nie są. Ale jeżeli po zatwierdzeniu etatów nie będzie na miejscu przeszkody z Kompartii do mianowania mię akademikiem, to nie sądzę, żeby miał od razu prezydentem Akademii być mianowany ten, który w roku 1941 był uznany za niegodnego tytułu i stanowiska akademika. Sadzę, że wieść o zamierzonym rzekomo mianowaniu mię na stanowisko prezydenta jest tylko pogłoską, która się rozeszła na skutek tego, że na naradzie u Preikšasa prorektor Matulis moją kandydaturę na prezydenta zgłosił, a ponieważ ogółem były zgłoszone trzy kandydatury – Purėnasa, Matulisa i moja, z których kandydatura Purėnasa, zdaje się, odpadła ze względu, że mieszka w Kownie, podczas gdy siedzibą Akademii jest Wilno, Matulis zaś

gorąco oponował przeciwko swojej kandydaturze, więc utrzymało się wrażenie, że pozostaje moja kandydatura. Ale od tego wrażenia do faktu nominacji, na którą faktycznie będzie miała wpływ Kompartia, jest bardzo daleko. Samo przez się stanowisko i tytuł zaszczytny prezydenta Akademii Nauk mogłyby być pociągające, zwłaszcza że to jedyny w Sowietach tytuł o brzmieniu „prezydenta”, a nie „prezesa” (jedyny w Litwie Sowieckiej prezydent, co prawda tylko Akademii, a nie Republiki), ale go sobie wcale nie życzę i proszę Boga, żeby mię ominął. Jest to bowiem stanowisko bardzo reprezentacyjne, które w warunkach politycznych obecnych wcale pożądane nie jest, a może być nawet bardzo niebezpieczne, bo wiążące mię i wwiązujące w pewny system polityczny, który nie jest przesądzony i któremu ja nie jestem z przekonania oddany. Zresztą nikt dotąd oficjalnie z żadnych kół urzędowych nie zwracał się do mnie z odpowiednią propozycją, uważam więc to za bajkę i oby to bajką pozostało. Nie chcę stanowiska eksponującego.

22 listopada, rok 1944, środa

Na koniec mam wiadomość od Jadzi. Pierwsza i jedyna od miesiąca. Ale zadawalająca. Przywiózł ją Andrzej. Z Andrzejem było tak. Pierwszą wiadomość, że Andrzej jest już w Wilnie, otrzymałem od Zygmunta Rutkowskiego, którego spotkałem na ulicy, gdym po obiedzie szedł do Genia Falkowskiego zasięgnąć w tej sprawie języka. Rutkowski mi powiedział, że ciężarówka Andrzeja w drodze powrotnej z Bohdaniszek do Wilna ugrzęzła w ubiegły czwartek gdzieś między Świadościami a Oniksztami. Zepsuła się maszyna i nie dała się ruszyć z miejsca. Speculantów i swego brata Michasia z rzeczami i towarami spekulacyjnymi Andrzej zostawił w jakimś folwarku pod Oniksztami, a sam po ratunek udał się do Wilna. Do Wilkomierza szedł pieszo ( $\pm$  60 kilometrów), w Wilkomierzu udało mu się przysiąść do jakiejś ciężarówki i w niedzielę dotarł do Wilna. Tu poczynił starania, żeby posłano drugą ciężarówkę przyciągnąć do Wilna tamtą zepsutą z ludźmi i rzeczami. Na razie byłem bardzo oburzony na Andrzeja, że od niedzieli nie dał mi nic znać o swoim powrocie, o Jadzi i Bohdaniszkach, ewentualnie nie doręczył listu, który przypuszczam, że ma. Poszedłem zaraz na Zarzecze do mieszkania Andrzeja. Od Domiceli dowiedziałem się, że Andrzej jest w Wilnie, nie wyjechał sam po ciężarówkę pod Oniksztę. Powiedziałem Domiceli, że się na Andrzeja gniewam, że nie przyszedł do mnie i że proszę, żeby przyszedł jak najprędzej. Jakoż o zmroku, gdym był zajęty paleniem w piecu, przyszedł Andrzej. Tłumaczył się, że przychodził do mnie kilka razy, ale nie zastał. Zresztą był bardzo zajęty poszukiwaniem ciężarówki „na odsiecz” tym, co ugrzęzł pod Oniksztami. Mniejsza o to. Doręczył mi list od Jadzi. Przede wszystkim notuję, że nasz ogier Czyżyk, który nam w nocy zginął w Ucianie, kiedy stary Ignacy Čepas mię odprowadzał na kolej, szczęśliwie się znalazł. Nazajutrz rano Čepas go znalazł zamkniętego u jakiegoś gospodarza pod stacją w Ucianie. Wielkie to szczęście. Św. Antoni, do którego się ciągle modliłem, wyratował mię z tej biedy. Jadzia miała wiele kłopotów i przykrości. Seniunas Januskiewicz był bardzo zły dla niej, czepiał się i dręczył ją rozkazami i szykanami, będąc ciągle pijany. Młócić Jadzia zaczęła motorem Šimkusa dopiero przed kilku dniami. Raišysowi nie pozwolono młócić u nas poza obrębem jego seniunii. Wiele biedy i ciągłych jazd do Abel miała Jadzia, zanim zdobyła sprowadzenie motoru Šimkusa. Bardzo wiele pomocy okazał jej prezes komitetu wykonawczego w Abelach Pipikas i naczelnik milicji tamże, dla których Jadzia ma wielką wdzięczność. Napłakała się u nich, ale serdecznie jej pomogli. Kartofle zmuszono ją wywieźć do normy rekwizycyjnej wszystkie, ile było wyznaczone. Toteż bardzo mało zostało kartofli, nie będzie nawet na nasienie i nie wystarczy dla świń. Do Bohdaniszek na zimę nie ma jeszcze kogo zostawić, ale spodziewa się znaleźć. Depesze otrzymała moje tylko te dwie, które jej wysłałem w pierwszych dniach listopada. Inne jeszcze nie doszły. Krowy nasze zabrano dla rozdania różnym sklypininkom, nam zostawiono tylko dwie i jedną cielicę, którą Jadzia z płaczem wyprosiła. Konie z uprzężą kazano pędzić do Rakiszek, ale nie zabrano, bo dwa stare zbrakowano, a Czyżyk za młody się okazał. Pozostają więc trzy. Jadzia bardzo się rwie do Wilna do mnie. Gotowa będzie do wyjazdu po 25 listopada. O samochodach, które mam obiecane dla jej sprowadzenia, jeszcze nic nie wie. Ani końmi, ani koleją jechać się oczywiście nie decyduje, chce jechać ciężarówką. Rzeczy i produktów chce

zabrać do 30 cetnarów. Błagała Andrzeja, żeby się wystarał dla niej o ciężarówkę, ofiarowując za to barana albo cieliczkę. Prosi na wszystko, abym i ja poczynił starania o zdobycie ciężarówki. Rwie się z całych sił do Wilna. Jest bardzo znękana i wzrusza mię swoją pokorą rzewną, z jaką prosi o pomoc w sprowadzeniu jej z dziećmi i rzeczami. Bardzo się zapaliła do propozycji Józji Ciświckiej wzięcia jej na wspólniczkę do interesu handlowego. Kochana biedna Jadziuńka. Dzielna jednak.

23 listopada, rok 1944, czwartek

W liście, który otrzymałem wczoraj, Jadzia pisała, że będzie gotowa do podróży d. 25-26 listopada i że prosi wystarać się o ciężarówkę i na jeden z tych dni przyjechać ją zabrać. Na razie miałem zamiar, po ewentualnym zapewnieniu sobie ciężarówki, wybrać się w końcu przyszłego tygodnia, to znaczy koło 1 grudnia. Ale pomyślałem sobie, że Jadzia będzie się niepokoiła, gdy na oznaczony przez nią termin ciężarówka nie przyjdzie, tym bardziej, że w międzyczasie może otrzymać moje zaległe depesze, w których jej donoszę, że jest dla niej zapewniony tylko lekki mały samochód, w którym miejsce na większe rzeczy nie ma, a bez większej ilości rzeczy i produktów trudno się obecnie do Wilna z rodziną wybrać, na sprowadzenie zaś ich inną drogą teraz nie ma szans. Gdybym przynajmniej po wystaraniu się ciężarówki mógł ją zaraz zawiadomić telegraficznie, że ciężarówkę już mam i kiedy przyjadę – to mógłbym się nie śpieszyć zbytnio, ale coś z tego, kiedy depesze idą po parę tygodni. Żeby więc oszczędzić Jadzi nowego niepokoju i troski, których ma przecie dosyć, postanowiłem działać prędko. Na ciężarówkę z Komisariatu Oświaty, która ugrzęzła w Śilutė, mało liczę, toteż postanowiłem zwrócić się do Bulavasa w Komisji Planowej i prosić go o udzielenie ciężarówki. Zaraz też po wykładzie udałem się do niego. Trochę się wstydziłem prosić go o to, bo stawałem się podobny do tego rybaka i jego żony z bajki o złotej rybce: prosiłem go poprzednio o lekki samochód, a gdy obiecał, to już mi tego za mało i proszę o ciężarówkę, która jest droższa, bo więcej benzyny pochłonie. Ale Bulavas bardzo uprzejmie wysłuchał mojej prośby i bardzo serdecznie ciężarówkę mi ofiarował. Mam ją jechać do Bohdaniszek po Jadzię, dzieci i rzeczy już pojutro, w sobotę 25 listopada. Odjazd o godzinie dziesiątej rano z mojego mieszkania. Powrót do Wilna w niedzielę 26 listopada. Jak na obstalunek – na termin wskazany przez Jadzię. Ciężarówka silna, przeszło trzytonowa. Ma jechać ze mną stróż uniwersytecki Igaunis do Świadość, studentki Adamonytė i Nagińska – do Rakiszek i może nasza Renia Bagdonaitė – do Bohdaniszek. Studentka Adamonytė, której poleciłem dowiedzieć się o ciężarówce z Komisariatu Oświaty, poinformowała mię, że ciężarówka ta dotąd z Śiluti nie wróciła i że w Komisariacie Oświaty jest z tego powodu wielkie strapienie, bo miała przywieźć 19 ton (?) kartofli. No, ale ja, chwała Bogu, się już urządziłem. Jak Jadzia sprowadzi z Bohdaniszek sporo produktów, to będziemy tu mogli przeżyć z rodziną. Wszystko mi Opatrzność dobrze układa.

Dziś miałem pierwszy wykład. Tylko jedną godzinę, bo drugą ustąpiłem Janulaitisowi. Studentów słuchaczy miałem dosyć, bo z 16, którzy stanowią II kurs prawa, stawilo się sześciu. Inni i tej liczby nie mają. Pakarklis, który też dziś rozpoczął wykłady, miał dwóch słuchaczy. Wykład udał mi się dobrze. Dałem na wstępie kilka uwag o przedmiocie moich wykładów („prawo konstytucyjne państw burżuazyjnych”) i o planie analizy przedmiotu, po czym rozpocząłem wykład treściwy od scharakteryzowania warunków i okoliczności dziejowych, w jakich w anarchii średniowiecza toczyły się usiłowania stworzenia państwa nowoczesnego. Przedmiot ten jest mi doskonale znany, od lat wielu wykładany, sprecyzowany i opracowany fizycznie przeze mnie, opracowany w moich dziełach drukowanych. Nie potrzebowałem się prawie wcale przygotować do wykładu. Studenci proszą, żeby im przenieść wykłady na godziny wieczorne, bo we dnie trudno im uczęszczać, gdyż każdy ma jakąś posadę. Na moją uwagę, że wieczorem nie ma światła na uniwersytecie, powiadają, że światło sami zapewnią. Powiedziałem im, żeby się zwrócili do dziekana, bo co do mnie, to chętnie się zgodzę na godziny wieczorne.

24 listopada, rok 1944, piątek

Tak się już byłem ucieszył i uspokoił, że już jutro rano dostanę ciężarówkę i wyjadę po Jadzię, i tak byłem tego pewny, że jak piorun z nieba uderzyło mnie o godzinie czwartej, gdy poszedłem do uniwersytetu na posiedzenie Rady Wydziału, wiadomość od Bulavasa, że aresztowany został szofer Komisji Planowej, który miał mnie wieźć i że u niego pozostały też klucze od garażu, w którym ciężarówka stoi i że wobec tego jazda jutrzejsza do skutku dojść nie może. Samego Bulavasa nie widziałem i więcej szczegółów, zwłaszcza do perspektyw wyjazdu choćby w dniach najbliższych, na razie nie mam. Otrzymałem tylko od urzędnika Komisji Planowej, mojego byłego ucznia Černiusa, któremu Bulavas zlecił tę sprawę, krótką kartkę, adresowaną do mnie tej treści: „*Tamstai mašinos rytdienai vargu begalėčiau duoti, nes nėra šoferio ir mašinos raktų. Reiškiau pasigailėjimą*”<sup>17</sup> (podpis)”. Kartkę doręczył mi dziekan Jabłoński, gdy przyszedłem na posiedzenie i ten mi dopowiedział szczegół o aresztowaniu szofera. Mam nadzieję, że przecież tę maszynę dostanę, ale może za kilka dni, w każdym razie z opóźnieniem. W kartce Černius zaznacza wyraźnie tylko to, że „jutro” maszyny zapewne nie dostanę, ale przecież pozwolenie na maszynę nie jest cofnięte. Przecie i przyrzeczenie Bulavasa trwa, i benzyna na tę jazdę była już przygotowana. Jutro od rana będę kołatał u tegoż Černiusa i ewentualnie Bulavasa i mam nadzieję, że coś się wykombinuje. Ale kwestia szofera może nie być łatwa i kto wie, czy na poczekaniu da się załatwić. Klucz, sądzę, jest mniejszą przeszkodą. Czy Komisja Planowa będzie miała innego szofera, czy ten zna maszynę, czy może trzeba będzie szukać specjalnie szofera. Wiem, że Antoś Rosen jest dobrym szoferem, może by on pojechał, gdyby mógł przy okazji pospekulować, znajdą się może inne możliwości co do szofera. Podobno dobrym szoferem jest syn prof. Končiusa, ale ten jutro wyjeżdża lekkim autem Komisji Planowej z prorektorem Matulisem i prof. Žvironasem na kilka dni. Może Černius coś wymyśli i urządzi. Mam nadzieję na niego, bo jest sprytny i dla mnie życzliwy. Bardzo mi ten zawód zabolął i poruszył. Już i tak paskudnie mi tu samemu, bez usługi, bez światła, bez ciepła domowego, z ciągłą troską o środki i Jadzi mi szkoda, że się mnie nie doczeka w terminie i będzie się nadal niepokoić, czy dostanę ciężarówkę, czy ona zdoła przyjechać. Smutno i ciężko. Nabrało się już dużo pasażerów, którzy mnie uprosili, żeby ich zabrać i podwieźć. Wszystkim im wyznaczyłem na jutro rano zbiórkę u mnie na wyjazd i wszyscy siadą na mieliźnie. O to zresztą mniejsza. Nie wiem, czy im tak pilno jak mnie. Poczekają sobie, może się uda z pewnym opóźnieniem. Na razie więc nic nie pozostaje, jak czekać w niepewności do jutra, a jutro będę wyjaśniać. Jak zawsze – gdzie krótko, tam rwie się. Tymczasem już zima się robi na dworze, jest śnieg, biało, ale mrozu jeszcze prawie nie ma dotąd.

Posiedzenie Rady Wydziału toczyło się w dziekanacie o zmroku. Głównym przedmiotem było omawianie kandydatur dla uzupełnienia luk w personelu nauczającym. Uchwalono kandydaturę Slavėnasa, byłego sędziego i potem adwokata w Rakiszkach, do wykładów w zakresie prawa cywilnego, odroczone do pewnych wyjaśnień kandydatury Balysa Szyrwińskiego i Piotra Bagdonasa, odrzucono „z braku miejsca” kandydatury dr Rolnikasa i dr Vabalasa, którzy pretendowali na tytuł docenta. Te dwie ostatnie kandydatury były na wydziale źle widziane, a obaj oni właśnie gwałtownie się forsowali i obaj o moją „protekcję” zabiegali ciągle, nachodząc mnie i zgłaszając swoje pretensje.

Jestem bardzo bez humoru. Czuję się tak, jak żebym ze szczytu spadł na samo dno.

25 listopada, rok 1944, sobota

Wczoraj, już po napisaniu przez mnie dziennika, o godzinie dziewiątej, to znaczy u mnie późnym wieczorem, przyszedł do mnie Andrzej w towarzystwie Antosia Rosena. Sam tegoż dnia myślałem o Antonim Rosenie jako kwalifikowanym szoferze, który na ciężarówce mógłby zastąpić aresztowanego szofera Komisji Planowej. Gdy sam przyszedłem jednak, to nie śpieszyłem się z robieniem mu propozycji, czekając, czego on chce ode mnie. Domyślałem się, że dowiedział się od Andrzeja o mojej jeździe i chce prosić, bym go zabrał jako podróżnego. Gdybym ja mu pierwszy zaproponował, to, czując, że mi jest potrzebny, może by zażądał zapłaty, bo jest spekulantem. Nie

<sup>17</sup> „Samochodu Panu na jutro nie będę mógł dać, bo nie ma szofera i kluczyka do samochodu. Bardzo żałuję”.

pomyliłem się: chce jechać przywieźć worek pszenicy z Gaczan. Zgodziłem się w zasadzie, ale powiedziałem, jaka zaszła przeszkoda – aresztowanie szofera, brak klucza od maszyny (od maszyny, nie od garażu). Rosen chętnie sam zaproponował szoferowanie. Dziś raniutko udałem się do Komisji Planowej kołatać o ciężarówkę *quand même*. Szofera proponuję swojego – Rosena; jest kwalifikowany, ma świadectwo, służy za szofera u głównego architekta miasta, znam go osobiście. Niebawem przyszedł i Rosen. Obejrzał maszynę, dobrał brakujący klucz, znalazł ją w porządku, maszyna dobra, Rosen zna jej typ. Černius, któremu Bulavas polecił zajmować się sprawą mojej jazdy, nic nie ma przeciwko temu, żeby za szofera jechał Rosen, wszystko więc byłoby w porządku, ale... jest inna jeszcze przeszkoda, najkapitałniejsza: nie ma benzyny. A bez benzyny się nie pojedzie, choćby i maszyna była w porządku, i był szofer najlepszy. Černius posyłał wczoraj czy pozawczoraj po benzynę do „Lietukisu”, ale „Lietukis” odmówił; wyczerpały się zapasy benzyny bieżące, a z rezerwy żelaznej wydać odmawia. Gdyby chodziło o samochód lekki, który wymaga niewielkiej ilości benzyny, to można by się postarać, ale dla ciężarówki do Rakiszek i z powrotem trzeba najmniej 150 litrów benzyny, a o taką ilość wystarać się niełatwo. Byłem strapiiony. Černius jeszcze raz posłał przy mnie urzędnika do „Lietukisu” po benzynę, ale ten niebawem zatelefonował, że „Lietukis” daje tylko 90 litrów. Z tym się zaledwie dojedzie w jedną stronę. Ale postanowiłem kołatać do ostatka, bo dla mnie to kwestia najistotniejsza: bez ciężarówki nie sprowadzę rodziny. I Bóg mię i tutaj nie opuścił. Dowiedziałem się, że prezesem Komisji Planowej jest właściwie nie Bulavas, który jest tylko zastępcą i który nie przyszedł, bo jest chory, ale Vaišnoras, także mój były uczeń, którego znałem na uniwersytecie. Był on na uniwersytecie jednym z przywódców młodzieży postępowej z organizacji studentów ludowców „Varpas”, bardzo radykalny, zaangażowany w politykę, biorący i poza uniwersytetem czynny udział w międzypartyjnej organizacji czynników walki opozycyjnej, do której należeli chrześcijańscy demokraci, ludowcy, socjalni demokraci i bodaj nawet komuniści. Był on na terenie uniwersyteckim też jednym z głównych działaczy, podżegających młodzież do wystąpień politycznych, strajków itd. W tym jego charakterze miałem z nim jako rektor pewne scysje, gdy chodziło o mitygowanie politycznych wystąpień młodzieży na terenie uniwersyteckim. Pamiętam zwłaszcza epizod, kiedy w godzinach mojego wykładu na sali zastałem zwołany samorzutnie nielegalny wiec akademicki, na którym przemawiał właśnie, gdym wszedł, Vaišnoras: nie dałem za wygraną, wszedłem na salę, zająłem miejsce na katedrze, oświadczyłem, że będę wykladał i zażądałem, żeby wiec, który jest nielegalny, bo zwołany bez wiedzy władz akademickich, rozszedł się. Nastąpiła konsternacja, były sprzeciwy, wykrzyki, ale nie ustąpiłem. Wreszcie Vaišnoras i inni przywódcy dali znak rozejścia się i wynieśli się z sali, jeno gdzieś na korytarzu odczytali i „przyjęli” naprędce przygotowane z góry „rezolucje” wiecu. Pomimo tych scysji naturalnych spodziewałem się, że Vaišnoras będzie dla mnie dobrze usposobiony, bo skądinąd moje stosunki ze studentami były zawsze dobre i wszyscy (zdaje się – bez wyjątku) zachowali i zachowują dla mnie wielką serdeczność i uznanie. Za czasów sowieckich Vaišnoras, który odtąd stał się komunistą i zajął stanowisko polityczne kategorycznie sowieckie, stał się wielkim człowiekiem. W latach 1940-1941 był komisarzem ludowym finansów, dziś jest jednym z czterech zastępców prezesa Rady Komisarzy Ludowych, ma pod sobą kilka komisariatów ludowych i jest prezesem Komisji Planowej. Za okupacji niemieckiej był wraz z innymi na emigracji w Moskwie. Od Černiusa dowiedziałem się, że Rada Komisarzy Ludowych ma w swej dyspozycji benzynę i że Vaišnoras mógłby mię poratować. Zaczekałem więc na niego, aż przyjdzie. Gdy przyszedł i dowiedział się, że na niego czekam, sam mię prosił, bym do niego wstąpił. Przyjął mię bardzo mile, wysłuchał i przyrzekł mi ciężarówkę Komisji Planowej i benzynę udzielić, tylko prosił, żebym kilka dni, przynajmniej do środy, czekał, bo na razie wszystkie ciężarówki muszą być śpiesznie zmobilizowane dla przywiezienia torfu dla szpitali wojskowych. Powiedziałem, że zaczekam raczej do piątku, bo nie chcę opuścić wykładu we czwartek. Przyrzekł i mam nadzieję, że dotrzyma słowa. Podjął się też wysłania zaraz do Jadzi depeszy urzędowej, że ciężarówka jest zapewniona i że przyjadę po nią w końcu następnego tygodnia. Potem wdał się jeszcze w długą rozmowę ze mną, którą postaram się zreferować w dzienniku jutro.

26 listopada, rok 1944, niedziela

Dziś na nasze mieszkanie wypadł znowu dyżur nocny w domu. Dyżury te są stałe, co noc dyżuruje po kolei inne mieszkanie. W dyżurze muszą brać udział wszyscy dorośli obojga płci, którzy są w mieszkaniu. Dyżur trwa od godziny dziesiątej wieczór do godziny piątej rano, to znaczy przez czas, kiedy ruch uliczny jest zabroniony. Posterunków policji (milicji) na ulicach nie ma. W naszym domu na mieszkanie dyżur przypada co dwa tygodnie z ogonkiem. Zimą w wielkie mrozy będzie to obowiązek uciążliwy. W naszym domu dyżur odbywa się tak, że zamyka się bramę na podwórko od środka i dyżurny siada u dołu na schodach wejścia „paradnego” i tam czuwa, ewentualnie może się przechadzać po chodniku wzdłuż domu. W razie czegoś ma alarmować i budzić mieszkańców. U mnie w mieszkaniu na razie jestem ja i dwóch lokatorów urzędników Komisariatu Finansów (jest ich ogółem czterech, ale na razie nocuje dwóch, bo inni wyjechali). Na każdego więc z nas wypada po dwie przeszło godziny dyżuru. Moi lokatorowie trochę się buntowali, gdy im o dyżurze uprzedziłem, że to mają teraz extra pracę w komisariacie, nawet wieczorami i nawet w niedzielę muszą iść do roboty, ale nic na to poradzić nie mogę. Trudno, żebym brał za nich dyżur cały na siebie, a uchylić się od dyżuru nie wolno, jest kara kilku tysięcy rubli, w nocy dyżury się sprawdzają. Na siebie wziąłem godziny z wieczora – od dziesiątej do pół do pierwszej, ale mi się dobrze udało, bo z wieczora była u mnie Renia Bagdonaitė, która gdy się dowiedziała, że mam dyżurować, ofiarowała się odbyć dyżur za mnie i odbyła, zwalniając mnie przez to. Renia kiedy mieszka u nas, to kłóci się z Jadzią, jest krnąbrna i robi wszystko bardzo niechętnie, a wreszcie rozstaje się ze złością, ale za to gdy mieszka osobno, to staje się bardzo usłużna, pomocna i krewieńska. Bardziej, niż ktokolwiek z mojej rodziny.

Dzień był dziś brzydki, cały dzień padał deszcz. Na dworze ciemno. Przy obiedzie w „Bristolu” jest tak ciemno, że spostrzegam tylko sylwetki ludzkie i nie widzę, co mam na talerzu, tak że jeść muszę omackiem i z trudnością widelcem poluję po talerzu. Mój wzrok jest teraz taki, że w półcieniu nic prawie nie widzę, ślepnę jak kura.

Żyję teraz oczekiwaniem piątku, kiedy spodziewam się wyjechać po Jadzię z dziećmi. Cała moja uwaga i energia skupiona jest na tym fakcie. Mam nadzieję w Bogu, że tym razem mój wyjazd dojdzie już do skutku i że Vaišnoras mi zawodu nie uczyni. Sięgnąłem już do samych wyżyn – do protekcji i pomocy prezydium Rady Komisarzy Ludowych. Gdyby to zawiodło – to pozostawałby już chyba tylko Palecki. Ewentualnie gotów byłbym poruszyć i jego. Ale chyba nie będzie potrzeba. Vaišnoras, zastępca prezesa Rady Komisarzy Ludowych, jeden z czterech wicepremierów Litwy sowieckiej, jest chyba potęgą wystarczającą dla udzielenia mi ciężarówki i benzyny dla jazdy do Bohdaniszek po rodzinę.

Słówko o mojej rozmowie wczorajszy z Vaišnorasem. Właściwie była to nie tyle „rozmowa”, ile wykład samego Vaišnorasa. Ja przeważnie tylko słuchałem i od czasu do czasu tylko coś precyzowałem albo zadawałem pytanie. Vaišnorasowi chodziło widocznie o uzasadnienie stanowiska, które zajął w przewrocie Litwy, skierowującym ją na tory sowieckie. W każdym razie, mówił gorąco i z przekonaniem. Czynił na mnie wrażenie człowieka, który dużo przemyślał i przeczłuił i który nie dla kariery osobistej i nie lekkomyślnie poszedł tą drogą. W każdym razie, głębiej rzecz traktuje, niż np. komisarz ludowy oświaty Žiugžda w swoich argumentach banalnych, które słyszałem w jego przemówieniach. Jest u Vaišnorasa pewien tragizm głęboki i szczerzy w tym, co stwierdza i jak rozumuje. Zdaje mi się, że wyczuwam go u wielu z tych, co stanęli u szczytu i będąc w istocie patriotami, wiodą Litwę po tej drodze. Czują się oni dosyć samotni, czują pewną próżnię dokoła siebie, wiedzą, że droga jest niebezpieczna, ale zważyli i odważyli się, sądząc, że inne drogi, popularniejsze w narodzie, są ich zdaniem jeszcze bardziej zawodne. Nie są oni ślepyimi entuzjastami, może sami w sercu więcej mają niepokoju, niż się przyznają, nadrabiają miną i usiłują innych przekonać, aby z samotności swojej wyjść i pozyskać obcowanie w narodzie, a nie zaskarżać się i drogi swej nie zachwiać. Niektórzy z nich, jak Venclovas i Pakarklis, którzy się od polityki czynnej cofnęli, w ogóle nic na ten temat nie mówią i stanęli raczej na uboczu, zajmując się tylko

jakaś działalnością apolityczną, ci wszakże, którzy wytrwali, też zdają się być dalecy od wielkiego zapału i przez ten okres kilkoletni ostudzeni, ale rozumowo uparci, zdecydowani iść tą drogą, innej bowiem istotnie nie widzą dla kraju. Na dwie zwłaszcza rzeczy Vaišnoras kładzie nacisk. Pierwsza jest, powiedziałbym, geopolityzm – że Litwa geograficznie zajmuje miejsce, w którym wszystkie procesy społeczne są niezwykle intensywne, bo tu jest sfera największego ścierania się prądów od zachodu na wschód i odwrotnie, co jej nie daje użyć spokoju i być bierną, gdyż inaczej zginie, druga rzecz jest ta, że przeciwko zalewowi rosyjskiemu ludziom z Rosji, którzy się tu wciskają, musi ona przeciwstawić własnych ludzi kwalifikowanych, dzielnych i mających inicjatywę.

27 listopada, rok 1944, poniedziałek

Jeszcze słówko o rozmowie z Vaišnorasem. Precyzuję, co wczoraj pobieżnie w ostatnich liniach dziennika nakreśliłem. Tezy, które dają się wyczuć ze słów Vaišnorasa, aczkolwiek nie wszędzie stawiał on wyraźne kropki na i, są następujące. Sama Litwa jest mała i naród litewski wielkiej siły materialnej czy fizycznej nie przedstawia, natomiast jej wraz z innymi krajami ościennymi położenie geograficzne jest takie, że tu się ścierają wielkie prądy społeczne, idące z zachodu i ze wschodu. W tej strefie wielkiego przełamywania się i starcia wszelkie zagadnienia nabierają wielkiej jaskrawości i muszą być rozwiązywane intensywnie, bo nacisk i działanie czynników tych procesów jest także bardzo intensywny. Jest to sfera wielkiej energii, sfera wielkiego napięcia toków, w której drzemać nie wolno, bo się będzie startym i zniszczonym. Tu dziś zarysowało się klasyczne pole inicjatywy czynnej, które sprawia, że kraje te budzą wielkie zainteresowanie. Tu nie może być tak, jak na przykład w republikach sowieckich Azji Środkowej, które Vaišnoras też poznał i cytował, że procesy społeczne i cywilizacyjne płyną w nich sennie i powoli, utrzymując wielką bierność. Tu w strefie wichrów i prądów trzeba działać. Tu wcielenie Litwy do Sowietów, które same szukają dróg i które dokonały wielkich wysiłków i wciąż je dokonują wśród ciągłych załamania i olbrzymich przesunięć, pochłaniających energię i rozwijających aktywizm wielkich możliwości, pełnych kipiącego czynu procesów społecznych, które może nie jest samo w sobie doskonałością, jest jednak ucieczką od niebezpieczeństw, płynących z izolacji i zastoju albo z takich połączeń lokalnych drobnych, jak związek bałtycki, albo też płynących od Niemiec, a może i od Polski. Było więc w tej myśli pewnego rodzaju stwierdzenie, że wcielenie Litwy do Sowietów jest czymś, co można określić jako „mniejsze zło” w zestawieniu z innymi niebezpieczeństwami. Vaišnoras wyraźnie tego nie dopowiedział, ale to wynikało z jego słów. Litwa, jeżeli chce żyć i nie być starta na miazgę w swojej niebezpiecznej sytuacji geograficznej i społecznej, musi stanąć w szeregu wielkich usiłowań i ująć u siebie ich inicjatywę, nie dając się podporządkować. A jeżeli się wskazuje na to, że wcieleniu Litwy do Sowietów towarzyszy, jak to widzimy, zalew elementów rosyjskich, które się wciąż wszędzie wysuwają na miejsca naczelne, spychając samych Litwinów w Sowieckiej Republice Litewskiej na miejsca podrzędne i tylko formalnie szczytowe bez istotnej władzy i decyzji (we wszystkich niemal urządach aż do komisariatów ludowych, a przynajmniej ich większości, włącznie, gdzie formalnym naczelnikiem jest Litwin, ale faktycznym przeważnie jego zastępca Rosjanin, naślany z Rosji), to pochodzi to z tego, że pierwiastek wielkiej inicjatywy, którego ogniskiem jest Moskwa, jest wciąż niemal wyłącznie rosyjski, podczas gdy Litwini są dotąd w tym ruchu jeszcze dosyć bierni, nawet ci, co się od współpracy nie uchylają. Rada jest na to jedna: zasiląć i potęgować inicjatywę i czynność litewską, brać przez samych Litwinów w swoje ręce inicjatywę czynną rządzenia. Rada ta jest konieczna i musi się znaleźć. Litwa ma los swój we własnym ręku i powinna go mocno w ręce uchwycić, a wtedy nikt jej go nie wydrze.

Nie wiem, czy zupełnie dobrze oddałem myśl Vaišnorasa, ale tak go zrozumiałem. Zastrzegam, że nie wszystko dopowiedział, nie wszędzie kładł precyzyjnie kropki na i. Ale myśl jego uwydatniła się dla mnie wyraźnie. Rozmowa ta była dla mnie ciekawa. Jest to pewna *sui generis* koncepcja patriotyczna litewska w perspektywie torów sowieckich. Trudno mi na wszystko się zgodzić, wiele mi się tu wydaje być paradoksów, nie bardzo rozumiem, dlaczego Litwa ma stanąć koniecznie na

tory sowieckie w tym wielkim starciu się prądów społeczno-cywilizacyjnych, dlaczego ma się zespolic właśnie z wielkim wysiłkiem rosyjskim w ciężkim cielsku Eurazji, w gromadzie tych samych biernych mas Azji Środkowej, drzemających sennie na dalekich peryferiach olbrzymiego kontynentu, które wysiłkom rosyjskim dają wielką inercję potęgi mas ludzkich i nic ponadto, ale bądź co bądź dają przez tą potęgą ciężaru swego wielką siłę Moskwie, dlaczego Litwa ma zerwać z Zachodem, który jej jest bliższy cywilizacyjnie od Wschodu, dlaczego kultura chrześcijańsko-rzymska, której Litwa jest dzieckiem, ma być już dla niej jałowa, dlaczego Zachód anglo-amerykański i franko-włoski, a nawet poniekąd germański i polski byłby już dla Litwy martwy albo tylko niebezpieczny, dlaczego ma odrywać się od dróg zespołu ze swym odwiecznym światem rodzinnym Europy i Ignąć do obcego, który jest ciekawy i może być wielki, ale jest, zwłaszcza dla niej, sfinksem, z którym jej współżycie i kooperację nawiązać jest bardzo trudno? No ale taka jest koncepcja. Usiłuje stwierdzić fakt. Dalekie to jest od zachwyty nad Sowietami, od entuzjazmu prosowieckiego komunistów szeregowych, wyrozumowane subtelnie, przemyślane na emigracji moskiewskiej wśród wielu zapewne zawodów i zwątpień.

Dzień upłynął bez żadnych zmian w kwestii mojego wyjazdu po Jadzię. Liczę na Vaišnorasa jak za Zawiszę, że mię nie zawiedzie co do ciężarówki na piątek. Coraz więcej zgłasza się do mnie ludzi, którzy chcieliby skorzystać, by pojechać ze mną.

28 listopada, rok 1944, wtorek

Nowego nic w sprawie mojej jazdy po Jadzię, zaprojektowanej na piątek. Od soboty, kiedy to stanęło w rozmowie mojej z Vaišnorasem, nie dotykałem tego przedmiotu i nie zwracałem się ponownie do Komisji Planowej, choć myśl moja i serce są mocno uczipione do tej rzeczy i ciągle nią zajęte. Od jutra już zacznę dowiadywać się, aby nie zapomniano. „Пуганая ворона и куста боится”<sup>18</sup> – mówi przysłowie rosyjskie: tak jestem nastraszony trudnościami zdobycia ciężarówki i zapewnienia tej jazdy, że się nie uspokoję, aż wyjadę. Ale jestem dobrej myśli.

Straszą mię jeszcze jedną rzeczą, ale tej mniej się boję. Jazda gośćcami ciężarówką, zwłaszcza z rzeczami i produktami – a te przecie w dużej ilości powiozę wracając z Jadzią i dziećmi – ma być najeżona niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju. Przede wszystkim, jest niebezpieczeństwo od szoferów, ale to dotyczy przeważnie ciężarówek wynajętych przez konszachty z szoferami i z rozmaitymi instytucjami, zwłaszcza wojennymi, które i którzy zarabiają na udzielaniu ciężarówek spekulantom na handel towarami. Zdarza się często, że szoferzy w drodze wyrzucają spekulantów, zabierając i przywożąc dla siebie ich towar albo w drodze wymuszają od nich udzielenie części towarów ponad należność z umowy. Jest to fakt częsty. Spekulanci są właściwie na łasce szoferów, którzy w dużej mierze sami się stali elementem bandyckim; spekulanci nie mogą się poskarżyć, bo jeżdżą i spekulują nielegalnie, szmugłem, toteż nie korzystają z ochrony władzy i ryzykują. To mi nie grozi, bo maszynę będę miał rządową z dokumentami, szofer jest na służbie i jedzie służbowo, więc od samowoli jego nie zależę, jadę nie dla spekulacji i z ochrony władz korzystam. Drugie niebezpieczeństwo – od milicji, która ściga spekulantów i często w drodze po miasteczkach, a nawet w samym Wilnie przy wyładowywaniu rzeczy z ciężarówki sprawdza, co się wiezie i nieraz „konfiskuje” rzeczy albo ich część, przeważnie zresztą zabierając je dla siebie do podziału jako zdobycz. To chyba też nie bardzo mi grozi wobec tego, że jadę urzędowo, za dokumentami, jako rzekomo współpracownik Komisji Planowej i będę prosił o to, żeby mi dano jakiś glejt na wolne przewożenie rzeczy. Trzecie niebezpieczeństwo – od partyzantów litewskich i od bandytów. Są to raczej dwa różne niebezpieczeństwa, bo między partyzantami i bandytami jest przepaść. Partyzantów litewskich, jak słyhać, namnożyło się dużo. W szczególności, jak słyhać, są oni bardzo czynni w okolicach Wilkomierza, a podobno ostatnio i w naszym powiecie rakiskim i jezierskim (okolice Dusiat), także w dorzeczu rzeki Świętej. Napadają oni na przejeżdżających członków administracji sowieckiej, milicji i wojskowych, a grubsze ryby oraz ludzi zbrojnych ze

<sup>18</sup> Пуганая ворона и куста боится (ros.) – Nastraszona wrona i krzaka się boi.

służby sowieckiej mordują, a przynajmniej odbierają broń i konfiskują rzeczy oraz maszynę. Prywatnym podróżnym nic złego nie robią. Partyzantów litewskich nie lękam się, mnie oni chyba krzywdy nie robią, z ludnością krajową, która Sowiетom nie sprzyja, nie walczą i nie rabują jej, sami bowiem doświadczają zapewne jej pomocy i wsparcia. Gdyby nas zatrzymali – dokumentami z Komisji Planowej chwalić się nie będę, okażę im komanderówkę uniwersytecką, zresztą będę wiozł rodzinę, dzieci małe, sprzęty i żywność dla siebie. Nieco niebezpieczniej mogłoby być ze strony partyzantów polskich, którzy grasują w okolicach bliższych Wilna, gdzieś pod Mejszagołą i Szyrwintami i dla których Litwini są elementem obcym i uważanym przez nich za wrogi. Nocą jechać się bądź co bądź nie zaleca. Gorsze byłoby spotkanie z bandytami, przeważnie dezterterami i maruderami sowieckimi. Bandy takie są okrutne i bezwzględne. Rabusie nie mają względu na nic. Podobno trafiają się oni i zdarzają się wypadki zatrzymania przez nich i rabunku, ale dotąd bandy dezterterów nie są jeszcze w Litwie liczne, podczas gdy na Białej Rusi, nawet zachodniej, grasują już podobno na dobre. Spodziewam się, że nie natrafimy na tych dezterterów i rabusiów, ale z biegiem czasu mogą one stać się plagą Litwy i wsi litewskiej, której zamożność i dobrobyt może być dla nich atrakcją i to jest też jeden ze względów, dla których pragnę sprowadzić tu rodzinę, bo może przyjść czas, że w Bohdaniszkach będzie niebezpiecznie. Co do litewskich oddziałów partyzanckich, to mówiono mi z kilku stron, że są one teraz liczniejsze, coraz śmielsze i bardziej zaczepne, ale nigdy nie występują przeciwko ludności cywilnej jako takiej. W szczególności dużo słychać o wyczynach partyzantów litewskich w powiecie rakiskim i w Dusiatczyźnie. Mówiono, że pod Dusiatami w kilku miejscach zamordowali ludzi poszlakowanych o szpiegostwo i o skarżenie ludności władzom sowieckim i spalili ich zaścianki, tak że rodziny tych ludzi skompromitowanych musiały się przenieść do miasteczek. Napadają też i zabijają tych, co służą w milicji i w ogóle wysługują się Sowiетom. Zdarzają się też podobno napady oddziałów partyzanckich na ośrodki sowieckie. Podobno nawet Rakiszki były raz otoczone przez partyzantów litewskich, którzy nikogo z miasta nie wypuszczali, a uwolnili więźniów z więzienia sowieckiego i jeszcze zbroili coś niemilego Sowiетom. Mówią, że Sowiety rozpoczęły już w powiecie rakiskim represje odwetowe i przysłały specjalne oddziały karne. Tak słyszałem z kilku stron w tych dniach. Notuję to oczywiście tylko z pogłosek i opowiadań ustnych, ale znając usposobienie ludności – uważam to za bardzo prawdopodobne. Może tam zakotłować trochę. Z partyzantką niełatwa sprawa.

29 listopada, rok 1944, środa

Znowu wielka przeszkoda – nie ma benzyny. Poszedłem koło godz. jedenastej do Komisji Planowej dowiedzieć się o obiecanej na piątek ciężarówce. Termin nieco zmieniony. Wyznaczono terminy kursowania ciężarówki do 15 grudnia. Mnie wyznaczono ją na 2 grudnia sobotę i 3 grudnia niedzielę. Jeżeli w tym terminie nie wyjadę, to do 15 grudnia ciężarówka będzie zajęta. Wtedy straciłbym już wszelką nadzieję na sprowadzenie Jadzi z dziećmi, bo potem będzie zimno, droga może być zła, a o benzynę może być jeszcze trudniej. Muszę więc wyjechać koniecznie. Ale benzyny nie ma wcale. Černius mię pocieszał, że za wódkę przez szoferów można z łatwością dostać benzynę – do 30 litrów za litr wódki. Cena ta nie jest zresztą ścisła: w Wilnie benzyna jest droższa, a tylko w drodze na gościńcach można od przejezdnych żołnierzy dostać za wódkę więcej benzyny – do 30 a nawet czasem 40 litrów za litr wódki. Ale ja nie mam wódki ani pieniędzy na jej kupienie po cenach spekulacyjnych (40 czerwoniców za litr wódki rządowej). Poczciwy Bulavas ofiarował mi pożyczyć cały zapas wódki, jaki jest w Komisji Planowej, ale tego jest tylko 4 litry, potrzeba zaś na zaopatrzenie się benzyną do Rakiszek i z powrotem najmniej 10 litrów wódki. Poradzono mi zwrócić się do niejakiego Ališauskasa, który jest zastępcą komisarza ludowego przemysłu żywnościowego, który chętnie podobno dałby mi order na kupienie wódki po cenie rządowej (też nie tanio, bo po 11 czerwoniców litr, ale gdyby dał na 10 litrów, to 6 litrów miałbym na benzynę, co by mi z czterema pożyczonymi od Bulavasa wystarczyło, a 4 zostałyby i mógłbym je sprzedać po cenie spekulacyjnej, żeby pokryć koszt kupienia 10 litrów po cenie rządowej). Ale tego Ališauskasa nie zastałem – wyjechał. Przyszło mi na myśl zwrócić się do zastępcy prezesa Rady Komisarzy

Ludowych Grigarauskasa, który jest moim byłym uczniem i w którego resorcie jest Komisariat Ludowy Handlu, żeby mi dał order. Ale dostać się do niego bez pozwolenia nie można, a tam mi powiedziano, że dziś już za późno, jeno jutro rano koło godz. dziesiątej. Vaišnoras wyjechał do Moskwy. W uniwersytecie mi mówiono, że wódka jest w dyspozycji prorektora do spraw gospodarczych Horodničiusa, ale go nie zastałem ani w uniwersytecie, ani w mieszkaniu aż na górze ulicy Sierakowskiego (zdobyłem się tam aż na dorożkę, bo byłem tak zmęczony, że na górę leźć się nie odważyłem). Wspominał mi też kolega, że miałby trochę wódki do pożyczenia (niedużo zresztą, może parę litrów), ale gdy do niego poszedłem, to i jego nie zastałem. Pechowy dzień – same niepowodzenia. Wyjechać jednak muszę. Namachałem się przez cały dzień, nachodziłem, namęczyłem się i nerwowałem. Przyszło mi wreszcie na myśl udać się do Józki Ciświckiej, która ma wszelkie drogi do spekulantów, żeby mnie poratowała. W mig załatwiła tyle, że 6 litrów mam zapewnione, bądź wódki rządowej, bądź samogonu spirytusowego (ponad 45°). Za zapłatę wprawdzie, ale poświęciłbym na to pięćiorublowkę złotą z ostatnich zapasów moich. Skorzystam z pośrednictwa Józki, o ile jutro nie uda mi się dostać orderu na wódkę rządową. Zamiany zaś wódki na benzynę podejmie się kierownik gospodarczy Komisji Planowej, który jest zainteresowany w tym interesie, bo chce tą ciężarówką wysłać żonę do Wilkomierza, i szofer. Da Pan Bóg, że do skutku jakoś doprowadzę. Dałby Bóg! Kończy się kartka dziennika i kończy się moja świeca, a świec w Wilnie teraz brakło.

30 listopada, rok 1944, czwartek

Dziś powodzenie lepsze. O ile wczoraj był dla mnie dzień pechowy, w którym wszystko szło jak z kamienia, o tyle dzisiaj było odwrotnie. A właściwie była jedna rzecz, która rozwiązała wszystko. Wczoraj wieczorem liczyłem już tylko na Józję, że przez nią wódkę dostanę, bez której nie mogę mieć benzyny i przeto nie mogę skorzystać z ciężarówki i wyjechać. A jeżeli ten wyjazd prześlępię i z okazji tej nie skorzystam, to chyba już na zimę rodziny sprowadzić nie zdołam. Ale droga przez Józję byłaby kosztowna, bo tam płaciłbym ceny spekulacyjne. Byłem już na to zdecydowany, mając na to poświęcić pięćiorublowkę, a nawet dziesięćorublowkę złotą, jaką jeszcze mam w Bohdaniszkach. Ale właściwie i tych 6 litrów, które obstałowałem przez Józję, byłoby mi za mało. W nocy źle spałem, budziły mnie i męczyły ciągle złe myśli, że rady nie dam, że nie zdążę załatwić benzyny do soboty, że poniosę wielkie ofiary i straty i może na nic. Wstałem raniutko po ciemku i o świcie poszedłem do Andrzeja Mieczkowskiego. Prosiłem go, żeby sprowadził do mnie Antosia Rosena, żeby przez swoje stosunki z szoferami pomógł załatwić transakcję wymiany wódki na benzynę, bo się obawiałem, że administrator gospodarczy Komisji Planowej Naruśis wraz z szoferem tejże komisji, chcąc na tej transakcji oczywiście zarobić, policzą mi benzynę za drogo i że za całą moją wódkę mało tej benzyny dostanę. Ale Andrzej niewiele mi mógł pomóc: Antosia Rosena trudno mu złapać, Antoś zresztą mało ma konszachców z szoferami i mało co wie w tym pokątnym handlu benzyną... Poszedłem do Komisji Planowej. Naruśis powiada, że za pierwsze 4 litry wódki, pożyczone mi przez Bulavasa, ma zapewnionych już 60 litrów benzyny, to znaczy po 15 litrów benzyny za litr wódki. Wobec tego te 6 litrów wódki, które mogę dostać przez Józję, można by mieć jeszcze 90 litrów benzyny, razem 150 litrów benzyny. Tego jeszcze trochę za mało. Trzeba 180-300 litrów na moją podróż. Trzeba więc więcej wódki, to znaczy wydatek trzeba jeszcze podnieść. Zdecydowałem się znów iść do Grigarauskasa, u którego wczoraj audiencji nie udało mi się wyrobić. Grigarauskasa, który jest zdolny, ma temperament i energię i który dziś jest wielką figurą w Litwie sowieckiej jako były komisarz ludowy handlu, a dziś zastępca prezesa Rady Komisarzy Ludowych, znam dobrze z jego czasów studenckich sprzed 8 lat. Należał on wtedy do lewicy ludowców i występował z ostrą i namiętną krytyką przeciwko przywódcom ludowców (Michał Ślażewicz, Zygmunt Toliušis...), zarzucając im zbytne umiarkowanie i oportunizm, graniczący z ugodą na rzecz rządzących narodowców („tautininków”). Oczywiście i mnie on zna jako swego profesora i rektora i pamięta. Szedłem więc do niego, ale nie byłem pewny, czy go zastanę, czy zdołam wyrobić audiencję i otrzymać do niego przepustkę, bez której do dygnitarzy

sowieckich nie ma dostępu, czy wreszcie zechce on i czy może dać mi order na kupienie wódki po cenie rządowej (a miałem prosić o całych 10 litrów wódki). Nagle na wylocie zaułka Świętojerskiego na ulicę Giedymina ktoś mię mija trotuarem, a mijając obejrzał się jeszcze, spojrzął na mnie, uklonił i poszedł dalej. Choć źle widzę, ale uderzyło mię coś, czy to nie Grigauraskas właśnie. Coś jakby znajomego i coś niby on. Postanowiłem zaczepić go wręcz. A nuż to Grigarauskas – to mi ułatwi zadanie. Przyśpieszyłem kroku, dopędziłem go i z tyłu pozdrowiłem, po czym, gdy się zatrzymał, spytałem go, kto on jest. Opatrzność mię z nim zetknęła, gdy mi był właśnie potrzebny. Albowiem był to właśnie Grigarauskas. Nie trzeba już było pozwolenia. Powiedziałem mu, że szedłem akurat do niego. Wszedłem z nim do gmachu Rady Komisarzy Ludowych, gdzie poprzez schody i korytarz zaprowadził mię do swego pięknego gabinetu. Wyłuszczyłem mu całą sprawę i wszystkie trudności, jakie mam w sprowadzeniu rodziny. Prosiłem wreszcie o 10 litrów wódki po cenie rządowej. Grigarauskas załatwił sprawę elegancko. Wysłuchał mię uważnie, nie przerywając, a gdy skończyłem, wyjął bloknot i wypisał mi order na 10 litrów wódki, a ponieważ zapaliłem papierosa, więc bez prośby mojej sam dopisał w orderze 1000 sztuk papierosów. Jestem więc załatwiony. Ogółem benzyny w Wilnie wezmę za 10 litrów wódki, a kilka litrów wezmę ze sobą na zapas, gdyby benzyny zabrakło, żeby móc jej dokupić od przejezdnych żołnierzy. A jeżeli mi nieco wódki zostanie, to po powrocie spieniężę ją po cenie spekulacyjnej, jak również papierosy i pokryję z tego koszt ceny rządowej papierosów i wódki, co wyniosło też немало, bo 166 czerwoniców. Realizuje odbiór wódki i zamianę jej na benzynę Narušis. Jestem już prawie zupełnie spokojny.

Miałem dziś na uniwersytecie drugi wykład. Słuchaczy jeszcze mniej, niż za pierwszym razem, ogółem... dwóch. Wykład jednak wykonałem.

1 grudnia, rok 1944, piątek

Znowu jest źle. Trudności na rzecz wyjazdu piętrzą się coraz to nowe i zupełnie niespodziewane. Zmęczony jestem fizycznie i przygnębiony moralnie. Ale nie ustane, dopóki jest isierka nadziei. Zgoła nie wierzę, żeby po tylu świadczeniach pomocy zaiste wielkiej Pan Bóg mię opuścił. Całym sercem ufam Jezusowi. Ale oto taki jest plon niefortunny dnia dzisiejszego. Przede wszystkim zaopatrzenie w benzynę. Ta rzecz, która mi sprawiła tyle trudności, jest prawie załatwiona. Co prawda, są małe „ale”, ale mniejsza byłoby o to. Okazało się, że z Komisji Planowej pożyczono mi nie cztery, lecz tylko trzy litry wódki, bo więcej nie było. Za pierwsze więc 60 litrów benzyny trzeba było wydać jeden litr wódki z tych, co otrzymałem z orderu Grigarauskasa. Jeszcze za trzy litry wódki Narušis miał dokupić dzisiaj 45 litrów benzyny. Byłoby więc benzyny gotowej 105 litrów na razie (nie 150, jak wczoraj się spodziewałem). Ale pozostaje mi jeszcze przeszło 5 litrów wódki, którą wziąłem ze sobą, aby za nią w drodze dokupić benzyny od przejeżdżających ciężarówek wojskowych. Oprócz tego, zbierze się do trzech, a może nawet czterech litrów wódki, które biorę od podróżnych za ich przewiezienie, którą chciałbym zachować na spieniężenie dla pokrycia kosztów, ale ewentualnie mógłbym to i na benzynę zużytkować, więc w tym względzie trudności z wyjazdem by już nie było. To, co mi się na razie we środę wydało katastrofalne, gdym się dowiedział, że benzyny nie ma i że będę musiał się o nią sam postarać, zostało już przezwyciężone. Sądziłem, że to jest trudność największa i że jeżeli to załatwię, to już wyjazd będzie pewny i dlatego tak się ucieszyłem, gdy mi wczoraj Grigarauskas przyszedł pocziwie z pomocą, dając mi order na wódkę. Okazało się jednak, że są inne jeszcze większe przeszkody, które się ujawniły dziś. A więc przede wszystkim szofer Komisji Planowej, najęty przed kilku dniami na miejsce poprzedniego, zaareztowanego, gdzieś zaginął. Nie przyszedł dziś do Komisji Planowej na pracę; Narušis pojechał do jego mieszkania dowiedzieć się o niego. Okazało się, że i w domu go nie ma; żona płacze, że nie przyszedł wczoraj na noc i że dziś go nie ma. Dowiedziałem się o tym dopiero o godzinie trzeciej po obiedzie. Trzeba pożyczyc skądkolwiek szofera. Bulavas radził prosić o pożyczanie go albo z uniwersytetu, albo z Komisariatu Oświaty. Zatelefonowałem do Komisariatu Oświaty do Mieszkowskiej. Jeszcze nie była wyszła. Odpowiedziała, że może to się da zrobić i żebym zaraz przyszedł. Pośpieszyłem niezwłocznie. Mieszkowskiej już nie zastałem, ale szofera dla mnie

wyznaczyła. Litwin z powiatu birżańskiego, chętnie pojechałby. Udałem się z nim niezwłocznie do Komisji Planowej do Narušisa. Aż tu nowa karkołomna przeszkoda. Prawdziwie, gdzie krótko – tam rwie się. Jest benzyna i wódka, jest szofer pożyczony. Wszystko, czego brakło, jest. Niestety – jest nie wszystko. W ciężarówce, którą mi z Komisji Planowej udzielają, zepsuła się przed paru dniami dynamomaszyna. Otóż to dynamo, wybrane z ciężarówki, szofer wczoraj zawiózł do naprawy i na dziś miała być zreperowana. Ale ponieważ szofer, który ją miał oddać do reperacji, znikł, więc nikt w Komisji Planowej nie wie, gdzie do jakiej pracowni ją oddano i oczywiście nie można sprawdzić, czy jest zreperowana ani też jej odebrać. Szofer, pożyczony z Komisariatu Oświaty, powiada, że ciężarówka tego komisariatu, która wróciła z Šilutė (uważano ją w komisariacie już za zaginioną, ale wróciła przecie), jest uszkodzona, ale dynamo w niej zdrowe. Powiada, że prawdopodobnie ciężarówka ta będzie musiała być, zapewne nawet jutro, skierowana do reperacji, a wtedy można byłoby wyjąć z niej dynamo i użyć do ciężarówki mojej z Komisji Planowej, bo obie ciężarówki są tej samej firmy. Gdyby to się dało zrobić, to można byłoby jeszcze jutro wyjechać, może koło godziny dziesiątej, choć oczywiście już nie o ósmej, jakeśmy chcieli. Szofer ma się o tym dowiedzieć i poszedł się dowiadywać, a mnie miał zawiadomić o rezultacie albo dziś jeszcze wieczorem, albo jutro rano. Gdyby nie było tak późno (godzina czwarta, zmrok, urzędy kończą pracę dzienną), to byłbym poszedł zaraz do komisarza ludowego oświaty Žiugždy prosić go i błagać o załatwienie tej kombinacji z dynamo, ale już Žiugždy bym nie zastał. Wszystko więc, wszystkie kombinacje zawisły w powietrzu do jutra. Wisi w powietrzu znakiem zapytania i sam mój wyjazd jutrzejszy. Oby tylko jutrzejszy! Niechbym już wreszcie mógł wyjechać choć pojutrze w niedzielę. Jutro od rana będę czynić starania. Pójdę przede wszystkim do Žiugždy. I w ogóle będę chodził i starał się na wszystkie strony. Jutro rano koło ósmej zbiorą się już u mnie i moi podróżni. Użyję i ich do chodzenia, bo już ledwie mi sił starczy. Ale przede wszystkim muszę sam robić starania, bo ze mną osobiście więcej się liczą.

2 grudnia, rok 1944, sobota

Było więc dzisiaj tak. Od wczesnego rana, jeszcze przed świtaniem, zaczęli się do mnie zbierać podróżni, którym przyrzekłem zabrać ich w podróż do ciężarówki. Każdemu z nich musiałem tłumaczyć, jakie zachodzą przeszkody do wyjazdu, który wskutek tego może dziś jeszcze nie nastąpi! W każdym razie, postanowiłem od samego ranka rozpocząć, a raczej kontynuować zabiegi o przezwyciężenie tych trudności (szofer, dynamo), podczas gdy podróżni będą czekali w moim mieszkaniu gotowi do drogi. Sam poszedłem do Komisariatu Oświaty prosić o pożyczenie dynama z uszkodzonej ciężarówki tegoż komisariatu. Wziąłem z podróżnych inżyniera Klemczyckiego z Rakiszek i jego technika Korsaka, zaś stróża Igaunisa, który też jest w liczbie podróżnych, wysłałem do Komisji Planowej, żeby tam czuwał nad sprawą i był nam łącznikiem. Skądinąd jeden z lokatorów mojego mieszkania, Jonušis, który ma jakieś wpływy na instytucję Autotransportu, mającą obsługiwać swymi autami inne urzędy i instytucje publiczne (czy spełnia to zadanie – nie wiem, sądzę, że raczej nie, ale za to wiem, że za grubą zapłatą w charakterze łapówek udziela swoich samochodów ciężarowych rozmaitym grupom szoferów i spekulantów), otóż Jonušis miał tam wystarać się o pożyczenie mi dynama do udzielonego mi samochodu Komisji Planowej. W Komisariacie Oświaty Mieszkowskiej jeszcze nie zastałem, udałem się więc do samego komisarza ludowego Žiugždy. Musiałem czas jakiś czekać, wreszcie mię przyjął. Ale zmiarkowałem od razu, że mało co u niego wskóram. Gdym mu zaczął wyłuszczać mój interes, na razie burknął, że skoro już Mieszkowska zaczęła się tym zajmować, to może raczej ona by tę sprawę i nadal porządkowała, potem zaś w toku mojego wywodu przeglądał jakieś papiery i coś notował. Nie zrażałem się i postanowiłem wyczerpać do końca moje starania, choćby skutek wydawał się wątpliwy. Bałem się, że jeżeli dziś nie wyjedziemy, to jutro mogą mi z Komisji Planowej nie dać ciężarówki, bo była ona dla mnie przeznaczona na dwa dni, na dziś i jutro, w poniedziałek zaś jest już wyznaczona dla kogoś innego, a przecie przez jeden dzień nie da się pojechać i wrócić. Gdy zaś kolejkę tę stracę, to już kto wie, czy będę mógł i kiedy z ciężarówki tej skorzystać, bo do 15 grudnia jest już ona dzień w dzień

zajęta. Skądinąd wszakże piękne to „udzielenie” mi ciężarówki: bez benzyny, bez szofera i bez dynama! Aliści w toku moich wywodów przed komisarzem Žiugždą wszedł do gabinetu jakiś urzędnik i oświadczył, że z Komisji Planowej przysłano wiadomość (przyniósł ją Igaunis), że znalazł się i szofer, który był wczoraj zaginął, i dynamo, i że będę mógł zaraz wyjechać. Pożegnałem Žiugždę i wybiegłem. Poszedłem wprost do domu, gdzie zastałem już moich podróżnych, zaalarmowanych dobrą wieścią, i wraz z nimi, przygotowany do wyjazdu, czekałem na ciężarówkę, którą tymczasem w Komisji Planowej przygotowywano do drogi i włożono dynamo, ładowano akumulator, wypisywano dokumenty podróżne dla maszyny i dla mnie jako „współpracownika” komisji. Doczekaliśmy się w ten sposób aż do godziny pierwszej po południu, zanim ciężarówkę podano pod dom nasz. Towarzyszami mojej podróży są: inżynier Klemczycki z Rakiszek i jego technik Korsakas, nowo mianowany do Rakiszek młody chirurg Krasowski, Polak Wilnianin, z żoną i dzieckiem dwumiesięcznym, niejaki Puriuškis, jadący do domu do Popiel pod Abelami na dni kilka, dwóch stróżów uniwersyteckich, Igaunis i Masłowski, jadących do krewnych na wieś po produkty, dwie studentki, Adamonytė z Rakiszek i Jasinevičiutė z Mėlduc, następnie jakaś asystentka Wydziału Przyrody i jakaś Polka z Wilna, jadące obie do Rakiszek, skąd mają jeszcze jechać dalej w stronę Poniemunia, i niejaka panna Naurytė. Wyjechaliśmy z Wilna o godzinie pierwszej. Ja usiadłem obok szofera, wszyscy inni podróżni – na platformie ciężarówki, gdzie też umieścili swoje rzeczy. Zapomniałem jeszcze wymienić w liczbie podróżnych Renię Bagdonaitę i Paulinkę Nowicką, które też wziąłem w tę podróż tak dla ich interesów, jak dla pomocy Jadzi w podróży z dziećmi. Od podróżnych biorę za jazdę przeważnie po litrze wódki, tylko od Puriuškisa 50 czerwońców i od dr Krasowskiego 30 czerwońców. Od obu stróżów uniwersyteckich, od Reni Bagdonaitę, od studentki Adamonytė nic nie biorę. Rzeczy w tamtą stronę mało bierzemy, ciężarówka jest naładowana przeważnie ludźmi. Przy wyjeździe z Wilna na Śnipiszkach szofer prosił mię, bym mu pozwolił nabrać jeszcze trochę pasażerów płatnych, żeby mu dać zarobić. Gdyśmy stanęli koło gromadki takich aspirantów do podróży, napchało się ich dziesięciu na platformę, że się tam zrobiło ciasno. Szofer brał od każdego z nich po 20 czerwońców. Ciężarówka, zdaje się, doskonała, szofer – dobry, uważny. Pędziliśmy na Majszagołę, Szyrwinty, dotarliśmy szybko do Wiłkomierza. Przygody nie mieliśmy żadnej. W Wilnie mówiono, że na ciężarówki napadają partyzanci lub czasem bandyci (dezerterzy), że w tych dniach ostrzelano z lasu jakiś samochód, ale nas nikt nie zaczepił. Po drodze w kilku miejscach (w samym Wilnie, pod Szyrwintami, w Wiłkomierzu) są na rzekach wysadzone mosty, które trzeba objeżdżać, spuszczać się z nasypu drogi i przeprawiając przez niski most prowizoryczny. Te objazdy są trudne, zwłaszcza w Wiłkomierzu, gdzie objazd jest wprost karkołomny. Za Wiłkomierzem pędziliśmy już po wielkiej szosie na Ucianę. W Lelunach stanęliśmy na krótko, żeby ze złożonych tam u jednej kobiety rzeczy Andrzeja zabrać na razie paczkę moją z bielizną, wojsłokami i kilku książkami. Tam też przekąsiliśmy i pojechaliśmy dalej. Minęliśmy Ucianę i zawróciliśmy na Wiżuny-Świadoście. Od Lelun już zaczął zapadać zmrok. Przed Wiżunami już ściemniało na dobre. W nocy jechać nie chciałem. Niebezpiecznie i co do drogi, która do Uciany już jest gorsza, i co do ewentualnych rabunków i napadów. Ponieważ jeden z podróżnych moich – Puriuškis – ma brata, który jest w Wiżunach wikarym, więc postanowiliśmy zanocować w Wiżunach na plebanii. Plebania – to zawsze doskonałe miejsce noclegowe dla podróżnych, skołatanych drogą i zziębniętych. Tak też zrobiliśmy.

3 grudnia, rok 1944, niedziela

Dzień przyjazdu do Bohdaniszek. Na koniec! Rzeczy szły tak. Nocleg w plebanii wiżuńskiej mieliśmy doskonały. Proboszcz Gudonis, pochodzący z Jużynt, bardzo miły człowiek, na razie aż się przestraszył z wieczora, gdy się dowiedział, że liczba osób naszej ciężarówki, prosząca u niego gościny i noclegu, wynosi 16 osób! Ale nas przyjął, dobrze ugościł, zanocował wygodnie i sam był rad z nas. Ciężarówka wjechała do dziedzińca plebanii, gdzie ją było bezpieczniej zostawić na noc, a dla większego bezpieczeństwa, bo teraz umieją kraść nie tylko benzynę z maszyny (pod tym względem nawet szoferowi nie można zaufać), ale i same ciężarówki (w Wilnie w biały dzień kradną

na ulicy samochody – w ubiegłym tygodniu nieznani sprawcy ukradli z ulicy samochód Rady Komisarzy Ludowych i dwa samochody Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej). Ustanowiłem zaraz na całą noc dyżury podróźnych naszych w ciężarówce – po dwie godziny na każdą parę ludzi. Wikary Puriuškis zabrał brata swego do siebie, a proboszcz przyjął nas herbatą z doskonałą wędliną, serem, masłem i ragaiszem. Kolację tę jedliśmy na trzy zmiany. Mnie proboszcz ustąpił swoje łóżko, miękkie, z doskonałym nakryciem w dobrze ogrzonym pokoju, kilku osobom dał łóżka i kanapy, resztę zalokował w jednym pokoju, w którym napalono w piecu. Wszyscy byliśmy radzi z gościny i dziś rano, pożegnawszy gościnnych gospodarzy, odjechaliśmy dalej. W Wiżunach został tylko stróż uniwersytecki Masłowski, który ma w okolicy rodzinę. W Świadościach miałem rzeczy do oddania jednej pani i tu też wysiadł Igaunis i Naurytė. Ze Świadość jechaliśmy już bez zatrzymania aż prosto przez Komaje do Rakiszek. Jechaliśmy doskonale. Maszyna szła bez żadnych przygód. Zacząłem się niepokoić o benzynę. Do Bohdaniszek dojedziemy dobrze, ale na powrót nie ma benzyny. Zapewniano mię w Wilnie, że niech tylko wezmę ze sobą wódkę, to w drodze od przejeżdżających ciężarówkami żołnierzy z łatwością dostaniemy za wódkę benzyny, rzekomo nawet po 30, a czasem do 40 litrów za litr wódki, podczas gdy w Wilnie płaciłem po litrze wódki za 15 litrów benzyny. Tylko Andrzej Mieczkowski mię ostrzegał, żeby raczej zaopatrzyć się w benzynę na całą podróż w Wilnie, bo w drodze można nie spotkać żołnierzy albo można stracić dużo czasu na ich czekanie, a skądinąd żołnierze umieją wyzyskiwać sytuację, gdy widzą, że podróżni nie mają benzyny i nie znajdują jej do kupienia. W Wilnie za wódkę już nie miałem źródła benzyny. Proponowano mi ją za pieniądze, po 3 i po 4 czerwonce za litr benzyny, ale to mi się wydawało za drogo, a zresztą przed wyjazdem byłem tak zaabsorbowany kwestią szofera i dynamy, że o uzupełnienie benzyny na powrót, mając jej już dosyć na podróż w jedną stronę, nie myślałem, bo zresztą nie byłem pewny wyjazdu, a gdy w ostatniej chwili znalazł się szofer i dynamo, to już myślałem tylko o tym, żeby czym prędzej wyjechać, póki się nowe przeszkody nie znajdą. Zostawać jeszcze na jeden dzień dla uzupełnienia zasobów benzyny zdawało się zbyt niebezpieczne, tym bardziej, że ciężarówkę miałem użyczoną tylko na dwa dni, więc odwlekać wyjazdu nie mogłem. Zresztą człowiek już był tak wystraszony przeszkodami, które się w ostatnich dniach ze wszystkich stron piętrzyły, że gdy okazała się nagle możliwość wyjazdu, to nie mię już wstrzymać nie mogło. Tymczasem w drodze nie spotkaliśmy żadnych przejezdnych żołnierzy, którzy mogliby dostarczyć benzyny. Tylko wczoraj pod Wiżunami już po ciemku spotkaliśmy leżący w rowie samochód ciężarowy sowiecki, koło którego kręciło się kilkunastu żołnierzy obojga płci, całkowicie pijanych. Otoczyli nas i zaczęli błagać, abyśmy im pomogli wyciągnąć ich ciężarówkę z rowu i postawić na gościńcu. Nazywali nas już nie tylko „towariszcz”, ale „drug”. Pomogliśmy im podnieść samochód i za sznur wyciągnęliśmy go naszą ciężarówką na drogę. Prosiłiśmy ich, żeby nam za to dali benzyny, ale odpowiedzieli nam lakonicznie, że ją przepili i nie mają; dali nam tylko oliwy na smary. W Rakiszkach więc przy wysiadaniu podróźnych prosiłem ich, żeby szukali benzyny i dali mi znać do Bohdaniszek, jeżeli znajdą źródło. Sam pojechałem z Paulinką i Renią do Bohdaniszek. W Rakiszczkach stanąłem jeszcze i poszedłem do zaścianka Romanowskiego, którego syn służy w Rakiszkach przy jakichś składach rządowych, który w jesieni z łatwością dostawał i sprzedawał na stronę benzynę. Sam od niego byłem kupił benzyny na mlócenie. Okazało się jednak, że teraz i to źródło uschło. Pojechałem do Bohdaniszek. Jadzia ucieszona przybiegła ze spichrza, gdzie oddawała komuś zboże pożyczone. Działki zdrowe, czekają wyjazdu do Wilna. Jadzia w bardzo ciężkich warunkach rozdrapywania gospodarstwa i inwentarza na rzecz skłypininków dzielnie się rządziła, oddała do rządu całą ogromną normę kartofli i zboża, zniosła wszystkie szykany ze strony seniunasa itd., dała sobie radę, ocaliła co mogła, przygotowała się do drogi, nagromadziła zapasy produktów do Wilna i czekała na mnie, żebym ją zabrał. Dużo jej pomagał jej brat Janek i Novikas. Ale jest bardzo zmęczona i stroskana. Potrzeba jej wypoczynku i ciszy. Trudno będzie o to z Żermeną w Wilnie, zwłaszcza dopóki się znajdzie jakaś kobieta do usługi. Ale nie mogłem, niestety, oddać się choć chwilowej przyjemności cichego pobytu w rodzinie, bo trzeba było myśleć o benzynie. Jutro już nie wyjeżdżamy, ale musimy wyjechać przynajmniej pojutrze, a dzień jutrzejszy poświęcić zdobyciu benzyny. Puriuškisowi, który

ze mną przyjechał do Bohdaniszek, użyczyłem konia, on przyrzekał mi dowiedzieć się u swego brata pod granicą łotewską, który może mieć benzynę albo wiedzieć, kto ją ma. Janek Čepas pojedzie jutro szukać benzyny w Rakiszkach. Dziś jeszcze wieczorem po ciemku pojechałem z Jankiem Čepasem do Stašysa w Busiszkach do Augisa w Pokrewniu i do Kazakewicza w Boniuszkach. Stašys, którego zastaliśmy pijanego, przyrzekł jutro dostarczyć od brata z Antonosza 20 litrów benzyny (ogółem trzeba do 100 litrów), u Augisa benzyny nie ma, Kazanowicz ma tylko gazol.

4 grudnia, rok 1944, poniedziałek

Z benzyną źle słyhać. Rano Janek Čepas pojechał do Rakiszek, gdzie wraz z Milusem z Kurkleć miał dowiadywać się o benzynie i dowiedzieć się u inżyniera Klemczyckiego i studentki Adamonytė, czy oni nie znaleźli nam źródła benzyny w Rakiszkach. Młody Milus z Kurkleć, którego wczoraj zastaliśmy u Stašysa w Busiszkach, zapewniał solennie, że może mi w Rakiszkach wystarać się 60 litrów benzyny za mięso bekona – po 1 kilogramie bekoniny za litr benzyny – i na bekoninę może poczekać. Drogo to dla nas, ale co robić. Skądinąd czekałem na Puriuškisa, który miał przywieźć wiadomość od brata o benzynie. Koło południa Puriuškis się stawiał. Powiedział, że brat jego z Kreščioniów pod granicą łotewską za Abelami ma 200 litrów czystej benzyny i może mi jej sprzedać po 1 ½ sążnia drew za 50 litrów benzyny. Nie czekając na wiadomości z Rakiszek pojechałem do brata Puriuškisa, który był zajęty jakąś robotą w gminie abelskiej. Zawiózł mnie tam siostrzeniec Puriuškisa moim koniem. Puriuškis nie bardzo chętnie szedł na tę transakcję, a gdy mu wspomniał, że trzeba drwa w gaju wyrąbywać ostrożnie, nie bardzo zwracając uwagę ludzką i wywozić naraz nie więcej, jak po pół sążnia, to się przestraszył, że ponieważ las mój jest formalnie znacjonalizowany, to mogą mu zabronić wyrębu drew, a skądinąd mogą być i większe nieprzyjemności. Wreszcie jednak zgodził się pojechać ze mną do swego zaścianka w Kresčionach dla omówienia ewentualnej transakcji. Już było ciemno, gdyśmy przyjechali do niego. Jego żona zaczęła mu odradzać wchodzić ze mną w tę kombinację, gdy tu na miejscu kupią benzynę Łotysze, którzy już jej poszukują. Puriuškis się wahał, ja nalegałem i prosiłem, żeby sprzedał. Puriuškis usunął się na naradę z żoną. Czekałem na rezultat drżąc i nerwując się, bo kwestia tych 50 czy 75 litrów benzyny (prosiłem o 75 litrów) – to dla mnie kwestia powrotu do Wilna z rodziną. Wreszcie Puriuškis wyszedł do mnie i oświadczył kategorycznie, że da mi tylko 50 litrów benzyny i nie za 1 ½, ale za 2 sążnie drew, które sobie wyrąbie z drzewa wyłącznie jesionowego, brzoźowego i czarnoalchowego, bez osiny, i oprócz tego trzeba mu oddać gałęzie i wierzchowiny drzew wyrąbanych na drwa. Musiałem się zgodzić, mając nóż na gardle. Straszliwie drogo i trochę niebezpiecznie rąbać taką ilość w Gaju. Puriuškis, twardy chłop, wyzyskujący sytuację, nie zechciał mi dać benzyny na rękę, dopóki się sam z leśnikiem moim nie rozmówi i dopóki przy nim nie dam leśnikowi zlecenia. Nalał mi do beczki żelaznej, którą z ciężarówki przywiozłem, 50 litrów benzyny i ze mną pojechał do Bohdaniszek kończyć transakcję. Jechaliśmy w ciemną noc; trochę się lękałem, żeby nas w Abelach nie zatrzymała milicja wiozących benzynę albo żeby nam ktoś jej w drodze nie odebrał. Przyjechaliśmy koło godz. dziesiątej, zaraz sprowadziłem mego leśnika Józefa Sadowskiego. Sadowskiego uprzedziłem, żeby broń Boże nie zastraszał Puriuškisa i mocno uzasadniał bezpieczeństwo i łatwość tej transakcji leśnej. Puriuškis dał się przekonać i tą drogą 50 litrów benzyny na wyjazd jutro mam, a 10 litrów pozostało mi jeszcze z podróży w tę stronę. Razem 60 litrów – to na dojechanie do Wilna za mało, zwłaszcza że samochód będzie bardzo ciężko załadowany. Janek Čepas wrócił z Rakiszek bez dobrego skutku. Milus obiecanej benzyny nie znalazł, Adamonytė i inżynier Klemczycki szukali gorliwie benzyny po całych Rakiszkach i dowiedzieli się, że ktoś podobno w Redutce ma benzynę, którą chce zamienić na naftę, a ktoś znów ma naftę, którą chce zamienić na oliwę, więc trzeba szukać oliwy, żeby zdobyć benzynę w Redutce. Jutro od samego rana mają oni się tą sprawą zająć. Ma jeszcze w Rakiszkach benzynę Valečka, ale jej nie sprzedaje i dałby jej tylko za kurtkę skórzaną Janka Čepasa, który tej kurtki bardzo żałuje, ale ostatecznie oddał by ją, gdyby innej rady nie było. Mając 50 litrów benzyny od Puriuškisa – nie chciałem już narażać Janka na stratę kurtki. Od Stašysa przyszła wiadomość, że 20 litrów benzyny

podobno z Antonosza przywiózł, ale żąda za nie 10 metrów dREW z Gaju. Na takie żądanie już się nie zgodziłem. Niech siedzi ze swoją benzyną. Gazolu u ludzi jest dużo, ale benzyny nie ma prawie nikt. Do motorów, używanych u nas przy młóceniu, gazol jest lepszy od benzyny, ale do ciężarówek gazol się nie nadaje – trzeba czystej benzyny. W każdym razie, jutro już wyjeżdżamy z 60 litrami benzyny i postaramy się o nią w Rakiszkach. Ciężkie to zadanie z tą benzyną, która mi zatrula cały ten krótki pobyt w Bohdaniszkach.

W Bohdaniszkach i okolicy źle słyszeć. Ruch partyzancki rozwija się coraz bardziej, akty terrorystyczne, wykonywane na tych, co szpiegują na rzecz Sowietów i skarżą ludzi, także na wojskowych sowieckich i na funkcjonariuszów administracji sowieckiej lokalnej. Między innymi, zastrzelony został wójt gminy w Jużyntach i w Świadościach. Są wypadki spalenia zaścianków tych, co się wysługują Sowietom. Rodziny tych ludzi uciekają do miasteczek (tak jest w Świadościach, w Dusiatkach). Czynniki sowieckie odpowiadają na akty terrorystyczne partyzantów wielkimi krwawymi i masowymi represjami. Przed paru tygodniami duży oddział wojska sowieckiego osaczył okolice Pakień i wiosek sąsiednich. Szli przez lasy i zarośla strzelając i mordując ludzi, na których natrafiali. Tak zginął leśnik rządowy Bekenas i wiele innych. Tego dnia w kościele w Krewnach było 30 podzwonnych za tych, co zginęli w tym dniu krwawym. Ludzie jak zające uciekali z okolicy zagrożonej represją.

5 grudnia, rok 1944, wtorek

Wyjazd z Bohdaniszek. Od samego rana, jeszcze po ciemku, przy świetle starego księżyca, zaczęto ładować rzeczy na ciężarówkę. Jadzia bierze koło półtorej tony bagażu. Są to ubrania, bielizna, pościel, statki domowe, wory mąki, jarzyn, kartofli, zboża, mięso, tłuszcz itd. Już przy świetle dziennym ładujemy się wreszcie sami. Pożegnanie z rodziną Čepasów, z domownikami. Buba płacze. Usposobienie na wsi jest na ogół bardzo przygnębione. Ludzie są niepewni jutra, boją się dalszego poboru całej ludności męskiej do lat 50, która już została wezwana do rejestracji i nie wie, co robić – czy uchylić się, jak zrobiła i dotąd robi cała młodzież miejscowa do lat 35, czy stawiać. Jeżeli się uchylać i ukrywać, to mogą nastąpić dalsze represje, wywożenie rodzin, areszty, nawet mordowanie, potem może ucieczka do lasów do oddziałów partyzanckich, co dla ludzi starszych byłoby trudniejsze i mogłoby jeszcze więcej narażać rodziny, jeżeli zgłaszać się – to cała okolica będzie wyludniona z mężczyzn, a więc upadek gospodarstwa, głód. Nie tknięci pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Młodzież jest wciąż usposobiona radykalnie, ani myśli się zgłaszać, nie daje się łapać, niektórzy są już w lasach w oddziałach partyzanckich, które rosną i stają się coraz czynniejsze w akcji dywersyjnej, choć Sowiety poaresztowali już i wywieźli nie wiadomo dokąd wiele rodzin tych, o których wiedzą, że należą do partyzantów (w naszej okolicy do przywódców partyzantów, którzy się już stali głośni, należą w szczególności bracia Biblisy z Pokrewnia, Sobolewski i Ilčiukas z Krewien, ich rodziny już aresztowane). Aresztują się też ci, o których Sowiety mają wiadomość, że przyjmowali partyzantów, że udzielali im noclegu i jedzenia. Mają jakieś spisy, ułożone na podstawie doniesień szpiegów, których czynniki sowieckie zaangażowały do wywiadu. Na podstawie tych spisów aresztują, czasem rozstrzelują, męczą... W ogóle usposobienie na wsi jest ciężkie. Zaczynają się też ukazywać dezertyrzy sowieccy, których wielkie bandy grasują na Białej Rusi. Do „załogi” naszej ciężarówki należą teraz: my, to znaczy ja z Jadzią i trzema naszymi córeczkami, Paulinka Nowicka, Renia Bagdonaitė, malarz profesor Akademii Sztuk Pięknych Justyn Wienażyński, studentka Jasenavičiūtė z Mėlduc. Ci wsiedli do samochodu w Bohdaniszkach. Jadzia z Žermeną na ręku siedzi w budce szofera, my wszyscy – na platformie ciężarówki na rzeczach. Kotuni i Idze zrobione gniazdo i siedzą otulone w kołdry puchowe pod dozorem Paulinki i Reni. Ja przy nich na wygodnym posłaniu z materacu, dobrze otulony także. Wyjeżdżamy. Wkrótce jesteśmy w Rakiszkach, gdzie stajemy u zaścianka Adamonisów. Studentka Adamonytė, która wraca do Wilna z nami, informuje, że Bičiunas, który też ma jechać z nami, wybrał się furmanką do Rakiszek załatwić sprawę benzyny, którą mamy dostać w Redutce za naftę, wymienioną za oliwę, która ma być nabyta na rzecz tych zamian. Nie wrócił jeszcze. Kiedy te

transakcje załatwi i wróci, mamy podjechać do Redutki zabrać benzynę. Stoimy dobrą godzinę, czekamy powrotu Bičiunasa. Wraca wreszcie. Nic się załatwić nie dało, zresztą w Redutce benzyny tej okazało się tylko 5 litrów. Gra nie opłaca świec. Więcej nigdzie w Rakiszkach benzyny nie ma. Ma benzynę ślusarz Valečka, nawet w większej ilości, ale nie sprzedaje. Nie ma co czekać, trzeba ruszać w drogę, szkoda tracić czas. Z tym, co mamy, dojedziemy do Uciany, a może nawet do Wilkomierza, a tam będziemy szukać benzyny. Tam na szosie może być łatwiej. Wsiada Adamonytė, bierzemy Bičiunasa i jeszcze jakąś młodą panią, która się naprosiła. Bičiunas podwozi całą furmankę, naładowaną rzeczami, które chce zabrać. Szofer się nerwuje, gniewa, że ciężarówka jest przeładowana, że pełnych furmanek rzeczy przyjmować nie może. Ja także protestuję, Bičiunas nierad, ale ostatecznie część rzeczy musi zostawić. Jedziemy. Mijamy Komaje, jesteśmy w Świadościach. Nie zastajemy tam stróża uniwersyteckiego Igaunisa, który miał tam czekać na nas. Mówią nam, że czekał od wczoraj, nie doczekał się i pojechał jakąś furmanką. W Świadościach przyjmujemy do ciężarówki jakieś dwie kobiety, które za dowieszenie do Wilna dały nam 10 litrów benzyny. Po drodze do Wilna dopędzamy furmankę, którą jedzie Igaunius. Ładuje on swoje wory, siada i jedziemy dalej. W Wiżunach czeka nas i wsiada stróż uniwersytecki Masłowski, który też furmanką podwozi całą furę rzeczy swoich – wory z mąką, zbożem, jarzynami, kartoflami. Ciężarówka już tak pełna, że nie ma miejsca gdzie siadać i wory ładować. Szofer znowu protestuje, Masłowski musi zastawić wór kartofli. Jedziemy dalej. Wyjeżdżamy na szosę, jesteśmy w Ucianie. Tu w okolicy stacji kolejowej wąskotorówki stajemy i zaczynamy polować na benzynę. Bičiunas z Masłowskim i Wienażyńskim zdobywają od żołnierzy 18 litrów benzyny, ale niesłychanie drogo – po 10 czerwoniców za litr benzyny (w Wilnie mogłem dostać benzyny po 4, a nawet po 3 czerwonicie za litr, ale i to mi się wydawało za drogo). Jedziemy dalej. Spodziewamy się dotrzeć do Wilkomierza. Szofer narzeka na benzynę, którą w Bohdaniszkach dał Puriuškis. Benzyna zła, strzela w motorze. W Lelunach zabieramy część rzeczy Andrzeja, zostawionych tam przez Michasia Mieczkowskiego (wszystkich zabrać już nie możemy) i pędzimy dalej na Wilkomierz.

6 grudnia, rok 1944, środa

Wczoraj przy dojeździe do Wilkomierza mieliśmy przygodę, która przez całą noc zatrzymała nas w polu na szosie. Już o 12 kilometrów przed Wilkomierzem szofer zaczął się czegoś niepokoić i dopytywał się, ile kilometrów jeszcze pozostało. Od furmanek przejezdnych dowiedzieliśmy się, że 12. Maszyna jednak szła, tylko wolno. Niebawem natrafiliśmy na dosyć trudny objazd wysadzonego mostu. Z wielkim wysiłkiem, wśród kilku starań, ciężarówka objazd ten wykonała. Niebawem zaczęła odmawiać posłuszeństwa i stawać. Szofer z pomocą Masłowskiego oglądał motor, coś w nim poprawiał, znowu puszczał w ruch maszynę; trochę podjeżdżaliśmy i niebawem znów stawaliśmy. Po trochę jednak zbliżaliśmy się do Wilkomierza, w którym mieliśmy nocować, by jutro wznowić poszukiwanie benzyny i odjechać do Wilna. Szofer był nadąsany, zły, nie chciał nam mówić, co się stało i dlaczego ciężarówka staje. Gniewał się, gdy go o to pytano. Dopiero od Masłowskiego, który mu pomagał w robocie dokoła maszyny, dowiedzieliśmy się, że wypadły jakieś trzy śrubki, bez których nie porusza się jak należy klapka zapewniająca niezbędny regularny dopływ powietrza do motoru. Wreszcie już pod samym Wilkomierzem, o jakieś 2 kilometry od przedmieścia, maszyna stanęła ostatecznie i bezapelacyjnie. Była już godzina jedenasta w nocy. Szofer wciąż zapalał ogień i coś poprawiał w maszynie, potem ją nakręcał, maszyna dygotała, ale nie ruszała się z miejsca albo posuwała się dwa kroki i stawała, a motor przestawał pracować. Tak męczyliśmy się aż pod ranek wśród ciemnej nocy na szosie. Nie było na to rady. Wreszcie i szofer zaniechał wysiłków. Staliśmy. Dopiero nad ranem trochę się rozwidniło od księżycy. Podróżni drzemali na platformie ciężarówki, dzieci otulone spały. Szofer był zmęczony, bardzo znerwowany, Masłowski zmęczony także. Musiała też być bardzo zmęczona, ale była tym razem cierpliwa Jadzia, która przez cały dzień i całą noc trzymała Żermenę na rękach, siedząc w budce szofera. W drodze Żermena zachowywała się bardzo grzecznie, patrzyła, potem spała. Ale zmęczona była bardzo i głodna. Kleik, który Jadzia wzięła dla niej, ostygł i Żermena jeść go nie chciała. Na zimnie przewinąć jej nie było można, a

pieluszki były już tak zmoczone, że dziecko całe było mokre. Jadzia się bardzo niepokoiła o nią, żeby nie zachorowała. W ciągu tej nocy zginął nam Igaunis, który cichaczem wymknął się w stronę Wiłkomierza i nie pokazał się więcej. Trochę się można było obawiać jakiegoś rabunku, o który teraz łatwo. Wreszcie przede dniem wyruszył do Wiłkomierza na zwiady Justyn Wienażyński z Prušinasem. Wienażyński zna dobrze dyrektora seminarium nauczycielskiego w Wiłkomierzu Biliunasa, także nauczyciela rysunków, swego ucznia, malarza Tarabilę i innych nauczycieli tamże. Udał się więc do Biliunasa. Niebawem wrócili. Biliunas zaprasza nas do siebie, zwłaszcza Jadzię z dzieckiem, dziewczynki i nas wszystkich. Zalokuje nas, da ciepły posiłek, herbatę, mleko dla Żermeny. Pomoże wystarać się o benzynę, robi nadzieję, że ją otrzymamy jeżeli nie od spekulantów, to przez wojsko, przez przejezdnych żołnierzy sowieckich, przez czynniki wojskowe konsystujących w Wiłkomierzu oddziałów wojskowych litewskich armii sowieckiej, względnie za pośrednictwem Kompartii. Zaraz wsadziliśmy Jadzię z Żermeną na przejeżdżający wózek chłopski, który za 3 czerwonce zawiózł Jadzię do Biliunasów do seminarium nauczycielskiego o 3 kilometry od naszej ciężarówki, Justyn Wienażyński na innym wózku zawiózł tę częśćkę maszyny, z której wypadły śrubki, do naprawy w Wiłkomierzu, a my z Paulinką i córeczkami Kotunią i Igą poszliśmy do Wiłkomierza do Biliunasów pieszo. Biliunasowie – on i żona – przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie. Reszta podróżnych pozostała w ciężarówce na szosie. Po południu zaniecono do ciężarówki 5 litrów benzyny i poprawioną częśćkę maszyny i ciężarówka przytoczyła się do Wiłkomierza. Tymczasem nam w mieszkaniu Biliunasów dano doskonały gorący obiad mięsny z kartoflami i sosem, który nam znakomicie smakował i wzmocnił, a Żermena dostała mleka i została przewinięta na sucho. Potem Biliunas z Wienażyńskim poszedł do pułkownika oddziałów litewskich kołatać o benzynę. Ten obiecał, że może na wieczór przyjdą jakieś ciężarówki, z których postara się dla nas o benzynę. Zaszli też do kapitana litewskiego, który też obiecał coś skombinować na rzecz benzyny. Poza tym dowiedziano się, że jest jakaś możliwość dostania benzyny drogami spekulacyjnymi, ale bardzo drogo – po 10, może zresztą po 7 czerwonce za litr. Ale to wszystko dopiero w nadziei i na jutro, trzeba więc w Wiłkomierzu nocować.

7 grudnia, rok 1944, czwartek

U Biliunasów w Wiłkomierzu spędziliśmy noc. Biliunas, który jest obecnie dyrektorem seminarium nauczycielskiego, jest synowcem zmarłego w Zakopanem na suchoty w początku tego wieku młodego wybitnego poety litewskiego Biliunasa, poety gorącego romantyzmu rewolucyjnego, który był żonaty z siostrą profesora Augustyna Janulaitisa. Dyrektor seminarium Biliunas, człowiek bardzo miły, gościnny, przyjął nas bardzo serdecznie i dużo czasu i zabiegów poświęcił wybawieniu nas z kłopotu przez wyszukanie nam benzyny, która by nam umożliwiła zakończenie naszej podróży do Wilna. Sam Biliunas był zawsze przekonany lewicowych, należał w Litwie niepodległej do inteligencji opozycyjnej. Żona jego, która jest nauczycielką w tymże seminarium, jest wielką idealistką, bezwyznaniową i komunistką gorącą z przekonania, zwolenniczką uspołecznienia dzieci, wolnych związków płci, gospodarstwa społecznego bez własności. Te ich przekonania radykalne zapewniały im zaufanie czynników sowieckich i stanowisko, które im dano. Ale do Sowietów są Biliunasowie zrażeni radykalnie; widzą zakłamanie i obłudę ich metod, zgniliznę, która się szerzy, fałsz i despotyzm okrutny całego ustroju, rozdźwięk głęboki między hasłami oficjalnymi a rzeczywistością. Obudziły się też u nich, zwłaszcza u niego, uczucia narodowe litewskie, którym Sowiety gotują zagładę. Spędziliśmy u Biliunasów cały wieczór wczorajszy, wypiliśmy trochę, bo tak Biliunas, jak Justyn Wienażyński lubią wypić. Benzyny wczoraj dostać nie udało się, ale na dziś rano były przewidziane dalsze poszukiwania i były pewne widoki na jej zdobycie. Na noc mężczyźni przypędzili ciężarówkę naszą z ulicy, gdzie stała, na dziedziniec seminarium nauczycielskiego. Na noc ustanowiłem znowu dyżury wszystkich podróżnych w ciężarówce dla pilnowania rzeczy i samej ciężarówki. My z Wienażyńskim spaliśmy w pokoju sypialnym Biliunasów, Jadzia z Żermeną, starszymi córeczkami Kotunią i Igą i z Paulinką Nowicką i Renią Bagdonaitė – w innym pokoju ich mieszkania, reszta zaś podróżnych została zalokowana w ciepłej kuchni na dole, gdzie spała na

dużych stołach. Rano ponowiliśmy starania o benzynę. Kierował nimi Justyn Wienażyński, pomagał Biliunas. Wreszcie koło południa udało się przez kapitana oddziałów litewskich dostać benzyny od pewnego żołnierza Ukraińca – za wódkę, za cały mój zapas 5 litrów doskonałej wódki niemieckiej. Benzyny było dane niedużo, zaledwie 20 litrów, ale kapitan zapowiedział, że jeżeli nasz szofer stwierdzi, że tego nie wystarczy, to się doda, ile trzeba, bez żadnej dopłaty, bo wódka opłacała wszystko, a jeżeli Ukraińiec będzie się domagał dopłaty, to nic mu nie dać. Rzecz jednak nie poszła tak łatwo. Ukraińiec zwąchał się zaraz z naszym szoferem i nie pozwalając nikomu się wtrącać, zaczął z nim majstrować i oglądać maszynę, potem wlewali benzynę, a gdy już ciężarówka miała odejść i Wienażyński z większością podróżnych odszedł pieszo, żeby przejść trudny objazd wysadzonego mostu przez rzekę, a ja z dziećmi i Jadzią już siedzieliśmy w ciężarówce gotowi do jazdy, szofer nasz oświadczył, że benzyny jest za mało i że jeżeli chcemy dojechać do Wilna, to musimy wziąć jeszcze 20 litrów, które Ukraińiec ma i może nam udzielić po 6 czerwońców za litr, czyli że trzeba dopłacić jeszcze 120 czerwońców. Protestowałem, powołując się na kapitana, ale Wienażyńskiego, który z kapitanem konferował, już nie było. Musieliśmy z Jadzią ustąpić i z bólem serca dopłaciliśmy jeszcze 120 czerwońców za dodatkowe 20 litrów benzyny. Ogółem więc benzyny na powrót z Bohdaniszek do Wilna nabraliśmy 130 litrów (bo zostało z podróży do Bohdaniszek + 50 od Puriuski + 10 w Świadościach + 18 w Ucianie + 45 w Wiłkomierzu). Tymczasem na dojechanie z Wilna do Bohdaniszek użyliśmy 95 litrów. Co prawda, teraz w drodze powrotnej ładunek ciężarówki jest znacznie cięższy, więc i benzyny trzeba więcej, ale chyba nie o tyle. Z pewnością szofer podkręca i robi oszczędności dla siebie. Niemiłosiernie nas obdarli. Z Wiłkomierza ostatecznie wyjechaliśmy o godzinie drugiej. Przy wyjeździe z Wiłkomierza zatrzymała nas milicja, ale po sprawdzeniu dokumentów puściła, choć dokumenty nasze były już przeterminowane. Minęliśmy bez przygód Szyrwinty i Mejszagołę. Ale o 4 kilometry przed Wilnem ciężarówka stanęła i szofer zaczął oglądać maszynę. Byliśmy w strachu, czy znowu się coś nie zepsuło i czy nie staniemy na noc przed samym Wilnem. Ale maszyna ruszyła i dojechaliśmy szczęśliwie.

8 grudnia, rok 1944, piątek

Wczoraj więc wieczorem, już prawie po ciemku, przyjechaliśmy do Wilna. Podróż z Wilna do Bohdaniszek i z powrotem na rzecz sprowadzenia mojej rodziny, rozpoczęta w sobotę, trwała zamiast dwóch – sześć dni. Wyładowaliśmy rzeczy do naszego mieszkania.

Okazało się, że stróż uniwersytecki Igaunis, który jechał z nami do Świadość do krewnych swoich po produkty – po zapasy mąki i kartofli – i który nam zaginął w drodze powrotnej pod Wiłkomierzem na szosie, dotarł do Wilna już pozawczoraj – dzień przed nami. Poszedł on wtedy w nocy do Wiłkomierza, gdzie go milicja aresztowała, ponieważ w godzinach nocnych ruch w mieście jest zabroniony. Wprawdzie go niebawem wypuszczono, ale gdy zobaczył on na ulicy w nocy przejeżdżającą w kierunku Wilna ciężarówkę i sądząc, że to nasza ciężarówka, zaczął biec i krzyczeć, aby go zabrała, został ponownie aresztowany. Wypuszczono go po sprawdzeniu dokumentów znowu, on zaś, sądząc, że myśmy już pojechali, nie czekał nas, jeno wprosił się do jakiejś przejeżdżającej ciężarówki i dojechał do Wilna. Tu dowiedział się, żeśmy jeszcze nie przyjechali i zaalarmował uniwersytet i Komisję Planową, że spotkała nas przygoda – maszyna się zepsuła i stanęła pod Wiłkomierzem na szosie, a poza tym, że nie mamy benzyny i nie możemy jej dostać. Wskutek tego Komisja Planowa zajęła się ratowaniem nas: uprosiła Komisariat Ludowy Oświaty pożyczyć ciężarówkę z szoferem, żeby posłać po nas i nas z ciężarówką zabrać. Ciężarówka ratunkowa mogła już odejść na nasze spotkanie wczoraj wieczorem, ale ponieważ w nocy po ciemku mogła się z nami rozminąć w drodze, więc miała wyruszyć dziś rano o godzinie dziewiątej. Nasz przyjazd udaremnił oczywiście tę ekskursję ratunkową, ale gdybyśmy nie byli wczoraj dostali benzyny w Wiłkomierzu i nie byli wyjechali, to dziś byłibyśmy się w Wiłkomierzu doczekali pomocy, która by nas poratowała w biedzie. Igaunis więc nie okazał się głupi. Podziękowałem dziś Bulawasowi za pomoc udzieloną mi na sprowadzenie rodziny i przeprosiłem go za przetrzymanie maszyny, które nastąpiło nie z mojej winy.

Ostatecznie kłopotów, biedy i zmęczenia miałem dużo, zanim zdołałem zapewnić wyjazd po rodzinę i wrócić z Bohdaniszek, ale skutek jest dobry. A to przecie grunt. Rodzinę mam już w Wilnie przy sobie. Może będzie nam trudno, ale będziemy razem. Da Pan Bóg, że sobie poradzimy. Rozkład społeczny jest coraz większy i pobyt Jadzi z dziećmi w Bohdaniszkach mógłby się stać niebezpieczny.

9 grudnia, rok 1944, sobota

Jadzia ma tysiąc kłopotów w domu. Przedpokój i jadalny zawalony rzeczami przywiezionymi z Bohdaniszek; leżą wory, walizy, węzły – nie rozpakowane, nie wyładowane. Meble też nie poustawiane, jak być mają. Starsze córeczki – Kotunia i Iga – stęsknione widoku Wilna, nie wyszły wczoraj przez cały dzień z domu, tłukąc się z kąta w kąt po tych kilku zamieszkałych przez nas i opalonych pokojach, pełnych śmieci, nie uprzątniętych, nie urządzonych; na wszystkich stołach, krzesłach, fotelach, kanapach – różne sprzęty, naczynia, rupiecie, ubrania. A najgorsze i najtrudniejsze to, że Żermena nie śpi ani chwili we dnie, krzyczy, płacze, jest znerwowana i kapryśna, aż drży cała jak w konwulsjach, nie dając ani na chwilę odejść Jadzi, bo tylko wtedy jest spokojna, gdy Jadzia ją trzyma na ręku albo siedzi przy niej, nuci jej, przemawia do niej i pieści. Jadzia nie ma nikogo do pomocy przy dzieciach, do sprzątania, do kuchni, do interesów gospodarskich na mieście. Z tym będzie bardzo trudno, bo kogoś do usługi znaleźć teraz prawie niepodobna. Andrzej obiecuje nam jakąś panienkę do dzieci, pani Domańska ma przysłać jakąś swoją dawną służącą Warszawiankę w starszym wieku. Może coś z tego będzie. Dziś rano wyprowadziłem dziewczynki po raz pierwszy na miasto. Były bardzo zaciekawione. Ładnie wyglądają na ulicy w swoich czapeczkach o dwóch sterczących uszkach, jak zajaczki czy miki-mausy fantastyczne. Dobre są, ciekawe wszystkiego, posłuszne na ulicy, choć jeszcze nie wprowadzone do ruchu ulicznego. W domu Iga ciągle psoci. Jadzia kupiła dziś lampkę naftową, nanosi drwa ze składziku, pali umiejętnie w dwóch piecach, gotuje z wielkim opóźnieniem obiad. Nie było w płycie kuchennej fajerek, które Jadzia musiała kupić na rynku, brak jest rondli, które nam Redowie pogubili, nie ma balei<sup>19</sup>, wszystkich statków domowych brak wielki, a kupić to wszystko niepodobna, bo drogo niesłychanie. Otrzymałem dziś przeznaczone dla mnie rzeczy z darów amerykańskich (Litwinów amerykańskich) dla uniwersytetu. Najlepsze z tych rzeczy są: całkowita wyprawka dla Żermeny, palto męskie dla mnie, futerko dachowe dla Kotuni. Są poza tym koszule, sukienki, bluzki itd. – kobiece i dzieciinne mniejszej wartości. Jadzia zmęczona jeszcze podróżą, brakiem porządku i wygody w domu, płaczem Żermeny, czasem i moim gderaniem oraz brakami wszelkimi. Jednak porządkuje po trochu, urządza mieszkanie, od rana do wieczora jest czynna. Często się nerwuje i płacze, ale znowuż się wypogadza. Jest mi jednak lepiej i ciszej w rodzinie, nawet w tym chaosie tymczasowości, niż było w samotności poprzedniego sieroctwa mojego.

10 grudnia, rok 1944, niedziela

Żermena skończyła dziś 9 miesięcy. Siedzi już sama dobrze, próbuje już wstawać, ale o własnych siłach stać jeszcze nie może, nie pełza, dotąd nie ma żadnych ząbków. Inne nasze córeczki w tym wieku już miały ząbki. Dziś jest Żermena spokojniejsza, mniej krzyczy, bawi się, nie wymaga bezwzględnie siedzenia przy niej Jadzi, daje się zabawić siostrzyczkom.

Rano z Kotuńką i Igą byłem u pp. Nakowskich, którym zaniósłem kaczkę z Bohdaniszek. Potem z tymiż córeczkami i Jadzią poszliśmy do profesorstwa Horodniczych poinformować się o ogródkach dzieciennych dla Kotuni i Igi. Zdaje się, że oddamy je do ogródka dzieciennego litewskiego przy ul. Bernardyńskiej, który jest bardzo chwalony. Byliśmy też u Heli Czarnej Römerówny, której nie zastaliśmy, i u Józji Ciświckiej, która leży chora. Kwestia współpracy Jadzi z Józją w jej handlu jest wciąż aktualna, ale związana jest, po pierwsze, ze znalezieniem przez Jadzię jakiejś osoby do usługi domowej i przy dzieciach, bo bez tego Jadzia nie może opuścić domu, i po wtóre, ze

---

<sup>19</sup> Baleja (reg.) – balia.

znalezieniem przez Józię lokalu handlowego, z czym są wciąż trudności wielkie; lokal przy ulicy Zawalnej w domu pod nr 35, na który Krasowski za moją protekcją wydał Józi order i który Józia już była zaczęła porządkować, został jej odebrany, ponieważ dom ten został przekazany synagodze. Trzeba więc znowu szukać lokalu handlowego na interes Józi, w którym i Jadzia znajdzie ewentualnie zatrudnienie. W domu, przez czas kiedy my z Jadzią i starszymi córeczkami chodziliśmy po mieście, czuwała przy Żermenie Ewa Meyerowa i myła podłogi oraz porządkowała meble i rzeczy Paulinka Nowicka.

11 grudnia, rok 1944, poniedziałek

Znowu wypadł domowy dyżur nocny na nasze mieszkanie. Trochę jakby za często, bo tym razem nie upłynęło, zdaje się, dwóch tygodni od poprzedniego dyżuru. Podzieliłem się dyżurem z naszymi lokatorami, których w tej chwili jest tylko dwóch, bo dwaj inni są na razie poza Wilnem, i na każdego z nas wypadło po 2 godziny i 20 minut dyżuru. Ja dyżurowałem od godziny dziesiątej. Zarygłowałem od wewnątrz wrota w bramie i wyszedłem na główne schody wejściowe, gdzie siedziałem. Dyżurujący albo chodzi po chodniku wzdłuż domu, albo siedzi na schodach lub w bramie dziedzińca. U nas w bramie siedzieć nie ma potrzeby, bo jest od wewnątrz zarygłowana, a po chodniku chodzić bałem się zarówno dlatego, że jest ciemno i nic nie widzę, jak dlatego, że jest niebezpiecznie, bo wciąż na ulicach zdarzają się nocami napady, rabunki i nawet morderstwa. Przesiedziałem cały czas na schodach. Nawet na schodach nie jest zupełnie bezpiecznie, bo rabuś może i na schody od ulicy zajrzeć, a żaden krzyk rabowanego nie pomoże: gdy jest na ulicy w nocy wypadek i ofiara napaści krzyczy, to ludzie nie tylko nie śpieszą na ratunek, ale uciekają i chowają się. W czasie mojego dyżuru koło godz. jedenastej ktoś się dobijał do bramy domu, targał się, krzyczał, żądając otwarcia; siedziałem cichutko, bo krzyczał po rosyjsku, napastnikami zaś są właśnie żołnierze rosyjscy, a gdyby to był ktoś z mieszkańców domu, to znalazłby drogę do dozorczy albo przez schody i któreś z mieszkań do dziedzińca. Potem się uciszyło. Po jakimś czasie biegała chodnikiem jakaś kobieta, wołając: „Dzieci! Dzieci!”, potem już tylko dobiegały z daleka jakieś głosy śpiewu pijanego, ktoś przechodził nucąc...

Bandytyzm w samym Wilnie rozwielił się strasznie i szaleje. Sprawcami są zawsze żołnierze sowieccy. Na mniejszych uliczkach i na przedmieściach już od zmroku wieczornego chodzić niebezpiecznie. Zdejmują z przechodniów futra i palta, odbierają pieniądze, chciwi są szczególnie na zegarki. Tych, co protestują albo krzyczą, nieraz zabijają na miejscu. Co noc jest na ulicach kilka trupów. Niektóre trupy znajdują zupełnie nagie, czasem z rękami skrępowanymi. Coraz więcej tego, coraz częstsze i liczniejsze są te wypadki. Czasem na ulicy znajdują trupy nawet starych kobiet zgwałconych i obrabowanych; tak oto np. znaleziono na Antokolu trup starej nauczycielki Francuzki zgwałconej, od której Rosenowie byli kupili na Antokolu domek za kościołem św. Piotra i Pawła. Niedawno napadnięta została na małej uliczce Antokolu koło godz. siódmej wieczorem p. Hela Rosenówna, wracająca do domu z narzeczonym Michałem Masalskim; dwóch żołnierzy i lejtnant sowiecki przyłożyli jej bagnety do piersi, grożąc, że ją przekolą, jeżeli się będzie opierała i kazali się rozbierać i oddać ubranie; gdy zaczęła płakać, że nie może przecie pozostać w noc zimową na ulicy goła, spytali, czy ma zegarek, a gdy zaczęła zegarek z ręki odpinać, przecięli rzemuszek, wyrwali zegarek i po dokonaniu rewizji Masalskiego, u którego szukali pieniędzy, odeszli. Wypadki rabunku ulicznego i zabójstw nocnych na ulicy stały się chlebem powszednim. Rabunki miały miejsce nawet na takich ulicach śródmieścia, jak Wileńska. We dnie szerzą się kradzieże ciężarówek i lekkich samochodów: szofer odejdzie na chwilę od wozu, ktoś wskakuje, puszcza w ruch maszynę i odjeżdża. Tak zginęły w poprzednim tygodniu dwa samochody CK Partii Komunistycznej i samochód Rady Komisarzy Ludowych, nie licząc innych, należących do mniej wybitnych instytucji i oddziałów wojskowych. A po urzędach, po wszelkich instytucjach kradzieże dobra publicznego są na porządku dziennym i nikt się temu nie dziwi i nawet z tym nie tai. Dobro publiczne jest rabowane na prawo i na lewo. Rozkład jest coraz większy i cała ludność przeradza się w gremialne gniazdo bandytów. Pensje pracowników są takie, że bez dokradania i spekulacji ludzie żyć nie mogą.

12 grudnia, rok 1944, wtorek

Jadzia zapisała dziś Kotunię i Igę do ogródka dzieciennego przy ulicy Bernardyńskiej. Jest to ogródek litewski, bardzo chwalony. Jutro zaprowadzi po raz pierwszy dziewczynki. Spodziewamy się, że się będą cieszyły. Dobrze to jest, bo wyrabia i uczucie społeczne, i dyscyplinę i razem daje dzieciom zabawę i gimnastykę, uczy ich i deklamacji, i gier zbiorowych, i ładnych tańców litewskich w kółeczkach. Dokarmiane tam są też dzieci, dostają dwukrotnie jedzenie – rano śniadanie, o południu coś w rodzaju obiadu. A płaci się za wszystko po 3 czerwonce miesięcznie od dziecka. Jadzia zaopatruje się po trochu w najniezbędniejsze statki i naczynia domowe, których wielki brak odczuwamy, bo wszystko, co poprzednio mieliśmy – a w tym zakresie gospodarstwo domowe Jadzi w mieście było bardzo zasobne – zostało bądź przez nas przy wyjeździe z miasta rozpozyczone i teraz zabrać nie można, bądź było w użytku Redów, którzy na wiosnę wywieźli wszystko na lotnisko do Wołokumpia czy Pośpieszki i tam po ich ucieczce do Niemiec zginęło. Trochę najniezbędniejszych rzeczy Jadzia teraz dokupiła, trochę dopożyczyła od Heli Czarnej.

Jadzia dokazuje cudów gospodarności. Nie mając nikogo do pomocy przy Żermenie, która wymaga prawie nieustannej jej obecności przy sobie, znajduje czas na sprzątanie mieszkania, na palenie pieców, na gotowanie obiadów i herbaty, na całą usługę domu, nawet na wybieganie na miasto. Czasem ją zastępuję przy Żermenie, czasem Kotunia z Igą, wpadają też pomoc Paulinka i Renia. Do pielęgnowania Żermeny i pomocy w gospodarstwie nie ma dotąd nikogo i są bardzo wielkie trudności ze znalezieniem kogoś. Andrzej obiecuje dać jakąś panienkę spod Szumska, którą ma zaangażowaną i która podobno chce tej pracy, ale trzeba ją dopiero sprowadzić, jeżeli jeszcze nie zmieniła projektów. Obiecują szukać i inni, w szczególności pani Domańska. Z samego Wilna młodą osobę na to stanowisko trudno, raczej niepodobna znaleźć, bo wszystkie młode osoby starają się mieć jakąś posadę rządową, ponieważ to daje pewne ulgi, podczas gdy te, co nie mają posady rządowej, liczą się „nie pracujące” i może im grozić wszystko, aż do wywiezienia włącznie. Zadowolilibyśmy się i starą, ale znaleźć trudno. Ostatecznie Jadzia obejdzie się i bez pomocy w gospodarstwie, byle tylko mieć nianię do Żermeny. Jak Kotunia z Igą pójdą do ogródka dzieciennego, to Jadzi z Żermeną będzie jeszcze trudniej, bo teraz to one mogą ją chwilowo przy Żermenie zastąpić. Czasem i mnie wypada poniańczyć Żermenę, żeby dać się Jadzi oderwać od niej na czas jakiś. Na razie Żermena, która odwykła ode mnie, lękała się mnie; teraz już się oswaja trochę.

Jozia decyduje się na wzięcie lokalu handlowego od pani Wojtkiewiczowej, która ma pralnię chemiczną, znaną w Wilnie, ale lokalu tego nie używa, przyjmując obstalunki w mieszkaniu. Ten lokal handlowy – sklep – mieści się w tym samym domu, w którym mieszkamy – na Bonifraterskiej. P. Wojtkiewiczowej chodzi o to, żeby jej tego sklepu nie odebrano, więc go ustępuje Jadzi i Józi pod warunkiem, że go jej zwrócą po nastaniu warunków pokojowych. Jako punkt handlowy – miejsce dla sklepu przy ul. Bonifraterskiej jest złe. Józia wszakże ma różne pomysły praktyczne na rzecz przyciągnięcia klientów. Jadzia nie byłaby współniczką Józi w interesie, jeno miałyby zlecone sobie kierownictwo działu trykotażu i szycia. Jadzia chętnie się do tego bierze, bo spodziewa się dodatkowego dochodu, na którym nam bardzo zależy, ale ta praca jest możliwa tylko o tyle, ile się dostanie kogoś do Żermeny.

13 grudnia, rok 1944, środa

Dziś Jadzia zaprowadziła Kotunię i Igę do ogródka dzieciennego przy ulicy Bernardyńskiej, koło godziny zaś czwartej poszła po nie i odprowadziła do domu. Wróciły zachwycone, pełne wrażeń, radosne. Cały wieczór żyły tymi wrażeniami, opowiadały i przypominały każdy szczegół przeżyty i spostrzeżony. Sądzę, że ogródek ten będzie dla nich wybitnym czynnikiem kształcącym.

Życie mi płynie teraz zupełnie inaczej, niż w listopadzie, kiedy siedziałem samotny w domu. Muszę, co prawda, pomagać Jadzi w nianczeniu Żermeny, kiedy we dnie jestem w domu i nie ma starszych córeczek, bo trzeba dać Jadzi możliwość zajmowania się w domu gospodarstwem i sprzątaniami, a Żermena nie śpi i wymaga obecności człowieka i ciągłego zabawiania, co nie należy

do rzeczy wesołych i ciekawych, ale za to wieczory mam przyjemne i nie nudzę się w rodzinie. Jadzia się już uspokoiła i wprzęgła w zajęcia domowe, córeczki są wesołe i żywe. Kiedy się znajdzie niania, to i Żermena tak nas męczyć nie będzie.

Z wiadomości politycznych i wojennych prawie nic nie wiem. Obcych ludzi mało widuję. Słyszałem dziś w „Bristolu” przy obiedzie, że Anglicy na zachodzie zajęli Kolonię, a na Węgrzech wojska sowieckie zajęły Budapeszt. Z Prus Wschodnich i o Prusach Wschodnich żadnych wieści nie ma. Skądinąd powiadają, że na terytorium Niemiec alianci na zachodzie (a zapewne i Sowiety na wschodzie) natrafili na takie silne umocnienia niemieckie, że mogą się posuwać naprzód już nie kilometrami, ale metrami. Coś w rodzaju wojny pozycyjnej z lat 1914-1918.

Z terenów litewskich, z powiatów wilkomierskiego, jezierskiego i rakiskiego dochodzą wciąż wieści o rozruchach, o rosnącej akcji partyzantów litewskich i o wielkich masowych krwawych represjach sowieckich. Sytuacja staje się tam coraz cięższa i tragiczna.

Tu w Wilnie szerzy się bandytyzm, ludzie coraz bardziej się boją wychodzić z domu wieczorami, po ciemku wieczorem i w nocy mnożą się napaści, rabunki i mordy uliczne. W zakresie rozkradania dobra rządowego sytuacja jest paradoksalna. Tak na przykład, zapasy benzyny w składach rządowych wyczerpały się do tego stopnia, że nawet pogotowie ratunkowe nie ma benzyny na przewiezienie chorego do szpitala i gdy dziś trzeba było jednego z lokatorów naszego mieszkania, który zachorował, przewieźć do szpitala, to pogotowie musiało przysłać ludzi do przeniesienia go ręcznego na noszach. A jednocześnie benzyny u spekulantów jest w Wilnie po cenach spekulacyjnych ile chcą i wszyscy wiedzą, że to jest benzyna kradziona od rządu, pochodząca od żołnierzy i szoferów. I nie tylko wszyscy to wiedzą, nie wyłączając szczytów rządowych, ale benzynę tę się kupuje i sprzedaje otwarcie i otwarcie się mówi o jej kupowaniu, a gdy mnie trzeba było kupić tej benzyny, to zastępca prezesa Rady Komisarzy Ludowych Grigarauskas sam mi dał order na wódkę po cenie rządowej, abym za tę wódkę kupił kradzione dobro rządowe – benzynę od spekulantów. I o tych transakcjach mówi się nie szeptem jak o czymś, co jest karane, ale otwarcie, jako o rzeczy powszechnej. Nie po kryjomu Grigarauskas dał mi order na wódkę, mówiłem mu wyraźnie, o co mi chodzi i on wyraźnie na to, a nie na nic innego wypisał mi order. To są paradoksy, ale paradoksy rozkładu.

14 grudnia, rok 1944, czwartek

Dziś ja sam odprowadziłem rano córeczki do ogródka dzieciennego i koło godziny czwartej je stamtąd zabrałem. Dziś nie były, przynajmniej Kotunia, tak zachwycone ogródkiem, jak wczoraj. Nadmiar wrażeń męczy je trochę, szczególnie Kotunię, która jest słaba i anemiczna. Gdy przychodzą z ogródka do domu, to już są zmęczone, a po obiedzie już senne i znerwowane. Szczególnie to widać na Kotuni. W ogródku wczoraj były oględziny lekarskie dzieci. Lekarka stwierdziła, że obie nasze dziewczynki są słabe i że trzeba im dawać tranu. Zdaje się, że co do Igi – to się trochę myli. Iga ma dobry apetyt i wydaje się silna, bez defektów, ma tylko skłonność do kataru, który jest u niej prawie chroniczny. W związku z ogródkiem zanotuję tu pewien szczegół, który charakteryzuje stosunki polsko-litewskie w Wilnie, raczej stosunek nastawienia ludzi z pospólstwa polskiego do Litwinów. Gdy przed paru dniami Jadzia poszła zapisać dzieci nasze do ogródka i w dzielnicy domu na Bernardyńskiej, gdzie się mieści ogródek, spytała dozorczynię czy też żonę dozorczy domu, czy tu jest i gdzie jest ogródek, a spytała po polsku, to ta jej ogródek wskazała, ale „uprzedziła”, że to jest „ogródek chamów”, to znaczy „litewski”. Dla pospólstwa tego Litwini – to „chamy”. Przykre jest to, że te zabagnienie stosunków polsko-litewskich obserwują Rosjanie z Sowiec. Słyszałem w Komisji Planowej, jak jedna z urzędniczek, Rosjanka czy Ukrainka z Charkowa, w rozmowie z kilku żołnierzami sowieckimi mówiła im o dzikiej, nieludzkiej i niepojętej nienawiści między Litwinami i Polakami, na co żołnierze sowieccy odpowiedzieli, że Sowiety zabiorą się do tego i „zrobią porządek”, żeby tego nie było. Takie stosunki wewnętrzne ułatwiają Sowiecom rolę czynnika panującego, „urządzającego” ten kraj.

Miałem dziś mój wykład. Słuchaczy przychodzi mało. Miałem ich trzech. Sami oni mówią, że z II kursu tylko oni trzech uczęszczają na wykłady, ale za to uczęszczają regularnie, podczas gdy żaden inny z ogólnej liczby szesnastu studentów, zarejestrowanych na II kursie, nie przychodzi nigdy. Ci troje – to dwaj studenci i jedna studentka. Studentka – to Adamonytė z Rakiszek, ta sama, która jeździła ze mną ciężarówką do Rakiszek. Z dwóch studentów jeden jest także z powiatu rakiskiego, niejaki Mikėnas, drugi zaś – Józef Stankunas – pochodzi z powiatu święciańskiego, a więc z Wileńszczyzny i za czasów polskich skończył gimnazjum litewskie w Wilnie. Profesorowie, którzy wykładają na III kursie wydziału naszego, mają jeszcze gorzej, bo tam na wykłady nikt ze studentów nie przychodzi i wykłady nie dochodzą do skutku.

Nie mieliśmy dotąd niani do Żermeny i do pomocy Jadzi w gospodarstwie domowym. Było to dla Jadzi bardzo uciążliwe. Choć wiele osób ze znajomych i krewnych obiecało nam szukać jakiejś kobiety lub panienki, ale nie bardzo robiono nadzieję, bo z tym jest bardzo trudno. Jadzia, która bardzo prędko się nerwuje i skłonna jest wtedy widzieć wszystko w czarnych kolorach, rozpaczala już, że się nikt do pomocy nie znajdzie. Aż oto dziś zaczęły się znajdować kandydatki ze wszystkich stron. Z nich dwie się nam wydały bardzo odpowiednie, trzecia – może doświadczona, ale wymagająca dużo, czwarta – zgoła niezdatna, jakaś histeryczka, a może nawet chora na umyśle. Z dwóch pierwszych jedną umówiliśmy z łatwością, choć potem druga też się podobała bardzo. Umówiona jest Sabina Jarmuszówna, Wilnianka 22-letnia. Będzie stała, to znaczy będzie u nas mieszkała, poza utrzymaniem będziemy jej płacić po 25 czerwońców miesięcznie. Z czerwońcami będzie u nas krucho; cała nadzieja na to, że Jadzia zarabiać będzie w interesie Józki Ciświckiej. Panna Sabina Jarmuszówna ma się już zgłosić do pracy jutro.

Są w mieście pogłoski, że Niemcy przerwali front sowiecki na pograniczu Prus Wschodnich i że zajęli Wyłkowyszki. Podług innej wersji, Niemcy zajęli Szawle i lotnictwo niemieckie bombardowało Lublin, Grodno i Kowno. Z Kowna z kół litewskich słychać, że tam przyjechały jakieś oddziały NKWD czy NKGB i że ludzie są w strachu, żeby się nie rozpoczęło znowu, jak w roku 1941, wywożenie masowe ludzi na wschód; gadają już nawet o tym, że przygotowane są wagony, w których przypuszczalnie wywozić będą ofiary.

15 grudnia, rok 1944, piątek

W ostatnich czasach jestem jakoś mniej *au courant* spraw polskich. Zdaje mi się, że są one w pewnym zastoju, towarzyszącym zastojowi w operacjach wojennych na froncie wschodnim. Front ten jak na pograniczu Prus Wschodnich, tak w Polsce właściwej stoi niewzruszony. Tylko na Węgrzech pod Budapesztem Sowiety poruszają się i posuwają po trochu, a choć w prasie i komunikatach swoich dosyć dużo się chwali postęпами swymi, wymieniając co dzień sporo miejscowości zajętych, to jednak w istocie wciąż się kręcą dokoła okolic Budapesztu. Budapeszt, jak dziś powiadają, nie jest wzięty, tylko podobno otoczony. W Grecji, zajętej przez Anglików, są jakieś wielkie rozruchy, dokonywane przez komunistów, którzy usiłują pochwycić władzę i wyrwać ją z rąk rządu królewskiego. Dokoła Aten toczą się, zdaje się, jakieś bitwy. Na tym tle zaznacza się jakby konflikt między Sowietami, które sprzyjają komunistom i zapewne inspirują rozruchy, a Anglikami, którzy przez usta premiera Churchilla wprawdzie twierdzą, że nie zamierzają mieszać się do spraw wewnętrznych greckich, ale zapowiadają, że nie ścierpią, aby zapanowały prądy czy czynniki antydemokratyczne. Co się tymczasem dzieje w Polsce – tego dobrze nie wiem. Wiem tylko tyle, że rząd emigracyjny polski w Londynie został przekształcony co do swego składu osobistego, ale w dalszym ciągu jest zwalczany przez rząd lubelski, który, będąc ekspozyturą sowiecką i opierając się na sowieckiej sile zbrojnej, śpieszy zająć wszystkie pozycje i robić fakty dokonane na rzecz Polski radykalnie lewicowej, a może nawet przygotowanej do sowietyzacji. W Wilnie prawie całe społeczeństwo polskie, przynajmniej wszyscy Polacy, jakich mi się zdarzyło spotkać – od rozbitek ziemiańskich do kół najniższych z ludu i pospółstwa – sprzyja rządowi polskiemu londyńskiemu i rząd lubelski uważa za uzurpacyjny i działający na rzecz nie Polski, lecz Sowietów. A jednak do armii Berlinga, która jest w dyspozycji rządu lubelskiego, ochotnicy w Wilnie – z Wilna i okolic –

zapisują się masowo i przy ulicy Zygmuntowskiej, gdzie się mieści lokal wileńskiego oddziału tzw. „Związku Patriotów”, dokonywującego zapisów do tej armii polskiej, stoją długie szeregi zgłaszających się ochotników. Ochotnicy ci, zmobilizowani i połapani do wojska sowieckiego, nie mogąc się wykręcić, wolą zapisywać się do jakiegokolwiek armii polskiej, niż służyć w wojsku sowieckim. Zresztą podobno w tej armii Berlinga, która dziś już nazywa się armią polską, dominują usposobienia wcale nie sowiecko-lubelskie rządów Osóbki-Morawskiego i Beruty<sup>20</sup>. Oddziały Berlinga, które stanowiły jądro tej tworzonej przez Lublin armii polskiej, kompletowały się w Rosji z jeńców polskich i Polaków, wywiezionych przez Sowiety w latach 1939-1941, którzy byli usposobieni wcale nie prosowiecko, ale były rozcieńczone poniekąd przez Żydów polskich i poniekąd przez tzw. „poporczyków”; ten wyraz „poporczyków” pochodzi nie od słowa „pop”, ale od trzech liter p.o.p. i oznacza takich ludzi, którzy są pochodzenia polskiego i którzy jeszcze tego pochodzenia nie zapomnieli, ale urodzeni i zamieszkali w Rosji, w Sowietach, zatracili mniej lub więcej swoją polskość i są już elementem sowieckim; byli oni kierowani do oddziałów wojskowych polskich jako figuranci, jako „pełniący obowiązek Polaków”, stąd „p.o.p”), mający w wojsku polskim utrzymywać „duch” komunistyczny i sowiecki. Teraz przez dopływ nowych sił z mobilizacji i z ochotników to rozcieńczenie popowsko-żydowskie musi z natury rzeczy rzednąć. Ochotników z Wilna do armii polskiej wysyła się do Białegostoku, gdzie są oni ćwiczeni i wcielani do tej armii. „Związek Patriotów”, założony przez czynniki komunistyczne i zbliżone do nich na emigracji w Sowietach i mający dotąd swą centralę w Moskwie, ma swoje sekcje na całym terytorium Sowietów wszędzie, gdzie są Polacy. Ma on więc i tu w Wilnie swoją sekcję, stojącą oczywiście na gruncie rządu lubelskiego i sojuszu z Sowietami. Jednego z członków tego Związku Patriotów w Wilnie, bardzo zdolnego poetę Teodora Bujnickiego, żonatego z Anielką Stawską, który się już w roku 1940-1941 uwydatnił jako działacz komunistyczny i pod okupacją niemiecką siedział jak mysz pod miotłą u swoich teściów Stawskich w Poniewieżu, a potem u szwagra Justysia Stawskiego w Połudze i niedawno wrócił do Wilna i zaczął działać w Związku Patriotów, tajna organizacja polska zamordowała w mieszkaniu.

16 grudnia, rok 1944, sobota

Nabawiliśmy się dziś z Jadzią bardzo wielkiego strachu. Znerwowany byłem jak nie pamiętam kiedy. Nawet w tych ciężkich dniach przed paru tygodniami, kiedy robiłem zabiegi o ciężarówkę do Bohdaniszek i wszystko się z tą ciężarówką psuło i piętrzyły się coraz to nowe przeszkody i zdawało się już nieraz, że mi się nic z tą jazdą nie uda albo kiedy w nocy na szosie pod Wilkomierzem maszyna się w ciężarówce zepsuła, a benzyny też zabrakło i zdawała się sytuacja bez wyjścia – nawet wtedy, choć byłem nastraszony, [nie byłem tak] przerażony, jak byłem teraz, bo chodziło o dzieci. Było to tak. Rano Jadzia nie puściła Kotuni i Igi do ogródka dziecinnego, bo miała je prowadzić do dr Garlego. Garle przyjmuje od godziny pierwszej do trzeciej po południu. Ponieważ miała prowadzić nie tylko starsze dziewczynki, ale także nieść małą Żermeneę, więc umówiła się z Paulinką Nowicką, że ta przyjdzie i pomoże jej zanieść i odnieść Żermeneę. Paulinka przyszła o jedenastej, ja wyszedłem i wróciłem do domu koło godziny drugiej. Zastałem Jadzię ubraną do wyjścia i bardzo zniecierpliwioną, że Paulinka o dwunastej wyszła na miasto z Kotuńką i Igą i tak długo nie wraca, że może być późno do doktora. Paulinka miała zanieść swój woreczek z mąką do swego mieszkania i zaraz wrócić. Dziewczynki naprosiły się pójść z nią razem. Choć Paulinka mieszka daleko, przy ulicy Kalwaryjskiej, to znaczy za Wilią, ale od południa do drugiej – to czasu na to dosyć, tym bardziej, że Paulinka wiedziała, że trzeba zaraz iść do doktora i miała się śpieszyć. Na razie bagatelizowałem niecierpliwosć Jadzi. Wiem, że jest bardzo nerwowa i w drobiazgach bardzo niecierpliwa i narzekająca. Jadzia ma to do siebie, że w drobnych rzeczach byle co ją wyprowadza z równowagi i wtedy zrzędzi, narzeka, sama jest znerwowana (szczególnie gdy zła pogoda, na którą jest bardzo wrażliwa) i nerwuje otoczenie. Nieraz mię to drażni, bo i na moje nerwy

<sup>20</sup> Mylnie podane nazwisko Bolesława Bieruta, od 1944 roku przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej.

to domowe usposobienie nerwowe źle działa. Ale za to kiedy chodzi o coś wielkiego, kiedy stajemy w obliczu czegoś, co rzeczywiście jest groźne i wymaga jasnego sądu i wyraźnej decyzji, Jadzia po prostu się przeradza: odzyskuje równowagę, ma sąd trzeźwy i wyraźny, decyzję prędką i mądrą, jest zaiste dzielna, sprężysta i silna, a głowę ma wtedy doskonałą i praktyczność znakomitą. Wtedy ją podziwiam i nigdy się na niej nie zawodzę. Ta dwoistość Jadzi – niecierpliwość i nerwowość w drobnych rzeczach, a dzielność i wielkość w istotnych i kapitalnych – to jej cecha bardzo charakterystyczna. Wolę to, niż żeby było odwrotnie. Czas biegł, a dzieci z Paulinką nie przychodziły. Zbliżyła się, potem minęła godzina trzecia. Wyprawa do doktora sama przez się upadła. Ale po trochę zacząłem się niepokoić i ja. Niepokoić o dzieci, co się stało. Paulinka jest przecie stateczna, rozsądna, poważna. Wiedziała, że trzeba się śpieszyć. Ale i nie śpiesząc się musiałyby już wrócić. Stopniowo niepokój mój rósł, nerwy mi zaczęły grać, natomiast Jadzia odzyskiwała swoją równowagę i dzielność. Teraz nie ona już narzekała, a ja sobie lekceważyłem sytuacją i żartowałem z jej kłopotu, ale ja traciłem głowę, a ona myślała chłodno. Powoli zaczął zapadać długi grudniowy zmrok, który w zegarze sowieckim wypada u nas na godziny 3-5 i aż do szóstej. Że coś zaszło, to już się nam stawało jasne. Wyobraziłem sobie, że może Iga, która jest dosyć niezgrabna, upadła na kamieniach i złamała nóżkę lub rękę, że wpadła do wody przy przejściu rzeki przez most prowizoryczny. Tysiące pomysłów i przypuszczeń cisnęło się do głowy. Zmrok się zgęszcza, w nocy po ciemku chodzić trudno i niebezpiecznie, ja zaś w ogóle po ciemku nic nie widzę. Jak tu po ciemku szukać dzieci i gdzie, a doczekać się wieczora i spędzić noc bez dzieci w nieświadomości ich losu – strasznie i zupełnie niemożliwie. Co chwila biegałem do drzwi wyjściowych, słuchałem, czy ktoś się nie dobija, czy ktoś nie idzie po schodach, otwierałem drzwi. Nic. Jadzia zrobiła przypuszczenie, że może Paulinkę z mąką na ulicy zatrzymano, że aresztowano ją, a dzieci są przy niej. Teraz łatwo o to, a w praktyce sowieckiej gdy kogoś aresztują, to często nie ma sposobu coś się o nim dowiedzieć, gdzie jest i co się z nim stało. Wpada jak kamień do wody. Jadzia zobaczyła, że Paulinka zostawiła w naszym mieszkaniu wychodząc swoją torebkę ze wszystkimi dokumentami osobistymi – paszportem, dowodem pracy, przepustką na chodzenie w nocy... Bez dokumentów, które nieraz na ulicy sprawdzają, mogli ją tym bardziej zatrzymać. Chodziłem jak dziki zwierz w klatce po pokoju jadalnym i przedpokoju, pilnując drzwi wejściowych. Przyszła godzina czwarta. Ciemnieje. Dłużej zwlekać nie można. Paulinki i dzieci ani śladu. Trzeba przede wszystkim spróbować udać się do mieszkania Paulinki. Dla mnie na Kalwaryjską za Wilię za daleko. Póki bym doszedł, już byłaby noc, zwłaszcza że śnieg napadał i jest ślisko, chodzę jak spętany. Jadzia adresu Paulinki dobrze nie wie. Pośpieszyła więc do Reni Bagdonaitė, która pracuje w księgarni przy ulicy Giedymina, żeby ją prosić udać się do mieszkania Paulinki dowiedzieć się o dzieciach, jeżeli tam coś o nich wiedzą. Niebawem Jadzia wróciła. Renię w księgarni w ostatniej chwili jeszcze zastała, już na wychodnym. Renia udała się do mieszkania Paulinki. Jeżeli tam dzieci nie zastanie i nic się o nich nie dowie, to trzeba będzie chyba szukać po komisariatach milicji przez restaurację „Bukietu” (jest to restauracja samych szczytów sowieckich w Wilnie z samym Paleckim na czele), w której Paulinka służy za kucharkę. Ale gdzie by się to dało znaleźć, zwłaszcza przy poszukiwaniu w nocy. Wszakże po jakimś czasie posłyszeliśmy dobijanie się do drzwi. Otworzyłem: przyszła Renia z obiema dziewczynkami naszymi. Okazało się, że w mieszkaniu Paulinki była rewizja, zatrzymano tam wszystkich mieszkańców i zrobiono zasadzkę. Żołnierze sowieccy aresztowali i zatrzymywali każdego, kto przychodził do mieszkań – w ten sposób zatrzymana została także Paulinka z naszymi dziećmi, gdy przyszła do mieszkania.

17 grudnia, rok 1944, niedziela

Odnaleźliśmy więc wczoraj nasze Kotuńkę i Igusię szczęśliwie. Groziło jednak niebezpieczeństwo, że Renia Bagdonaitė, która poszła po nie, sama mogłaby być zatrzymana. Gdy bowiem w jakimś mieszkaniu czynniki wywiadu sowieckiego po dokonaniu rewizji urządzają zasadzkę, która zwykle trwa po kilka dni, to nie tylko nie wypuszczają z mieszkania nikogo z tych, których tam zastali, ale też zatrzymują wszystkich, którzy do mieszkania tego przychodzą, poczym

cały „plon” pobranych ludzi skierowują do śledztwa, gdzie dopiero każdego z ich badają, prowadzą mniej lub więcej długie dochodzenie i wreszcie bądź wypuszczają, jeżeli nie znaleziono poszlak, bądź osadzają w więzieniu, bądź oddają do NKGB... Pod tym względem takie są metody tak sowieckie, jak gestapo niemieckiego. Być może, że czynniki odpowiednie miały jakieś poszlaki lub podejrzenia na mieszkanie, w którym mieszka Paulinka, na gospodarzy mieszkania, względnie na tych, którzy to mieszkanie odwiedzają. Poszukują one zapewne śladów organizacji tajnych, które dokonywują zabójstw politycznych (zabójstwo Teodora Bujnickiego), ewentualnie szajek bandyckich, rabujących ciężarówki itp., może jakichś gniazd ruchu partyzanckiego. Rewizja, którą dokonano w mieszkaniu u Paulinki, dała, zdaje się, niezbyt dobre rezultaty dla Paulinki; Renia widziała położone na stole jakieś części uzbrojenia i kartę wojskową Pagirysa z Ażubal, który za okupacji niemieckiej służył w batalionach litewskich, a potem w ostatniej chwili przed wkroczeniem Sowietów, nie chcąc z Niemcami się cofać, zdezerterował po cywilnemu, zostawiając u Paulinki swoją kartę wojskową i coś z broni. Teraz może to być dowodem przeciwko Paulince, że miała jakieś konszachty z czynnikami niemieckimi, ewentualnie dziś partyzanckimi czy bandyckimi. Gdy Renia tam przysła po dzieci i trafiła na zasadzkę, żołnierze chcieli na razie i ją zatrzymać, mimo że Renia prosiła, żeby pozwolono jej zabrać dzieci nasze, których matka trapi się i płacze. Wreszcie starszy z tych żołnierzy zlitował się nad nią czy nad dziećmi, wyprowadził Renię do przedpokoju i powiedział, że ze względu na jej młody wiek nie chce jej gubić i puści ją z dziećmi wyjść, ale żąda kategorycznie, żeby milczała i nikogo o tej zasadzce nie uprzedzała, bo jeżeli nikt więcej do mieszkania tego się nie zgłosi, to znaczy że Renia uprzedzi tych, co by przyjść mogli, to on Renię zabierze z miejsca jej pracy i zaaresztuje. Zapisał imię i nazwisko Reni, jej adres, miejsce pracy i wypuścił ją z dziećmi. Tą drogą szczęśliwie odzyskaliliśmy wczoraj przed nocą dzieci. Gdyby po dzieci była poszła nie Renia, lecz Jadzia, to bardzo jest prawdopodobne, że i Jadzię by zatrzymano. To bym się miał pięknie, gdybym się na noc nie doczekał ani dzieci, ani Jadzi. Paulinki i dziś nie wypuszczono i do nas po jej torebkę i dokumenty osobiste się nie zgłoszono. Nikomu o tym nie mówimy, żeby przez to nie zaszkodzić Reni. Jeżeli jednak do jutra Paulinka się nie zgłosi; to zawiadomimy zarząd restauracji „Bukietu”, w którym służy Paulinka i oddamy tam torebkę i dokumenty Paulinki.

Byłem dziś z Kotuńką i Igą w kościele św. Jana na sumie litewskiej. Po kazaniu, które miało miejsce po sumie, zebrani po odśpiewaniu kilku pieśni kościelnych zaintonowali hymn narodowy „Lietuva, Tėvynė mūsų”. Śpiewał cały kościół. Na nabożeństwie obecny był z córeczką prorektor do spraw gospodarczych naszego uniwersytetu, prof. Horodničius. Teraz jest rzadkie, żeby ludzie, zajmujący takie lub inne stanowisko czołowe, choćby apolityczne na uniwersytecie, odważali się otwarcie uczęszczać do kościoła.

18 grudnia, rok 1944, poniedziałek

O Paulince nic nie słyhać. Jadzia zaniósła jej torebkę z dokumentami do restauracji „Bukietu” i doręczyła je gospodyni tej restauracji. Na prośbę tej gospodyni napisałem oświadczenie („pareiškimas”), o którym wyłożyłem okoliczności, w jakich pozawczoraj Paulinka wyszła z naszego mieszkania do swego, zostawiając u nas swoją torebkę z dokumentami i nie powróciła. Gospodyni restauracji była wysłała już człowieka do mieszkania Paulinki, ale ten nie wrócił – widocznie i ten natrafił na zasadzkę i został zatrzymany. Teraz zarząd restauracji „Bukietu” będzie czynił zabiegi o uwolnienie Paulinki przez milicję. Tylko nie wiadomo, czy nie skompromituje Paulinki karta wojskowa Pagirysa, którą u niej znaleziono i czy nie spowoduje to jej dłuższego aresztowania i dochodzenia. Cała nadzieja w tym, że restauracja „Bukietu” posiada duże plecy, bo to restauracja uprzywilejowana, przeznaczona dla samego Paleckiego, dla komisarzy ludowych i najwyższych szczytów sowiecko-litewskich.

Dziś Jadzia sprowadziła dr Garlego do mieszkania naszego dla obejrzenia przezeń wszystkich córeczek naszych. Bała się nieść do niego Żermenę. Kosztowało to nas drogo, bo dr Garle, który jest w Wilnie najwybitniejszym lekarzem dzieciennym, wziął za wizytę 50 czerwońców, ale trzeba było,

bo jego diagnoza jest miarodajna, a poza tym zna on całą przeszłość Kotuni i Igi pod względem stanu ich zdrowia i pamięć ma pod tym względem doskonałą, a leczył je stale w latach 1940-1941. U Kotuni anemii nie stwierdził, u Igi stwierdził bronchit, przepisał im tranu niedużo i jakieś preparaty oraz dał wskazówki co do pokarmu. U Żerмены najbardziej niepokojąca była wysypka, którą ma stale; w obecnym stadium zwłaszcza jej rączki są pokryte strupami, które się otwierają i z których sączy się materia. Strupy na policzkach już zasychają, na nóżkach strupów już nie ma. Dr Garle stwierdził, że to nie są skrofuły, ale że jest zakażenie wtórne. Zalecił na razie okłady z wody borowej, poczym smarowanie maścią. Żermena dotąd nie ma ząbków, nieco opóźniony jest jej rozwój co do pełzania i stawiania, ale dr Garle powiada, że w tym nie ma nic złego i niebezpiecznego i że wszystko w porę się znajdzie.

Bardzo ucieszyliśmy się z Jadzią, że wyznaczono mi już limitę na 300 rubli. Pozawczoraj wydano mi na uniwersytecie książeczkę limitową. Byłem wtedy akurat bardzo zmartwiony tym, że zgubiłem kartkę abonamentową na produkty dodatkowe na grudzień, bo kartka ta daje dosyć dużo różnych dobrych produktów. Musiała mi ona gdzieś wypaść z kieszeni, gdzie ją wśród innych papierosów trzymałem. Jest to strata dotkliwa, ale książeczka limitowa mię pocieszyła. Otrzymałem tę książeczkę za listopad, a w tych dniach otrzymam na grudzień. Limita – to rzecz doskonała. Dostaje się w specjalnej „Rucie” przy ulicy Giedymina pod nr 4 bardzo tanio całe mnóstwo doskonałych produktów amerykańskich – ryż, ser doskonały, cukierki doskonałe, rybę znakomitą, konserwy mięsne, mleko kondensowane słodzone i różne inne rzeczy, poza tym zaś, to znaczy poza limitą trzystu rubli – trzy flaszki wódki niemieckiej i 300 papierosów „Viktoria”. Jadzia cieszy się z tej limity jak dziecko. Zaopatrza ona dobrze naszą spiżarnię domową, zapewnia lepsze odżywianie dzieci, stanowi wielką oszczędność i daje jeszcze pewien zysk pieniężny, bo wódkę, papierosy, a czasem i coś innego z produktów można spieniężyć, osiągając zysk, który jest większy od całego kosztu limity, czyli że ma się wtedy produkty z limity za darmo plus jeszcze pewną nadwyżkę gotówki w kwocie kilkudziesięciu czerwonońców. Ta limita stawia nas na nogi pod względem zaprowiantowania. Ogółem limitę udzielono 16 profesorom. Jest ona dla mnie rentą moich prac poprzednich. Obecnie bowiem moja praca naukowa redukuje się li tylko do dwóch godzin wykładów tygodniowo, co samo przez się nie stanowiłoby zasługi równoważącej także ekstra wynagrodzenie. Ale ceniona jest moja praca dawna, która dała nauce litewskiej kapitalne wartości i stanowi moją zasługę, rentującą obecnie, bo samo imię moje dodaje uniwersytetowi wartości, a ci, co dziś rządzą Litwą sowiecką, są moimi uczniami.

19 grudnia, rok 1944, wtorek

Różne chodzą po Wilnie trwożne słuchy. Zresztą pod względem pogłosek alarmujących Wilno jest klasyczne. Nie wiem, czy jakkolwiek inna miejscowość może w tym rywalizować z grodem Giedymina. Tak było w czasie tej wojny za każdym okresem, zarówno w dobie państwowo-litewskiej w latach 1939-1940, tak za czasów sowieckich w latach 1940-1941, tak za okupacji niemieckiej w latach 1941-1944, tak jest obecnie w drugiej połowie roku 1944. Nigdy Wilno nie znało umiarkowania pogłosek i plotek politycznych, straszniejszych i przeraźliwszych jedne od drugich. Prawda, że Wilno nie tylko się nasłuchiwało pogłosek strasznych, ale i przeżyło wiele strasznej rzeczywistości i niepodobna zaprzeczyć, że niemało z tego, co było zapowiadane w pogłoskach, tak lub inaczej się sprawdziło, ale gdyby wszystko się było sprawdziło, to byłoby już coś jak koniec świata. Do tej manii pogłosek w Wilnie, do ich zasięgu i wybijania przyczynia się niewątpliwie wielka różnorodność środowiska społecznego. Są tu bowiem stłoczone duże społeczności, które są wzajemnie nastawione nieprzejeźdnie, choć obie cierpią – litewska i polska – nie licząc społeczności politycznie nadrzędnej, bądź poprzednio niemieckiej, bądź obecnie sowieckiej, do której grawitują pewne odłamy dwóch pierwszych, jak czynniki sowiecko-litewskie albo żydowskie albo też polskie z tzw. „Związku Patriotów”. Najwięcej pogłosek alarmistycznych produkuje społeczność polska, wśród której najliczniejsze są elementy zdeklasowane i przez to wykolejone, nie mające określonego zajęcia, żerujące na spekulacji lub wegetujące na sprzedawaniu resztek dawnego

dobytku, nie mające realnego oparcia w istotniejszym stanie rzeczy. Te elementy drżą o byle co i wszystko się im wydaje brzemienne strasznymi możliwościami. Poniekąd mają rację, ale ich strach ma przeogromne oczy, a wyolbrzymia płody ich wyobraźni także ich ostre uczucie nienawiści do wszystkiego i wszystkich, co tak lub inaczej związane jest z dniem dzisiejszym i co się logicznie nie zrasta z ich przeszłością. Z tej atmosfery i z tych elementów rodzą się wprawdzie odruchy ofiarności i konspiracji, ale rodzi się też deprawacja i zwłaszcza przemożne pragnienie defetyzmu na wszystkie strony, a już zwłaszcza na litewską i sowiecką i paniczny strach o siebie. Teraz całe Wilno, a już szczególnie Wilno polskie, żyje pod znakiem oczekiwania wielkich aresztów i masowych wywożeń ludności na wschód na wzór wywożeń z czerwca roku 1941. Że areszty, obławy i zasadzki w ostatnich paru tygodniach w Wilnie bardzo się pomnożyły – to fakt, ale do wywożeń masowych, przynajmniej jeszcze dotąd, nie doszło, są one jednak uporczywie zapowiadane na czas najbliższy przez pogłoski. Nie jest pod tym względem spokojnie w Wilnie, jak nie jest spokojnie i na wsi, nie tylko zachodniobiałoruskiej i podwileńskiej, ale nawet litewskiej (zwłaszcza wymieniane są powiaty wilkomierski, uciański, jezierski, rakiski, kiejdański), gdzie ruch partyzancki i terrorystyczny się szerzy stale. W każdym razie, opowiadają tu w Wilnie rzeczy i prognozy straszne. Boją się też nalotów niemieckich, zbliżenia się działań wojennych pod Wilno. Opowiadają o jakichś desantach niemieckich pod Wilnem. Na Kowno nalot niemiecki istotnie miał miejsce, ale zrzucono tylko trzy bomby. W Wilnie dokoła katedry i podobno na Placu Łukiskim żołnierze kopią okopy i przygotowują stanowiska dla artylerii zenitowej przeciwlotniczej.

20 grudnia, rok 1944, środa

Wśród licznych aresztowań ostatnich czasów, których ofiarą padła między innymi i Paulinka, jest też jedna zgoła niewinna ofiara z naszej rodziny. Dotknęło to znowu nieszczęśliwego Julka Komorowskiego, ojca trzech synów, którzy jeden po drugim padają ofiarą różnych przygód, mających czasem wynik tragiczny i straszny. Trzej byli synowie Julka i Madzi Komorowskich, dorodni, silni i zdrowi, krew z mlekiem. Zyś lat koło 19, Biś (Bronek) lat koło 17-18 i najmłodszy Docio (Antoś) lat 14. Za okupacji niemieckiej, mniej więcej przed rokiem, może trochę wcześniej, aresztowany został drugi – Biś, którego imię „Bronisław“ dane mu było na pamiątkę Bronka Römera z Antonosza, syna stryja Bronisia i stryjenki Marii z Jundziłów. Bronek Römer, ułan wpierv w gwardii rosyjskiej w wojnie z lat 1914-1918, potem w roku 1917-1918 oficer ułanów w korpusie polskim Dowbór-Muśnickiego, zaznaczył się świetnym dowództwem w bitwach, potyczkach, wycieczkach i wywiadach patroli, zyskał imię śliczne w kartach oddziałów polskich w walkach o niepodległość i w pamięci kolegów. W wielu książkach z owej epoki albo w owej epoce są piękne wspomnienia o nim, są wiersze na uczczenie Bronka Römera. Po rozwiązaniu polskiego korpusu Dowbór-Muśnickiego przez okupantów niemieckich Bronek Römer był na krótko wrócił do rodzinnego Antonosza, ale zaraz pośpieszył stamtąd do szeregów walki o niepodległość Polski, mianowicie na daleki północny Murman, gdzie nad Oceanem Lodowatym i pod Archangielskiem nad Morzem Białym tworzyły się i działały przeciwko Sowietom oddziały polskie wspólnie z desantem francusko-angielskim. Trzeba było się przedzierać po kryjomu, w przebraniu i za fałszywymi paszportami przez ogromne terytorium sowieckie. Bronek Römer miał postawę wspaniałą i piękną twarz rasową, która go musiała zdradzać, że nie należy do pospólstwa rewolucyjnej w tym czasie Rosji. Ujęty koło miasteczka Powieniec nad jeziorem Ładoga, został zdemaskowany i rozstrzelany. Na jego pamiątkę otrzymał imię Bronisława drugi syn Julków Komorowskich – Biś. Nomen omen. Jak w roku 1918 Bronek Römer został rozstrzelany przez bolszewików pod Powieńcem nad Ładogą, tak w roku 1943 czy 1944 rozstrzelany został przez Niemców w miejscu masowych egzekucji na Ponarach pod Wilnem Bronek-Biś Komorowski po długim więzieniu. Na ratowanie syna Julek niczego nie żałował. Kosztowało go to dużo, bo dawał łapówki, przekupywał, był dojony przez tych, co obiecywali pomoc i wskazywali drogi, wyczerpał się ze wszystkiego, co miał, a miał poprzednio dużo, bo w roku 1942 grubo zarabiał na spekulacji i na dzierżawionych w Wilnie ogrodach, ale nie żałowałby niczego, gdyby skutek był dobry. Ale wszystko poszło na nic. Rodzice dowiedzieli się o

straceniu syna z bardzo wielkim opóźnieniem, już oczywiście daleko *post factum*. Biś brał, zdaje się, czynny udział w konspiracjach partyzanckich i tajnych organizacjach młodzieży polskiej. Starszy brat jego Zyś był także przez gestapo niemieckie poszukiwany i zapewne spotkałby go los brata, gdyby go ujęto. Ukrywał się długo gdzieś na Żmudzi pod Szarkienami, majątku Gorskiego. Potem był w partyzantce polskiej pod Wilnem. Po wcieleniu teź do wojska sowieckiego czy też polskiego, działającego pod skrzydłami sowieckimi, coś jak gdyby protestował, jak słyszałem, czy zwał, był schwytyany, mówiono, że został wysłany do Kaługi, ale zdaje się, że jest w wojsku polskim Berlinga. Zresztą dokładnie nie wiem i trudno pytać, bo jego historia wiąże się z konspiracją. U rodziców pozostał trzeci syn – 14-letni Docio, dziecko prawie. Docio był w gimnazjum polskim w Wilnie. Ponieważ rodzice jego mieszkają daleko – w Wołokumpiu na dalekich przedmieściach za Antokolem i Pośpieszką, więc na drugie śniadanie chodził z gimnazjum do pp. Sołtanów, gdzie dostawał zupę. I oto nagle u pp. Sołtanów zarządzona została rewizja z zasadzką, zatrzymującą wszystkich, kto się do mieszkania zgłosi. W ten sposób został aresztowany i Docio i odtąd, jak zawsze u Sowietów, wpadł, jak kamień w wodę. Z mieszkania wywieziono wszystkich, a więc i Docia, ciężarówką, ale dokąd – nikt nie wie. Gdzie Docio jest i co się z nim stało, Julek nie może się dowiedzieć. Wszelkie poszukiwania są beznadziejne. Ma się nadzieję, że go przecie wypuszczą, bo to dziecko.

21 grudnia, rok 1944, czwartek

Mróz strzelił. Jest 12°. Przemarzałem dziś dobrze w dziekanacie naszego wydziału, czekając na mój wykład półtorej godziny. Wykład się nie odbył, bo nikt ze słuchaczy nie przyszedł. Od soboty bowiem 23 grudnia senat akademicki zarządził ferie świąteczne do 2 stycznia i studenci wyjeżdżają na święta na wieś. Z moich trzech stałych słuchaczy wiem, że jedna – Adamonytė – już wyjechała; wyjechali więc może i dwaj inni. Lubię datę 21 grudnia, bo to dzień przesilenia słonecznego. Odtąd wkroczymy w okres rosnącego słońca i dnia, który nas zaprowadzi – aczkolwiek nierychło jeszcze – do wiosny.

Mojej siostrze Elizce Komorowskiej, która ma już 73 lata, w styczniu ma być zrobiona operacja katarakty. Elizka jest obecnie, po śmierci Kotuni Pruszanowskiej, najstarsza z naszej pozostałej trójki rodzeństwa: Elizka, Elwira Mieczkowska i ja. Elwira ma lat 69 czy 70, ja – 64. Starzy już jesteśmy, w wieku sędziwym. Jesteśmy już prawdziwie na schyłku i wykuszamy się stopniowo. Elizka i Elwira mogą już umrzeć. Ich śmierć, wyjąwszy ból dla uczuć rodzinnych dzieci, nie byłaby dla nikogo stratą w jego potrzebach życiowych. Poniekąd byłaby nawet wyzwoleniem, bo ich życie, które jest już spełnione, wiąże jeno życie dzieci dorosłych i samodzielnych. Inaczej jest ze mną. Fizycznie i w zakresie mojej pracy naukowej, która jest największą wartością moją społeczną, i moje życie byłoby już spełnione i nieraz mam uczucie, że śmierć byłaby dla mnie wyzwoleniem. Ale spóźniony jestem w życiu rodzinnym. Mam małe dzieci, dla których żyć jeszcze muszę, bo gdybym umarł, osierociłbym je istotnie i beze mnie Jadzi trudno by było dać radę z ich wychowaniem i wykształceniem. To jest wielki i trudny ciężar mojej starości. Gdyby nie ta wojna, gdyby Litwa była nadal niepodległa i rządziłaby się jak dawniej, to trudności tych by nie było. Dostałbym dobrą emeryturę, miałbym Bohdaniszki i wychowanie dzieci byłoby zapewnione.

Elizka Komorowska zawsze się bała katarakty i uważała ten defekt za bardzo ciężki. Pamiętam, jak się poruszyła, kiedy się dowiedziała o mojej katarakcie i że mi będą robić operację oka. W ostatnich czasach zaczęła sama zapadać na wzrok. Domyślałem się, że to katarakta. I tak się też okazało. Boi się ona tej operacji. Operować ją będzie prof. Abramowicz i w tej samej klinice ocznej, w której ja przed dwoma laty byłem operowany. Prof. Abramowicz w ostatnich czasach okupacji niemieckiej ukrywał się, bo zachodziło niebezpieczeństwo, że Niemcy przyczepią się do jego pochodzenia żydowskiego. Podobno już się byli zaczęli czepiać.

22 grudnia, rok 1944, piątek

Dziś koło południa rozległa się w Wilnie strzelanina z dział artylerii zenitowej i potem kilka razy się powtarzała. Odgłos wystrzałów dochodził gdzieś od stacji kolejowej, może od aerodromu w

Porubanku. Ludzie się nie chowali, ruch uliczny nie ustał. Czy to był jakiś nalot samolotów niemieckich, względnie przelot albo spostrzeżono jakiś niemiecki samolot wywiadowczy, czy tylko manewry próbne obrony przeciwlotniczej – nie wiadomo. Jedni twierdzą jedno, inni – drugie. Na Kowno w ostatnich 10 dniach było już kilka nalotów niemieckich z bombardowaniem, aczkolwiek słabym. Ale nawet słabe bombardowanie Wilna mogłoby być niebezpieczne, bo, po pierwsze, bomby, choć nieliczne, zawsze przecie gdzieś spadną i coś uszkodzą albo kogoś skaleczą lub zabijają, a po wtóre, mogą być wybite szyby w oknach, co teraz byłoby bardzo ciężkie, bo mrozy strzeliły duże (dziś jest 18° mrozu), a szyby dostać jest teraz trudno i są one drogie.

Czytałem dziś długie wyciągi z ostatniej mowy premiera angielskiego Churchilla, wypowiedzianej 15 grudnia w Izbie Gmin. Sowiety bardzo pilnie i skwapliwie cytują długie ustępy tej mowy, która popiera ich zdobycze terytorialne sprzed roku 1941. Mowa ta wywołała wielką sensację w Wilnie, a zapewne i w innych ośrodkach polskich na tych ziemiach, które Sowiety zagarnęły od Polski w roku 1939, zwłaszcza zapewne we Lwowie. Churchill w tej mowie zwraca się zwłaszcza do Polski i do rządu polskiego w Londynie. Nawołuje Polskę do wyrzeczenia się na rzecz Sowietów wschodnich ziem Polski, położonych za Bugiem na tak zwanych przez Polaków „Kresach Wschodnich” (ziemie etniczne i historycznie ukraińsko-białorusko-litewskie wraz z Galicją Wschodnią), za które obiecuje Polsce „kompensatę” w postaci Prus Wschodnich „na południe i na zachód od Królewca” (widocznie część Prus Wschodnich na wschód i północ od Królewca dostałaby się Sowietom jako uzupełnienie terytorium Litwy). Poza Prusami Wschodnimi, które gwarantuje kategorycznie w zamian za cesję „Kresów Wschodnich”, robi Polakom nadzieję rozszerzenia terytorium polskiego i dalej na zachodzie kosztem Niemiec, obiecując, że zwycięskie mocarstwa sojusznicze będą usposobione przychylnie do odpowiednich żądań polskich rozszerzenia terytorium państwowego Polski na zachód. Zaznacza też wyraźnie konieczność w związku z tym przesunięciem terytorium państwowego Polski ze wschodu na zachód przesiedlenia kilkomilionowej masy ludzkiej – mianowicie polskiej z cedowanych ziem wschodnich do Prus i nabytków zachodnich i niemieckiej – z Prus i zachodnich nabytków terytorialnych polskich do terytorium Rzeszy niemieckiej. Całą tę operację zaleca Polsce przyjąć jako mądrą, dla samej Polski dodatnią i zupełnie uzasadnioną ze stanowiska roszczeń sowieckich, którym się to należy i których udział w wojnie i zwycięstwie musi być należycie skompensowany. Przekonać wszakże jakiś naród, żeby pozamieniał swoje ziemie na obce i przeniósł się wielką masą z pierwszych na drugie – jest dosyć trudno. Argument o wyższości kulturalnej i bogactwie nabywanych ziem zachodnich zamiast cedowanych wschodnich jest mało istotny, gdy z tych ziem nabywanych usunie ich ludność rdzenną, która była czynnikiem tej kultury. W mowie Churchilla, która jest rodzajem kazania przekonywającego, zwróconego do Polaków, jest stwierdzenie, że taką jest wyraźnie opinia angielska, uzgodniona z sowiecką, natomiast nie jest to jeszcze opinia trzeciego partnera – Stanów Zjednoczonych, które dotąd jeszcze się nie zdecydowały. Ale pan Churchill żywi nadzieję, że Stany Zjednoczone wcześniej czy później dojdą jednak do tego samego wniosku i zdecydują się.

23 grudnia, rok 1944, sobota

Ponieważ jutro jest niedziela, to znaczy dzień niewłaściwy dla postnej wieczerzy wigilijnej, więc dzień kucji przenieśliśmy z dnia jutrzejszego na dzisiejszy. Na kucję zaprosiliśmy najstarszą dziś w rodzie Römerów, przynajmniej w Wilnie (bo w Łotwie w powiecie rzeżyckim mieszka jeszcze starszy od niej jej brat Józef Römer) kochaną Helę tak zwaną Czarną Römerównę, malarzkę, osobę niezmiernie dobrą i pełną niewyczerpanej słodyczy, liczącą sobie już 83 lata (urodzoną w roku 1861), ale jeszcze ruchliwą i dającą sobie radę (mieszka sama jedna i sama siebie obsługuje, choć pomagają jej w tym sąsiedzi, których dobrocią swoją i uczynnością umiała zjednać, daje jeszcze lekcje rysunków i języków niemieckiego i angielskiego), następnie Ewę Meyerową z córką Lizą i siostrzenicę Jadzi Renią Bagdonaitė, która jest tu dla nas bardzo uczynna i w wielu rzeczach pomocna. Zapraszaliśmy też Józię Ciświcką jako jedną z najbliższych krewnych moich, ale Józia odmówiła, mówiąc, że kucja w rodzinie budzi u niej zbyt bolesne wspomnienia wobec jej samotności

obecnej, woli więc spędzić ten wieczór samotnie: wypłacie się sama, ale innym psuć usposobienia nie będzie. Moglibyśmy zaprosić także Andrzeja Mieczkowskiego, który jest równie bliskim krewnym moim (syn siostry), jak Józia i Ewa, ale Andrzej ma żonę i kucję zechce spożyć z pewnością z żoną w jej rodzinie.

Przez cały dzień Jadzia była zajęta przyrządzaniem kucji. Rano wystarała się o opłatki i o blachę do pieczenia do duchówki, a potem cały czas do wieczora pracowała w kuchni. Ale też przyrządziła nam bardzo smaczną i obfitą kucję. Był więc przede wszystkim winegret z kartofli, fasoli, buraczków i ogórków, do którego wmieszała też kawałki doskonałej ryby wędzonej z gatunku łososiny. Ryba ta, którą mamy z produktów limitowych, była poza tym podana osobno na półmisku. Zupa była z buraczków i pomidorów suszonych z pierożkami z kapustą. Następnie śliżyki z doskonałym mlekiem makowym i żele na deser. Do tego butelka bardzo dobrego wina burgundzkiego, otrzymanego także na książeczkę limitową. Wstaliśmy od stołu syci i pełni jak baki. Ewa z Lizą i Renią odeszły do domu, Hela zaś Czarna zanocowała u nas.

Zmieniliśmy służącą czy niańkę (w terminologii sowieckiej nazywa się „pracownica domowa”), którą trzymamy. Sabina Jarmuszówna, która była poprzednio, okazała się mało zdatna. Cicha była, ale bardzo powolna i słaba. Nie mogła nic robić poza niańczeniem Żermy – ani pójść do miasta, ani podłogi pomyć, ani dREW przynieść, ani pomóc Jadzi w czymkolwiek. Pobyła tydzień i bez wielkiego zmartwienia odeszła. Teraz zaangażowaliśmy Helenę Gruszel, mężatkę, której mąż jest wywieziony do Niemiec i która ma chłopczyka niespełna dwuletniego. Chłopczyka rano oddaje aż do wieczora do żłóbka, sama zaś pracuje we dnie. Będzie przychodzącą – od godz. dziewiętej rano do piątej po południu. Ta żadnej pracy się nie lęka, jest prędka i dzielna.

24 grudnia, rok 1944, niedziela

Cichutko spędziliśmy ten dzień przedświąteczny, jak także spędzimy święta nadchodzące. Ja nie wychodziłem dziś z domu wcale. Mróz wprawdzie na dworze zelżał. Jest stopni mrozu zaledwie kilka, ale czuję pewne ziębienie, jestem zakatarzony, a w nocy miałem duszność wielką, co jest zapewne skutkiem obfitego jADŁA na wigilii wczorajszej i dużej ilości skonsumowanych płynów. Dużo płynów zawsze mi szkodzi, bo osłabia i męczy serce.

Nic nie wiemy, co się dzieje na wielkim świecie, w szczególności na najbliższym odcinku frontu wojennego w Prusach Wschodnich. Gazet prawie że nie miewam w ręku, bo kupić gazetę niepodobna; natrafić w kiosku na sprzedaż gazet – to prawie tak, jak wygrać los na loterii. Prenumerować gazet też nie można, chyba tylko zbiorowo całą grupą osób do jednego miejsca. Ale też gazety nic prawie nie dają. Na treść gazet składa się to, co władze uważają za właściwe komunikować w oświeceniu, które im dogadza, oraz artykułiki stereotypowe, zachwalające to, co chwalić kazano lub górnolotnie nawołujące do różnego rodzaju wysiłków i osiągnięć albo notujące „entuzjazm” bądź włościAN, bądź robotników fabryk itd. Po prostu w zakresie prasy nie ma co czytać. Wolnego słowa poza tym, co jest nakazane, nie ma. Publiczność czytająca jest literalnie w roli pupila, którego myśl i uczucie się urabia. Każdy od góry do dołu jest obiektem pedagogiki sowieckiej. Jest to pedagogika policyjna, która doprowadza do perfekcji metody państwa policyjnego epoki oświeconego absolutyzmu. Wszyscy obywatele są traktowani jak niedojrzałe dzieci nieletnie, którym się strawę myślową podaje jeno do przełknięcia, bo cały proces segregacji materiału, rozumowania, przeżywania itd. jest dokonany za nich z góry. Nudna i monotonna jest taka prasa. Pod nakazem trzeba się zachwycać, cieszyć, gorszyć, oburzać, czuć i myśleć. Dla Europejczyka jest to bardzo trudne.

25 grudnia, rok 1944, poniedziałek

Dzień Bożego Narodzenia. Na ogół w Wilnie władze sowieckie potraktowały te święta dosyć liberalnie. Większość urzędów nie pracowała, urzędników zwolniono od pracy. W szkołach i na uniwersytecie są zarządzane ferie. Nazywają się one wprawdzie feriami „noworocznymi”, co formalnie nadaje im cechę świecką, ale faktycznie obejmują także święto religijne Bożego

Narodzenia. W dniu tym wszakże ludzie wizyt świątecznych zaniechali. Ludzie boją się odwiedzać wzajemnie, żeby nie wpaść gdzieś w zasadzkę, bo nikt nie wie, gdzie w jakim mieszkaniu taka zasadzka może być właśnie zainstalowana. Nauczeni doświadczeniem, wolą siedzieć w domu. To doświadczenie w ostatnich czasach było bardzo jaskrawe. Wielu z tych, którzy się udawali do znajomych lub krewnych, już stamtąd nie wróciło i wpadło jak kamień w wodę: siedzą gdzieś na Łukiszkach albo w gmachu NKGB (dawnym gmachu sądowym). Toteż nikt nie ma ochoty wizyt. Nie odwiedził też nas nikt z krewnych ani znajomych. My chcieliśmy choć trochę się przejść, ale że nigdzie nie ma żadnej kawiarni ani innego lokalu publicznego, w którym można byłoby posiedzieć, więc umyśliliśmy pójść do Lola Wołodkowicza jako jednego z najbliższych krewnych moich. Poszliśmy tam po obiedzie z Jadzią i Kotuńką. Niestety, nie zastaliśmy go w domu. Wieczorem, już po ciemku, przyszedł do mnie jakiś młody mężczyzna, zdaje się Żyd, z redakcji dziennika „Tiesa”. Dowiedziałem się od niego, że w dzisiejszym numerze tego dziennika ogłoszony jest długi komunikat komisji do badania okrucieństw niemieckich w Litwie, stwierdzający szereg okrucieństw, mianowicie mordów masowych (mordowanie Żydów i innych). Redakcja „Tiesy” zbiera od ludzi rozmaitych stanów, w pierwszym rzędzie od ludzi znanych i nie komunistów, krótkie wypowiedzenia się o tych okrucieństwach. Z tym ten pan przyszedł i do mnie. Oczywiście, nie ma człowieka mniej lub więcej ludzkiego, którego by nie oburzały i który by nie potępiał mordów masowych zwłaszcza ludzi niewinnych, dzieci, kobiet, nawet mężczyzn, których jedyną winą było np. to, że się urodzili Żydami albo ludźmi, którzy byli mordowani za swoje przekonania. Odmówić wyrazów potępienia niepodobna, czynniki wszakże sowieckie robią z tego wodę na swój młyn, podczas gdy same mają na sumieniu także wielkie okrucieństwa, chociaż bądź co bądź nie takie jaskrawe i dzikie, jak niemieckie mordowanie Żydów w czambuł. Potępiając okrucieństwa niemieckie, zupełnie godne najkategoryczniejszego potępienia, nie można przecie jednocześnie wypowiedzieć się w prasie sowieckiej o mniejszym cokolwiek okrucieństwie sowieckim, co czyni wrażenie, że winni okrucieństw są tylko Niemcy, podczas gdy Sowiety są pod tym względem czyści i łagodni jak baranki i nie mają nic na sumieniu. Takiej sytuacji fałszywej, niedomówionej, wykrętnie omijającej szczerą prawdę – nie lubię i dlatego takich wypowiedzeń się, skierowanych do spekulacji politycznej, stwarzającej fałsz, wolę unikać. Ale ci, którym właśnie o taką spekulację polityczną chodzi i którzy pracują w obłudzie, bo to jest ich rzemiosłem, sami szukają i znajdują ludzi takich jak ja, o których wiedzą, że nie potępić żadnego okrucieństwa nie mogą, i których czystość, zawarta w ich głosie, ma dla tych spekulantów cenę dodatnią i proponują wyrażenie potępienia. Zredagowałem kilka słów takiego potępienia i dałem temu panu z redakcji „Tiesy”, ale wypowiedzenie się wypadło dosyć banalne; postarałem się w nim wypowiedzieć tak ogólnikowo, żeby dotknęła była wszelkie okrucieństwo, któreśmy w tych latach obserwowali, nie tylko wyłącznie niemieckie. Wszakże kropek na i położyć nie mogłem, a przeto „*équivoque*” zawsze pozostały.

26 grudnia, rok 1944, wtorek

Drugie święto Bożego Narodzenia, także bezbarwne, jak wczoraj. Upadek życia towarzyskiego w Wilnie jest zupełny. Liczne areszty, po wielu domach w ostatnich czasach zasadzki, łowią ludzi przychodzących, którzy jak myszy wpadają w pułapkę, z której wychodzą dopiero przez więzienie, odstrasza ludzi od odwiedzania się wzajemnego. Skądinąd brak kawiarni, brak widowisk i teatrów (teatr litewski nie zaczął jeszcze funkcjonować w Wilnie, przedstawienia lekkiej sztuki polskiej funkcjonują, ale z wielkimi brakami technicznymi), brak oświetlenia ulic wieczorami wraz z narażeniem na niebezpieczeństwo napadów i rabunków ulicznych – wszystko to sprawia, że ludzie siedzą w domu. Jadzia była dziś z dziewczynkami w kościele, ja byłem na uniwersytecie po cygara, które nam dano po 20 sztuk na osobę po 3 ½ rubla za sztukę i u p. Domańskiej, która jest moją dostawczynią papierosów za chleb. Poza tym nie wychodziliśmy. Odwiedziła nas Inka Römerówna (Leonówna) i Hela Czarna. Wieczorem była Renia Bagdonaitė. Za to obcujemy ciągle w rodzinie własnej. Nigdy tak ściśle i tak ciągle nie obcowaliśmy, jak teraz tutaj w tych paru pokoikach, w których nam w kółeczku swoim życie codzienne upływa. Monotonnie wprawdzie, ale nie nudno.

Gdyby mi się nie było udało cudownie sprowadzić rodzinę z Bohdaniszek, miałbym tu samotność szaloną. Znoszę wprawdzie samotność i nawet ją lubię, ale tylko w połączeniu z pracą, a teraz tutaj pracy tak jak nie mam, a długie ciemne wieczory bez światła czyniłyby tę samotność zupełną niesłychanie przykrą. Rodzina własna wszakże godzi się z samotnością doskonale i odbiera od niej to, co w niej jest ujemne. W samotności bez pracy twórczej rodzina jest znakomitą wzbogaceniem życia.

Dziś w drzemce poobiedniej na mojej kanapie skórzanej przemyślałem i ułożyłem sobie precyzyjnie moją odpowiedź na wczorajszą propozycję delegata redakcji „Tiesy” co do wypowiedzenia się na temat stwierdzonych przez specjalną komisję okrucieństwach niemieckich. Oświadczenie, które zredagowałem na poczekaniu wczoraj, nie zadawało mi. Było ono banalne i bezbarwne, właściwie nic nie warte i nic oryginalnego i mądrego nie dające. Dziś na kanapie ułożyłem je takie, jakim być było powinno i jakie z całą chęcią byłbym złożył do druku. Zaraz też spisałem je na piśmie. Oto ono: *„Aišku, kad fantastiškas masinių žudymų ir panašių reiškinių žiaurumas yra žmonių sąžinės visu griežtumu smerkiamas. Čia nėra jokio klaustuko, nes tatai aišku ir tegali būti klausimas tikrai žodžių, kuriais šis smerkimas būtų pareikštas. Tačiau ne kaltinkime šiuo tikrai vienus vokiečius, kurių kaltė yra neabejotina. Tai būtų pigus efektas, kuris slopintų tikrąją tiesą, tikrą moderninės žmonijos vėžį. Tie žiaurumai – tai yra visos XX amžiaus žmonijos gėda. Mano supratimu, kalta yra visa mūsų civilizacija, kurioje, matyti, slepiasi tokie gilūs ir tiršti žiaurumo klodai, kurie leidžia dygti panašioms procesams ir reiškiniams. Mes patys niekuomet nesitikėjome – bent aš pats iš anksto nesitikėjau – kad tokie faktai būtų galimi. Tikrenybė mus įtikino ir aš kaltinu mūsų civilizaciją. Vėžys ir gėda yra per daug dideli, kad būtų galima visą kaltės naštą uždėti vienai žmonių grupei ar vienai šaliai ir nurimti“*<sup>21</sup>. Takie moje oświadczenie chętnie bym widział wydrukowane. Ujmuje ono mój stosunek istotny do zagadnienia. Może zaniósę je jutro do redakcji „Tiesy”. Ale czy redakcja je przyjmie i zechce drukować – tego nie jestem pewny. Po pierwsze, może być za późno; może moje niezdarne oświadczenie wczorajsze jest już lub będzie wydrukowane i z tym jest skończone, a po drugie, redakcja może w obecnym tekście mojego oświadczenia upatrywać jakieś ukryte czy wykrętne germanofilstwo i próbę rehabilitacji Niemców przez odciążenie ich od odpowiedzialności całkowitej i wyłącznej.

27 grudnia, rok 1944, środa

Miałem w nocy ciężki dyżur domu. Ponieważ bowiem lokatorowie dużego pokoju w naszym mieszkaniu wszyscy się poróżjeżdżali (jeden leży chory w szpitalu, trzej inni pojechali na święta do swoich rodzin w Kownie), więc cały ciężar dyżuru nocnego spadł na mnie jednego. To znaczy, musiałem dyżurować od godziny dziesiątej wieczorem do piątej rano, całych siedem godzin. Noc była ciepła, na dworze odwilż; światło, bo pełnia księżyca. Ale nie siedziałem na dworze ani nawet na schodach. Tylko od czasu do czasu, mniej więcej raz na godzinę, wychodziłem na ulicę posłuchać i znowu do mieszkania wracałem. Przesiedziałem noc w mieszkaniu; próbowałem trochę czytać, ile mi nikłe światelko lampki pozwalało, pisałem dziennik. Gdyby na ulicy u bramy była kontrola, usłyszałbym i wyszedł. Koło godziny drugiej w nocy zbiła się tandetna lampka i rozlała się nafta, ostatnie więc trzy godziny siedziałem przy jeszcze nędzniejszej lampeczce. Zmęczony się dziś czuję, tym bardziej, że nogi mi wybrzękły i nie zagrażały się przez te kilka godzin, które po dyżurze rano

<sup>21</sup> „Jasne, że fantastyczne okrucieństwo masowych morderstw i temu podobnych zjawisk jest przez sumienie ludzkości z całą surowością potępiane. Nie ma tu żadnego znaku zapytania, bo jest to jasne i może być tylko kwestia słów, jakimi to potępienie może być wyrażone. Nie obwiniamy jednak o to samych tylko Niemców, których wina jest niewątpliwa. Byłby to tani efekt, który zasłaniałby prawdziwy stan rzeczy, prawdziwego raka dzisiejszej ludzkości. To okrucieństwo – to hańba całej ludzkości XX wieku. W moim rozumieniu, winna jest cała nasza cywilizacja, w której łonie drzemią widocznie takie głębokie i obfite pokłady okrucieństwa, z których wyrastają podobne procesy i zjawiska. My sami nigdy się nie spodziewaliśmy – przynajmniej ja wcześniej się tego nie spodziewałem – że takie fakty będą możliwe. Rzeczywistość nas przekonała i ja oskarżam naszą cywilizację. Rak i hańba są zbyt wielkie, by całą winą można byłoby obarczyć jedną tylko grupę ludzi czy jeden kraj i na tym poprzestać”.

spędziłem w łóżku. W ostatnich czasach niedobrze się czuję na serce. Zdaje się, że szkodzi mi herbata i palenie. Herbaty odtąd pić nie będę, a papierosów dziś nie paliłem wcale. Brzęknięcie nóg, którego się bardzo lękam, to pierwszy symptom złego stanu zdrowia u mnie.

Zaniosłem dziś do redakcji „Tiesy” moje zredagowane wczoraj oświadczenie w sprawie okrucieństw. Doręczyłem je temu współpracownikowi redakcji, który pozawczoraj był u mnie. Mam wrażenie, że nie wydrukują go, bo im chodzi tylko o polityczny moment najradzykalniejszego potępienia wyłącznie Niemców, a tego nie ma w moim oświadczeniu. Współpracownik przeczytał moje oświadczenie i powiedział, że pokaże je głównemu redaktorowi, który zadecyduje. Na tym pożegnałem redakcję.

28 grudnia, rok 1944, czwartek

Niezdrowy się czuję. W nocy śpię niedobrze, serce bije bądź zamiera, od czasu do czasu brak oddechu. Szczególnie – rzecz dziwna – męczy mię leżenie na prawym boku. Z wieczora nogi są zimne, mimo że od obiadu nakładam wołoki i wybrzękają. Uryna we dnie źle odchodzi, w nocy jednak odchodzi obficie i obrzękłość nóg spada. Zdaje się, że co roku chwyta mię jakaś dolegliwość większa koło tego czasu późnej jesieni lub początku zimy. Bardzo ciężko mi chodzić po ulicy. Czuję się na ogół inwalidą.

Jedenasty rok płynie od czasu mojej wielkiej choroby – wodnej puchliny, któraomalże nie zakończyła się moją śmiercią. Gudowicz mię wtedy uratował i bądź co bądź przedłużył moje życie o te lat 11, które w moim życiu osobistym odegrały wybitną rolę, bo w tym czasie założyłem moją rodzinę, dałem Jadzi moje imię i na świat przyszły nasze trzy córeczki. Ile lat jeszcze życia mi pozostaje – tego naturalnie przewidzieć nie mogę. Że słabnę – to jest fakt, ale może jeszcze pociągnę; jest to potrzebne nie dla mnie, ale dla rodziny.

29 grudnia, rok 1944, piątek

Wstałem dziś zupełnie chory. W nocy bardzo źle spałem, duszność przeszkadzała mi ciągle leżeć. Rano bolały mię mocno kości w całej klatce płuć, w lewym ręku i nawet lewej połowie czaszki. Zdecydowałem się pójść z Jadzią do ambulatorium uniwersyteckiego. Nie mamy pieniędzy, nie możemy się leczyć prywatnie. W ambulatorium, które się nazywa poliklinika, leczenie jest bezpłatne. Dyrektorem tego ambulatorium jest dr Šemis, Litwin wileński, brat p. Michałowej Biržiškowej, figura, zdaje się, nieciekawa, ale nie przyjmuje w ambulatorium pacjentów. Pracują tu dwie dentystki Polki – p. Klusowa i Sokołowska – i lekarz Giedrojć, także Polak, który już nieźle mówi po litewsku. On też obejrzał mnie i Jadzię. Oboje z Jadzią mamy jakąś wysypkę skórną, dla której dawno chcieliśmy się u doktora poradzić, a poza tym u mnie jest też coś w sercu i płucach. Co do wysypki – to u mnie, niestety, dr Giedrojć stwierdził świerzb, na który przepisał odpowiednie nacieranie, robiąc nadzieję, że po trzech dniach energicznego i dwukrotnego co dzień nacierania świerzb przejdzie. U Jadzi nie jest to świerzb, choć na całym ciele ma swędzenie. Jej przepisał jakieś inne smarowanie. Co do stanu wewnętrznego u mnie, to stwierdził przede wszystkim ostry bronchit na skutek przewlekłego przeziębienia. Bronchit ten powoduje osłabienie działalności serca, przemęczenia serca, które też skądinąd jest u mnie chore, a na domiar złego doktor stwierdził u mnie powiększenie wątroby. Tego ostatniego lękam się najbardziej, bo dotąd u mnie wątroba była zawsze zdrowa. Kazał zaraz postawić bańki na plecy i boki, na serce zapisał pigułki digitalisu, takie same, jakie są w recepcie prof. Gudowicza i zalecił leżenie w ciągu kilku dni w łóżku w pozycji nieco siedzącej, ale z nogami wyciągniętymi przed siebie. Zaraz dziś wieczorem Jadzia znalazła pielęgniarkę Podolecką, zamieszkałą przy ulicy Uniwersyteckiej, która już kiedyś, w roku 1941, stawiała bańki naszej Idze. Przyszła ona wieczorem do nas i postawiła mi bańki. Ulżyło mi to od razu mocno.

30 grudnia, rok 1944, sobota

Po bańkach spałem w nocy bardzo dobrze i czuję się wypoczęty. Ale w myśl wskazówki lekarza, nie wychodziłem z domu i nawet ledwo wstawałem. Ubrałem się tylko do połowy, na fufajkę narzuciłem ciepły szlafrok, nogi włożyłem do wojłoków i tak dzień spędziłem, siedząc przeważnie na kanapie w gabinecie z nogami wyciągniętymi przed siebie. Nie udało się jednak z obiadem i obawiam się, że znowu będę miał noc ciężką i że mi ten obiad mocno zaszkodzi. Jadzia bowiem brała dziś produkty na limitę grudniową i między innymi wzięła dwa śledzie, z których jednego spreparowała na obiad z cebulką i octem i z kartoflami do niego. Jadzia miała wielki apetyt na tego śledzia, mnie się zdawało, że nic bardzo złego nie będzie. Ale śledzie sowieckie są bardzo ostre. Nie są to właściwie śledzie z Atlantyku, ale jakaś inna ryba, mniejsza od śledzi, łowiona w Morzu Kaspijskim. Zjadłem nawet niedużo tego śledzia, ale rozwinęło to u mnie gwałtowne pragnienie: zjadłem dwa talerze zupy – zacierki na wodzie, potem do nocy wypilem jeszcze parę szklanek wody zimnej i trochę ciepłej wody na kolację. Czuję się też pełny jak bąk i lękam się tej nocy, która się zbliża. Jadzia przyniosła z apteki masło do smarowania się od świerzb. Wysmarowałem się na noc rzetelnie.

31 grudnia, rok 1944, niedziela

Jak było przewidziane, spałem w nocy bardzo źle. Ani razu nie zasnęłam smacznym posilnym snem. Toteż wstałem po tej nocy zmęczony, ciężki; nogi miałem mocno wybrzękłe i zimne; cały czułem się osłabiony, serce pracowało z wysiłkiem. Najmniejszy ruch męczył mię, jak żeby to była wielka męcząca praca. Tak przeżywałem się cały ten ostatni dzień roku w mieszkaniu, ledwie żywy, zaniepokojony o stan zdrowia mego, usposobiony bardzo pesymistycznie. Na obiad zjadłem kleik owsiany i talerz brukwi, pokrajanej w kostki i ugotowanej z małymi kawałkami mięsa. Ale że Jadzia posoliła to jedzenie, więc choć było smaczne i względnie lekkie, to jednak nie było zupełnie takie, jakie mi się w tym stanie zdrowia należało. Nie byłem znowu pewny dobrego snu w tę noc sylwestrową, pierwszą, zdaje się, w życiu noc sylwestrową, którą spędzam chory. Jadzia mi przyprowadziła pościel na kanapie, na której spałem tu, będąc sam jeden i która mi jest wygodniejsza od wielkiego tapczanu, na którym ostatnio spałem. O godzinie siódmej już byliśmy w łóżkach.

1 stycznia, rok 1945, poniedziałek

Noc sylwestrową, która mię w tym roku zastała chorego, spędziłem nieźle. Wprawdzie z wieczora dosyć długo zasnąć nie mogłem, ale potem przed północą kilka razy zapadłem w sen głęboki, a po północy spałem do ranka jednym ciągiem. Sen ten bardzo mię pokrzepił, a że i uryny dużo odeszło i nogi rano były już zupełnie suche, bez znaku obrzękłości (niebawem, gdy wstałem z łóżka, to obrzękłość nóg wróciła, chociaż nieco mniejsza, niż dni poprzednich), więc czułem się dobrze i nabrałem otuchy, że to nie będzie jeszcze początkiem śmiertelnego końca. Ale swoją drogą ta łatwość, z jaką się u mnie ukazuje i rośnie obrzękłość nóg, wymaga poważnych zabiegów, a przynajmniej wielkiej ostrożności w ustaleniu i zachowaniu trybu życia. Sam fakt dwóch nocy niespanych, dwóch nocy w podróży w postawie siedzącej, jakiś obiad spóźniony, za dużo płynów wieczorem – i oto już jest choroba: nogi brzękną, trzeba kilku dni starannych zabiegów, żeby wrócić do siakiego takiego porządku, inaczej bowiem choroba postępuje w tempie zaskakującym i im dalej, tym trudniej ją zwalczyć.

Mieliśmy dziś dużo gości noworocznych – Żydów, Litwinów i Polaków. Byli więc: dr Rolnikas, który mię wiecznie nachodzi, kołacząc wciąż o stanowisko na uniwersytecie, Andrzej Mieczkowski, Ewa Meyerowa, Joachim Petrulis z Rakiszek, Hela Czarna Römerówna, pani Wnada z Domańskich Kotwicka z mężem i synem, wreszcie Renia Bagdonaitė. Dzień noworoczny szybko więc upłynął. Co roku na Nowy Rok ludzie zapowiadali na rok nadchodzący koniec wojny, ale płyną i upływają lata, coraz to nastaje rok nowy, a końca wojny jak nie ma, tak nie ma. Zresztą co to jest i jaki będzie ten koniec wojny? Koniec wojny z Niemcami Hitlera nie jest koniecznym równoznacznym z końcem całej tej zawieruchy wojennej i z pacyfikacją ostateczną Europy. Istnieje jeszcze przecie wojna z Japonią, a poza tym są niesłychanie trudne i skomplikowane zagadnienia Polski, Bałkanów,

Bałtyki, urządzenie Niemiec itd. Każde z tych zagadnień tai w sobie wielką prężność wybuchową i jest brzemienne komplikacjami rewolucyjno-wojennymi. Mogą jeszcze pójść po Europie takie wichry, jakich w tej wojnie nie było. Jeżeli wyraźne i określone są w tych zagadnieniach požądania Sowietów i jeżeli nawet da się je uzgodnić z decyzjami nie tylko Anglii, która łatwo się godzi, ale i Ameryki, to jeszcze nie znaczy, że w zagadnieniu samym nie tkwią jakieś inne procesy, które ulegną požądaniom sowieckim i nie będą reagowały. Ma się wrażenie, że Sowiety są dziś tego przekonania, że nic się przed ich wolą nie ostoi i że siłą swojego oręża zwycięskiego, uzupełnioną przez siłę odpowiednio spreparowanych w ich laboratorium propagandowym argumentów, którym się zapewnia monopol środków propagandy i zakaz wszelkiej krytyki lub nawet powątpienia, wszelkie ich požądania muszą być na wieczne czasy zrealizowane i oporu znaleźć nie mogą. Jest to wiara taka sama, jak wiara Kościoła w kwiecie wieków średnich. Nie straszą ich kłamstwa i sprzeczności, które życie stwarza, a które oni wpychają w głąb swojej retorty propagandowej, żeby tam zostały zmlete i pogrzebane na wieki. Wierzą oni, że nawet kłamstwo zwyciężyć musi, jeżeli w ich ręku będzie i zostanie przez nich po mistrzowsku przyrządzone.

Joachim Petrulis opowiadał nam nowiny z powiatu rakiskiego. Źle tam jest, komuniści srożą się, ruch partyzancki litewski rośnie. Niedawno partyzanci byli zajęli Poniemuń, zabili sekretarza gminy i prezesa komitetu gminnego. Komuniści i władze odgrażają się, że będą wywozić masowo ludność poszlakowaną o kontakt z partyzantami. Są prowokacje, jest szpiegostwo, oddziały karne, środki odwetowe.

2 stycznia, rok 1945, wtorek

Zdaje się, że to już ostatni dzień, w którym nie wychodzę z domu i że jutro już wyjdę na miasto. Wielkiej poprawy w stanie zdrowia nie ma, nogi wciąż brzękną i przez cały dzień są zimne, uryna we dnie słabo odchodzi, ale spałem już w nocy dobrze i to mię pokrzepiło. Nie czuję też obrzękłości wątroby ani bólu w wątrobie przy takiej lub innej pozycji ciała przy leżeniu.

Przed kilku dniami, w ostatnich dniach ubiegłego roku 1944, zapowiedziane było w gazetce wydawanej po polsku „Prawda Wileńska”, a potem ogłoszone przez plakaty, rozlepiane na ulicach i chciwie czytane i studiowane przez ludność polską w Wilnie, rozpoczęcie prac komisji specjalnej polskiej, raczej formalnie polsko-litewskiej, przyjmującej zgłoszenie Polaków na tzw. „repatriację” do Polski, to znaczy na wyjazd do terenów, które są i mają pozostać polskie niespornie, to znaczy które nie są dotknięte przez požądania sowieckie. Tereny te – to okręg białostocki, Suwalszczyzna za granicą litewską i ziemie za Bugiem, z których dotąd od Niemców odebrany jest jeno niewielki skrawek, ogarniający część Ziemi Łomżyckiej, Ziemi Siedlecką po Wisłę aż do Pragi na przedmieściu Warszawy, całą Ziemię Lubelsko-Chełmską i część województwa rzeszowskiego. Z czasem terytorium tej Polski, obciętej ze wschodu przez požądania Sowietów, ma objąć cały teren po lewej stronie Wisły i w Płockiem z dawnej Kongresówki, Pomorze polskie, Poznańskie i Śląsk Górny, wreszcie z ziem niemieckich Prusy Wschodnie, Pomorze Zachodnie za Szczecinem, ziemie zachodnie po Odrę... Zapisy „repatriacyjne” już idą, ludzi zgłasza się nie nazbyt dużo, ale i nie mało. Z naszych krewnych zarejestrowała się już na wyjazd Ewa Meyerowa z córką Lizą, inni się jeszcze nie kwapią. Na czele tej komisji ze strony polskiej jest „konsul polski w Wilnie” były adwokat Ochocki i fotograf Zdanowski. Kombinacje te i akcja zapisów na „repatriację” ma wszelkie cechy gry sowieckiej na „stachanowstwo” w celu forsowania czym prędzej faktów dokonanych. Przecie w istocie wojna się jeszcze toczy, traktatu pokojowego, ustalającego granice i skład terytorialny państw, nie ma, ze strony Polski nie ma żadnej formalnej cesji terenów wschodnich, dotkniętych pretensjami sowieckimi, są tylko te roszczenia, uznawane przez faktyczny polski „rząd lubelski”, ale negowane przez emigracyjny polski „rząd” londyński, i nie mające notorycznego uznania w opinii narodowej. Jeżeli nawet można kwestionować prawomocność konstytucyjną rządu polsko-londyńskiego, to nie więcej prawomocny jest rząd lubelski, który ma za sobą tylko to, że powstał sam z siebie, bez żadnych tytułów formalnych i że opiera się na sile zbrojnej sowieckiej jako ekspozytura polityczna Sowietów i że faktycznie z łaski Sowietów ma na terenach, wyzwolonych od okupacji niemieckiej,

władzę w rękę. Żadnej więc prawomocnej cesji terytoriów państwowych polskich, do których zgłosiły pretensje Sowiety, nie ma i być nie może, a tymczasem w samym ogniu wojny dokonywa się rzekoma „optacja” ludności polskiej z terenów, które Sowiety zachciały zagarnąć. Nad optacją tą wisi wciąż groźba, że ci, co się nie zapiszą na wyjazd, będą wywożeni przez Sowiety na wschód. Ludzie wciąż o tym mówią i tego się boją. A gdy pod wpływem tej groźby ludzie się masowo do repatriacji się skłonią i duży odsetek Polaków zdecyduje się na wyjazd z przeklętego kraju wątpliwości i strachu do bezsprzecznie polskich ziem, to się potem w układach pokojowych, gdy na stół wypłynie kwestia cesji tych terenów, będzie się ze strony sowieckiej mówiło, że oto przecie sama ludność polska z ziem wschodnich „dobrowolnie” wyemigrowała czy się zgłosiła do emigracji i że przeto zwracać te ziemie Polsce, gdy Polacy z nich sami wyjeżdżają, nie ma sensu. Ja sam jestem przekonany zwolennikiem tzw. komunii narodowej na ziemiach Europy Wschodniej i likwidowania w ten sposób przekłętej sprawy mniejszości narodowych, ale nie taką metodą. Nie to powinno być miarodajne, że ten, kto ma przewagę faktyczną siły, sam sobie wybiera jakiś teren, który mu się podoba i wtedy inne elementy narodowe muszą się z tego terenu wynieść, ale przede wszystkim muszą być określone dla poszczególnych narodów-państw terytoria dokładnie zrationalizowane, a następnie dopiero ma nastąpić komunizm. Ale to co się teraz robi – to pospolita dyktatura siły.

3 stycznia, rok 1945, środa

Spróbowałem dziś wyjść na miasto. Źle, trudno chodzić, toteż niebawem wróciłem do domu. Dziś szczególnie trudno chodzić, bo napadało dużo śniegu i przeto jest kopko i ślisko, ale niezależnie od tego chodzenie jeszcze mię bardzo męczy. Ktoś z gości przez czas mojej choroby zamienił mi też moją laskę i zostawił jakąś krótką, która mi jest bardzo niewygodna. Z tym będzie mi ciężko, jeżeli nie odzyskam mojej laski. Byłem więc tylko u fryzjera przy ulicy Giedymina i na uniwersytecie. Nogi we dnie mam wciąż bardzo mocno wybrzękłe i zimne. Niepokoi mi to bardzo. Nie rozumiem, skąd to jest i dlaczego nie polepsza się. Uporządkowałem już odżywianie się, nie jem, zwłaszcza na wieczór, rzeczy słonych i ostrych, żołądek nie jest wydęty, płynów spożywam mało, serce lepiej działa i sen mam lepszy, w płucach bronchit mniejszy, piję ziółka, które pędzą mocz i zdaje się, że mocz odchodzi normalnie, a tymczasem brzęknięcie nóg nie ustaje. Wprawdzie rano nogi są suchsze, ale to zapewne tylko skutek tego, że w pozycji leżącej woda, która się w nich zbiera, rozplywa się po innych częściach ciała, a jak tylko rano wstanę i posiedzę, to bardzo prędko nogi znów wybrzękają jak kłody. Zdecydowałem się zwrócić do dr Legeiki i leczyć u niego. Jest to człowiek bardzo serdeczny, bardzo staranny i dobry lekarz, doskonały diagnosta, przyjaciel wielu moich przyjaciół. Jego pomoc – to nie tylko pomoc fachowa lekarza, ale i pomoc dobrego człowieka. Jadzia go poprosi o przyjście do mnie. Zdaje mi się, że stan mój jest taki, iż zwlekać z tym nie mogę. W ciągu niespełna dwóch tygodni tej choroby (liczę mniej więcej od dnia kucji) postępy, zwłaszcza brzęknięcie nóg, są ogromne, to znaczy postępy na gorsze; i nie jest to chyba tylko coś takiego, co można usunąć zachowaniem pewnego trybu życia przez czas jakiś bez wskazówek lekarza.

Dziś rano odwiedzili nas Julkowie Komorowscy i Zitka. Lubię Julków Komorowskich. Rzadko wprawdzie się widujemy i rzadko Julek do mnie zachodzi, bo zresztą mieszkają bardzo daleko – o jakieś 3 kilometry za Pośpieszką – na bardzo dalekich przedmieściach albo zgoła już za miastem, skąd żadnej komunikacji z Wilnem nie ma prócz nóg własnych, ale gdy się spotykamy, to są oni dla nas zawsze bardzo serdeczni – od pierwszego dnia mego małżeństwa z Jadzią. Choć spadły na nich bardzo bolesne ciosy – jeden syn dorastający rozstrzelany przez Niemców, jeden – w armii Berlinga, któremu grozi ciągle wysłanie na front, gdzie Sowiety nie szczędzą tego wojska polskiego i gdzie ginie bardzo dużo młodzieży, wreszcie trzeci najmłodszy syn – aresztowany w Wilnie przez Sowiety w zasadzce mieszkaniowej, do której trafił bez żadnej winy i nie wiadomo gdzie obecnie trzymany – to jednak oboje Julkowie, on i Madzia, są pogodni i równi. Ta wojna i jej perypetie polityczne – to piekło dla bardzo wielu Bogu ducha winnych rodzin i w szczególności dla Polaków, których winą największą są li tylko gorące uczucia narodowe.

4 stycznia, rok 1945, czwartek

Nie odważyłem się dziś wyjść z domu na miasto i nie poszedłem na wykład do uniwersytetu. Nogi mam bardzo wybrzękłe, jestem poważnie chory. Zresztą sędzę, że wykład w ogóle by do skutku nie doszedł, bo moi słuchacze stali, którzy rozjechali się na święta, jeszcze zapewne nie wrócili.

Wieczorem Jadzia sprowadziła mi dr Legeikę. Obejrzał mię dokładnie, stwierdził, że jest źle, kazał kategorycznie leżeć w łóżku, nie wstawać nawet do stołu i leżeć tak co najmniej przez tydzień. Na spędzenie obrzękłości nóg kazał przez dwa dni jeść tylko kartofle gotowane w łuskach na wodzie i nic więcej, płynów zaś (herbaty, kawy, mleka) nie więcej ponad cztery szklanki. Nie wiedziałem, że gotowane kartofle są takim znakomitą środkiem na pędzenie moczu. Na wzmocnienie serca przepisał strychninę, a na bronchit – tabletki jakieś. Stan mój był poważny, ale spodziewam się jeszcze wykopać. Kuracja serca i walka z brzęknięciem nóg przez odpowiednią dietę musi być wykonana poważna.

5 stycznia, rok 1945, piątek

Nie wstaję z łóżka i jem kartofle, gotowane w łuskach bez soli. Nie wiedziałem, że to taki doskonały środek na pędzenie moczu. Kartofle mogą konkurować doskonale z salyrgonem, którym mię leczył w roku 1934 Gudowicz. Przez cały dzień pędziły one ze mnie mocz, który odchodził strumieniem, co mi czyniło znaczną ulgę; oczywiście też przez to samo odpadała obrzękłość nóg. Przez noc i przez dzień dzisiejszy do wieczora odeszło moczu koło 3 litrów, choć płynów spożyłem nie więcej jak pół litra. Jadzia biegała po mieście, zdobywając lekarstwa dla mnie, zapisane wczoraj przez Legeikę na serce i na bronchit. Spędzanie obrzękłości nóg bez wzmocnienia serca na nic by się zdało, bo jeżeli serce będzie słabe, to obrzękłość zaraz wróci, jak tylko wstawać zacznę. Na wzmocnienie serca Legeika zapisał już nie digitalis, do którego mój organizm już się przyzwyczaił i który przeto mało jest skuteczny, ale strychninę. Poza tym zastrzyki cukru do weny w rękę. Lekarstw tymczasem Jadzia jeszcze nie dostała, ale ma je dostać przez Renię Bagdonaitę z bazy farmaceutycznej. Ampuły z cukrem do zastrzyków mogą dostać u Julka Komorowskiego.

Odwiedzał mię kolega Paweł Pakarklis, człowiek bardzo serdeczny, koleżeński i dobry, którego im bardziej poznaję, tym bardziej lubię. Ma on kołatać na rzecz mojego leczenia do tzw. „specpolikliniki”, która funkcjonuje dla samych szczytów władzy sowieckiej w Wilnie i jest pod bezpośrednim dozorem komisarza ludowego zdrowia, prof. Girdzijewskiego.

Nocuje dziś u nas Julek Komorowski, który czyni nowe zabiegi o dowiedzeniu się o losie najmłodszego syna, 14-letniego Docia (Antka) i o ewentualne uwolnienie jego, a także o dostarczenie mu do więzienia paczek żywnościowych i z ciepłym ubraniem. Doją go pośrednicy, ale rzecz się dotąd naprzód nie posuwa. W każdym razie, musi on całymi dniami czuwać w pobliżu więzienia i dlatego nocować gdzieś w mieście.

Dowiedziałem się przed paru dniami, a dziś mi to potwierdzono jako o fakcie dokonanym, że na wydziale naszym i Wydziale Historyczno-Filologicznym (dawniej Humanistycznym) nastąpiły zmiany personalne na stanowisku dziekana wydziału. Na Wydziale Historyczno-Filologicznym na miejsce prof. Vabalasa-Gudaitisa dziekanem wraz nominacją na profesora zostaje mianowany dotychczasowy docent, dziennikarz z zawodu, Korsakas-Radvilas, którego można kwalifikować jako „dewotkę komunizmu sowieckiego”; nie jest to ściśle komunista, ale właśnie „dewotka” tego kierunku i ruchu, porwany prądem i niekrytycznie sądzący o nim, na naszym zaś wydziale na miejsce Konstantego Jabłońskiego dziekanem będzie młody profesor prawa administracyjnego Medžys, stuprocentowy komunistakarierowicz, człowiek zdolny, zimny, wyrachowany. Widać z tego, jak z wielu także innych oznak, że linia odchylenia i dygresje w kierunku narodowym litewskim będą systematycznie usuwane.

6 stycznia, rok 1945, sobota

Obrzękłość nóg zupełnie już odpadła. Po trochę zacząłem dziś przyjmować inne pokarmy prócz kartofli gotowanych bez soli. Na skutek starań Pakarklisa komisarz ludowy zdrowia prof. Girdzijewski przysłał dziś do mnie ze „specpolikliniki” lekarza Markowicza, Żyda litewskiego z Kowna, który mię obejrzał i zalecił na ogół to samo, co Legeika. Mam dostawać co dzień zastrzyk podskórny strychniny i co drugi dzień – zastrzyk cukru winogronowego (glukozy) do weny. Przed wieczorem przyszła z tej „specpolikliniki” siostra, która dokonała mi tych zastrzyków i postawiła jeszcze 20 baniek na plecy. W zastrzykach do weny siostra ta czy pielęgniarka jednak wprawna nie jest; nakłuła mi rzetelnie rękę w łokciu, zanim zdołała dobrać się do weny i wprowadzić igłę do niej. Jestem więc teraz na opiece dwóch czynników lekarskich: Legeiki i „specpolikliniki”. Trzeba będzie je kombinować. Pielęgniarkę weźmiemy raczej Legeiki, bo ta dzisiejsza jest kiepska, ale lekarstwa i pomoc lekarską ze „specpolikliniki”, bo albo jest tańsza, albo nic nie kosztuje.

W łóżku mam leżeć co najmniej jeszcze cały tydzień. Ale nie przykrzę tego, bo Jadzia i dzieci dają mi rozrywkę żywą w domu. Dziś Józia Ciświcka zapowiedziała już, że w poniedziałek swój sklep otwiera. Udało się jej zdobyć lokal przy ul. Wileńskiej w punkcie doskonałym. Jadzia ma tam od godz. dwunastej do pierwszej co dzień przyjmować ewentualne obstalunki na roboty trykotażu i drobnego szycia, które ma wykonywać w domu i ewentualne dobrać sobie do wykonywania tych robót pracownice.

7 stycznia, rok 1945, niedziela

Obrzękłość z ciała, zdaje się, całkowicie usunięta. Formy nóg od góry do dołu są zupełnie suche. Cały problem polega obecnie na wzmocnieniu funkcji serca. Do tego mają służyć zastrzyki strychniny i zastrzyki cukru, wypoczynek w postaci dłuższego leżenia i wznowienie kuracji digitalisowej oraz spożywanie witaminy c. Odwiedził mię dziś dr Markowicz ze „specpolikliniki”, którego staraniom polecone zostało moje leczenie i który rzeczywiście bardzo starannie i troskliwie się tym zajmuje. Druga para zastrzyków ma być dokonana jutro. Lubię mieć do czynienia z lekarzem Żydem. Na ogół Żydzi są bardzo dobrymi i starannymi lekarzami. Mają oni też jedną wartościową cechę, która jest bardzo cenna lekarzy: są bardzo ludzcy. Miałem zawsze i zachowałem sympatię do Żydów. Miałem Żydów kolegów (w Paryżu zwłaszcza), miałem Żydów przyjaciół, miałem Żydów studentów, którzy byli uczniami moimi. Byli oni zawsze najlepszymi kolegami, najserdeczniejszymi i najważniejszymi przyjaciółmi, a ze studentami Żydami zachowały się u mnie najlepsze stosunki. Nie byłem antysemitą nigdy i antysemityzm jest mi zupełnie obcy. Że Żydzi nie mają umiaru i że w sowietyzacji Litwy w roku 1940, pod wielu względami bolesnej dla narodowego społeczeństwa litewskiego, odegrali bardzo czynną rolę i zachowali się drażniaco w stosunku do uczuć Litwinów – to prawda, ale ten brak umiaru jest u nich cechą charakteru, która mogła się równie dobrze wyrazić w przedmiocie sowietyzacji Litwy, jak wszelkiego innego ruchu czy usposobienia, które mogły ich pociągnąć. Nie było to u nich zwrócone specjalnie przeciwko Litwie i Litwinom, że całym sercem i całym swoim gorącym temperamentem wschodnim garnęli się i garną do Sowietów, nie umiając tego dozować umiarem; to jest bardzo naturalne: dla Żydów w obliczu rasizmu niemieckiego Sowiety są jedynym zbawieniem, które im zapewnia po prostu życie; czują Żydzi i wiedzą, że ten antysemityzm, który w nacjonalsocjalizmie niemieckim dochodzi do masowego mordowania Żydów jako takich, w istocie w postaci bardziej ukrytej, mniej rozpętanej albo zarodkowo identycznej, rozlany jest po całej kulturze nacjonalizmu współczesnego wszystkich narodów w Europie, wobec czego wszędzie Żydzi czują odruch przeciwko sobie, którego muszą się obawiać. Żydzi muszą być siłą masy „*rot oder tot*”.

Jadzia była dziś z Kotuńką i Igą na choince w ich przedszkolu (ogródku dzieciennym) przy ulicy Bernardyńskiej.

8 stycznia, rok 1945, poniedziałek

To samo. Leżę. Dokonano mi dziś drugiego zastrzyku cukru do weny w rękę i drugiego zastrzyku podskórnego strychniny. Oprócz tego, postawiono jeszcze raz (po raz trzeci) bańki na plecy. Zmieniliśmy znowu pracownicę domową. Odeszła Helena, która okazała się mało

wartościową dla nas, Żerмены nie lubiła, pracowała coraz bardziej niechętnie, ostatnich parę dni już nie przychodziła. Okazało się, że cała jej rachuba polegała na tym, że będzie u nas dużo jadła i wynosiła jedzenie dla swego dziecka. Obiady w „Bristolu”, należące do I kategorii obiadów dla wyższych urzędników, nie zadawały jej, w domu zaś u nas chciała mieć co dzień mięso i nawet mleko kondensowane do kawy, które szczczędzimy dla dzieci. Na jej miejsce Zitka nam przysłała pannę Marię Piątkowską, Lubliniankę, na pół zakonnicę i wielką dewotkę, ale osobę bezwzględnie uczciwą i dobrą, która w roku ubiegłym była pielęgniarką Elizki Komorowskiej. Wzięliśmy ją w drodze próby na miesiąc.

Jadzia jest zapracowana, cały dzień w ruchu. Wszystko teraz spadło na nią. Dobrze więc, że się znalazła ta pomocnica w domu. Jadzia trapi się brakiem pieniędzy, który jest rzeczywiście dotkliwy. Może praca w handlu Józi da Jadzi nieco zarobku i przysporzy nam dochodu, choć przysporzy też roboty Jadzi. Będzie to ewentualnie wykonywanie obśtalunków trykotażu.

9 stycznia, rok 1945, wtorek

W stanie mojego zdrowia na razie to samo. Czuję się na ogół nieźle, ale lekarz wymaga jeszcze leżenia. Biorę jakieś tabletki na serce, połykam witaminę c, na którą składa się na jedną dozę kilkanaście, a może kilkadziesiąt małych, ledwie dostrzegalnych gołym okiem gałek, które są tak małe, że znikają w ustach i nie czuje się ich przełknięcia, ale mają przyjemny smaczek kwaskowaty, zresztą ledwo uchwytne z powodu znikomo małej zawartości całej dozy. Zastrzyki strychniny i cukru winogronowego uzupełniają kurację. Śpię dobrze w nocy, duszności i nieregularności w biciu serca nie doświadczam, tylko wieczorem mam lekki stan podgorączkowy. Zdaje się, że mógłbym już chodzić i wychodzić, ale bez pozwolenia lekarza nie mogę tego robić. Nogi mi brzękną, jem nieźle, tylko nie za wiele od razu i unikam płynów i słonych rzeczy. Jedyne, co mi dolega, to stygnięcie nóg w stopach we dnie, od czego nawet moje wspaniałe wołki mię nie chronią.

Słyszysz się wciąż o wielkich aresztowaniach w Wilnie. Usposobienie ludności jest wskutek tego pełne trwogi. Mówią też o licznych wywożeniach, ale czy istotnie wywożą kogoś i dokąd – tego sprawdzić i stwierdzić niepodobna. W ostatnich dniach słyhać o aresztowaniach także księży w Wilnie i Wileńszczyźnie. Dotąd księży nie ruszano wcale. W liczbie kilku aresztowanych w Wilnie koło Nowego Roku księży wymieniają też ks. Adama Stankiewicza, znanego działacza białoruskiego. Ostro też występują czynniki sowieckie rosyjskie w kontakcie z wyższymi urzędnikami komisariatów ludowych. Zarzucają im niedbałość w pracy, mimo że ci skarżą się na przepracowanie. Czynniki rosyjskie coraz bardziej opanowują szczyty urzędów i instytucji. Na wsi, jak słyhać, wzrasta coraz bardziej ruch partyzancki litewski i jednocześnie akcja odwetowa represyjna Sowietów. Podobno dużo zaścianków Sowiety palą i aresztują rodziny tych, którzy są notowani w ruchu partyzanckim albo uchylają się od mobilizacji. Czynniki sowieckie grożą – tak przynajmniej słyhać – że o ile ruch partyzancki nie ustanie i nie ustanie sprzeciw mobilizacji i zarządzeniom sowieckim, to zabiorą się Sowiety radykalnie do ludności Litwy i będą wywozić ludność oporną masowo. Ludzie się tego najbardziej boją i wciąż o tym mówią. Cytują wypadki, kiedy wywieziono i rozproszono po wielkich przestrzeniach wschodu całe „republiki”, jak Niemców nadwołżańskich i Tatarów krymskich, którzy się zaznaczyli współdziałaniem z Niemcami za okupacji i sprzeciwem czynnym Sowietom. Wszystko to utrzymuje nastrój bardzo trwożny i nerwowy. Na ogół wrażenie jest takie, że Sowiety działają tu jak w kraju podbitym, nie zaś w republice, która rzekomo dobrowolnie z własnej inicjatywy wcieliła się do Związku Sowieckiego. Nikt nie jest pewny dnia i godziny, nikt się nie czuje bezpieczny i spokojny, chyba tylko ci, co byli na emigracji w Moskwie i po powrocie są dziś obywatelami I kategorii, mającymi zaufanie.

10 stycznia, rok 1945, środa

Żerмена nasza skończyła dziś 10 miesięcy pierwszego roku życia. Nie widzę żadnego postępu w jej rozwoju w tym dziewiątym miesiącu, który upłynął. Jest zupełnie taka sama teraz, jak przed

miesiącem, kiedy skończyła 9 miesięcy. Leży nieruchomo w swoim wózku i wymachuje rączkami, a koniecznie wymaga, żeby ktoś stale siedział przy niej. Jak tylko się na chwilę od niej odejdzie, to krzyczy i wrzeszczy w niebogłosy; drze się tak, jak żeby ktoś ją rznął. Ani siedzi o własnych siłach, ani staje i chodzić lub pełzać próbuje. Nie ma też dotąd zębów. Szczęśliwa jest tylko wtedy, kiedy Jadzia jest przy niej i ją pieści. Pieszczoty Jadzi – to szczyt jej radości i szczęścia. Rozpieszczona jest bardzo, cały dom jest na jej usługach.

Otrzymałem dziś z uniwersytetu zawiadomienie, że rozkazem rektora wyznaczony zostałem na prezesa komisji, która na żądanie komisarza ludowego oświaty ma wystudiować i zreferować na piśmie sytuację prawną wyższych uczelni w Litwie. Jest to komisja doraźna dla poszczególnej czynności i na krótką metę. Członkami komisji będą prof. Paweł Pakarklis i docent Wydziału Ekonomicznego Tadeusz Zaleski. Chociaż jeszcze wychodzić na miasto nie mogę, ale pierwsze posiedzenie tej komisji zwołam do siebie na pojutrze.

11 stycznia, rok 1945, czwartek

Czuję się już wcale nieźle. Zdaje mi się, że mógłbym już wychodzić z domu, choćby po trochu na przechadzkę, do fryzjera (obrosłem brodą straszliwie, muszę wyglądać jak straszdyło) itp., ale lekarz nie pozwala jeszcze. Dr Markowicz był dziś u mnie znowu. Jest bardzo staranny i troskliwy. Stwierdził, że stan mój jest już o wiele lepszy, ale wskazywał na to, że po każdym takim załamaniu się serca jak to ostatnie, serce bądź co bądź nieco się osłabia, a że i wiek mój się posuwa w głąb starości, więc każde nowe załamanie się funkcji serca staje się z natury rzeczy cięższe i niebezpieczniejsze. Trzeba więc bardzo tych pogorszeń unikać. Przede wszystkim, trzeba unikać wielkich wzruszeń i niepokojów, co jest łatwe do powiedzenia, ale nie tak łatwe do wykonania, zwłaszcza w tych czasach, trzeba też unikać wszystkiego, co męczy, a więc chodzenia pod górę i po schodach – to jest dla mnie najbardziej męczące, nie wolno mi wykonywać żadnej pracy fizycznej, trzeba unikać wszelkich trosk i poruszeń w rodzinie, zachowywać bardzo regularny tryb życia, unikać pokarmów słonych, ostrych i ciężkich, spożywać jak najmniej płynów, nie jeść nigdy dużo naraz i nigdy naraz do syta, natomiast jeść często po trochu, po obiedzie poleżeć, przed snem nic nie jeść, snu mieć w nocy dużo itd. Zapytywał mnie też doktor, czy nie miałbym ochoty na emeryturę, która by mię uwolniła od pracy zawodowej, a zwłaszcza od przeciążenia pracą; gdym wyraził niechęć do emerytury, której się boję podwójnie – raz dlatego, że do mojej pracy naukowej jestem przywiązany i że brak takiej pracy wytworzyłby mi pustkę w życiu i czynił na mnie przykre wrażenie, że stałem się gratem społecznie zbędnym, przeznaczonym już li tylko na śmierć, a po wtóre dlatego, że emerytura w Sowietach jest bardzo niewielka i utrudni mi utrzymanie rodziny – dr Markowicz wskazał, że w Sowietach jest kilka stopni niezdolności do pracy, połączonej z emeryturą, począwszy od częściowej do zupełnej. Tylko przy zupełnej niezdolności do pracy, kiedy człowiek jest całkowitym inwalidą, jest on z konieczności całkowicie usunięty od pracy i otrzymuje najwyższą emeryturę; częściowo czy względnie niezdolność do pracy jest dwojaka: taka, która pozwala mu uchylić się od pracy i przejść na wyłączną emeryturę, ale go do tego nie zmusza bezwzględnie, i taka, która mu od pracy usunąć się nie pozwala, ale daje mu pewny dodatek emerytalny do zarobku z pracy. Wskazywał więc, że mogę się poddać oględzinom lekarskim, do których mię skieruje i przypuszczam, że zostanę zakwalifikowany do częściowej większej niezdolności do pracy. Radził mi, abym skorzystał z tego, ale ja wolę nie korzystać jeszcze, dopóki nie czuję konieczności. Lękam się, że bez mego zarobku zachwiane zostanie utrzymanie mojej rodziny, a co za tym idzie – i warunki wychowania dzieci. Niech jeszcze przeczeka wojnę. Może Pan Bóg da mi siły dotrwania do czasów normalnych, a jakie one dla nas będą i co nam los gotuje – zobaczymy.

Miałem dziś wykład dla studentów w domu. Za wiedzą dziekana Medżysa, który się na to zgodził, ogłoszone zostało studentom słuchaczom moim, że wykład mój dzisiejszy odbędzie się u mnie w mieszkaniu. Słuchaczy mam stałych zaledwie dwóch do trzech. Przyszło dwóch – studentka Adamonytė i student Stankunas. Oni sami wolą mieć wykład u mnie w domu, gdzie jest przynajmniej

ciepło. Ale wykład dzisiejszy jakoś mi szedł opornie; nie bardzo liczyłem na przyjście słuchaczy, więc nie uporządkowałem z góry materiału wykładowego w głowie i plątałem się w wykładzie.

W wypadkach wojennych wielkich wydarzeń nie ma. Front zarówno wschodni, jak zachodni mniej więcej zastygał na stanowiskach pozycyjnych. Ruchliwy jest tylko odcinek południowowschodni, na Węgrzech, gdzie Sowiety posuwają się trochę. Głównym ośrodkiem walk jest tam Budapeszt, na którego ulicach toczą się bitwy. Część Budapesztu jest w ręku Sowietów, drugą część zajmują Niemcy i Madziarzy. Budapeszt jest zresztą otoczony dokoła pierścieniem sowieckim, przez który Niemcy usiłują się z zewnątrz przebić na odsiecz załodze stolicy węgierskiej. Ogólne jest przekonanie, któremu i premier angielski wyraz daje, że dopiero wiosna i lato dadzą jakieś efekty rozstrzygające na polu walk. Tymczasem w dziedzinie politycznej Sowiety robią cały szereg faktów dokonanych na tyłach frontu wschodniego.

12 stycznia, rok 1945, piątek

Wreszcie wyszedłem dziś na miasto. Dr Markowicz pozwolił na to wreszcie, nawet zalecił, żebym co dzień odbył przechadzkę pod warunkiem, że nie pójde pod górę ani po schodach. Ta pierwsza moja „przechadzka” dzisiejsza była bardzo krótka: poszedłem do fryzjera przy ulicy Giedymina w pobliżu Placu Katedralnego, dałem się ogolić i wróciłem do domu. W domu siedziałem ubrany.

Między godziną czwartą a piątą po południu zdarzył się w Wilnie wypadek, który obudził sensację, ale był wielce dotkliwy. Akurat dziewczynki nasze wróciły do domu z przedszkola i Jadzia rozlała zupę do obiadu, który jadamy w gabinecie moim. Jeszcześmy nie usiedli do stołu, kiedy nagle rozległ się gwałtowny huk wybuchu i jednocześnie posłyszałem brzęk tłuczonego szkła w pokoju dziecinnym i coś ciężkiego upadło tamże. Z pokoju dziecinnego wybiegła z krzykiem nieprzytomna ze strachu Kotunia. Jadzia chwyciła dzieci, panna Maria Piątkowska też się zakrzętała, ja zajrzałem do pokoju dziecinnego i zobaczyłem ramę z górnej części jednego z okien, która została wyrwana i upadła na kanapę. Żeby na kanapie tej było w tej chwili któreś z dzieci, to rama ta mogłaby je zabić. Co to było – nie wiedzieliśmy. W pierwszej chwili sądziliśmy, że to samolot niemiecki rzucił w pobliżu bombę. Ale gdyby to był nalot, to reagowałyby na to artyleria zenitowa sowiecka, która się nie odzywała. Przez okna nasze, wychodzące na południe, Jadzia zobaczyła w kierunku dworca kolejowego wielką chmurę dymu. Niebawem zaczęto mówić, że to był wybuch benzyny czy amunicji i materiałów wybuchowych na kolei. Potem była wersja, że to wybuch pocisku ciężkiej artylerii niemieckiej, ostrzeliwującej Wilno z frontu, co byłoby najstraszniejsze, bo zapowiadałoby ewentualnie systematyczne ostrzeliwanie Wilna i przeto systematyczne niszczenie mieszkań zimą. Po pierwszym wybuchu wkrótce nastąpił drugi, ale nieco słabszy. Potem do wieczora powtórzyło się jeszcze kilka wybuchów, ale już coraz słabszych i mniej strasznych. Jadzia wystarała się o ćwieki i zabiła dyktą otwory w oknie uszkodzonym, wzmacniając ramy. Mieszkanie przez to doprowadziliśmy do porządku i stanu mieszkalnego bez konieczności oszklenia. Wieczorem od osób przychodzących i od lokatorów wielkiego pokoju w mieszkaniu naszym dowiedzieliśmy się nowych szczegółów o wybuchu. Wybuch nastąpił pono od zderzenia pociągów z amunicją w okolicy dworca kolejowego. Okolice dworca są kapitalnie zniszczone, podobno nie tylko okna z ramami powypadały, ale też zniszczone i obalone są gdzieś tam ściany i mury, są setki rannych i dużo ludzi zabitych; powiadają, że żaden z wybuchów przy bombardowaniu Wilna latem nie był tak gwałtowny jak ten. W całym Wilnie, w najdalszych od kolei dzielnicach sypały się szkła w oknach i były wstrząsy gwałtowne. Zdaje się, że był to tylko wypadek, ale niektórzy sądzą, że był to może akt sabotażu, co mi się wydaje mało prawdopodobne.

13 stycznia, rok 1945, sobota

Całe Wilno przejęte jest wczorajszym wypadkiem. Katastrofa jest większa, niż wczoraj sądzono. Dzielnicą pod dworcem kolejowym jest częściowo zniszczona. Wybuch był taki silny, że przewróciło się wiele murów i ścian, a domki drewniane były tak zmiotane, że po niektórych śladu

nie zostało gdzie stały. Odłamki pocisków amunicji, która wybuchła, walące się mury, drzwi, okna – ramy i szyby – ciężej lub lżej poraniły tysiące osób, a liczba zabitych określana jest na 100-150; w istocie zapewne więcej, bo sprzątanie i przeglądanie gruzów jeszcze nie ukończone. Z dzielnicy pod dworcem kolejowym usunięto mieszkańców i dzielnica ta jest obecnie odcięta i dostęp do niej jest zamknięty i strzeżony przez wojsko. Powiadają, że niektóre ulice w tej dzielnicy przestały istnieć. Teren dworca kolejowego, tory kolejowe – całkowicie zniszczone. W całym mieście od tej strony domów, która zwrócona jest frontem do dworca kolejowego, wybite są szyby w oknach, gdzieś tam z ramami. U nas pęd powietrza został nieco zahamowany przez drzewa rosnące w ogrodzie naprzeciwko domu naszego i dlatego stłuczone zostało szkło tylko w jednym oknie w górnej jego części, w której ramy wyrwane zostały i którądy prąd gwałtowny powietrza przebiegł przez pokój dziecinny do sypialnego i stamtąd przez drzwi, w których wyrwał u góry faniere<sup>22</sup>, zasłaniającą dawne okno, wpadł do pokoju jadalnego, gdzie się już rozplynął. Ogólnie twierdzą, że w żadnym z nalotów na Wilno od początku wojny ani też w walkach ulicznych o Wilno latem r. 1944, kiedy bombardowano Wilno z samolotów i z dział, nie było nigdy takiego silnego wybuchu, jak wczorajszy.

Wychodziłem dziś na miasto do urzędu milicji dla zgłoszenia dokumentów na paszport i do sklepu Józi przy ul. Wileńskiej. Władze sowieckie zarządziły w Wilnie wydawanie ludności paszportów sowieckich. Robi się to w tempie masowym i szybkim.

Z prof. Pakarklisem i doc. Zaleskim odbyliśmy dwa posiedzenia komisji, mającej ustalić, jaka jest sytuacja prawna wyższych uczelni w Litwie sowieckiej. Trudne to jest do stwierdzenia, bo aktów ustawowych sowieckich w tej materii nie ma i nawet nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jakie jest w ogóle ustawodawstwo sowieckie w przedmiocie wyższej szkoły i jaki jest tryb normowania tego przedmiotu. Znaleźliśmy tylko kilka nowel litewsko-sowieckich z lat 1940-1941, które dotyczą kilku poszczególnych zagadnień życia wyższych uczelni. Stan prawny naszych wyższych uczelni jest jeszcze bardzo chaotyczny.

14 stycznia, rok 1945, niedziela

I Jadzia, i ja otrzymaliśmy dziś nowe paszporty sowieckie. Jadzia – paszport terminowy na lat pięć, ja – bezterminowy (zapewne w tym przypuszczeniu, że dla starego termin konwencjonalny jest zbyteczny, albowiem przyjdzie nań niebawem termin naturalny i radykalny, który wykreśla i paszport, i jego samego – to znaczy śmierć). W I cyrkule milicji miejskiej przy ulicy Tatarskiej, gdzie nam wydawano paszporty, praca ta jest już na ukończeniu i długich kolejek przeto już nie ma. Przed tygodniem, kiedy tam rozpoczęto wydawanie paszportów, przynajmniej dla naszej ulicy, stała tam od razu ogromna kolejka na złożenie dokumentów na paszport; w kolejce tej stano czasem cały dzień i nie dochodzono do rezultatu, tak że nazajutrz trzeba było znowu stawać. Wieczorem od godziny piątej albo szóstej wydawano już wypisane paszporty tym, którzy w ciągu dnia dokumenty złożyli; znowu był tłok; wywoływano nazwiska, doręczano paszport za pokwitowaniem, procedura ta ciągnęła się aż do godz. dziesiątej w nocy; do domu trzeba było wracać po ciemku. Teraz już są tylko resztki. Jadzia złożyła swoje dokumenty w piątek, ja – wczoraj. Dziś wieczorem Jadzia odebrała swój paszport, a koło godziny szóstej, już o zmroku, poszedłem i ja po mój. Poszły ze mną dzieci – Kotunia i Iga. Dobrze, że się tam znalazł dr Garlé, który zaopiekował się dziewczynkami, dopóki ja mój paszport odebrałem, bo ścisk jednak był w korytarzu, gdzie się czeka na wywoływanie nazwisk, a ciemność tam zupełna, toteż z dziećmi stać byłoby trudno.

Paszport sowiecki dostaję po raz drugi. Raz mi go wydano w maju roku 1941. Potem odebrali mi go Niemcy i wydali tymczasowe zaświadczenie tożsamości zamiast paszportu. Teraz znowu paszport sowiecki.

W przedmiocie piątkowego wybuchu amunicji na dworcu kolejowym są wciąż nowe wieści. Ilość zabitych podają już nie na 150, ale na 2000 osób. Zdaje się, że to nie jest przesada, bo wieści te

<sup>22</sup> Fornir, sklepka (rusycyzm).

potwierdzają sanitariuszki, które mi przychodzą robić zastrzyki. Są one, zdaje się, dobrze poinformowane, bo pracują w poliklinikach, gdzie wieści tego rodzaju napływają dosyć ściśle. Oczywiście odpowiednio większa jest też ilość rannych i skaleczonych. Co do zabitych jednak, to największą ich ilość stanowią podobno żołnierze z obsługi pociągu z amunicją, w którym nastąpił wybuch. Dużo też zginęło kolejarzy, którzy w tym czasie pełnili służbę. Opowiadają, że w jednym ogródku dzieciennym (przedszkole) przy ulicy Rudnickiej w czasie, kiedy nastąpił wybuch (koło godziny piątej), nie wszystkie jeszcze dzieci były odebrane do domu; wszystkie te dzieci w przedszkolu zginęły od skutków wybuchu.

15 stycznia, rok 1945, poniedziałek

Zapowiedział nasz stróż domu, czyli „dozorca“ według terminologii „demokratycznej“, która była ustalona w Polsce po tamtej wojnie, że do naszego mieszkania skierowano pięć osób z tych, co zostali usunięci z dzielnicy zniszczonej przez wybuch piątkowy i są bezdomni. Są oni rozsiedlani po mieszkaniach prywatnych w ocalałych dzielnicach miasta. Dozorca zapowiedział, że ci przeznaczeni do nas ludzie zgłoszą się do nas dziś jeszcze. Nie bardzo to nam dogadza, bo mieszkanie nasze, choć duże, może i za wielkie dla nas samych, ma rozkład tak niewygodny, że nie możemy zalokować nikogo na uboczu. Gdyby można było, to już byśmy sami wydzierżawili komuś część mieszkania. Pokoje, które dla nas mogłyby ewentualnie być zbyteczne – jadalny i drugi malutki po drodze do kuchni – są albo na wszystkie strony przejściowe (jadalny), albo tuż przy wychodku i w dodatku podłoga krzywa. Poza tym, mamy dużo mebli i gratów, których nie mamy sposobu zalokować w naszych pokojach mieszkalnych. Tak w jadalnym, gdzie jest także mały piecyk, służący nam za kuchenkę, stoi moja duża szafa z książkami, a więc cała zasadnicza biblioteka moja, bufet, szafka ozdobna, którą Jadzia używa za spiżarnię, szafa do ubrania, szafka szklana. Gdyby tam ktoś mieszkał, to mogłoby grozić niebezpieczeństwo i książkom, i naczyniom, i zapasom, i ubraniu, a przenieść tych szaf nie ma dokąd, bo mebli wszędzie jest pełno i za dużo – meble moje i Reda. Poza tym, w przedpokoju są zapasy żywności, które Jadzia przywiozła z Bohdaniszek i które też nie mogą stać na przejściu, gdy się zalokują ludzie obcy. A co to mają być za ludzie – tego nie wiemy. Ale do wieczora nie doczekaliśmy się tych skierowanych do nas rzekomo gości. Może doczekamy się jutro.

Dowiedziałem się dziś, że u dwóch profesorów – u Jonynasa i u Sezemana – siedziały w ciągu kilku dni zasadzki agentów NKGB. Obaj ci profesorowie mieszkają w domach uniwersyteckich przy ulicy Wielkiej. Już w ubiegłym tygodniu dochodziły mi jakieś wieści o rzekomych aresztach profesorów i studentów uniwersytetu. Wieści te nie potwierdziły się, ale zaczęto mówić, że przychodzono aresztować prof. Jonynasa, który się wskutek tego ukrywa. Potem w sobotę wspomniano mi o aresztowaniu prof. Sezemana. Dziś dowiedziałem się, jak było istotnie. Podczas dyżuru nocnego Jonynasa do bramy weszli uzbrojeni żołnierze, Jonynasowi kazali iść do mieszkania spać, zwalniając go od dyżuru, sami zaś udali się do mieszkania, w którym mieli urządzić zasadzkę. Okazało się, że to było właśnie mieszkanie Jonynasa. Jonynas mieszka tu sam, bez rodziny. Czy żołnierze robili u niego rewizję czy nie – tego nie wiem, ale zasiedli na zasadzkę dla aresztowania wszystkich przychodzących do mieszkania. Siedzieli kilka dni, zdaje się – od poniedziałku do soboty. Jonynasa nie wypuszczali z domu, ale nikogo się przez kilka dni nie doczekali za wyjątkiem jakiegoś jednego żebraka, który zapukał do drzwi Jonynasa. Przez te kilka dni objedli radykalnie Jonynasa i spalili mu całe drzewo, które miał na opał. Wreszcie odeszli nie aresztując Jonynasa. Mniej więcej to samo miało miejsce u Sezemana, którego także nie aresztowano po zwinięciu zasadzki. Tylko że u Sezemana doczekano się więcej gości.

Państw, które są pod kontrolą Sowietów na wschodzie europejskim, przybywa. Do nich należą Rumunia i Bułgaria, których rządy obecne funkcjonują jak agentury sowieckie. Niedawno pod patronatem Sowietów stworzony został rząd tymczasowy węgierski, a faktyczny rząd lubelski w Polsce, będący *par excellence* kreaturą sowiecką, został koło Nowego Roku przetworzony w rząd tymczasowy polski. A więc Polska, Węgry, Rumunia i Bułgaria są w orbicie kontroli sowieckiej,

kraje zaś bałtyckie są przez Sowiety pochłonięte. W mniejszym stopniu ulega kontroli Sowietów Finlandia.

16 stycznia, rok 1945, wtorek

Wczoraj naśnieżyło, a dzisiaj strzelił mróz większy. Jest 10° mrozu. Rano była zawieja, potem powietrze się uciszyło i złagodniało.

Powiadają dzisiaj, że Sowiety podsuwają się pod Kraków, od którego są na odległości 60 kilometrów. Mówią też że zagrożona jest Warszawa, która dotąd, za wyjątkiem przedmieścia Pragi, jest jeszcze w ręku Niemców.

Nasza najmłodsza córeczka Żermena jednak rozwija się. Zaczyna coraz więcej odzywać się dźwiękami artykułowanymi, jednosylabowymi oczywiście. Naturalnie, że te monosylaby nie oznaczają jeszcze żadnych określonych pojęć lub rzeczy. Ale niebawem znajdzie się zapewne i określone znaczenie tych sylab, co będzie początkiem mowy Żermeny. Tymczasem Żermena wsłuchuje się pilnie we własne dźwięki głośne i w to, co się do niej mówi, śledząc ruch ust osób mówiących. Możliwe, że ukażą się u niej wkrótce pierwsze ząbki. Jadzia znajduje u niej pewne stwardnienia na dziąsłach i jakby wybrzękłość warg. Żermena robi się coraz bardziej podobna do Kotuńki, jak Kotuńka wyglądała w tym wieku, tylko oczy ma większe niż Kotunia i w dolnej części ust w jednym kącie ma swój specyficzny grymasik, który mi przypomina czasem siostrę Jadzi – Stefcie Boreišisową. Oczy ma duże jak Iga, tylko błękit oczu mniej ciemny, niż u Igi, bardziej lazuruowo niebieski. Może być ładną dziewczynką. Wzmacnia się też i wypręża do wstawania, ale jeszcze nie staje sama. Wymaga obecności człowieka przy sobie i gdy nikogo przy niej nie ma – płacze i krzyczy. Nocami śpi dobrze, we dnie prawie wcale nie śpi. Panna Maria Piątkowska, która jest przy niej, lubi ją i to jest największą zaletą panny Marii, która, aczkolwiek bardzo uczciwa, jest niesłychanie marudna i dosyć uparta. Kotuńka i Iga dnie całe do godziny piątej spędzają w ogródku dzieciennym. Nauczyły się tam bardzo dużo ładnych wierszyków i piosenek do gier towarzyskich dzieciennych.

17 stycznia, rok 1945, środa

Mróz mniejszy, 7 stopni, ale bardzo wielki ostry wiatr południowy, który ziębi nasze mieszkanie przez okna. Nasi lokatorowie wielkiego pokoju od początku grudnia nie opalają swojego pieca, co się też przyczynia do studzenia naszych pokojów przez drzwi między ich wielkim pokojem a moim gabinetem; drzwi te, zastawione z ich strony bufetem, a z naszej strony półkami z książkami Reda, są nieszczelne i wyciągają z gabinetu ciepło. Gabinet ma dobry piec kaflowy, postawiony przez Reda i opalany przez Jadzię węglem, którego pewien zapas jeszcze w składziku znaleźliśmy, ale byłoby cieplej, gdyby wielki pokój nie studził. Lokatorowie ci, którymi pierwotnie byli czterej wyżsi urzędnicy Komisariatu Ludowego Finansów, pozmieniali się; z czterech pierwotnych pozostał tylko jeden, natomiast zalokowało się dwóch nowych z Komisariatu Ludowego Rolnictwa, w ich liczbie jeden mój był student sprzed lat 20, niejaki Brazauskas, którego dobrze znałem za jego czasów studenckich jako jednego z czynniejszych działaczy studenckich obozu „Varpasu”. Mieszkają oni nieporządnie, po kawalersku, rodziny mają w Kownie, nie zdobywają się na opał, nie szklą okien podwójnych, choć szkło do oszklenia mają. Dopiero teraz przyrzekają, że jeden z nich, Brazauskas, sprowadzi z Kowna żonę i że wtedy uporządkują się. Muszą oni i nam dać 1 metr drew za styczeń i luty za wypożyczone im meble. Zanotuję, że tych bezdomnych, których miano zalokować do naszego mieszkania z dzielnicy, zniszczonej przez wybuch pociągu z amunicją w ubiegłym tygodniu, nie doczekaliśmy się, z czego się cieszymy, bo nie wiadomo, gdzie byśmy mogli ich zalokować.

Z pieniędzmi wciąż jest nam trudno. Wydatki są wciąż dosyć duże – opał w pierwszym rzędzie jako wydatek największy, ale także różne inne, jak mleko dla Żermeny, komorne, pensja panny Marii, i przygodne, jak lekarz i lekarstwo, pantofle dla dziewczynek do przedszkola, lampka, pranie i inne, a pensji mojej na to ani w połowie nie wystarcza. Sprzedajemy wódkę, papierosy i cukierki,

które otrzymujemy na limity, ale i z tym dosyć kuso. W ogóle sprzedać coś jest trudno, bo ludzie nie mają pieniędzy i podaż rzeczy do sprzedaży jest w Wilnie dużo większa, niż popyt na kupienie. Pensja też się wypłaca coraz mniej akuratnie; oto obecnie już kilka dni upłynęło po terminie wypłaty pensji półmiesięcznej, a pieniędzy na wypłatę uniwersytet nie otrzymał dotąd. W innych urzędach i instytucjach z wypłatą pensji jest jeszcze gorzej – gdzieś tam pensja zalega po kilka miesięcy, a pensje są tak niskie, że ludziom z rodzinami nawet na chleb i skąpe produkty kartkowe nie wystarcza, tymczasem pracownicy są obarczani składkami na zakupienie biletów loterii państwowej albo na tanki i uzbrojenie dla wojska i składki te są ściągane w rzeczywistości przymusowo, bo uchylić się nie można, choć pochłaniają one czasem lwią część zarobku. Z pracy w sklepie Józi Jadzia nic dotąd nie ma, bo żadnych obstalunków na trykotaże nie ma.

18 stycznia, rok 1945, czwartek

Przyszła wieść, zakomunikowana przez radio sowieckie, o zdobyciu przez Sowiety na Niemcach Warszawy i Częstochowy. Już przed paru dniami było ogłoszone o zajęciu Kielc i Radomia, a w kierunku na Kraków zajęty jest Miechów. Ruszył więc z miejsca front w Polsce i w krótkim czasie ofensywa sowiecka uczyniła tu znaczne postępy. Choć Warszawa jest podobno stosem gruzów, to jednak w Polsce imię i urok Warszawy są tak wielkie, że posiadanie Warszawy jest posiadaniem Polski niezależnie od tego, czy ta Warszawa jest miastem, które tętni życiem, czy jest tylko miejscem wspomnień i ukochań narodu, materialnie rozbitym w gruzy. Dla tymczasowego rządu polskiego jest to wielki atut, pomimo że wzrosną i zagęszczą się czynniki opozycji, ciężące do rządu na emigracji w Londynie, które na dotychczasowym szczupłym terenie województw lubelskiego, rzeszowskiego i białostockiego były już względnie opanowane przez zorganizowane czynniki rządu tymczasowego. Rozszerzenie okupacji Węgier na tereny środkowe Polski zagraża też coraz bardziej terytorium niemieckiemu w kierunku zwłaszcza na Austrię, Czechosłowację, Śląsk i Prusy Wschodnie. Jest to więc cios wojenny dla Niemiec bardzo poważny i dotkliwy.

Na uniwersytecie naszym zakończony został semestr jesienny. Wykładu dziś nie miałem. Do 24 stycznia jest czas egzaminów, następnie do 7 lutego są ferie międzysemestralne. W tym roku uniwersytet nasz raczej wegetuje, niż działa. Dotyczy to zwłaszcza wydziałów takich, jak nasz prawniczy, który ma bardzo mało słuchaczy i na którym wykłady są bardziej nominalne, niż rzeczywiste. Nie wiem, co ma na myśli nasz Komisariat Ludowy Sprawiedliwości, kierowany przez komisarza ludowego Domaszewicza, który organizuje dwuletnią szkołę prawniczą i trzymiesięczne kursy prawnicze dla przygotowania kadrów sędziów i prokuratorów. Jeżeli dla tych posad w sądownictwie wystarczają kursy trzymiesięczne albo szkoła dwuletnia, to na cóż w tym względzie jest Wydział Prawniczy, który wymaga od studentów większych kwalifikacji wykształcenia zasadniczego i czteroletniego kursu nauki. W tych warunkach, jeżeli sądownictwu studia na Wydziale Prawniczym uniwersytetu są niepotrzebne, od Wydziału Prawniczego odstręcza się większa część tych, którzy by nań wstąpili, a pozostają tylko ci, którym chodzi o ogólne wyższe wykształcenie uniwersyteckie bez ścisłego związku z karierą służbową. Ale dla takich adeptów wyższego wykształcenia akademickiego, nie związanego z karierą, należałoby na wydziale wzmocnić ogólne kształcenie społeczne, podczas gdy w uczelni sowieckiej nacisk się kładzie właśnie na pozytywną specjalizację fachową. Nasz uniwersytet w Litwie niepodległej w Kownie kładł duży nacisk na wykształcenie ogólne i, jak dziś przyznają sami działacze litewsko-sowieccy, którzy ukończyli nasz uniwersytet, a przez lata okupacji niemieckiej byli w Moskwie, młodzież z naszego uniwersytetu była o wiele bardziej wykształcona i miała dużo szersze horyzonty wiedzy, niż młodzież z uniwersytetów i instytutów sowieckich.

19 stycznia, rok 1945, piątek

Widziałem obydwóch profesorów – Jonynasa i Sezemana, w których mieszkaniach miała miejsce zasadzka agentów NKGB. U Jonynasa zasadzka ta siedziała w mieszkaniu tydzień, u Sezemana – całych dni 10. I Jonynas, i Sezeman przez cały czas trwania zasadzki musieli siedzieć w

domu, nie mogąc nigdzie wyjść. Jonynas skarży się na zachowanie się żołnierzy w jego mieszkaniu, powiada, że mu spalili cały zapas drewna, jaki miał przygotowany, zjedli wszystko, co miał, ukradli co się dało z drobnych rzeczy, jakie tylko znaleźli – igły, nici, brzytwę, termometry, wypili wino, zabrudzili do niemożliwości ustęp, połamali meble, w ogóle nie szanowali i nie przyznawali żadnej własności, nie proponowali mu nic jeść z tego, co sami jedli, tak że przez pierwszych parę dni, zanim żołnierze zasadzki nie zaczęli gotować pożywienia z zasobów Jonynasa, on sam żywił się tylko chlebem, którego bochenek miał, podczas gdy Sezeman mówi, że u niego żołnierze zasadzki zachowywali się bardzo grzecznie i kulturalnie, nic nie poruszyli, nie objedli go, dzielili się z nim swoim pożywieniem, nie łamali żadnych mebli. Do Jonynasa przez czas trwania zasadzki przyszedł tylko jakiś żebrak, którego też zatrzymano, ale więcej nikt; do Sezemana przyszło kilka osób, w ich liczbie prof. Vabalas-Gudaitis i córka prof. Karsawina, którzy także zmuszeni byli dzielić los Sezemana przez czas trwania zasadzki. Żadnej jednak krzywdy osobistej ani Jonynasowi, ani Sezemanowi i jego gościom nie wyrządzono. Wszystkich uwolniono przy zwinięciu zasadzki.

Czekamy z Jadzią przyjazdu Maryti Nowickiej, siostry Paulinki, która dotąd siedzi w więzieniu, odkąd ją w grudniu w mieszkaniu aresztowano. Zawiadomiliśmy ją listem przez Joachima Petrulisa o aresztowaniu Paulinki. Nic pomóc na rzecz jej uwolnienia zapewne nie będzie w stanie, ale może będzie mogła dostarczyć jej paczek żywnościowych i zabezpieczyć jej rzeczy, które mogą zginąć przez czas jej nieobecności, zwłaszcza że jest bardzo prawdopodobne wywiezienie Paulinki na czas dłuższy gdzieś na roboty, bo jest samotna i młoda. Sądzymy, że Paulince zaszkodziły te rzeczy, które u niej były zostawione przez byłego żołnierza litewskiego Pagirysa i przez jakąś jej przyjaciółkę, która miała pono jakichś znajomych Niemców. Choć sama Paulinka była politycznie zupełnie bierna i nie miała żadnych kontaktów z Niemcami lub partyzantami, ale rzeczy tych przyjaciół, którzy mogli mieć takie kontakty, zapewne ją skompromitowały. Przechowywanie cudzych rzeczy jest zawsze niebezpieczne w czasach wojny albo przesilen społecznych. Łudzimy się nadzieją, że może wraz z Marytią Nowicką wybierze się do Wilna do nas i matka Jadzi.

20 stycznia, rok 1945, sobota

Front wschodni poruszył się na dobre. Nastąpiło widocznie nowe wielkie pchnięcie ofensywy sowieckiej. Przede wszystkim, główny cios tej ofensywy uderzył na Polskę, gdzie sukcesy sowieckie w zdobyczach terytorialnych są bardzo wielkie. Po Radomiu i Kielcach, po Warszawie i Częstochowie dziś są już wieści o zdobyciu przez Sowiety Krakowa i Łodzi (czyli Litzmannstadtu, jak Niemcy byli przezwalili Łódź po „wcieleniu” jej do Rzeszy). Ale ofensywa sowiecka w Polsce rozszerza się na swoim prawym skrzydle na Prusy Wschodnie, z których Niemcy już raz byli odparli wojska sowieckie do granicy prusko-litewskiej i do dolnego Niemna. Teraz Sowiety przekroczyły Niemen, zajęły Ragainię (Ragnetę) i Tylżę i posuwają się w głąb w kierunku na Wystruć (Insterburg). Na zachodzie Niemcy zdołali wstrzymać postępy anglo-amerykańsko-francuskie na linii Renu, a w drugiej połowie grudnia zdołali nawet dokonać kontrofensywy lokalnej i wbić dosyć wąski, ale głęboki klin na zachód na 60 kilometrów naprzód. Czy klin ten został zlikwidowany – tego nie wiem, ale o posuwaniu się sprzymierzeńców na Ren jakoś nie słychać. Są wersje, że sprzymierzeńcy natrafili tam na takie fortyfikacje niemieckie, które uczyniły tam wojnę pozycyjną jak w roku 1918, tak że sprzymierzeńcy przy największym wysiłku posunąć się mogą zaledwie na metry, ale już nie na kilometry. Ciekawa rzecz, czy na terenie niemieckim na wschodzie Niemcy zdołają impetowi sowieckiemu przeciwstawić takąż fortyfikacyjną tamę obronną, którą walkę ruchomą zredukuje do pozycyjnej. Raz już byli odparli Sowiety z Prus Wschodnich, ale oto Sowiety posuwają się znowu. Najbliższa przyszłość da ciekawe w tym względzie wypadki, które wskażą, czy Niemcy są jeszcze w stanie zapewnić skuteczną obronę swego terytorium. Zapewne wypadki na terenie pruskim będą w tym względzie miarodajniejsze od wypadków na terenie węgierskim i polskim. Jeżeli obrona niemiecka załamie się na terenie pruskim, to będzie to już chyba początkiem upadku Niemiec.

W sali Komisariatu Ludowego Oświaty odbyło się dziś uroczyste posiedzenie uniwersytetu, poświęcone 21 rocznicy śmierci Lenina, po czym odbyła się konferencja profesury naszego uniwersytetu z delegacją Komitetu do spraw Wyższych Uczelni, która przybyła z Moskwy. O tym do jutra.

21 stycznia, rok 1945, niedziela

Na obchód uniwersytecki rocznicy śmierci Lenina, który miał miejsce pozawczoraj w pięknej sali Komisariatu Ludowego Oświaty przy ulicy Wolana, w równie pięknym stylowym zakątku Wilna, który wraz z całym pięknym terenem aż po Plac Napoleona, Bonifratrów i Plac Katedralny ocalał szczęśliwie, nietknięty przez burzę wojenną, szalejącą nad Wilnem w lecie roku 1944, na obchód ten złożyły się dwa referaty poświęcone Leninowi – pierwszy wygłoszony przez dziekana Wydziału Medycznego prof. Kairiukštisa i drugi przez kierownika katedry marksizmu-leninizmu na Uniwersytecie Wileńskim młodego profesora Mieszkowskiego, mojego byłego ucznia z Wydziału Prawniczego w Kownie. Na zakończenie obchodu chór akademicki odśpiewał nowy hymn państwowy Związku Sowieckiego, skomponowany w czasie obecnej wojny, który wyrugował dawną Międzynarodówkę.

Referat prof. Kairiukštisa był pełny petyzmu nie tylko dla osoby wielkiego Lenina, ale także dla rewolucji socjalistycznej i dla Sowietów. Niepotrzebnie tylko Kairiukštis wdał się w usprawiedliwianie i nawet poniekąd idealizację tego, co sam nazwał okrucieństwem w metodach aparatu sowieckiego przy nasadzaniu socjalizmu i tłumieniu sprzeciwu. W akademii na uczczenie pamięci wielkiego trybuna i bohatera sprawy emancypacji człowieka, jak tę emancypację pojmował Lenin, należało podnosić raczej to, co się w jego dziele zrodziło z miłości i wielkiej wiary oraz mądrości wodza, aniżeli dotykać okrucieństwa, które nie było istotnym momentem wielkości Lenina. Referat Mieszkowskiego był ładny, był też pełny myśli, jak wszystkie jego przemówienia, które mi się zdarzyło słyszeć. Mieszkowski – to człowiek otwartej głowy i serca. Choć jest zawodowym teoretykiem marksizmu, filozofem marksizmu, mającego skłonność w rządach jego adeptów do skostnienia w sztywny dogmat *sui generis* teologii, to jednak nie poddał się on tej skłonności. Zachował giętkość w traktowaniu doktryny i podnosi zawsze twórczy moment jej ewolucji, który przeciwstawia niewolniczemu jej wyjaławianiu przez epigonów. Lenin był właśnie nie epigonem twórców marksizmu, ale tym, który sam twórczo doktrynę tę precyzował, rozwijał, kierował nią i wzbogacał ją nowymi tezami z doświadczeń rozwoju społecznego. Ten moment twórczy, przeciwstawiony małostkowemu epigonizmowi, podnosił właśnie Mieszkowski w swoim traktowaniu Lenina. Przemówień Mieszkowskiego słucham zawsze z przyjemnością. Jest to człowiek żywy na pustyni marionetek teologii marksizmu u nas. Przerasta on głową i sercem tych, co się u nas marksistami mienią. W końcowej części swego referatu Mieszkowski od Lenina przeszedł na problem polityczny Litwy i tu dał parę twierdzeń, które mi się wydają wątpliwe i na które potem w krótkiej rozmowie z nim zareagowałem pewnymi zastrzeżeniami.

Wychodziłem z domu na obchód wczorajszy Lenina w przypuszczeniu, że wrócę do domu jeszcze za resztek światła dziennego. Obchód był wyznaczony na godzinę piątą, a o godzinie siódmej podług czasu moskiewskiego nie jest jeszcze zupełnie ciemno. Nie uprzedziłem więc dokładnie Jadzi, dokąd wychodzę, zwłaszcza że nie była w domu, gdym wychodził, choć wiedziała, że wyjdę. Ale po obchodzie Lenina odbyła się jeszcze konferencja profesury z przedstawicielami Komitetu do spraw Wyższych Uczelni, którzy przyjechali z Moskwy i rektor Bieliukas zaprosił i mnie na tę konferencję. Przeciągnęła się ona do godziny dziewiątej wieczorem. Była więc już noc, gdym wrócił do domu, odprowadzony przez kolegę Žeruolisa, obecnego prodziekana naszego wydziału. Jadzię zastałem w wielkim strachu, co się ze mną stało, bo był to pierwszy wypadek, żem wieczorem wyszedł z domu. Nie wiedziała, dokąd wyszedłem, bała się, że może trafiłem gdzieś na zasadzkę i zostałem zatrzymany albo że może ktoś mię napadł i obrabował na ulicy, bo w obecnych czasach i jedno, i drugie się zdarza. Ucieszyła się więc bardzo, gdym wrócił zdrow i cały. Wszystko dobrze, co się dobrze kończy.

Konferencja z przedstawicielami komitetu z Moskwy odbyła się w gabinecie komisarza ludowego oświaty Żiugždy. Przedstawiciele tych było trzech, dwóch Rosjan i jeden Gruzin. Na czele delegacji stoi prof. Butiegin (tak, zdaje się, brzmi jego nazwisko), człowiek światły i bardzo kulturalny, który przez lat 10 był rektorem uniwersytetu w Moskwie. Ten głównie brał czynny udział w konferencji wczorajszej z nami. Komitet ten stanowi *sui generis* zwierzchność naukową wyższych uczelni w Sowietach. On udziela różnej pomocy uczelniom i ma dużo decyzji w sprawach naukowych i sprawach personelu uczelni. Na konferencji nasi profesorowie wypowiadali różne nasze potrzeby naukowe i zadawali pytania, na które delegacja komitetu odpowiadała i udzielała nam informacji. Atmosfera była bardzo przyjemna i kulturalna.

22stycznia, rok 1945, poniedziałek

Cios nowej wielkiej ofensywy sowieckiej na froncie wschodnim jest ogromny i coraz bardziej się rozrasta. Zajęta jest przez Sowiety cała Kongresówka w Polsce i dawna Galicja Zachodnia. Sowiety u granicy polsko-czesko-niemieckiej wdarły się na Śląsk niemiecki i posuwają się w kierunku na Wrocław. W Prusiech Wschodnich zajęty jest Insterburg (Wystruć, czyli Įsrutė litewska), z południa Prusy Wschodnie są zagrożone od Mławy i Działdowa, zajętych przez wojska sowieckie. Postępy tej ofensywy są olbrzymie.

Wieczorem przyjechał z Abel Čegis. Jest to mieszkaniec Abel, pół-Żyd (z ojca Żyda, matki Litwinki). Za okupacji niemieckiej udało mu się, że go do getta nie wpędzono, tylko ze służby na kolei Niemcy go wyrzucili. Teraz znowu służy na kolei. Zna się on dobrze z Čepasami, braćmi Jadzi, z którymi miał pewne konszachty spekulacyjne. Przywiózł nam paczkę z trzema kilogramami masła i listy od Stefci Boreišisowej i od Janka Čepasa. Čegys nocuje u nas. W Bohdaniszkach nic bardzo złego nie ma, ale też nic szczególnie dobrego. Ma tam jeszcze raz zjechać do nas komisja w sprawie ewentualnego zabrania jeszcze czegoś z inwentarza i sprawdzenia, czy jest coś jeszcze do zabrania na rzecz skłypininków ze zboża; tego już prawdziwie nie ma po oddaniu całej ordynarii, długów i rekwizycji. Jest na razie w Bohdaniszkach u nas kobieta do obsługi ptactwa i świń, ale droga i tylko do lutego. Jak będą radzić Čepasowie dalej – nie wiadomo. Jadzi brat Balys został zwolniony od wojska, Janka Čepasa i Boreišisa zakwalifikowano jako zdatnych do wojska, ale odroczone stawiennictwo do czerwca. Čegys mówi, że opór bierny przeciwko mobilizacji, który w naszych stronach był w ciągu jesieni masowy, został jednak ostatecznie złamany albo zredukowany do drobnego odsetka opornych. Były duże represje, aresztowania; młodzież ostatecznie poszła przeważnie do wojska. Aresztów w ogóle było w stronach abelskich dużo. Dużo aresztują i teraz. Szerokiej akcji partyzanckiej nie ma, ale w pewnych miejscowościach gniazda ruchu partyzanckiego utrzymują się.

Chcę dotknąć jeszcze jednego przedmiotu, mianowicie twierdzeń prof. Mieszkowskiego w jego referacie na obchodzie Lenina w sobotę i mojej z nim przelotnej rozmowy na ten temat po obchodzie. Mieszkowski twierdził, że Litwa ma przed sobą dwie drogi – albo iść z Niemcami, co oznacza dla niej zgubę i los Prusów, pochłoniętych przez germanizację, albo stanąć do szeregu ze wszystkimi miłującymi wolność narodami, które w tej wojnie stanęły do koalicji przeciwko Niemcom Hitlera, a ta druga droga konkretnie dla Litwy wyraża się w budowie Litwy sowieckiej w wielkim Związku Sowiećów. Innej drogi, zdaniem Mieszkowskiego, nie ma. Podkreślał on to bardzo kategorycznie. Co do pierwszej drogi – drogi współdziałania z Niemcami – to oczywiście dziś nie ma co o niej mówić, kiedy Niemcy są w przededniu katastrofy wojennej. Zaprowadziłaby ona w warunkach dzisiejszych, co prawda, nie do germanizacji, o której mówił Mieszkowski, ale do starcia Litwy na proch w katastrofie politycznej Niemiec. O tym, czy Litwę spotkałby los Prusów, zgermanizowanych doszczętnie, można było mówić wtedy, kiedy losy wojny się jeszcze ważyły i kiedy możliwe było bądź zwycięstwo Niemiec bądź jakieś kompromisowe rozegranie wojny. W wypadku zupełnego zwycięstwa Niemiec i zapanowania imperium niemieckiego w Europie istotnie Litwa wraz z całym utworzonym przez Niemców „Ostlandem” byłaby do Niemiec wcielona, skolonizowana przez

Niemców i zgermanizowana bez reszty. Tu Mieszkowski ma rację kompletną i to wszyscy rozsądni Litwini, nie wyłączając tych, co się łączyli z Niemcami przeciwko Sowietom, rozumieją.

23 stycznia, rok 1945, wtorek

Wracam więc do tego, com pisał wczoraj. O tezach w referacie Mieszkowskiego. Pierwsza z dwóch tez jego o alternatywie w perspektywach politycznych Litwy – że mianowicie opowiadanie się Litwy po stronie Niemiec doprowadziłoby do jej zguby i zgotowałoby Litwie los Prusów, którzy zostali pochłonięci przez germanizację – nie wymaga dziś komentarzy i dyskusji, bo to wszyscy rozumieją, nie wyłączając tych spośród Litwinów, którzy decydowali się na współpracę z Niemcami przeciwko Sowietom. Był tylko bardzo krótki moment w roku 1941 na początku wystąpienia Niemców przeciwko Sowietom, kiedy część opinii litewskiej ze Škirpą na czele wierzyła, że Niemcy, nawet w ewentualnym zwycięstwie, poprą odbudowanie państwowości litewskiej i dopuszczą do jej utrwalenia. Było to wtedy, kiedy w Litwie, po wypędzeniu z niej Sowietów przez Niemców, obwołał się rząd państwowy litewski. Wtedy Niemcy sami pośpieszyli rozproszyć te iluzje części opinii narodowej litewskiej. Zignorowali ten rząd samorządny, wcielili Litwę do Ostlandu i zaczęli nią rządzić tak, że nikt się łudzić co do ich intencji germanizacyjno-kolonizacyjnych już nie mógł. Sami zadali cios wszelkim złudzeniom, propagandą zaś swoją, artykułami swej pracy, wynurzeniami czynników miarodajnych, całą swoją agitacją na rzecz „Nowej Europy” postawili wyraźne kropki na i, że Litwa niczego dla siebie po ich zwycięstwie spodziewać się nie będzie mogła i stanie się pastwą bierną ich apetytów i ich narodowej racji stanu. Iluzji w litewskim obozie narodowym – ewentualnie antysowieckim czy proniemieckim – nikt chyba już nie miał. Rzecznikami stuprocentowego zwycięstwa niemieckiego mogli być już chyba tacy ludzie, którzy w ogóle zaprzędali się Niemcom i dla których problem Litwy właściwie nie istniał. Ale o to właśnie chodzi, że te perspektywy zguby Litwy w fałach germańsko-kolonizacyjnych były ściśle związane z perspektywą całkowitego i wyłącznego zwycięstwa wojennego Niemiec, które oddałoby Europę i zwłaszcza jej wschód do dyspozycji Niemiec, taka zaś perspektywa zwycięstwa nie była prawie nigdy realna, a im dalej, tym bardziej się ujawniała jako zupełnie wykluczona, bo w najlepszym dla Niemiec razie wojna mogłaby się skończyć jeno połowiczną rozegraną, która losy Europy wytrąciłaby z wyłącznej dyspozycji niemieckiej, i to tylko w najlepszym dla Niemiec razie. Ci z Litwinów, którzy wtedy nadal usiłowali opierać się na kombinacjach z Niemcami, zresztą przeważnie z zastrzeżeniem pewnych warunków zasadniczych co do minimum ustępstw niemieckich na rzecz Litwy i jej państwowości, szli na to nie dlatego, że wierzyli w zwycięstwo niemieckie i że chcieliby tego zwycięstwa, nie widząc w zaślepieniu swoim niebezpieczeństwa, które by stąd dla Litwy płynęło, ale właśnie i akurat dlatego, że wiedzieli, iż takiego zwycięstwa być nie może i że przeto niebezpieczeństwo takie Litwie nie grozi, bo Niemcy nigdy w tej wojnie nie zdobędą kluczy do dysponowania Europą czy nawet jej wschodem, w którego ramach jest Litwa. I właśnie ponieważ liczyli oni na to, że Niemcy nie zdobędą w żadnym razie możliwości decydowania o losach innych krajów i że przeto ich zachcianki pod tym względem, choć zupełnie wyraźne i dla Litwy zabójcze, nie są realnie groźne, szli oni na warunkowy kontakt z Niemcami przeciwko Sowietom. A szli przeciwko Sowietom dlatego, że Sowiety już były zadeklarowały wcielenie Litwy i ani na jotę od tego zadeklarowania nie odstąpiły, toteż ewentualne zwycięstwo Sowietów sankcjonowałoby aneksję Litwy na rzecz Związku Sowietów, a zdawało się, że Niemcy są jedyną siłą w Europie, która jeżeli nie zdoła zwyciężyć w wojnie, co byłoby ujemne, to jednak może maksymalnie osłabić Sowiety i stępić ich zwycięstwo albo udział w zwycięstwie, wzmagając przez to czynnik anglosaski (anglo-amerykański) w likwidacji wojny. Taką była w istocie myśl tych, co szli na pewne kontakty z Niemcami po linii antysowieckiej i którzy obecnie stanowią gros polityczne tych, co uciekli teraz do Niemiec i co może sami dziś się czują na tragicznym rozdrożu. Ale linia proniemiecka z wiarą w zwycięstwo niemieckie nie miała wśród Litwinów nigdy popularności za wyjątkiem chyba bardzo nielicznej garstki, a dziś oczywiście i mowy już o tym być nie może, bo problem zwycięstwa niemieckiego jest już chyba w ogóle

pogrzebany. Toteż dziś nie może być chyba ani takiej orientacji, która by spekulowała na zwycięstwie niemieckim, ani też niebezpieczeństw płynących z takiego zwycięstwa.

24 stycznia, rok 1945, środa

Dziś rano wyjechał Čegys po przenocowaniu u nas dwóch nocy i spędzeniu dnia wczorajszego w Wilnie. Pojechał na razie do Kowna, skąd ma wracać do Abel przez Radziwiliszki, jeżeli mu się to uda, bo tamtędy komunikacji kolejowej cywilnej nie ma. Daliśmy mu listy do Bohdaniszek.

Panna Maria Piątkowska, która pracuje u nas jako „pracownica domowa”, od niedzieli nie przychodzi wcale. W sobotę skarżyła się, że się źle czuje i ma podniesioną temperaturę, obawiała się grypy, a w niedzielę zawiadomiła przez swoją znajomą, że leży w łóżku i że w poniedziałek nie przyjdzie do pracy. Odtąd jej nie ma. Dla nas to wielka trudność, bo stale albo Jadzia, albo ja musimy siedzieć w domu przy Żermenie i skądinąd na Jadzię spadają wszystkie bez wyjątku zajęcia domowe, nie mówiąc o tym, co musi załatwiać na mieście. Te „pracownice domowe” są wygodne dla siebie. Więcej dla siebie, niż dla obowiązku, które przyjęły. Do każdej niemal roboty czują się za słabe, dbają niezwykle o swoje zdrowie, pieszczą się, a czy robota, którą same zaniedbują, spadnie na barki gospodyni domu, która i bez tego jest przeciążona, i czy może ona podołać, czy jej zdrowie nie szwankuje jeszcze bardziej – to je nic nie obchodzi. Obowiązkowości nie mają żadnej i żadnego poczucia solidarności w podziale pracy. Jedyne, co je obchodzi, to wykręcić się od pracy i ewentualnie zostawić sobie to, co najmniej wysiłku wymaga. Nie lepszą jest pod tym względem panna Maria, mimo że jest dewotka. Dewocja nie przeszkadza jej być zakochaną... w sobie. Pani Domańska rekomenduje nam swoją byłą służącą, byłą nianię jej chłopczyka. Chcemy ją wziąć, jeżeli się spodoba Jadzi, bo jeszcześmy jej nie widzieli. Ta byłaby przynajmniej nie przychodzącą, lecz stałą, bo mieszkałaby u nas. Teraz panna Maria, kiedy nawet nie choruje, przychodzi koło dziesiątej rano (powinna by przychodzić o dziewiątej) i o piątej po południu wychodzi, a przez cały wieczór muszą dyżurować co drugi dzień przy Żermenie raz Kotunia, a drugi raz nazajutrz Iga, które same wracają z przedszkola już zmęczone i które ten dyżur przy dziecku, wymagający ciągłego bawienia małej, męczy. Jadzia zaś wstaje o godz. siódmej rano, musi napalić w piecach, zgotować śniadanie, ubrać i uczesać starsze dziewczynki, sprzątnąć pościel i pokoje, załatwić interesy na mieście, przynieść mleko i chleb, dwie godziny wysiedzieć w sklepie Józi, po powrocie do domu zgotować obiad, nanieść dREW ze składziku, po obiedzie pomyć naczynia, zgotować herbatę i dać kolację, posłać łóżka, wreszcie uśpić z wieczora Żermenę i w nocy ją lulać, kiedy się budzi. Panna Maria miała pracować pieluszki, prasować bieliznę dziecienną itd., ale tego nie robi. Tylko siedzi przy Żermenie i czyta książkę do nabożeństwa.

Ofensywa sowiecka jest zaiste wspaniała. Jest imponująca. Rozwija się na Śląsku już pod Wrocław, w Polsce zachodniej zajęła Bydgoszcz, w Prusach Wschodnich zbliża się do Królewca. Może się jeszcze zatrzymać raz na Odrze, ale będzie to już wielka połać Niemiec odcięta i następny cios może sięgnąć po Berlin. Kto mógł w roku 1941 czy nawet 1942 spodziewać się, że Sowiety po straszliwych ciosach, doznanych na początku kampanii niemiecko-sowieckiej, tak się odchwycą i zdołają, po straceniu niemal całego kadrowego wojska swojego, nie tylko powstrzymać Niemców i nie tylko wyprzeć ich z olbrzymich terenów zajętych aż po Wołgę, ale zadawać Niemcom cios po ciosie i zwyciężać jeszcze na terytorium Niemiec. Opór moralny Niemiec jest już chyba złamany, demoralizacja przyspiesza ich klęskę. Nie sądzę jednak, żeby Hitler skapitulował, chyba że go jakiś zamach usunie. Hitler – to typ straceńca. Z pewnością skończy efektownie, zginie, zrobi coś fantastycznego, ale nie podda się. Chciał dźwignąć Niemcy na panowanie nad światem, zalał krwią Europę i zgotował Niemcom straszną katastrofę, która ich teraz czeka. Nie do pozazdroszczenia też jest los tych Litwinów, którzy uciekli do Niemiec. Jeżeli się dostaną do rąk sowieckich, to będą pokutowali ciężko. Ale i bez dostania się do rąk sowieckich czekają ich przejścia ciężkie i bolesne.

25 stycznia, rok 1945, czwartek

W wielkiej ofensywie sowieckiej na Niemcy są znowu dalsze postępy. Zdobyte jest na Śląsku niemieckim Opole (Oppeln), wielka twierdza niemiecka, i wojska sowieckie podchodzą pod sam Wrocław, od którego są na odległości 7 kilometrów. W Polsce zajęty jest Kalisz, na południowo-wschodnim pograniczu Prus Wschodnich zajęte Grajewo, Łyk; jak słychać – na pograniczu Prus i Pomorza polskiego zajęty jest Tczew. Jest to już tuż pod Gdańskiem. Zamyka to wyloty zachodnie Prus Wschodnich i czyni z resztki Prus między Królewcem i Gdańskiem worek zamknięty. Ludzie powiadają, że szpice ofensywy sowieckiej są od Berlina na odległości tylko 240 kilometrów, niektórzy mówią, że jeszcze mniej. Słyszałem, że na dziś zwołany jest w Berlinie Reichstag niemiecki. W obliczu bardzo ciężkiej sytuacji wojennej i grożącej katastrofy mogą być powzięte jakieś decyzje kapitalne, choć kto wie, czy bez obalenia Hitlera Niemcy mogą się zdobyć na jakieś decyzje inne, niż trwanie w uporze desperackim *quand même* aż do klęski zupełnej i katastrofy, bo jest to w stylu szaleńczym Hitlera. Jeżeli dotąd wojska sowieckie, posuwające się na terytorium niemieckim, zastawały wszędzie bezludną pustynię, ogołoconą z ludzi, to chyba już w najbliższym czasie zaczną one zastawać mieszkańców, bo ostatecznie całej ludności coraz trudniej będzie uciec, a wreszcie nie będzie już dokąd uciekać. Tu się rozpoczną sceny dantejskie nienawiści i przerażenia. Ze wszystkich strasznych ewentualności tej wojny w jej stadium obecnym najbardziej lękałbym się być w skórze Niemców w obliczu najazdu sowieckiego. A że myśl biegnie w pierwszym rzędzie do swoich, to równie straszne mi się wydaje być teraz w skórze tych Litwinów, którzy uciekli do Niemiec przed Sowietami i których Sowiety tam teraz zdybają.

Tu w Wilnie coraz szersze zatacza kręgi rejestrowanie się Polaków do wyjazdu do Polski. Z początku rejestrowano się z pewnym ociąganiem, ponieważ był nawet sprzeciw. Teraz sprzeciw topnieje szybko, jeżeli nie stopniał jeszcze zupełnie, za to pęd do wyjazdu rośnie coraz gwałtowniej. Z krewnych naszych jeszcze w grudniu zarejestrowała się do wyjazdu Ewa Meyerowa, teraz – Elizka Komorowska z Zitką. Zarejestrowało się też lub rejestruje wielu innych, niektórzy jeszcze się namyślają, ale coraz bardziej się do wyjazdu skłaniają i śpieszą. Wpływa na to nie tylko niechęć do pozostania pod Sowietami i nadzieja na to, że jednak Polska się jakoś wykaraska spod tuteli sowieckiej i stopniowo odzyska niepodległość zupełną, której Sowiety nie odważą się pogwałcić do końca ze względu na stanowisko Anglii i Ameryki, ale też strach przed ciągłymi aresztami Polaków tutaj i obawa wywiezienia na wschód („do Kazachstanu”) tych Polaków, co się do Polski na wyjazd nie zgłoszą. Zamykają się już gimnazja polskie w Wilnie, młodzież gimnazjalna gremialnie się zapisuje do polskiej armii Berlinga.

26 stycznia, rok 1945, piątek

Rocznica urodzin Igi. Skończyła pięć lat. Co roku Iga zawsze bardzo gorąco czeka dnia swoich urodzin, żeby dopędzić Kotunię, której data urodzin jest w listopadzie i która przeto od listopada do stycznia staje się formalnie starsza o dwa lata od Igi, podczas gdy w styczniu Iga Kotunię „dopędza” o tyle, że różnica wieku redukuje się znowu do jednego roku. Pięć lat – to się wydaje Idze wiekiem poważnym, wobec którego wiek czteroletni zasługuje na pogardę. W przyszłym roku pogarda się rozciągnie na wiek pięcioletni, a dostojnym będzie się wydawał wiek sześciu lat itd.

Jadzia już wczoraj napiekła na dzień urodzin Igi ciast. Były suchareczki kruche na maśle i smaczny tłusty keks i bułeczki pulchne, i bułeczki nadziewane marmeladą. Kotunia i Iga nie poszły do przedszkola. Na godzinę trzecią pani Domańska (Wołłowiczówna z domu z Grodzieńszczyzny rodem) przyprowadziła na zabawę z naszymi córeczkami swojego sześcioletniego synka Andrzeja, grzecznego i miłego ładnego chłopca, podobnego do dziewczynki, który zabawił na kawie z Kotunią i Igą przy osobnym stoliku, gdzie prócz kawy i ciast z masłem były cukierki i smaczny kompot amerykański ze śliwek, po czym dzieci bawiły się wesoło do zmroku. U nas zaś na herbacie z ciastami i buterbrodami z szynką była Hela Czarna Römerówna, Ewa Meyerowa z córką Lizą (Elżunią), pani Domańska i jeden z lokatorów wielkiego pokoju – p. Radišauskas. Iga otrzymała na urodziny ode mnie lalkę, od Jadzi – ładny zeszyt z rysunkami różnych zwierząt, od Józki Ciświckiej –

niedźwiadka, od Lizy Meyerówny – wstążkę białą szeroką do włosów i od p. Radišauskasa – jakieś suchareczki i parę cukierków. Rocznicą urodzin dobrze się udało.

Słysząc, że ofensywa sowiecka na Pomorzu polskim dotarła do Chojnic na drugiej stronie Pomorza przy granicy niemieckiej i do morza w okolicy Gdańska. Tą drogą odcięte zostały Prusy Wschodnie, których większa część na zachodzie jeszcze nie jest zajęta, ale już wyjścia do Niemiec nie ma. Jak słysząc, cały teren na wschód i północ od Królewca z Królewcem włącznie ma być wyłączony od reszty Prus, przeznaczonych do wcielenia do Polski, i ma być wcielony do Sowietów – chyba w składzie Litwy sowieckiej. Tą drogą Litwa sowiecka rozciągałaby się od Wilna do Królewca i posiadałaby szereg miast wschodniopruskich, z których główne Królewiec, Tylża, Insterburg i inne. Byłby to teren do skolonizowania, trudny dla Litwinów ze względu na słabą liczebność narodową litewską. Ale konstrukcja terytorialna Litwy byłaby piękna.

27 stycznia, rok 1945, sobota

Mróz, który od paru dni stale się podnosił, dziś rano doszedł do 24 stopni, potem w ciągu dnia obniżył się do 16°, na wieczór znów narasta. Zimno jest w naszym mieszkaniu, choć Jadzia pali co dzień w obu piecach, w jednym z nich nawet resztkami węgla, który zastaliśmy w składziku po Redach, oprócz tego i w jadalnym pali się mały piecyk-kuchenka, na którym Jadzia gotuje obiad. Ale mróz wdziera się przez okna, przez ściany zewnętrzne, do mojego gabinetu – przez drzwi od wielkiego pokoju, w którym sublokatorowie nie opalają pieca i sami na razie nie nocują, bo z dwóch, którzy pozostali, jeden – Radišauskas – nocuje gdzieś u znajomego, a drugi – Brazauskas – pojechał do Kowna po żonę. W kuchni, w wannie, w wychodku – zamarzły rury wodociągowe. Woda, którą już mieliśmy z wodociągu, choć z przerwami – po kilka godzin na dzień – już nie idzie. Jadzia musi biedaczka przynosić wodę ze studzienki u Bonifratrów. Ale w każdym razie mamy dach nad głową, mamy względnie ciepło w mieszkaniu, jemy dobrze, mamy względną wygodę i dobrobyt. Ileż ciężiej jest tym, którzy teraz, w takie mrozy, wyjeżdżają z pierwszym transportem repatriantów do Polski. Transport ten miał odejść dzisiaj. Jadą tam ludzie nieraz z rodzinami, z dziećmi małymi, z bagażem całego dobytku swojego, w wagonach towarowych. Sami na saneczkach ręcznych przewożą swoje rzeczy na stację towarową, z której będą się ładować, tam w lokalach nieopalanym czekają na transport, tam nocują i mają w perspektywie kilka dni jazdy pociągiem. Ale i te cierpienia repatriantów polskich z Wilna czymże są wobec tych przerażających scen, które muszą przeżywać teraz Niemcy w obliczu piorunujących postępów ofensywy sowieckiej na ziemiach niemieckich. Tam to musi być piekło prawdziwe. Zimą w mrozy cała ludność masowo ucieka, w panice, w zamieszaniu, w tłoku najokropniejszym, ścierając się jak kamyczki piasku rzucanego falą na wybrzeżu morskim, w przerażeniu śmiertelnym przed wściekłym i mściwym wrogiem, nie znającym pardonu i tępiącym wszystko i wszystkich po drodze, jak sobie Niemcy wyobrażają. Strach ma w ogóle wielkie oczy, a strach Niemców przed Sowietami ma oczy jak koła młyńskie. Podobno Sowiety na nowych terenach zdobytych już zaczynają zastawać resztki ludności, która uciec cała nie zdołała. Przeważnie zastają dzieci i kobiety. Ale przyjdzie czas, że będą zastawać i mężczyzn. Już w Prusach Wschodnich wytworzył się wielki worek zamknięty, w którym pozostało i wojsko, i musiała pozostać znaczna ilość ludności. Słysząc, że na zachodzie Prus u wylotu na Pomorze polskie zajęty jest przez Sowiety Malbork i tu Sowiety doszły jednym z łóżysk delty Wisły do morza. Co prawda, mają Niemcy za swoje, że rozpętali tę wojnę, że sprawili straszne zniszczenie Europy, że przewrócili wszystko dnem do góry, że wytępilli miliony ludzi i całą niemal ludność niektórych znienawidzonych przez nich ras (Żydzi), że skomplikowali problemy polityczne życia i losu całych narodów. Ale niemniej ich cierpienia własne w tej tragicznej dla nich fazie wojny, której się zapewne nie spodziewali, są okropne.

Przez te parę ostatnich dni miałem forsowną i nudną pracę, której nie lubię, a którą już wiele razy musiałem wykonywać zwłaszcza za czasów sowieckich w roku akademickim 1940-1941, a także poniekąd na początku okupacji niemieckiej w roku 1941. Jest to wypełnianie ankiety osobistej, układanie autobiografii i spisu drukowanych naukowych prac moich; jest to nudne, a w stosunku do

spisu prac naukowych, których mam bardzo dużo, mozolna robota. W ankiecie są takie na przykład pytania, jak kiedy i gdzie byłem za granicą (ze wskazaniem nie tylko kraju, ale i miast) i w jakim celu tam jeździłem. Między rokiem 1902 a 1939 prawie co roku bywałem za granicą, czasem po kilka razy, i w celach najrozmaitszych (studia, turystyka, kongresy naukowe, odczyty i wykłady publiczne na uniwersytetach, udział w Trybunale Międzynarodowym, kuracje...). Gdybym miał szczegółowo wyliczyć wszystkie moje podróże za granicą ze wskazaniem celu podróży, daty i miejsca (kraju, miasta), to musiałbym chyba parę arkuszy wypisać i jeszcze bym nie wszystkie podróże spamiętał. Tym razem potrzebne to było na rzecz zatwierdzenia mnie na stanowisku profesora przez Komitet do spraw Wyższych Uczelni, którego delegaci z Moskwy bawią w Litwie z prof. Butieginem na czele i z którymi przed tygodniem mieliśmy konferencję naszej profesury. Ci panowie przyrzekli pierwszą grupę profesorów naszych zatwierdzić (czy zabrać ich ankiety z autobiografiami i spisami prac do zatwierdzenia) podczas obecnego ich pobytu tutaj, zaczynając od najstarszej profesury tych, co mają staż najdłuższy i są kierownikami katedr. Nasz nowy dziekan Medžys i prodziekan Žeruolis zakrzętnęli się w tej sprawie gorliwie. Nabrałem pewnego lepszego przekonania do dziekana Medžysa, który uchodzi za karierowicza. Karierowiczem może jest i na komunizmie chce karierę zrobić, ale jednak jest koleżeńsko życzliwy, grzeczny i staranny. Žeruolis zaś jest szczególnie miłym człowiekiem i kolegą.

28 stycznia, rok 1945, niedziela

Mróz taki sam, przeszło 20 stopni.

Z terenu wojny nowych sensacyjnych wieści nie słyszałem. Tempo obecnej ofensywy sowieckiej, które w pierwszych dniach było piorunujące, trochę osłabło. Ofensywa się jeszcze posuwa na przód, ale nie tak błyskawicznie i karkołomnie, jak jeszcze przed tygodniem. Jak zawsze – ofensywa idzie wielkimi skokami, po których następuje pewna stabilizacja: trzeba podciągnąć tyły do frontu, nawiązać transport, zapewnić dowóz itd., co wymaga pewnego czasu i zwolnienia tempa albo nawet wstrzymania ruchu naprzód. Poznań jeszcze nie wzięty, ale Toruń już przekroczony przez Sowiety. W Prusach Wschodnich nie wzięty jeszcze Królewiec ani na Śląsku Wrocław. Ale już Prusy Wschodnie odcięte całkowicie od zachodu. Są wersje o ewakuacji Berlina, który, zdaje się, jest ogarnięty paniką. Jeżeli teraz ofensywa się zatrzyma, to w następnym jej rzucie można się już ewentualnie spodziewać zdobycia Berlina. Wojna rozwija się, jak się zdaje, z nieubłaganą logiką na rzecz klęski niemieckiej, która zdaje się zapowiadać zupełną.

29 stycznia, rok 1945, poniedziałek

Mróz idzie jakby troszeczkę na upadek. Rano było stopni 18. W mieszkaniu mróz daje się jednak mocno we znaki. Palić trzeba oba piece co dzień i rano jest już bardzo zimno w pokojach. Wodociąg nie działa, woda przez rury nie dochodzi, Jadzia musi ją przynosić ręcznie z miasta.

W Wilnie wywieszone są flagi. Przyczyną jest zajęcie Kłajpedy. Dotąd Kłajpeda była w pasie niczym, między stanowiskami wojsk sowieckich i stanowiskami niemieckimi w Smiltini (Sandkrug) na Mierzei Kurońskiej, gdzie Niemcy bardzo mocno się ufortyfikowali; fortyfikacje te panowały nad Kłajpedą, która stała pusta, ewakuowana, przez nikogo nie zajęta. Teraz, wobec postępów ofensywy sowieckiej, która się podsunęła pod Królewiec, Niemcy wycofali się z Mierzei i Kłajpeda wpadła w ręce Sowiec.

W ubiegłym tygodniu zacząłem pisać o tezach politycznych dla Litwy w referacie prof. Mieszkowskiego na obchodzie Lenina. Zacząłem, ale nie skończyłem. Spróbuję wrócić do dalszego ciągu. Mieszkowski twierdził, że Litwa (Litwini) mają tylko alternatywę dwóch dróg: albo drogi z Niemcami, prowadzącej do zguby, albo drogę z Sowietami i wszystkimi miłującymi wolność narodami, która faktycznie się utożsamia z Litwą sowiecką w łonie Związku Sowiec. Podkreślał kilkakrotnie z wielkim i szczególnym naciskiem, że innej drogi nie ma i że przeto kto chce ocalenia i życia Litwy, ten musi iść z tymi, co budują Litwę sowiecką. Taka jest, zdaniem Mieszkowskiego, sytuacja obiektywna bez względu na to, czy kto chce tego czy nie chce. Zaznaczył wprawdzie, że

istnieje jeszcze wśród Litwinów prąd trzeci, który usiłuje budować politykę neutralności bez opowiadania się ani po stronie Niemiec, ani po stronie ich przeciwników i przyznawał, że są ludzie, którzy hołdują temu prądowi w dobrej wierze i sądzą, że to jest stanowisko narodowe i patriotyzm litewski. Mieszkowski twierdził, że ludzie ci są w błędzie. Neutralność Litwy jest niepodobieństwem. Przeciwko temu przemawia nie tylko jej sytuacja geograficzna między Niemcami a Sowietami i jej słabość, jej znikomość jako czynnika samodzielnego siły, ale także ten fakt, że jest ona już wciągnięta w wojnę i wykręcić się z niej neutralnością nie zdoła. Wszelkie wmawianie „narodom miłującym wolność” (faktycznie na naszym terenie Sowietów), że się nie idzie z nimi dla względów „neutralności” i nie przekona, i nastawi ich wrogo do Litwy jako czynnika proniemieckiego, który też będzie przez nich odpowiednio potraktowany, co w rezultacie siłą rzeczy wpędziłoby ten „neutralizujący” naród litewski w objęcie Niemców i zgotowałaby nam zgubę bądź w uścisku zwycięskim niemieckim (co zresztą dziś jest już wykluczone), bądź z udziałem w klęsce niemieckiej. Nie pozostaje więc dla Litwy nic, jak iść z „narodami miłującymi wolność”, to znaczy konkretnie z Sowietami przeciwko Niemcom. Jest to dziś dla Litwy jej droga historyczna i narodowa, droga jej życia. *Tertium non datur*. Wszystko inne – to są złudzenia, narodowo zabójcze. Tak przemawiał do Litwinów komunista litewski; charakterystyczne, że przemawiał nie jako międzynarodowiec, nie jako komunista czystej wody, któremu obojętne są względy narodowe, ale jako Litwin, wysuwający na czoło wzgląd narodowy i zalecający drogę polityki komunistycznej jako drogę patriotyzmu litewskiego. Na tym tle i gruncie nawiązałem po referacie krótką rozmowę prywatną z Mieszkowskim, podnosząc pewne zastrzeżenie moje do tezy jego. Naturalnie, że go nie przekonałem i że utrzymał on swoje tezy nietknięte, ale jednak chcę tu to moje zastrzeżenie zanotować i uczynić to może jutro, jeżeli nic szczególnie aktualnego do pisania nie będzie.

30 stycznia, rok 1945, wtorek

Jeszcze raz o tezach polityki litewskiej w referacie docenta Eugeniusza Mieszkowskiego. Były więc dwie tezy, raczej teza o alternatywie dwóch jedynych ewentualnie dróg tej polityki: a. drogi z Niemcami przeciwko „miłującym wolność narodom”, w ich liczbie i Sowietom, i b. drogi z „miłującymi wolność narodami”, w ich liczbie i Sowietami, przeciwko Niemcom. Wszelka inna droga, w szczególności droga rzekomej neutralności, ściąga Litwę do pierwszej z tych dwóch dróg. Otóż pierwsza droga jest dla Litwy drogą zguby i śmierci, druga – jest jedyną drogą zbawienia i życia. Takie były tezy Mieszkowskiego. W zastrzeżeniu do tych tez, które mu w rozmowie prywatnej zgłosiłem, powiedziałem mu, że mógłbym ewentualnie jego tezy przyjąć, ale z tą poprawką istotną, że druga z dwóch nakreślonych przezeń tez dałaby się rozbić – znowu na alternatywę. Mianowicie Mieszkowski łączy drugą drogę, drogę życia, drogę z „miłującymi wolność narodami”, w ich liczbie i Sowietami, przeciwko Niemcom – z niewzruszoną koniecznością wcielenia Litwy do Związku Sowietów. W istocie droga z „miłującymi wolność narodami”, w ich liczbie i Sowietami, przeciwko Niemcom – może być albo łączona z wcieleniem Litwy do Sowietów, albo wyłączona od tego wcielenia, rezerwując odrębność Litwy, jak to ma miejsce np. z Polską; nikt nie zaprzeczy, że Polska stoi wyraźnie i kategorycznie na drodze współdziałania z „miłującymi wolność narodami”, w tej liczbie i Sowietami, przeciwko Niemcom, przynajmniej ta Polska, która jest reprezentowana przez jej obecny rząd tymczasowy, stworzony przez Komitet Wyzwolenia Narodowego, a przecież jest ona wolna od warunku wcielenia do Sowietów i przyznaje się przez same Sowiety za niepodległą. Dlaczegożby to samo nie miało być stosowane do Litwy? Dlaczego Litwa nie ma mieć mocy obrania takiej drogi bez tego wcielenia do Sowietów? Wszak same Sowiety głoszą prawo każdego narodu, tak wielkiego, jak małego, do zupełnej niepodległości, do zupełnego zerwania związków państwowych z innymi narodami. Z tą rezerwą nie byłoby pono żadnego wahania w opinii litewskiej. Gdyby tylko Sowiety nie opierały się na uchwałach „Sejmu Ludowego” z roku 1940, podyktowanych temu rzekomemu „Sejmowi” przez władzę sowiecką, która zagarnęła kraj militarnie, i gdyby nie zmuszały Litwy do należenia do Związku Sowietów, to sympatie i decyzja narodu litewskiego byłyby bez zastrzeżeń takie, jakie zaleca Mieszkowski w drugiej ze wskazywanych

przezeń dróg. Przeszkodą, która wprowadza i utrzymuje zamęt, jest właśnie i li tylko żądanie bezwzględne wcielenia. Można byłoby pójść nawet dalej: Litwa mogłaby przyjąć i zachować ustrój społeczny socjalistyczny, być w pewnym kontakcie z Sowietami, ulegać pod tym względem nawet pewnej z ich strony kontroli, jeno bez wcielenia formalnego, bez politycznego wwiązania jej w państwowy organizm Sowietów. Nie zachowanie ustroju „kapitalistycznego”, ale właśnie odrzucenie wcielenia jest rzeczą, która komplikuje zagadnienie w opinii litewskiej. Na to Mieszkowski miał odpowiedź lakoniczną – że to, co w stosunku do Polski jest realne i możliwe, w stosunku do Litwy jest w obecnych warunkach niemożliwe i przeto nierealne i że to jest fakt, który wyklucza wszelkie w tym względzie zastrzeżenia. No ale jeżeli jest tak, to w takim razie Litwa jest wyłączona z wolności, którą „miłują” inni dla siebie, ale nie dla niej. Na moją zaś uwagę, czy wcielenie Litwy do Sowietów nie grozi jej tym, że będzie zmleta i starta narodowo na proch, odrzekł, że to zależy od samych Litwinów: jeżeli będą aktywni i ustosunkują się do faktu wcielenia do Sowietów czynnie – to nie będzie zmleta, w przeciwnym zaś razie, jeżeli będzie bierna i oporna, niechętna, to może jej to grozić. Takie są tezy komunisty litewskiego, który operuje względami narodowymi i patriotyzmem.

31 stycznia, rok 1945, środa

Mróz zelżał. Dziś rano termometr pokazywał tylko 6 stopni. Na ogół zima dotąd nie jest ciężka i daj Boże, żeby nią nie była do końca. Było tylko kilka dni mrozów większych ponad 20 stopni, ale to się każdej zimy trafia, wyjąwszy tylko zimę roku ubiegłego, w której większych mrozów nie było wcale.

Wilno, a zwłaszcza polskie Wilno, żyje pod znakiem ewakuacji Polaków do Polski. Na razie, kiedy w grudniu zaczęła funkcjonować specjalna komisja polsko-litewska, przyjmująca zapisy zgłaszających się do wyjazdu do Polski, zapisywało się względnie niedużo osób czy rodzin. Na czele tej komisji ze strony polskiej stoi niejaki Ochocki, były adwokat w Wilnie, który podobno był endekiem, obecnie konsul polski w Wilnie z ramienia polskiego rządu tymczasowego. Jak powiadają, w grudniu zgłaszała się do tej komisji przeciętnie jedna osoba na kwadrans. Teraz zgłaszanie się do zapisu na wyjazd stało się już masowe. Co dzień od rana nie tylko w lokalu komisji, ale i przed lokalem na ulicy stoi ogromna kolejka ludzi, która się wyciąga daleko wzdłuż ulicy. I zgłaszanie się coraz bardziej się powiększa. Teraz ludzi opanował owczy pęd do tego zapisu i ludzie się śpieszą i boją, że nie zdążą, bo komisja ma funkcjonować tylko do końca lutego. Na razie ludzie się jeszcze nie śpieszyli, bo czasu było dużo; wahali się zresztą i zastanawiali, czy się zapisać czy nie, bo były pogłoski, że tych, co się zapiszą, będą aresztować albo wywiozą zamiast na zachód do Polski – na wschód w głąb Sowietów. Skądinąd były wahania także natury ideologicznej. Wielu Polaków uważało, że wyjazd z Wilna jest ze stanowiska polskiego narodowego dezercją i popieraniem tendencji sowieckich do zlikwidowania elementu polskiego w Wilnie, żeby usprawiedliwić odebranie Wilna Polsce, ewentualnie dążeń litewskich do odpolszczenia Wilna na rzecz litwinizacji tegoż. Uważano więc, że wytrwanie i pozostanie w Wilnie jest obowiązkiem patriotycznym Polaków na rzecz utrzymania stanu posiadania polskiego w mieście. Ale przykład zapisujących się działał na umysły tych, co się z zapisem poprzednim ociągali. Zapisują się przede wszystkim ci, co się najwięcej lękają Sowietów, co są najbardziej antysowiecko usposobieni. Ci boją się tego, co się z nimi stanie, gdy zapisy zostaną skończone, a oni pozostaną. Szerzą się pogłoski paniczne, że wtedy przymusowo będą wywozić pozostałych, tylko już nie do Polski, ale gdzieś na wschód. Toteż ludzie coraz bardziej kwapią się do ucieczki z raju sowieckiego w Wilnie, z którego nic dobrego prócz cierpień i najgorszych możliwości dla siebie nie widzą. Uwolnienie zaś przez obecną ofensywę sowiecką prawie całej Polski z rąk niemieckich, a przeto ogromne rozszerzenie przestrzeni w Polsce, mogącej przyjąć napływ ludności z terenów wschodnich, przyczyniło się też bardzo do zwiększenia tempa zapisów na wyjazd. Wreszcie zaczęły już odchodzić pierwsze transporty wyjeżdżających. Choć ze stanowiska usposobień tych, co wyjeżdżają, niewesoło i nie doskonale jest w samej Polsce, rządzonej przez czynniki, które się opierają o Sowietów, to jednak wierzą oni, że w Polsce usposobienie ludności jest inne, niż tych kół rządzących i że ostatecznie zapanują tam stosunki

normalne, różne od sowieckich. Ale dla bardzo wielu Polaków wileńskich wyjazd jest pomimo wszystko problemem bardzo trudnym. Mają tu meble, rzeczy, pamiątki, i wszystkiego ze sobą zabrać nie będą mogli, a tam często nie mają ani rodziny, ani ludzi bliskich, ani gdzie się zalokować i jak żyć na razie. W pierwszym rzędzie wynosi się stąd element miejski, element antysowiecki, element byłych klas posiadających, element zdeklasowany i wykolejony – byli ziemianie, rodziny pańskie, burżuazja, inteligencja wolnych zawodów... Wieś chłopska z pewnością tak skora do wyjazdu nie będzie, nawet ta, co się ma za polską.

1 lutego, rok 1945, czwartek

Krótką falą większych mrozów zapewne skończona. Dziś, jak wczoraj, mróz był niewielki, kilkustopniowy.

Siedzimy całą rodziną naszą cichutko jak myszy pod miotłą. Prawie nigdzie się nie ruszamy, nie prowadzimy żadnego życia towarzyskiego, we dwoje z Jadzią nie chodzimy nigdzie, chodzimy tylko pojedynczo, ja za swymi interesami, Jadzia – za swoimi, przeważnie gospodarczymi rodziny naszej. Jadzia chodzi po mieście nawet dosyć dużo, ale jest poza wszelkim kontaktem towarzyskim z ludźmi. Co dzień po dwie godziny spędza w sklepie Józi, gdzie załatwia częściowo klientów i w zasadzie przyjmuje obstalunki na roboty trykotażu; wszakże obstalunków tych prawie że nie ma; ogółem przez cały styczeń były dwa obstalunki – na rajtuzy męskie i na suknię; rajtuzy robi p. Maria Piątkowska, suknię – sama Jadzia; więcej żadnego obstalunku nie było. Poza tym, Jadzia chodzi po produkty na kartki żywnościowe i na książeczkę limitową do „Ruty”, załatwia różne niezbędne sprawunki, kupuje od czasu do czasu drwa. W domu Jadzia ubiera i czesze rano dzieci, pali w piecu, sprząta pościel, nosi ze składziku drwa, teraz, kiedy rury wodociągowe zamarzły, przynosi w wiadrach wodę z sąsiedniego dziedzińca, gotuje obiad, pierze bieliznę dziecinną... Rano między godziną dziewiątą a dziesiątą przychodzi panna Maria Piątkowska, która zaraz prowadzi Kotunię i Igę do ogródka dziecinnego (przedszkola) przy ulicy Bernardyńskiej. Później w domu panna Maria siedzi przy Żermenie, którą bawi, zamiata pokoje, czasem prasuje. Kiedy koło godziny drugiej Jadzia wraca do domu, panna Maria idzie po mleko dla Żermeny. Koło czwartej jemy obiad. Po obiedzie panna Maria idzie do ogródka dziecinnego po dziewczynki, po czym odchodzi do siebie. Wieczór spędzamy w ścisłym kółku rodzinnym. Co dzień po kolei jedna ze starszych dziewczynek ma „dyżur” przy Żermenie, którą musi zabawiać albo usypiać. Ten „dyżur” męczy nieco dziewczynki, które już z przedszkola wracają zmęczone. Wieczorami są one bardzo kapryśne i nerwowe, szczególnie Kotunia, która jest też fizycznie słabsza od Igi i która mię pod względem kaprysów swoich bardzo niepokoi. Iga o byle co płacze, ale u niej ten płacz jest dziecinny i jakoś naturalny, nie taki kapryśny jak nerwy Kotuni. Iga w ogóle jest zdrowsze dziecko: i apetyt ma lepszy, i humor równiejszy, i temperament większy, jest dosyć leniwa, czasem się upiera, lubi robić na przekór, ale jest łatwa, towarzyska, giętka.

2 lutego, rok 1945, piątek

Odwilż. Na chodnikach bardzo ślisko.

Nic szczególnego do zanotowania dziś nie mam. Zresztą zanotuję chyba dwie rzeczy. Pierwszą jest to, że nasza „władza” wydziałowa, to znaczy dziekan Medžys i prodziekan Žeruolis zdecydowali się przedstawić na razie Związkowemu Komitetowi do spraw Wyższej Uczelni do zatwierdzenia stopnia naukowego doktora, jak tego wymagają przepisy sowieckie, tylko jednego jedyne go kandydata z wydziału, mianowicie mnie, licząc na to, że mój bagaż naukowy – ilość i jakość prac drukowanych – jest tak bogaty, że nikt na wydziale równać się ze mną nie może i że przeto niepodobna wątpić w zatwierdzenie mojego stopnia doktora. Słowem, na razie, na pierwszy ogień, wychodzi się z najmniejszym ryzykiem. A gdy się uda ze mną, to będzie się próbowało stopniowo zatwierdzać innych.

Druga wiadomość, innego rodzaju, niezupełnie pewna, zakomunikowana mi przez kolegę Armalisa, który przyjechał z Kowna. Podobno gdzieś w Prusach Wschodnich wojska sowieckie

natrafiły na duży obóz koncentracyjny, w którym Niemcy byli internowali Litwinów uchodźców, którzy uciekli z Litwy przed Sowietami. Otóż podobno Sowiety załadowali całą „zawartość” tego obozu do pociągów dla przewiezienia tych ex-uchodźców wprost do Syberii, gdzie zostaną oni osadzeni na stałe. Czy to jest prawdą – nie wiem, nie wie i Armalis, który to słyszał w Kownie, ale jest to bardzo prawdopodobne. Trudno przypuścić, żeby Sowiety wystrzelały ryczałtowo wszystkich, których ewentualnie w tym obozie zastały; byłoby to to samo, co Niemcy robili z Żydami i przeciwko czemu Sowiety protestują. Ale skądinąd nie zechcą Sowiety odwozić tych ludzi do Litwy i zasilać ferment antysowiecki, który i bez nich jest znaczny. Najprawdopodobniejsze więc rozwiązanie – jazda do Syberii!

Znalazło się jeszcze jedno do zanotowania: u Žermeny ukazał się pierwszy ząbek, który Jadzia dziś spostrzegła na dolnej szczęce u przodu.

3 lutego, rok 1945, sobota

Drugi dzień odwilży. Trudno chodzić po mieście. Byłem tylko na uniwersytecie, w dziekanacie naszym, gdzie spotkałem się z dziekanem Medžysem, prodziekanem Žeruolisem i lektorem Armalisem.

Otrzymałem kartę wstępu z zaproszeniem imiennym na dziś na godzinę szóstą wieczorem do teatru, gdzie ma się odbyć uroczyste posiedzenie z powodu zdobycia przez Armię Czerwoną Kłajpedy, ostatniego miasta Litwy, uwolnionego od okupacji niemieckiej. Kłajpeda bowiem wraz z całym Krajem Kłajpedzkim, który Niemcy odebrali od Litwy w drodze agresji na początku roku 1939, traktowana jest obecnie przez Sowiety jako integralna część Litwy sowieckiej. Zaboru Kłajpedy przez Niemcy i jej cesji antykonstytucyjnej przez rząd litewski ówczesny Sowiety nie respektują wcale. Pod tym względem, jak również w stosunku do Wilna, urzędowa polityka sowiecka przejęła w całości program narodowy litewski, który teraz jest programem państwowym sowieckim, skoro Litwa w całości wchłonięta została w Związek Sowiecki. Zarówno agresja polska Żeligowskiego na Wilno z roku 1920, jak agresja niemiecka na Kłajpedę z roku 1939 są przekreślone przez Sowiety w sferze prawa. Czynniki związkowo-sowieckie, jak również czynniki litewsko-sowieckie operują tym jako wielkim atutem narodowym litewskim, który Litwa przez swój związek z Sowietami wygrała. Czego nie mogła spełnić niepodległość, to spełniło wcielenie do Sowietów: oddało Litwie sowieckiej i Wilno, i Kłajpedę. Z trzech wielkich sąsiadów Litwy Polska sięgała po Wilno, Niemcy – po Kłajpedę, Sowiety zaś nie sięgały po żadną część Litwy w szczególności, przeciwnie – zwracają jej to, co inni zabrali, ale za to sięgają po nią całą, wcielają ją do swego łona nierozdzielnej. Na uroczystość w teatrze nie poszedłem, bo jest bardzo ślisko i wieczorem trzeba byłoby wracać z teatru do domu po ciemku, a tego się lękam. Ciekawa rzecz, że państwo rewolucji komunistycznej, zwłaszcza w obecnej wojnie i w stosunku do narodów świeżo wcielonych albo będących poza Związkiem, operuje już stale nie hasłami internacjonalu komunistycznego i tej powszechnej rewolucji społecznej, skierowanej do szczęścia ludzkości, lecz hasłami wybitnie narodowymi poszczególnych narodów w ich całości politycznej. Sowietcy komuniści litewscy prześcigają wszystkie inne grupy w narodzie w przekonywaniu opinii litewskiej, że oni właśnie są najlepszymi patriotami litewskimi, którzy najwięcej dbają i najskuteczniej rozwiązują problemy narodowo-polityczne Litwy.

Wieczorem na cześć zdobycia Kłajpedy był fajerwerk – wystrzały, rakiety nad Wilnem.

4 lutego, rok 1945, niedziela

Słyszałem dziś, że rzekomo zdobyty został przez Sowiety Królewiec. Nie wiem, czy to tylko pogłoska, czy wiadomość ścisła, nadana przez głośniki radiowe na ulicach miasta. Jeżeli Prusy Wschodnie mają być istotnie podzielone między Polskę i Litwę sowiecką i do Litwy (do Sowietów) zamierzone jest wcielenie części północno-wschodniej tego kraju po Królewiec włącznie, to zdobycie Królewca byłoby wreszcie zakończeniem odzyskania terytorium Litwy od Niemiec. Ale jest to chyba dopiero w sferze pewnych dezyderatów czy zamierzeń, których realizacja albo debaty i

walka o realizację zależałyby od przyszłego kongresu pokojowego. Ale takie ewentualne wydęcie terytorium Litwy, mającego ogarniać od Wilna na wschodzie do Królewca na zachodzie, choć pozornie kuszące wielkością pomysłu, miałoby swoje niebezpieczeństwa ze stanowiska narodowego litewskiego. Choć powiadają, że „od przybytku głowa nie boli”, to jednak czasem zbyt duży przybytek pokarmu w żołądku grozi niestrawnością, która w pewnych warunkach może grozić komplikacjami dla zdrowia. Takim mogłoby się stać dla Litwy wcielenie do niej zbyt rozległych terenów na zachodzie. Strawienie Wilna i Kraju Kłajpedzkiego – to już niemały wysiłek dla narodu litewskiego, nawet po wysiedleniu z Wilna Polaków, które się zaczęło dokonywać obecnie, i po opróżnieniu Kraju Kłajpedzkiego z Niemców, które już się dokonało faktycznie w warunkach wojny, o ile się Niemcom nie pozwoli wrócić. Byłoby to dosyć trudne dla Litwinów zwłaszcza teraz, kiedy w warunkach tej wojny stracili oni przynajmniej połowę, a zapewne więcej nawet swojej inteligencji narodowej, która się rozleciała z kraju przed najściem bolszewików. Ale i ludności rolniczej wiejskiej Litwa nie ma za dużo do skolonizowania opróżnionego z ludzi Kraju Kłajpedzkiego i ewentualnie częściowo wyludnionej Wileńszczyzny. Jeżeli wszakże do tego ma być dodana część Prus Wschodnich aż do Królewca włącznie z licznymi miastami i miasteczkami i to wszystko jako teren pusty do skolonizowania i administrowania, to sił litewskich stanowczo by na to nie starczyło. Naród litewski tego strawić nie będzie w stanie, przynajmniej w szybkim tempie. I tu zachodzi niebezpieczeństwo, że mu „na pomoc” przyjdzie element rosyjski, nasłany ze wschodu dla napełnienia tych pustych nabytków terytorialnych na zachodzie. Pod firmą Litewskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej mogłaby być stworzona „Litwa” w cudzysłowie, w której element litewski byłby rozwodniony przez napływowy element rosyjski, mocno oparty o wschód i stopniowo rozpuszczający w sobie rdzeń litewski. Bezpieczniejsza jest Litwa mała, ale zwarta, skupiona mocno w sobie, niż Litwa rozlewna na wszystkie strony, płynna, roztapiająca się w wielkim napływie czynników obcych, mających za sobą dominującą państwowość. Królewiec – to symbol tego niebezpieczeństwa. Zaś ewentualnie – niebezpieczeństwo *à la longue* mogłoby grozić w tych warunkach Litwie nie tylko ze wschodu, ale i od zachodu, od Niemców, którzy wcześniej czy później wrócić przecie mogą w Europie do siły i z pewnością pamiętać będą, że Królewiec – to ich gniazdo dawne.

Byłem dziś z Kotunią i Igą w kościele św. Anny na sumie. Po sumie wyszedłem z kościoła, żeby iść na Zarzecze do Lola Wołodkowicza. Wtem przed kościołem ktoś mię zatrzymał. Nie poznałem na razie kobiety, która mię zatrzymała. Dopiero gdy się nazwała, tom ją poznał. Była to pani Olechnowiczowa, żona nieszczęśliwego Franka Olechnowicza, zamordowanego w Wilnie przed rokiem w mieszkaniu swoim przez nieznanego mordercę. P. Olechnowiczowa bardzo postarzała. Mieszka pod innym nazwiskiem, bo jako wdowa po Franku, jednym z przywódców narodowych białoruskich obozu antysowieckiego, mogłaby być narażona na różne i ciężkie nieprzyjemności. Biedna kobieta – dużo przecierpiała w ciągu ostatniego roku. Jest Polką, Mazurką rodowitą, zapisała się więc na wyjazd do Polski.

5 lutego, rok 1945, poniedziałek

Nie jestem pewny co do istotnego polepszenia się stanu mego serca. Chodzę, co prawda, lżej niż chodziłem przed samą chorobą, nogi mi nie brzękną, śpię nocami na ogół dobrze, ale zarówno we dnie, jak w nocy nad ranem doświadczam czasem jakiegoś dziwnego przerywanego bicia serca, w którym bicie przeplata się jakby z zamieraniem, połączonym z pewnym brakiem tchu. W nocy spać mogę tylko w pozycji niezupełnie leżącej na płasko: górną część tułowia wraz z głową muszę podnosić wysoko na poduszkach w położeniu nieco zbliżonym do siedzącego. Ten stan mię trochę niepokoi.

Niepokoje też nas z Jadzią stan zdrowia Kotuni. W ostatnich czasach zmizerniała, jest blada i stała się niezwykle nerwowa; ciągle o byle co, prawie że bez przyczyny, płacze, kaprysi, porusza się; apetyt ma jakiś nierówny i bardzo kapryśny; od przeszło tygodnia ma zły żołądek. Wszakże kierowniczką przedszkola, zapytywana przez Jadzię o stan zdrowia Kotuni, mówi, że w przedszkolu

je dobrze, nie kaprysi, nie płacze, jest grzeczna. Zdecydowaliśmy w tych dniach zaprowadzić ją do dr Gerlégo.

Zmieniamy pracownicę domową. Panna Maria Piątkowska odchodzi, bo nie zdecydowała się zamieszkać u nas i spędzać wieczory przy Żermenie. Jadzia ją trochę żałuje, bo przyzwyczaiła się do niej i ceni to, że panna Maria pokochała bardzo Żermenę. Ale Jadzia nie może się obyć bez stałej pomocnicy w domu przy dziecku; Kotunię i Igę męczy bawienie dziecka przez cały wieczór, a Jadzia nie ma na wszystko czasu. umówiliśmy więc 32-letnią Stasię Żukowską, Wilniankę, którą nam zarekomendowała Zitka Komorowska jako fachową służącą i bardzo uczciwą osobę. Będzie u nas na stałe i od jutra ma już przyjść. Jest to już czwarta od połowy grudnia. Zobaczymy, czy ta się utrzyma na stałe.

6 lutego, rok 1945, wtorek

Dowiedziałem się dziś od pani Raupienė z Kowna, którą zastałem w sklepie Józki Ciświckiej, że prof. Gudowicz z rodziną (żoną i córką) przed przyjściem Sowietów bawił na wsi na Żmudzi, skąd uciekł do Niemiec. Żałuję bardzo, że to zrobił, bo z pewnością w warunkach pogromu Niemiec, którego się spodziewam, nie będzie mu tam lepiej. Przypuszczam, że tutaj nie byłby zagrożony aresztem i represjami ze strony Sowietów, choć co można wiedzieć: był przecie za okupacji niemieckiej przez czas jakiś naczelnikiem Izby Zdrowia czy Izby Lekarskiej, a choć to nie jest sfera polityczna, to jednak czasem może wystarczać i tego, żeby się NKGB przyczepiło jako do rzekomego agenta niemieckiego, będącego „na usługach” okupantów. Wielu ludzi, nie mających nawet takiego „grzechu” na sumieniu, siedzi w więzieniu od szeregu miesięcy. Pani Raupienė starała się bronić mieszkania i mebli Gudowiczów, ale mówi, że nie dała rady. Mieszkanie jest zajęte, meble – niszczone i wywożone. Obaj bracia pani Raupienė – Zygmunt i Dzidas (Izydor) Toliušisowie – są od września aresztowani i obecnie siedzą w Wilnie na Łukiszkach. Zygmunt Toliušis był przez czas jakiś faktycznie zastępcą radcy generalnego sprawiedliwości za okupacji niemieckiej, prawą ręką radcy generalnego Mackiewicza, a potem, gdy Mackiewicz faktycznie się usunął i następnie został przez Niemców aresztowany i wywieziony, kierował Zarządem Sprawiedliwości; toteż do niego NKGB mogło się przyczepić, ale młodszy Toliušis – Dzidas – był adwokatem i politycznie się nie angażował. Aresztowany też od dawna jest Pilčilingis, który był wiceburmistrzem Kowna za okupacji niemieckiej i nie uciekł. Aresztowany też jest Jerzy Była; za co – nie wiadomo; zdaje się, że w żadnej akcji czynnego udziału nie brał, jeno był wraz z Toliušisem w zarządzie Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. A zresztą kto wie, co o tych ludziach wiedzą czynniki sowieckie, decydujące o aresztach i represjach. W każdym jednak razie, represje są silne i szeroko stosowane.

7 lutego, rok 1945, środa

Słyszałem dziś o dwóch aresztowaniach w Wilnie, które oba mnie zdziwiły i które uważam za sensacyjne. Choć areszty są na porządku dziennym, zresztą w Wilnie zwłaszcza wśród Polaków, wśród Litwinów zaś – znacznie mniej, to jednak te dwa areszty są niezwykle przez to, że dotknęły ludzi, którzy stali, zdaje się, wyraźnie na pozycji sowieckiej, a przynajmniej uchodzili za takich. Jednym z tych aresztowanych jest młody profesor prawa karnego na naszym wydziale Witold Jurgutis. Kiedyś – przed laty mniej więcej 15 – za swoich czasów szkolnych i studenckich w Kownie – młody Jurgutis był czynny w ruchu skautów, uchodził za jednego z przywódców młodzieży skautowej litewskiej. Potem był asystentem na uniwersytecie przy katedrze prawa karnego. Pokładano w nim wielkie nadzieje, był też zdolny i ruchliwy. Za czasów sowieckich w roku 1940-1941 prędko się zorientował w kierunku sowieckim i stał się u czynników sowieckich *persona grata* na uniwersytecie. Awansował na profesora, objął katedrę, stał się sekretarzem uniwersytetu. Uchodził za takiego, który się całkowicie na stanowisko sowieckie nawrócił. W kołach litewskich antysowieckich brano mu to za złe i traktowano go z pewną niechęcią. Zresztą nic jaskrawego nie robił, ale w każdym razie był wyraźnie prosowiecki. Za okupacji niemieckiej siedział cicho jak mysz pod miotłą. Z uniwersytetu go jednak nie usunięto, ale pamiętano mu ten zwrot sowiecki. Teraz, gdy

wróciły Sowiety, młody Jurgutis znowu był dobrze widziany przez czynniki sowieckie jako swój człowiek na uniwersytecie. Jeżeli się nie mylę, był znowu zaangażowany na sekretarza uniwersytetu. I oto nagle został aresztowany. Jak zawsze w Sowietach, przyczyny aresztu nikt nie wie. Może się dokopano czegoś w jego przeszłości, a zresztą któż może wiedzieć! Może była jakaś gra podwójna w jego działalności, a może tylko jakieś zbieranie wiadomości, dla którego trzeba było go na razie izolować. Powiadają, że w jego mieszkaniu NKGB zarządziła zasadzkę, a potem go zatrzymano i odesłano do więzienia.

Drugi – bodajże jeszcze bardziej sensacyjny areszt – to areszt młodego Andrzeja Bułata (Bulotasa), siostrzeńca byłego adwokata Andrzeja Bułata z Mariampola, którego wraz z żoną Niemcy w roku 1941 w Wilnie rozstrzelali jako komunistę i wybitnego działacza sowieckiego. Młody Andrzej Bułat był obecnie naczelnikiem oddziału kadrów w Komisji Planowej. Był, zdawało się, zupełnym komunistą, stał kategorycznie na gruncie sowieckim. Choć młody – miał dużą przeszłość polityczną. Przed laty 18, jako młodzieńki student prawa w Kownie, brał udział w zamachu terrorystycznym na premiera Voldemarasa w ogrodzie miejskim. Zdołał uciec. Gdyby go wtedy złapano, byłby to przypłacił życiem, jak jego współtowarzysz zamachu i bliski kuzyn Vasylius. Od roku 1927 do 1940 był więc na emigracji politycznej, ukończył studia bodajże w Wiedniu. Za czasów wojny domowej w Hiszpanii był ochotnikiem w wojskach rządowych przeciwko nacjonalistom Franka. Po zwycięstwie Franka był internowany we Francji. W roku 1940 czy 1941 władze sowieckie z wielką pompą sprowadziły tych uczestników wojny domowej, w ich liczbie i jego, do Litwy sowieckiej. Był to więc człowiek o wybitnej przeszłości rewolucyjnej, pokrewnej rewolucji komunistycznej, zwłaszcza od czasów wojny domowej hiszpańskiej. Tutaj był jako wyraźny komunistą prosowiecki. Za co go aresztowano, nie wiadomo. Zresztą w początku swojej kariery wyszedł z szeregów nie komunistycznych, jeno lewych rewolucyjnych ludowców, a więc indywidualistów i może miał pod tym względem jakieś „odchylenie”, które go zgubiły.

8 lutego, rok 1945, czwartek

Palecki, będąc quasi-prezydentem Litwy sowieckiej (przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej, a z tego tytułu jednym z szesnastu – podług ilości republik związkowych – zastępców quasi-prezydenta Związku Sowieckiego, z których każdy co pewien czas spełnia faktycznie czynności tego quasi-prezydenta Związku, stając chwilowo na czele całej władzy wykonawczej Sowieckiego), nie zapomina swojego zawodu dziennikarskiego. Pisuje i ogłasza w dziennikach sowieckich litewskich, a czasem także rosyjskich, obszernie artykuły polityczne, skierowane przeważnie przeciwko knowaniom wrogów władzy sowieckiej w społeczeństwie litewskim, w instytucjach i urzędach litewsko-sowieckich, gdzie ci ukryci wrogowie brużdżą, względnie za granicą, dokąd w wielkiej masie zbiegli i gdzie usiłują szkalować i szkodzić sprawie sowieckiej. Te czynniki antysowieckie społeczeństwa litewskiego przyjęto w prasie i w terminologii litewsko-sowieckiej nazywać „nacjonalistami litewsko-niemieckimi”. Nazwa ta się utarła i jest ona dla agitacji i propagandy sowieckiej dogodna, bo pozwala mieszać w czambuł te czynniki z Niemcami i rozciągać na nie wszystkie pomyje, błoto i nienawiść, którymi się zaprawia stosunek do Niemców i do hitleryzmu. Pod nazwą „nacjonalistów litewsko-niemieckich” utożsamia się w czambuł i te najobskurniejsze szumowiny sadyzmu i ohydy, które brały udział w masowym mordowaniu Żydów za okupacji niemieckiej, i tych, którzy z Kubiliunasem na czele tworzyli rzekomy quasi-samorząd litewski pod Niemcami, i tych, co domagają się od aliantów niepodległości Litwy i działają w Ameryce, Anglii lub krajach neutralnych przeciwko wcieleniu Litwy do Związku Sowieckiego, przeciwstawiając się skądinąd najkategoryczniej Niemcom, i tych, którzy, jak Škirpa *et consortes*, gotowi byli w swoim czasie poprzeć Niemców, ale z zastrzeżeniem przyznania przez nich państwowości litewskiej, jak wreszcie wszystkich tych, którzy dla jakichkolwiek bądź względów uciekli przed Sowietami z kraju, ogarnięci nieraz głupią paniką albo grzeszą tylko tym, że się nie entuzjazzmują na rzecz Sowietów... Wszystko to ma być „nacjonalistami litewsko-niemieckimi”. Palecki wraz ze wszystkimi mówcami i dziennikarzami sowiecko-litewskimi chłoszcze tych „nacjonalistów litewsko-niemieckich”, węższy

ich wszędzie i domaga się wyłapywania ich, usuwania i tępienia w instytucjach, urzędach etc. Jest to akcja *sui generis* terroryzowania i dobijania wroga. Czynniki sowiecko-litewskie czują się izolowane, otoczone dokoła przez wroga nieuchwytnego, którego biją i nie mogą dobić. Wróg ten, o ile chodzi o tych, co są na miejscu, przeważnie z „niemieckością” nie ma nic wspólnego, ale nie jest przekonany do Sowietów. Nie ulega wątpliwości, że w walce tej czynniki litewsko-sowieckie wysilają się same na maksimum patriotyzmu narodowego litewskiego, na który są sami, przynajmniej w ogromnej większości swojej, bardzo i zupełnie szczerze wrażliwe. Ile się z czynnikami tymi zetknąłem – nie tylko w ich urzędowych przemówieniach i wystąpieniach prasowych, ale także bezpośrednio w rozmowach prywatnych – muszę uczciwie stwierdzić, że są one szczerze i gorąco narodowe. Litewskość Litwy obchodzi ich szczerze i rzetelnie i są oni przekonani, że w związku z Sowietami litewskość ta ma największe, jeżeli nie jedyne gwarancje rozkwitu. Mogą się oni też powołać na fakty, że związek z Sowietami zapewnił Litwie w zakresie terytorialnym to, czego jej izolowana burżuazyjna „niepodległość” pod rządami „narodowców” wszelkiego gatunku zapewnić nigdy nie zdołała i nie zapewniłaby: terytorium z Wilnem i Kłajpedą, a bodajże i ze szczątkowo litewską Tylżą i dorzeczem dolnej Szeszupy, a może nawet dalej aż ponad to, co Litwa pragnąć może i co byłaby w stanie przerobić na litewskie, to znaczy aż do przesyty narodowego, aż ponad sprawiedliwość. Takich faktów terytorialnych na rzecz Litwy nikt z przeciwników sowieckich Litwie zapewnić nie może. Toteż obóz litewsko-sowiecki, który dziś może być także nazwany obozem narodowym sowiecko-litewskim, ma atuty, których obóz narodowy antysowiecki nie ma i mieć nie może. W walce tych dwóch litewskich obozów narodowych, z których właściwie oba są litewskie, oba narodowe, obóz antysowiecki zachował tylko jedną broń – jest to niebezpieczeństwo zalewu Litwy przez pierwiastek rosyjski. To jedno jest najbardziej istotnie i zastraszające ze stanowiska litewskiego. Na to narodowcy litewscy z obozu sowieckiego odpowiadają, że to zależy od samych Litwinów, którzy mogą to niebezpieczeństwo zlikwidować, o ile sami zechcą być czynni i odrzucać knowania obozu antysowieckiego.

9 lutego, rok 1945, piątek

I znowu dowiaduję się o aresztach i zasadzkach. Jeżeli poprzednio areszty i zasadzki srożyły się w Wilnie przeważnie wśród ludności polskiej, wśród której niezupełnie ustały one zresztą i teraz, choć, zdaje się, w nieco słabszym tempie, to teraz dotyczą one Litwinów i w szczególności koła inteligenckie, a nawet profesorskie, które poprzednio nie były u nas ruszane. Zastanawiające jest także to, że wśród ostatnich aresztów, jak już przed dwoma dniami wspominałem, są wypadki stosowania ich do ludzi, którzy, o ile nam wiadomo, albo wyraźnie stali na stanowisku ideowym sowieckim, albo przynajmniej byli bardzo i zupełnie lojalni w stosunku do rządów sowieckich. W kołach profesury uniwersytetu zaczęło się w styczniu od zasadzki w mieszkaniu prof. Jonynasa i w mieszkaniu prof. Sezemana. Zasadzka u nich była, przez kilka dni trzymano obu profesorów w domu, zatrzymywano wszystkich, którzy do nich przychodzili, ale w końcu zasadzkę zdjęto i wszystkich uwolniono. Ani Jonynas, ani Sezeman nie zostali aresztowani i nawet nie robiono w ich mieszkaniu formalnej rewizji. Przed kilku dniami aresztowano młodego prof. Witolda Jurgutisa z naszego wydziału, który, zdawało się, był co najmniej bardzo lojalny w stosunku do Sowietów, w tym samym czasie także, jak słyszałem, aresztowany został z kół pozauniwersyteckich młody Andrzej Bulota, człowiek o bogatej przeszłości rewolucyjnej i, zdaje się, całkowity rzecznik linii politycznej sowieckiej. Dziś dowiaduję się o aresztowaniu wczoraj młodego profesora czy docenta Tadeusza Zaleskiego z Wydziału Ekonomiki. O ile wiem, Zaleski był w każdym razie najzupełniej lojalny w stosunku do Sowietów. Należał on wraz z Pawłem Pakarklisem i ze mną do komisji, mającej wystudiować i określić sytuację prawną wyższych uczelni Litwy sowieckiej i w sprawach tej komisji był u mnie pozawczoraj. Naturalnie nic nie wiadomo o przyczynach tego aresztu. Niektórzy domyślają się, że dlatego, że mieszkał w mieszkaniu starego prof. Jurgutisa, który na początku okupacji niemieckiej brał czynny udział w ówczesnym ruchu aktywistów i był potem radcą generalnym finansów w tzw. „samorządzie” litewskim, co musi mu być poczytane za nastawienie

antysowieckie, choć potem nie tylko się wycofał ze stanowiska radcy generalnego, ale został przez Niemców w marcu r. 1943 aresztowany, wywieziony i internowany w obozie w Stutthof pod Gdańskiem. Może być, że zamieszkanie Zaleskiego w mieszkaniu i meblach prof. Jurgutisa jest poczytane za dowód szczególnej bliskości Zaleskiego z prof. Jurgutisem. Powiadają też, że zasadzka NKGB siedzi w mieszkaniu prof. Žvironasa, dziekana jednego z wydziałów naszego uniwersytetu. Samego Žvironasa nie ma na razie, wyjechał dokądś, ale zasadzka w jego mieszkaniu siedzi pono i czeka na niego i na wszystkich zgłaszających się. Žvironas jest także *persona grata* u czynników sowiecko-litewskich. W swoim czasie był on bardzo źle widziany na uniwersytecie przez czynniki rządowe „tautininków” za czasów Smetony jako działacz lewicowy (zdaje się – socjalno-demokratyczny) i za mojego rektoratu często mi wypadało osłaniać jego przed czynnikami rządowymi.

Ludzie twierdzą, że areszty obecne mają jakiś związek z tajną litewską prasą niepodległościową za czasów okupacji niemieckiej. Prasa ta była antyniemiecka, ale także antysowiecka. Obecnie Sowiety szukają nici tamtej prasy. Ale chyba tacy ludzie, jak Andrzej Bulota, prof. Žvironas, nawet młody Witold Jurgutis nie mieli nic wspólnego z tą prasą.

10 lutego, rok 1945, sobota

Nasza Žermena ukończyła dziś 11 miesięcy. Žermena ma już cztery ząbki przednie i w ostatnich czasach stała się bardzo żywa. Sama ciągle siada, wychyla się z wózka i zapewne zacznie prędko wstawać i chodzić. Może już nawet zaczęłaby chodzić, a przynajmniej stawać, gdyby była trzymana nie w wózku, lecz na podłodze, względnie w zagródce. A że już by pełzała – to pewne.

Dziś miałem wykład prawa konstytucyjnego „państw obcych”. Ten kurs wykładowy został już przemianowany: nazywa się on urzędowo prawem państwowym (konstytucyjnym) nie „państw burżuazyjnych”, lecz „państw obcych”. Ta zmiana nazwy jest nie tylko lokalna u nas, ale w całych Sowietach. Zapewne wpłynął na to związek wojenny Sowietów z Anglią i USA i w ogóle czynny udział Sowietów w życiu międzynarodowym i w kontakcie z państwami obcymi. W brzmieniu nazwy „państw burżuazyjnych” jest pewna pogarda dla tych państw, pewne ich traktowanie ujemne, co najmniej niechętne, bo „burżuazja” w języku komunistów – to pewna ohyda, podłość, symbol niesprawiedliwości społecznej. Gdy się z kimś przyjaźni, to się nie godzi nazywać go imieniem wyrażającym pogardę. Sowiety zaś teraz, pod wpływem tej wojny i w przededniu likwidacji jej skutków, w której gotują dla siebie rolę czynną pacyfikatora i protektora narodów ościennych, skłonni są dzielić świat już nie na obóz socjalizmu i burżuazji jako dwóch wrogów nieprzejednanych, ale na świat demokracji, do którego się zalicza Sowiety, narody sprzymierzone i narody walczące z Niemcami lub które się poddały opiece i kontroli sowieckiej, i świat faszyzmu, do którego się zalicza w pierwszym rzędzie Niemców, względnie Hiszpanię i wszystkie te czynniki w poszczególnych narodach, które się przeciwstawiały lub przeciwstawiają rządowi demokracji prosowieckiej. Tak czy inaczej – teraz się wyklada prawo konstytucyjne nie „państw burżuazyjnych”, lecz „państw obcych” („cudzoziemskich”). W „audytorium” zastałem nie trzech, jak w semestrze jesiennym, lecz tylko dwóch słuchaczy – studentkę Adomonytę z Rakiszek i studenta Mikėnasa z powiatu rakiskiego. Trzeciego ze stałych słuchaczy moich – studenta Stankunasa z powiatu święciańskiego – nie zastałem. Jego koledzy uprzedzili mnie, że się już zapewne nie pokaże więcej, bo się dowiedział, że jest poszukiwany i pośpieszył „zagać bez wieści”, to znaczy umknąć z Wilna i gdzieś się ukryć. Szkoda, że mam tylko dwóch słuchaczy. Wykłady udają mi się dobrze i lubię je. Po każdym wykładzie czuję się rażnie. Jestem jak stary koń wyścigowy, który na terenie wyścigów odmładza się i czuje się w swoim żywiole. Tu czuję się jeszcze mocny, pełny sił, temperamentu i precyzyjnego myślenia. O ileż byłoby przyjemniej, gdybym miał liczne audytorium słuchaczy. Od 7 lutego rozpoczął się u nas semestr wiosenny. W tym semestrze będę wykladać także kurs prawa konstytucyjnego Republiki Litewskiej z lat 1918-1940 jako fragment historii prawa litewskiego.

Słyszałem dziś, że wraz z młodym Andrzejem Bulotą został aresztowany dr Juška, krewny żony Buloty. Dr Juška, figura nieciekawa, docent uniwersytetu, który zresztą na stanowisku w

Ministerium Oświaty niegdyś, a potem w Zarządzie Oświaty za okupacji niemieckiej intrygował przeciwko uniwersytetowi. Był za czasów sowieckich w latach 1940-1941 dosyć zbliżony do Sowietów, mimo że poprzednio należał do obozu klerykalnego. Za okupacji niemieckiej przerzucił się znów do aktywistów antysowieckich. Obecnie się ukrywał, obawiając się represji sowieckiej i nielegalnie przyjechał do Wilna. Zdaje się, że zamieszkał u Buloty i tu go pochwycono. Tak mi przynajmniej opowiadano dzisiaj. Widocznie i aresztowanie Buloty jest w związku z aresztem Juški.

11 lutego, rok 1945, niedziela

Teraz chodzić gdzieś w gościnę niebezpiecznie. Można natrafić na „zasadzkę” i ugrzęznąć. Bezpiecznie jest chodzić w gościnę tylko do mieszkających w tym samym mieszkaniu, jak oto pozawczoraj byliśmy zaproszeni do sublokatorów naszego mieszkania – pp. Brazauskasów – z okazji imienin żony Brazauskasa. Byliśmy tam u nich na herbatce z dziećmi. W tym samym mieszkaniu żadna już niespodzianka zasadzkowa nie grozi, bo skoro w mojej części mieszkania nie ma zasadzki, to jej w ogóle w mieszkaniu nie ma, a jeżeli w toku pobytu w gościnie przyjdą agenci NKGB dla ustanowienia zasadzki, to się w nią wpada u siebie, bez względu na to, czy się „poszło w gościnę” czy nie. Ale dziś poszliśmy w gościnę prawdziwą – złożyć rewizytę żonie Andrzeja Mieczkowskiego, która mieszka u swojej matki na Zarzeczu. Andrzeja z góry uprzedziliśmy o tym, żeby i jego także u żony zastać. Poszliśmy z Jadzią i z Kotuńką; Igi nie wzięliśmy, bo rozchorowała się po południu i leżała w gorączce.

Wiedzieliśmy już wczoraj od Julka Komorowskiego, że pozawczoraj przyjechał koniem aż do Wilna Hektor Komorowski dla zapisania się na wyjazd do Polski. Za niedostarczenie zboża do rekwizycji (trudno mu było „dostarczyć”, kiedy w Kowaliszkach wszystko było rozchwytnie i sam Hektor siedział z rodziną na *sui generis* ordynarii) Hektor był aresztowany i groziło mu podobno skazanie na 8 lat więzienia czy robót przymusowych; wykręcił się tylko tym, że pokazał ogłoszenie urzędowe w gazecie, że od wszelkich świadczeń rekwizycyjnych itp. zwolnieni są ci Polacy, którzy się zapiszą na wyjazd do Polski. Przyjechał więc zapisać się, zapisał się i dziś wraca do Kowaliszek. Zabrał ze sobą do Bohdaniszek Michasia Mieczkowskiego. Hektor jest w usposobieniu panicznym, widzi wszystko w najczarniejszych kolorach, zapowiada też wyjazd do Polski i Elwiry z Helcią. Przywiózł też listy dla nas, które nam dziś Andrzej doręczył. Ciężkie bolesne listy. U Janka Čepasa konfiskują jako rzekomo jego cały zaścianek Jadzi i zostawiają mu tylko 5 ha z zaścianka Buby. Do wiosny Čepasowie siedzą jeszcze w zaścianku Jadzi, ale zabrano im konie, krowy, świnie, owce, zostawiając tylko po jednej sztuce. Janek został uznany za takiego, który się przyjaźnił z Niemcami lub z czynnikami wysługującymi się okupantom i dlatego uległ represji majątkowej. Rzeczywiście pił on z viršaitisem i czynnikami gminy za czasów okupacji i to go chyba skompromitowało. Zabrano też i wywieziono dwa materace nasze i piękną moją rzeźbioną kanapę herbową, które były w czasie działań wojennych wywiezione z naszego domu i zalokowane w zaścianku. Jadzia jest bardzo poruszona tymi wieściami. Ja w tych rzeczach jestem chłodniejszy.

12 lutego, rok 1945, poniedziałek

Iga zachorowała wczoraj wieczorem. Gorączkowała i cały wieczór spała. Dziś gorączki już nie miała, ale czuła się słaba, prawie nic nie jadła, była senna, skarżyła się na ból w żołądku, leżała w łóżku i naturalnie do ogródka (przedszkola) nie poszła. Jadzia była pod wrażeniem złych wieści wczorajszych z Bohdaniszek. Oczywiście i mnie te rzeczy obchodzą, ale ja na straty materialne jestem mniej wrażliwy. Wierzę, że jakoś damy sobie radę, byle zdrowie służyło i byle się nie stać ofiarą jakichś represji osobistych, aresztowania itp., o co teraz na ogół łatwo, choć żadnego „grzechu” politycznego za sobą nie czuję. Nikt chyba nie mógł siedzieć ciszej niż ja przez czas okupacji niemieckiej. Ale teraz nikt chyba nie jest pewny tego, co go spotkać może. Wystarcza jakiegoś donosu, plotki, znajomości, żeby ściągnąć na siebie groźną uwagę NKGB ze wszystkimi tego konsekwencjami. Mam też nadzieję, że mnie tego, co mi w Bohdaniszkach zostawiono, nie odbiorą i może tam w ogóle więcej nic nie poruszają. Ale zaścianka Jadzi i rzeczy naszych, które tam

były złożone, byłaby wielka szkoda, gdyby to wszystko zginąć miało. Ciężko też byłoby Čepasom zostać na 5 hektarach ziemi. W każdym razie, zdecydowani jesteśmy z Jadzią poczynić zabiegi o ratowanie czego się da. Chcę się poradzić z kolegą Pakarklisem, jak to robić.

Ustaliłem dziś plan pracy naukowej, którą chcę rozpocząć, bo bez niej mi trochę pusto. Same wykłady, których mam mało i na których mam audytorium, złożone z dwóch czy trzech studentów, mi nie wystarczają. Chcę rozpocząć pracę nad trzecią i ostatnią częścią książki, której część I wydana została przez nasz Wydział Prawniczy w roku, zdaje się, 1936, pod tytułem „Lietuvos konstitucinės teisės paskaitos“. Ta I część obejmuje okres budowania państwowości Republiki Litewskiej od roku 1917 do 1922, akty konstytucyjne tego okresu i analizę szczegółową konstytucji z r. 1922. Część II tej pracy obejmuje przewroty z lat 1926 i 1927 i analizę szczegółową konstytucji z roku 1928. Ta część II była przeze mnie wykończona w roku 1940 czy 1941 za czasów sowieckich i uchwałą Rady Wydziału Prawniczego została złożona do działu rękopisów biblioteki uniwersyteckiej w Wilnie, gdzie się przechowuje i skąd się wypożycza tym, co w tym zakresie pracują naukowo lub studiują. Część III i ostatnia powinna objąć analizę konstytucji z roku 1938, ostatniej konstytucji Republiki Litewskiej. Ta część byłaby nieco bardziej skondensowana niż dwie poprzednie, bardzo szczegółowa. Wczoraj już tę pracę rozpocząłem. Druga zamierzona przeze mnie praca – to reżimy konstytucyjne, które też opracowałbym nie w postaci monografii, jak dawniej zamierzałem i co miało stanowić część IV mojej wielkiej pracy cyklowej – „Państwo i jego prawo konstytucyjne”, lecz w postaci wykładów, jako podręcznik dla kursu „prawo konstytucyjne państw obcych”.

13 lutego, rok 1945, wtorek

Dosyć dawno rządca domu, w którym mieszkamy, z polecenia władz zapisał w naszym mieszkaniu tzw. zbywające czy nadmierne pokoje, przekraczające ustaloną urzędowo kwadraturę metrów mieszkalnych wypadającą na naszą rodzinę. Ja osobiście mam prawo, jako profesor uniwersytetu, na gabinet roboczy extra w ilości, jak twierdzą jedni, 20 metrów kwadratowych, a jak twierdzą inni – tylko 10 metrów kwadratowych, poza tym zaś na każdego członka rodziny naszej (ja, żona, troje dzieci, obecnie jeszcze robotnica domowa) należy się jeszcze po 7 metrów, to znaczy na sześć osób 42 metry, nie licząc gabinetu. Cały nadmiar ponad tę przestrzeń w mieszkaniu jest w dyspozycji władz, które mogą do poszczególnych pokoi nadmiaru wsiedlić nowych mieszkańców. Myśmy dla siebie zarezerwowali mój gabinet, pokój dziecienny i jadalny; wielki pokój jest zajęty przez naszych sublokatorów, do dyspozycji zaś władz mieszkaniowych na rzecz ewentualnego wsiedlenia nowych mieszkańców oddaliśmy ciemnawy pokoik quasi-sypialny i zaliczony za pokój malutki niby pokoik, w istocie składzik przechodni na rupiecie tuż obok klozetu, który chyba przez to uchodzi za „pokój”, że ma piec żelazny do ogrzewania klozetu. Przez dłuższy czas nikt się jednak nie zgłaszał do zajęcia tych „pokoiów” nadmiaru. Wczoraj dopiero zgłosiła się w towarzystwie naczelnika jednego z komisariatów milicji jakaś Rosjanka, pracowniczka milicji, potem jej siostra, ale dziś się więcej nie zgłosiły. Dziś natomiast zgłosiła się jakaś Sowietka w mundurze żołnierskim z frontu, pochodząca z Mariupola pod Krymem, która przed miesiącem wracała z frontu z Prus Wschodnich w swoje strony, ale po drodze, będąc w ciąży, zasłabła w Wilnie i tu w szpitalu urodziła dziecko. Teraz szuka dla siebie z dzieckiem pokoju i skierowano ją tutaj. Nie ma żadnych rzeczy – ani mebli, ani naczyń, ani pościeli, ani produktów, ani drew – nic. My zaś też nic jej dać nie możemy i nie dajemy. Chciała, żebyśmy ją przyjęli z dzieckiem do rodziny. Oczywiście na takich warunkach mieszkanki mieć nie chcemy. Jeżeli ją nam narzuca, damy jej pokoik pusty, ale z niemowlęciem rady nie da. Zażądaliśmy, żeby nam okazała order na pokój. Odeszła obrażona, ale się więcej nie zgłosiła.

14 lutego, rok 1945, środa

Dziś miałem pierwszy wykład „prawa konstytucyjnego Republiki Litewskiej” (chodzi o republikę niepodległą z lat 1918-1940). Właściwie jest to kurs historii konstytucyjnej tej republiki. Kurs taki, jako „prawo konstytucyjne litewskie”, wykladałem stale przez wiele lat. Był to kurs, który wchodził w zakres mojej katedry prawa konstytucyjnego (państwowego). Na razie przez pierwszych

lat dziesięć kurs ten w Kownie był wykładany przez Antoniego Tumenasa, a po nim objąłem go ja. Za czasów sowieckich w roku akademickim 1940-1941 wykladałem to jako część wstępną do prawa konstytucyjnego Litwy sowieckiej jako prawo konstytucyjne przedsowieckie Litwy. Za okupacji niemieckiej prawo konstytucyjne litewskie nie było wcale wykładane. Robiłem usiłowania na wydziale, żeby wykład ten wznowić, ale nie udało mi się to. Ponieważ okupanci nie uznawali państwowości litewskiej, więc uważano taki wykład za nieaktualny i niewłaściwy. Na początku obecnego roku akademickiego, rozpoczętego pod znakiem nauki sowieckiej, na razie też nie chciano tego, ponieważ mogło to przypominać niepodległą Republikę Litewską, źle widzianą przez czynniki sowieckie i uchodzącą w oczach komunistów za rodzaj „bękarta politycznego”, wykombinowanego przez burżuazję kontrrewolucyjną litewską przeciwko usiłowaniom stworzenia w roku 1919 Litwy sowieckiej. Ale udało mi się przekonać ówczesnego dziekana naszego wydziału, historyka prawa litewskiego, prof. Konstantego Jabłońskiego, że wykład taki na Wydziale Prawniczym u nas jest konieczny. Istotnie, nonsensem byłoby, żeby młodzi prawnicy litewscy, kończący prawo na uniwersytecie, studiowali ustrój Litwy z okresu najdawniejszego – za czasów Witolda, za Unii Lubelskiej – zaś nic zgoła nie wiedzieli o ustroju świeżo przeżytym, ustroju, który jeszcze dobrze pamięta współczesne pokolenie, ustroju, który oddziaływał na psychikę tego pokolenia i musiał w tej psychice pozostawić pewne ślady. Przez Jabłońskiego przekonałem o tym naszą Radę Wydziału i wykład ten został wznowiony. Tylko że teraz wchodzi on oczywiście w zakres nie katedry prawa konstytucyjnego, lecz katedry historii prawa litewskiego. Został on polecony mnie. Wyznaczono mi dwie godziny tygodniowo w ciągu jednego semestru (obecnego, wiosennego) na II kursie. Dziś ten wykład rozpocząłem. Miałem znowu tych samych trzech studentów, którzy są stałymi słuchaczami moimi na wykładach prawa konstytucyjnego państw obcych. Znalazł się i ten trzeci stały słuchacz – Stankunas – który na sobotnim wykładzie moim nie był i o którym mi mówiono, że „znikł bez wieści”, unikając rzekomo jakichś spodziewanych represji. Bawił on przez czas ferii międzysemestralnych w swoich stronach rodzinnych, teraz wrócił i będzie kontynuować studia spokojnie. Wykład, jak zawsze, był dla mnie bardzo przyjemny. Jest to moim najlepszym wypoczynkiem.

Dowiedziałem się o aresztowaniu młodego docenta Jurskiego. Został aresztowany w Kiejdanach z polecenia władz odpowiednich wileńskich i przywieziony do Wilna. Dowiedziałem się też, że u prof. Žvironasa, którego aresztowano na wsi i przywieziono do Wilna, przy rewizji w mieszkaniu w Wilnie znaleziono dwa radioaparaty, co uchodzi za wielkie wykroczenie. Słyszałem też, że już od dosyć dawna aresztowany jest w Wilnie znany światły i zasłużony postępowy działacz wileńsko-litewski Krutulas. Słowem – aresztowań w Wilnie wśród Litwinów w ostatnich czasach dużo.

15 lutego, rok 1945, czwartek

W prasie ogłoszony jest komunikat urzędowy (zdaje się, że raczej wyciągi z tekstu tego komunikatu) z konferencji trzech szefów rządów wielkiej trójcy mocarstw sprzymierzonych (Związku Sowieców, Anglii i USA) – prezesa Rady Komisarzy Ludowych Związku Sowieckiego marszałka Stalina, premiera angielskiego Churchilla i prezydenta Stanów Zjednoczonych Roosevelta. Zjazd ich odbył się w Baku<sup>23</sup> nad Morzem Czarnym. Dokument komunikatu jest długi. Potwierdzone są w nim wschodnie granice Polski w myśl żądań sowieckich – mianowicie linia Curzona, która poza obrębem Polski zostawia Wilno, Lwów i w ogóle całe polskie tzw. Kresy Wschodnie – tereny ukraińsko-białorusko-litewskie. Dużo się w nim mówi o podziale Niemiec na strefy okupacyjne, o przyszłym urządzeniu Europy, o zabezpieczeniu pokoju od wszelkiej agresji, o koordynacji zbiorowej w rozstrzyganiu wszelkich zagadnień urzędzenia i organach tej koordynacji, o utrzymaniu niewzruszonym zasad Karty Atlantycznej, gwarantującej narodom wolność stanowienia o sobie i rządzenia się, ale tylko demokratycznego, szczegółowsze są ustępy zwłaszcza o Polsce i Jugosławii...

<sup>23</sup> Omyłka; chodzi oczywiście o Jałtę.

Na ogół jednak dokument jest mglisty, utrzymany w stylu bardzo dyplomatycznym, w którym z tekstu może być wysnuta treść rozmaita i tezy najbardziej sprzeczne. Zafiksowanie granic wschodnich Polski przez jednych jest komentowane jako pogrzebanie kwestii samookreślenia się państwowego narodów i terenów na wschód od tej linii, które Sowiety uznają za swoje i już przesądzone, ale skądinąd wniosek taki nie jest w dokumencie *expressis verbis* wyrażony, nie bowiem nie mówi o tym, co ma być na wschód od granic wschodnich Polski, a przy wczytywaniu się w dokument można też wnioskować i inaczej, bo ostatecznie żadnych ograniczeń w stosowaniu Karty Atlantycznej nie ma. Słowem, powiedziano słów dużo, ale w tych słowach treści kategorycznej jest mało. Dyplomatyczna umiejętność mówienia nie po to, żeby sprawy rozwikłać i wypowiedzieć, lecz właśnie po to, żeby zamilczeć to, co najistotniejsze, zawikłać zagadnienia i w słowach utopić treść wyraźną. Sztuka w mowie zamykać milczeniem. Dyplomacja sfinks. Każdy może w tych słowach czytać, co mu się podoba, a treść realna wyłoni się taka, jaką stworzą okoliczności dalszego toku sprawy.

16 lutego, rok 1945, piątek

Data, która jeszcze przed kilku laty była w Litwie największą w roku. Dalekośmy od tego odbiegli. Dziś dzień 16 lutego jest całkowicie powszednim. Dla czynników komunistycznych i dla Litwy sowieckiej nie jest on wcale drogi, jak nie jest drogą i wartościową cała ta Republika Litewska z lat 1918-1940, która zaistniała i utrwaliła się w przeciwstawieniu do usiłowań z lat 1918-1919 na rzecz utworzenia innej państwowości litewskiej – mianowicie Litwy sowieckiej. Obecna Litwa sowiecka wywodzi się z ówczesnej embrionalnej Litwy sowieckiej, którą usiłował tworzyć w Wilnie Vincas Mickiewicz-Kapsukas. Tamta niedoszła Litwa sowiecka była obalona przez Piłsudskiego, usiłującego tworzyć Litwę polską i przez narodową burżuazyjną Republikę Litewską, którą usiłowała tworzyć i stworzyła na lat 20 przeszła ówczesna litewska Valstybės Taryba. Dzień 16 lutego jest datą historyczną tej ostatniej Litwy i przeto wcale nie przemawia do serca ludzi Litwy sowieckiej.

Odbyło się dziś pod wieczór posiedzenie Rady naszego Wydziału Prawniczego pod przewodnictwem dziekana Medžysa. Omawiano między innymi kandydatury i promocje. Uchwalono dwie nowe kandydatury – Balysa Szirwińskiego i Žiurlysa. Co do Žiurlysa, to chodziło tylko o wznowienie jego udziału w wydziale, bo należał on do wydziału już w roku 1941, tylko teraz nie mógł brać udziału, będąc w czynnej Armii Czerwonej. Promocje uchwalono cztery: nominacje trzech lektorów – Žeruolisa, Krygera i Klimki – na docentów i docenta dziekana Medžysa – na profesora. Nie są to ostateczne promocje, jeno wnioski promocyjne, nominacja bowiem zależy od pośrednictwa komisarza ludowego oświaty i sankcji Komitetu do spraw Wyższych Uczelni w Moskwie.

Nie wiem sam, co jest ze stanem mojego zdrowia. Czuję się coraz gorzej, od kilku dni – bardzo źle. Nogi brzękną wprawdzie nie bardzo mocno, ale już tendencja do brzęknięcia coraz bardziej się zaznacza. Od kilku dni śpię nocami coraz gorzej. Serce nierówno bije, od czasu do czasu zamiera jakby i wtedy brak mi tchu w pozycji leżącej. Ale najwięcej mię niepokoi ból w pasie w części przedniej, którego doświadczam przy chodzeniu. Ból ten, którego słabe początki datują się od listopada, w ostatnim tygodniu bardzo się zaostrzył. Chodzenie stało mi się prawdziwą i bardzo bolesną męką, taką, że czasem aż poty wybijają. Chodzę po ulicy jak inwalida, ledwie się wlokę. Połączone to jest z wielką słabością, która mi podcina nogi. Sam nie wiem, co to takiego. Posądzam, że wątroba. Jestem zupełnie chory, tylko nie chcę straszyć Jadzi i próbuję udawać, że to nic wielkiego. Mam wrażenie, że zbliżam się szybkim krokiem do śmierci. Osobiście dla siebie śmierci się nie boję, ale boję się jej dla rodziny mojej, dla której jestem źródłem środków.

17 lutego, rok 1945, sobota

Byłem dziś w specpoliklinice u dr Markowicza, który mię poprzednio leczył w styczniu. Dr Markowicz mię wypytał, osłuchał i znalazł, że stan wątroby nie jest zły, stan serca rzekomo także nienajgorszy (pod tym względem mam wątpliwości), ból zaś, którego przy chodzeniu doświadczam w pasie, pochodzi od mojej starej ruptury pępkowej, która się rozszerzyła; bolą mię czy te ścięgna u

brzegów ruptury, które się rozerwały, czy też wnętrzości, które się z wnętrza wysuwają przez zwiększony otwór ruptury. Na to jedyna rada – pas rupturowy. Pas taki, specjalnie obstalowany u specjalisty w Kownie w roku 1934, nosiłem prawie stale do lata ubiegłego roku 1944. Ponieważ porwał się on w kilku miejscach i Jadzia go nie naprawiała, więc go przestałem nosić. Myślałem, że pas ten czy jego szczątki zostawiłem w Bohdaniszkach. Teraz specjalistów takich od robienia pasów ortopedycznych nie ma i zapewne nie ma materiału dla takiego pasa. Dr Markowicz mówił, że jednak pas jest konieczny i że trzeba go jakoś domowymi sposobami zrobić i że to będzie zadaniem mojej żony. W domu okazało się jednak, że Jadzia pas z Bohdaniszek zabrała i że jest on tu w Wilnie. Zaraz wieczorem go naprawiła i jutro go nałożę. Dałby Bóg, żeby wszystko się skończyło na rupturze i pasie. Ale niepokoi mię też serce i brak snu w nocy.

Od godziny pierwszej do trzeciej miałem dla moich trzech słuchaczy wykład prawa konstytucyjnego państw obcych. Potem od godziny czwartej byłem na posiedzeniu naszego związku zawodowego. Posiedzenie było mało ciekawe. Związek zawodowy nie tyle coś robi na rzecz zaopatrzenia swoich członków czy pomocy jakiejś dla nich, ile służy celom politycznym. Po posiedzeniu odbył się odczyt prof. Baldżiusa o litewskości Prus Wschodnich. Odczyt był żywo wygłoszony i wcale ciekawy.

18 lutego, rok 1945, niedziela

Z okazji niedzieli mieliśmy dziś gości. Przyszli wpierw dwaj przyjaciele – Romuald Węckowicz i Kazimierz Walecki. Walecki, Litwin wileński, którego znałem jeszcze przed wojną, ale bliżej się zapoznałem przez Węckowicza w roku 1940, jest zawsze dla mnie z wielką atencją. Odwiedził on mię przed dwoma dniami i przyrzekł którego dnia przywieźć swoim konikiem z przedmieścia Węckowicza. Dziś przyrzeczenie wykonał i Węckowicza mi przywiózł. Bardzo się ucieszyłem, bo Romualda Węckowicza bardzo lubię. Wyjątkowo się z nim zaprzyjaźniłem w roku 1940, kiedyśmy razem brali udział w zebraniach i dyskusjach polsko-litewskich w Wilnie. Węckowicz jest bardzo niegłupi, umysł ma światły i co mię szczególnie do niego zbliża – to jego gorąca tzw. krajowość, gorące i mocne ukochanie Litwy, którą za ojczyznę ma swoją. Niestety, będzie chyba musiał wyjechać ze wszystkimi Polakami i on, bo w tym kierunku robi się presja, od której nikt wolny nie jest z tych, co są zapisani jako Polacy. Węckowicz z Waleckim dosyć długo zabawili u mnie na rozmowie. Nie wiem, czy Węckowicza jeszcze kiedy zobaczę. Przychodzili też do nas z wizytą pp. inżynierostwo Nakowscy, którzy też do Polski odjeżdżają, i Ewa Meyerowa.

Wychodziłem dziś na miasto z pasem na rupturę. Ból jednak nie ustał przy chodzeniu. Mam wrażenie, że jednak ból pochodzi z wątroby i że teza dr Markowicza, jakoby to było wywołane przez rozszerzenie ruptury, nie jest zupełnie ścisła.

Dziś były imieniny Kotuńki. Ale my imienin dzieci nie obchodzimy tak, jak obchodzimy urodziny. Jadzia kupiła dla niej tylko czekoladek na książeczkę limitową.

19 lutego, rok 1945, poniedziałek

Nie wychodziłem dziś z domu. Zarządziłem sobie dzień „kartoflany” na pędzenie moczu. Jadłem kartofle gotowane bez soli na śniadanie i także na obiad. Ale osłabiły mię one bardzo, a skutek był tym razem niewielki, mocz bardzo słabo odchodził. W zasadzie był to dzień leżący, ale ponieważ miałem różnych odwiedzających, więc przeważnie siedziałem w szlafroku. Był u mnie Armalis, potem Ciświcki, potem pani Domańska. Nie wytrzymałem tego dnia kartoflanego i wieczorem jadłem kielbasę wiejską, którą nam przysłała przez okazję Stefcia Boreišisowa.<sup>24</sup>

<sup>24</sup> Ostatni wpis w dzienniku. Autor zmarł trzy dni później, 22 lutego 1945 r.